

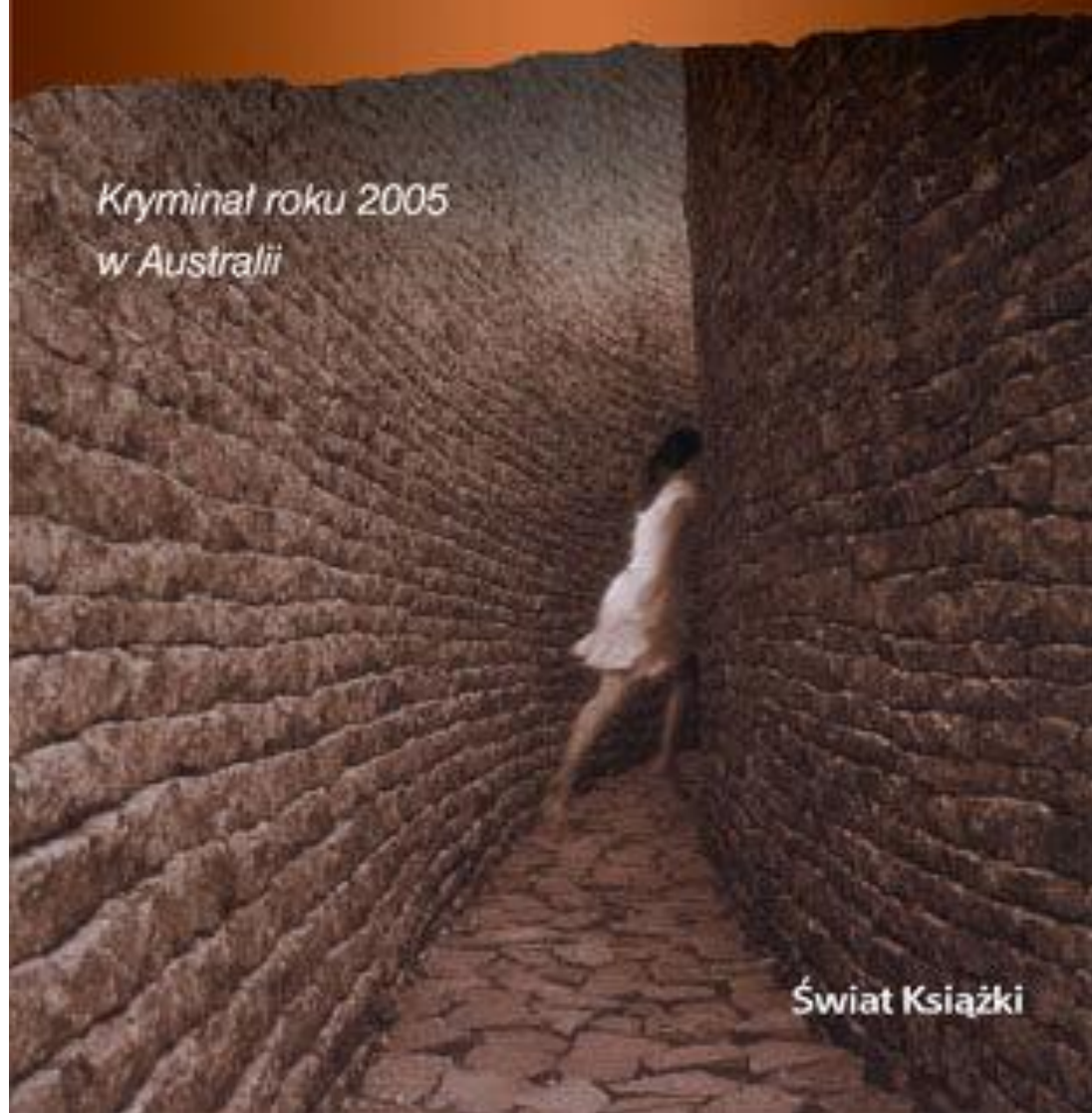
Michael Robotham

NA CELOWNIKU

UPROWADZONA

*Kryminał roku 2005
w Australii*

Świat Książki



Robotham Michael

UPROWADZONA

Z angielskiego przełożył Jerzy Jan Górski

Tytuł oryginału LOST

Ojcu i matce

Podziękowania

Pragnę podziękować Urszuli Mackenzie i Markowi Lucasowi za pomoc w sformułowaniu zasadniczego wątku powieści. Podobnie jak wielu innym osobom z wydawnictwa Time Warner and LAW, wyrażam im głęboką wdzięczność za trud poniesiony po to, aby książka ujrzała światło dzienne.

Mam też głęboki dług wdzięczności wobec Vivien, mojej żony, nieustrzonego czytelnika moich tekstów, surowego krytyka, domowego psychologa, subtelного recenzenta i matki moich dzieci, która zżyła się z bohaterami moich książek i pogodziła z bezsennością moich nocy.

Kiedy ostatnio powiedziałem, że kobieta słabego charakteru wyniosłaby się z małżeńskiej sypialni do pokoju gościnnego, nie miałem racji. Ona mnie wyrzuciłaby do tego pokoju.

Utracić majątek, utracić coś; Utracić honor, utracić wiele; Utracić odwagę, utracić wszystko. niemieckie przysłowie.

Londyn nad Tamizą

Przypominam sobie, jak ktoś powiedział, że kiedy widzisz prawnika z rękami w kieszeniach, przejmuje cię lodowaty chłód. Teraz odczuwam jeszcze silniejszy dreszcz zimna. Zdrętwiały mi usta, a każdy wdech powietrza to okrucieństwo kłującego lodu w płucach.

Jak przez mgłę jawią mi się ludzie, krzyczą i pochodniami świecą mi w oczy. Tymczasem kurczowo obłapuję żółtą boję, jakby była to Marilyn Monroe. Bardzo gruba Marilyn Mon-roe, kiedy spuchła po zażyciu tych wszystkich pigułek.

Pół zartem, pół serio to mój ulubiony film z Marilyn Monroe, w którym wystąpili także Jack Lemmon i Tony Curtis. Nie wiem, dlaczego muszę myśleć o tym właśnie teraz, i zupełnie nie rozumiem, jak ktokolwiek mógł wziąć Jacka Lemmona za kobietę.

Facet z sumiastym wąsem i oddechem zalatującym pizzą sapie mi nad uchem. Ma na sobie kamizelkę ratunkową i usiłuje oderwać moje palce od boi. Zbyt przemarzłem, aby się ruszać. Ramionami objął mnie w pół i wyciąga z wody. W świetle lamp widzę sylwetki innych ludzi; ujmują mnie pod ramiona i wyciągają na pokład łodzi.

- Jezu, spójrz na jego nogę! - krzyknął ktoś.

- Postrzelono go.

O kim oni mówią? - pomyślałem.

Znowu słyszę głosy krzyczących ludzi; wołają o bandażę i osocze.

Czarna mężczyzna ze złotymi kolczykami kłuje mnie strzykawką w ramię i kładzie mi na twarz maskę z tlenem.

- Niech ktoś przyniesie koce. Ogrzejmy człowieka.

- Ma ledwo wyczuwalne tętno.

- Obrażenia głowy?

- Nie.

Silnik pracuje głośno, jedziemy. Nie czuję nóg. Nic już nie czuję, nawet zimna. Gina także światła. Ogarnia mnie ciemność.

- Gotowy?

- Tak.

- Jeden, dwa, trzy.

- Patrz na wskaźniki.

- Widzę.

- Tlen.

- Okej.

Przy noszach jest facet, ten, którego oddech przypominał zapach pizzy; mocno sapie. Widzę jego nabrzmiałą od wysiłku twarz, ręką uciska pojemnik z tlenem. Wtłacza powietrze do moich płuc. Znowu mnie podnoszą i widzę nad sobą migające światła. Nadal je widzę.

Słyszę wycie syreny. Za każdym razem, kiedy zwalniamy, głos syreny jest bliższy i bardziej doniosły. Ktoś mówi przez radio:

- Już dostał dwa litry krwi. Nadal krwawi, ciśnienie spada.

- Dalej podawaj kroplówkę.

- Omdlewa.

- Omdlewa?

Jedna z maszyn zaczyna głośno turkotać. Dlaczego jej nie wyłączą?

Człowiek o zapachu pizzy odpina moją koszulę, klatkę piersiową przygniata dwoma ciężarkami.

- ZROBIONE! - krzyczy.

Ból rozrywa mi czaszkę.

Ponownie ugniata moją klatkę piersiową. Przysięgam, że połamię mu rękę.

- ZROBIONE!

Klnę się na Boga, że nie zapomnę cię, pachnąca pizzo. Zapamiętam, kim jesteś. A kiedy stąd wyjdę, dopadnę cię. O wiele lepiej czułem się w rzece. Chcę znowu do Marilyn

Monroe.

Nie śpię. Moje powieki trzepoczą, jakby zmagaly się z siłą ziemskiej grawitacji. Zaciskam je, w ciemności usiłuję mrugać. Odwracając głowę, dostrzegam, blisko łóżka, pomarańczową tarczę maszyny i zieloną migotliwą smugę światła, przesuającą się wzdłuż ekranu z ciekłego kryształu, jak w systemach stereofonicznych światła i dźwięku.

Gdzie jestem?

Obok głowy widzę stojak ze stali i odbicie światła na jego wygięciach. Na zakrzywionym haku wisi torebka napełniona przezroczystym płynem. Płyn wędruje elastyczną plastikową rurką i znika pod chirurgicznym bandażem mojego lewego przedramienia.

Jestem w szpitalu. Na pulpicie szafki przy łóżku leży higieniczna podkładka. Usiłuję jej dosięgnąć i nagle spostrzegam nie tyle swą lewą dłoń, ile palec. A właściwie jego brak. Zamiast palca ze ślubną obrączką mam kawałek zwiniętego bandaża. Patrzę na niego z wyraźnym zdziwieniem, jakbym miał do czynienia z magiczną sztuczką.

Kiedy bliźniaki były dziećmi, bawiliśmy się w „chowanego kciuka”. Na każde kichnięcie kciuk się pojawiał. Michael zaśmiewał się do rozpuku, tak że zabawa często kończyła się zsiusianiem w spodnie.

Sięgając na szafkę po tampon, zauważyłem napis: „St Mary’s Hospital, Paddington, London”. W szufladzie szafki była tylko Biblia i Koran.

W nogach łóżka zauważyłem podkładkę do pisania z klipsem. Sięgając w dół ręką, poczułem najpierw piekący ból w prawej nodze, a potem w głowie. Chryste, w żadnym wypadku, nigdy więcej!

Skulony z bólu, czekałem, aż przejdzie. Zamknąłem oczy i zrobiłem głęboki wdech. Kiedy skupiłem uwagę na szczególnym miejscu tuż pod dolną kością szczękową, wyraźnie czułem pod skórą w żyłach krążenie krwi przenoszącej tlen.

Moja była żona Miranda wymawiała mi często, że moje serce tak głośno bije, że ona nie może spać. Nie chrapałem, nie krzychałem przez sen z powodu sennych koszmarów, lecz serce waliło mi zawsze jak oszalałe. Była to jedna z przyczyn, dla których rozwiedliśmy się. Oczywiście, przesadzam. Aby uzyskać rozwód, Miranda nie musiała uciekać się do tego rodzaju argumentów.

Ponownie otworzyłem oczy. Świat istniał nadal.

Wziąłem głęboki wdech. Kołdrę podciągnąłem nieco do góry. Zauważyłem, że nadal mam dwie nogi. Prawą całą zabandażowano kilkoma warstwami gazy. Coś napisano mazakiem na dolnej części obandażowanego uda, nie mogłem jednak tego odczytać. Potem

zauważyłem palce nóg. Poruszałem nimi. Cześć, paluchy - szepnąłem. Ostrożnie dotknąłem genitaliów, palcami pocierałem jądra.

Zza zasłony dyskretnie weszła pielęgniarka. Jej głos kompletnie mnie zaskoczył. Zastała mnie w bardzo intymnej sytuacji.

- Chciałem się tylko upewnić - powiedziałem nieśmiało.

- Sądzę, że powinien pan najpierw pomyśleć o obiedzie. Miała wyraźnie irlandzki akcent, a oczy zielone jak trawa. Nacisnęła znajdujący się nad moją głową przycisk dzwonka.

- Dzięki Bogu, że wreszcie się pan obudził. Martwiliśmy się o pana - powiedziała.

Sprawdziła działanie kroplomierza w kropłowce. Potem poprawiła mi poduszki.

- Co się stało? Jak się tu znalazłem? - zapytałem.

- Postrzelono pana.

- Kto do mnie strzelał? Zaśmiała się.

- Proszę mnie o to nie pytać. Nigdy mi takich rzeczy nie mówią.

- Nic nie pamiętam. Moja noga... mój palec...

- Wkrótce przyjdzie doktor - powiedziała.

Wydawała się nie słuchać tego, co do niej mówię. Chwyciłem ją za ramię. Usiłowała się wyrwać, nagle przerażona moim zachowaniem.

- Pani nie rozumie. Nic nie pamiętam! Nie wiem, jak się tu dostałem.

Rzuciła okiem na przycisk dzwonka alarmowego.

- Znalaziono pana w rzece, na powierzchni wody. Tak właśnie mówili. Policja czeka, aby pan się obudził.

- Jak długo tu jestem?

- Osiem dni... Był pan w śpiączce. Myślałam, że już wczoraj odzyska pan świadomość. Mówił pan do siebie.

- Co mówiłem?

- Kilkakrotnie pytał pan o dziewczynę. Mówił, że musi ją odszukać.

- Kogo?

- Nie powiedział pan. Proszę puścić moje ramię. To boli. Odsunęła się, pocierając ramię. Nie podejdzie już do mnie - pomyślałem.

Moje serce nadal biło szybko, łomotało coraz bardziej, jak chińskie bębny. Jak to się stało, że byłem tutaj osiem dni?

- Jaki mamy dzisiaj dzień miesiąca?

- Trzeci października.

- Dawała mi pani lekarstwa? Co pani mi zrobiła? Przez chwilę zawahała się.

- Dostaje pan morfinę jako środek przeciwbólowy - powiedziała.

- Co jeszcze? Co jeszcze mi pani dała?

- Nic. - Znowu spojrzała na przycisk dzwonka alarmowego. - Lekarz już idzie. Proszę zachowywać się spokojnie, w przeciwnym wypadku zaaplikuje panu środki uspokajające.

Wyszła. I już nie powróci - pomyślałem. Gdy zamykała drzwi, zauważyłem na zewnątrz policjanta w mundurze, siedzącego na krześle i prostującego nogi, jakby tkwił tam od dłuższego już czasu.

Osunąłem się na poduszkę, poczułem silny zapach aseptycznych bandażów i zaschłej krwi. Podniosłem rękę, spojrzałem na bandaż, usiłując lekko poruszyć niewidocznym palcem. Jak to się stało, że nic nie pamiętam?

Nigdy niczego nie zapomniałem, zawsze pamiętałem wszystko do najdrobniejszych szczegółów. Gromadziłem wspomnienia, jak skąpiec gromadzi złoto. Zachowywałem w pamięci każdy szczegół dopóty, dopóki miał dla mnie jakąkolwiek wartość.

Nie patrzę na rzeczy w całkowitym oderwaniu, jak na osobne klatki filmu. Łączę je, splatam, podobnie jak pajak nitki sieci, wiążę elementy w całość. Dlatego mogę cofnąć się pamięcią, przypomnieć sobie szczegóły dotyczące przestępstw sprzed pięciu, dziesięciu i piętnastu lat. Pamiętam je tak wyraźnie, jakby wydarzyły się wczoraj. Nazwiska, daty, miejsca przestępstw, świadków, sprawców i ofiary - mogę je wywołać z pamięci, chodzić tymi samymi ulicami, prowadzić dokładnie te same rozmowy co przed laty, wysłuchiwać tych samych kłamstw.

Jednakże teraz po raz pierwszy wyleciało mi z pamięci coś naprawdę ważnego. Nie pamiętam, co się stało i w jaki sposób znalazłem się w szpitalu. W mojej pamięci pojawiła się czarna dziura jak ciemna plama na rentgenowskim zdjęciu klatki piersiowej. Widziałem te ciemne plamy na kliszy. Moja pierwsza żona zmarła na raka. Czarne dziury wchłonęły wszystko, całe jej życie.

Po dwudziestu minutach zza przepierzenia wyłonił się doktor Bennett. Pod białym lekarskim fartuchem miał dzinsy, koszulę i krawat.

- Komisarzu Ruiz, witamy w świecie żywych ludzi i wysokich podatków.

Mówił z akcentem charakterystycznym dla absolwentów elitarnych szkół publicznych i miał fircykowaną grzywkę Hugh Granta, opadającą na czoło niczym serwetka na udzie.

Świecąc latarką w moje oczy, zapytał:

- Może pan poruszać palcami?

- Tak.

- Żadnego klucia, bólu?

- Nie.

Ściągnął kołdrę i dotknął prawej stopy.

- Czuje pan ten dotyk?

- Tak.

- Wspaniale.

Wyjął z ramki kartę pacjenta i szybkim ruchem ręki złożył na niej podpis.

- Nic nie pamiętam - powiedziałem.

- O okolicznościach wypadku? - zapytał.

- A to był wypadek?

- Pojęcia nie mam. Zosta! pan postrzelony - odparł.

- Kto do mnie strzelał?

- Nie pamięta pan?

- Nie.

Rozmowa niczego nie wyjaśniała.

Doktor Bennett z długopisem w zębach wziął krzesło, odwrócił je, usiadł przodem do oparcia, ręce położył na poręczy.

- Strzelano do pana. Jeden pocisk przeszedł tuż nad mięśniami smukłym panu prawej nogi i wychodząc, zrobił dziurę o średnicy kilku centymetrów. Przebił skórę, warstwę tłuszczu, mięsień środkowej części kanału odbytu, środkowy nerw udowy, mięsień czworoboczny uda, mięsień dwugłowy, mięsień pośladkowy, zanim wyszedł na zewnątrz. Rana zewnętrzna, spowodowana wyjściem pocisku, zrobiła na nas o wiele większe wrażenie. Sprawiała wyrwę o średnicy dziesięciu centymetrów. W tym miejscu skóra po prostu wyparowała.

Był pod wrażeniem tej specjalistycznej relacji medycznej. Zagwizdał.

- Kiedy dotarliśmy do pana, wyczuliśmy jeszcze słabe tętno, lecz bardzo się pan wykrwawił. Potem przestał pan oddychać. Wydawało się, że już pan nie żyje, ale w końcu udało się nam pana reanimować.

Kciukiem i palcem wskazującym pokazał, jak niewiele brakowało do śmierci.

- Kula przeszła bardzo blisko tętnicy udowej. - Patrząc na jego palce, z trudnością dostrzegłem tę mikroskopijną odległość. - Gdyby uszkodziła tętnicę, w ciągu trzech minut wykrwawiłby się pan na śmierć. Poza zajęciem się raną od pocisku musieliśmy robić wszystko, aby nie nastąpiło zakażenie. Był pan w bardzo zanieczyszczonym ubraniu. Bóg jeden wie, jak długo przebywał pan w wodzie. Dostał pan kroplówkę i antybiotyki. Komisarzu, jest pan po prostu szczęściarzem.

Żartuje? Jak wiele szczęścia trzeba, aby zostać postrzelonym? Podniosłem dłoń.

- A co z moim palcem?

- Został ustrzelony, tuż nad pierwszym knykciem. Chudy stażysta wyjrzał zza zasłony.

Na jego widok doktor

Bennett wydał z siebie dyskretny pomruk rozpoznawalny tylko przez podwładnego.

Wstał i z rękami w kieszeniach swego białego fartucha zapytał:

- To wszystko?

- Dlaczego nic nie pamiętam?

- Nie wiem. To naprawdę nie jest moja dziedzina. Trzeba przeprowadzić badania.

Muszą zrobić tomografię komputerową lub rezonans magnetyczny, aby wykluczyć uszkodzenie czaszki bądź krwotok wewnętrzny. Powiadomię neurologa.

- Doskwiera mi ból nogi.

- To dobrze, noga powoli zdrowieje. Będzie pan potrzebował chodzika albo kul. Fizjoterapeuta powie panu, w jaki sposób wzmocnić tę nogę. - Strzelił palcami i odwrócił się, aby wyjść. Po chwili powiedział: - Komisarzu, przykro mi z powodu zaniku pańskiej pamięci, ale niech pan dziękuje Bogu, że żyje.

Wyszedł, pozostawiając zapach płynu po goleniu oraz wrażenie poczucia wyższości. Dlaczego chirurdzy otaczają się nimbem panów świata? Przecież wiem, że miałem szczęście i powinienem żywić wdzięczność. Być może, gdybym zdołał zapamiętać, co się wydarzyło, odniósłbym się do wyjaśnień doktora Bennetta z większym zrozumieniem.

A więc powinienem nie żyć. Zawsze podejrzewałem, że czeka mnie nagła śmierć. Nie jestem wielkim ryzykantem, lecz mam skłonności do chodzenia na skróty, co zwiększa ryzyko. Większości ludzi śmierć tylko raz zagląda w oczy. Mnie los dał drugą szansę. Biorąc pod uwagę trzy rozwody, trzy kolejne żony, sądzę, że dostałem od życia więcej, niż miałem prawo oczekiwać. (Z całą pewnością zrezygnowałbym z ponownego posiadania trzech żon, gdyby ktoś chciał mi je przywrócić).

Przyszła znowu moja irlandzka pielęgniarka. Ma na imię Maggie i darzy mnie budzącym zaufanie uśmiechem, jakiego uczą w szkołach pielęgniarskich. Przyniosła miskę z ciepłą wodą i gąbkę.

- Lepiej się pan czuje?

- Przykro mi, że panią wystraszyłem.

- Nic się nie stało. Czas na kąpiel.

Maggie ściąga ze mnie kołdrę, ja zaś podciągam ją pod brodę.

- Proszę się nie krępować, jestem pielęgniarką, niczego pan tam nie ma, czego bym

już nie widziała - mówi.

- Ośmielałam się mieć odmienne zdanie. Dość dobrze pamiętam, jak wiele kobiet bawiło się widokiem starego jednookiego Johnniego. Chyba pani nie siedziała wraz z nimi w tylnym rzędzie w Shepherd Bush Empire podczas koncertu więźniów w 1961 roku? Nie sądzę, aby pani była jedną z nich.

- Jednooki Johnnie?

- Najstarszy z moich przyjaciół.

Potrząsnęła głową i spojrzała na mnie współczująco. Za nią zauważyłem dziwną postać - niskiego, krępego mężczyznę, całkowicie pozbawionego szyi, o świeżym zarostcie. Był to Campbell Smith, główny komisarz, człowiek o żelaznym uścisku dłoni i bezbarwnym uśmiechu. Był w służbowym garniturze ze srebrnymi wypolerowanymi guzikami oraz w koszuli z tak wykrochmalonym i usztywnionym kołnierzykiem, że istniała obawa, iż poderżnie sobie gardło.

Wszyscy utrzymywali, że lubią Campbella - nawet jego wrogowie - lecz niewielu chciało go widywać. Ja także nie chciałem, a już na pewno nie dzisiaj! O dziwo, pamiętałem go. Był to dobry znak.

- Chryste, Vincent, ale napędziłeś nam strachu! - ryknął. - Chwilami nie dawałeś znaku życia. Modliliśmy się za ciebie, wszyscy w komendzie policji. Widzisz te kwiaty i listy z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia?

Odwrociłem głowę i spojrzałem na stół pełen kwiatów i owoców.

- Ktoś do mnie strzelał - powiedziałem z wahaniem.

- Tak - odparł, przyciągając sobie krzesło. - Musimy wiedzieć, co się stało.

- Nie pamiętam - odparłem.

- Nie widziałeś ich?

- Kogo?

- Ludzi na tej łodzi motorowej.

- Jakiej łodzi? - Spojrzałem na niego osłupiały. Nagle podniósł głos.

- Unosiłeś się na wodzie Tamizy, strzelano do ciebie, a kilometr od miejsca, gdzie cię znaleziono, natrafiliśmy na łódź, cały jej pokład był zakrwawiony, przypominała ubojnię. Co się tam stało?

- Nie pamiętam - odparłem.

- Nie pamiętasz tej masakry?

- Nie pamiętam tej pieprzonej łodzi!

Campbell pozwolił sobie na całkowitą szczerłość, nie udawał żadnej życzliwości.

Chodził po pokoju, zaciskał pięści i starał się opanować.

- Vincent, to niedobrze, to nie wygląda ładnie. Zabiłeś kogoś?

- Dzisiaj?

- Nie kpij ze mnie. Użyłeś broni? Podpisałeś w magazynie broni, że bierzesz pistolet.

Czy mamy szukać ciała?

Ciał? A więc i to wchodzi w rachubę? Sfrustrowany Campbell palcami przeczesuje włosy.

- Nie mogę ci powiedzieć, jakie bzdury już wygadują. Przeprowadzone będzie szczegółowe dochodzenie. Komendant policji domaga się wyjaśnień. Dziennikarze będą mieli sporą gratkę. Na łodzi znaleziono ślady krwi trzech ludzi, w tym także twojej. Ekspertyzy zakładu medycyny sądowej potwierdzają, że co najmniej jedna z tych osób musiała umrzeć. Znaleziono szczątki mózgu i czaszki.

Ściany pokoju wydają się osuwać i kołysać. Być może jest to działanie morfiny i szpitalnego powietrza. Jakże mógłbym o czymś takim zapomnieć?

- Co robiłeś na tej łodzi?

- Musiała to być jakaś akcja policyjna...

- Nie! - oświadczył ze złością. Znikły wszelkie pozory przyjaźni i życzliwości. - Nie wykonywałeś żadnego zadania. Nie była to akcja policyjna. Robiłeś coś na własną rękę.

Rozpoczęliśmy w dawnym stylu grę racji i prestiżu. Rozegram ją na własną rękę. Być może, nigdy już nie zdarzy się taka okazja. Cała nadzieja w morfinie. Boże, to ona dodaje mi sił.

Campbell opadł w końcu na krzesło, wziął kiść winogron z brązowej torebki leżącej na stoliku obok łóżka.

- Opowiedz o ostatniej rzeczy, jaką pamiętasz - powiedział. Siedzieliśmy w milczeniu, a ja usiłowałem przypomnieć sobie cokolwiek.

Przychodziły mi na myśl różne fragmenty mniej lub bardziej wyraźne: żółta pływająca boja, Marilyn Monroe...

- Pamiętam, że zamawiałem pizzę.

- To wszystko?

- Przykro mi - odparłem.

Patrząc na rękę owiniętą bandażem, dziwiłem się, że swędzi mnie palec, którego już nie mam.

- Nad czym wówczas pracowałem? - zastanawiam się głośno.

Campbell wzruszył ramionami.

- Miałeś wolne - powiedział.

- Dlaczego?

- Potrzebowałeś odpoczynku.

Kłamię. Myślę, że czasami zapomina, jak daleko wstecz sięgamy myślą. W szkole policyjnej w Bramshill ćwiczyliśmy pamięciowe odtwarzanie minionych rzeczy i zdarzeń. Przed trzydziestu pięciu laty podczas przyjęcia grillowego przedstawiłem Campbellowi jego przyszlą żonę Maureen. Nigdy mi tego nie wybaczyła. Nie wiem, co bardziej ją rozzłościło - moje trzy kolejne małżeństwa, czy też to, że wcisnąłem jej Campbella.

Od dawna już nie nazywał mnie swoim kolegą, a odkąd został głównym komisarzem, nie wypiliśmy razem ani jednego piwa. To dzisiaj już inny człowiek, ani lepszy, ani gorszy, po prostu inny.

Wypluł do ręki pestkę winogronową.

- Vincent, zawsze myślałeś, że jesteś lepszy ode mnie, lecz ja otrzymałem awans o wiele wcześniej niż ty.

Byłeś podlizuchem.

- Wiem, że myślisz, iż podlizuję się. (Zgadywał moje myśli). Byłem po prostu bystrzejszy. Nawiązałem kontakty z odpowiednimi ludźmi, wykorzystałem system właściwych układów, zamiast z nim wojować. Przed trzema laty, kiedy miałeś szansę, mogłeś przejść na emeryturę. Nikt by o tobie źle nie pomyślał. Urządzilibyśmy ci wspaniałe pożegnanie. Mógłbyś sobie jakoś ułożyć życie, grać w golfa i nawet, być może, uratować małżeństwo.

Czekałem, aby coś powiedzieć, lecz on patrzył na mnie z zadartą głową.

- Vincent, nie masz nic przeciwko temu, abym podzielił się z tobą pewnym spostrzeżeniem? - Nie czekał na moją reakcję. - Biorąc pod uwagę to, co się wydarzyło, robisz dobrą minę do bardzo złej gry, ale obserwując ciebie, odnoszę wrażenie, że... no cóż... jesteś człowiekiem pogrążonym w głębokim smutku, lecz czasami jest w tobie coś jeszcze, jakaś niepoohamowana złość.

Poczułem się głęboko zażenowany.

- Niektórzy szukają pociechy w religii, inni w rozmowie z bliźnimi. Wiem, że ty nie gustujesz w tym. Popatrz na siebie! Ty nawet rzadko widzisz się z własnymi dziećmi. Prowadzisz życie samotnika. Teraz robisz głupstwa i niszczysz swą karierę zawodową. Nie mogę ci już pomóc. Powiedziałem, zostaw tę sprawę w spokoju.

- Niby jaką sprawę mam zostawić w spokoju? - zapytałem.

Nie odpowiedział. Wziął natomiast kapelusz i zaczął polerować jego obręb.

Oczekiwałem, że powie mi, co ma na myśli, jednakże wyszedł z pokoju już bez słowa. Słyszałem jego kroki na korytarzu.

Znikły także moje winogrona. Na brązowym papierze leżały tylko łądygi, przypominające konary umarłych drzew. Zauważyłem, że przyniesione kwiaty zaczynają więdnąć. Begonie i tulipany traciły płatki, jak amatorzy tańca odchudzającego tracą wagę. Płatki opadały i pokryły blat stołu. Pomiedzy łądygami kwiatów zauważyłem w srebrnej otoczce białą kartkę. Nie mogłem przeczytać napisanych tam słów.

Jakiś łobuz strzela! do mnie! - pomyślałem. Ten fakt powinien utkwić w mojej pamięci. Powinienem go głęboko przeżywać, jak ci poszkodowani w wypadkach, lamentujący i roztkliwiający się nad sobą uczestnicy programów telewizyjnych, korzystający z porad adwokatów zabiegających w sądzie o wysokie dla nich odszkodowanie za okaleczenia i poniesione szkody. Niestety, nie pamiętam niczego, niezależnie od tego, jak bardzo chciałbym sobie przypomnieć cokolwiek z okoliczności tego tragicznego wydarzenia.

Jest rzeczą dziwną, że w mojej pamięci pojawiają się obrazy będące jedynie tworem mojej wyobraźni. Pamiętam na przykład sylwetki na tle jasnych świateł; zamaskowanych ludzi z plastikowymi kapturami na głowach, zajętych rozmową o samochodach, programach emerytalnych i wynikach meczów piłki nożnej. Oczywiście, mogły to być przedśmiertne majaki. Widziałem przedsionek piekła, pełen chirurgów.

Być może, jeżeli rozpocznę od przypomnienia sobie najprostszych wydarzeń, pojawią się wkrótce myśli, które przywrócą mi pamięć tego, co się owej tragicznej chwili wydarzyło. Wpatrując się w sufit, w milczeniu przeliterowałem swoje nazwisko: Vincent Yanko Ruiz; urodzony 11 grudnia 1945 roku. Jestem komisarzem z wydziału dochodzeniowo-śledczego policji londyńskiej i szefem grupy operacyjnej zajmującej się ciężkimi przestępstwami. Mieszkam przy ulicy Rainville w Fulham...

Zwykłem mawiać, że zapłacę dużo za to, by wiele z mego życia zapomnieć. Teraz niczego nie pragnę tak jak odzyskania pamięci.

Znałem jedynie dwóch ludzi, którzy zostali postrzeleni. Jeden to kolega ze szkoły policyjnej, postrzelony podczas ćwiczeń. Nazywał się Angus Lehmann i zawsze i wszędzie chciał być pierwszy: pierwszy podczas egzaminów, pierwszy w barze z kuflem piwa i pierwszy przy awansach...

Przed kilkoma laty dowodził atakiem na melinę w Brixton, gdzie produkowano narkotyki. Pierwszy do niej wtargnął. Dostał w głowę serię z automatu. Jest to jakaś życiowa przestroga.

Drugim był farmer mieszkający w naszej dolinie, nazywał się Bruce Curley.

Wyskakując przez okno sypialni w pogoni za kochankiem żony, postrzelił się w nogę. Bruce to wielki grubas, miał szare włosy okalające uszy, a pani Curley, jego żona, kulila się ze strachu niczym pies, ilekroć podniósł na nią rękę. Szkoda, że nie postrzelił się w głowę.

Podczas szkoleń policyjnych chodziliśmy na strzelnicę. Instrukтором był Geordie, który miał głowę niczym kula bilardowa. Naraziłem mu się od pierwszego dnia, ponieważ zasugerowałem, że najlepszym sposobem na utrzymanie rewolweru w absolutnej czystości jest noszenie go w prezerwatywie.

Podczas ostrego strzelania staliśmy na strzelnicy, opowiadając różnego rodzaju pierdoły. Geordie pokazał nam plakat na linii ognia. Była to sylwetka przykucniętego przestępcy z pistoletem. Na sylwetce były dwa białe punkty: jeden w okolicy serca, drugi na głowie.

Geordie wziął pistolet i kucając, oddał sześć strzałów w odstępie kilku sekund. Wszystkie pociski trafiły w górną część sylwetki.

Wyjmując z pistoletu opróżniony magazynek, powiedział:

- Nie oczekuję, aby ktokolwiek z was oddał tak celne strzały, ale postarajcie się przynajmniej trafić w tę pieprzoną tarczę. Kto pierwszy?

Nie było chętnych.

- To może ty, chłopcze z pomysłem prezerwatywy. Wszyscy wybuchli śmiechem.

Wystąpiłem i podniosłem pistolet do strzału. Było mi przykro, że trzymanie pistoletu w ręce sprawia mi taką rozkosz. Instruktor powiedział:

- Nie tak, miej oczy otwarte. Kucnij, odliczaj i pociągaj za spust.

Zanim skończy! mówić, oddałem strzały, usłyszałem huk i poczułem, jak pistolet kopnął mnie w dłoń i coś szarpnęło wnętrznościami. Sylwetka przestępcy zakolysała się. Sześć pocisków trafiło niemalże w jedno miejsce, robiąc dziurę w tarczy.

- Rozwalił tego dupka - powiedział ktoś ze zdziwieniem. Nie spojrzałem na twarz instruktora. Odwróciłem się i sprawdziłem magazynek, zabezpieczyłem pistolet i zdjąłem słuchawki.

- Nie trafiłeś - powiedział tryumfalnie.

- Jeżeli pan tak uważa - odparłem.

Obudziłem się nagle i dopiero po chwili serce przestało mi łomotać w piersi. Spojrzałem na zegarek, nie chodziło mi o czas, chciałem ustalić dzień tygodnia i miesiąc. Chciałem się upewnić, czy nie spałem za długo i nie straciłem zbyt wiele czasu.

Minęły dwa dni, odkąd odzyskałem świadomość. Przy moim łóżku siedział jakiś człowiek.

- Nazywam się Wickham - rzekł, uśmiechając się. - Jestem neurologiem.

Przypominał jednego z lekarzy występujących w popularnym programie telewizyjnym.

- Kiedyś widziałem pana w meczu rugby, grającego w barwach klubu Harlequin przeciwko London Scottish - powiedział. - Gdyby nie odniesione obrażenia, klub dzięki panu byłby zwycięzcą roku. Trochę grałem w rugby.

- Naprawdę? Na jakiej pozycji?

- Poza polem środkowym.

Domyśliłem się, że podczas meczu zaledwie dwukrotnie miał piłkę, lecz nadal wydaje mi się, że przy przyłożeniu mógłby zdobyć punkty.

- Są wyniki rezonansu magnetycznego mózgu - oznajmił, otwierając teczkę. - Nie ma żadnych śladów uszkodzenia czaszki, nie ma tętniaka bądź wylewu krwi do mózgu. - Spojrzał na swoje notatki. - Chciałbym przeprowadzić badania neurologiczne, aby ustalić, czego pan nie pamięta. Odpowie pan na kilka pytań dotyczących strzałów.

- Nie pamiętam strzałów.

- Niemniej jednak chciałbym, aby pan udzielił mi odpowiedzi. Nawet gdyby miały tylko charakter przypuszczeń. Nazywamy to próbą wymuszonego wyboru. Musi pan bowiem dokonać wyboru.

- Chyba rozumiem, lecz nadal nie widzę powodu, dla którego miałbym odpowiadać na pytania.

- Ilu ludzi było na łodzi?

- Nie pamiętam. Wickham nie ustępuje.

- Musi pan dokonać wyboru odpowiedzi.

- Czterech.

- Czy była pełnia księżyca?

- Tak.

- Czy łódź nazywała się „Charmaine”?

- Nie.

- Ile miała silników?

- Jeden.

- Czy była ukradziona?

- Tak.

- Czy silnik pracował?

- Nie.

- Byliście zakotwiczeni, czy dryfowaliście?

- Dryfowaliśmy.

- Miał pan przy sobie broń?

- Tak.

- Czy użył pan jej?

- Nie.

To śmieszne! Zastanawiałem się, na ile pożyteczne są tego rodzaju pytania i odpowiedzi.

Nagle mnie olśniło. Sądzą, że tylko udaję zanik pamięci. Nie chodzi o to, co pamiętam; sprawdzają, czy potwierdzą się objawy utraty pamięci. Zmuszają mnie do wyboru odpowiedzi, aby ustalić, jaki procent moich odpowiedzi jest poprawny. Jeżeli mówię prawdę, należy przypuszczać, że poprawna jest połowa moich odpowiedzi. Wszystko, co wyraźnie wykracza poza pięćdziesiąt procent w górę lub w dół, oznacza z mojej strony próbę „wpływaną” na wyniki badań i rozmyślne podawanie prawdziwych lub fałszywych odpowiedzi.

Dla osoby z utratą pamięci szansa udzielenia dziesięciu poprawnych odpowiedzi na pięćdziesiąt nie przekracza pięciu procent. Na tyle znam się na statystyce, aby wiedzieć, o co im chodzi.

Wickham robi notatki. Nie ulega wątpliwości, że analizuje rozsiew moich odpowiedzi - szuka wzoru, który wskazałby na coś więcej niż tylko przypadkowość odpowiedzi.

Zapytałem:

- Kto sformułował te pytania?

- Nie wiem - odparł.

- Proszę zgadnąć - powiedziałem. Spojrzał na mnie.

- No, doktorze, tak lub nie? Mogę zgadywać. Czy jest to test, który ma ustalić, czy udaję utratę pamięci?

- Nie wiem, co pan ma na myśli - odparł, jękając się.

- Jeżeli ja się domyślam, to pan również. Kto panu zlecił to zadanie? Wydział do spraw wewnętrznych czy też Campbell Smith?

Wstał, wziął notatnik pod pachę i skierował się do drzwi. Dałbym wiele, aby spotkać go na boisku. Unurzałbym go w błocie.

Powoli, z pewnym trudem spuściłem nogi z łóżka. Podłoga jest zimna i nieco lepka. Zmagając się z bólem, oparłem się na kulach.

Powinienem korzystać z chodzika na kołach, lecz wstydzę się. Nie będę wędrował po

szpitalu, używając stalowej klatki jak jakiś zniedołężniały staruszek, stojący w kolejce na poczcie. Zajrzałem do szafki z ubraniami. Była pusta. Wiem, że wygląda to na paranoję, lecz podejrzewam, że nie o wszystkim mi mówią. Ktoś musi przecież wiedzieć, co robiłem na rzece. Ktoś słyszał strzały lub widział coś. Dlaczego nie znaleziono ciała?

Widzę, że w korytarzu Campbell rozmawia z Wick-hamem. Towarzyszą im dwaj detektywi. Jednego z nich poznaję: John Keebal. Pracowałem z nim, zanim go przeniesiono do oddziału zwalczającego korupcję, zwanego oddziałem duchów.

Keebal to jeden z tych policjantów, którzy wszystkich gejów uważają za manipulatorów i krętaczy. Keebal to hałaśliwy bigot, ma obsesję na punkcie swojej profesji. Kiedy „Mar-chioness” poszła na dno Tamizy, Keebal wykonał przed południem kilkanaście telefonów, informując rozmówców, że ich dzieci zatonęły. On zawsze wie, kiedy i co powiedzieć, a także kiedy należy milczeć. Taki facet nie jest zepsuty do szpiku kości.

- Czy wiesz, dokąd idziesz? - zapytał Campbell.

- Potrzebuję nieco świeżego powietrza - odparłem. Keebal wtrącił się.

- Rozumiem, chodzi o zapach mojej osoby - powiedział. Wszedłem między nich i skierowałem się do windy.

- Nie może pan opuścić szpitala - powiedział Wickham. - Co kilka dni musi pan mieć zmieniany opatrunek, musi pan także brać środki przeciwbólowe.

- Proszę mi je dać, będę zażywał. Campbell chwycił mnie za ramię.

- Nie bądź głupcem. Dostałem dreszczy.

- Czy znaleźliście kogoś? - zapytałem. - Jakies ciała?

- Nie - odparł.

- Wiesz, że nie udaję. Naprawdę nic nie pamiętam.

- Wiem - rzekł. Odprowadził mnie na bok.

- Znasz zasady postępowania w policji. Wydział do spraw wewnętrznych będzie musiał całą sprawę zbadać - powiedział.

- Co tu robi Keebal? - zapytałem.

- Chce z tobą porozmawiać.

- Potrzebuję adwokata?

Campbell zaśmiał się, ale nie był to śmiech dający mi poczucie pewności. Zanim zdążyłem zastanowić się nad swoją sytuacją, Keebal zaprowadził mnie korytarzem do szpitalnej poczekalni - surowego, pozbawionego okien pomieszczenia z kanapami w kolorze jaskr awopomarańczowym i plakatami przedstawiającymi ludzi tryskających zdrowiem. Rozpiął marynarkę, usiadł i czekał, aż obniżą kule.

- Słyszałem, że niemalże wpadłeś na kostuchę - powiedział.
- Zaproponowała mi miejsce z pięknym widokiem - odparłem.
- Odrzuciłeś propozycję?
- Nie przepadam za podróżami.

Następne dziesięć minut paplaliśmy o wspólnych znajomych, starych czasach, kiedy pełniliśmy służbę w zachodniej części Londynu. Kiedy zapytał o moją matkę, powiedziałem, że mieszka w osiedlu emerytów.

- Niektóre z nich są dosyć drogie - zauważył.
- Tak.
- Gdzie teraz mieszkasz? - zapytał.
- Właśnie tutaj - odparłem.

Podano kawę, a on nadal gadał. Mówił, co myśli o tym, że wszędzie jest coraz więcej broni, że mamy do czynienia z epidemią przemocy i falą coraz bardziej bezsensownych przestępstw. Policjanci stali się teraz zarówno celami przestępców, jak i kozłami ofiarnymi. Wiem, do czego zmierza. Wciskając tę gadkę, chce mnie przekonać, że dobrzy faceci powinni zwrzeć szeregi i trzymać się razem.

Keebal należy do tych policjantów, którzy w swym postępowaniu kierują się etyką szlachetnego wojownika, w przeciwieństwie do reszty społeczeństwa. Podobnie jak politycy, mówią o konieczności wypowiedzenia wojny przestępczości, terrorystom i przybierają pozę żołnierzy walczących o bezpieczeństwo na ulicach.

- Ruiz, ile razy ryzykowałeś życie? Czy sądzisz, że tym gnojkom zależy na tobie? Lewica uważa nas za świnie, prawica za nazistów. Sieg Sieg kwik! - Podniósł prawą rękę w nazistowskim pozdrowieniu.

Wpatrywałem się w jego sygnet na małym palcu i myślałem o Orwellowskim „Folwarku zwierzęcym”. Keebal jest w swoim żywiole.

- Och, nie żyjemy w idealnym świecie, nie mamy w policji idealnych ludzi, co? Lecz czego od nas oczekują? Nie mamy wszystkiego, co jest nam potrzebne do służby, ale zmagamy się z systemem, który szybciej wypuszcza przestępców na wolność, niż my zdołamy ich schwytać. I te wszystkie mięczaki i ci wrażliwcy z New Age zachowują się tak, jakby zapobieganie przestępstwom nie miało dla nas żadnego znaczenia. Nic nie robią, aby uchronić przed przestępstwem biedne, zabłąkane dzieci.

Przed chwilą brałem udział w konferencji i jakiś dupek, kryminolog z amerykańskim akcentem, obwieścił zebranym, że policjanci nie mają wrogów. Wrogiem policjantów nie są przestępcy, lecz przestępstwa - powiedział. - Jezus by się rozplakał. Czy słyszałeś

kiedykolwiek coś równie głupiego? Musiałem się powstrzymać, aby facetowi nie dać w mordę.

Keebal pochylił się nieco w moją stronę. Jego oddech pachniał orzeszkami ziemnymi.

- Nie winię policjantów za brutalność, kiedy są wkurzeni. I mogę ich zrozumieć, kiedy w pewnych sytuacjach mają zbyt długie ręce, dopóki nie parają się handlem narkotykami i nie szkodzą dzieciom, no nie? - Położył na moim ramieniu rękę. - Mogę ci pomóc. Po prostu powiedz, co się wydarzyło owej nocy.

- Nie pamiętam.

- Czy jest więc rzeczą słuszną, abym zakładał, że nie potrafisz zidentyfikować osoby, która do ciebie strzelała?

- Miałbyś rację, zakładając taką sytuację.

Moja nieco sarkastyczna odpowiedź do głębi wzburzyła Keebala. Wiedział już, że nie kupię tej bajki o osaczeniu w jednym okopie.

- Gdzie są diamenty?

- Jakie diamenty? Usiłuje zmienić temat.

- Nie, nie. Chwileczkę. Jakie diamenty? - zapytałem. Zaczął krzyczeć.

- Na pokładzie łodzi było pełno krwi! Zabito ludzi, lecz nie znaleźliśmy ciała i nikt nie zawiadomił nas o zaginięciu kogokolwiek. Jak ty to rozumiesz?!

To, co powiedział, skłoniło mnie do myślenia. Ofiary nie były sobie wzajemnie znane bądź uwikłały się w jakiś przestępczy proceder. Chciałem wrócić do sprawy diamentów, lecz Keebal miał swoją koncepcję poprowadzenia rozmowy ze mną.

- Niedawno zapoznałem się z ciekawą statystyką - powiedział. - Trzydzieści pięć procent przestępców uznanych za winnych zbrodni zasłania się utratą pamięci.

Ta cholernie naiwna wiara w statystykę.

- Sądysz, że kłamię? - zapytałem.

- Sądzę, że poddajesz się jakiejś sugestii. Sięgnąłem po kule.

- Keebal, ponieważ znasz odpowiedzi na wszystkie pytania dotyczące nurtujących cię wątpliwości, powiedz mi, co się stało. Oczywiście, ciebie tam nie było. Ciebie nigdy nie ma w takich miejscach. Kiedy policjanci ryzykują życie na ulicach, jesteś w domu, wylegujesz się w łóżku i oglądasz powtórki serialu The Bill. Nie podejmujesz żadnego ryzyka, prześladujesz uczciwych policjantów za przestrzeganie standardów, którym nigdy byś nie podolał. Spieprzaj stąd. Kiedy następnym razem będziesz chciał ze mną pogadać, lepiej przyjdź z bronią, nakazem aresztowania i kajdankami.

Krew napłynęła mu do twarzy. Odchodząc, przeżył się i robił dziwne miny, w końcu

krzyknął do mnie:

- Tylko neurologa potrafiłeś oszukać! Poza tym nikt ci nie wierzy. Będziesz jeszcze żałował, że żyjesz.

Usiłowałem dopaść go na korytarzu, wymachując jedną kulą i wrzeszcząc na całe gardło. Zatrzymało mnie dwóch strażników, chwytając mnie z tyłu za rękę.

W końcu się uspokoiłem, a oni zaprowadzili mnie do pokoju. Maggie dała mi syropu w plastikowym kubku i szybko znalazłem się w objęciach Morfeusza. Białe prześcieradła zamieniły się w arktyczną pustynię.

Śniłem. W tym śnie czułem zapach truskawek i oddech o smaku mięty. Była tam także zaginiona dziewczynka w różowo-pomarańczowym bikini. Nazywała się Mickey Carlyle. Jej postać wbiła się w najgłębsze pokłady mojej świadomości niczym drzewce w dryfujące drewno wyrzucone na brzeg i wypalone słońcem, tak białe jak skóra dziewczynki i włosy na przedramieniu. Dziewczynka ma sto dwadzieścia cztery centymetry wzrostu i szarpie mnie za rękaw, mówiąc: „Dlaczego mnie nigdy nie znalazłeś? Obiecałeś mojej przyjaciółce, że mnie odzujesz”.

Ma nawet głos Sarah i mówi tak samo jak ona wówczas, kiedy prosiła mnie o rożek lodów. „Obiecałeś mi. Powiedziałeś, że dostanę lody, jak tylko powiem, co się wydarzyło”.

Mickey zaginęła niedaleko stąd. Z okna można nawet zobaczyć to miejsce - Randolph Avenue. Stoją przy niej rezydencje wybudowane jako tanie budynki w epoce wiktoriańskiej, gdzie mieszkania kosztują dzisiaj setki tysięcy funtów. Niezależnie od tego, jak długo bym oszczędzał, nie byłoby mnie stać na jakiegokolwiek mieszkanie przy Randolph Avenue.

Mogę dokładnie opisać windę w tym domu, stara metalowa konstrukcja, hałaśliwa i trzęsąca się między piętrami, okalające ją schody obite sukniem. Mickey występowała na tych schodach (ponieważ akustyka była znakomita), urządzając po powrocie ze szkoły zaimprovizowane występy. Głos miała wspaniały, ale sepleniała, bo miała szczelinę między zębami.

Od tego czasu minęły trzy lata. Świat zapomniał o jej historii, gdyż coraz więcej było przestępstw, które napawały ludzi przerażeniem - śmierć królowej piękności, wojna wypowiedziana terrorystom, skandale wśród sportowców... Lecz pamięć o Mickey ciągle pozostawała żywa. Mickey jest nadal. Jest jak duch, który siada naprzeciwko mnie przy każdym posiłku, a ilekroć kładę się spać, kołacze się w mojej głowie. Wiem, że ona żyje. To przekonanie tkwi we mnie głęboko. Wiem, że ona żyje, lecz nie mogę tego dowieść.

Wtargnęła w moje życie przed trzema laty, w pierwszym tygodniu letnich wakacji. Zeszła po schodach, zrobiła osiemdziesiąt pięć kroków i zapadła się w ciemność; rozplynęła

się, przepadła. Jak kamień w wodę. Jak może dziecko zaginąć bez śladu w budynku, który ma jedynie pięć pięter i jedenaście mieszkań?

Przeszukaliśmy każde z nich - każdy pokój, każdą szafkę, każdy zakamarek. Niektóre miejsca przeszukaliśmy wielokrotnie, oczekując, że nagle się pojawi.

Mickey miała siedem lat, blond włosy i zniewalający uśmiech szczerbatej dziewczynki. Ostatni raz widziano ją w kąpielowym stroju bikini, miała opaskę na włosach, czerwone buty z grubego płótna i ręcznik kąpielowy w paski.

Wozy policyjne zablokowały ulicę, a sąsiedzi przeszukali wszelkie możliwe miejsca. Ktoś ustawił stół na kozłach, dzbanek z zimną wodą i parę butelek z syropem owocowym. Rano o dziewiątej temperatura przekroczyła trzydzieści stopni Celsjusza, a w powietrzu unosiła się woń asfaltu i spalin.

Jakiś tłuusty facet w workowatych zielonych szortach robił zdjęcia. Nie rozpoznałem go na pierwszy rzut oka, lecz wiedziałem, że gdzieś go spotkałem. Gdzie?

Nagle mnie olśniło, jak zwykle. Spotkałem go w szkole kościoła anglikańskiego w Cottesloe Park. Był to Howard Wa-vell - dziwny typ, tragiczna postać, młodszy ode mnie o trzy lata. Znowu przeżyłem tryumf pamięci.

Wiedziałem, że Mickey nie opuściła budynku. Miałem świadka. Sarah Jordan miała zaledwie dziewięć lat, ale wiedziała, o czym mówi. Siedziała na schodach, popijając lemoniadę, czesała opadające jej na oczy włosy koloru mysiego. Z jej uszu zwisały maleńkie krzyżyki jak kawałki srebrnej folii.

Miała na sobie strój kąpielowy w kolorach niebieskim i żółtym, białe szorty, brązowe sandały i czapkę baseballową. Białe, nieopalone nogi nosiły ślady zadrapań po ugryzieniu przez owady. Zbyt młoda, aby przywiązywać znaczenie do powabu i ruchów ciała, machała giczołami i opierała policzek o zimną poręcz schodów.

- Jestem komisarz Ruiz - powiedziałem, siadając obok niej. - Opowiedz mi, co się stało.

Westchnęła głęboko i wyprostowała nogi.

- O, tak nacisnęłam dzwonek.

- Jaki dzwonek?

- Pod jedenastką, gdzie mieszka Mickey.

- Pokaż mi, który dzwonek nacisnęłaś - poprosiłem. Ponownie westchnęła i przeszedłszy przez holi, wyszła przez główne drzwi. Domofon na zewnątrz był bardzo blisko drzwi. Palcem wskazała górny przycisk. Zauważyłem, że na paznokciach ma pokruszony lakier.

- Widzi pan, wiem, gdzie jest jedenasty numer mieszkania - powiedziała.

- Oczywiście, że wiesz. Co się później wydarzyło? - zapytałem.

- Mama Mickey powiedziała, że Mickey zaraz zejdzie.

- Czy tak powiedziała, dosłownie?

- Nie. - Marszcząc brwi, pomyślała chwilę. - Nie. Najpierw powiedziała „halo” i ja także powiedziałam „halo”. Potem zapytałam, czy Mickey może zejść i pobawić się ze mną. Miałyśmy opalać się w ogrodzie i polewać się prysznicem. Pan

Murphy pozwalał nam korzystać ze zraszacza. Powiedział, że w ten sposób pomagamy mu nawilżać trawniki.

- Kto to jest pan Murphy?

- Mickey mówi, że to właściciel budynku, ale ja myślę, że jest tylko gospodarzem domu.

- Mickey nie zeszła? - zapytałem.

- Nie.

- Jak długo czekałaś?

- Wieki całe. - Chłodząc się, machała ręką. - Czy mogę prosić o lody?

- Chwileczkę... Czy wówczas, kiedy czekałaś na Mickey, ktokolwiek przechodził?

- Nie.

- Cały czas byłaś na schodach, nawet nie poszłaś się napić...?

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Z nikim w tym czasie nie rozmawiałaś, nie bawiłaś się z żadnym psem?

- Nie.

- Co się dalej działo?

- Zeszła mama Mickey i wyrzuciła śmieci. Zobaczyła mnie i zapytała: „Co tutaj robisz? Gdzie jest Mickey?”. Odpowiedziałam, że czekam na nią. Wówczas powiedziała mi, że Mickey już bardzo dawno zeszła. Jednak ona nie zeszła, ponieważ ja cały czas tam byłam...

- Co zrobiłaś potem?

- Mama Mickey powiedziała, abym zaczekała. Powiedziała, żebym się nie ruszała, usiadłam więc na schodach.

- Czy ktoś przechodził koło ciebie?

- Tylko sąsiedzi z budynku, pomagający szukać Mickey.

- Znasz ich nazwiska?

- Niektóre. - Policzyła na palcach i wymieniła nazwiska. - Czy to jakaś tajemnicza

sprawa? - zapytała.

- Sądzę, że możesz ją tak nazwać - odparłem.

- Dokąd poszła Mickey? - zapytała.

- Kochanie, nie wiem, chcemy ją odnaleźć.

Przybywa profesor Joseph O' Loughlin, aby ze mną porozmawiać. Widzę, jak idzie przez park należący do szpitala, pociągając lewą nogą, jakby była unieruchomiona szyną. Profesorowi nigdy nie zamykają się usta, jest zawsze uśmiechnięty, życzy napotkanym osobom dobrego dnia, rzuca dowcipy, napomyka o własnym sposobie przygotowywania martini. Tylko on potrafi tak pogodnie znosić chorobę Parkinsona.

Jest psychologiem klinicystą i wygląda dokładnie tak, jak byśmy oczekiwali - wysoki i chudy, ma brązowe zmierzwione włosy i jest bardzo roztargniony.

Spotkaliśmy się przed laty podczas śledztwa prowadzonego w sprawie morderstwa, kiedy uznałem go za potencjalnego zabójcę. Okazało się jednak, że sprawcą zabójstwa był jeden z jego pacjentów. Nie sądzę, aby ten niefortunny dla mnie przypadek Joe wykorzystał w swoich wykładach.

Delikatnie zapukał do drzwi, otworzył je i uśmiechnął się z zakłopotaniem. Ma niezwykle szczery wyraz twarzy i nieco wilgotne brązowe oczy jak nowo narodzona foka tuż przed zabiciem.

- Słyszałem, że ma pan kłopoty z pamięcią.

- Kim pan jest, do cholery?

- Bardzo dobrze. Miło mi, że nie utracił pan poczucia humoru.

Uważnie rozejrzał się po pokoju, nie mogąc się zdecydować, gdzie położyć swoją aktówkę. Potem wyjął notatnik, usiadł na krześle, kolanami dotykając łóżka. Kiedy już miał przystąpić do rzeczy, spojrzał na mnie, nic nie mówiąc.

Było tak, jakbym zaprosił go na rozmowę i chciał coś szczególnego powiedzieć.

Tego rodzaju postawa psychiatrów wkurza mnie najbardziej. Stosując taką właśnie metodę, stwarzają atmosferę milczącego niepokoju i domagają się, abyś sam podał w wątpliwość stan swego zdrowia psychicznego. Nie o to mi chodziło. Wiem, jak się nazywam. Wiem, gdzie mieszkam. Wiem, gdzie mam klucze od samochodu i gdzie go zaparkowałem. Jestem po prostu klawy facet.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Jakiś sukinsyn strzelał do mnie.

Nieoczekiwanie jego lewa ręka drgnęła i zaczęła się trząść. Mając tego świadomość, opuścił ją.

- Dokucza Parkinson? - zapytałem.
- Nie jadam już zup w restauracjach.
- Bardzo sprytnie. Jak się miewa Juliannę?
- Wspaniale.
- A dziewczynki?
- Rosną.

Nasze wzajemne stosunki nigdy nie opierały się na grzecznościowych rozmowach i wymianie informacji rodzinnych. Na ogół wpraszałem się do niego na restauracyjny obiad, piłem wino, które on zamawiał, flirtowałem z jego żoną i bezwstydnie wykorzystywałem jego wiedzę zawodową, aby rozwiązywać problemy, z którymi absolutnie nie dawałem sobie rady. Joe zdawał sobie z tego doskonale sprawę, nie dlatego, że jest taki cwany, lecz dlatego, że ja jestem tak bardzo prostolinijny.

Lubię go. I nie mam nic przeciwko temu, że jest typowym pozerem z klasy średniej, człowiekiem, który odebrał dobre wykształcenie. Lubię Juliannę, jego żonę, która nie wiadomo dlaczego uważa, że może mnie raz jeszcze ożenić, ponieważ w moim dotychczasowym postępowaniu nie znajduje nic nagannego.

- Jestem pewien, że rozmawiałeś z moim szefem - powiedziałem.
- Z głównym komisarzem.
- Co o nim sądzisz? Joe wzrusza ramionami.
- Robi wrażenie człowieka bardzo kompetentnego - odpowiada po chwili namysłu.
- No wiesz, mógłbyś coś lepszego wymyślić. Powiedz mi, co tak naprawdę o nim myślisz?

Joe zamruczał pod nosem. Wie, że drę koty z komisarzem.

Odkasznął i zatarł ręce.

- Główny komisarz jest dobrze wygadany zawodowym policjantem, wie, że ma podwójny podbródek i maluje sobie włosy. Jest astmatykiem. Po goleniu używa płynów marki Całym Klein. Jest żonaty, ma trzy córki, które owinęły go całkowicie wokół swoich małych, lecz sprytnych paluszków, należałoby go ozłocić i wygrawerować. Jego panie to wegetarianki. W domu nie jada się mięsa, dlatego korzysta z każdej okazji, aby rozkoszować się daniami mięsnymi w policyjnej stołówce. Czytuje nowele P.D. Jamesa i lubi myśleć, że jest Adamem Dağleishem, aczkolwiek nie pisze wierszy i nie ma zbyt chłonnego umysłu. Ma natomiast nieznośny zwyczaj pouczania wszystkich i żadnej umiejętności słuchania kogokolwiek.

Kiedy skończył opis charakteru głównego komisarza, zagwizdałem z podziwu.

- Zetknąłeś się ostatnio z tym facetem? - zapytałem.

Joe natychmiast poczuł się zażenowany. Niektórzy uznaliby takie zachowanie za element gry w rozmowie towarzyskiej, lecz on zawsze i szczerze robił wrażenie zaskoczonego swoją wiedzą. Mówił konkretnie, nie były to szczegóły brane z powietrza. Mogłem prosić go o komentarz na każdy temat i niezmiennie otrzymywałem szybką i rzeczową odpowiedź. Był świadkiem astmatycznych dolegliwości Campbella, wyczuwał zapach jego płynu po goleniu, obserwował go podczas posiłków i znał zdjęcia jego dzieci...

Te cechy osobowości Joego budziły moje największe obawy. Wydawało się, że potrafi zajrzeć człowiekowi do głowy i czytać jego myśli. Z takimi ludźmi jak on nie należy się zbyt spoufalać, ponieważ pewnego dnia przejrzą cię na wylot.

Joe przegląda wyniki moich badań medycznych - tomografii komputerowej i rezonansu magnetycznego. Zamyka teczkę i pyta:

- Co więc się stało?

- Karabin, pocisk, to, co zawsze w naszej profesji.

- Co było pierwszą rzeczą, jaką zapamiętałeś po odzyskaniu świadomości?

- Ze jestem tutaj.

- A ostatnią przed utratą świadomości?

Nie odpowiedziałem na to pytanie. Przez dwa dni zmagalem się z pamięcią, z chwilą kiedy się obudziłem, zapamiętałem tylko pizzę.

- Jak się teraz czujesz?

- Sfrustrowany, wściekły.

- Ponieważ nic nie pamiętasz?

- Nikt nie wie, co robiłem na rzece. Nie była to operacja policyjna. Działalem sam, a nie jestem samotnym donkiszotem. Nie poddaję się nastrojom jak zwariowany i nieokrzesany punk z tatuażem na piersiach... Traktują mnie jak swojego rodzaju przestępcę.

- Lekarze?

- Policja.

- Może to reakcja na niemożność przypomnienia sobie czegokolwiek. Masz poczucie wykluczenia. Sądzisz, że wszyscy, z wyjątkiem ciebie, znają tajemnicę tego, co się wydarzyło.

- Myślisz, że jestem paranoikiem - powiedziałem.

- To najbardziej powszechny objaw amnezji. Jesteś głęboko przekonany, że ludzie coś skrywają przed tobą.

- Tak, ale nie wyjaśnia to postępowania Keebala. Był u mnie już trzy razy, oskarżał

mnie fałszywie i wysuwał obraźliwe wręcz żądania. Im bardziej stanowczo odmawiam rozmowy z nim, tym silniejszą wywiera na mnie presję.

Joe obraca w palcach długopis.

- Miałem raz do czynienia z pacjentem, trzydziestopięcioletnim mężczyzną, który nigdy nie miał żadnych problemów neurologicznych i psychiatrycznych. Pośliznął się na oblodzonym chodniku, upadł i uderzył głową o płytę. Nie utracił przytomności, nie doznał żadnych obrażeń. Po upadku podniósł się i poszedł dalej...

- Co jest w tej historii dziwnego?

- ...nigdy nie mógł sobie przypomnieć, że upadł. I nie pamiętał także, dokąd wówczas szedł. Absolutnie nie pamiętał, co działo się dwanaście godzin przed upadkiem. Jednakże wiedział, jak się nazywa, rozpoznał żonę i dzieci. To się nazywa całkowita przejściowa niepamięć. Z pamięci zupełnie wymazane zostało wszystko, co wydarzyło się w ciągu wielu godzin lub dni. Nadal możliwa jest samoidentyfikacja takiej osoby. Cierpiący na całkowitą przejściową niepamięć nadal zachowuje się normalnie, lecz nie może sobie przypomnieć konkretnego szczegółu lub też czasu, który wypadł mu z pamięci.

- Lecz pamięć wraca, prawda?

- Nie zawsze - odparł.

- Co się stało z twoim pacjentem? - zapytałem.

- Najpierw sądziliśmy, że nie pamięta jedynie okoliczności upadku, lecz potem okazało się, że z jego pamięci ulotniły się także inne wspomnienia. Nie pamiętał pierwszego małżeństwa, domu, który kiedyś wybudował. Nie wiedział nawet, że John Major był premierem.

- A więc w jego przypadku nie wszystko było takie złe. Joe uśmiechnął się.

- Zbyt jeszcze wcześnie, aby orzec, że twoja utrata pamięci ma trwały charakter. Większość podobnych przypadków, o których wiemy, poprzedzał zwykle silny stres fizyczny i emocjonalny. Zostałeś postrzelony, przeżyłeś więc szok. Silne przeżycie seksualne, skok do lodowatej wody może także spowodować szok w organizmie...

- Będę unikał stosunków seksualnych w basenie z zimną wodą.

Mój dowcip nie zrobił na nim wrażenia. Joe kontynuował:

- Podczas traumatycznych przeżyć nasz mózg radykalnie zmienia utrzymującą się dotychczas równowagę hormonów i neuronów - chemicznych przekaźników. Jego zachowanie przypomina nasz sposób na przetrwanie - opór lub ucieczkę. Czasami, kiedy kończy się stan zagrożenia, mózg nadal pozostaje w stanie czujnej gotowości, na wszelki wypadek. Musimy siłą woli przekonać go, że zagrożenie minęło.

- W jaki sposób?

- Prowadzimy rozmowy. Badamy. Wykorzystujemy dawne zapiski, stare zdjęcia, aby ożywić pamięć.

- Kiedy ostatnio mnie widziałeś? - zapytałem nieoczekiwanie.

Przez chwilę rozmyślał.

- Przed czterema miesiącami jedliśmy razem obiad. Julianę nalegała, abys spotkał się z jedną z jej przyjaciółek.

- Redaktorem w wydawnictwie.

- Tak, dlaczego pytasz?

- Wszystkim zadaję podobne pytania. Dzwonię do znajomych i mówię: Cześć, co nowego? To wspaniale. Słuchaj, kiedy mnie ostatnio widziałeś? Tak, to bardzo dawno. Powinniśmy się spotkać...

- I do jakich doszedłeś wniosków?

- Nie mam daru utrzymywania kontaktów z ludźmi.

- Okej, ale to dobra myśl. Musimy znaleźć brakujące ogniwa.

- Nie możesz po prostu poddać mnie hipnozie?

- Nie. Nie pomoże nawet uderzenie obuchem w głowę. Kiedy sięgał po aktówkę, zauważyłem, jak drży jego lewa ręka. Wziął tekturową teczkę i wyjął z niej mały kwadratowy kawałek sztywnego papieru wystrzępionego na bokach. Pokazał mi, mówiąc:

- Znalaziono to w twojej kieszeni. Woda znacznie je uszkodziła.

Podał mi kartonik. Ślina zaschła mi w ustach. Było to zdjęcie Mickey Carlyle.

Miała na sobie szkolny mundurek i uśmiechała się do kamery, jakby śmiała się z czegoś, czego nie możemy zobaczyć, pokazując przy tym szeroką szparę między zębami.

Zamiast zamętu w głowie doznałem przemożnego uczucia ulgi. Przecież nie zwariowałem. To zdjęcie ma naprawdę coś wspólnego z losem Mickey.

- Nie jesteś zaskoczony? - zapytał Joe.

- Nie.

- Dlaczego?

- Pomyślisz, że zwariowałem, lecz miewałem sny związane z tymi wydarzeniami. ży w zespole policjantów zajmujących się ochroną dyplomatów i świadków przestępstw. Być może dlatego jest tutaj, aby mnie chronić.

Kiedy wyjeżdżaliśmy z parku, spojrzała na mnie, sądząc, że ją znam.

- A więc powiedz mi coś o sobie, detektywie posterunkowy. Zmarszczyła brwi i powiedziała:

- Nazywam się Alisha Barba, pełnię służbę w zespole policjantów zajmujących się ochroną dyplomatów.

- Czy spotkaliśmy się kiedyś?

- O tak, był pan moim szefem.

- A to ci dopiero! Podczas utraty pamięci to jedna z trzech najważniejszych rzeczy: możliwość całkowitego zapomnienia miejsca, gdzie ukryło się jajko wielkanocne oraz przyjemne wrażenia, jakich się doznaje, spotykając codziennie nowe twarze, których się rzekomo nigdy przedtem nie widziało.

Po chwili milczenia Ali zapytała:

- A ta trzecia rzecz?

- Muszę schować jajko wielkanocne.

Wybuchła śmiechem. Pstryknąłem ją w ucho, mówiąc:

- Oczywiście, że cię pamiętam. Jesteś Ali Baba, łowczyni złodziei.

Uśmiechnęła się z zażenowaniem.

Pod kurtką zauważyłem kaburę. Ali miała rewolwer MP5 i karabinek automatyczny A2 z dużym zapasem amunicji. Rzecz dziwna, ponieważ niewielu policjantów londyńskiej policji ma prawo noszenia broni.

Jadąc w kierunku południowo-wschodnim do nabrzeży Tamizy, przejechaliśmy obok dworca Wiktorii i budynków rządowych przy Whitehall, minęliśmy parki i ogrody pełne o tej porze urzędników spożywających na trawie lunch, dziewcząt rozkoszujących się słońcem i świeżym powietrzem oraz mężczyzn drzemających na kurtkach podłożonych pod głowy.

Kiedy skierowaliśmy się w stronę nabrzeża Wiktorii, rzuciłem okiem na kamienne brzegi Tamizy. Wody rzeki mieniące się w promieniach słońca wszystkimi kolorami tęczy płynęły dostojnie, mijając mosty i nabrzeżne pomniki, Tower of London, Canary Wharf i Rotherhithe.

Ali zaparkowała samochód na małej uliczce przy stacji Cannon. Jest tam siedemnaście kamiennych schodów, prowadzących do małej pełnej żwiru plaży nadrzecznej, powiększającej się w miarę odpływu wody, lecz gdy się bliżej przyjrzeć, to na plaży więcej jest potłuczonej porcelany, pokruszonej cegły i różnego rodzaju gruzu niż żwiru.

- To w tym miejscu cię znaleźli - powiedział Joe. Szerokim gestem zatoczył ręką łuk na horyzoncie aż do żółtej zardzewiałej boi nawigacyjnej.

- Marilyn Monroe - mruknąłem.

- Przepraszam, nie dosłyszałem - powiedział Joe.

- Nic takiego.

Nad naszymi głowami, po przeciwnej stronie był most i stacja kolejowa, pociągi zatrzymywały się i ruszały.

- Mówią, że utraciłeś około dwóch litrów krwi. Lodowata woda spowolniła procesy metaboliczne w twoim organizmie i to prawdopodobnie ocaliło ci życie. Byłeś jednak na tyle przytomny, że z paska zrobiłeś opaskę uciskową...

- A co z łodzią? - zapytałem.

- Znalaziono ją dopiero dzisiaj rano, dryfowała na wschód od Tower Bridge. Czy przypominasz sobie cokolwiek?

Zaprzeciłem ruchem głowy.

- Owej nocy był przyływ. Poziom wody był o kilkadziesiąt centymetrów wyższy niż teraz. Fala przyływowa przesuwała się z szybkością około pięciu węzłów na godzinę. Biorąc pod uwagę utratę krwi, temperaturę ciała, należy przypuszczać, że do strzelaniny doszło w odległości pięciu kilometrów od tego miejsca, w górnym biegu rzeki...

Pomyślałem sobie, biorąc pod uwagę wszelkie możliwe kalkulacje Joego, że zaczynam rozumieć, do czego zmierza. Próbuje cofnąć się jak najdalej, do wydarzeń, które powinienem zapamiętać.

- Miałeś na spodniach krew wraz ze śladami gliny, osadu rzecznoego, benzenu i amoniaku.

- Czy silnik łodzi nadal pracował? - zapytałem.

- Wyczerpało się paliwo.

- Czy ktoś informował policję o strzałach nad rzeką?

- Nie.

Patrzyłem na brązowe wody rzeki pokryte liśćmi i brudem. Kiedyś była to najbardziej ruchliwa część miasta, pełno tu było bogactwa, wytwornego towarzystwa, niesnasek sąsiedzkich, zadawnionej zazdrości i walki o ocalenie tej części miasta i jego folkloru. Dzisiaj w tym miejscu, w odległości pięciu kilometrów od Tower Bridge, zastrzelono trzech ludzi i nikt tego nie zauważył.

Widzimy niebiesko-białą łódź policyjną. Sierżant ma na sobie pomarańczowy kombinezon, czapkę baseballową i kamizelkę ratunkową na piersiach, co sprawia, że wygląda jak beczka. Podaje mi rękę, ułatwiając wejście do schodni. Ali ma na głowie kapelusz przeciwsłoneczny, jakbyśmy wybierali się na ryby. Uderzają w burtę naszej łodzi fale mijającego nas statku wycieczkowego.

Turyści filmują nas i robią zdjęcia, jakbyśmy stanowili Bóg wie jaką atrakcję. Sierżant dodaje gazu i płyniemy w górę rzeki pod mostem Southwark.

Za każdym zakolem woda płynie szybciej, omywając kamienne brzegi rzeki i boki przycumowanych łodzi. Woda z coraz większą siłą uderza o fundamenty mostu.

Młoda dziewczyna z długimi, czarnymi włosami płynie jedyką. Jest pochylona, a jej spocone ramiona lśnią w słońcu. Śledzę ślad torowy jej łodzi, potem spoglądam na budynki oraz niebo nad nimi. Widzę białe chmurki niczym kredowe punkciki na tle nieboskłonu.

Mijamy wesołe miasteczko. Wydaje się, iż diabelskie koło unosi się w kosmosie zamiast kokietować turystów. Niedaleko dziatwa szkolna siedzi na ławkach, dziewczynki w spódniczkach w szkocką kratę i niebieskich podkolanówkach. Na nabrzeżu Alberta widać uprawiających jogging.

Nie pamiętam, czy wówczas, kiedy się to zdarzyło, noc była jasna, czy była pełnia. Z powodu zanieczyszczonego powietrza i łuny światła rzadko widać gwiazdy nad Londynem. Patrząc w niebo, przeważnie widzisz kilka nikłych punkcików, a czasami na południowym wschodzie możesz zobaczyć Marsa. Podczas pochmurnej nocy niektóre odcinki rzeki, szczególnie w okolicy parków, są pogrążone niemalże w całkowitych ciemnościach. Bramy zamyka się tutaj o zachodzie słońca.

Przed stu laty byli tacy, którzy zarabiali na życie, wydobywając ciała z Tamizy. Wiedzieli o każdych regatach jachtowych, znali każdy wir na rzece i zawsze byli tam, gdzie łodziom groziła wywrotka. Łodzie na cumach i stojące przy brzegu barki rwą główny nurt rzeki na strzałki wodne.

Kiedy z Lancashire przyjechałem do Londynu, przydzielono mnie do policji rzecznej. Zwykle w ciągu tygodnia wydobywaliśmy z wody dwa ciała, głównie samobójców. Byli również naśladowcy samobójców. Stojąc na mostach, godzinami wpatrywali się w otchłań topieli. Rzeka to żywioł, który może pogrzebać wszystkie twoje nadzieje i pokrzyżować ambicje, ale może także cię nie przyjąć i dać ci jeszcze jedną szansę.

Kula, która raniła mnie w nogę, miała wielką szybkość, pochodziła z karabinu snajpera i przebyła długą drogę. Snajper dobrze musiał mnie widzieć lub też miał urządzenie wykorzystujące podczerwień. Mógł znajdować się gdzieś w promieniu kilometra lub o połowę bliżej. Podczas strzału z odległości pięciuset metrów kąt rozproszenia wynosi kilkanaście centymetrów, wystarczająco, aby nie trafić w serce lub głowę.

Nie był to zwyczajny zabójca zawodowy. Niewielu ma takie umiejętności strzeleckie. Większość płatnych zabójców zabija z bliskiej odległości. Zaczajają się, pędzą za samochodem, a na czerwonych światłach oddają serie strzałów przez okno. Ten, który czyhał na mnie, działał inaczej. Wykazał niezwykłą cierpliwość, warował z kolbą przyłożoną do policzka, pieścił spust karabinu... Działanie snajpera przypomina komputerowy system

oddawania strzałów, gdzie można ocenić odległość, szybkość i kierunek wiatru, a także temperaturę powietrza. Ktoś musiał go tego nauczyć, prawdopodobnie ktoś z wojska.

Patrząc na widniejące na horyzoncie zarysy fabryk, dźwigów, bloków mieszkalnych, zastanawiałem się, gdzie zabójca mógł się ukryć. Musiał znajdować się gdzieś nade mną. Nie było łatwe trafienie do celu na wodzie. Wystarczyła mała bryza i lekki ruch łodzi, by spudłował. Każdy strzał, powodując błysk, zdradzał jego pozycję.

Jest odpływ, rzeka kurczy się i zapada. Tu i ówdzie nad powierzchnią wody widać już muł i mewy walczące między sobą o resztki odpadów oraz wystające z wody zbutwiałe pale niczym spróchniałe zęby starca.

Na wodzie profesor czuje się zdecydowanie źle, czego nie można powiedzieć o szalejących na rzece ludziach w szybkich łodziach i na statkach.

- Dlaczego byłeś w tej łodzi? - zapytał.
- Nie wiem.
- Pomyśl.
- Chciałem się z kimś spotkać bądź podążałem za kimś...
- Mając informacje o Mickey Carlyle?
- Może.

Dlaczego ktoś chciałby się spotkać na łodzi? Pomyślałem sobie, że to dziwny wybór miejsca. Jednakże rzeka w nocy, po zakończeniu rejsów wycieczkowych, jest opustoszała. Poza tym stanowi doskonałą drogę szybkiej ucieczki.

- Dlaczego ktoś chciałby cię zastrzelić? - zapytał Joe.
- Może mieliśmy wpadkę lub...
- Lub co?

- Była to operacja, która miała doprowadzić do ujęcia grupy przestępczej. Nie znaleźliśmy żadnego ciała. Może nie o to nam chodziło.

Chryste, jakie to frustrujące! Siłą woli chciałem przeniknąć czaszkę i dotrzeć do szarych komórek, czułem, że tam jest klucz do odzyskania pamięci.

- Chciałbym zobaczyć tę łódź - oświadczyłem.
- Jest w Wapping - poinformował sierżant.
- Jedźmy tam - powiedziałem.

Dodał gazu i łódź ruszyła. Bryzgi wody ochlapały rzęsy Ali podtrzymującej ręką przemoczony kapelusz.

Po dwudziestu minutach, pędząc w dół rzeki, dopłynęliśmy do Tower Bridge, gdzie znajdowały się zabudowania komendy policji rzecznej.

Wycieczkowa łódź motorowa z kabinami „Charmaine” była w suchym doku, podniesiona na drewnianych wspornikach, otoczona rusztowaniami. Na pierwszy rzut oka nie widać było na niej żadnych, nawet najmniejszych uszkodzeń. Sterownia wyłożona polerowanym drzewem i okuciami z mosiądzu. Jednak przy szczegółowych oględzinach można było zauważyć przestrelone iluminatory i dziury od pocisków na pokładzie. Policjanci odgradzili białymi i niebieskimi taśmami barierki, a dziury od pocisków oraz wszelkie ślady mogące ułatwić śledztwo zakreślono białą kredą.

Ali wyjaśniła, w jaki sposób, czternaście godzin po znalezieniu mnie, policja otrzymała wiadomość o ukradzeniu „Charmaine” z przystani Kew w zachodniej części Londynu. Opisała silnik, szybkość łodzi i jej zasięg przy pełnym zapasie paliwa. Doskonale wiedziała, jaką wagę przywiązuję do wszystkich, nawet najdrobniejszych faktów.

Ze sterowni w białym kitlu wyłoniła się policjantka z oddziału SOCO (funkcjonariusze zajmujący się oględzinami, oceną i analizą miejsca przestępstwa). Poszła w kierunku rufy. Zmierzyła pokład od dziobu do rufy, pomiar zweryfikowała teodolitem. Odwróciła się w naszą stronę pod słońce i zasłoniła dłonią oczy, zauważyła sierżanta.

Przedstawiając ją, powiedział:

- To jest Kay Simpson.

Nie miała więcej niż trzydzieści lat, wysoko upięte blond włosy i przenikliwe spojrzenie. Popatrzyła na mnie jak na ducha.

Nieśmiało zapytałem:

- Co pani teraz właściwie robi?

- Analizuję trajektorie pocisków, siłę uderzenia, zboczenie z kursu, cel lotu pocisku, odległość, margines błędu, ślady i rozprysk krwi... - Kiedy zauważyła, że nie nadążamy za nią, zatrzymała się w pół zdania. - Chcę ustalić, jak daleko znajdował się strzelec, jaki był kąt celowania i jak często pudłował.

- Trafił mnie w nogę.

- Tak, lecz mógł celować w głowę, proszę pana. - Dodała „proszę pana”, jakby obawiała się, iż mógłbym poczuć się urażony. - Strzelec użył pocisków o dużej szybkości. Dzisiaj nie są łatwo dostępne na rynku, lecz można je dostać z krajów Europy Wschodniej.

Po chwilowym zastanowieniu spytała:

- Czy mógłby mi pan pomóc?

- W jaki sposób?

- Może pan położyć się w tym miejscu na pokładzie. - Pokazuje na swoje stopy. - Proszę się ułożyć na boku, wyciągnąć nogi, jedną założyć na drugą.

Oddałem kule i pozwoliłem ułożyć się w takiej pozycji, o jaką prosiła.

Kiedy nachyliła się w moją stronę, pojawił się nagle przed moimi oczyma obraz innej kobiety. Pochylając się, musnąłem wargi tej kobiety. Lekki podmuch wiatru sprawił, że obraz ten zniknął. Simpson bierze trójnog, obniża go i patrzy przez pryzmat teodolitu na moje nogi rozłożone na pokładzie. Na moich spodniach powyżej zabandażowanego uda pojawia się czerwony promień.

Nagle owładnął mną porażający lęk, krzyknąłem, aby upadła na pokład.

- Wszyscy na ziemię! - wrzasnąłem. Pamiętam to czerwone światło, ten tańczący strumień czerwonego światła zwiastujący śmierć. Leżałem w ciemnościach, zwijając się z bólu, a wiązka czerwonego światła wędrowała po całym pokładzie, szukając mnie.

Jednakże nikt nie zareagował na mój krzyk. Ten głos przerażenia odezwał się tylko we mnie. Obecni słuchali natomiast wywodów Simpson.

- Pocisk nadleciał z tej strony, tutaj uderzył w udo i utkwiał w deskach pokładu. Uderzając, przebił kość udową, przekręcił się i dlatego wlot rany był tak duży...

Przechodzi kilka kroków i odmierza odległość od barierki do jeszcze jednej dziury po pocisku w pokładzie.

- Od lat ludzie zastanawiają się, czy pomiary ruchu czy też ilości energii kinetycznej są najlepszą metodą ustalenia siły uderzenia pocisku - kontynuuje. - Odpowiedzią może być połączenie pomiaru parametrów obu tych zjawisk w ruchu. Mamy program komputerowy, który pozwala, na podstawie zasadniczych pomiarów, ustalić odległość, jaką przebyła kula. W naszym konkretnym przypadku, zakładając pomyłkę w granicach dwóch procent, sądzimy, że pocisk przebył odległość czterystu metrów. Jeżeli mamy miejsce strzału, możemy odtworzyć trajektorię pocisku i ustalić miejsce, gdzie ukrył się strzelec.

Spojrzała na mnie, jakby spodziewała się, że powinienem mieć dla niej gotową odpowiedź. A ja starałem się opanować emocje, aby uspokoić serce.

- Proszę pana, czy czuje się pan dobrze? - zapytała.

- Dobrze - odparłem. Joe idzie obok mnie.

- Może powinieneś zwolnić - zasugerował.

- Nie jestem inwalidą.

Żałowałem wypowiedzianych słów i chciałem za nie przeprosić.

Simpson pomogła mi wstać.

- Co jeszcze może pani odtworzyć z tego, co się wówczas wydarzyło? - zapytałem.

Pytanie to sprawiło jej przyjemność.

- Okej. To jest miejsce, gdzie najpierw do pana strzelano. Jednakże kula trafiła kogoś

innego i ten ktoś upadł na pana. W pana włosach znaleziono ślady jego krwi i odpryski kości.

Usiadła na pokładzie i przesunęła się do bocznej barierki statku.

- O, tutaj jest najwięcej dziur po kulach. - Wskazała na ślady tuż przy swojej nodze. - Przypuszczam, że cofnął się pan do tego miejsca, szukając schronienia, lecz z boku coraz więcej kul trafiało w pokład. Był pan narażony...

- Przeturlałem się więc przez pokład i schroniłem za sterownię - dodałem szybko.

Joe spojrzał na mnie.

- Pamiętasz?

- Nie, lecz wydaje się to logiczne.

Mówiąc to, zdałem sobie sprawę, że część tej informacji musi być wspomnieniem.

Simpson podeszła do najdalszej części sterowni.

- W tym miejscu stracił pan palec. Chciał pan zajrzeć do środka lub zobaczyć, z jakiego kierunku strzelają. Został pan ciężko raniony. Uczepił się pan palcami półki przy iluminatorze i podniósł się. W tej sekundzie kula przebiła szybę iluminatora i odstrzeliła palec.

Na zewnętrznej stronie ściany sterowni widać zaschłą krew, która wyciekła z rany wylotowej i zboczyła potrzaskane kulami drzewo.

- W łodzi znaleźliśmy dwadzieścia cztery dziury po kulach. Snajper zaś oddał osiem strzałów. Był bardzo opanowany i strzelał celnie - dodała.

- A co wiemy o pozostałych strzałach? - zapytałem.

- Reszta to pociski dziewięć milimetrów - odparła.

Mój pistolet Glock 17 samopowtarzalny, wydany z magazynu policyjnego dwudziestego drugiego września, nie został dotychczas znaleziony. Może Campbell ma rację, może kogoś zastrzeliłem?

Simpson objaśnia swoją hipotezę:

- Sądzę, że za pomocą bosaka, którego ślady są na pana pasku od spodni, został pan przeciągnięty przy rufie przez barierkę. Tutaj pan wymiotował.

- A więc musiałem znajdować się w wodzie, zanim zostałem postrzelony - dodałem.

- Tak - odparła.

Spojrzałem na Joego i wzruszyłem ramionami. Nie pamiętam. Pamiętam tylko krew. Czuję ją jeszcze dzisiaj w ustach, czuję, jak napływa mi do oczu.

Patrzę na Simpson i głos zamiera mi w krtani.

- Powiedziała pani, że ktoś zmarł, czy tak? Musieliście dokonać analizy krwi. Czy była to... mam na myśli... czy mogła to być...? - Nie jestem w stanie wydobyć już ani słowa.

Joe dokończył za mnie pytanie i udzielił także odpowiedzi:

- To nie była Mickey Carlyle.

Ponownie znaleźliśmy się w samochodzie, przedzieraliśmy się przez zabudowania Tobacco Dock, mijaliśmy szarą taflę wody otoczoną magazynami. Nigdy nie wiem, czy nowa zabudowa oznacza rekultywację terenu, czy jest zupełnie nowym osiedlem na zapuszczonym obszarze; większość takich obszarów bowiem, zanim zjawia się firmy deweloperskie, to miejsca będące już jedną wielką ruiną. Zniknęły w tej dzielnicy puby, zastąpiono je studiami odnowy biologicznej, kafejkami internetowymi, barami serwującymi soki i różnego rodzaju kielki zbożowe.

Dalej od rzeki pomiędzy tarasami Victorh znajdujemy tradycyjną kawiarnię i siadamy przy stole blisko okna. Na ścianach wiszą plakaty z krajobrazami z Ameryki Środkowej i Południowej; w powietrzu unosi się zapach przegotowanego mleka i owsianki.

Kawiarnię prowadzą dwie kobiety, przy kości, z siwymi włosami. Jedna z nich przyjmuje zamówienia, druga przygotowuje potrawy. Zamówione jajka sadzone patrzają na mnie z talerza niczym wybałuszone i pełne wrogości oczy. Na talerzu znalazły się także przypieczone kielbaski i kawałki boczku. Ali zamówiła kanapkę z sałatą i czarną herbatę.

W miejscowej szkole jest właśnie przerwa na lunch. Na ulicy pełno dziewcząt i chłopców, mają chipsy i napoje. Jedni palą papierosy przy budce telefonicznej, drudzy mają słuchawki na uszach i słuchają muzyki.

Joe usiłuje zamieszać kawę lewą ręką, lecz po chwili rezygnuje i miesza prawą. W kawiarnianym szumie słyszę jego głos:

- Dlaczego sądziłeś, że Mickey mogła być na łodzi? Ali nadstawia uszu. Zadawała sobie to samo pytanie.

- Nie wiem, taką myśl nasunęła mi jej fotografia - odparłem. - Gdybym nie chciał jej rozpoznać, dlaczego nosiłbym to zdjęcie? Od jej zaginięcia minęły już trzy lata. Musiała się zmienić.

Ali spogląda raz na mnie, raz na profesora.

- Myśli pan, że ona żyje?

- To, co się wydarzyło, nie jest przecież wytworem mojej wyobraźni - skonstatowałem. Poruszyłem nogą. - Widział pan łódź. Zabito ludzi. Wiem, że te tragiczne wydarzenia mają coś wspólnego z Mickey.

Nie tknąłem jedzenia. Nie jestem już głodny. Być może, profesor ma rację. Chcę naprawić zło przeszłości i ulżyć własnemu sumieniu.

- Powinniśmy wrócić do szpitala - mówi profesor.

- Nie, jeszcze nie teraz. Najpierw chcę porozmawiać z Rachel Carlyle. Może ona coś wie o Mickey.

Joe przyznaje mi rację skinieniem głowy. To dobry pomysł.

Jesienne liście wirują w Randolph Avenue, gromadząc się przy schodach prowadzących do bloków mieszkalnych w Dolphin. Wszystko tu wygląda jak dawniej. Te same łuki przy wejściu i nad drzwiami nazwiska wyryte na szkłe.

Ali niecierpliwie uderza paznokciami o kierownicę samochodu. Nie czuje się w tym miejscu najlepiej, jest wyraźnie zdenerwowana. Oboje pamiętamy tę inną porę, pośpiech i hałas, męczące gorąco, szok i smutek. Joe nie wie dokładnie, o co nam chodzi, ale się domyśla. Depcząc po liściach, idziemy przez ulicę i wchodzimy na schody. Pomiędzy dziewiątą a piątą po południu każdego dnia dolny dzwonek automatycznie otwiera drzwi. Stojąc w holu, spoglądam na środkową klatkę schodową, jakbym wsłuchiwał się w echo odległych wspomnień. Tą drogą wędrowało w tym domu wszystko: ludzie i rzeczy - listy, meble, zakupy żywnościowe, noworodki ze szpitali i zagubione dzieci.

Pamiętam nazwisko i twarz każdego mieszkańca domu. Pamiętam bardzo dokładnie ich wzajemne związki, rodzinne i towarzyskie, historie ich pracy i każdy ich ruch, a także alibi na czas, kiedy zaginęła Mickey. Pamiętam to tak, jakby działo się przed chwilą, tak jak pamiętam niezjedzone przed chwilą jajka na bekonie.

Weźmy na przykład Rachel Carlyle. Ostatni raz widziałem ją podczas mszy żałobnej, odprawionej za Mickey, kilka miesięcy po zakończonym w sprawie jej zaginięcia procesie sądowym. Spóźniłem się i usiadłem w kościele w tylnej ławce, czułem, jakbym się komuś narzucał. W kaplicy słyszeć było ciche łkanie Rachel. Patrzyła przed siebie wzrokiem istoty zmęczonej życiem i całkowicie pozbawionej wszelkiej nadziei.

Byli tam również niektórzy sąsiedzi z bloku Dolphin, w tym pani Swingler, kocia mama, której uczesanie przypominało spętloną kokardkę na czubku głowy. Siedziała tam także Kir-sten Fitzroy, objąwszy ramieniem pogrążoną w głębokim smutku Rachel. Koło niej S.K. Dravid, nauczyciel gry na fortepianie. Z tyłu zaś dozorca Ray Murphy z żoną i synem Ron-niem, który wiercił się i mamrotał.

Nie byłem na całym nabożeństwie. Wymknąłem się, chciałem popatrzeć na tablicę pamiątkową, która niebawem miała zostać poświęcona:

MICHAELA LOUISE CARLYLE

1994 - 2001.

Nie mieliśmy czasu, aby się pożegnać, Aniele mój, lecz myślami jesteśmy z Tobą

Jej tragiczne zaginięcie niczego nas nie nauczyło, pozbawione było wszelkiej logiki,

nie sugerowało jakiegokolwiek zмовy, nie dawało żadnej moralnej pociechy. Według sędziego jej śmierć była niepotrzebna, przerażająca i skłaniała do wielu refleksji. Po tym tragicznym wydarzeniu wiele razy rozmawiałem z Howardem Wavellem, mając nadzieję, że zrezygnuje z poszukiwania miejsca pochówku Mickey, lecz nie dal mi w tej sprawie żadnej odpowiedzi. Od czasu do czasu badaliśmy nowe ślady, przekopaliśmy niemalże cały ogród w Pim-lico i zbagrowaliśmy strumyk w parku Ravenscourt.

Od tego czasu nie rozmawiałem z Rachel, lecz czasami bezwiednie i bardzo dyskretnie parkowałem opodal bloku Dolphine i patrzyłem przez szybę samochodu, zastanawiając się, jak dziecko może zniknąć w pięciopiętrowym jedenasto-apartamentowym budynku.

Stara metalowa winda trzęsie się i hałasuje, jadąc na najwyższe piętro. Pukam do drzwi apartamentu numer 11, lecz nikt nie odpowiada.

Ali zagląda przez szparę w płycinie drzwi, potem klęka i zerka przez otwór na korespondencję.

- Od dłuższego czasu nie ma jej w domu. Nagromadziło się sporo listów na podłodze - mówi.

- Co jeszcze widzisz?

- Drzwi do sypialni są otwarte. Tunika wisi na wieszaku.

- W kolorze jasnoniebieskim?

- Tak.

Pamiętam Rachel w tej tunice, siedzącą na kanapie, z telefonem w ręku. Miała spocone czoło i zamglone oczy. Podobne objawy widziałem u niej wcześniej. Zawsze odczuwała pragnienie, chciała pić, musiała pić, aby jakoś przeżyć.

- Siedem lat. To już poważny wiek - powiedziałem. Rachel nie zareagowała.

- Dobrze wam było razem? Skonsternowana, spojrzała na mnie.

- Mam na myśli to, czy kłóciłyście się?

- Czasami. Jak to zwykle bywa w normalnych rodzinach.

- Jak często, według pani, występują kłótnie w normalnych rodzinach?

- Nie wiem, inspektorze. Układne rodziny widuję tylko w komediowych serialach telewizyjnych.

Patrzyła na mnie uważnie, bez przekory, lecz z wyraźnym przekonaniem, że nie zadaję właściwych pytań.

- Czy Mickey zadawała się z kimś w tym budynku w sposób rzucający się w oczy? - zapytałem.

- Wszystkich tutaj znała. Pana Wavella z dołu, Kirsten z naprzeciwka, panią Swingler, pana Murphy'ego, Dravida na parterze. Uczy gry na pianinie...

- Czy jest jakikolwiek powód, dla którego Mickey oddaliła się?

- Nie.

Zauważyłem, że obsunęło się jedno z ramiączek jej biustonosza, podciągnęła je nerwowym ruchem. Znowu się obsunęło.

- Czy ktoś chciał ją stąd zabrać? Przecząco potrząsnęła głową.

- Może jej ojciec?

- Nie.

- Jest pani rozwiedziona?

- Od trzech lat.

- Ojciec widuje Mickey?

Ścisnęła w ręce paczkę przemoczonych łzami chusteczek higienicznych i ponownie zaprzeczyła ruchem głowy. Położyłem otwarty notatnik na kolanach.

- Muszę znać nazwisko ojca - powiedziałem. Nie zareagowała.

Czekałem dobrą chwilę w milczeniu, chciałem tę kobietę zmiękczyć, lecz wydaje mi się, że moje zachowanie nie zrobiło na niej wrażenia. Nie miała zwyczaju szarpania włosów bądź przygryzania warg w takich sytuacjach. Była osobą zamkniętą w sobie.

- Nigdy by jej nie skrzywdził - oznajmiła nagle. -1 nie jest aż tak głupi, aby ją uprowadzić.

Długopis nadal trzymałem w pogotowiu.

- Aleksei Kuznet - wyszeptala.

Pomyślałem, że żartuje. Omal nie wybuchłem śmiechem. Było to nazwisko znane, budzące podziw i grozę, nazwisko chwytające za gardło i skręcające wnętrzności, nazwisko nawet na osobności wymieniane ściszym głosem. Podając je, należało odpukać w niemalowane drewno i zacisnąć kciuki.

- Kiedy ostatni raz widziała pani swego byłego męża? - zapytałem.

- Podczas rozprawy rozwodowej - odparła.

- Co upewnia panią, że on nie zabrał Mickey? Nie była zaskoczona pytaniem.

- Inspektorze, mój mąż ma opinię człowieka gwałtownego, lecz nie jest głupi. Nigdy nie napadłby na mnie ani Mickey. Wie, że mogę go zniszczyć.

- A w jaki sposób?

Nie musiała na to pytanie odpowiadać. Jej nieruchome i stanowcze spojrzenie wyraźnie mówiło, że doskonale wie, co o tym myślę. Głęboko wierzyła w swe racje. Nie

miała co do tego najmniejszych wątpliwości.

- Jest coś jeszcze, o czym powinien pan wiedzieć - powiedziała. - Mickey miała zaburzenia, wywołane stanami lękowymi. Opiekujący się nią psycholog powiedział, że cierpi na ago-rafobię.

- Tak, lecz ona jest...

- Dzieckiem? Tak. Nie sądzi się, że dzieci cierpią na tego rodzaju chorobę, lecz to się zdarza. Nawet myśl, że musi pójść do szkoły, była dla niej nie do zniesienia. Ból w klatce piersiowej, kołatanie serca, mdłości, zadyszka... Musiałam ją odprowadzać niemalże do samej klasy i po lekcjach odbierać - informowała.

Łzy napłynęły jej do oczu. Nie radzę sobie z płaczącymi kobietami. Są mężczyźni, którzy płaczącą kobietę obejmą ramieniem, przytulą i złagodzą jej ból. Ja do nich nie należę, a szkoda, chciałbym.

Rachel robiła wrażenie zbyt zgnębionej, aby trzymać się dzielnie, lecz nie zamierzała rozkleić się w mojej obecności.

Chciała udowodnić mi, jak silną jest kobietą. Nie wątpiłem. Każda kobieta, która zdecydowała się odejść od Kuzneta, potrzebowała niewyobrażalnej wręcz odwagi.

- Pamiętasz coś? - zapytał Joe stojący tuż obok mnie.

- Nie. Zatopiłem się w marzeniach. Ali zagląda przez poręcz.

- Może któraś z sąsiadek wie, gdzie jest Rachel. Może ta kocia mama?

- Pani Swingler.

- Od czasu tej tragedii wielu sąsiadów wyprowadziło się z domu. Rodzina Murphy prowadzi pub w Esher, a Kirsten Fitzroy, najbliższa przyjaciółka Rachel, przeprowadziła się do Notting Hill. Być może, miejsce tragedii przenika szczególnego rodzaju atmosfera, której, jak dokuczliwego zapachu, nijak nie można się pozbyć.

Windą zjechałem na pierwsze piętro i zapukałem do drzwi mieszkania pani Swingler. Oparty na kulach słyszałem, jak wychodzi z holu i podchodzi do drzwi. Kiedy tak dreptała, słychać było pobrzękujące na niej sznurki paciorków i koralików. Uchyliła nieco drzwi.

- Halo, pani Swingler, pamięta mnie pani?

Spojrzała na mnie złym wzrokiem. Myśli, że jestem inspektorem sanitarnym miejscowej rady i przyszedłem zabrać jej koty.

- Byłem tutaj przed paru laty, kiedy zniknęła Mickey Car-lyle. Szukam Rachel Carlyle. Czy widziała ją pani?

Z mieszkania dobiegł odór koci i ludzki. Po chwili wahania odparła:

- Nie.

- Kiedy pani widziała ją po raz ostatni? Wzruszyła ramionami.

- Przed kilkoma tygodniami. Może wyjechała na wakacje.

- Czy wspominała o tym?

- Nie.

- Czy zauważyła pani jej samochód zaparkowany na zewnątrz?

- Jakim jeździ samochodem?

Zacząłem intensywnie myśleć. Nie wiem, czemu zapamiętałem ten samochód.

- To renault estate. Czarny.

Pani Swingler potrząsnęła głową, dzwoniąc koralikami.

Hol jej mieszkania pełen był pudełek i skrzynek. Zauważyłem w nim przesuwające się cienie. To były koty, wszędzie, na pudełkach, skrzynkach, w otwartych szufladach, pod łóżkiem i na szafach. Szare cienie pełzały po podłodze, gromadziły się wokół kociej mamy, ocierały o jej nogi i laskotały kostki.

- Kiedy mnie pani ostatnio widziała? - zapytałem. Spojrzała na mnie dziwnie.

- W ubiegłym miesiącu. Cały czas pan się tutaj kręcił.

- Czy byłem z kimś? Podejrzliwie spojrzała na profesora.

- Czy pana przyjaciel udaje dowcipnisia?

- Nie. On po prostu sporo rzeczy zapomniał.

- Przypuszczam, że widział ją pan w mieszkaniu na górze - rzekła.

- Czy pani wie dlaczego? Roześmiała się od ucha do ucha.

- Czy wyglądam na kogoś z opieki społecznej? - spytałem. Zamierzała skończyć rozmowę i zamknąć drzwi, lecz coś jeszcze przyszło jej na myśl.

- Teraz sobie pana przypomniałam! Pan szukał tej małej dziewczynki, która została zamordowana. To jej wina, wie pan.

- Czyja wina? - zapytałem.

- Takie kobiety jak ona, jeżeli nie potrafią dopilnować dzieci, nie powinny ich mieć - powiedziała. - Nie mam nic przeciwko temu, aby za moje podatki leczono chore dzieci w szpitalach i naprawiano drogi, ale dlaczego mam płacić na matki, które korzystają z opieki społecznej, a pieniądze wydają na papierosy i alkohol? Nie potrzebowała wcale społecznego wsparcia finansowego.

Pani Swingler uniosła spódnicę i odwróciła się, dodając jeszcze:

- Jak ktoś pije, to już zawsze będzie pił. Podszedłem do niej.

- Tak pani myśli?

Nagle zauważyłem na jej twarzy wyraz zwątpienia. Powiem to swojej matce -

pomyślałem.

Profesor zamknął drzwi i winda, trzęsąc się, ruszyła. Kiedy zjechaliśmy do holu, odwróciłem się i spojrzałem na schody. Dziesiątki razy przeszukiwałem ten budynek - zarówno na jawie, jak i we śnie - chciałbym jednak jeszcze raz przeszukać, jeszcze dokładniej, cegła po cegle.

Zniknęła Rachel, a także ludzie, którzy pozostawili w łodzi ślady krwi. Nie wiem, co to oznacza, lecz jakieś ulotne i nieuchwytno myśli, nerwowe odruchy, przecucia powodują niepokój.

Robi się coraz później. Zapalają się latarnie uliczne i coraz wyraźniej widać światła pojazdów. Skręciliśmy w boczną ścieżkę i dotarliśmy do tylnej części ogrodu przy budynku. Były tam wąskie, prostokątne trawniki otoczone ceglanymi murkami. W cieniu zauważyliśmy odwrócony do góry dnem dziecięcy basenik kąpielowy, a pod wiatą jakieś meble ogrodowe.

Za tylnym ogrodzeniem jest ośrodek rekreacyjny Paddington, a także błotniste bajora. Po lewej stronie stoją garaże, po prawej zaś, oddzielone murem, pozbawione wszelkiego uroku, wybudowane już po wojnie przez publiczne władze lokalne, osiedle Macmillan. Jest tam dziewięćdziesiąt pięć mieszkań, z balkonami pełnymi suszącej się bielizny oraz antenami satelitarnymi przymocowanymi do ścian domów.

Tam właśnie znajduje się miejsce, gdzie Mickey i Sarah zażywały kąpiele słonecznych. Z okna swego mieszkania obserwował je Howard. W dniu, w którym zniknęła Mickey, szukając cienia i spokoju, poszedłem do ogrodu. Wiedziałem już wówczas, że Mickey nie ulotniła się ot tak sobie. Dziecko nie może, jak kamień w wodę, przepaść w pięciopiętrowym budynku. Wyglądało to na porwanie lub coś o wiele gorszego.

Wiadomo, jak to jest z dziećmi, które zaginęły: nie ma o nich żadnych dobrych wieści. Każdego dnia ginie kilkanaścioro dzieci, w większości uciekają z domów bądź są wyrzucane. Jednakże sytuacja siedmioletniego dziecka nie jest typowa, kojarzy się z najgorszym koszmarem.

Stąpałem ostrożnie i uważnie patrzyłem w wodę sadzawki, gdzie leniwie pływały karpie. Nigdy nie rozumiałem ludzi trzymających rybki w akwariach. Są im one przecież obojętne, niewielkie, drogie w utrzymaniu, a poza tym ludzie mają nikły wpływ na ich żywot. Moja druga żona przypominała taką rybkę. Sześć miesięcy byliśmy małżeństwem i to wystarczyło, abym się jej znudził, wyszedł z mody jak męskie sandały.

Jako dziecko hodowałem żaby. Zbierałem żabią ikrę w stawie na naszej farmie i trzymałem ją w dwustulitrowym pojemniku. Kijanki są cudowne, lecz kiedy do wiadra włoży się sto kijanek, zamieniają się w jedną oślizłą masę. W końcu tyle ich było, że opanowały cały

dom. Ojczym, obserwując moje hodowlane wyczyny, powiedział, że jestem fantastyczny. Zakładam jednak, że w tym wypadku przymiotnik „fantastyczny” nie miał pozytywnych konotacji.

Ali stoi koło mnie. Odgarnia włosy za uszy.

- Myślał pan, że nie żyła już w pierwszym dniu po uprowadzeniu - powiedziała.

- Wiem.

- Nie przeprowadziliśmy wówczas gruntownych i wszechstronnych badań, nie było również ludzi z jednostki SOCO. Nie było także żadnych śladów krwi, żadnych podejrzanych osób, a mimo to miał pan złe przeczucia.

- Tak.

- I od samego początku podejrzewał pan Howarda Wavel-la. Co pan o nim wiedział?

- Robił zdjęcia. Wszyscy w budynku, poza nim, byli zajęci poszukiwaniem Mickey, lecz on wrócił do mieszkania po kamerę. Powiedział, że chciał to mieć na filmie.

- Na filmie?

- Całe to zamieszanie i podniecenie.

- Dlaczego?

- Aby mógł je utrwalić w pamięci.

Do szpitala wróciłem prawie o zmierzchu. Znowu otoczył mnie kwaśny zapach, jaki spotyka się w niewietrzonych pomieszczeniach. Ominęło mnie spotkanie psychoterapeutyczne, a Maggie czekała, aby zmienić mi bandaż.

- Ktoś zabrał wczoraj lekarstwa z apteczki - powiedziała mimochodem, zmieniając ostatni bandaż. - Butelkę z morfiną i teraz koleżanka ma kłopoty. Kierownictwo oskarża ją o niedopatrzenie.

Maggie nie oskarża mnie, lecz wiem, w jakim kontekście to powiedziała.

- Mam nadzieję, że morfina odnajdzie się, być może gdzieś ją przestawiono - dodaje. Odchodzi, zabierając ze sobą tackę z bandażami i nożyczkami.

- Mam nadzieję, że twoja przyjaciółka nie będzie miała wielkich kłopotów - mówię.

Maggie odwróciła się, skinęła głową i wyszła bez słowa. Leżąc w łóżku, słyszę turkot poruszających się w innych salach stolików na kółkach i krzyk kogoś budzącego się z koszmaru sennego. Wieczorem czterokrotnie telefonowałem do Rachel Carlyle. Nadal nie ma jej w domu. Ali obiecała odszukać jej nazwisko i numer rejestracyjny samochodu, wykorzystując ogólnokrajowy policyjny system komputerowy.

Na korytarzu nie ma już nikogo przed drzwiami mego pokoju. Być może pilnowanie mnie w dzień i w nocy zmęczyło stróżów policyjnych. O dziewiątej wieczorem telefonuję do

matki w Wlwood Lodge. Po dłuższej chwili odbiera telefon.

- Spisz? - pytam.

- Oglądam program telewizyjny. - Słyszę głosy dochodzące z oddala. - Dlaczego mnie nie odwiedzasz?

- Jestem w szpitalu.

- Co się stało?

- Zraniłem się w nogę. Wykaraskam się.

- Jeżeli to nic poważnego, to powinieneś mnie odwiedzić.

- Lekarze mówią, że muszę jeszcze pozostać w szpitalu przez tydzień lub dłużej.

- Bliźnięta wiedzą o tym?

- Nie chciałem ich martwić.

- Claire przysłała mi pocztówkę z Nowego Jorku. Ostatni weekend spędziła w winnicy u Marthy. Napisała, że Michael chce popłynąć jachtem do Newport w stanie Rhode Island. Mogą się tam spotkać.

- To wspaniale.

- Powinieneś do nich zatelefonować.

- Tak.

Zadałem jej jeszcze kilka pytań, chcąc podtrzymać rozmowę, lecz zorientowałem się, że poza telewizją na niczym już nie może się skupić. Nagle zaczęła ciężko oddychać. Słyszałem to tak, jakby jej nos tkwił w moim uchu.

- Dobranoc, Daj. - Tak ją bowiem zawsze nazywałem.

- Chwileczkę! - Przyłożyła usta do słuchawki. - Yanko, odwiedź mnie.

- Odwiedzę, wkrótce.

Poczekalem, aż odłoży słuchawkę. Natychmiast usiłowałem zatelefonować do dzieci po to tylko, aby upewnić się, że wszystko u nich w porządku. Lecz, jak zwykle, skończyło się na chęciach.

Wyobraziłem sobie, jak Claire odpowiedziałaby na mój telefon. Cześć, tato, jak się masz? Otrzymałeś książkę, którą ci wysłałam? Nie, nie jest to poradnik dietetyczny, dotyczy stylu i higieny życia, chodzi o twoją wątrobę, o oczyszczenie organizmu z toksyn... W następnym zdaniu zaprosi mnie na wegetariański obiad, który oczyści z toksyn nie tylko mnie.

Wyobrazałem sobie także rozmowę z Michaeliem. Pójdziemy na piwo, wymienimy dowcipy, porozmawiamy o futbolu jak normalny ojciec i syn. Nic z tego. Wyobraziłem sobie, że tak właśnie wygląda życie innych ludzi. Żadne z moich dzieci nie poświęci czasu na

rozmowę telefoniczną z ojcem, tym bardziej wieczorem.

Kocham moje dzieci do szaleństwa, ale ich nie rozumiem. Jako maleństwa były przemiłe, lecz jako nastolatki stały się nieznośne. Jeździły za szybko samochodami, słuchały zbyt głośnej muzyki, uważały mnie za ukrytego faszystę, ponieważ pracowałem w policji. Łatwo kochać dzieci, lecz utrzymać je przy sobie bardzo ciężko.

Zasnąłem, oglądając świąteczny program telewizyjny, zapamiętałem jedynie stale uśmiechniętą kobietę zdejmującą z siebie sarong i skaczącą do basenu.

Po chwili obudził mnie ból. Czulem w powietrzu coś śmiertelnie groźnego, coś poruszającego się szybko. Ktoś jest w moim pokoju. W smudze światła widzę tylko jego rękę. Na przegubach rąk ma błyszczące srebrne koraliki.

- Jak się pan tutaj dostał?

- Niech pan nie daje wiary tym, którzy piszą o listach ludzi czekających w kolejce na przyjęcie do szpitala.

Aleksei Kuznet pochyła się w moją stronę. Ma ciemne oczy i jeszcze ciemniejsze włosy ułożone żelam w pasma. Cechą, która jeszcze bardziej go wyróżnia, jest znamię w kolorze mleka na policzku. Na ręku nosi zegarek, który kosztuje więcej niż moja całoroczna pensja.

- Wybacz pan, lecz nie dopytywałem się o stan pańskiego zdrowia. Dobrze się pan czuje?

- Nieźle.

- To bardzo miła wiadomość. Jestem pewien, że pana matka przyjmie ją z uczuciem ulgi.

Daje mi do zrozumienia, co ma na myśli. Na koniuszkach palców poczułem nagle krople potu.

- Co pan tu robi? - zapytałem.

- Przyszedłem, aby odebrać.

- Odebrać...?

- Wydaje mi się, że zawarliśmy porozumienie - powiedział. Mówił najczystszy akcentem absolwenta elitarnej szkoły publicznej. Jego angielski był bezbłędny, lecz pozbawiony jakiegokolwiek zabarwienia emocjonalnego.

Spojrzałem na niego osłupiały. Jego głos spowaźniał.

- Moja córka... miał pan ją zabrać - oświadczył. Odniosłem wrażenie, jakby fragment przeprowadzonej kiedyś wspólnej rozmowy uszedł mojej uwagi.

- Co ma pan na myśli? Jak mogłem zabrać Mickey?

- Mój drogi, to zupełnie niewłaściwa odpowiedź.
- Nie, proszę posłuchać! Nic nie pamiętam. Nie wiem, co się wydarzyło.
- Widział pan moją córkę?
- Nie sędzę. Nie jestem pewien - odparłem.
- Moja była żona ukrywa ją - powiedział. - Wszystko inne jest kłamstwem.
- Dlaczego miałyby to zrobić?
- Ponieważ jest bezduszną suką, która lubuje się w zadawaniu ciosów. Czuję się jak wbity na pal.

Powiedział to z wściekłością, a ja oblałem się zimnym potem.

Po chwili opanował się, nadal jednak nerwowo szarpał rękawy.

- Zakładam więc, że nie przekazał pan okupu - powiedział.

- Jakiego okupu? Kto żądał okupu? - zapytałem.

Ręce zaczęły mi się trząść. Czulem, jak skutki dopadających mnie w ciągu ostatnich dni nastrojów niepewności i frustracji dają o sobie znać. Aleksei wiedział, co się wydarzyło na łodzi.

Jąkając się, błagałem, aby powiedział, co się stało.

- Na rzece doszło do strzelaniny. Nie pamiętam, co się stało. Aby to wszystko zrozumieć, potrzebuję pana pomocy - powiedziałem.

Uśmiechnął się. Już kiedyś widziałem podobny wyraz jego twarzy - rozleniwionej i wszechwidzącej. Zbyt długo trwało milczenie. Nie wierzył mi. Podniósł rękę, zacisnął pięść i uderzył się w czoło, jakby chciał rozbić czaszkę. Miał na kciuku pierścień, złoty, masywny.

- Zawsze zapomina pan o popełnionych błędach, komisarzy? - zapytał.

- Wręcz przeciwnie, z reguły to tylko one tkwią w mojej pamięci - odparłem.

- Za to, co się stało, ktoś musi ponieść odpowiedzialność.

- Najpierw proszę mi pomóc w odzyskaniu pamięci. Uśmiechnął się cierpko i ręką wskazał na mnie. Palec wskazujący prawej ręki i kciuk ze złotym pierścieniem przyłożył do mojej głowy niczym lufę pistoletu. Potem delikatnie odwrócił rękę i nad moją twarzą zrobił z niej ramkę.

- Chcę odzyskać córkę albo diamenty. Ojciec ostrzegał mnie, abym nigdy nie ufał Cyganom. Proszę udowodnić mu, że nie miał racji.

Nawet po odejściu Alekseia czuję w pokoju jego obecność. Przypomina bohatera z filmów Cjentina Tarantino, który rzadko kiedy opanowuje wybuchy wściekłości. Mimo że swoją osobowość skrywa pod dobrze skrojonymi garniturami i bezbłędną angielszczyzną, znam jego pochodzenie. Poznałem takie typy już w latach szkolnych. Mogę nawet wyobrazić

go sobie w białej taniej koszuli, kiepskich butach, za dużych szortach, obrywającego lanie od kolegów podczas lunchu tylko dlatego, że był obcy, miał na sobie nędzne ubranie i mówił dziwnym akcentem.

Rozumiem go, ponieważ sam tego doświadczyłem - byłem obcy - romski chłopiec, który przychodził do szkoły w pocerowanej marynarce, a zamiast kanapek miał kawałki pachnącego chleba domowego wypieku.

- Piękna nie najesz się łyżką - mawiała matka. Nie wiedziałem, co to znaczy. Było to po prostu jedno z jej dziwnych powiedzeń, podobnie jak to: Ten z tyłu nie może siedzieć na dwóch koniach.

Podobnie jak Aleksei, mimo ciągłego bicia i wyszydzania, przetrwałem, lecz w przeciwieństwie do niego nie dostałem stypendium do Charterhouse, gdzie on raz na zawsze pozbył się rosyjskiego akcentu. Nigdy do swego domu nie zaprosił żadnego z kolegów. A paczki, które przysyłała mu matka do szkoły - z czekoladkami, chlebem imbirowym i cukierkami - zawsze trzymał w ukryciu. Skąd to wiem? Byłem w jego sytuacji.

Ojciec Alekseia, Dmitri Kuznet, był rosyjskim emigrantem. Na początku miał wózek z kwiatami w Soho, potem otworzył sieć sklepów na West End. Ofiarami wojny w Soho o miejsca sprzedaży padło trzech zabitych i pięciu zaginionych bez śladu.

W roku 1987 w Dzień Świętego Walentego jeden ze sprzedawców kwiatów został nadziany na kolek wózka straganiar-skiego, obłany benzyną i podpalony. Następnego dnia aresztowaliśmy Dmitriego. Z okna sypialni Aleksei widział, jak zabieramy ojca. Matka płakała i krzyczała, chodząc po ulicy.

Trzy tygodnie przed rozprawą sądową Aleksei opuścił szkołę i wraz z bratem Sachą przejął rodzinny interes. W ciągu pięciu lat firma braci Kuznet przejęła kontrolę nad kwaciarniami w centrum Londynu. Po dziesięciu latach opanowała hodowlę ciętych kwiatów na całym obszarze Wielkiej Brytanii i miała większy wpływ na ceny kwiatów niż sama matka natura.

Nie wierzę w wielkomiejskie mity i historie o krwawych wyczynach Alekseia Kuzneta, lecz jego postać nadal budzi mój lęk. Cechująca go brutalność i uciekanie się do przemocy to nie tylko uboczny skutek wychowania, lecz także wyraz protestu przeciwko genetycznym skłonnościom, jakimi pokarał go Bóg.

Być może za młodu doświadczyliśmy tego samego, doskwierało nam to samo uczucie bolesnego upokorzenia, lecz nie chciałem dopuścić, aby uczucie to pozbawiło mnie rozsądku i zapanowało nad moim życiem.

Aleksei miał pretensje także do brata. Być może Sacha miał zbyt rosyjski, a za mało

angielski charakter. Przypuszczalnie Aleksei był przeciwko jego orgiom narkotycznym z przyjaciółkami, atrakcyjnymi modelkami. Po jednej z takich orgii znaleziono utopioną w basenie kelnerkę, nastolatkę ze śladami heroiny we krwi.

Sacha nie stanął przed ławą dwunastu przysięgłych. Wystarczyło czterech mężczyzn, aby wykonać wyrok. Ubrani w kominiarki wtargnęli pewnej nocy do jego domu, udusili jego żonę, a Sachę uprowadzili. Niektórzy mówią, że Aleksei związał mu ręce i utopił go w wannie z kwasem solnym. Inni twierdzą, że odciął mu głowę siekierą. Jednakże w opinii tych, którzy Sachę znali, żyje on za granicą pod innym nazwiskiem i ma się całkiem dobrze.

Dla ludzi takich jak Aleksei istnieją na świecie bezsprzecznie jedynie dwie kategorie ludzi - nie są nimi bogaci i biedni, dobrzy i źli, ludzie czynu i pustych słów, lecz zwycięzcy i przegrani. Orzeł bądź reszka. To w jego najgłębszym przekonaniu jedyna i powszechna zasada.

W lepszych, normalnych okolicznościach nie rozmyślałbym o przeszłości. Nie chciałbym zastanawiać się, co mogłoby stać się dziecku takiemu jak Mickey Carlyle lub innym zaginionym dzieciom, z których losem spotkałem się w moim zawodowym życiu policjanta.

Odkąd jednak budzę się w szpitalu, nie mogę oprzeć się pokusie powrotu do tego, co się stało na łodzi, i przywracania godzin pełnych koszmarnych wyobrażeń, które uszły mojej pamięci. Widzę pod mostami Tamizy pełno ludzkich ciał, umykających na widok statków turystycznych. Widzę krew i tonące w mule rzeczonym rewolwery.

Patrzę na zegarek, jest piąta rano. Czas, kiedy drapieżniki wyruszają na łowy, a policjanci pukają do drzwi przestępców. Jest to godzina ludzkich słabości. Ludzie budzą się, zastanawiają i otulają kołdrami.

Aleksei wspomniał o okupie, a Keebal o diamentach. Musiałem tam być, w miejscu, gdzie złożono okup. Nie kontynuowałbym śledztwa bez bezspornych dowodów, że Mickey żyje. Musiałem więc mieć absolutną pewność.

W nocnej ciszy zaczyna się jakiś tumult; ludzie biegają i krzyczą. Słyszę sygnał alarmu przeciwpożarowego.

W drzwiach pojawia się Maggie.

- Gaz się ulatnia, ewakuujemy szpital. Idę po wózek. Nie wiem, ilu pacjentów jeszcze zostało.

- Mogę iść sam. Maggie zgadza się.

- Najpierw bierzemy ciężko chorych. Proszę na mnie poczekać, wrócę - obiecuje.

Znika. Za oknami słychać syreny wozów strażackich i policyjnych. Po chwili giną w

turkocie pędzących po korytarzach wózków ewakuacyjnych i krzyczących ludzi.

Po dwudziestu minutach hałas cichnie, czas zaczyna płynąć wolniej. Może zapomnieli o mnie? Już raz w życiu zostawiono mnie - na szkolnej wycieczce do zatoki Morecambe. Ktoś chciał wówczas sprawdzić, czy odważę się przejść dziesięć kilometrów po przybrzeżnej równinie błotnej z Arnside do Kents Bank. Tam często tonęli ludzie zaskoczeni przyływami morskimi we mgle.

Oczywiście, nie byłem na tyle naiwny, aby ulec pokusie takiego wyzwania.

Podczas gdy reszta klasy wędrowała, obserwując brodźce i inne gatunki dzikiego ptactwa, ja objadałem się lodami w przydrożnej kawiarni. Potem przekonywałem wszystkich, że bez trudu pokonałem tę drogę. Miałem wówczas czternaście lat i omal nie usunięto mnie ze szkoły w Cottesloe, lecz wśród kolegów do końca moich szkolnych dni uchodziłem za bohatera.

Moje aluminiowe kule są tuż za drzwiami. Zsuwam nogi z łóżka, idę ostrożnie, chwytam palcami uchwyty, po czym ramiona wkładam w plastikowe rękawy.

Wychodzę z pokoju, rozglądam się po korytarzu, widzę oszklone drzwi, dalej kolejny korytarz, idący w głąb budynku. Czuję zapach gazu.

Kierując się znakami ewakuacyjnymi, idę w stronę schodów, patrzę na puste pokoje ze stosami porzucanej w nieładzie bielizny pościelowej. Mijam porzucony wózek ze sprzętem do sprzątania. Wszędzie widać szczotki i zmywaki do podłogi. Oparte o ściany szczotki i miotły przypominają czupryny gwiazd rockowych z lat siedemdziesiątych.

Na schodach jest ciemno. Rozglądam się za poręczą, spodziewam się także spotkać Maggie idącą na górę. Odwracam się i zauważam na końcu korytarza, skąd przyszedłem, poruszające się światło. Może szukają mnie - pomyślałem. Idę dalej, kulą otwieram drzwi.

- Halo? Słyszysz mnie pani?

Za zieloną szybą z pleksiglasu znajduję salę operacyjną i zakrwawione, pogniecione papiery na stole operacyjnym.

Pokój pielęgniarzek jest pusty. Na ladzie leżą otwarte segregatory, stygnie kawa w kubku. Zza przepierzenia dochodzi jęk. Na podłodze leży bez ruchu Maggie z podwiniętymi nogami. W ustach i nosie ma pełno krwi, krew sączy się także na podłogę.

Badam jej tętno. Żyje. Nagle na dźwięk stłumionego głosu odwracam się.

- Hej, człowieku, co tu jeszcze robisz?

W drzwiach pojawia się strażak w kominiarce. Pojemnik z tlenem na jego plecach sprawia, że wygląda jak przybysz z kosmosu, w ręku trzyma gaśnicę.

- Jest ranna. Szybko proszę coś zrobić - mówię. Klęka przy Maggie, palcami sprawdza

tętnicę szyjną.

- Co pan jej zrobił?

- Nic. Znalazłem ją w takim stanie.

Widzę jego zmęczone oczy za okularami, lecz patrzy na mnie wzrokiem pełnym nieufności.

- Nie powinien pan tutaj przebywać.

- W tym całym zamieszaniu zostawili mnie - odparłem. Patrząc na mnie, szybko wstał i ruszył w kierunku wyjścia.

- Przyprawdę wózek inwalidzki - powiedział.

- Mogę iść o własnych siłach - odparłem.

Chyba mnie nie słyszał. Po niecałej minucie wrócił przez obrotowe drzwi... - A co z Maggie? - pytam.. 'ts - Wrócę po nią. j' ;i - Jest ranna...

- Nic jej nie będzie.

Kule położyłem na kolanach i obniżyłem wózek. Strażnik, pchając wózek, ruszył wzdłuż korytarza, najpierw skręcił na prawo, potem na lewo w kierunku wind. Miał na sobie nowy kombinezon, ciężko stąpał w gumowych buciorach po świeżo wypolerowanej podłodze. Nie zauważyłem natomiast, aby korzystał z maski tlenowej.

- Nie czuję już gazu - zauważyłem. Nie zareagował.

Skierowaliśmy się w stronę głównego korytarza. Na jego końcu są trzy windy. Środkowa jest otwarta, pali się nad nią żółte światło sygnalizacyjne. Strażak przyspieszył kroku i wózek zaczął się trząść i podskakiwać na linoleum.

- Nie sądzę, aby bezpiecznie było jechać windą. - Nie odpowiedział na moją uwagę i nie zwolnił. - Może powinniśmy skorzystać ze schodów - zasugerowałem wprost.

Przyspieszył kroku, zaczął biec w stronę otwartych drzwi windy. Zobaczyłem szyb, który jawił się niczym otwarta paszcza potwora.

W ostatniej chwili podniosłem aluminiowe kule i zablokowałem nimi drzwi do windy. Kule uderzyły mnie w piersi, przygniotły żebra. Siła uderzenia sprawiła, że odchyliłem się gwałtownie do tyłu i wypadłem z wózka.

Strażak zwinął się z bólu, uderzywszy się jego uchwytem w pachwinę. Resztkami sił podniosłem się i wepchnąłem jego rękę w koło wózka. Wystarczyłby niewielki ruch, a złamałbym mu rękę.

Młóćąc powietrze, usiłuje zadać mi cios drugą ręką. Staram się od niego uwolnić, oddziela nas tylko przewrócony wózek.

- Kim jesteś? Dlaczego to robisz? - pytam.

Podczas szamotania zaczyna się zsuwać jego kominiarka. Nagle zmienia kierunek ataku i pięścią uderza w moją zranioną nogę, rozszarpuje knykciem bandażę. Odczuwam niewiarygodny ból, a przed oczami widzę latające czarne punkty. Skręcam gwałtownie wózkem i usiłuję uciec. W tym samym momencie słyszę chrupot pękającego przegubu i przenikliwe wycie z bólu.

Obaj leżymy na podłodze. On wali mnie pięścią w piersi, a moja głowa uderza o ścianę. Strażak, klęcząc, nieuszkodzoną ręką chwyta mnie z tyłu za koszulę i usiłuje zawlec do szybu windy. Zdrową nogą opieram się na podłodze i zaciskam palce na jego kurtce. Nie pozwolę zaciągnąć się do szybu.

Zmęczenie osłabia naszą zaciętość, ale wciąż on chce mnie zabić, ja chcę przeżyć. On jest silny i wytrzymały. Mną kieruje paniczne uczucie lęku przed śmiercią, a pomaga mi nabyta w zawodzie zręczność.

- Tarzanie, słuchaj, nie dasz mi rady - mówię, z wielką trudnością chwytając za każdym słowem powietrze. - Możemy najwyżej razem spaść na dno szybu.

- Idź do diabła! - odpowiada. - Złamałeś mi rękę.

- A mnie ktoś strzelił w nogę. Widziałeś, żebym płakał? - odparłem.

Słyszę, jak gdzieś na dole włącza się silnik. Windy ruszają. Strażak patrzy na sygnały świetlne przy drzwiach, wskazujące kolejne piętra. Poturbowany, ze złamanym nadgarstkiem, powłóczę nogami, usiłuje zbiec schodami w dół. W tej sytuacji nic nie mogę zrobić.

Z kieszeni wyjmuję małą żółtą tabletkę. Mam niejakie trudności, zbyt zgrubiały mi bowiem palce. W końcu udaje się, zażywam ją.

Czuję, jak gwałtownie spada mi poziom adrenaliny, a moje powieki migoczą niczym skrzydełka ćmy. Ktoś nastawał na moje życie. Czy to nie dziwne?

Słyszę szum windy i szmer ludzkich głosów. Wskazuję ręką korytarz i mruczę pod nosem:

- Pomóście Maggie.

Korytarze patrolują policjanci, zadający pytania personelowi szpitala, robią zdjęcia. Słyszę, jak Campbell beszta lekarza za utrudnianie śledztwa. W jego ustach brzmi to jak oskarżenie o przestępstwo.

Przestaje działać morfina i mam dreszcze. Dlaczego ktoś chciałby mnie zabić? Może tam, na rzece widziałem mordercę? Może do kogoś strzelałem. Nie pamiętam.

Campbell otwiera drzwi i przeżywam coś w rodzaju deja vu - nie mam na myśli miejsca owego tragicznego wydarzenia, lecz zbliżającej się rozmowy. Siada i darzy mnie szczególnie przyjaznym uśmiechem. Zanim otworzy usta, pytam o Maggie.

- Jest na dole. Ktoś złamał jej nos i podbił oko. Czy to twoja sprawka? - pyta.

- Nie. Skinął głową.

- Tak mi powiedziała. Możesz powiedzieć, co się stało?

Opowiedziałem cały przebieg zdarzenia - mówiłem o strażaku i wózku inwalidzkim, który pędził korytarzem. To, co powiedziałem, chyba go zadowoliło.

- Co zarejestrowały kamery? - spytałem.

- Niewiele. Wszystko schrzanione. Farbą spryskał soczewki kamer. Mamy na zdjęciu sylwetkę mężczyzny z pokoju pielęgniarek, lecz z zamaskowaną twarzą. Nie rozpoznałeś go?

- Nie.

Był wyraźnie niezadowolony.

- Jestem przekonany, że ta cała historia ma coś wspólnego ze sprawą zaginięcia Mickey Carlyle - oznajmiłem. - Ktoś przekazał żądanie okupu. Sądzę, że dlatego znalazłem się na łodzi w rzece...

- Mickey Carlyle nie żyje.

- A jeżeli mylimy się?

- Bzdura. To my mamy rację.

- Musiałem mieć jakiś niezaprzeczalny dowód, że ona żyje. Campbell wie o tym. Od dawna wie.

- To MISTYFIKACJA! - wrzasnął. - Nikt w to nie wierzy poza tobą i panią Carlyle. Mogę zrozumieć zrozpaczoną matkę, ale ciebie nie rozumiem! - Zginał i prostował palec. - Prowadziłeś już kiedyś śledztwo w sprawie morderstwa zakończone wyrokiem skazującym, odniosłeś wielki sukces, lecz teraz za pewnik bierzesz oszustwo, które od początku budzi wątpliwości. Najpierw poleciłeś, aby dokonano analizy DNA, a potem zmarnowałeś to wszystko, zachowałeś się jak zbuntowany nonkonformista z hollywoodzkiej samozwańczej straży obywatelskiej, a w końcu dałeś się postrzelić.

Campbell przysunął się do mnie. Widzę teraz łupież na jego brwiach.

- To Howard Wavell zamordował Mickey Carlyle. I jeżeli ten psychicznie chory zboczeniec, morderca, sukinsyn wyjdzie z twego powodu na wolność, to wierz mi, żaden z policjantów tego miasta nie zechce już z tobą nigdy współpracować. Będziesz skończony - zapowiedział.

Poczułem, że coś w moich wnętrznościach zaczyna wibrować jak w kadłubie statku, kiedy rozgrzewa się silnik.

- Musimy jednak to zbadać. Na łodzi zginęli ludzie - odparłem.

- Tak. Z tego, co wiem, to ty ich zastrzeliłeś.

Moja determinacja słabnie. Zbyt mało znam szczegółów, aby toczyć z nim spór. Cokolwiek się stało na rzece, stało się przede mną. Zatrąłem atmosferę i nikt teraz nie chce mi pomóc.

Campbell mówi dalej:

- Vincent, nie wiem, co zrobiłeś, ale masz teraz poważnych wrogów, napytałeś sobie biedy. Nie zbliżaj się do Rachel Carlyle. Daj sobie z tym wszystkim spokój. Jeżeli podważysz wyrok skazujący Wavella, jeżeli choć słowo piśniesz, jako policjant jesteś skończony. To masz jak w banku.

Odszedł, a raczej jak szalony popędził korytarzem. Jak długo byłem nieprzytomny: osiem dni, osiem lat? Wystarczająco długo, abym zauważył, że bardzo zmienił się świat.

Przyszedł profesor; od mrozu ma zaczerwienione policzki. Stoi w drzwiach, jakby czekał na gest zaproszenia. Za nim widzę sylwetkę Ali, siedzącej na krześle, jest teraz moim oficjalnym aniołem stróżem.

W holu zainstalowano wykrywacze metali, kontroli podlega również personel medyczny, w tym i Maggie. To wszystko z mego powodu.

Aczkolwiek detektywi wiele razy pytali mnie o wszelkie możliwe szczegóły dotyczące ostatnich wydarzeń, nie mam nic przeciwko pytaniom Joego w tej sprawie, ponieważ są to zupełnie inne pytania. Joe chce wiedzieć, co wówczas słyszałem i czy poczułem jakiś zapach. Czy facet, który na mnie napadł, miał zadyszkę? Czy w jego głosie słychać było strach?

Poszedłem z nim do miejsca, w którym stoczyłem bójkę z napastnikiem. Ali szła za nami dwa kroki z tyłu, sprawdzając korytarze i pokoje.

Opierając się na kulach, z wielką uwagą obserwowałem postępowanie tego zwariowanego profesora, odmierzającego odległości, kucającego na podłodze i sprawdzającego kąty nachylenia różnych przedmiotów.

- Proszę powiedzieć mi wszystko o tym wycieku gazu - polecił Joe.

- Jeden z kierowców wozów dostawczych poczuł zapach gazu, lecz nie wiedział, skąd on pochodzi. Potem okazało się, że ktoś otworzył zawór głównego kanału doprowadzającego gaz ze zbiornika, znajdującego się w sąsiedztwie rampy.

Joe położył się na podłodze, usiłując z bliska sprawdzić każdy szczegół. Wydawało mi się, iż dokładnie widzę, jak jego mózg pracuje, aby odtworzyć to wszystko, co się tutaj wydarzyło.

W pewnym momencie powiedział:

- Wiedział, jak się dostać do szpitala, nie wiedział jednak, w którym jesteś pokoju. Po

ewakuacji personelu i pacjentów nikogo już nie mógł o to zapytać.

Joe odwrócił się i poszedł wzdłuż korytarza. Usiłowałem o kulach nadążyć za nim. Zatrzymał się przed kamerą telewizyjną i próbował dotknąć jej ręką tak, jakby trzymał pojemnik z farbą.

- Musiał mieć prawie metr dziewięćdziesiąt.

- Tak.

Poszedł do pokoju pielęgniarek, rzucił okiem na wąski długi wieszak i kuchenkę. Na ścianie był rząd zacisków z nazwiskami chorych.

- Gdzie znalazłeś Maggie? - zapytał.

- Na podłodze - odparłem.

Joe ukląkł, a następnie po chwili położył się na podłodze i obejrzał od spodu zlew.

- Nie, ona leżała tutaj, z głową niemalże pod stolikiem. Joe wstał, mrużąc oczy.

Patrzył teraz na tablice z nazwiskami chorych.

- Napastnik szukał numeru twego pokoju - powiedział.

- Skąd wiesz?

Joe przysiadł. Patrzę na jego palce. Widzę dwie czarne plamy na podłodze, ślady butów strażaka.

- Maggie przysła z korytarza. Wróciła po ciebie. Usłyszał jej kroki i schował się...

Wyobrażam sobie pędzącą korytarzem Maggie, wyrzucającą sobie spóźnienie.

- ...Kiedy mijala drzwi, odwróciła się. I wówczas ją uderzył łokciem w nos. - Joe położył się na podłodze w miejscu, gdzie upadła Maggie. - Potem udał się do twego pokoju, lecz ty już wyszedłeś.

Brzmi to rozsądnie.

- Jest jednak coś, czego nie rozumiem. Mógł mnie przecież zabić od razu, na korytarzu, ale poszukał wózka inwalidzkiego i usiłował wepchnąć mnie do szybu windy.

Nadal leżąc na podłodze, Joe wskazuje na kamerę znajdującą się za moimi plecami.

- To jedyna kamera, której nie zamalował.

- To nie miało przecież większego znaczenia, bo twarz zakrył kominiarką.

- Z psychologicznego punktu widzenia to jednak zasadnicza różnica. Nawet z zakrytą twarzą nie chciał być na filmie. Byłby to dowód przeciwko niemu - powiedział Joe.

- Chciał więc, abym zniknął z pola widzenia kamery.

- Tak.

Joe jest teraz pochłonięty własnymi myślami, myśli głośno, nieświadom, że jego intelektualnym zmaganiem towarzyszą tiki i drżenie ciała. Idę za nim korytarzem w stronę

schodów. Zaintrygowany czymś, zatrzymuje się.

- Wyciek gazu był częścią obydwu planów działania - obwieszcza autorytatywnie.
- Obydwu planów?
- Planu działań zewnętrznych i planu działań wewnętrznych...

Nie rozumiem. Wydaje się, że Joe całkowicie pochłonięty swoimi myślami zapomniał o moim istnieniu. Przeskakując po dwa stopnie, szybko dotarł do ciężkich metalowych drzwi przeciwpożarowych. Pchnięciem otworzył je i znaleźliśmy się na bitumicznym prostokacie szpitalnego dachu. Uderzył w nas silny powiew wiatru. Joe przytrzymał mnie z tyłu za koszulę, abym nie spadł. Wisiała nad nami wielka szara chmura.

Na pokrytym bitumiczną smolą dachu widać było różnego rodzaju przewody i podpory klimatyzatorów. Dach ogrodzony był niskim murkiem z białych kamieni. Były tam również dodatkowe ogrodzenia zabezpieczające i drut kolczasty.

Joe powoli i z wielką uwagą obszedł cały dach, spoglądając od czasu do czasu na otaczające szpital budynki, jakby w pamięci korygował swój wewnętrzny plan rozmowania. Kiedy dotarł do północno-wschodniego rogu, podszedł do samego ogrodzenia.

- Widzisz ten park w dole, ten z fontanną? - Podążyłem za jego wzrokiem. - To zbiorczy punkt ewakuacyjny. Po opuszczeniu szpitala wszyscy mieli się tam zebrać. Ty także miałeś tam być. Człowiek, który nastawał na twoje życie, w żadnym wypadku nie mógł przewidzieć, że zostawią cię w szpitalu.

Teraz rozumujemy podobnie.

- Być może miał się schować w moim pokoju i zabić mnie po moim powrocie - powiedziałem.

- Albo zamierzali zabić cię na zewnątrz.

Joe usiadł na dachu, badając cienką warstewkę sadzy na okalającym go murku. Sadze na dachach londyńskich domów utrzymują się zawsze do następnego deszczu. W tym miejscu jednak na dachu były trzy małe okrągłe czyste miejsca wielkości pensa. Joe pochylił się i zauważył, że dwa większe miejsca znajdują się poniżej murku.

Ktoś klęczał i oparł tutaj trójnóg podtrzymujący karabin. Był to może snajper z palcem na spuście, który ze wzrokiem utkwionym w soczewkę teleskopu obserwował park.

Piętnaście minut później wejście na dach zamknięto, a funkcjonariusze specjalnej jednostki SOCO przystąpili do badania śladów. Campbell kręcił się wszędzie, chciał się wykazać swoją zawodową aktywnością przed szpitalnym psychologiem.

Joe zabrał mnie na dół do kantyny szpitalnej, jednego z tych sterylnych miejsc serwujących posiłki, gdzie podłogi pokryte są płytkami ceramicznymi, a bary z nierdzewnej

stali.

Cedric, facet, który jest tutaj kierownikiem, pochodzi z Jamajki. Na głowie ma loki twarde jak bicze, a jego śmiech przypomina chrupot orzechów rozbijanych cegłami.

Przynosi kawę i wyjmując z kieszeni fartucha pół butelki szkockiej whisky. Nalewa mi łyk. Joe wydaje się tego gestu nie zauważać. Jest zbyt zajęty własnymi myślami, usiłując poskładać brakujące kawałki tej intrygującej zagadki kryminalnej.

- Snajperzy nie roztkliwiają się nad losem swoich ofiar. Dla nich strzelanie do ludzi to swego rodzaju gra komputerowa.

- Mógł być młody?

- I samotny.

Profesor bardziej interesuje się odpowiedzią na pytanie, dlaczego to zrobiono, niż kto to zrobił; chce wyjaśnić motyw działania, ja zaś poszukuję twarzy, aby wypełnić puste miejsce w pamięci, kogoś, kogo mógłbym złapać na gorącym uczynku i wymierzyć mu karę.

- Aleksei Kuznet odwiedził mnie dzisiaj rano. Wydaje mi się, że wreszcie wiem, dlaczego byłem w łodzi. Obserwowałem przekazywanie okupu - powiedziałem.

Joe przyjął moje stwierdzenie bez zmrużenia oka.

- Kuznet nie powierzyłby mi żadnych szczegółów, lecz musiały być w tej sprawie niepodważalne dowody. Musiałem wierzyć, że Mickey żyje - podzieliłem się z Joem swą opinią.

- Lub pragnąłeś wierzyć - uzupełnił moją wypowiedź.

Wiem, co mówi. Nie wierzy, że po tym, co przeszedłem, jestem człowiekiem racjonalnie myślącym i działającym.

- Okej, zadajmy sobie pewne pytania - mówi Joe. - Jeżeli Mickey żyje, gdzie była w ciągu ostatnich trzech lat?

- Nie wiem.

- Dlaczego ktoś przez trzy lata czekałby z wysunięciem żądania okupu?

- Być może nie porwali jej dla okupu, przynajmniej nie był to początkowy motyw przestępstwa.

- Okej. Jeżeli nie dla okupu, to dlaczego? Zmagam się z myślami. Nie wiem.

- Może w ten właśnie sposób chcieli ukarać Alekseia? Nie brzmi to przekonująco.

Przypomina mi to zresztą jedno wielkie oszustwo. Ktoś pozostający w bliskich, a nawet zażyłych stosunkach z rodziną lub wtajemniczony w śledztwo, jakie prowadzono przed trzema laty, wie na tyle dużo, aby przekonać zrozpaczonych ludzi, że Mickey być może żyje.

- A ta strzelanina na łodzi? - pytam.

- Albo to była wpadka, albo też ktoś okazał się nadmiernie pazerny na pieniądze - wyraził przypuszczenie Joe.

Pogląd ten wydawał mi się bardziej racjonalny niż moja teoria.

Joe bierze notes i na kartce rysuje linie, jakby bawił się w grę zwaną szubienicą.

- Wychowywałeś się w Lancashire, prawda?

- Czy ma to cokolwiek wspólnego z naszą zagadką kryminalną?

- Po prostu pytam. Twój ojczym był podczas wojny pilotem w RAF-ie.

- Skąd wiesz?

- Pamiętam, mówiłeś mi o tym.

- Bzdura!

Ze złości krew mnie zalewa.

- Dobierasz się do moich myśli gdzieś tam na samym dnie świadomości, nieprawda? Nazywacie to badaniem kondycji ludzkiej? Tak ten rodzaj wiwisekcji natury ludzkiej nazywacie? Powinieneś zająć się tym draniem, a nie mną! - powiedziałem.

- A dlaczego ty kurczowo trzymasz się mrzonek o ratowaniu dzieci, które zginęły w tajemniczych okolicznościach? - zapytał Joe.

- - Odpieprz się.

- Może masz poczucie winy? Nie odpowiadam na to pytanie.

- Może masz coś do powiedzenia i nie możesz tego z siebie wykrztusić?

- Nie trzymam niczego w sobie.

- Czy kiedykolwiek spotkałeś swego biologicznego ojca?

- Jeżeli nie zamkniesz tej swojej jadaczki, nabawisz się kłopotów - ostrzegłem.

- Sporo ludzi nie zna swoich biologicznych ojców. Na pewno zastanawiasz się, jaki on jest, czy jesteś do niego podobny, czy masz na przykład jego głos - podsunął Joe.

- Mylisz się, niewiele mnie to obchodzi - odparłem.

- Jeżeli tak niewiele cała ta sprawa cię obchodzi, dlaczego unikasz rozmowy na ten temat? Zostałeś spłodzony w czasie wojny, a urodziłeś się tuż po jej zakończeniu. Wielu ojców nie wróciło z wojny do domu. Część stacjonowała poza granicami kraju. Dzieci czuły się przez nich porzucone...

Słowo „porzucony” nie może przejść mi przez gardło. Mój ojciec nie należał do zaginionych na wojnie. Nie został pogrzebany gdzieś we Francji w grobie, który zawsze będzie częścią historii Anglii. Nawet nie wiem, jak się nazywał.

Joe przybrał postawę wyczekującą. Siedzi, palcami obraca długopis, czekając na Godota. Nie chcę być obiektem psychoanalizy, nie chcę, aby grzebano w mojej przeszłości.

Nie chcę rozmawiać o swoim dzieciństwie.

Miałem czternaście lat, kiedy matka po raz pierwszy wspomniała o moim dzieciństwie i moim pochodzeniu. Oczywiście, była pijana, siedziała pochylona na skraju mego łóżka i prosiła, abym masował jej stopy. Opowiedziała mi historię Germile Purrum, młodej Cyganki z wytatuowaną literą „Z” na lewym ramieniu i z czarnym trójkątem naszytym na brudnej, obszarpanej sukience.

- Wyglądaliśmy jak nieboskie stworzenia, śmieszne, biedne i przerażone - wspominała, trzymając w ręce kieliszek z alkoholem.

Najpiękniejsze i zdrowsze Cyganki wysyłano do domów oficerów SS. Pozostałe zaś do burdeli, gdzie były masowo gwałcone i często poddawane sterylizacji, ponieważ Romów uważano za istoty nieczyste.

Matka, kiedy znalazła się w największym obozie koncentracyjnym Trzeciej Rzeszy dla kobiet w Ravensbrück, miała piętnaście lat. Skierowano ją do obozowego bordelu, gdzie pracowała dwanaście godzin na dobę.

Nigdy nie mówiła o szczegółach swego życia w obozie, lecz wiem, że zapamiętała je na zawsze.

Owego wieczoru, kiedy wspominała swoją młodość, powiedziała głosem cichym i nie bardzo wyraźnym:

- Wiedziałam wówczas, że jestem w ciąży.

- Byłaś pewna? - zapytałem.

- Nie miałam miesiączki.

- Byłaś u lekarza? Spojrzała na mnie ze złością.

- Esther usiłowała mnie przekonać do usunięcia ciąży.

- Kim była Esther?

- Żydowskim ginekologiem... lecz ty kurczowo uczepliłeś się życia we mnie. I nie chciałeś mnie opuścić. Bardzo pragnąłeś przyjść na ten świat.

Daj to moja matka, i mówiła o mnie. Znałem tę część tragicznej historii. Kiedy skończyła się wojna, matka była w trzecim miesiącu ciąży. Dwa miesiące zajęło jej poszukiwanie rodziny, lecz nikt nie ocalał; zamordowano braci, matkę, ojca, ciotki, wujków i kuzynów...

W obozie dla wysiedleńców koło Frankfurtu młody oficer brytyjski Vincent Smith powiedział matce, że powinna wyemigrować. Stany Zjednoczone i Wielka Brytania przyjmowały emigrantów, jeżeli mogli wylegitymować się odpowiednimi dokumentami tożsamości i posiadali kwalifikacje w jakimkolwiek zawodzie. Lecz Germile nie miała ani

dokumentów, ani żadnych kwalifikacji.

Ponieważ nikt nie przyjąłby Cyganki, skłamała i napisała w emigracyjnym formularzu, że jest Żydówką. Zginęło tak wielu Żydów, łatwo więc było uzyskać dokumenty tożsamości któregoś z nich.

Germile Purrum została Sofią Eisner. Miała teraz dziewiętnaście lat zamiast szesnastu, była szwaczką z Frankfurtu, nową osobą rozpoczynającą nowe życie.

Przyszedłem na świat w zalanym deszczem angielskim miasteczku, w szpitalu hrabstwa, gdzie nadal obowiązywało przeciwnie zaciemnienie okien. Matka robiła wszystko, abym nie umarł. Nigdy nie powiedziała: Kto chciałby mieć niemieckiego blondyna, bękarta z zimnymi jak lód niebieskimi oczami? I nawet wówczas, kiedy zwracałem mleko z jej piersi i zalewałem jej stanik (być może silniejsze były we mnie geny ojca), wybaczała mi.

Nie wiem, co widziała, gdy patrzyła w moje oczy, być może wroga, żołnierza, który ją zgwałcił. Natomiast ja patrzyłem na świat, jakby należał do mnie - powiedziała kiedyś. Jakby wszystko w dziele stworzenia miało być teraz na moją modłę i mnie służyć.

Nie wiem, kim naprawdę jestem. Jestem albo cudem ocalenia lub też kimś budzącym odrazę. Jestem częściowo Niemcem, częściowo Cyganem, częściowo Anglikiem. W jednej trzeciej jestem więc uosobieniem zła, w jednej trzeciej ofiarą, w pozostałej zaś reszcie człowiekiem gniewnym. Według matki jestem dżentelmenem. W żadnym innym języku nie ma takiego słowa opisującego osobowość człowieka. To swego rodzaju paradoks. Nie możesz utrzymywać, że jesteś dżentelmenem, możesz jednak mieć nadzieję, że w oczach innych ludzi uchodzisz za dżentelmena.

Spojrzałem na Joego. Przywoływałem przeszłość, nie zdając sobie sprawy, że cały czas mówię.

Jego głos brzmi łagodniej niż mój.

- Nie odpowiadasz za grzechy ojca - oświadcza Joe.

Ma rację, lecz mimo to ogarnia mnie złość. Dlaczego skłonił mnie do najbardziej osobistych wynurzeń? Nie chcę słuchać tych niedorzecznych, często bardzo bolesnych, a zarazem bzdurnych wywodów psychologicznych.

Siedzimy w milczeniu. Ująłem w karby moje wspomnieniowe koszmary, jednak najlepiej zostawić je w spokoju.

Nagle Joe wstaje i pakuje swoją teczkę. Nie chcę jednak, aby teraz odszedł.

- Nie będziemy mówić o okupie? - zapytałem.

- Jesteś zmęczony. Przyjdę jutro, porozmawiamy - odparł.

- Przypomniałem sobie niektóre szczegóły - zachęcam go.

- To dobrze.

- Czy chciałbyś coś mi powiedzieć, coś, co powinienem zrobić?

Spojrzał na mnie lekko zdziwiony.

- Chcesz porady?

- Tak.

- Nie lecz się nigdy u lekarza, w którego gabinecie stoją zwiędłe kwiaty - powiedział.

Po czym odszedł.

Kiedy zaginęła Mickey, nie spałem przez czterdzieści osiem godzin. Jeżeli w ciągu dwóch dni od chwili zaginięcia dziecko nie zostanie odnalezione, jego szanse przeżycia zmniejszają się o czterdzieści procent. W ciągu dwóch tygodni maleją do dziesięciu procent.

Nienawidzę statystyk. Przeczytałem na przykład gdzieś, że przeciętny człowiek, oddając kał, zużywa pięć i dziewięć dziesiątych bibulek toaletowych. Te dane statystyczne niczego nie wyjaśniają i nikomu w niczym nie pomagają.

Mam jednak w zanadru dane statystyczne dotyczące śledztwa prowadzonego po zaginięciu Mickey. W akcji poszukiwawczej wzięło udział sześciuset wolontariuszy i osiemdziesięciu policjantów, przeszukując w okolicy każdy dom. Szybkość działań policyjnych była tak wielka, że często graniczyła z brutalnością funkcjonariuszy. Chciałem kopniakami otwierać wszystkie zamknięte drzwi, potrząsać konarami drzew, ścigać każde dziecko zauważone na ulicy i w parku.

Sprawdziliśmy każde alibi, przepytaliśmy każdego ulicznego handlarza, usiłowaliśmy ustalić, co w ciągu minionego miesiąca robili goście odwiedzający blok mieszkalny Dolphin. Przeprowadziliśmy wywiady z każdym mieszkańcem okolicznych domów. W rezultacie tej gigantycznej akcji policyjnej wiedziałem, kto bije żonę, kto sypia z prostytutkami, kto udaje chorego, kto ma długi u bukmachera, a kto uprawia pod łóżkiem marihuanę.

Zgłosiło się sześćdziesiąt pięć osób utrzymujących, że prawdopodobnie widziało zaginioną Mickey, otrzymaliśmy cztery dobrowolne przyznania się do popełnienia przestępstwa (w tym wyznanie jednej osoby, że poświęciła Mickey pogańskiemu bogu w lesie). Spotkaliśmy się również z propozycjami wszechstronnej pomocy dwunastu jasnowidzów, dwóch wróżących z ręki oraz jednego faceta uważającego się za czarnoksiężnika.

O najbardziej dotychczas prawdopodobnym dostrzeżeniu Mickey dowiedzieliśmy się w środę wieczorem od starszego małżeństwa, mieszkającego przy stacji metra w Leicester Square. Jednakże pani Esmeralda Bird nie miała wówczas okularów, a jej mąż znajdował się zbyt daleko, aby dokładnie widzieć sylwetkę dziewczynki. Na stacji metra jest dwanaście

kamer telewizyjnych, lecz ustawionych pod złym kątem. Zdjęcia były tak złej jakości, że w niczym nam nie pomogły, a nie chcąc niweczyć dotychczasowych rezultatów śledztwa, nie podaliśmy tej informacji do wiadomości publicznej.

Śledztwo w sprawie zaginięcia Mickey stało się już wydarzeniem medialnym. Wozy telewizyjne zablokowały Ran-dolph Avenue i bez przerwy transmitowały wydarzenia związane z zaginięciem. Ludzie, którzy nie znali Mickey, mogli teraz codziennie oglądać jej twarz w wiadomościach telewizyjnych, nie ruszając się z domu. Do parkanów otaczających blok mieszkalny Dolphin przytroczono fioletowe wstęgi. Na parkanach można było też zauważyć bukiety kwiatów i zdjęcia Mickey. Zdjęcia rozwieszono także na budynkach, latarniach i w oknach wystawowych.

Z rejestru ludzi zamieszkujących Londyn i mających na sumieniu przestępstwa seksualne wynotowano policji trzysta pięćdziesiąt dziewięć nazwisk. Dwadzieścia cztery osoby budzące podejrzenia mieszkały w pobliżu miejsca, gdzie zaginęła Mickey, bądź też miały pewien związek z tym miejscem. Wielokrotnie sprawdzano każde nazwisko, porównywano wszelkie szczegóły w poszukiwaniu ewentualnych związków, które w taki czy inny sposób łączą ludzką społeczność.

Niestety, wymagało to czasu, a pracowaliśmy przecież pod jego przemożną presją. Czas płynął nieubłaganie, lecz ani o minutę się nie wydłużał, mimo iż chodziło przecież o poszukiwanie zaginionego dziecka. Dotkliwie odczuwałem tę ambi-walentność czasu.

Po dwóch dniach nieprzerwanych poszukiwań wpadłem do domu tylko po to, aby wziąć kąpiel i zmienić bieliznę. Zostałem Daj przy stole w kuchni. Oparła głowę na rękach, pociągała nosem, a kotkę trzymała na kolanach. W rękę miała kieliszek wódki. Mówiła, że pierwszy wypity kieliszek zapładnia jej wyobraźnię dziwnymi obrazami, widzi kopulujące w locie anioły. Gin był dla niej zbyt angielski, a whisky zbyt szkocka. Od porto psuły się jej zęby, a od żucia gumy nabierały szkarłatnego koloru.

Daj w miarę starzenia się (i upijania) coraz bardziej przypominała Cyganek, miała coraz bardziej typowy wygląd, coraz bardziej też uciekała w przeszłość. Piła, aby zapomnieć i uśmierzyć ból wspomnień. Piła, aby zaspokoić pragnienie demonów. Zanim zaprowadziłem ją do łóżka, musiałem odrywać jej palce od kieliszka. Syjamka zeskakiwała z jej kolan i chowała się w pudełku. Kiedy przykrywałem Daj kołdrą, otwierała oczy.

- Yanko, znajdziesz ją, prawda? - mamrotała. - Znajdziesz tę małą dziewczynkę. Wiem, co to znaczy, gdy się kogoś straci.

- Znajdę, zrobię wszystko co w mojej mocy.

- Mam przed oczami wszystkie zaginione dzieci.

- Daj, nie przywrócę ich do życia - powiedziałem.
- Gdy zamkniesz oczy, to ją zobaczysz - wyraziła przekonanie.
- A teraz cicho, sza, idź spać.

Na mój pocałunek w policzek odpowiedziała szeptem:

- One nie umierają nigdy.

Miesiąc później przeniosła się do domu emerytek. Nigdy nie wybaczyła mi, że zostawiłem ją tak na starość, lecz był to ostatni z moich grzechów.

Ciemno jest w sali szpitalnej i na korytarzach. Ciemny jest świat na zewnątrz, z wyjątkiem świateł ulicznych, odbijających się na dachach zaparkowanych samochodów pokrytych warstwą białego, skrzącego się śniegu.

Senna Ali siedzi na krześle koło mego łóżka. Ma szarą ze zmęczenia twarz i ciało stężałe. Tylko ekran stojącego w kącie telewizora rzuca nikielne światło.

Otwiera oczy.

- Powinnaś pójść do domu. Wzrusza ramionami.
- Mają tutaj kablówkę.

Spoglądam na telewizor. Pokazują film czarno-biały Szlachectwo zobowiązuje z Alekiem Guinnessem.

- Przeszarżował rolę, widać to wyraźnie, jak się wyłączy głos.
- Nie mam obsesji na punkcie tego śledztwa - powiedziałem.
- Co pan chce przez to powiedzieć? - zapytała.
- Nie chcę przywrócić Mickey Carlyle do życia. Ali odgarnia włosy z oczu.
- Myśli pan, że ona żyje? - zapytała.
- Trudno mi to wytłumaczyć. Skinęła głową.
- Jeśli chodzi o Howarda, był pan swego czasu pewien.
- Nigdy całkiem. Gdybym mógł wytłumaczyć te moje przecucia...

Cokolwiek jednak powiem na ten temat, zabrzmi to paranoicznie. Czasami mi się zdaje, że tylko jeden człowiek na tym świecie jest całkowicie wolny od podejrzenia o porwanie Mickey - ja sam. Przeprowadziliśmy osiem tysięcy wywiadów i zebraliśmy tysiąc dwieście zeznań. W historii brytyjskiej policji było to największe i najbardziej kosztowne śledztwo w sprawie porwania, a mimo to nadal nie możemy jej znaleźć.

Nawet teraz natykam się na fotografii Mickey, naklejone na murach i latarniach. Nie wydaje się, aby ktokolwiek poza mną wzrokiem smutnym i tęsknym patrzył na jej twarz na ulicznych plakatach. Czasami o zmierzchu nawet z nią rozmawiam, co wydaje mi się bardzo dziwne, ponieważ nigdy nie rozmawiałem z moją córką Claire, kiedy była w wieku Mickey.

Częściej rozmawiałem z synem, ponieważ łączyły nas zainteresowania sportowe. Cóż ja wiedziałem o lalkach Barbie czy o balecie?

Więcej wiem o Mickey niż o Claire. Wiem, że gustowała w połyskliwym lakierze do paznokci i lubiła pachnący truskawkami błyszczący do warg i telewizję MTV. Miała skarbonkę w kolorze gliny, wykładaną górkami kryształkami, koraliki i kolczyki, o których mówiła, że są diamentowe, a nie ze zwyczajnego szkła.

Lubiła tańczyć i śpiewać, najbardziej swoją ulubioną piosenkę „Płyn, płyn, płyn, łódeczko moja, z prądem, a jeżeli zobaczysz krokodyla, nie omieszkaj krzyknąć”. Zwykle śpiewała tę piosenkę Claire, kładąc ją wieczorem do łóżka, i nasłuchiwałem jej chichotu, dopóki nie padła w objęcia Morfeusza.

Może trapi mnie poczucie winy? To uczucie, o którym sporo wiem. Zżyłem się z nim, zbratałem, obserwowałem je unoszące się nad powierzchnią sadzawki pokrytej lodem. Dręczące poczucie winy, łatwo je rozpoznaję. W moim życiu doświadczyłem smutku z powodu zaginięcia innych dzieci.

- Dobrze się pan czuje? - zapytała Ali, kładąc na łóżku swoją rękę obok mojej.

- Zastanawiam się - odparłem.

Pod plecy podłożyła mi dodatkową poduszkę, po czym odwróciła się, pochyliła nad umywalką i obmyła twarz. Mój wzrok oswaja się z ciemnością.

- Jesteś szczęśliwa? - zapytałem.

Zdziwiona pytaniem, ponownie spojrzała na mnie.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- Lubi pani pracę w wydziale DPG? To właśnie chciała pani robić?

- Chciałam być detektywem. Teraz wożę ludzi.

- Lecz przygotowuje się pani do egzaminu na stopień sierżanta.

- Nigdy nie powierzą mi żadnego śledztwa.

- Czy zawsze marzyła pani o karierze funkcjonariusza policji?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Chciałam być sportowcem. Zamierzałam być pierwszą sprinterką, obywatelką brytyjską pochodzenia sikhijskiego, która w barwach brytyjskich wystąpi na olimpiadzie.

- Co się więc stało?

- Nie mogłam biegać dostatecznie szybko. - Śmieje się i przeciąga, aż trzeszcza jej przeguby. Potem patrzy na mnie z ukosa. - Zamierza pan nadal prowadzić śledztwo, prawda? Niezależnie od tego, co powie główny komisarz?

- Tak.

Nagle w ciemności za oknem widać błyskawicę. Błysk jest zbyt daleko, abym usłyszał grzmot.

Ali zachowuje się tak, jakby postanawiała podjąć decyzję.

- Mam kilka tygodni zaległego urlopu. Może mogłabym panu pomóc?

- Nie. Zaszkożysz swojej karierze zawodowej.

- Jakiej karierze?

- Poważnie mówiąc, nie musisz wyświadczać mi żadnej przysługi.

Patrzy w telewizor. W jej oczach widać szary refleks światła monitora.

- Pomyśli pan z pewnością, że brzmi to sentymentalnie, lecz zawsze darzyłam pana wielkim szacunkiem. Niełatwo być kobietą w londyńskiej policji, lecz nigdy nie traktował mnie pan odmiennie niż innych funkcjonariuszy. Zawsze dawał mi pan szansę.

- Już dawno powinni cię awansować.

- To nie pana wina, że tak się nie stało. Kiedy pan stąd wyjdzie, powinien zamieszkać u mnie... mam wolny pokój. Mogę zapewnić panu minimum bezpieczeństwa. Wiem, że powie pan „nie”, ponieważ jest pan przekonany, że nie potrzebuje mojej pomocy lub sądzi, że będę miała z tego powodu kłopoty, lecz proszę tak nie myśleć. Sądzę, że moja propozycja jest dobrym pomysłem.

- Dziękuję - szepnąłem.

- Co pan powiedział?

- Powiedziałem, że dziękuję.

- Och, to dobrze. Świetnie.

Ali wyciera ręce o spodnie i jest wyraźnie odprężona. Jeszcze jeden błysk rozjaśnił pokój niczym błysk flesza upamiętniający ważne wydarzenie.

Powiedziałem Ali, aby poszła do domu, ponieważ za kilka godzin opuszczę szpital. Mimo ogromnych wysiłków ze strony Keebala nie aresztowano mnie. Policja jest tutaj, aby mnie chronić, a nie po to, aby pozbawić mnie wolności. Nie obchodzi mnie, co powiedzą lekarze lub co może postanowić Campbell Smith. Chcę wrócić do domu i przejrzeć wszystkie swoje notatki związane ze śledztwem oraz odnaleźć Rachel Carlyle.

Od tej chwili nie będę wspierał się w swoich działaniach wyłącznie okruchami wątpliwej pamięci. Moja pamięć może już nigdy nie powrócić. Fakty, a nie wspomnienia pomogą mi rozwiązać tajemnicę zniknięcia Mickey. Fakty, a nie wspomnienia powiedzą mi, co się przydarzyło Mickey Carlyle. Słyszcy się czasami, że zły glina nie może spać, ponieważ dręczy go nieczyste sumienie, natomiast dobry glina nie może spać, bo brakuje mu kilku szczegółów do rozwiązania tajemnicy śledztwa.

Nie sędę, abym byl złym gliną. Może się o tym przekonam.

Doktor Bennett w kowbojskich butach idzie korytarzem.

- Nie powinien pan chyba opuszczać szpitala. To szaleństwo. Proszę pomyśleć o nodze.

- Czuję się dobrze - odpowiadam. Naciska przycisk windy.

- Jest pan pod ochroną policji, nie może pan wyjść. Udaję, że potykam się, doktor dogania mnie i zatrzymuje.

W tym momencie kulą naciskam dolną strzałkę windy.

- Przepraszam, panie doktorze, lecz sam zadbałem o ochronę - mówię. Skinąłem na Ali, która niesie moje rzeczy osobiste w worku plastikowym. To wszystko, co zamierzam stąd zabrać.

Po raz pierwszy od strzelaniny na łodzi czuję się jak dawniej. Jestem detektywem, a nie ofiarą. Na korytarzu gromadzi się personel szpitala. Wieści się rozchodzą. Ludzie ci przyszli, aby się ze mną pożegnać. Czekaając na windę, ściskam dłonie i mruczę pod nosem „dziękuję bardzo”.

Otwierają się drzwi windy i pojawia się Maggie. Wygląda jak panda z podbitymi oczami i z opatrunkiem na nosie. Nie wiem, co jej powiedzieć.

- Zamierzał pan opuścić szpital bez pożegnania?

- Nie.

Ali daje jej ode mnie bukiet kwiatów. Na ich widok Maggie promienieje, obejmuje mnie ramionami, gniotąc kwiaty na moich piersiach. Jako pacjent uwierałem ją jak kolec, to ja sprawilem, że znalazła się w szpitalnym łóżku, a ona mimo to uściskała mnie na pożegnanie. Nigdy nie zrozumie kobiet.

Podpierając się kulą, zszedłem po schodach do holu. Chodzę coraz lepiej i przy pewnym wysiłku zachowuję się jak ktoś, kogo uwiera kamyk w bucie, a nie doskwiera rana postrzałowa. Przychodzą lekarze i pielęgniarki z życzeniami zdrowia i szczęścia. W ich oczach jestem jakąś znakomitością, detektywem, który przeżył zamach na swoje życie. Lecz owe pięć minut sławy chcę mieć już za sobą.

Na placu wewnętrznym pełno jest policjantów, są na dachach i pilnują wejść. Mają na sobie kuloodporne kamizelki i broń automatyczną. Żaden z nich nie wie właściwie, co ma robić. Mieli mnie ochraniać w szpitalu, a tu nagle opuszczam go.

Ali prowadzi mnie do drzwi wyjściowych, potem schodami na dół i na parking. Idąc do samochodu, zauważam Johna Keebala opartego o betonowy słup. Nie podchodzi do mnie. Je orzeszki i wypluwa skorupki pod nogi.

Na chwilę zostawiam Ali i podchodzę do niego.

- Byłeś z wizytą u chorej babci, czy czekasz na mnie?

- Sądziłem, że odwiozę cię do domu, widzę jednak, że jesteś pod dobrą ochroną - odparł, rzucając okiem na Ali. - Trochę za młoda dla ciebie, nieprawdaż?

- Nie twoja sprawa - odparłem.

Kiedy tak patrzymy na siebie, na twarzy Keebala pojawia się uśmiech.

- Jestem zbyt stary, aby brać udział w konkursach miłosnych.

- Czego właściwie chcesz? - pytam.

- Myślałem, że zaprosisz mnie do swego mieszkania - powiedział.

- Nie możesz otrzymać nakazu rewizji? - zapytałem.

- Chyba nie - odparł.

Co za tupet! Nie może przekonać sędziego, aby wydał nakaz rewizji w moim mieszkaniu, po czym oczekuje, że i tak zaproszę go do grzebania w moich rzeczach. To kolejny pretekst, by móc mnie oskarżyć. Jeżeli odpowiem, że nie zgadzam się na rewizję, Keebal oskarży mnie o utrudnianie śledztwa. Mam go w nosie!

- Posłuchaj, gdybym wiedział, że się do mnie wybierasz, posprzątałbym, kupił ciastka do herbaty, a tak to po kilkutygodniowej nieobecności w moim domu panuje niewiarygodny bałagan. Może innym razem - powiedziałem.

Ująłem kule i poszedłem do Ali. Zdziwiona, uniosła brwi.

- Nie wiedziałam, że on jest jednym z pana przyjaciół.

- Wiesz, jak to jest. Teraz wszyscy się o mnie martwią.

Wsiadłem do czarnego audi. Ali zajęła miejsce za kierownicą i pomknęliśmy. Prowadząc samochód, milczała. Zerknęła natomiast uważnie w lusterka i przed siebie. Zwalniała i przyspieszała, manewrowała w sporym ruchu, usiłowała przekonać się, czy nie jesteśmy śledzeni.

Po chwili wyjęła z torby kuloodporną kamizelkę i podała mi. Sprzeczałyśmy się, nie chciałem jej założyć. Zauważyłem, że traci cierpliwość.

- Proszę pana, przy całym szacunku, albo pan założy tę kamizelkę, albo postrzelę pana w drugą nogę i odwiozę do szpitala - powiedziała nieco zirytowana.

Kiedy w lusterku zobaczyłem błysk w jej oczach, nie miałem żadnych wątpliwości, że mówi serio. Pomyślałem sobie, że zbyt wiele miałem kobiet w życiu i żadnych z tego względu dodatkowych korzyści.

Jechaliśmy przez Kensington i Earl Court, mijając hotele turystyczne i bary szybkiej obsługi. Na placach zabaw pełno było matek z dziećmi bawiącymi się na huśtawkach i

zjeżdżalniach.

Autostrada Rainville biegnie wzdłuż Tamizy po przeciwnej stronie rezerwatu dzikiego ptactwa Barn Elms. Lubię mieszkać nad rzeką i rano z okna sypialni rozkoszować się widokiem wolnej przestrzeni i błękitnego nieba, mając wrażenie, że nie mieszkam w siedmiomilionowej metropolii.

Ali parkuje przed domem, uważnie rozgląda się po drodze biegnącej wzdłuż brzegu i przygląda się budynkom po przeciwnej stronie ulicy. Po wyjściu z samochodu szybko wbiega do domu i moim kluczem otwiera frontowe drzwi. Po przeszukaniu mieszkania wraca.

Obejmuje mnie ramieniem, a ja, kuśtykając przy jej boku, wchodzę do domu. W skrzynce pocztowej i na wycieraczce przed drzwiami leży mnóstwo listów, rachunków i reklamówek. Wszystko to zbiera Ali. Nie mam czasu, aby przejrzeć korespondencję. Musimy szybko opuścić mieszkanie. Pakujemy listy do worka, przemierzam pokoje, starając się odświeżyć pamięć.

Znam wszystkie kąty i zakamarki mieszkania, lecz nawet najbardziej znajome miejsca mogą zwieść pamięć. Wszystko jest jak dawniej, ta sama wielkość, te same kolory ścian i te same meble. Czyste są półki w kuchni. Tylko w zlewozmywaku widać ślady po kawie. Musiałem mieć gości.

Na stole kuchennym pełno skrawków plastiku w kolorze pomarańczowym. Są tam także tasiemki i kwadraciki z polistyrenowej pianki pociętej ząbkowanym nożem. Musiałem coś zawijać. Leżące na podłodze resztki pianki wyglądają teraz jak sztuczny śnieg.

Mój terminarz leży przy telefonie otwarty na stronie poprzedzającej dzień, w którym zostałem postrzelony, a więc 25 września. Między kartki jest wsunięta faktura za drobne ogłoszenie w „Sunday Times”. Tekst ogłoszenia napisałem własną ręką.

Willa w Toskanii potrzebna od zaraz, do zamieszkania dla 6 osób, pożądane basen, patio, ogród. Niedaleko Florencji. Wrzesień/październik, na dwa miesiące.

Za ogłoszenie zapłaciłem kartą kredytową dwa dni przed postrzeleniem mnie. Dlaczego chciałem wynająć willę w Toskanii?

Nie rozpoznaję abonenta telefonu komórkowego zapisanego na dole kartki. Dzwonię pod ten numer. Metaliczny głos w słuchawce mówi, że abonent jest w tej chwili nieosiągalny. Mogę zostawić wiadomość. Pojawia się sygnał. Nie wiem, co powiedzieć, nie chcę podać nazwiska. Mogłoby to stanowić dla mnie zagrożenie.

Odkładam słuchawkę i dalej wertuję terminarz. Przeglądam ostatnie upomnienia dotyczące niezapłaconych rachunków, widzę także termin umówionej wizyty u dentysty. Musi byćjakis trop! Jedno nazwisko zwróciło moją uwagę, Rachel Carlyle. Przed napadem na

mnie spotkałem się z nią sześć razy. Ogarnia mnie nadzieja.

Wertując dalej, przejrzałem zapiski z poprzedniego miesiąca. Jest drugi czwartek sierpnia, zapisałem Sarah Jordan, dziewczynkę, która czekała na schodach na Mickey. Nie przypominam sobie wyglądu Sarah. Miałaby dzisiaj dwanaście, trzynaście lat?

Na górze Ali pakuje moje ubrania.

- Czy ma pan zapasowe prześcieradła? - pyta.

- Tak, zaraz je wyjmę.

Szafa jest w przedpokoju tuż przy koszu na brudną bieliznę. Opieram kulę o drzwi i wyjmuję prześcieradła.

Z tyłu półki jest sportowy worek. Wyciągam go, stawiam na podłodze i szukam prześcieradeł, po chwili znajduję je. I dopiero wówczas nadchodzi mnie dziwna myśl. Patrzę na worek. Wiem, że o wielu rzeczach zapomniałem, lecz w żadnym wypadku nie mogę sobie przypomnieć, abym miał taki worek.

Opierając się na kolanie, otwieram błyskawiczny zamek i wewnątrz znajduję cztery paczki w kolorze jasnopomarańczo-wym. Zdecydowanym ruchem zrywam taśmy z paczek i otwieram je. Zrywam jeszcze jedną warstwę opakowania i znajduję aksamitną sakiewkę. Nieopatrznie otwieram ją i na dłoń wysypują się diamenty, spadając między palcami na ziemię.

Po schodach schodzi Ali.

- Znalazł pan prześcieradła?

Nie mam już czasu, aby cokolwiek wymyślić. Patrzę na nią i nie potrafię wyjaśnić niczego. Mój głos brzmi ochryple.

- Diamenty! Muszą pochodzić z okupu!

Ali nakłada dla mnie lodu z zamrażalnika do szklanki z whisky. Sobie robi kawę, siada na skraju ławki i czeka na wyjaśnienie.

Nie mam żadnego wyjaśnienia. Czuję się jak ktoś całkowicie zagubiony w zupełnie obcym mu miejscu.

- Muszą być warte fortunę - mówi Ali.

- Dwa miliony funtów - odpowiadam szeptem.

- Skąd pan wie? - pyta.

- Nie mam pojęcia. Należą do Kuzneta.

W jej oczach widzę strach. Ona zna niejedną historię o diamentach, jakie opowiadano na kursach policyjnych.

Ponownie przykuwają moją uwagę skrawki plastiku rozrzucone na podłodze i ślady

pianki. To w tym miejscu owijałem paczkę plastikiem; cztery identyczne opakowania owinałem sztucznym tworzywem fluorescencyjnym. Paczki miały unosić się na wodzie.

Diamenty łatwo przeszmuglować i trudno odkryć. Nie mogą być odnalezione przez psy policyjne, nie są także oznaczone numerami seryjnymi. Sprzedanie ich nie sprawia żadnych trudności. Mnóstwo jest kupców w Antwerpii lub w Nowym Jorku, gdzie łatwo sprzedać pochodzące z Angoli, Sierra Leone i Konga diamenty „naznaczone krwią”.

Ali pochyla się i opiera łokcie na stole.

- Dlaczego ten okup jest tutaj? - pyta.

- Nie wiem. - Co miały znaczyć wypowiedziane do mnie w szpitalu słowa Alekseia: chcę córkę albo zwrot diamentów?

- Musimy je oddać - upiera się Ali. Długo trwa milczenie.

- Nie myśli pan poważnie! - mówi Ali. - Nie zamierza ich chyba pan zatrzymać?

- Oczywiście, że nie.

Ali wpatruje się we mnie. Przykro mi, że w jej oczach wyglądam na faceta przegranego, pozbawionego autorytetu. Odwraca głowę, jakby unikała myśli o tych wszystkich okropnościach i niepowodzeniach, jakie mnie w życiu spotkały. Zastanawiam się, czy to z powodu tych diamentów Keebal domagał się nakazu rewizji w moim mieszkaniu, a „strażak” usiłował mnie zabić.

U drzwi rozlega się dzwonek. Oboje podrywamy się.

- Szybko! Ukryjmy je!

- Spokojnie, otwórz drzwi - mówię.

Bardzo wcześnie poznałem pewne zasady obowiązujące w policji. Według zasady pierwszej nigdy nie należało przeszukiwać ciemnego magazynu w towarzystwie uzbrojonego gliny o przydomku „Pistolet”, który ochoczo strzelał bez najmniejszego powodu. Druga zasada mówiła, iż najpierw sobie należy zbadać tętno i wziąć głęboki wdech.

Paczki włożyłem do torebki, a na stole zauważyłem krople wody. Paczki musiały być przedtem w wodzie.

Słyszę głos Keebala. Stoi w holu, w świetle widzę jego sylwetkę. Ali odwraca się w moją stronę.

- Kupiłem ciastka - ogłasza Keebal. W ręku trzyma torbę na zakupy.

- Więc już wejdź - mówię.

Ali odwrócona do niego plecami wygląda na śmiertelnie przerażoną.

- Ali, proszę nastawić czajnik - mówię i prowadzę ją do kuchenki.

- Co pan robi? - szepcze, lecz ja już odwracam się w stronę Keebala.

- Jaką herbatę pijesz?

- Z odrobiną mleka.

- Obawiam się, że nie mamy mleka. Trzyma w ręku karton mleka.

- O wszystkim pomyślałem - mówi.

Ali podaje filiżanki i schodzi nam z oczu, ponieważ trzęsą się jej ręce. Keebal zauważa na krześle worek sportowy.

- Zrzuć go po prostu na podłogę - mówię do niego. Bierze worek z krzesła i rzuca go na podłogę przy swoich nogach. Ali, trzymając w ręku filiżanki do herbaty, zamiera w bezruchu.

- Co się więc stało, jak myślisz, Ruiz? Nawet jeżeli mówisz prawdę, że nic nie pamiętasz, musisz mieć na ten temat jakąś teorię.

- Nie ma nic bardziej konkretnego od teorii.

Keebal patrzy na swoje buty, które oparł na sportowym worku. Pochyla się, zdmuchuje pył z czubka.

- Chcesz poznać moją teorię? - pytam, usiłując zwrócić jego uwagę. - Sądzę, że ma to jednak coś wspólnego z zaginięciem Mickey Carlyle.

- Ona zmarła przed trzema laty - mówi.

- Ciała nie znaleziono - przypomniałem.

- Za zamordowanie dziewczyny facet trafił do więzienia. I to uprawomocnia jej śmierć. Sprawa jest zamknięta. Ty ją rozgrzebujesz i jeżeli nie będziesz miał wszechmocnej władzy Boga, wpakujesz się w poważne kłopoty - powiedział.

- A jeżeli Howard Wavell jest niewinny? Keebal jest wyraźnie rozbawiony.

- To ta twoja teoria! Co chcesz zrobić? Wypuścić pedofila na wolność? Mówisz jak jego adwokat. Nie za to ci płacą, lecz za to, abyś chronił ludzi i dobrze wykonywał obowiązki służbowe. Jeżeli przyczynisz się do wypuszczenia Howarda Wavella z więzienia, postąpisz wbrew swym obowiązkom policjanta.

W ogrodzie rozbiły się słońce. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, kończąc picie herbaty. Nie tknęliśmy ciasta. W końcu Keebal wstał, podniósł worek i położył na krzesło. Rozejrzał się po kuchni, zerknął przenikliwie na sufit, jakby chciał go przejrzeć na wylot.

- Sądziś, że odzyskasz pamięć? - zapytał.

- Będę cię o tym informował na bieżąco - odparłem.

- To dobrze.

Kiedy odszedł, Ali z uczuciem ulgi i wyrazem rozpaczony na twarzy pochyliła głowę nad stołem. Była przerażona, lecz zachowała się dzielnie. Nie rozumie tego, co się wokół niej

dzieje. Wziąłem worek i rzuciłem go pod drzwi.

- Co pan robi? - zapytała.

- Nie możemy go tutaj zostawić - odrzekłem.

- Przecież z jego powodu o mały włos pan nie zginął - powiedziała z kamienną twarzą.

- Na razie nie przychodzi mi nic lepszego do głowy. Muszę dalej prowadzić śledztwo.

Tylko zbieranie okruchów daje mi jakąś szansę wyjścia z tej sytuacji.

- A co będzie, jeżeli nie odzyska pan pamięci? - szepnęła.

Nie odpowiedziałem na to pytanie. Kiedy biorę pod uwagę możliwość fiaska, wszelkie rozważane przeze mnie scenariusze działań mają w końcu posmak gorzkiej i trudnej do przełknięcia prawdy. W mojej karierze zawodowej wsadzałem ludzi do więzienia. Ja tam nie pójde.

Moja bielizna i ubrania wraz z torbą pełną listów są już w samochodzie Ali. Są tam także diamenty. Nigdy nie zaznałem rozkoszy posiadania dwóch milionów funtów. Nie wiem również, jakich doświadcza się wrażeń, prowadząc ferrari, nie miałem także żony, która kunsztownym ruchem języczka potrafiłaby wiązać węzłki z szypulek wiśni. Może jednak łatwiej powinienem ulegać tego rodzaju wrazeniom.

Profesor ma rację. W swych śledczych zmaganiach muszę podążać pewnym tropem: odnajdować wszelkiego rodzaju korespondencję, zanotowane rozmowy telefoniczne, zapisane spotkania. Muszę więc odtworzyć swe kroki z przeszłości, dopóki nie trafię na ślad korespondencji dotyczącej okupu i jakichkolwiek dowodów świadczących, że Mickey żyje. W przeciwnym wypadku niewiele zdziałam.

Sarah Jordan mieszka za rogiem, niedaleko bloku mieszkalnego Dolphin. Wybrałem się do niej. Drzwi otwiera jej matka, pamięta mnie. Z tyłu za panią Jordan widzę jej męża, siedzi na kanapie z gazetą na kolanach, przed nim włączony telewizor.

- Sarah niebawem wróci - mówi matka. - Poszła po kilka drobiazgów do supermarketu. U pana wszystko w porządku? - pyta.

- Tak.

- Pan rozmawiał z Sarah przed kilkoma tygodniami.

- Tak, chciałbym zamienić z nią jeszcze parę słów.

Supermarket jest obok, za rogiem. Zostawiam Ali u państwa Jordan i idę poszukać dziewczynki, cieszę się, że mogę rozprostować nieco nogi.

Przy jasno oświetlonych przejściach pełno jest pustych kartonów, utrudniających klientom dojście do wózków.

Czekając na Sarah, widzę dziewczynę w długim płaszczu, wpatrującą się uważnie w

koniec przejścia. Rozgląda się wokoło, po czym szybkim ruchem chowa do kieszeni tabliczkę czekolady. Rękę przyciska do boku, coś jeszcze ma pod płaszczem.

Poznaję Sarah. Wyrosła, wyszczupiała. Jasnobrązowa grzywka opada jej na czoło, a zgrabny nos pokrywają piegi.

Patrzę na zamontowaną w suficie kamerę telewizyjną, skierowaną nie tam, gdzie stoi Sarah. Dziewczyna wie, że jest poza jej polem widzenia. Owinąwszy się płaszczem, idzie w kierunku kasy, wyklada torbę płatków śniadaniowych i paczkę cukierków. Stojąc w kolejce do kasy, zajęta jest lekturą magazynu ilustrowanego. Nie zwraca uwagi na kasjerkę ani na stojących przed nią klientów.

Przed nią w kolejce stoi matka z dzieckiem. Sarah podnosi głowę i widzi, że ją obserwuję. Natychmiast się odwraca i liczy drobne pieniądze. Strażnik, Sikh z pochodzenia, w jasnoniebieskim turbanie, ukryty za dużym plakatem reklamowym, obserwował ją od dłuższego czasu przez okno. Wyciągnął rękę, jakby sięgał po broń. Padające na niego z tyłu światło rozjaśnia jego turban niczym aureola, ma twarz surowego sędziego.

Dopóki nie chwycił jej za rękę i wykręcił do tyłu, Sarah nie zdaje sobie sprawy z sytuacji, w jakiej się znalazła. Spod jej płaszcza wypadły dwa kolorowe pisma. Krzyczy i usiłuje się wyrwać. Nagle wszyscy zamierają. Kasjerka przestaje żuć gumę, w bezruchu staje pracownik układający towar na półkach, zamiera także w bezruchu masarz krojący szynkę...

Od mrożonego kurczaka szczypią mnie palce. Nie pamiętam, kiedy wziąłem go ze sklepowej zamrażarki. Przepychając się, dochodzę do kasy i krzyczę:

- Sarah, mówiłem, abyś na mnie zaczekała.

Zauważyłem, że strażnik się zawahał.

- Przepraszam za to zamieszanie, nie wzięliśmy koszyka - mówię. Z kieszeni płaszcza dziewczyny wyjmuję tabliczkę czekolady i kładę na taśmie. Potem zbieram z podłogi pisma ilustrowane, które wypadły z płaszcza, i wyjmuję z paska spodni paczkę herbatników.

- Ona chciała to ukraść! - protestuje strażnik.

- Ona to tylko trzymała. Proszę zostawić ją w spokoju.

- A kim pan, u diabła, jest? Pokazałem plakietkę policyjną.

- Jestem facetem, który oskarży pana o napad, jeżeli nie pozwoli jej pan odejść.

Tymczasem Sarah wyjmuje z kieszeni karton z herbatą. Potem cierpliwie czeka, dopóki kasjer nie dokona obliczeń i nie zapakuje towarów do torby.

Zabieram zakupy, wychodzę przez otwierające się automatycznie drzwi, a Sarah podąża za mną. W drzwiach spotykamy menedżera, który oświadcza, iż nie chce jej więcej widzieć w tym sklepie.

- Zapłaciła za zakupy, więc ma prawo wrócić - odpowiadam i mijając go, wychodzę.

Przez chwilę myślę, że Sarah ucieknie, ona zaś odwraca się po torbę z zakupami.

- Nie tak szybko - mówię.

Zdejmuje płaszcz, ma na sobie dżinsy koloru khaki i bluzkę z krótkimi rękawami.

- Nie bardzo przydatny do tych rzeczy - mówię, wskazując płaszcz.

- Dziękuję za radę. - W jej głosie jest sztuczna hardość.

- Napijesz się czegoś zimnego? - pytam.

Stoi, wyraźnie spięta. Czeka na reprimendę, na tłumaczenie, że kradzież jest złym postępkiem. Trzymam torbę z zakupami.

- Chcesz dostać zakupy, to napij się czegoś zimnego. Idziemy do baru, gdzie podają soki, i siadamy przy stole na zewnątrz. Sarah zamawia koktajl mleczny z bananami, potem patrzy łapczywym wzrokiem na bułeczki.

Obserwując, jak zajada bułeczki, odczuwam głód.

- Spotkaliśmy się przed kilkoma tygodniami. Potakująco skinęła głową.

- O czym rozmawialiśmy? Spojrzała na mnie dziwnym wzrokiem.

- Miałem wypadek. Pewnych rzeczy nie mogę sobie przypomnieć. Miałem nadzieję, że mi w tym pomożesz.

Patrzy na moją nogę.

- Ma pan na myśli utratę pamięci?

- Coś w tym rodzaju. Zajada kolejną bułkę.

- Dlaczego wówczas chciałem się z tobą zobaczyć?

- Chciał się pan dowiedzieć, czy kiedykolwiek obcinałam Mickey włosy lub przeliczałam pieniądze w jej skarbonce.

- Czy mówiłem dlaczego?

- Nie.

- O czym jeszcze rozmawialiśmy?

- Nie pamiętam, sądzę, że o różnych sprawach.

Sarah patrzy na swoje buty, usiłuje wcisnąć je między nogi krzesła. Słońce przygrzewa jakby w ostatnim wysiłku przed zimą.

- Czy w ogóle myślisz o Mickey? - pytam.

- Czasami.

- Ja również. Masz teraz chyba mnóstwo nowych przyjaciółek.

- Tak, lecz Mickey była inna. Ona była jak... wyrostek robaczkowy.

- Chcesz powiedzieć, że uzupełniałyście się?

- Tak, była moim drugim sercem.

- A to nie to samo co jakiś tam dodatek.

- Zgadzasz się, była raczej moją drugą ręką. - Sarah popija koktajl.

- Czy widziałaś panią Carlyle?

Sarah palcem zbiera pianę z brzegu kubka.

- Ona nadal mieszka w tym samym domu. Mama mówi, że niedobrze mieszkać tam, gdzie kogoś zabito, lecz ja myślę, że pani Carlyle z oczywistych względów została w tym mieszkaniu.

- Co to znaczy?

- Czeka na powrót Mickey. Nie twierdzą, że Mickey wróci. Pomyślałam tylko, że pani Carlyle chce wiedzieć, gdzie ona jest. Dlatego raz w miesiącu odwiedza go w więzieniu i rozmawia z nim.

- Kogo odwiedza?

- Pana Wavella.

- Odwiedza go?!

- Co miesiąc. Mama mówi, że jest w tym coś nienormalnego. Przyprawia ją to o gęsią skórę. - Sarah patrzy na mój zegarek. - Jestem spóźniona - mówi. - Będę miała kłopoty, mogę już wziąć zakupy?

Podaję jej torbę z zakupami i dziesięciofuntowy banknot, mówiąc:

- Jeżeli jeszcze raz przyłapię cię na kradzieży, będziesz przez cały miesiąc myła podłogi w supermarketach.

Przewraca oczami, zabiera płaszcz, torbę z zakupami oraz mojego zamrożonego kurczaka i pędzi przed siebie na rowerze.

Myśl, że Rachel Carlyle odwiedza Howarda Wavella w więzieniu, zmroziła mnie.

Spotkania pedofila o miłej powierzchowności z rozpaczającą matką zaginionej dziewczynki wydają mi się czymś z gruntu złym, objawem jakiejś choroby. Przypuszczam jednak, że wiem, dlaczego tak się dzieje. Rachel chce odnaleźć Mickey. Robi wszystko, aby córka wróciła do domu.

Pamiętam coś, co powiedziała mi dawno temu. Siedzieliśmy i rozmawialiśmy, Rachel nerwowo stuknęła palcami o kolana. Powiedziała mi wówczas, że ilekroć Mickey wychodziła z domu, choćby na chwilę, żegnały się, jakby było to ostatnie ich spotkanie w życiu.

- Czasami ludzie, rozstając się, już nie wracają do siebie - powiedziała. - Dlatego zawsze powinni się żegnać.

Usiłowała zapamiętać każdy szczegół z życia Mickey - to, w czym chodziła, gry, w

jakie się bawiła, ulubione piosenki, to, jak marszczyła brwi, kiedy rozprawiała o czymś niezmiernie dla niej ważnym, jej wybuchy śmiechu przy stole, po których krztusiła się, pijąc mleko. Pragnęła zapamiętać tysiące drobiazgów, które we wspomnieniach przywróciłyby życie ukochanej córki, nawet tak krótkie jak życie Mickey.

W barze spotkałem Ali i opowiedziałem jej rozmowę, jaką odbyłem z Sarah na temat zniknięcia Mickey.

- Zamierza pan zobaczyć się z Howardem?

- Tak.

- Czy on mógłby przekazać okup?

- Tak, lecz z czyjąś pomocą.

Wiem, o czym myśli, lecz tego mi nie powie. Ali zgadza się z poglądem Campbella. Każde wyjaśnienie może być fałszywe, w tym także to, które dotyczy wykorzystania przez Howarda żądania okupu dla uzasadnienia i wygrania w sądzie rozprawy apelacyjnej.

Jadąc do więzienia Wormwood Scrubs, przejechaliśmy pod autostradą Westway i wjechaliśmy w Scrubs Lane. Młode dziewczęta grały w hokeja na trawie, podczas gdy chłopcy siedzieli wpatrzni w niebieskie spódniczki wirujące wokół zabłoconych kolan i kształtnych ud.

Wormwood Scrubs, oczyszczony z brudu i śmieci, wygląda jak plan zdjęciowy do filmowej komedii muzycznej z lat pięćdziesiątych. Są tam dwie czteropiętrowe wieże, a w środku łukowata brama z żelaznymi zasuwami.

Usiłowałem wyobrazić sobie Rachel Carlyle składającą w tym miejscu wizyty. Oczyma duszy widziałem ją wysiadającą z czarnej taksówki na podjeździe. Ostrożnie stąpała po kocich łbach, aby nie zwichnąć sobie kostki. Nie pyszniła się, ubierała się skromnie, mimo rodzinnego bogactwa.

Centrum informacyjne dla gości i poczekalnia były na prawo od głównego wejścia w tymczasowych pomieszczeniach. Już zbierały się tam żony i przyjaciółki, niektóre z dokazującymi dziećmi.

Wewnątrz przeszukiwano je i sprawdzano dokumenty. Rzeczy osobiste oddawano do przechowania, a prezenty prześwietlano. Każdego, kto pojawił się w ubraniu przypominającym strój więźnia, proszono o zmianę garderoby.

Ali, przyglądając się tej ponurej wiktoriańskiej budowli, okazywała wyraźne przygnębienie.

- Byłaś kiedykolwiek w środku? - zapytałem.

- Raz czy dwa razy. Powinni zburzyć to miejsce - oświadczyła.

- Miejsce to nazywają odstrasającym.

- Robi na mnie wrażenie - odparła.

Na chwilę ją zostawiłem, otworzyłem bagażnik i wyjąłem diamenty. Dwie paczki włożyłem do wewnętrznej kieszeni płaszcza, a dwie pozostałe do zewnętrznej. Płaszcz pozostawiłem na siedzeniu.

- Chciałbym, abyś pozostała w samochodzie i pilnowała diamentów.

Skinęła głową.

- Weźmie pan kamizelkę kuloodporną? - zapytała.

- Przypuszczam, że na terenie więzienia jestem bezpieczny.

Wchodząc, pokazałem swoją policyjną odznakę. Po kilku minutach byłem już na drugim piętrze, w dużej sali z długimi rzędami stołów. Po jednej stronie stali więźniowie, po drugiej odwiedzający. Takie usytuowanie więźniów i odwiedzających uniemożliwiało jakkolwiek stały fizyczny kontakt poza podaniem sobie ręki i przywitaniem się z dziećmi.

Na korytarzach rozlegały się echa butów. Każdy z odwiedzających podał strażnikom nazwisko więźnia i czekał na jego przyjście.

Przyglądałem się młodemu więźniowi, który witał się z żoną czy przyjaciółką. Całując dziewczynę w rękę, przytrzymał ją. Przytulili się do siebie, jakby chcieli nasycić się tym samym powietrzem. Więzień wsunął rękę pod stół.

Nagle strażnik chwycił krzesło kobiety i odwrócił je. Upadła na podłogę, chroniąc rękami wypukły brzuch. Na miłość boską, ona jest w ciąży! - pomyślałem. Więzień chciał, być może, poczuć bicie serca swego nienarodzonego jeszcze dziecka. Ten jego ojcowski gest nie spotkał się jednak ze zrozumieniem strażników.

- Panie komisarzu Ruiz, nie może pan tak stać w kącie.

Obok zjawił się naczelnik więzienia, mężczyzna z wydatnym torsem, łysy, bliski pięćdziesiątki. Kończy kanapkę, ociera wargi serwetką, zostawiając na policzku kawałek jajka.

- Co pana sprowadza?

- Chyba panująca tutaj atmosfera.

Wybuchła rubasznym śmiechem, obserwując przez szybę zachowanie więźniów i odwiedzających.

- Kiedy ostatnio byłem tutaj? - pytam.

- Nie pamięta pan?

- To starość. Coraz bardziej jestem roztargniony.

- Przed czterema tygodniami; interesowała pana kobieta, która odwiedzała Wavella.

- Pani Carlyle.

- Tak. Nie ma jej dzisiaj. Przychodzi raz na miesiąc z tym samym prezentem: katalogiem zdjęć dzieci. Byłoby lepiej, gdyby ten pieprzony zboczeniec nie skorzystał z prawa apelacji!

Usiłuję wyobrazić sobie Howarda siedzącego naprzeciwko Rachel. Czy dotykał jej? Czuję ukłucie zazdrości, gdy wyobrażam sobie, jak zaglądał w jej dekolt. Żyjemy w świecie, który jest chory.

- Muszę z nim porozmawiać.

- Jest w izolatce.

- Dlaczego?

Naczelnik patrzy na swoje ręce.

- Jak już mówiłem, wszyscy spodziewają się, że długo nie pożyje. To on zabił córkę Alekseia Kuzneta, a więc obojętnie, jak na ten fakt spojrzymy, już wydano na niego wyrok śmierci.

- Jak dotąd, udało się wam go ochronić. Uśmiechnął się cierpko.

- Można tak powiedzieć, ale zaledwie po czterech dniach jego pobytu w więzieniu ktoś próbował poderżnąć mu gardło żyłką. Cały miesiąc spędził w szpitalu. Od tego czasu nikt się do niego nie dobierał. Przypuszczam więc, że Aleksei chce, aby on żył. Howarda to wszystko już niewiele obchodzi.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- Jak już mówiłem, nadal odmawia przyjmowania insuliny. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy zapada w śpiączkę cukrzycową. Skoro on sam nie troszczy się o swój los, dlaczego miałyby troszczyć się Jej Królewska Mość? Pozwoliłbym łobuzowi umrzeć.

Naczelnik wyczuwa, że nie zgadzam się z jego poglądem.

- Komisarzu, wbrew temu, co mówią, nie jestem dla więźniów nianią. Nie głaszczę ich po główce i nie mówię: biedactwo, miałeś okropne dzieciństwo, bronił cię marny adwokat, miałeś pecha trafić na sędziego wydającego z upodobaniem najwyższy wymiar kary.

- Chciałbym się jednak z nim zobaczyć.

- Nie został wpisany na dzisiejszą listę więźniów oczekujących wizyty.

- Może pan jednak wydać polecenie, aby go przyprowadzono.

Naczelnik powiedział coś ściszonego głosem do starszego strażnika, który chwycił za telefon i przekazał dalej jego polecenie. Zaraz ktoś z głębi tego ponurego budynku przyprowadzi Howarda. Mogę go sobie wyobrazić leżącego na wąskiej pryczy w kwaśnym powietrzu więziennej celi. Jeżeli jesteś pedofilem i przebywasz w więzieniu, twoja przyszłość

jawi się groźnie. Nie ma to nic wspólnego z wakacjami następnego lata bądź z weekendem nad jeziorem. Twoja przyszłość w celi to jedynie perspektywa jutrzejszej porannej pobudki i wieczornego apelu. Kolejnych szesnaście godzin w celi to być może wszystko, co może cię jeszcze dobrego spotkać na tym świecie.

Czas odwiedzin dobiega końca. Howard idzie pod prąd wracających do cel więźniów, ledwo powłócząc nogami. Rozgląda się po sali przyjęć, wypatrując swego gościa, być może Rachel.

Minęło ponad czterdzieści lat, a ja nadal widzę w nim grubasa ze szkolnej ławy, zmagającego się z astmą. Był postacią niemalże równie tragiczną jak Rory McIntyre, lunatyk, który w rocznicę założenia naszej szkoły spadł z balkonu trzeciego piętra. Mówi się, że lunatycy, spadając, budzą się tuż nad ziemią. Lecz Rory nie obudził się, nie wydał z siebie głosu.

Howard wcale nie jest zaskoczony moim widokiem. Zatrzymuje się, pociera szyję i kręci głową jak żółw lądowy. Podchodzę do niego. Patrząc na mnie, mruga powiekami.

- Halo, Howard, chciałbym z tobą porozmawiać na temat Rachel Carlyle.

Uśmiecha się, lecz milczy. Widzę szramę na jego szyi tuż pod podbródkiem.

- Odwiedza cię. Dlaczego?

- Powinien pan ją o to zapytać.

- O czym rozmawiacie? Patrzy na strażników.

- Niczego nie muszę panu mówić. W ciągu pięciu dni składałam wnioski apelacyjne.

- Nie wyjdiesz stąd, Howard. Nikt nie jest zainteresowany tym, abyś został wypuszczony na wolność.

Na jego twarz ponownie zawitał uśmiech. Głos niektórych ludzi zupełnie do nich nie pasuje. Taką postacią jest Howard. Mówiąc, popiskuje, jego blada twarz wydaje się odłączona od ciała i niesiona łagodnym wiatrem niczym balon.

- Nie wszyscy mogą być doskonali, panie Ruiz. Popelniamy błędy i ponosimy ich konsekwencje. Różnimy się tym, że ja mam swego Boga. On mnie osądzi i wyzwoli od więzienia. Czy zastanawiał się pan kiedykolwiek, kto pana osądza? - spytał.

Wydawał się pewny siebie. Zastanawiałem się dlaczego. Może wie o żądaniu okupu. Jakakolwiek sugestia, pochodząca skądkolwiek, że Mickey żyje, automatycznie doprowadzi do wznowienia procesu.

- Dlaczego przychodzi tutaj pani Carlyle?

Na moje pytanie podnosi ręce w symbolicznym geście bezradności.

- Chce wiedzieć, co zrobiłem Mickey. Obawia się, że zanim komukolwiek powiem o

okolicznościach śmierci dziewczynki, mogę umrzeć.

- Nie bierze pan, tak jak należy, zastrzyków z insuliny - mówię.

- Wie pan, co się dzieje, jeżeli ktoś zapada w śpiączkę cukrzycową? Najpierw ma poważne kłopoty z oddychaniem, potem zasycha mu w gardle, spada ciśnienie krwi i wzrasta tętno. Potem następują zaburzenia wzroku i pieczenie oczu. W końcu traci się przytomność. Bez natychmiastowej pomocy medycznej ustanie praca nerek i nastąpi trwałe uszkodzenie mózgu. Wkrótce potem zgon.

Wydawał się upajać tymi tragicznymi szczegółami, odniosłem wrażenie, że oczekuje nadejścia tych objawów.

- Czy powiedział pan Rachel, co stało się z Mickey?

- Powiedziałem jej prawdę.

- Proszę ją powiedzieć i mnie.

- Powiedziałem pani Carlyle, że nie jestem człowiekiem bezgrzesznym, lecz tego przestępstwa nie popełniłem. Wiele razy zgrzeszyłem, ale ten grzech nie obciąża mojego sumienia. Dla mnie życie ludzkie jest świętością. Głęboko wierzę, że wszystkie dzieci są darem Boga, przychodzą na ten świat czyste i niewinne. Okazują niekiedy złość i nienawiść, ponieważ my ich tego uczymy. I tylko dzieci, tak naprawdę, mogą być w mojej sprawie sędziami.

- W jaki sposób mają cię osądzać? Nie odpowiedział.

Widziałem, jak z ramion spływają mu strużki potu, przyklejając koszulę do ciała, rozdzielają się i znów łączą. Widziałem także przez wilgotne miejsca koszuli piegi i pieprzyki. Lecz zobaczyłem coś jeszcze na plecach, coś, co spowodowało, że płótno koszuli stało się żółte.

Aby na mnie spojrzeć, Howard musiał patrzeć przez prawe ramię. Zauważyłem na jego twarzy grymas. W tym momencie siłą odwróciłem go plecami do siebie. Nie bacząc na jego kwilenie, podniosłem koszulę. Ciało pod nią wyglądało jak roztarty na miazgę melon. Zauważyłem także rany i wilgotne ślady krwi oraz żółte drobiny pyłu.

W naszą stronę zaczęli bieć strażnicy. Jeden z nich błyskawicznym ruchem zatkał mu usta chusteczką.

- Natychmiast lekarza! - krzyknąłem. - Ruszajcie! Rozległy się krzyki i rozdzwoniły telefony. Howard jęczy i wije się w bólach. Nagle wyprostowując ramiona, zamiera na stole bez ruchu.

- Kto ci to zrobił? Milczy.

- Odpowiedz! Kto to zrobił?

Mruczy coś pod nosem. Nie rozumiem. Pochylam się i słyszę pojedyncze słowa.

- Pozwólcie maluczkiemu przyjść do mnie, nie wzbraniajcie im... nigdy nie ulegajcie pokusie...

Ma coś wsuniętego w rękaw koszuli. Nie stawiając oporu, pozwala to coś wyciągnąć. Jest to drewniana rączka ze sznurem od skakanki splecionym z trzydziestocentymetrowym drutem ogrodzeniowym. Mamy więc do czynienia z samobiczową-niem, samookaleczeniem i poszczeniem. Zastanawiałem się, czy ktoś to rozumie i czy może mi wyjaśnić?

Howard odtrąca moją rękę i wstaje. Nie czeka na lekarza i nie chce już z nikim rozmawiać. Powłócząc nogami, ledwo dysząc, oddala się. Widzę jego zaplamione krwią plecy. W ostatniej chwili odwraca się, a ja oczekuję, że spojrzy na mnie wzrokiem maltretowanego psa.

Spotkałem się z innym spojrzeniem. Człowiek, do którego uwięzienia przyłożyłem rękę, który biczował się sznurem od dziecięcej skakanki splecionym z drutem, który codziennie jest opluwany, wyszydzany i gnębiony... ten człowiek spojrzał na mnie wzrokiem pełnym współczucia, jakby odczuwał smutek z mego powodu.

Minęły dziewięćdziesiąt cztery godziny od zaginięcia Mickey i rewizji, którą przeprowadziłem w mieszkaniu numer dziewięć w bloku Dolphin.

- Niespodzianka, niespodzianka - powiedziałem, kiedy Howard otworzył drzwi.

Wytrzeszczył oczy, otworzył usta, lecz nie rzekł ani słowa. Miał na sobie górną część pizamy, krótkie spodnie i ciemnobrązowe mokasyny, podkreślające biel łydek.

Jak zwykle, zacząłem od tego samego, mówiąc, że wiele wiem na jego temat. Nigdy nie ożenił się. Wychował się w War-rington, w protestanckiej rodzinie jako najmłodszy z siedmiorga dzieci. Rodzice nie żyli. Miał dwadzieścioro ośmiu bratanków i siostrzeńców, jedenaście razy był ojcem chrzestnym. W 1962 roku trafił do szpitala po wypadku samochodowym. W rok później przeżył załamanie nerwowe i zgłosił się dobrowolnie do kliniki w północnej dzielnicy Londynu, leczono go ambulatoryjnie. W tym okresie pracował jako magazynier, pracownik fizyczny, malarz pokojowy, dekorator wnętrz, kierowca samochodów dostawczych, a ostatnio jako ogrodnik. Trzy razy w tygodniu bywał w kościele, śpiewał w chórze, pasjonował się biografiami, był uczulony na truskawki, w chwilach wolnych zajmował się fotografią.

Chciałem, aby w mojej obecności poczuł się piętnastoletnim chłopcem, którego przyłapałem na onanizowaniu się w kabinie prysznicowej w Cottesloe Park, oraz żeby nie miał najmniejszej wątpliwości, że cokolwiek mi powie, będę wiedział, iż kłamie. Strach i poczucie niepewności to w znanym nam świecie najpotężniejsza broń.

Zanim cokolwiek powiedziałem, mruknął:

- Jednej rzeczy nie wziąłeś pod uwagę.

- Czego?

- Jestem cukrzykiem. Codzienne zastrzyki insuliny, moje życie się do tego sprowadza.

- Mój wujek również na to chorował.

- Nie gadaj. Wujek rzucił czekoladki, zajął się joggingiem i cukrzyca ustąpiła. Stale to powtarzasz. Jak również to: Chryste, dawno bym nie żył, gdybym szprycował się codziennie narkotykami. Albo: Wszystko z powodu tej otyłości, nieprawda?

Niektórzy ludzie dyskretnie tropią naszą przeszłość; pomyślałem o detektywach i psychiatrach. Używają do tego celu różnych technik i stosują różnego rodzaju metody.

- Czego tutaj szukasz? - zapytał.

- Dowodów. To zadanie detektywów. Zbieramy dowody, aby uzasadnić nasze oskarżenia. Dzięki dowodom hipotezy stają się teoriami, a teorie zamieniają się w sprawy o popełnienie przestępstwa.

- Jestem sprawą?

- Sprawą, którą prowadzimy.

To była prawda. Nie mógłbym powiedzieć, czego szukam, dopóki tego nie znalazłem - ubrania, odcisków palców, taśm wideo, zdjęć siedmioletniej sepleniącej dziewczynki...

- Chcę adwokata - powiedział.

- Dobrze, możesz skorzystać z mego telefonu. Potem wyjdziemy na zewnątrz i na schodach budynku odbędziemy wspólną konferencję prasową.

- Nie możesz mnie stąd zabrać.

Na zewnątrz pełno było kamer telewizyjnych, ustawionych na chodniku, czyhających na każdą wychodzącą z budynku osobę.

Howard usiadł na klatce schodowej, trzymając się kurczowo poręczy.

- Czuję środek dezynfekujący.

- Używałem go do czyszczenia.

- Rozplączę się, Howard. Co czyściłeś?

- Rozlałem chemikalia w ciemni.

Zauważyłem zadrapania na przegubach jego dłoni. Pokazałem mu.

- Skąd to masz? - zapytałem.

- Dwa koty pani Swinger uciekły do ogrodu, gdy jeden z pana policjantów zostawił otwarte drzwi. Pomagałem je złapać.

Skupiony, słuchał, jak otwierałem szuflady i przesuwałem meble.

- Howard, znasz historię Adama i Ewy? To najważniejsza chwila w dziejach człowieka, pierwsze kłamstwo. Tym się właśnie różnimy od zwierząt. I nie ma to nic wspólnego z rozwojem wyższych form osobowości ludzkiej, ze zdolnością człowieka do abstrakcyjnego myślenia, a także z umiejętnością łatwego zdobycia zaufania. Okłamujemy się wzajemnie, rozmyślnie wprowadzamy w błąd. Myślę, że jesteś osobą prawdomówną, lecz przekazujesz mi fałszywe informacje. Kłamca ma szansę wyboru.

- Mówię prawdę - odparł.

- Czy masz jakieś tajemnice?

- Nie.

- Czy ty lub Mickey mieliście jakieś tajemnice? Potrząsnął głową.

- Czy jestem aresztowany?

- Nie, pomagasz w dochodzeniu. Jesteś nam bardzo pomocny. Zauważyłem to od początku, kiedy robiłeś zdjęcia i drukowałeś ulotki.

- Chciałem pokazać ludziom, jak wygląda Mickey.

- Jesteś pomocny. Taki właśnie jesteś.

Rewizja trwała trzy godziny. Przejrzeliliśmy wszystkie kąty i zakamarki, oczyściliśmy dywany, ubrania, rozmontowaliśmy umywalki i zlewozmywaki. Nadzór nad rewizją sprawował George Noonan, weteran z wielkim doświadczeniem w prowadzeniu śledztwa na miejscu przestępstwa. Jest albinosem, ma całkowicie białe włosy i jasną cerę. Z wielką niechęcią przeprowadza wizje lokalne bądź rewizje, jeżeli nie ma zwłok. Uważa, że zwłoki zawsze pomagają w znalezieniu sprawcy przestępstwa. Nagle George zwraca się do mnie:

- Może chciałbyś to zobaczyć?

Idę za nim do przedpokoju, a potem do salonu. Zakleił wszelkie źródła światła, zaciemniając okna taśmą i oklejając drzwi wszędzie tam, gdzie były choćby najmniejsze szpary. Kazał mi stanąć przed kominkiem, zamknął drzwi i wyłączył światła.

Zapanowała absolutna ciemność. Nie widziałem własnych stóp. Po chwili jednak na dywanie zauważyłem układające się w pewne wzory maleńkie świecące kropelki w kolorze niebie-skozielonym.

- Mogą to być mikroskopijne plamki krwi, która płynęła bardzo wolno i cieniutkim strumieniem - wyjaśnił Noonan. - Hemoglobina w krwi reaguje na preparat luminescencyjny, substancję chemiczną, jaką spryskałem podłogę. Substancje chemiczne, na przykład środek wybielający, mogą wywołać taką samą reakcję, lecz sądzę, że tym razem mamy do czynienia ze śladami krwi.

- Powiedziałeś o bardzo wolnym przepływie krwi?

- Tak, o krwi, która płynie bardzo wolnym, cieniutkim strumieniem, prawdopodobnie nie z powodu dżgnięcia.

Kropelki nie były większe od drobnych okruchów chleba i spadając na podłogę, układały się w linii prostej.

- Prawdopodobnie coś musiało tutaj leżeć - być może dywan lub chodnik - wyjaśnił Noonan.

- O wiele bardziej zakrwawiony niż podłoga?

- Może chciał pozbyć się dowodów przestępstwa?

- Lub zawijał ciało. Czy istniejące ślady wystarczą do analizy DNA?

- Sądzę, że tak.

Stojąc, poczułem trzeszczenie stawów kolanowych. Noonan zapalił światło.

- Coś jeszcze znaleźliśmy. - W zaklejonym plastikowym worku miał parę dziecięcych majtek. - Wydaje się, że nie było tam śladów krwi bądź spermy, lecz przekonamy się dopiero w laboratorium - powiedział.

Howard czekał na klatce schodowej. Nie pytałem go o ślady krwi ani o bieliznę dziecięcą. Nie pytałem także o osiemdziesiąt sześć tysięcy zdjęć dzieci na twardym dysku komputera czy o znalezione pod łóżkiem kartony z katalogami ubrań dziecięcych. Na to przyjdzie czas później.

Wywróciliśmy świat Howarda do góry nogami i opróżniliśmy go tak jak szufladę w jego mieszkaniu. Kiedy policjanci opuszczali mieszkanie, nawet nie podniósł głowy.

Wychodząc z domu, spojrzałem na słońce, a potem na kamery ekip telewizyjnych.

- Mieliśmy nakaz rewizji w tym domu. A człowiek zamieszkały pod tym adresem pomógł nam w czynnościach śledczych. Nie jest aresztowany. Chciałbym, abyście państwo uszanowali jego prywatność i zostawili go w spokoju. Nie utrudniajcie prowadzenia śledztwa - powiedziałem otaczającym dom dziennikarzom.

Zarzucili mnie lawiną pytań.

- Czy Mickey Carlyle jeszcze żyje?

- Czy przewiduje pan dokonanie aresztowań?

- Czy to prawda, że znalazł pan zdjęcia?

Idąc do samochodu, musiałem przedzierać się przez tłum dziennikarzy i kamerzystów. Nie odpowiedziałem na żadne pytanie. W ostatniej chwili odwróciłem się i spojrzałem na blok mieszkalny Dolphin. Howard wyglądał przez okno. Nie patrzył na mnie. Spoglądał na osaczające dom kamery, zdając sobie sprawę z narastającego koszmaru. Wiedział, że dziennikarze nie dadzą mu spokoju. Oni już czyhali na niego.

Kiedy wychodziłem z więzienia, ogarnęło mnie nagle oszałamiające déjà vu, że to, co teraz widzę, już kiedyś było. W tym momencie podjechało czarne bmw, otworzyły się drzwi limuzyny i na chodniku pojawił się Aleksei Kuznet. Miał czarne i wilgotne włosy, jakby przyklejone do czaszki.

Skąd on wiedział, że jestem tutaj?

Za nim stał ochroniarz, płatny oprych, zwałista figura, osiłek, jakiego spotkać można w więziennych salach gimnastycznych, który wszelkie spory rozstrzyga siłą mięśni. Był typem słowiańskim, szedł w naszym kierunku, machając swobodniej lewą ręką niż prawą, ponieważ pod pachą miał broń.

- Komisarzu Ruiz, składa pan wizytę przyjacielowi? - zapytał Kuznet.

- O to samo mógłbym pana zapytać.

Ali wychodzi z samochodu i idzie w moim kierunku. Ochroniarz wkłada rękę pod płaszcz i przez moment czuję, że za chwilę dojdzie do krwawej jatki. Aleksei rzuca ochroniarzowi błyskawiczne spojrzenie i sytuacja rozładowuje się. Ochroniarz opuszcza rękę i zapina płaszcz.

Aleksei rozbawiony jest wojowniczą postawą Ali i przez chwilę przygląda się jej uważnie. Po chwili zwraca się do niej i mówi, aby się zmyła, ponieważ nie jest dzisiaj zainteresowany kobietami.

Ali patrzy na mnie.

- Przejdź się. Zaraz wrócę - mówię do niej.

Nie odchodzi daleko, zatrzymuje się przy skwerku, odwraca się i obserwuje.

- Proszę mi wybaczyć, nie chciałem urazić pana młodej przyjaciółki.

- Ona jest funkcjonariuszem policji.

- Naprawdę? Dzisiaj w policji spotyka się już niemalże wszystkie rasy. Czy odzyskał pan pamięć?

- Nie.

- To przykre.

Z ciekawością patrzy mi w oczy. Nie wierzy. Rozgląda się po skwerze.

- Wie pan, że dzisiaj można kupić cyfrowy mikrofon kierunkowy, który rejestruje rozmowę w parku lub restauracji z odległości ponad trzystu metrów?

- Londyńska policja nie ma tak wyrafinowanych urządzeń.

- Może i nie ma.

- Aleksei, nie zamierzam zastawiać na pana pułapki. Nikt nas nie podsłuchuje. Naprawdę nie pamiętam, co się wówczas wydarzyło.

- To bardzo proste. Dałem panu dziewięćset sześćdziesiąt pięć wysokiej jakości jednokaratowych lub nawet większych diamentów. Pan obiecał za cenę tego okupu zwrócić mi córkę. Powiedziałem wyraźnie, że nie zapłacę dwukrotnie za nic.

Dzwoni jego telefon komórkowy. Wyjmuje go z kieszeni i odczytuje nagraną wiadomość.

- Komisarzu, jestem gadżetowy maniak. Ostatnio ktoś ukradł mi telefon. Oczywiście zgłosiłem na policję, zatelefonowałem także do złodzieja i powiedziałem, co mu zrobię, jak wpadnie w moje ręce.

- Zwrócił telefon?

- To nie ma znaczenia. Kiedy go widziałem, był bardzo skruszony. Nie potrafił jednak własnymi słowami wyjaśnić tej przykrej dla mnie sprawy. Cierpiał na zapalenie strun głosowych. Należy wyraźniej oznaczać butle z kwasem.

Aleksei martwym wzrokiem spojrzał na uliczny bruk.

- Wziął pan moje diamenty. Ma pan trzymać je w bezpiecznym miejscu - powiedział.

W tym momencie pomyślałem o moim płaszczu pozostawionym na siedzeniu w samochodzie. Gdyby Aleksei wiedział...

- Mickey żyje? - zapytałem.

- Od pana chciałbym to usłyszeć - odparł.

- Musi żyć, skoro zażądano okupu.

- Przesłano kosmyk jej włosów. Pan polecił przeprowadzenie analizy DNA, która wykazała, że to włosy Mickey.

- To wcale nie znaczy, że dziewczynka żyje. Włosy mogą pochodzić z poduszki lub ze szczotki; mogły być pobrane przed trzema laty. Niewykluczone więc, że to oszustwo.

- Wówczas był pan pewien. Zaręczył pan własnym życiem...

Drażnił mnie sposób, w jaki powiedział słowo „życie”. Poczułem ukłucie w sercu, bo w jego ustach słowo to nie miało żadnego znaczenia.

- Dlaczego pan mi wierzył? Popatrzył na mnie zimno.

- Proszę mi powiedzieć, jakie miałem wyjście?

Nagle zrozumiałem jego dylemat. Obojętnie, czy Mickey żyła, czy też nie, musiał złożyć okup. Postąpił jak człowiek, który chce zachować twarz, i jak tonący, który chwytą się brzytwy.

Choćby była szansa jedna na tysiąc, aby córkę odzyskać, nie mógł szansy tej zlekceważyć. Jak by to wyglądało? Co powiedzieliby ludzie? Należy sądzić, że ojciec powinien trwać nawet przy nierealnych marzeniach. Musi chronić swoje dzieci i dbać, aby

były pod baczną opieką.

Może tak to sobie wyobrażał... Nagle poczułem do niego coś na kształt sympatii. I równie nagle przypomniałem sobie napad na mnie w szpitalu.

- Ktoś usiłował mnie wczoraj zabić - powiedziałem.

- No cóż - powiedział i złożył ręce w geście współczucia. - Może pan im coś zabrał - dodał.

Nie jest to przyznanie się.

- Możemy na ten temat porozmawiać.

- Jak dżentelmeni? - zapytał. Denerwuje mnie swoim zachowaniem.

- Z pana akcentem nie będzie to łatwe - odparłem.

- Przecież urodziłem się tutaj - przypomniał.

- Być może, ale mówi pan z obcym akcentem. Z kieszeni wyjął rulonik cukru i odgryzł koniec.

- Moja matka jest Niemką - poinformowałem. Przechylił głowę i wziął trochę cukru na koniec języka.

- Zigeunerin? Po niemiecku „Cyganka”. Mój ojciec zwykł mawiać, że Cyganie byli ósmą plagą Egiptu, pominąwszy szarańczę. - Powiedział to bez złośliwości. - Ma pan dzieci, komisarzu?

- Bliźnięta.

- W jakim wieku?

- Dwadzieścia sześć lat.

- Często je pan widuje?

- Już nie.

- Może więc pan nie pamięta tych uczuć. Mam trzydzieści sześć lat. Robiłem rzeczy, z których nie jestem szczególnie dumny, lecz nie zadręczam się tym. Sypiam spokojnie. Proszę jednak pozwolić sobie powiedzieć, że nie ma dla mnie żadnego znaczenia, ile ktoś ma pieniędzy na koncie w banku. Dopóki nie ma dziecka, nie ma naprawdę nic wartościowego. Nic.

Drapie bliznę na policzku.

- Od dawna już moja żona jest przeciwko mnie, lecz Michaela była zawsze moją połową, była połową mnie. Wiedziałem, że dorośnie i sama będzie o wszystkim decydować, że mi wybaczy.

- Sądzi pan, że jednak nie żyje?

- Proszę mnie przekonać, że jest inaczej.

- Musiałbym mieć ważny powód.

- Mam nadzieję. Odwraca się, aby odejść.

- Aleksei, nie jestem pana wrogiem. Chcę się jedynie dowiedzieć, co się stało. Co pan wie o snajperze? Pracuje dla pana?

- Dla mnie? - Śmieje się.

- Gdzie pan był w nocy dwudziestego czwartego września?

- Nie pamięta pan? Mam alibi, byłem wówczas z panem. Odwraca się i wzywa Rosjanina, który czeka na niego jak pies. Nie chcę, aby odszedł. Musi powiedzieć o Rachel i okupie. Chwyciłem go za rękę i wykręciłem ją. Pochylił się i upadł na kolana. Laska wypadła mi z ręki.

Wzbudziło to zainteresowanie przechodniów i ludzi odwiedzających więźniów. Byłem zaskoczony swoim śmiesznym wyglądem - zatrzymałem tego mężczyznę, używając jedynie laski. Ludzka próżność jest wiecznie żywa.

- Aresztuję pana za odmowę udzielenia informacji w sprawie prowadzonego przez policję śledztwa - mówię.

- Popełnia pan wielki błąd - syczy.

- Klęcz! - krzyczę.

Za mną pojawia się jakaś postać i nagle czuję przy skroni ciepły metal. Obok widzę ogromną postać Rosjanina. Błyskawicznie odwraca się. Ali stoi w rozkroku z pistoletem wycelowanym w jego pierś.

Trzymając Alekseia za ramię, mówię do ochroniarza głosem ściszonej:

- O to ci chodzi? Abyśmy się wszyscy pozabijali?

- Niet - słyszę w odpowiedzi.

Rosjanin cofnął się o krok i schował pistolet. Przygląda się uważnie Ali, usiłując zapamiętać jej twarz.

Alekseia prowadzę do samochodu. Ali idzie za mną, pilnie obserwując zachowanie ochroniarza.

- Proszę zadzwonić do Carlucciego! - krzyczy Aleksei. Carlucci jest jego adwokatem.

Pochylił głowę i usiadł na tylnym siedzeniu. Zająłem miejsce obok niego. Przed nami na oparciu siedzenia wisi mój płaszcz. Ali milczy, lecz wiem, że usilnie główkuje.

- Będzie pan tego żałował - mruczy Aleksei, patrząc przez okno. - Powiedział pan, że nie będzie żadnych policyjnych działań. Zawarliśmy umowę - dodał.

- Proszę mi więc pomóc. Proszę powiedzieć! Co wydarzyło się owej nocy?

Odnoszę wrażenie, iż szuka właściwej odpowiedzi.

- Ktoś do mnie strzelał. Po postrzale doznałem zaniku pamięci, specjaliści nazywają to całkowitą przejściową niepamięcią. Nie wiem, co się stało - mówię raz jeszcze.

- Idź pan do diabła!

Kiedy przybyliśmy do komisariatu przy Harrow Road, Frank Carlucci był już tam. Niewielkiego wzrostu, opalony, bardzo włoski typ, ma okrągłe oczy i twarz pomarszczoną niczym skorupa orzecha. Jest po operacji plastycznej.

Pędzi za mną po schodach, domagając się rozmowy z klientem.

- Proszę poczekać na swoją kolej, musimy spisać jego dane personalne i to, co ma do powiedzenia.

Ali pozostała w samochodzie. Powiedziałem jej, aby pilnowała płaszcza.

- Co mam zrobić? - zapytała.

- Odnaleźć profesora. Proszę mu powiedzieć, że go potrzebuję. Potem poszukaj Rachel. Musi gdzieś być.

Na twarzy Ali widać ogromne zdziwienie. Nie jest pewna, czy zdaję sobie sprawę z tego, co robię. Uśmiecham się do niej, aby wzbudzić zaufanie, po czym odwracam się do Alekseia.

Po naszym wejściu do izby zatrzymań zapada głucha cisza. Mógłbym przysiąc, że słyszę, jak kwiaty rosną na parapecie okna i zasycha atrament na kartce papieru. Otaczające mnie w tej izbie osoby to przecież moi przyjaciele i koledzy, ale teraz ignorują mnie całkowicie i unikają mego spojrzenia. Według nich zginąłem tam na rzece, tylko nie zdaję sobie jeszcze z tego sprawy.

Zostawiam Alekseia z Carluccim w izbie przesłuchań. Serce wali mi jak młot, przede wszystkim chcę się skupić. Najpierw telefonuję do Campbella. Ma spotkanie ze Scotland Yardem, zostawiam mu wiadomość. Po dwudziestu minutach wpada jak burza, rozwścieczony.

Spotyka mnie w korytarzu.

- ZUPEŁNIE ZWARIOWAŁEŚ?!

Uznałem, że pytanie ma charakter całkowicie retoryczny.

- Mógłbyś nie wrzeszczeć?

- Co?

- Ściszy głos, proszę. W pokoju przesłuchań mam podejrzanego.

Spokojniejszym nieco głosem mówi:

- Aresztowałeś Alekseia Kuzneta.

- Wie o okupie, ale odmawia złożenia zeznań.

- Mówiłem, abyś od tej sprawy trzymał się z daleka.
- Zastrzelono ludzi. Mickey Carlyle może jeszcze żyje!
- Dostyc już na ten temat! Wracaj do szpitala.
- Nie wrócę.
- Wydal z siebie pomruk niczym niedźwiedź wychodzący z jaskini.
- Komisarzu, proszę oddać policyjną odznakę. Jest pan zawieszony w czynnościach służbowych.

Otwierają się drzwi i na korytarz wychodzi Frank Carlucci, a za nim Aleksei. Carlucci wskazuje na mnie palcem i krzyczy:

- Wniosę skargę przeciwko temu policjantowi!
- Spieprzaj! Chcesz mnie dopaść? To wyjdźmy!

Jakby diabeł we mnie wstąpił, krew zalała mi twarz. Campbell odciąga mnie na bok. Szamoczę się z nim.

Aleksei odwraca się powoli i uśmiechając się, mówi:

- Masz coś mojego. Jak powiedziałem, nie płacę dwa razy za to samo.

Siedzę w milczeniu w izbie przesłuchań. Piję herbatę i jem imbirowe biskwity. W izbie unosi się atmosfera lęku i nienawiści. Może emanuje ze mnie?

Campbell, gdyby miał wybór, aresztowałby mnie. Woli jednak, abym był w szpitalu, ponieważ nie może zapewnić mi bezpieczeństwa. W gruncie rzeczy chce, abym usunął mu się z drogi.

Niemalże bezwiednie sięgam po kapsułkę z morfiną. Doskwiera mi ból nogi, ale być może bardziej cierpi moja duma. Przez chwilę wolę o niczym nie myśleć. Chciałbym zapomnieć o wszystkim i rozpląnąć się w nicości. Utrata pamięci nie jest znowu złą przypadłością.

W tej właśnie izbie, w której teraz siedzę, po raz pierwszy przesłuchiwałem Howarda Wavella. Przedtem, przez trzy dni, warował w swoim mieszkaniu nękany telefonami, osaczony przez dziennikarzy. Większość tych ludzi rozeszła się w końcu - do przyjaciół i rodzin - lecz Howard obawiał się, że cały ten teatr podąży za nim.

Pamiętam, jak stał w komisariacie przy okienku, sprzecząc się z sierżantem. Przystępował z nogi na nogę, zerkając mu przez ramię. Miał na sobie koszulę bez rękawów, bardzo opiętą zarówno na brzuchu, jak i na bicepsach.

- Do skrzynki na listy wrzucają psie odchody. Ktoś obrzucił okna mego mieszkania jajkami. Musicie ich powstrzymać - powiedział.

Sierżant potraktował go bardzo służbowo.

- Zgłasza pan przestępstwo?

- Stale mi grożą.

- Kto panu grozi?

- Ludzie z samozwanczej straży obywatelskiej, wandale! Sierżant wyjął formularz dotyczący zgłoszenia przestępstwa i podał mu. Podał także długopis, mówiąc:

- Proszę to wypełnić.

Zauważyłem, że na mój widok Howard poczuł ulgę.

- Zaatakowali moje mieszkanie - poskarżył się.

- Przykro mi. Wyślę kogoś, aby strzegł domu. Proszę do mnie.

Poszedł za mną korytarzem do sali zeznań, zaproponowałem, aby usiadł przy klimatyzatorze, i podałem mu butelkę wody.

- Cieszę się, że pana spotkałem. Tak naprawdę to nie mieliśmy okazji, aby dokończyć naszej rozmowy. Upłynęło sporo czasu.

- Tak - odparł, popijając wodę.

Rozpocząłem rozmowę wspomnieniami o szkole i o nauczycielach, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi. Zachęcony w ten sposób, przywołał z pamięci różne wydarzenia i przeżycia.

Teoria przesłuchań mówi, że z chwilą, kiedy podejrzany czuje się swobodnie i nie krępuje się rozmawiać na żaden temat, trudno mu później powstrzymać się od akceptowania innych tematów, podniesionych przez przesłuchującego, lub powstrzymać się od mówienia prawdy.

- Howard, proszę mi więc powiedzieć, co stało się Mickey Carlyle? Musiałeś się nad tą sprawą zastanawiać. Każdy chciałby dociec prawdy. Sądzisz, że po prostu wyszła z domu głównym wyjściem przez nikogo niezauważona lub też została uprowadzona? Może myślisz, że porwali ją przybysze z kosmosu? W ciągu ostatnich siedmiu dni słyszałem na ten temat wszelkie możliwe teorie.

Howard zachmurzył się i zaczął końcem języka zwilżać wargi. Na zewnętrznym parapecie okna usiadł gołąb. Howard spojrział na ptaka, jakby był to posłaniec z listem.

- Wiesz, najpierw sądziłem, że się gdzieś ukryła. Często chowała się pod schodami i tam się bawiła bądź w kotłowni. Tak właśnie myślałem w ubiegłym tygodniu, lecz teraz już sam nie wiem. Może wyszła, aby sprzedawać herbatniki lub coś w tym rodzaju - wyraził przypuszczenie.

- Takiej możliwości nie brałem pod uwagę.

- Nie chciałem, aby zabrzmiało to niepoważnie - powiedział niezręcznie. - W takiej

właśnie sytuacji spotkałem ją po raz pierwszy. Zapukała do moich drzwi, sprzedając poradnik dla dziewcząt o pieczeniu herbatników. Nie miała jednak na sobie ubranka firmowego, a herbatniki były domowego wypieku.

- Czy kupiłeś chociaż jednego?

- Nikt poza mną by nie kupił. Były zupełnie spalone.

- Dlaczego więc kupiłeś? Wzruszył ramionami.

- Ponieważ wykazała się pomyslowością. Mam bratanice i siostrzenice...

Wiarygodność tego wyznania budziła moje wątpliwości.

- Myślałem, że jesteś łasuch na słodycze. Cukier, przyprawy korzenne, tego rodzaju smakołyki?

Widziałem, że stężały mięśnie na jego szyi oraz wystąpiły rumieńce na policzkach. Nie wiedział, co insynuuję.

Zmieniłem temat rozmowy. Zacząłem od początku zdarzeń, jakie towarzyszyły zniknięciu dziewczynki, prosząc, aby opowiedział, co się działo parę godzin przed zniknięciem Mickey i po nim. W ów poniedziałek rolety w oknach jego mieszkania były zaciągnięte. Żaden z kolegów nie widział go w pracy w Primrose Hill. O godzinie pierwszej po południu policja przeszukała jego mieszkanie. Nie wrócił do pracy. Całe popołudnie spędził poza domem, robiąc zdjęcia.

- We wtorek poszedłeś do pracy?

- Nie. Chciałem pomóc w poszukiwaniu Mickey. Wydrukowałem jej zdjęcia i zrobiłem z nich ulotki.

- W swojej ciemni?

- Tak.

- A co robiłeś potem?

- Małe pranie.

- We wtorek rano, prawda? Wszyscy zajęci byli poszukiwaniem Mickey, a ty raptem urządziłeś pranie.

Z pewnym wahaniem skinął głową.

- W twoim mieszkaniu był dywanik na podłodze pokoju gościnnego. - Pokazałem mu zdjęcie, jakie sam zrobił. - Gdzie teraz jest?

- Wyrzuciłem go.

- Dlaczego?

- Był bardzo zabrudzony. Nie mogłem go doczyścić.

- Dlaczego był taki brudny?

- Rozlałem na niego nawóz do roślin ozdobnych. Przygotowywałem wiszące koszyki na kwiaty.

- Kiedy wyrzuciłeś dywanik?

- Nie pamiętam.

- Czy już po zaginięciu Mickey?

- Sądzę, że tak. Być może.

- Gdzie go wyrzuciłeś?

- Do kontenera na śmieci przy Edgware Road.

- Nie mogłeś znaleźć bliżej śmietnika?

- Wszystkie były pełne.

- Pracujesz dla rady lokalnej, w budynku rady musi być mnóstwo koszy na śmieci.

- Ja... nie pomyślałem.

- Howard, widzisz, jak to wygląda. Wysprzątałeś mieszkanie, wyrzuciłeś dywanik, w mieszkaniu czuć było zapach wybielacza; można odnieść wrażenie, że coś ukrywasz.

- Nie ukrywam. Zrobiłem niewielkie porządki. Chciałem, aby mieszkanie ładnie wyglądało.

- Ładnie?

- Tak.

- Howard, czy widziałeś to kiedykolwiek? - W ręku trzymałem plastikowy worek z parą dziewczęcych majtek. - Znalaziono je w twoim mieszkaniu, w koszu na brudną bieliznę.

Jego głos stężał.

- Należą z pewnością do jednej z moich siostrzenic lub bratanic. Zawsze któraś z nich przebywa u mnie...

- Śpią u ciebie?

- W pokoju gościnnym.

- Czy Mickey Carlyle była kiedykolwiek w twoim pokoju gościnnym?

- Tak. Nie. Możliwe.

- Czy dobrze znasz panią Carlyle?

- Kiedy spotykam ją na schodach, mówię dzień dobry.

- Jest dobrą matką?

- Tak sądzę.

- To atrakcyjna kobieta.

- Nie w moim typie.

- Dlaczego?

- Jest szorstka w obejściu, niezbyt przyjazna ludziom. Proszę jednak jej tego nie mówić. Nie chcę urazić jej uczuć.

- A jaki jest pański typ kobiety?

- No wie pan, nie chodzi w tym wypadku o preferencje seksualne. Naprawdę nie wiem. Trudno powiedzieć.

- Howard, masz dziewczynę?

- Nie w tej chwili.

Zabrzmiało to tak, jakby podczas śniadania, oprócz kawy, miał jeszcze dziewczynę.

- Powiedz mi o Danielle.

- Nie znam żadnej Danielle.

- Masz w swoim komputerze zdjęcia dziewczyny o imieniu Danielle. Jest tylko w bikini.

Zamruga! oczami.

- To córka mojej byłej dziewczyny.

- Nie nosi biustonosza. Ile ma lat?

- Jedenaście.

- Jest też zdjęcie dziewczyny w łóżku, z ręcznikiem na głowie, w samych szortach.

Kto to jest?

Waha się.

- Mickey i Sarah podczas zabawy. Przedstawiają fragment sztuki.

- Tak, właśnie tak myślałem... - Uśmiecham się uspokajająco.

Howard miał włosy pokryte wazeliną. Kiedy się pocił, krople z czoła opadały na brwi, wówczas mrugał oczami.

Otworzyłem dużą pomarańczową kopertę i wyjąłem z niej mnóstwo zdjęć, rozłożyłem je na stole. Były to wszystko zdjęcia Mickey - dwieście siedemdziesiąt zdjęć. Mickey opalająca się z Sarah w ogrodzie, obie pod prysznicem, zjadające lody i moczujące się na kanapie.

Starając się usprawiedliwić, powiedział:

- To tylko zdjęcia. Była bardzo fotogeniczna.

- Howard, powiedziałaś „była”. Podobnie jak ty, nie sądzę, aby jeszcze żyła.

- Nie miałem na myśli... usiłujesz sugerować, że jestem...

- Howard, robiłeś jej zdjęcia, to oczywiste. Niektóre z nich są bardzo dobre. Śpiewasz w chórze kościelnym, jesteś ministrantem.

- Służę do mszy.

- Uczysz w niedzielnej szkole parafialnej.
- Pomagam.
- Zabierając dzieci na wycieczki nad morze lub do zoo?
- Tak.

Skłoniłem go, aby przyjrzał się dokładniej fotografiom.

- Nie wygląda na zachwyconą, pozując do zdjęcia w biki-ni. - Pokazałem kolejne zdjęcia.

- Robiłem je dla zabawy - zapewnił.
- Gdzie się przebierała?
- W pokoju gościnnym.
- Czy robiłeś jej zdjęcia przy zmianie bielizny?
- Nie.
- Czy Mickey nocowała kiedyś u ciebie?
- Nie.
- Czy kiedykolwiek zostawiłeś ją w mieszkaniu?
- Nie.

- I nigdy, bez zgody matki, nie zabierałeś jej z domu?

- Nie.

- Nie zabierałeś jej do zoo lub na inne wycieczki? Zaprzeczył ruchem głowy.

- To dobrze. Sądzę, że byłoby zbyt wielkim ryzykiem zostawienie małej dziewczynki samej w domu, ze względu na chemikalia do zdjęć i ostre narzędzia, prawda?

Przytaknął ruchem głowy.

- Gdyby się zraniła, musiałbyś tłumaczyć się przed jej matką. Pani Carlyle z pewnością zrozumiałaby to. Wypadki się zdarzają. Nie chciałbyś jednak, aby się zdenerwowała i zabroniła Mickey widywać się z tobą. Może byś więc nie powiedział jej o takim wypadku? Może zachowałbyś to w tajemnicy?

- Powiedziałbym.

- Oczywiście, powiedziałbyś. Gdyby Mickey zraniła się, musiałbyś poinformować o tym jej matkę.

- Tak.

Wziąłem niebieską teczkę, wyjąłem z niej zapisany arkusz papieru i znalazłem stosowny akapit.

- Howard, to bardzo dobrze, lecz intryguje mnie jedna rzecz. Widzisz, na podłodze twojego salonu, podobnie jak w łazience oraz na ręcznikach, znaleźliśmy ślady krwi Mickey.

Howardowi opadła szczęka. Głosem nabrzmiałym złością powiedział:

- Myślisz, że coś jej zrobiłem, ale to nieprawda.

- Jak więc wyjaśnisz obecność śladów krwi Mickey?

- Skaleczyła sobie palec. Zrobiła telefon z puszki blaszanej, lecz puszka miała bardzo ostry brzeg. Powinienem to najpierw sprawdzić. Nie była to głęboka rana. Owinąłem zraniony palec plastrem opatrunkowym. Mickey nawet nie płakała...

- Powiedziałeś o tym jej matce? Pochylił głowę i patrzył sobie na rękę.

- Powiedziałem Mickey, aby nie mówiła matce. Obawiałem się, że po tym wypadku pani Carlyle nie pozwoli córce przychodzić do mnie. Pomyśli, że zachowuję się lekkomyślnie.

- Jak na niewielkie skaleczenie zbyt wiele było śladów krwi. Chciałeś zmyć te ślady, lecz dywanik był bardzo poplamiony. Dlatego go wyrzuciłeś - powiedziałem.

- Nie z powodu śladów krwi. Z powodu ziemi doniczkowej. Rozsypała się.

- Ziemia?

Z entuzjazmem przytaknął głową.

- Powiedziałeś, że nigdy nie zabierałeś Mickey na wycieczki, ale w twojej furgonetce znaleźliśmy włókna z jej ubrań.

- Nie. Nie!

Pomilczałem chwilę. W oczach Howarda zobaczyłem lęk i ubolewanie. Nagle, ku memu zaskoczeniu, zaczął mówić pierwszy.

- Pamiętasz panią Castle... ze szkoły? Prowadzała nas na lekcje tańca.

Pamiętałem ją. Wyglądała jak Julia Andrews w filmie Dźwięki muzyki (po wyjściu z klasztoru). Na widok pani Castle chłopcy popadali w ekstazę romantyczną.

- Raz widziałem ją, jak brała prysznic.

- Daj spokój!

- To prawda. Była pod prysznicem w części przeznaczonej dla nauczycieli. Stary Archie, nauczyciel wychowania fizycznego, wysłał mnie do pokoju nauczycielskiego po pistolet startowy. Pani Castle wyszła spod prysznica i suszyła włosy, a kiedy mnie zobaczyła, było już za późno. Pozwoliła się podziwiać. Stała i pozwoliła patrzeć, jak wyciera piersi i wkłada rajstopy. Po tym incydencie skłoniła mnie, abym przyrzekł, że nikomu o tym nie powiem. Gdybym się wygadał, stałbym się najstydniejszym chłopakiem w szkole. Koledzy przestaliby mnie poszturchiwać i drwić ze mnie. W ich oczach mógłbym stać się legendą.

- Dlaczego nie sypnąłeś pani Castle? Spojrzał na mnie wzrokiem pełnym smutku.

- Zakochałem się w niej. I nie miało żadnego znaczenia, że ona mnie nie pokochała. Ja

kochałem ją naprawdę To była wyłącznie moja historia miłosna. Nie oczekuję, że mnie zrozumiesz, ale tak naprawdę było. Jeżeli kochasz, nie musisz liczyć na odwzajemnienie miłości - powiedział Howard.

- Co to ma jednak wspólnego z Mickey?

- W Mickey także byłem zakochany. Nigdy bym jej świadomie nie skrzywdził...

Jego jasnozielone oczy napełniły się łzami. Nie mógł powstrzymać łez, zaczął ocierać je ręką. Zawsze mu współczułem, tym bardziej teraz.

- Howard, posłuchaj mnie uważnie. Potem się wypowiesz. - Krzesło przysunąłem bliżej, tak że niemal dotykaliśmy się kolanami. - Jesteś facetem w średnim wieku, nigdy się nie ożeniłeś, żyjesz samotnie, cały wolny czas poświęcasz dzieciom, robisz im zdjęcia, zapraszasz na lody, na wycieczki...

Jego policzki zaczerwieńczyły się, lecz usta miał nadal blade i zaciśnięte.

- Mam bratanice i siostrzenice, im także robię zdjęcia. Nie ma w tym nic złego - powiedział.

- Ale kolekcjonujesz katalogi i magazyny z dziecięcą bielizną - odparłem.

- Jednakże nie wbrew prawu. Nie są to publikacje pornograficzne... Chcę być fotografikiem, robić zdjęcia dzieciom...

Wstałem i odwróciłem się do niego tyłem.

- Howard, jest coś, czego nie rozumiem. Co ty widzisz w tych małych dziewczynkach, dlaczego one cię tak fascynują? Przecież nie mają zaokrąglonych bioder, nie mają biustu, nie mają żadnego doświadczenia w sprawach, które mogą interesować mężczyznę. Są chude jak patyki. Mogę zrozumieć, że jesteś łakomczuchem i nie potrafisz odmówić sobie słodczy, że zapach dziewczynek może jest bardziej podniecający niż zapach chłopców, ale przecież Mickey nie ma jeszcze powabnych kształtów kobiety. Nie emanuje czarem dojrzałej kobiety, nie uwodzi wzrokiem pełnym obietnic, ruchy jej ciała nie wywołują pokus nie do odparcia. Co ty widzisz w tych małych dziewczynkach?

- Są niewinne - odparł.

- A ty chcesz je tej niewinności pozbawić?

- Nie! Nigdy.

- Chcesz je trzymać w objęciach, dotykać ich?

- To nie tak. Będąc w ich towarzystwie, nie mam żadnych brudnych myśli i intencji - zapewnił.

- Mickey musiała na twój widok wybuchnąć śmiechem. Taki stary, pokraczny i śmieszny facet czekający na nią w korytarzu.

Na mój sarkastyczny wywód zareagował głośniej:

- Nigdy jej nie dotknąłem!

- Pamiętasz film Zabić drozda?

Zastanawiał się przez chwilę, patrząc na mnie z zaciekawieniem.

- Przy drodze mieszkał dziwny typ, Boo Radley. Miał twarz Quasimodo i był postrachem dzieci. Obrzucały kamieniami dach jego domku i naigrawały się z niego, wchodząc do jego ogrodu. Kiedy bandyta napadł Scout i Jem, dzieci z sąsiedztwa, to właśnie Boo Radley uratował im życie. Stał się bohaterem. O to ci chodzi, Howard? Chcesz odnaleźć i uratować Mickey?

- Nie znasz mnie, nic o mnie nie wiesz - powiedział.

- Och, wiem. Dobrze wiem, kim jesteś. Takich jak ty nazywamy pedofilami czyhającymi na ofiary. Wybierasz sobie ofiarę. Izolujesz ją od innych ludzi. Zaprzyjaźniasz się z jej rodzicami. Powoli zdobywasz ich zaufanie...

- Nie.

- Co zrobiłeś z Mickey?

- Nic, nawet jej nie dotknąłem.

- Ale chciałeś?

- Fotografowałem ją. Nigdy bym jej nie skrzywdził.

Coś jeszcze chciał powiedzieć, ale przerwałem mu gestem ręki.

- Wiem, Howard, nie należysz do tych facetów, którzy świadomie i z rozmysłem chcieliby skrzywdzić dziecko, lecz wypadki się zdarzają. Niezamierzone. Wydarzenia wymykają się spod naszej kontroli... Widziałeś ją w tym dniu.

- Nie. Nie dotknąłem jej nawet.

- Znaleźliśmy w twoim domu odciski jej palców, włókna z jej ubrania.

Nie przestawał zaprzeczać.

- Były w twojej furgonetce, w twojej sypialni. Pochyliłem się nad zdjęciami i palcem wskazałem każdą z dziewcząt.

- Howard, znajdziemy twoje „modelki” i zapytamy, jak się wobec każdej z nich zachowywałeś. Dowiemy się, czy je obmacywałeś i czy robiłeś im innego rodzaju zdjęcia...

Mówiłem głosem coraz bardziej podniesionym i ostrym. Pochyliłem się nad Wavellem i spojrzałem mu głęboko w oczy.

- Howard, nie zostawię cię samego. Znaleźliśmy się razem w tej tragicznej sytuacji, jesteśmy na siebie skazani jak bracia syjamscy. - W geście rozpaczony wałnąłem się ręką w głowę. - Howard, na miłość boską, pomóż mi zrozumieć tę całą sytuację!

Powoli odwrócił się w moją stronę, szukając w moich oczach odrobiny współczucia. Nagle przechylił się do tyłu, skoczył do kąta pokoju, przykucnął i zasłonił głowę rękami.

- NIE BIJ MNIE! NIE BIJ MNIE! Powiem wszystko, co chcesz...

- Co ty wyprawiasz? - syknąłem.

- TYLKO NIE PO TWARZY, NIE BIJ MNIE PO TWARZY.

- Wstań! Przestań!

- PROSZĘ... NIE WIĘCEJ... AAARGH. Otworzyłem drzwi i wezwałem policjantów.

Już szli zresztą w moją stronę.

- Podnieście go i posadźcie na krześle.

Howard był bezwładny jak galareta. Ilekroć policjanci usiłowali go podnieść, wysuwał im się z rąk na podłogę, drżał i jęczał. Policjanci spojrzeli na siebie, potem na mnie. Wiedziałem, o czym myślą.

W końcu zostawiliśmy go w spokoju, leżącego pod stołem. Odwróciłem się i chciałem coś powiedzieć. Chciałem powiedzieć Howardowi, że to dopiero początek.

- Nie możesz się znęcać nade mną - powiedział łagodnie. - Znam się na tym. Całe życie znęcano się nade mną.

Po trzech latach, jakie upłynęły od tego wydarzenia, siedzę w tym samym pokoju przesłuchań. Sprawa nie jest zakończona. Dzwoni mój telefon komórkowy. Słyszę odprężony głos profesora.

- Dobrze się czujesz? - pyta.

- Tak, lecz chciałbym, abyś przyszedł i zabrał mnie stąd. Chcą mnie znowu ulokować w szpitalu.

- Może to dobry pomysł - odpowiada.

- Chcesz mi pomóc czy też nie?

W komisariacie odbywa się zmiana dyżurnych. Przychodzi nocna zmiana. Campbell jest na górze, przegląda jakieś papiery lub robi coś, aby uspokoić swoje urzędnicze sumienie i zasłużyć na pensję. Przemykam się korytarzem obok pokoju, w którym wnosi się i przyjmuje oskarżenia. Dochodzę do drzwi wiodących na parking na tyłach budynku. Uderza mnie w twarz fala zimnego powietrza.

Otwiera się automatyczna brama parkingu. Ukryty w cieniu widzę wjeżdżającą karetkę pogotowia. Przyjechała po mnie. Brama się zamyka. W ostatniej chwili wymykam się na ulicę. Idę w prawo chodnikiem i znów skręcam dwukrotnie w prawo, do Harrow Road. W ciemnościach widać światła wolno sunących samochodów.

Na Harrow Road jest pub pod nazwą „Chart”, zadymiona buda, przesycona wonią

nikotyny, z grającą szafą i miejscem, gdzie spotykają się alkoholicy. Siadam i aplikuję sobie morfinę. Czekając na profesora, oddaję się chemicznemu odurzeniu. Grecy mieli boga - Morfeusza - sennych marzeń. Kto mówi, że studiowanie mitologii to marnowanie czasu?

Widzę, jak Joe zagląda nerwowo przez uchylone drzwi. Może już zapomniał, jak wyglądał autentyczny pub, zanim nadeszła z kontynentu kultura kawiarniana i zamieniła go w pokrytą białymi kafelkami poczekalnię serwującą zbyt drogie pełne jasne.

- Wziąłeś coś? - pyta.

- Doskwiera mi ból w nodze.

- Jaką dawkę wziąłeś?

- Za małą. Profesor oczekuje dokładniejszych wyjaśnień.

- Zacząłem od około dwustu miligramów, ale później drażetki morfiny połykałem już jak tik-taki. Ból nie ustępuje. Jestem zaś o wiele sprawniejszy, kiedy nie myślę o bólu.

- Ból? - Nie dowierza mi. - Jesteś w strasznym stanie psychicznym, stale rozdrażniony i pełen niepokoju. Nie jesz i nie śpisz.

- Czuję się dobrze.

- Potrzebujesz pomocy.

- Nie! Muszę odnaleźć Rachel Carlyle.

Jest to z mojej strony zaskakująco ostre i zdecydowane stwierdzenie. Joe przełknął parę dręczących go myśli i zrezygnował z dalszych pytań na ten temat. Powiedziałem mu natomiast o odwiedzeniu w więzieniu Howarda i o aresztowaniu Kuzneta. Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

- Nie chciał mi powiedzieć o okupie - dodałem.

- O jakim okupie?

Joe nie wie o diamentach, a ja teraz nie zamierzam mu o nich powiedzieć. Nie będę ułatwiał mu zadania, zwłaszcza że i tak naraziłem już Ali na niebezpieczeństwo. Ostatnie godziny niewiele wyjaśniły, jeśli chodzi o tę niesamowicie pogmatwaną sytuację, lecz przynajmniej wyznaczyłem sobie konkretny cel działania - odnaleźć Rachel.

- W jaki sposób Aleksei cię znalazł?

- Nie wiem. Nie szedł za mną ze szpitala i nikt nie wiedział, że jadę do Wormwood Scrubs. Może ktoś z więzienia dał mu cynk?

Zamknąłem oczy i usiłowałem odtworzyć przebieg wydarzeń. Ledwo się trzymam na nogach, ale myślę sprawnie. Wracają do mnie fragmenty rozmów.

- Bóg mnie uwolni. Tak powiedział Howard.

Jeżeli to on zażądał okupu, to dlaczego tak długo czekał? - pomyślałem. - Mógł coś

wykombinować podczas procesu lub później. Potrzebowałby pomocy z zewnątrz. Czyjej?

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych przechowuje nazwiska wszystkich osób odwiedzających więźniów. Najstarsza siostra Howarda przyjeżdża co kilka miesięcy z Warrington i nocuje w hotelu „B&B”. Poza nią odwiedza go tylko Rachel.

W ciągu kilku pierwszych miesięcy po skazaniu Howard otrzymał mnóstwo listów od swych fanów. Wiele pochodziło od kobiet, które do głębi poruszyła jego samotność i kara, jaką mu wymierzono za popełnione przestępstwo. Jedną z nich była Bettina Gallagher, sekretarka w firmie prawniczej, atrakcyjna, seksowna dziewczyna stale naruszająca prawo. Zwykła rozsyłać, wszędzie gdzie tylko było można, zdjęcia swego roznegliżowanego ciała. W Oklahomie i Alabamie dwukrotnie miała romans ze skazańcami.

Howard ma prawo do jednego bezpłatnego listu tygodniowo, lecz może kupić listy i znaczki w więziennym sklepie. Każdy więzień otrzymuje odrębny numer PIN i kiedy korzysta z telefonu, musi go podać. Pedofile i osoby skazane za molestowanie seksualne dzieci mogą telefonować jedynie za zgodą władz więziennych. Wszystkie rozmowy i korespondencja są monitorowane i kontrolowane. Nie mogę więc wyobrazić sobie Howarda organizującego okup, w żadnym wypadku nie z więziennej celi.

- Daj szansę swoim oczom - zwykł mawiać mój ojczym, kiedy w mroźne śnieżne noce szukaliśmy nowo narodzonych jagniąt. Trudno zauważyć białe na białym. Czasami musisz spojrzeć wstecz, zanim zobaczysz cokolwiek przed sobą.

Był swego czasu znakomity komik, który nazywał siebie Nosmo King, ale przez lata całe nie zdawałem sobie sprawy, że wystarczy sylaby jego nazwiska inaczej rozdzielić, by wyszło no smoking - NIE PALIĆ. Dlatego właśnie oczy należy mieć zawsze otwarte. Odpowiedź na nurtujące pytania może być w zasięgu twego wzroku, a nawet tuż przed tobą.

Profesor otworzył aktówkę i wyjął album z fotografiami. Okładka była postrzępiona i poplamiona na grzbiecie. Wydawało mi się, że już ją gdzieś widziałem.

- Odwiedziłem twoją matkę - powiedział profesor.

- Co zrobiłeś?

- Odwiedziłem ją. Zacisnąłem zęby.

- Nie miałeś prawa!

Nie zważając na moją reakcję, wodził palcem po okładce albumu. O to mu właśnie chodziło - zajrzeć do mojej przeszłości, do mego dzieciństwa, do historii rodziny i zobaczyć, jak układały się moje stosunki rodzinne. Czego chciał jednak dowieść? Niczego. Czy jakakolwiek ludzka istota może zrozumieć moje życie i to wszystko, co mnie spotkało?

- Nie chcesz o tym porozmawiać? - zapytał.

- Nie.

- Dlaczego?

- Ponieważ wsadzasz nos w nie swoje sprawy, manipulujesz mną! - Zdałem sobie sprawę, że krzyczę na niego. Dzięki Bogu, że poza barmanem i śpiącym pijakiem nikogo w pobliżu nie było.

- Twoja matka nie najlepiej czuje się w domu spokojnej starości - powiedział Joe.

- To miasteczko emerytów.

Joe otwiera album. Na pierwszym zdjęciu jest mój ojczym, John Francis Ruiz. Był synem farmera z Lancashire, ma na sobie mundur lotnika RAF, stoi pod skrzydłem bombowca lancaster. Na czole widać już zaczątki łysiny, dlatego jego oczy są jakby większe i bardziej ożywione.

Pamiętam to zdjęcie. Przez dwadzieścia lat stało na kominku obok zdjęcia sprzed katedry Świętego Jakuba, upamiętniającego dwudziestopięciolecie ślubu.

John Ruiz zaginął nad Belgią 15 lipca 1943 roku podczas ataku na most w Gent. Jego lancaster został zestrzelony przez niemieckiego myśliwca i eksplodował w powietrzu.

„Zaginął w akcji, prawdopodobnie nie żyje” - tak brzmiała wiadomość. A jednak żył. Przetrwał wojnę w obozie jenieckim, wrócił do domu, aby odkryć, że „przyszłość”, o którą tak dzielnie walczył, rozpadła się. John Ruiz ożenił się z Amerykanką, sierżant odbywającą służbę wojskową w kantynie. Po ślubie wyjechali do Teksasu. Małżeństwo nie trwało długo.

Potem spotkał Sofie Eisner (vel Germile Purrum), „żydowską” szwaczkę z niemowlakiem. Schodziła ze wzgórza Golders Green w towarzystwie dwóch przyjaciółek. Trzymały się za ręce i głośno śmiały.

- Pamiętaj! - krzyknęła najstarsza. - Spotkamy dzisiaj mężczyzn, których poślubimy. - Przed kinem, w dolinie, spotkały kilku mężczyzn stojących w kolejce. Jeden z nich był w obszernej kurtce z odstającymi klapami i trzema dużymi guzikami.

Germile szepnęła do przyjaciółek:

- Który jest mój?

Uśmiechnął się do niej John Ruiz. W następnym roku pobraли się.

Joe przewraca kartkę albumu. Sepiowe postaci wtapiają się w zdjęciowy papier. Jest także fotografia obejścia. Dom rolnika, z niewielkimi oknami i drzwiami jest tak niski, że ojczym musi pochylić się, aby do niego wejść. Matka zagrabiła izbę bibelotami. Były tam także różnego rodzaju pamiątki rodzinne po ludziach, których już nie ma.

Na innym zdjęciu widać zaorane pola i jasny dym unoszący się z komina. Są także stosy bali siana, przypominające małe zameczki.

Czasami nadal czuję zapach poranka - tostów, mocnej herbaty, a nawet talku, którym ojciec pociera palce, zanim założy skarpetki. Kiedy zamyka za sobą drzwi, psy radośnie szczekają, tańcząc wokół jego nóg.

To na farmie dowiedziałem się niemal wszystkiego o życiu i śmierci.

Ssałem mosznę i zębami wyciągałem jądra nowo narodzonych jagniąt. Wkładałem przedramię głęboko w szyjkę macicy. Dla rzeźnika zabijałem cielęta, zakopywałem zabite lub zdechłe psy, w których widziałem bliskie mi istoty, a nie tylko użyteczne człowiekowi zwierzęta.

Nie ma żadnych zdjęć z codziennego życia na farmie. Album zawiera tylko zdjęcia okolicznościowe - ślubnych uroczystości, urodzin, chrztów i rocznic.

- Kto to jest? - pyta Joe, pokazując palcem na Luke'a siedzącego na schodach przed domem, w stroju marynarza, na czoło opada mu kosmyk włosów.

Coś chwyciło mnie za gardło. Zasłaniam usta dłonią. Wskutek działania morfiny i alkoholu nie mogę powstrzymać się od napływu słów.

Lukę, jak na swój wiek, był niewielkiego wzrostu, za to był wygadany i nieznośny. Większość czasu w wieku młodzieńczym spędziłem w szkolnym internacie, widywałem go więc jedynie podczas wakacji. Daj prosiła, abym miał na niego oko, a jednocześnie upominała go, aby nie drażnił mnie, ponieważ Lukę chciał mnie pouczać i podglądać moje karty podczas gry.

W zimie, kiedy było sporo śniegu, zjeżdżałem na sankach od drzwi domu do samego stawu w dolinie. Lukę był za młody na samodzielne saneczkowanie, jeździł więc ze mną. Kiedy wpadaliśmy na muldy, podskakiwaliśmy, a on piszczał z radości, trzymając się kurczowo moich kolan.

Tor saneczkowy kończył się przy podziurawionej butami siatce nad stawem.

Przypominam sobie, że ojciec udał się tego dnia do miasta, aby kupić nowy termostat do kotła opałowego. Daj przepierała moje prześcieradła, aby zatrzeć ślady spermy. Nie pamiętam, co wówczas robiłem. Czy to nie dziwne? Przecież tak wiele szczegółów pamiętam z tego okresu.

Wieczorem, kiedy przyszedł czas kąpieli, zauważyliśmy, że nie ma Luke'a. Wzięliśmy reflektor, podłączyliśmy do traktora i przeszukaliśmy sadzawkę, ale na zamarzniętej wodzie nie zauważyliśmy przerębli.

Całą noc nie zmrużyłem oka, zrobiłbym wszystko, aby żył. Tak bardzo pragnąłem, jak nigdy dotąd, aby leżał teraz koło mnie, wierząc się i sapiąc.

Znaleziono go rano tuż pod powierzchnią lodu. Miał niebieską twarz i sine usta.

Był w nie swoich spodniach i nie w swoich butach. Widziałem z okna sypialni, jak położyli go na prześcieradle i przykryli. Przyjechał zabłocony ambulans. Kiedy wzięli go na nosze, wypadłem z domu, czując, że pęknie mi serce, i zacząłem krzyczeć, aby zostawili go w spokoju. Przy bramie zatrzymał mnie ojczym, przytulił tak mocno, że straciłem oddech. Miał szarą, nieogoloną twarz. Oczy pełne łez.

- Vince, on od nas odszedł.
- Chcę, aby wrócił.
- Utraciliśmy go na zawsze.
- Pozwól mi go zobaczyć.
- Wróć do domu.
- Pozwól mi go zobaczyć.

Kiedy przytulał mnie do siebie, poczułem jego usta na włosach. Daj padła na kolana przed ciałem Luke'a. Szlochała, pochylając się nad zwłokami, całowała włosy i zamknięte powieki.

Znienawidzi mnie teraz. Wiedziałem. Zawsze już będzie mnie nienawidzić. Powinienem go pilnować. Powinienem zająć się nim, bawić się z nim, grać w karty. Jednakże nikt nigdy nie obwinił mnie o tę śmierć z wyjątkiem mnie samego. Tylko ja znałem tę pełną goryczy prawdę i byłem głęboko przekonany, że to wyłącznie moja wina.

Słowa ojczyma „utraciliśmy go” zapamiętałem na zawsze.

Utraciliśmy go? Można stracić coś, co wpadnie w szczelinę kanapy lub wypadnie z dziurawej kieszeni; można przegapić godzinę odejścia pociągu, można zagubić się w myślach, można stracić poczucie czasu. Nie można jednak stracić dziecka, to coś nieporównanie bardziej tragicznego. Tak myślałem.

Otarłem łzy i spojrzałem na profesora. Nagle zdałem sobie sprawę, że cały czas mówiłem. Dlaczego Joe skłonił mnie do tych rodzinnych wspomnień, do wspomnień z okresu dzieciństwa? Co on wie o dręczącym człowieka poczuciu winy? On przecież nie musi codziennie, patrząc podczas golenia w lustro, widywać smutnego oblicza lub szukać jego odbicia w oczach matki. To ja zrobiłem z Daj alkoholiczkę. Upijała się z duchami swojej wymordowanej rodziny, z duchem zmarłego syna. Upijała się do drżenia rąk, do zatracenia poczucia rzeczywistości, kiedy otaczający ją świat miał już tylko posmak szminki z obrzeża kieliszka. Alkoholikom z nikim dobrze się nie układa; traktują wszystkich jako zakładników swego nałogu.

- Joe, proszę, zostaw te sprawy - szepnąłem. Profesor zamyka album. Po chwili milczenia mówi:

- Utraciłeś pamięć, ponieważ doznałeś urazu psychicznego.

- Zostałem postrzelony.

- Badania tomograficzne nie wykazały żadnych obrażeń, nie było wewnętrznego krwawienia. Nikt nie zdzielił cię pałką po głowie. Nie możesz powiedzieć, że nie pamiętasz określonych fragmentów wydarzeń i szczegółów przeżyć z przeszłości; ty po prostu nie dopuszczasz ich do swojej świadomości, blokujesz je. Chcę wiedzieć dlaczego.

- Lukę zmarł przed czterdziestu laty.

- Ale myślisz o nim codziennie. I wciąż zastanawiasz się, czy mógłbyś go uratować, podobnie jak zastanawiasz się, czy mógłbyś ocalić życie Mickey.

Milczałem. Chciałem, aby i on zamilkł.

- To tak jakby w twojej głowie odbywała się wewnętrzna projekcja filmu, nieprawda? Nieustanna projekcja...

- Wystarczy - powiedziałem.

- Chciałbyś pędzić z góry po śniegu, z małym Lukiem przed sobą. Chciałbyś trzymać go mocno w objęciach, hamując butami na śniegu, aby zatrzymać się w bezpiecznym miejscu...

- Skończ! Po prostu zamknij się!

Zerwałem się z miejsca. Palec wymierzam w jego oczy. Na ten widok barman ruszył w kierunku telefonu, aby zadzwonić po policję.

Joe ani drgnął. Chryste, jakie on ma nerwy! Wyraz swojej twarzy - wyrażającej pustkę i niezmierny smutek - widzę w jego oczach. Nagle uchodzi ze mnie złość. Dzwoni leżący na stole telefon komórkowy.

- Wszystko w porządku? - pyta Ali. - Słyszałam, co się wydarzyło w komisariacie.

W gardle czuję żółć. W końcu udaje mi się wykrztusić parę słów.

- Znalazłaś Rachel? - pytam.

- Nie, lecz sądzę, że znaleźliśmy jej samochód.

- Gdzie?

- Ktoś przekazał wiadomość o jego porzuceniu. Przed dwoma tygodniami został odholowany z Haverstock Hill. Jest teraz na parkingu dla samochodów odholowanych przez policję. Chce pan, abym sprawdziła?

- Nie, pojedę tam.

Spojrzałem na zegarek, dochodziła szósta. Parkingi dla samochodów odholowanych przez policję czynne są całą dobę. Władzom miejskim nie chodzi oczywiście o pieniądze, ale o funkcjonowanie miasta w godzinach nocnych. Abyś, mając taki kaprys, o każdej porze dnia

i nocy mógł kupić Tower of London.

Po wypiciu piwa zgarnąłem ze stołu swoje rzeczy. Profesor chce mnie pożegnać.

- Pojedziesz z nami - mówię. - Zabierzemy cię pod warunkiem, że nie piśniesz ani słowa.

Parking dla odholowanych samochodów w Camden wygląda jak obóz jeniecki z okresu drugiej wojny światowej. Jest ogrodzony drutem kolczastym, oświetlony punktowymi reflektorami. Ma nawet drewniany barak, w którym samotny strażnik, trzymający wyglancowane buty na biurku, a mały telewizorek między kolanami, ogląda program rozrywkowy.

Stukam w okno, strażnik rozgląda się. Zdejmuje nogi z biurka i podciąga spodnie.

Ma twarz dziecka, najeżone włosy, a przy pasku pałkę policyjną.

- Jestem komisarz Ruiz. Macie tutaj przyholowany przed dwoma tygodniami samochód z Haverstock Hill.

Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów.

- Chce pan go zabrać? - pyta.

- Nie, chcę go sprawdzić.

Patrzy także na profesora, zastanawiając się, dlaczego trzęsie mu się lewa ręka. W jego oczach z pewnością stanowimy z profesorem dziwną parę.

- Nikt nie zawiadomił mnie, że przyjdziecie, a powinni mnie zawiadomić. Zapłacicie za holowanie pojazdu?

- Nie zabieramy samochodu. Chcemy go jedynie obejrzeć. Za strażnikiem coś się poruszyło. Zza biurka wygramolił się wilczur. Przeciągnął się i jakby uszło z niego powietrze. Kiedy wstał, sięgnął grzbietem biurka. Zawarczał, ale zamilkł na jedno słowo strażnika.

- Nie zwracajcie na niego uwagi, nie ugryzie.

- Jest pan pewien?

Na parkingu było chyba ponad sto pojazdów. Spisano ich tablice rejestracyjne i podstawowe dane techniczne. Po kilku minutach strażnik znalazł opis samochodu Rachel, renault estate.

Z raportu wynikało, że samochód został znaleziony na Lyndhursts Road, z otwartymi drzwiami oraz z kluczykiem w stacyjce. Ktoś skradł radio i jeden z foteli.

Strażnik poszedł z nami na parking podzielony kolorową farbą na kwadraty.

Samochód Rachel pokryty był kroplami deszczu, a kiedy otworzyłem drzwi, nie zapaliło się wewnętrzne światło. Wszedłem do środka i zapaliłem je. Z przodu brakowało siedzenia dla pasażera. Wnętrze samochodu było puste, jedynie na podłodze leżał ciemny koc.

Ostrożnie podniosłem go i zobaczyłem butelkę wody, tabliczkę czekolady i ręczny peryskop.

- Ktoś miał leżeć na podłodze, aby nie być zauważonym, miał natomiast obserwować coś lub kogoś przez peryskop - powiedział Joe.

- To Rachel musiała dostarczyć okup. Ktoś jej towarzyszył.

Obydwu nam przyszło to samo na myśl - czy to nie byłem ja? Campbell nazwał mnie facetem egzekwującym sprawiedliwość na własną rękę. Aleksei nie chciał żadnej ochrony policyjnej, co znaczy, że nie było w pobliżu ani jednej grupy obserwacyjnej w samochodach, na motocyklach bądź w śmigłowcach.

- Jeżeli to ja byłem osobą, która dostarczyła okup, to pod jakim warunkiem? Jaką chciałem mieć pewność, że wszystko pójdzie po mojej myśli?

- Chciałeś mieć niepodważalny dowód, że mała żyje - mówi Joe.

- Tak, lecz poza tym nasuwa mi się pytanie: Jeżeli osobiście przekazywałem okup, co stanowi dla mnie odpowiednią gwarancję, że moja misja powiedzie się? Kto mnie ubezpieczał?

Joe wzrusza ramionami. Odpowiadam sam sobie:

- Musiałem mieć wsparcie policyjne. Chciałbym, aby ktoś mnie zabezpieczał, przynajmniej z pewnej odległości. I chciałbym mieć pewność, że zabezpieczający mnie ludzie nie utracą ze mną kontaktu.

- W jaki sposób byłoby to możliwe?

- Za pomocą urządzeń śledzących. Jedno urządzenie zainstalowałbym w samochodzie, drugie w opakowaniu, w którym znajdował się okup.

Z chaosu moich myśli wyłoniła się jedna, ta najważniejsza. Teraz już zaczynałem domyślać się, dlaczego Aleksei wiedział o mojej obecności w budynku więziennym, i dlaczego Keebal chciał przeszukać moje mieszkanie. W paczce z diamentami jest urządzenie śledzące, swego rodzaju nadajnik.

Nagle pomyślałem o Ali.

Dzwonię do niej. Jeden sygnał, drugi, trzeci...

- Na miłość boską, odbierz telefon! Odbierz natychmiast. - Czekam kilka sekund. Nie odpowiada.

Dzwonię do jej domu, na telefon stacjonarny. Ali, odbierz, błagam.

- Halo (dzięki Bogu!).

- Co zrobiłaś z moim płaszczem?

- Jest tutaj.

- Zostań w mieszkaniu! Zamknij drzwi. Nie zbliżaj się do okien.

- Coś się stało?

- Ali, proszę, zrób to! W paczce z diamentami musi być urządzenie do śledzenia ruchów, które określa położenie diamentów. Dlatego Aleksei wiedział, gdzie jestem.

Wsiadliśmy do samochodu, Joe nacisnął pedał gazu, wyjechał z parkingu i popędził jak szalony, przemykając krętymi ulicami. Bóg jeden wie, gdzie nauczył się tak znakomicie prowadzić. Jest albo kierowcą rajdowym, albo amatorem pozbawionym wyobraźni i doświadczenia, który za chwilę w coś uderzy i wylecimy na zewnątrz, wybijając przednią szybę.

- Jakie diamenty? O czym ty mówisz?! - krzyczy.

- Zamknij się i jedź.

Ali nadal jest przy telefonie.

- Mogę się mylić co do nadajnika w paczce z diamentami - mówię. - Odpręż się.

Lecz Ali już rozpruwa paczki. Słyszę przez telefon, jak rozrywa plastikową piankę opakowań. Wiem, co znajdzie we wnętrzu - miniaturowy nadajnik radiowy, ważący mniej niż osiemdziesiąt gramów, i baterie, które mogą zasilać nadajnik przez być może cztery tygodnie. Podłoga w mojej kuchni była przecież pokryta polistyrenem i drobinami plastyku. Polistyren wykruszyłem nożem.

W słuchawce słyszę głos Ali:

- Znalazłam.

- Rozłącz baterie - nakazuję. Joe krzyczy:

- Masz diamenty Kuzneta?! Zwariowałeś!

Samochód skręcił gwałtownie w Albany Street i ostro przyhamował. Na światłach zarzuciło nas. Joe znowu przyspieszył zrywem i podskoczyliśmy na progu zwalniającym.

Ali mieszka w biednej i zaniedbanej dzielnicy Hackney. Jej dom stoi przy wąskiej uliczce pełnej magazynów z szarej cegły, z okratowanymi oknami.

Nadal tkwi przy telefonie.

- Gdzie jesteście? - pyta.

- Już blisko. Zgasiłaś światła?

- Tak.

Słyszę w słuchawce dzwonek do drzwi jej mieszkania.

- Oczekujesz kogoś? - pytam.

- Nie.

- Więc nie odpowiadaj.

Mija dziesięć... dwadzieścia... trzydzieści sekund. Nagle słyszę w telefonie dźwięk

tłuczonego szkła.

- Ktoś rozbił panel drzwi wejściowych - mówi Ali głosem pełnym trwogi. Włącza się alarm przeciwwłamaniowy.

- Masz broń? - pytam Ali.

- Tak.

- Ali, po prostu oddaj im diamenty. Nie podejmuj żadnego ryzyka!

- Proszę pana, nie mogę dłużej rozmawiać. Proszę się pospieszyć!

Telefon Ali zamilkł.

Następnych kilka minut było najdłuższych w moim życiu. Na skrzyżowaniu Joe gwałtownie zahamował pod czerwonymi światłami, po czym znowu ruszył pod prąd, przyspieszył, wyprzedził trzy autobusy. Przerażeni kierowcy nadjeżdżających z przeciwka samochodów zjeżdżali na boki. Po chwili Joe wykonał kierownicą pół obrotu i samochód ponownie wpadł w poślizg. Siła odśrodkowa rzuciła mnie na drzwi, a telefon komórkowy walnął w ucho. Dzwonię na policję, mówiąc, że funkcjonariuszowi grozi niebezpieczeństwo. Podaję adres Ali.

- To blisko, zaraz po lewej stronie... w połowie drogi - informuję patrol.

Po obu stronach ulicy znajdują się tarasowo położone domy. W świetle lamp ulicznych mury domów i zasłony w oknach nabrały żółtego koloru.

Do Ali mamy jeszcze kawałek drogi. Dotarliśmy tam. Nadal dzwoni alarm przy głównych drzwiach. Wyskakuję z samochodu i pędzę w kierunku domu. Joe krzyczy, abym zwolnił.

Główne wejście jest otwarte. Opierając się plecami o mur,; zaglądam do środka. Widzę korytarz i schody prowadzące na piętro. Wchodzę, czekając, aby oczy przyzwyczyły się do ciemności.

Raz tylko byłem tutaj przed wielu laty. Siedzieliśmy wówczas w ogródku na dachu, odpoczywając i pijąc piwo. Promienie zachodzącego słońca barwiły wszystko na złoto. Pamiętam, że pomyślałem wówczas, iż Londyn, mimo wszelkich niedogodności, to taki współczesny Babilon z wielką mozaiką grup etnicznych. Ale chwilę później, kiedy zapadł zmrok, myśl ta uleciała.

Przypomniałem sobie rozkład mieszkania. Zaraz po lewej stronie jest pokój gościnny, a dalej sypialnia. Na samym końcu korytarza - kuchnia.

Księżyc świecił przez okno, lecz odnosiłem wrażenie, że w mieszkaniu nie ma żywej duszy.

Piskliwy dźwięk dzwonka alarmowego działa mi na nerwy. Macając palcami po

ścianie, szukam tablicy kontrolnej. System alarmowy zasilany jest energią z głównego kabla elektrycznego, a w wypadku awarii energią elektryczną z dwuna-stowoltowej baterii z zabezpieczeniem uniemożliwiającym jej wyłączenie.

W ciemnościach Joe, który jest już za mną, kładzie, ku memu zaskoczeniu, rękę na moim ramieniu, przez co o mało nie obrywa laską. Krzyczę, by mnie usłyszał, aby wyszedł na zewnątrz, znalazł dzwonek alarmowy i wyrwał go ze ściany.

- Czym? - pyta.

- Wysil wyobraźnię - radzę.

Joe znika, a ja przeszukuję kuchnię i salon. W świetle lampy ulicznej widzę profesora na podjeździe z prętem metalowym w ręku. Wchodzi na ceglany mur i uderza w czaszę dzwonka. Po kilku uderzeniach przenikliwy dźwięk milknie. Ciszę, jaka zapanowała, odczuwam niemalże jak gwałtowną zmianę ciśnienia. Cicho wspinam się po schodach. Przy całej swej niechęci do broni palnej chciałbym teraz mieć pistolet. Mój spoczywa jednak na dnie Tamizy lub też na straganie czarnego rynku.

Dochodzę do pierwszych drzwi, zatrzymuję się i nasłuchuję, lecz słyszę tylko bicie własnego serca. Po chwili w tej głębokiej ciszy dociera do mnie jakiś dziwny głos, to czyjś oddech. Przyciskam ucho do drzwi, czekam chwilę, nasłuchując kolejnego szmeru.

Chwytam laskę, naciskam klamkę i uchylam drzwi. W pokoju jest jeszcze ciemniej.

Znowu przyczajam się i czekam.

Nagle słyszę metaliczny szcęk... odgłos sprężyny. Zadrzałem raczej z poczucia bezradności niż z lęku. Robię krok naprzód. Zapalam światło. Ali siedzi na łóżku z wycelowanym prosto w moją pierś pistoletem MP5A2.

Zaskoczeni, patrzymy na siebie. Ali mruga powiekami i słyszę, jak z jej piersi wydobywa się głębokie westchnienie ulgi.

- Ma pan szczęście, że pana nie zastrzeliłam.

- Zabezpieczyłem się przed tym - mówię i pokazuję swą kamizelkę kuloodporną.

Profesor opada na krzesło, ręce opiera na poręczach. W ciągu tych paru minut stracił resztki sił. Ali podaje mu szklankę wody. Bierze ją w prawą rękę, tę, która nie drży.

- Gdzie się nauczyłeś tak prowadzić samochód?

- W Silverstone - odparł. - Ukończyłem kurs dla zaawansowanych.

- Michael Schumacher powinien mieć się na baczności. Ali zabarykadowała już drzwi wejściowe, idzie teraz i sprawdza pokoje, chce wiedzieć, czy coś nie zginęło. Ktokolwiek wtargnął do domu, musiał uruchomić system alarmowy, po czym zbiegł.

- Czy zauważyłaś kogoś?

- Nie.

- Gdzie są diamenty?

- Schowałam je tam, gdzie dziewczęta zwykły chować rzeczy najbardziej osobiste, do szuflady z bielizną.

W szufladzie leżą cztery aksamitne woreczki. Ali otwiera jeden z nich i przez palce przesiewa diamenty na kołdrę. Czasami patrząc na nadmiar rzeczy rzadkich, pięknych i drogich, odczuwasz przesyt, lecz nie dzieje się tak, gdy chodzi o diamenty. Ich widok zawsze zapiera dech w piersi.

Słyszę głosy syren zbliżających się wozów policyjnych. Ali schodzi na dół i czeka na funkcjonariuszy. Nie sądzę, abyśmy znaleźli odciski palców lub jakiegokolwiek inne materialne dowody pozostawione przez włamywacza, lecz zgodnie z procedurą śledczą złożymy zeznania i pobierzemy próbki, aby ustalić, czy są ślady odcisków palców.

Joe nadal nie rozumie, jak to się stało, że okup znalazł się w końcu w posiadaniu Ali. Opowiedziałem mu więc o szafce i drobinach plastiku na podłodze kuchennej.

Podziwiam jego wyczucie spraw najważniejszych. Zamiast ulegać nastrojom paniki i złości siada na łóżku Ali i ogląda strzępy opakowań, pomarańczową osłonę plastikową, białą piankę i taśmę. Nadajnik jest wielkości pudełka od zapalek, ma dwa oddzielne przewody podłączone do baterii.

- Dlaczego diamenty zapakowano w ten sposób?

- Przypuszczam, że miały unosić się na powierzchni wody.

- Te paczki były więc razem z tobą na rzece.

- Nie wiem. Tego typu nadajnik co dziesięć sekund wysyła sygnał odbierany przez odbiornik. W przeciwieństwie do satelitarnych urządzeń śledzących ruch przedmiotów na Ziemi, ten nadajnik miał bardzo ograniczony zasięg: około pięciu kilometrów w miejskiej zabudowie i dziesięciu na otwartej przestrzeni.

- Z jaką dokładnością może podawać położenie danego obiektu?

- Do pięćdziesięciu metrów.

Jeżeli Rachel wystąpiła w roli kuriera, który miał dostarczyć okup, a ja jej towarzyszyłem, z całą pewnością zapewniłbym sobie obecność kogoś, kto śledziłby nadawane sygnały. Osobą w tej sytuacji najbardziej zainteresowaną był Aleksei. To były bowiem jego diamenty i chodziło o życie jego córki.

Joe bierze nadajnik do ręki.

- Jak to się jednak stało, że okup w końcu wylądował w twojej szafce? Coś zawiodło?

- pyta.

- Jeżeli wiesz, to mi powiedz! Zostałem postrzelony.

- Nie wiem, co zawiodło. Cały czas o tym myślę. Dziesięć dni spędziłeś w szpitalu. Jeżeli Aleksei wiedział, że masz diamenty, w każdej chwili mógł je odebrać. Nie zrobił tego jednak.

- Być może chciał, aby najpierw ktoś inny je znalazł, na przykład Keebal.

Prawie natychmiast odrzuciłem tę myśl. Nie jestem wyznawcą teorii spiskowej i nie mam nic przeciwko Keebalowi - poza tym że szpiegował i donosił na kolegów - lecz ktoś widocznie dał mu cynk o diamentach. Musiał to zrobić Aleksei. Pomyślałem, że albo Aleksei i Keebal pracowali razem, albo też jeden drugiego w tej grze wykorzystywał.

Profesor nadal studiował wszelkie możliwe cechy opakowań, jakby usiłował ustalić ich pierwotne rozmiary.

- Jakie teraz podejmiemy kroki? - spytała Ali, schodząc po schodach.

- Wykorzystamy przewagę, jaką zyskujemy dzięki temu - mówię i podaję jej urządzenie.

Na twarzy Ali pojawia się uśmiech. Doskonale się rozumiemy, nadajemy na tej samej fali.

Krople wody uderzają o mansardowe okno, tworząc na parapecie miniaturową tęczę. Jaki mamy dzisiaj dzień? Czwartek? Nie, piątek. Wyleguję się w łóżku, słyszę odgłosy podjeżdżających ciężarówek, pracujących młotów pneumatycznych, nawołujących robotników. Są to poranne odgłosy budzącego się do życia Londynu.

Wbrew własnym przekonaniom, pozwoliłem wczoraj wieczorem, aby Ali ulokowała mnie w mieszkaniu swoich rodziców, w Miłlwall. Po tym, co się wydarzyło, nie mogliśmy pozostać w jej domu.

Kiedy przybyliśmy, rodzice już spali. Zmęczony, położyłem się natychmiast do łóżka w gościnnym pokoju. Czysty ręcznik i mydło Ali położyła na brzegu łóżka jak w hotelu „B&B”.

To chyba był jej dawny pokój. Na półkach i w paczkach po książkach było mnóstwo słoń: od małych szklanych do wielkich, stojących na drewnianych skrzyniach u stóp łóżka.

Kiedy zrobiło się widno, usłyszałem delikatne pukanie.

- Przyniosłam panu filiżankę herbaty - powiedziała Ali, biodrem otwierając drzwi. - Muszę także zmienić opatrunek na nodze.

Była w przewiązanym paskiem szlafroku, z maciupęnkim słonikiem naszytym na kieszeni. Chodząc, dziwnie stawiała stopy, jej chód przywodził mi na myśl pingwina, mimo iż w jej ruchach było wiele gracji.

- Jak się spało?

- Wspaniale.

Wie, że kłamię. Siedzi koło mnie i nożycami rozcina bandaże oraz taśmę chirurgiczną. Przez następnych piętnaście minut obserwuję, jak zmienia bandaże na moim udzie.

- Te szwy można by już zdjąć - mówi.

- Gdzie ukończyłaś kurs pierwszej pomocy?

- Mam czterech braci.

- Myślałem, że młodzi Hindusi to bardzo pokojowe natury.

- Nie wszczynają awantur.

Odcięła ostatni pasek bandaży i owinęła nogę.

- Bolało? - zapytała.

- Nie bardzo.

Odniosłem wrażenie, że chciała zapytać o morfinę, lecz zawahała się. Kiedy pochyliła się, aby podnieść nożyczki, jej szlafrok rozchylił się i zobaczyłem biust. Miała czarne brodawki w kształcie rożków. Nagle ogarnęło mnie poczucie winy i szybko odwróciłem wzrok.

- Co zamierza pan zrobić z diamentami? - zapytała.

- Ukryć je w bezpiecznym miejscu. - Rozejrzałem się po pokoju. - Lubisz słonie.

Uśmiechnęła się z zażenowaniem.

- Przynoszą szczęście. Przywołują je, podnosząc trąbę.

- Co myślisz o tym? - Wskazałem ręką na olbrzyma z opuszczoną trąbą, wyrzeźbionego z drewna.

- To prezent od dawnego kolegi. Przedstawia zwierzę z wymarłego już gatunku.

Pozbierała skrawki bandaży i na skraju stołu wygładziła serwetkę papierową.

- Dzisiaj rano otrzymałam telefon w sprawie Rachel Carlyle - powiedziała. Tą informacją obudziła moje nadzieje. Po chwili milczenia dodała: - Przechodzi załamanie nerwowe. Nocny stróż zauważył ją w skradzionym samochodzie na pustkowiu w Kilburn.

- Kiedy to się stało?

- Owego ranka, kiedy wydobyto pana z rzeki. Policja zabrała ją do szpitala Royal Free w Hampstead.

Zamiast uczucia radości doznałem po prostu ulgi. Dotychczas usiłowałem nie myśleć, kto mógł być na tej łodzi. Jednakże im dłużej brakowało wiadomości o losie Rachel, tym bardziej doskwierała mi ta myśl.

- Przepytano ją?

- Nie. Żaden z policjantów z nią nie rozmawiał.

Pomyślałem, że to sprawka Campbella. Nie będzie prowadził żadnego śledztwa w jakiegokolwiek sprawie związanej z zaginięciem Mickey Carlyle, ponieważ obawia się, dokąd takie śledztwo mogłoby doprowadzić. Niepodejmowanie żadnych działań nie jest ukrywaniem prawdy. Natury tchórzliwe bronią się, stosując zasadę prawdopodobnego zaprzeczenia.

- Dokonali natomiast rewizji w mieszkaniu Rachel i znaleźli nagrane na automatycznej sekretarce wiadomości od pana. Znaleźli także pańskie ubranie. Nie chcą, aby pan zajmował się tą sprawą. Przynajmniej dopóki nie odbędzie się rozprawa apelacyjna Howarda - referuje Ali.

- Gdzie Rachel jest teraz?

- Opuściła szpital przed ośmioma dniami.

Tę informację musiał przekazać Ali ktoś blisko związany z Campbellem, detektyw biorący udział w początkowym śledztwie. Prawdopodobnie był nim Nowy Chłopak, Dave King, któremu Ali wpadła kiedyś w oko. Był przed ośmiu laty najnowszym członkiem grupy operacyjnej zajmującej się ciężkimi przestępstwami.

- Jak się miewa twój przyjaciel? Zrobiła dziwną minę.

- To nie pana sprawa.

- Dave to dobry chłopak, o wysportowanej sylwetce. Sądzę, że chodzi na siłownię.

Milczała.

- Oczywiście, nie jest orłem, lecz mogłabyś trafić gorzej.

- On naprawdę jest nie dla mnie.

- Dlaczego?

- No cóż, przede wszystkim dlatego, że ma nogi cieńsze od moich. Jeżeli mieści się w moich spodniach, to niewiele mogę sobie po nim obiecywać.

Przez kilkanaście sekund zachowała kamienny wyraz twarzy. Biedny Dave. Jest dla niego zbyt bystra.

Na dole w kuchni spotkałem matkę Ali. Jest małego wzrostu. Ubrana w jasnozielone sari wyglądała jak świecidelko na choinkę.

- Dzień dobry, komisarzu, witam w naszym domu. Mam nadzieję, że spał pan dobrze.

- Wydawało mi się, że widzę uśmiech w jej ciemnych oczach. Mówiła z niezwykle poprawnym akcentem, jakby w ten sposób chciała wyrazić szacunek dla kogoś bardzo ważnego. A przecież nawet mnie nie znała.

- Dziękuję, spałem wyśmienicie.

- Przygotowałam panu śniadanie.
- Śniadanie jadam zwykle w porze lunchu.

Przebłysk rozczarowania w jej oczach sprawił mi przykrość, lecz już sprzątała stół po poprzednich biesiadnikach. Niektórzy bracia Ali nadal mieszkają z rodzicami. Dwóch prowadzi warsztat samochodowy w Mile End, jeden jest księgowym, a jeden studiuje na uniwersytecie.

Z tyłu domu słychać plusk wody w toalecie. Po chwili zjawia się ojciec Ali w mundurze kolejarza. Ma srebrnobiałą brodę i jasnoniebieski turban. Kłania się i podaje mi rękę.

- Serdecznie witamy, komisarzy.

Pojawia się Ali w sportowej bluzce i w dzinsach. Jej ojciec jest wyraźnie rozczarowany tym widokiem, lecz stara się ukryć swą reakcję.

- Papa, teraz wszyscy jesteśmy Brytyjczykami - mówi Ali, całując go w rękę.

- Tak, poza murami tego domu - odpowiada ojciec. - Tutaj nadal jesteś moją córką. Wystarczy, że obcięłaś włosy.

Wydaje się, że składając wizytę rodzicom, Ali powinna wkładać sari.

Raz widziałem ją w tym stroju, była nieco zażenowana, lecz wyglądała przepięknie owinięta jedwabną tkaniną w kolorze pomarańczowym i zielonym. Jechała na ślub kuzyna. Poczulem wówczas dziwne uczucie zazdrości.

Usiłując zmienić temat rozmowy, powiedziałem:

- Dziękuję panu serdecznie za gościnę. Pan Barba skinął głową i odrzekł:

- W porządku, komisarzy. Córka opowiedziała mi wszystko.

Przyjąłem to z niedowierzaniem.

- Jest pan mile widzianym gościem. Proszę usiąść i zjeść śniadanie. Przepraszam, ale muszę wyjść.

Z półki kuchennej zabiera pojemnik na kanapki i termos. Pani Barba odprowadza go do drzwi i całuje w policzek. W czajniku zagotowała się woda, Ali parzy świeżą herbatę.

- Proszę wybaczyć rodzicom - mówi. - Powinnam uprzedzić pana, że pojawią się tego rodzaju problemy.

- Problemy?

- Moja matka jest bardzo wścibska. |', Z przedpokoju dochodzi głos:

- Słyszałam, co powiedziałaś.

- Ma także słuch jak gacek - szepnęła Ali.

- To także słyszałam. - Pani Barba pojawia się znowu. - Komisarzy, jestem pewna, że

pan nie mówi takich rzeczy o swojej matce.

Odczuwam nagle poczucie winy.

- Moja matka jest w domu spokojnej starości - oznajmiam.

- Jestem pewna, że to porządne miejsce. Czy to oznacza, że drogie?

Pani Barba obejmuje Ali w pasie i przytula ją do siebie.

- Moja córka sądzi, że ją śledzę, ponieważ raz w tygodniu przychodzę sprzątać jej mieszkanie.

- Nie musisz tego robić.

- O tak! Jeżeli ty jesteś królową i ja jestem królową, to kto nanosi wody?

Ali przewraca oczami. Pani Barba zwraca się do mnie z pytaniem:

- Ma pan dzieci, komisarzy?

- Dwoje.

- Jest pan rozwiedziony, prawda?

- Dwukrotnie. Znosi się i na trzeci rozwód.

- To smutne. Tęskni pan do żony?

- Tak, lecz przyrzekam sobie, że się poprawię.

Mój żart nie skłania jej do śmiechu. Stawia przede mną kubek świeżej herbaty.

- Dlaczego nie udawały się panu małżeństwa? Ali patrzy przerażona.

- Mamo, nie zadaje się takich pytań.

- W porządku - odpowiadam. - Tak naprawdę to nie wiem dlaczego.

- Moja córka mówi, że mądry z pana człowiek.

- Serce nie sługa - odparłem.

- Nie tak trudno kochać żonę.

- Kochałem jedną, ale nie byłem z nią długo.

Nie wiem, jak to się stało, lecz opowiedziałem pani Barba, że moja pierwsza żona, Laura, umarła na raka piersi w wieku trzydziestu ośmiu lat, druga zaś porzuciła mnie, kiedy zdała sobie sprawę, że małżeństwo to nie weekendowa, romantyczna przygoda. Teraz jest w Argentynie i kręci film o wybitnych sportowcach - gwiazdach gry polo i z pewnością któregoś z nich zawsze uwodzi. Moja obecna żona, Miranda, spakowała rzeczy i wyniosła się, ponieważ więcej czasu spędzałem w pracy niż w domu. To brzmi jak historie z telenoweli.

Pani Barba zauważyła nutę przygnębienia w moim głosie, kiedy mówię o Laurze, mojej szkolnej miłości. Nie mając żalu do losu, jaki mnie spotkał, uważam jednak, że zasłużyliśmy na odrobinę więcej szczęścia. Z całą zaś pewnością ona zasłużyła. Opowiadając historie swoich małżeństw, doszedłem do moich bliźniąt. Opowiedziałem pani Barba o córce Claire,

zawodowej tancerce w Nowym Jorku, i o tym, że ilekroć widzę jej zdeformowane palce u nóg, odczuwam przemożną chęć aresztowania wszystkich występujących w nowojorskim balecie. O moim synu Michaelu ostatni raz słyszałem, kiedy kompletował załogę jachtu na Karaibach.

- Nieczęsto ich pan widuje - powiedziała pani Barba.

- Nie.

Kiwała ze zdziwieniem głową, a ja czekałem na pouczenia na temat odpowiedzialności rodziców. Zamiast tego naląła mi świeżej herbaty i opowiedziała o swoich dzieciach i swojej wierze. Nie zauważa żadnych różnic rasowych ani religijnych i opowiada się za równouprawnieniem płci. Ludzie są wszędzie tacy sami, tyle że w niektórych krajach życie traktuje się zbyt lekko i daje się większy posłuch nienawiści.

Kiedy matka wyszła z pokoju, Ali znowu przeprosza za jej zachowanie.

- Myślę, że jest bardzo miła - mówię.

- Doprowadza mnie do szału.

- Chciałabyś mieć inną?

Ali pożyczyła samochód od jednego z braci. Tak ją uczono - nigdy w ciągu dnia nie jedź dwukrotnie tą samą drogą i nie korzystaj z tego samego pojazdu. Ludzie w policji latami przyswajają sobie tego rodzaju zasady. Nie wiem, jak się czują, kiedy nie muszą już ich przestrzegać. Czy wówczas przeraża ich świat, jak na przykład małą Mickey Carlyle?

Podczas jazdy zatłoczoną Edgware Road odczuwałem pewną nadzieję. Dzisiejszy dzień mógł położyć kres nurtującej mnie od dłuższego czasu niepewności. Gdy tylko spotkam się z Rachel, opowie mi, co się wówczas wydarzyło. Mogłem tego nie zapamiętać, lecz teraz już będę wiedział.

Przejechaliśmy przez most kolejowy i skręciliśmy w prawo, do dzielnicy przemysłowej, pełnej warsztatów samochodowych, mechanicznych i złomowisk. Za kawiarnią na koszach na śmieci siedziały gołębie.

Droga kończy się i wjeżdżamy na teren niezagospodarowany, gdzie leżą jakieś rdzewiejące beczki, metalowe nasady kominów, połamane płoty i rusztowania. Wśród chwastów widać poobijaną zamrażarkę.

- To tutaj znaleziono Rachel. Siedziała na przednim siedzeniu dla pasażera w skradzionym samochodzie - mówi Ali, studiując szczegółową mapę policyjną. - Poprzedniego wieczoru zgłoszono kradzież tego samochodu spod sklepu należącego do wielkiej sieci handlowej w Soho.

Nad nami czyste niebo. Ostre promienie słońca odbijają się w kałużach. Wysiadłem z

samochodu i poszedłem w stronę przemysłowej zamrażarki, stąpając ostrożnie po nierównym gruncie. W odległości pięćdziesięciu metrów widać jakąś fabrykę czy magazyn. W Londynie jest wiele takich miejsc. Niektórzy wyobrażają sobie, że ludzie żyją w tym mieście w wielkim zagęszczeniu, wykorzystując każdą piędź ziemi. Są tu jednak i tysiące pustych magazynów, i niezamieszkałych domów, i sporo nieużytków.

Nie bardzo wiem, czego mogę się tutaj spodziewać: odpowiedzi na dręczące mnie pytania, świadków interesujących mnie wydarzeń? Może to śmieszne, lecz z okresu dzieciństwa pozostało mi pewne przyzwyczajenie. Otóż patrząc na każdą wolną piędź ziemi, zastanawiam się, co mogło w tym miejscu kiedyś rosnąć. Śmieszne są narzucające się człowiekowi skojarzenia. Jestem bowiem w środku olbrzymiej aglomeracji, a zastanawiam się, czy można by tutaj posiać jęczmień lub rzepak.

- Dlaczego nie pamiętam niczego, co mogło się tutaj zdarzyć? - mówię głośno.

- Może nigdy pan tu nie był - odpowiada Ali. - Rachel porzuciła swój samochód pięć kilometrów od tego miejsca.

- Podążałbym za nią.

- W jaki sposób?

- Nie wiem.

Wśród chwastów i rumowisk Ali znalazła ścieżkę, wyprzedziła mnie i podeszła do drucianego ogrodzenia. Za ogrodzeniem jest tor kolejowy - Bakerloo Linę. Kiedy jedzie pociąg, ziemia drży.

Po lewej stronie ogrodzenia znajduje się, przerzucona nad szynami, kładka dla pieszych. W północnej stronie częściowo widać perony stacji kolejowej Kilburn. Między torami rosną chwasty, w rowach leży pełno śmieci.

To dobre miejsce na złożenie okupu. Spokojne. W zakładach fabrycznych i magazynach w nocy nikogo nie ma. Główne drogi przelotowe wiodą na północ i południe. Linia kolejowa prowadzi na zachód i wschód. Po dziesięciu minutach, jadąc w dowolnym kierunku, można o wiele kilometrów oddalić się od tego miejsca.

- Musisz zażądać rejestru wypadków od tutejszych komisariatów - mówię. - Chcę wiedzieć o wszystkim, co się owej nocy wydarzyło w promieniu trzech, pięciu kilometrów - o włamaniach, napadach, mandatach parkingowych, rozbitych lampach, o wszystkim, cokolwiek znalazło się w rejestrach.

- Czego pan szuka? - zapytała.

- Powiem ci, jak znajdę - odparłem.

Szpital Royal Free w Hampstead znajduje się o niecały kilometr od miejsca, gdzie

został porzucony samochód Rachel, a pięć kilometrów od miejsca, gdzie ją znaleziono. Wszedłem głównym wejściem, Ali czekała na zewnątrz.

Recepcjonistka ma około pięćdziesięciu lat i gładko uczesane rudawobrazowe włosy. Może jest pielęgniarką, lecz trudno to poznać, ponieważ nie nosi pielęgnarskiego kitla.

- Jestem komisarz Ruiz. Potrzebuję informacji o kobiecie, którą przed tygodniem przywieziono tutaj. - Zauważyłem przypiętą plaketkę z nazwiskiem kobiety. - Bardzo dziękuję, Joannę - powiedziałem.

Wyprostowała się i przyglądała włosy.

- Nazywa się Rachel Carlyle. Została przywieziona przez policję.

Joannę podpira głowę i patrzy na mnie.

- Być może należałoby sprawdzić w komputerze - sugeruję.

Lekko się zarumieniła i zaczęła pisać coś na klawiaturze.

- Niestety, pani Carlyle została wypisana.

- Dlaczego ją przyjęto?

- Przykro mi, lecz nie mogę udzielić panu takiej informacji.

- Kiedy została wypisana?

- Niech popatrzę... Dwudziestego dziewiątego września.

- Czy pani wie, dokąd się udała?

- No cóż, jest tutaj adres... Nie jestem pewna...

Wiem, o co teraz zapyta. Poprosi o urzędowy dowód tożsamości lub pismo od władz. Nie mam już odznaki policyjnej. Spozrzegam nagle, że przygląda się moim rękóm, ze szczególnym zaś zainteresowaniem patrzy na mój cygański pierścień. Jest z czternastokaratowego żółtego złota i ma diament koloru słomkowego. Według Daj należał do mego dziadka. Nie wiem jednak, w jaki sposób zdołała go odzyskać z obozu śmierci w Oświęcimiu.

Ludzi cechuje zabobonny lęk przed Cyganami. Moja matka zręcznie to wykorzystywała. Podczas szkolnych zabaw lub na ulicznych jarmarkach rozkładała pokryty płótnem stół, przekładała karty i za funciaka wróżyła chętnym. Odczytywanie lub przepowiadanie indywidualnych ludzkich losów miało już bardziej intymny charakter i odbywało się z reguły w domu, w pomieszczeniu za zasłoną, gdzie czuć było zapach kadzideł.

- Przychodzące na świat dzieci to powracający umarli - powiedziała Daj. - Kradną dusze zmarłych.

Takie bzdety nie irytowały mnie, a wróżby robiły na mnie niewielkie wrażenie, lecz czasami, gdy przesłuchiwałem podejrzanego, zauważałem jego nagle zaniepokojenie, kiedy

spozrzegł, że noszę na palcu cygański pierścień. Zachowywał się wówczas podobnie jak Joannę.

Jej oczy spoczęły teraz na mojej lewej ręce, tej z brakującym palcem.

- To od kuli - powiedziałem, pokazując miejsce, gdzie kiedyś był palec. - Czasami odnoszę wrażenie, że nadal go mam. Boli mnie. Da mi pani ten adres? - zapytałem.

Lekko wzruszyła ramionami.

- Przypuszczam, że odebrał ją ze szpitala ojciec, pan Douglas Carlyle - powiedziała.

- Proszę się nie facygować. Wiem, gdzie mieszka - odparłem.

Douglas Carlyle ma tytuł szlachecki. Jest emerytowanym bankierem i potomkiem Roberta the Bruce, króla Szkocji. Podczas wstępnego śledztwa w sprawie zaginięcia Mickey przesłuchiwałem go i odniosłem wrażenie, że nie darzy mnie szczególną sympatią. Wydaje się jednak, że nie poświęcał wiele uwagi córce. Tych dwoje nie rozmawiało ze sobą przez jedenaście lat, odkąd Rachel została skreślona z listy studentów uniwersytetu, zajęła się polityką, opowiedziała się po stronie lewicy i wyparła się ojca, ponieważ był człowiekiem bogatym i utytułowanym.

Robiła wszystko, aby prowokować ojca. Pracowała w schroniskach dla bezdomnych, w organizacjach ochrony lokatorów, w stowarzyszeniach ekologicznych, chciała ratować świat, sadząc drzewa. Jednakże najbardziej napawał go goryczą fakt, że wyszła za mąż za Alekseia Kuzneta, człowieka mającego obce korzenie i handlarza kwiatów.

Uderzał mnie spokój pana Douglasa, jego cierpliwość i opanowanie. Był głęboko przekonany, że pewnego dnia Rachel wróci do niego. Wydaje się teraz, że miał rację.

Zaparkowałem samochód przed okazałym domem w Hen-ley i spojrzałem w lusterko, aby przyjrzeć się własnej powierzchowności. Nigdy nie wyglądałem na zwolennika walki klas, aczkolwiek nie najlepiej czułem się w towarzystwie ludzi z tytułami szlacheckimi. W ogrodzie widoczna była duża biała fontanna, od niej rozchodziły się ścieżki, które łączyły kwietniki z trójkątnymi trawnikami. Dobiegał stamtąd głośny śmiech, usłyszałem także odgłos odbijanej piłki tenisowej, okrzyki radości i jęki rozpacz. Albo ktoś gra w tenisa, albo są to głosy ze ścieżki dźwiękowej jakiegoś filmu z lat sześćdziesiątych.

Kort tenisowy urządzono obok domu, za ogrodzeniem obrośniętym bluszczem. Poszliśmy ścieżką do pagody obok kortu, gdzie na stolikach stały tace z zimnymi napojami. Na korce grały dwie pary. Mężczyźni byli w moim wieku, opaleni, wysportowani. Kobiety młodsze od nich, ładne, w minispódniczkach, nosiły krótkie bluzki, odsłaniające talie i podkreślające szczupłość sylwetek.

Sir Douglas miał właśnie serwować. Z wojowniczą miną i orlim nosem sprawiał

wrażenie, że gry towarzyskie traktuje serio.

- Czym mogę panu służyć? - zapytał, zirytowany przerwaniem gry, lecz natychmiast mnie rozpoznał.

- Przepraszam, za kłopot, Sir Douglas. Szukam Rachel. Ze złością uderzył piłką o płot.

- Naprawdę nie mogę teraz się tym zajmować - odparł.

- To bardzo ważne.

Zszedł z kortu wraz z partnerką, która, mijając mnie, wzięła z krzesła kurtkę i aby nie zziębnąć, ubrała się w nią. Twarz i szyję wytarła ręcznikiem. Zauważyłem, że ma bardzo długą szyję. Czytałem w prasie o rozwodzie Sir Douglasa z matką Rachel.

- To Charlotte - powiedział, przedstawiając damę.

Uśmiechnęła się promiennie.

- Może pan mówić do mnie Tottie, wszyscy tak mówią, zawsze byłam Tottie.

Domyślałem się.

Sir Douglas, patrząc w stronę dwojga ludzi na obrzeżu kortu, pomachał ręką.

- A to nasi przyjaciele - rzekł. Krzyknął w ich stronę: - Proszę pójść i przygotować się do lunchu. Spotkamy się w domu.

Był teraz w lepszej formie niż wówczas, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Ładnie opalony, przypominał osmagane-go wiatrem żeglarza czy Australijczyka. Robił wrażenie człowieka nieulekłego i niezniszczalnego.

- Czy Rachel jest w domu? - zapytałem.

- Co pana skłania do takiego przypuszczenia? - zapytał. Chyba sprawdzał mnie.

- Odebrał ją pan ze szpitala przed tygodniem. Odniosłem wrażenie, jakby chciał wykonać bekhend.

- Nie wiem, czy pan sobie przypomina, komisarzu, że moja córka nigdy za mną nie przepadała. Uważa, że establishment to towarzystwo przestępców, swego rodzaju mafia, a ja występuję w roli ojca chrzestnego. Odrzuca rodowe tytuły i przywileje, a także nie odnosi się z szacunkiem do wykształcenia, za które płaciłem. Uważa, że tylko ubóstwo daje człowiekowi godność. Nafaszerowała się popularną mitologią klasy robotniczej i jest przekonana, że klasa ta składa się wyłącznie z ludzi ciężkiej pracy, wrażliwych i kierujących się zdrowym rozsądkiem. Wychowanie to praca mozolna i często niewdzięczna.

- Gdzie ona jest?

Pije ze szklanki lemoniadę i patrzy na Tottie. Mam wrażenie, że zaraz zacznie wciskać mi kit.

- Powinnaś pójść do domu, kochanie - mówi, zwracając się do Tottie. - Powiedz

Thomasowi, aby sprzątnął tutaj.

Thomas to kamerdyner.

Tottie wstaje, prostując długie nogi. Cmoka go w policzek.

- Mój drogi, nie pozwól się zadrećzać - mówi na odchodnym.

Sir Douglas zaprasza nas do zajęcia miejsc.

- Komisarzu, wie pan, co jest najtrudniejsze w życiu ojca? Starać się jak najusilniej, aby nasze dzieci nie popełniały naszych błędów. Chce pan im służyć radą. Chce, aby podjęły takie, a nie inne decyzje, aby weszły w związki małżeńskie z tymi, a nie innymi ludźmi, aby wyznawały pewne zasady, lecz w żadnym wypadku nie może ich pan do tego skłonić. Podejmują własne decyzje. Moja córka postanowiła wyjść za gangstera i psychopatę. Zrobiła to po części, by mnie ukarać, wiem o tym. Wiedziałem, kim jest Aleksei Kuznet. On pewne cechy charakteru ma we krwi, one przechodzą z ojca na syna.

Sir Douglas chowa rakiety do pokrowca.

- To dziwne, ale ja naprawdę współczuję Aleksejowi. Rachel czułaby się w pełni usatysfakcjonowana, gdyby poślubił ją milioner o czystych rękach lub ktoś, kto wygrał pieniądze na loterii albo też szczęśliwym trafem znalazł zakopany skarb, lecz takie rzeczy się nie zdarzają.

Nie wiem, do czego on zmierza, lecz usiłuję zachować spokój.

- Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie jest Rachel. Nie zwraca uwagi na moje słowa.

- Zawsze współczułem ludziom, którzy postanowili nie mieć dzieci. Nie wiedzą, czym dla istoty ludzkiej jest doznanie miłości w każdej możliwej postaci - mówi. Oczy zaszyły mu łzami. - Nie byłem ojcem stanowczym i konsekwentnym, nie byłem także obiektywny. Chciałem, aby postępowanie Rachel napawało mnie dumą, zamiast zdać sobie sprawę, że to ja, bez względu na jej zachowanie, powinienem zawsze być dumny z niej.

- Jak się czuje?

- Powoli odzyskuje siły.

- Muszę z nią porozmawiać.

- Obawiam się, że nie będzie to możliwe.

- Pan nie rozumie... Mamy do czynienia z żądaniem okupu. Rachel wierzy, że Mickey żyje. Oboje w to wierzymy. Muszę się dowiedzieć, na jakiej podstawie.

- Komisarzu, czy to oficjalne śledztwo?

- Musimy mieć absolutną pewność, zdobyć dowody - powiedziałem.

- Telefonował do mnie nadkomisarz Smith. Nie znam go dobrze, lecz podczas rozmowy wywarł na mnie duże wrażenie. Ostrzegł mnie, że być może zechce pan

skontaktować się z Rachel.

Omija mnie wzrokiem. Mówi, patrząc przed siebie.

- Córka przechodzi załamanie nerwowe. Ludzie bezwzględni i okrutni żerują na jej nieszczęściu. Od momentu kiedy znalazła ją policja, wydobyła z siebie zaledwie parę słów.

- Potrzebuję jej pomocy. Podniósł rękę, aby mnie powstrzymać.

- Lekarz nakazał, aby nie zakłócać jej spokoju - oznajmił.

- Zastrzelono ludzi. Popełniono ciężkie przestępstwo...

- Ma pan rację. Ale wydarzyło się także coś dobrego. Córka wróciła do domu i zamierzam ją chronić. Chcę zapewnić jej bezpieczeństwo i nie dopuścić do tego, aby znów ktoś ją skrzywdził.

Mówił to z należytą powagą. W jego oczach wyraźnie dostrzegłem niebudzącą żadnych wątpliwości, wręcz obłądną stanowczość. Rozmowa odbywa się w bardzo poprawnym tonie. Oczekiwałem nawet, że powie: Może następnym razem. Wydawało się, że nic prostszego i bardziej oczywistego jak złożenie wizyty w innym dniu.

Ogarnęło mnie gorące, pulsujące uczucie lęku. Nie mogę stąd odejść, dopóki nie porozmawiam z Rachel; zbyt wiele jest do stracenia.

- Czy przed zaginięciem Mickey Rachel wiedziała, że wystąpił pan do sądu o przyznanie opieki nad wnuczką?

Wzdrygnął się.

- Komisarzu, moja córka była alkoholiczką. Obawialiśmy się o życie Mickey. Pewnego razu Rachel upadła w łazience i wnuczka spędziła całą noc na podłodze, obok pijanej matki.

- Od kogo się pan o tym dowiedział?

Sir Douglas nie odpowiedział na pytanie.

- Śledził pan córkę - wyrażam przypuszczenie.

Nadal milczy. Od początku tej tragedii wiedziałem o złożonym w sądzie podaniu w sprawie przyznania opieki nad wnuczką. Gdyby Howard Wavell nie pojawił się w charakterze podejrzanego, kontynuowałbym śledztwo i doprowadziłbym do konfrontacji z Sir Douglasem.

- Co jeszcze zrobiłby pan, aby chronić Mickey? Rozzłoszczony oświadcza:

- Nie uprowadziłem wnuczki, jeżeli ma pan to na myśli. Szkoda, że tak nie postąpiłem, być może uratowałbym jej życie. Cokolwiek stało się w przeszłości, zostało wybaczone. Moja córka wróciła do domu.

Wstał, rozmowa skończona.

Odchodząc, skręciłem w stronę domu, bo mimo wszystko chciałem zobaczyć się z

Rachel. Usiłował mnie zatrzymać, lecz odtrąciłem go i z całej siły zawołałem:

- RACHEL!

- Nie może pan tak postępować! Żądam, aby pan opuścił moją posiadłość!

- RACHEL!

- Proszę natychmiast odejść. Ali usiłuje mnie powstrzymać.

- Proszę pana, być może powinniśmy odejść.

Przed oranżerią Douglas zachodzi mi drogę i usiłuje mnie zatrzymać. Jest zaskakująco silny.

- Proszę pana, chodźmy - ponagla Ali, trzymając mnie za rękę.

- Muszę widzieć się z Rachel - oświadczam.

- Nie tym sposobem - mówi Ali.

W tym momencie pojawia się Thomas. Ma na sobie fartuch i białą, gładko wyprasowaną koszulę. W rękę niczym maczugę trzyma srebrny świecznik.

Nagle cała ta sytuacja wydaje mi się tragicznie śmieszna. W Cluedo narzędziem, za pomocą którego popełniono morderstwo, jest świecznik, lecz wśród osób podejrzanych nie ma kamerdynera. Rzucanie podejrzania na służbę to oklepany chwyt autorów powieści kryminalnych.

Thomas staje nade mną, podczas gdy pan Douglas otrzepuje z kolan ziemię i trawę. Ali chwytam mnie pod rękę i prowadzi do wyjścia.

Sir Douglas już telefonuje, na pewno poskarży się na mnie Campbellowi. Odwracając się w jego kierunku, krzyknąłem:

- A jeżeli pan się myli?! Jeżeli Mickey żyje?!

W odpowiedzi na moje głośnie i dramatyczne pytania jedynie ptaki poderwały się w powietrze.

Grzebiąc w kieszeni, wyjmuję kapsułkę z morfiną i połykam ją bez wody. Mam zaschnięte gardło i czuję ją w przetyku. Kiedy po chwili otwieram oczy, jak przez mgłę widzę jasno przeświecającą siatkę. Mój samochód wydaje się sunąć pomiędzy rzędami czerwonych świateł sygnalizacyjnych a tłumem płynącym chodnikami niczym liście na rzece.

Nagle rząd autobusów staje w korku. W październiku 1995 roku na przystanku autobusowym w Bradford zmarł mój ojczym. Jadąc do kardiologa, miał wylew. Do czego prowadzą zakłócenia w komunikacji miejskiej? - pomyślałem.

W trumnie wyglądał dostojnie, nie sprawiał wrażenia farmera, raczej adwokata lub biznesmena. Resztki włosów ułożono i przyklejono mu do czaszki, przypuszczam, że za życia nawet nie marzył o tak idealnym uczesaniu. Przez jakiś czas próbowałem naśladować jego

trumienne uczesanie, z nadzieją, że przyda mi angielskiego wyglądu.

Po śmierci ojczyzna Daj zamieszkała w Londynie, dokąd przeniosła się ze mną i Mirandą. Obie różniły się jak ocet i oliwa. Daj była oczywiście jak ocet - ostra i cierpka. I niezależnie jak bardzo były ze sobą związane, zawsze coś między nimi iskrzyło i zawsze coś je dzieliło. A między tymi skonfliktowanymi istotami tkwiłem ja.

Na chodniku pod dużym parasolem, otoczona bukietami kwiatów, stała młoda kwiaciarka. Dzień był chłodny, więc obciągnęła rękawy puloweru, aby zakryć zziębnięte dłonie. Na stoiskach z kwiatami Aleksei zatrudniał sporo imigrantów i uchodźców, ponieważ byli tani i okazywali mu wdzięczność. Zastanawiałem się, o czym marzy ta kwiaciarka, kiedy zasypia samotnie w kawalerce bądź we wspólnym pokoju w wynajętym mieszkaniu. Czy uważa, że los dobrze się z nią obszedł?

Dziesiątki tysięcy wschodnich Europejczyków przybyło tutaj z byłych krajów sowieckich, kiedy te odzyskały niepodległość, i natychmiast zaczęło popadać w gospodarcze kłopoty. Czasami wydaje się, że cała Europa skazana jest na rozdarcie na coraz mniejsze kawałki, aż wreszcie nie będzie już skrawka ziemi dla jakiegokolwiek ojczystego języka i etnicznej kultury. Być może naszym wspólnym przeznaczeniem jest los wędrujących Cyganów.

Miota mną bezsilna wściekłość i nieopanowany lęk. Bezsilna wściekłość, ponieważ dałem się postrzelić, lęk, ponieważ do tej pory nie wiem, dlaczego do mnie strzelano. Nie mogę żyć w takiej pamięciowej próżni. Albo odzyskam wspomnienia z minionych dni, albo wymażę je całkowicie z pamięci.

Ali wyczuwa mój nastrój bezradnej rozpacz.

- Fakty, a nie analiza wspomnień decydują o rozstrzygnięciu spraw. Po prostu nadal musimy prowadzić śledztwo - stwierdza.

Jednakże nie rozumie pewnych rzeczy. Rachel mogłaby rozwiązać zagadkę zaginięcia córki. Miała mi powiedzieć, co się wówczas wydarzyło.

- On nigdy nie pozwolił panu spotkać się z Rachel. Aby porozmawiać z nią, musimy znaleźć inny sposób.

- Gdybym mógł przekazać jej wiadomość...

Nagle w mojej głowie nastąpił jakiś dziwny proces chemiczny i w moich wspomnieniach pojawiła się twarz, twarz kobiety o ciemnobrązowych oczach. Kobieta miała na krtani znamię jak rozlany karmel. Kirsten Fitzroy, najlepsza przyjaciółka Rachel i jej sąsiadka.

Niektóre kobiety od urodzenia darzą ludzi dziwnym spojrzeniem. Patrzą na człowieka,

jakby dokładnie wiedziały, o czym on myśli, i zawsze mają rację. Taka była Kirsten. Po zniknięciu Mickey stała się dla Rachel jedyną ostoją, karmiła ją i chroniła przed wścibstwem mediów.

To Kirsten była osobą, która mogłaby przekazać jej wiadomość ode mnie. Mogła ustalić, co się właściwie stało. Wiedziałem, że mieszka gdzieś w Notting Hill.

- Zdobędę ten adres - mówi Ali, zjeżdżając na skraj jezdni. Zadzwoiła z komórki, z całą pewnością do Nowego Chłopaka, Dave'a.

Po dwudziestu minutach podjechaliśmy w Ladbroke Square pod wielki biały dom w stylu z czasów Jerzego V, dominujący nad publicznymi parkami. Domy stojące wzdłuż przyległych ulic niemalże wszystkie miały karmelkowy kolor. Były tam także kafejki i restauracje. Pomyślałem, że Kirsten awansowała na społecznej drabinie zamożności.

Jej mieszkanie znajdowało się na trzecim piętrze, okna wychodziły na ulicę. Zatrzymałem się przy podeście i nieco odsapnąłem. W tym momencie zauważyłem, że drzwi są nieco uchylone. Ali badawczym wzrokiem patrzyła na schody, bardzo spięta i czujna.

Popchnąłem drzwi i nacisnąłem przycisk domofonu z nazwiskiem Kirsten. Nikt nie odpowiedział. Zamek był wyraźnie uszkodzony, a kawałki drewna leżały na ziemi. Wzdłuż korytarza, a także na macie, były porozrzucone gazety i ubrania.

Ali otwiera kaburę, wyjmuje pistolet i daje mi znak, abym pozostał na miejscu. Zaprzeczyłem ruchem głowy. Dla pewności będę ubezpieczał ją od tyłu. Prześliznęła się przez drzwi i idzie dalej, obserwując korytarz prowadzący do kuchni. Wchodzę za nią i idę w kierunku przeciwnym, do salonu. Kanapa jest przewrócona i pocięta samurajskim mieczem na kawałki. Warstwa wyścielająca wypadła na podłogę i wygląda jak zakrwawione wnętrzności zabitej bestii.

Papierowe abażury lamp leżą na podłodze. Widzę zeschnięte kwiaty pozostawione w pustych już flakonach i rozbite drzwi wewnętrzne.

Przechodząc z pokoju do pokoju, widzimy coraz więcej zniszczonych rzeczy. Resztki jedzenia i różnego rodzaju sprzęty gospodarstwa domowego leżą na podłodze w kuchni pomiędzy zawartością szuflad i szafek. Jest także połamane krzesło. Ktoś z niego korzystał, przeszukując górne półki.

Na pierwszy rzut oka wygląda to raczej na akt wandalizmu niż rabunek. Po chwili wśród zniszczonych rzeczy widzę kilka kopert z oderwanymi adresami zwrotnymi. Obok aparatu telefonicznego nie ma spisu adresów i numerów telefonów.

Ktoś zabrał także notatniki i zdjęcia. Pozostały jedynie odarte rogi w albumach fotograficznych.

Działanie morfiny osłabia moje poczucie rzeczywistości. Idę do toalety, aby obmyć twarz zimną wodą. Widzę ręcznik kąpielowy i halkę na wieszaku, a także pomadkę do ust w wannie. Podnoszę ją, trzymam w ręku, po czym odkręcam oprawkę i przyglądam się uważnie.

Nad umywalką, w oprawie z macicy perłowej, nieco pochylone wisi prostokątne lustro. Widzę w nim, jak bardzo straciłem na wadze, widzę zapadnięte policzki i podkrążone oczy. Może to odbicie nie mojej twarzy? Może gdzieś w kosmosie istnieje kopia mego oblicza? Lecz ten rzeczywisty „ja” jest po przeciwnej stronie lustra. Widzę, jak oddala się ode mnie narkotyczny świat przedziwnych skojarzeń. Czepiam się kurczowo świata złudzeń.

Patrzę na pomadkę do ust, a następnie podziwiam wielką różnorodność balsamów, kremów, pudrów do pielęgnacji ciała. Ich zapach przypomina mi panią Kirsten i przywodzi na myśl nasze pierwsze spotkanie w posesji Dolphin nazajutrz po zniknięciu Mickey.

Kirsten miała wówczas na sobie spodnie, długie, wąskie, w kolorze kremowym, zwężające się ku dołowi, które nie wiadomo jak trzymały się na jej szczupłych biodrach. W mieszkaniu pełno było starej broni, w tym także miecz samurajów i stalowy hełm japońskiego żołnierza, pokryty skórą i jedwabiem. Kirsten, pokazując wówczas ten wojenny rekwizyt, mówiła:

- Podobno nosił go Toyotomi Hideyoshi. To był przywódca, który zjednoczył Japonię w szesnastym wieku, w „wieku wojen”. - Zwracając się do mnie, zapytała: - Interesuje się pan historią powszechną?

- Nie.

- Więc nie wierzy pan, że możemy uczyć się na własnych błędach?

- Jak dotąd nie udawało nam się to.

Przyjęła moją opinię do wiadomości, lecz widać było, że jej nie podziela. Ali oglądała wówczas mieszkanie, podziwiając przedmioty kultury materialnej.

- Czym się pani zajmuje? - zapytała.

- Prowadzę biuro pośrednictwa pracy w Soho. Dostarczamy zainteresowanym osobom i instytucjom oraz firmom kucharki, kelnerki, hostessy, ludzi o różnych kwalifikacjach.

- Biuro nieźle prosperuje?

- Pracuję ciężko.

Kirsten przygotowała herbatę w japońskim, ręcznie malowanym dzbanku i podała ją w ceramicznych miseczkach. Klęczeliśmy przy stole, podczas gdy ona zanurzyła czerpak w gorącą wodę i mieszała w niej sypką herbatę. Nie rozumiałem tego ostentacyjnego ceremoniału parzenia herbaty. Wydaje się, iż ten ceremoniał parzenia i picia herbaty bardziej odpowiadał kulinarnym przyzwyczajeniom Ali oraz tradycji medytacji, a także „idei jednej

duszy”.

Kirsten mieszkała w Dolphin od trzech lat, a wprowadziła się kilka tygodni później niż Mickey z matką. Kirsten i Rachel zostały przyjaciółkami, kawiarnianymi koleżankami, były jak papużki nierozłączki. Razem kupowały ciuchy i pożyczaly je od siebie wzajemnie. Jednakże wydaje się, że Rachel nigdy nie rozmawiała z przyjaciółką o Alekseiu i swojej znanej rodzinie. To była jej jedyna tajemnica osobista, która z całą pewnością intrygowała Kirsten.

- Kto by pomyślał... To jak historia o „Pięknej i Bestii” - powiedziała mi Kirsten, kiedy dowiedziała się o małżeńskich perypetiach Rachel i zniknięciu Mickey. - Ma takie pieniądze, a mieszka tutaj - dodała.

- Co zrobiłaby pani na jej miejscu?

- Wzięłabym swoją część fortuny i zamieszkała w Patagonii, jak najdalej stąd, i całe życie spałabym z pistoletem pod poduszką.

- Ma pani żywą wyobraźnię.

- Jak już panu powiedziałam, wiele przeróżnych historii słyszałam od ludzi na temat Alekseia. Każdy ma jakąś w zanadru, prawda? Jedna z nich mówi, że Aleksei grał w kasynie w Las Vegas w black jacka i pewien kalifornijski milioner podszedł do niego i powiedział głosem pełnym pretensji, że siedzi na jego krześle. Ponieważ Aleksei zignorował tę wypowiedź, milioner mówi: Słuchaj, angielski pedziu, wart jestem sześćdziesiąt milionów dolarów, a to jest moje krzesło. Aleksei wyjmuje z kieszeni monetę i odpowiada: Sześćdziesiąt milionów? No to zagrajmy w orła i reszkę o to krzesło.

Na czas, kiedy zaginęła Mickey, Kirsten miała alibi. Dozorca Ray Murphy naprawiał prysznic w jej łazience. Powiedziała, że zrobił to stosunkowo szybko.

- A co robiła pani potem? - zapytałem.

- Poszłam spać.

Spojrzała na mnie z rozbawieniem i dodała:

- Sama.

Gdybym otrzymał taką odpowiedź dwadzieścia lat wcześniej, pomyślałbym, że to swego rodzaju flirt, lecz wówczas wiedziałem, że nabija się ze mnie. Będąc coraz mądrzejszym i coraz starszym, człowiek niekoniecznie potrafi utrzymać swoje ego na wodzy. Młodość i piękno rządzą światem.

Wróciłem do salonu i ujrzałem Ali przeszukującą zawartość porzucanych i poprzewracanych skrzyń z książkami. Ktoś, kto tutaj był, przewertował każdą książkę, wszystkie kartoteki i albumy fotograficzne. Zabrał wszystkie pamiętniki, dzienniki, notatniki,

dyski komputerowe i zdjęcia. To nie był zwyczajny rabunek, to było szczegółowe przeszukanie. Szukano Kirsten. Włamywacze chcieli mieć nazwiska, adresy, kontakty wszystkich, którzy ją znali.

- Proszę pana, powinniśmy to zgłosić - powiedziała Ali.

- Tak.

- Co mam im powiedzieć?

- Prawdę. Stwierdziliśmy włamanie.

Czekaliśmy na policjantów, siedząc na schodach przy frontowych drzwiach. Zastanawialiśmy się, co mogło się tutaj stać. Rozważaliśmy scenariusze różnego rodzaju wydarzeń. Zaczął padać deszcz. Krople padały Ali na włosy i płaszcz.

Po drugiej stronie drogi grupa zabłoconych chłopców zeszła z boiska Rangę Rover. W rękę trzymają na sznurowadłach bury piłkarskie, a skarpetki owinęli wokół kostek. Dalej przy chodniku ktoś czeka w zaparkowanym samochodzie. Gdyby nie ogień zapalniczki, nie zauważyłbym nawet samochodu. Pomyślałem, że śledzi mnie Keebal, lecz natychmiast przyszło mi na myśl inne wyjaśnienie. Może ktoś czeka, aż Kirsten wróci do domu?

Zszedłem na chodnik i przeciągnąłem się. Promienie słońca usiłują przebić się przez chmury, ale giną w grubej ich warstwie. Zaczynam spacer wokół placu. Najpierw oddalam się od podejrzanego samochodu, lecz na rogu skweru odwracam się i przechodzę na drugą stronę ulicy. Zatrzymuję się i czytam tablicę na pomniku jeźdźca. Po chwili odwracam się i idę dalej. Spod moich nóg podrywa się gołąb, niezręcznie machając skrzydłami. Idę w stronę budzącego moje podejrzenie samochodu. Zdołałem jednak zobaczyć tylko zarys sylwetki osoby siedzącej za kierownicą. Staję blisko krawężnika, uważając na przejeżdżające samochody. W ostatniej chwili zbliżam się do stojącego audi. Na przednim siedzeniu dla pasażera widzę duże zdjęcie Kirsten Fitzroy.

Krzepki, przysadzisty mężczyzna o siwiejących włosach patrzy na mnie osłupiałym wzrokiem. W jego ciemnych okularach widzę dwie zniekształcone wersje mojej twarzy. Usiłuję otworzyć drzwi samochodu, a gdy mężczyzna włącza silnik, krzyczę, aby się zatrzymał.

W tym momencie pojawia się Ali i swoim samochodem blokuje mu drogę. Mężczyzna włącza wsteczny bieg i rusza z piskiem opon. Uderza w stojący z tyłu samochód, rusza do przodu, zahaczając o samochód stojący przed nim. Spod opon wydobywa się dym, kiedy włącza tylny bieg i z całą siłą naciska na gaz. Ali z ręką na kaburze pistoletu wyskakuje z policyjnego wozu. Mężczyzna zauważa ją. Podnosi pistolet i celuje w jej pierś. Odruchowo uderzam z całej siły laską w przednią szybę. Laska pęka i rozpryskuje się na kawałki, ale to

uderzenie o szybę dezorientuje mężczyznę. Ali pochyla się błyskawicznie i kuca przy chodniku. Ja robię unik w drugą stronę.

W pobliskim domu, znajdującym się w odległości zaledwie kilku kroków, otwierają się drzwi i wychodzą z nich dwie kilkunastoletnie dziewczyny. Jedna z nich prowadzi rower. Mężczyzna skierowuje pistolet w ich stronę.

Krzyczę, ostrzegając je, lecz one, nieświadome zagrożenia, zatrzymują się i zdziwione patrzą, co się dzieje. Są zbyt blisko, aby mężczyzna, strzelając do nich, chybił.

Rzucam szybkie spojrzenie Ali. Ona zajmuje typową do oddania strzałów postawę. Lekko przykucnęła i wyprostowała prawą rękę, w której trzyma pistolet.

- Mam go na celowniku, proszę pana.

- Odpuść mu.

Ali opuszcza broń. Mężczyzna w samochodzie naciska na pedał gazu i włącza wsteczny bieg, jedzie do końca placu, gdzie skręca na północ, w kierunku Ladbroke Grove.

Ali siada koło mnie na krawężniku. W powietrzu unosi się nieprzyjemny zapach rozgrzanej gumi. Dziewczyny odjechały, lecz za firankami okien domu widać coraz więcej zaciekawionych twarzy.

Ali ściera z palców smar z pistoletu.

- Mogłam go załatwić - mówi.

- Wiem.

- Skąd pan wie?

- Ponieważ w policji uczą was, jak rozwalać ludzi, ale nie uczą, jak należy potem z tym żyć.

Przytakuje i ręką odgarnia włosy, a lekki wietrzyk rozwiewa kosmyk nad jej czołem.

- Czy pan go rozpoznał? - pyta Ali. Zaprzeczyłem ruchem głowy. i - Czekał na Kirsten. Ktoś pilnie jej szuka.

Patrolowy wóz policyjny mija skrzyżowanie i wolno jedzie w naszą stronę. Dwie dziewczyny rozglądają się wokoło, szukając numeru domu. Przed pięcioma minutami mogły stać się ofiarami strzelaniny. Wielkie dzięki niebu za odrobinę litości.

Należało przeprowadzić wywiady i zebrać oświadczenia. To Ali odpowiada na większość pytań dotyczących samochodu i kierowcy. Według policyjnego komputera tablice rejestracyjne należały do furgonetki przedsiębiorcy budowlanego z Newcastle. Ktoś je skradł bądź podrobił.

W normalnej sytuacji miejscowa policja uznałaby zajście za wybryk kierowcy lub złamanie przepisów o ruchu drogowym. W sytuacji normalnej, a więc wówczas, kiedy w tego

rodzaju przypadku brałyby udział osoby postronne, a nie dwoje funkcjonariuszy policji. Detektyw sierżant Mikę Drury jest jednym z członków policyjnej jednostki śledczej z Paddington Green. Zjadł zęby na tropieniu w przeszłości przestępstw oddziałów IRA, a teraz terrorystów al Kaidy. Wsadził ręce do kieszeni, przechadza się i rozgląda się na wszystkie strony. Węszy niczym pies, na odległość wyczuwa podejrzane zapachy, aczkolwiek nie przepada za nimi.

- Proszę raz jeszcze powiedzieć, dlaczego chciał się pan spotkać z Kirsten Fitzroy?

- Chciałem dotrzeć do jednej z jej przyjaciółek, Rachel Carlyle.

- A dlaczego chciał się pan widzieć z panią Carlyle?

- Aby dowiedzieć się czegoś z przeszłości.

„* Czekam na dalsze moje słowa, lecz ja nie zamierzam nic dodać.

- Czy miał pan nakaz rewizji?

- Nie potrzebowałem go, ponieważ kiedy przyszedliśmy, drzwi wejściowe do mieszkania były otwarte.

- Weszliście do środka.

- Aby przekonać się, czy ktoś nie dokonuje właśnie przestępstwa. Pani Fitzroy mogła zostać zraniona. Był powód, aby tak sądzić, okoliczności za tym przemawiały.

Nie podobał mi się ton zadawanych pytań. Przywodziły na myśl raczej przesłuchanie podejrzanych niż przeprowadzanie wywiadu ze świadkami zajścia.

Detektyw Drury coś zapisuje w notatniku służbowym.

- A więc złożył pan doniesienie o włamaniu, a dopiero potem zauważył faceta w samochodzie.

- To nie ma nic do rzeczy.

- Nie ma nic do rzeczy?

- Właśnie.

- Czy podchodząc do niego, okazał pan odznakę policyjną?

- Nie. Nie mam przy sobie odznaki.

- Czy poinformował pan, że jest funkcjonariuszem policji?

- Nie.

- Co wobec tego pan zrobił?

- Usiłowałem otworzyć przednie drzwi samochodu od strony pasażera.

- Siedział więc ten facet w swoim samochodzie, zajęty swoimi sprawami, a pan pojawił się nagle i usiłował włamać do jego samochodu?

- To nie tak.

Drury gra rolę adwokata diabła.

- Ten gość nie wiedział, że jest pan funkcjonariuszem policji. Musiał go pan porządnie nastraszyć. Nic dziwnego, że się przeraził i zwał...

- Miał pistolet. Celował we mnie. Celował także w moją partnerkę.

- Partnerkę? Wydawało mi się, że funkcjonariuszka Barba pracuje w jednostce ochraniającej dyplomatów, a w tej chwili korzysta z urlopu... - Przegląda notatnik. - Według posiadanych przeze mnie informacji został pan zawieszony we wszystkich czynnościach służbowych i ma pan stawić się przed niezależną komisją do spraw wykroczeń.

Jestem coraz bardziej wkurzony na tego faceta, przy czym nie chodzi tylko o niego, lecz o postawę wszystkich osób związanych ze sprawą zniknięcia Mickey. Mam za sobą czterdzieści trzy lata nienaganej służby, a jestem traktowany jak Charles Bronson w filmie Życzenie śmierci XV.

W dawnych czasach kręciłoby się tu już sześćdziesięciu funkcjonariuszy policji; szukaliby samochodu, przepytывali ludzi. A ja muszę cierpliwie znosić idiotyczne pytania tego dupka. Może Campbell ma rację? Może powinienem przed trzema laty przejść na emeryturę? Wszystko, co dzisiaj robię, jest niezgodne z przepisami. Uważa się mnie za intruza, który nadepnął komuś na odcisk. No cóż, wydaje mi się, że nadal mam nad nimi pewną przewagę, mam większe doświadczenie niż większość żółtodziobów i z całą pewnością jestem mądrzejszy od tego dupka.

- Na pozostałe pytania odpowie panu Ali. Mam ważniejsze sprawy na głowie.

- Musi pan poczekać, nie skończyliśmy jeszcze - oświadcza Drury.

- Ma pan pistolet, detektywie?

- Nie.

- A kajdanki?

- Nie.

- No cóż, jeżeli nie może mnie pan zastrzelić ani zakuć w kajdanki, nie będzie mógł mnie pan zatrzymać.

Profesor mieszka w Primrose Hill, w tej biedniejszej części ulicy, gdzie każdy dom wart jest ponad milion funtów, a na każdym samochodzie zauważyć można ślady ptasich odchodów. Ta perwersyjna zbieżność działa na moją wyobraźnię.

Joe otwiera drzwi po drugim dzwonku. Jest w sztruksowych spodniach i rozpiętej pod szyją koszuli.

- Wyglądasz okropnie - stwierdza. - Mów, co się stało!

- Czyhają, aby mnie zastrzelić - odparłem.

Za plecami Joego pojawia się Juliannę. Wygląda jak piękność z afisza filmowego. Ma wystające kości policzkowe, oczy koloru morskiej wody i alabastrową skórę...

Łagodnym głosem mówi:

- Okropnie wyglądasz.
- Wszyscy mi to mówią.

Na powitanie całuje mnie w policzek. Idę za nią korytarzem do kuchni. Na wysokim dziecięcym stołeczku siedzi maluch i w ręku trzyma łyżeczkę. Na buzi i czole ma resztki utartego jabłka. Dziesięcioletnia Charlie, która właśnie wróciła ze szkoły, karmi malucha.

Zakłopotany, mówię do Juliannę:

- Przepraszam za to nieoczekiwane najście. Nie wiedziałem, że jesteście tu wszyscy.
- Tak, mamy dzieci, pamiętasz?

Joe chce zapytać mnie, co się stało, lecz powstrzymuje się ze względu na obecność Charlie, którą fascynują wszystkie policyjne historie, a im bardziej są ponure, tym lepsze.

- Aresztował pan dzisiaj kogoś? - pyta.
- Dlaczego miałbym aresztować? Czyżbyś zrobiła coś złego?

Patrzy na mnie przerażona.

- Nie!
- Oby tak dalej - mówię.

Juliannę podaje kawę. Zauważa brak palca u mojej ręki.

- Sądzę, że teraz już urzędowo nie jesteś mężczyzną żonatym.

Charlie jest podniecona widokiem dłoni bez palca. Usiłuje się bliżej przyjrzyć nagiemu kikutowi i różowej skórze.

- Co się stało?
- Zbyt szybko i nieostrożnie jadłem hamburgera.
- To grubiański żart.
- Jedząc, nawet tego nie poczułem. Juliannę skarciła mnie.
- Cii-sza! Będzie miała koszmary senne. Dalej, Charlie, do odrabiania lekcji.
- Dzisiaj jest piątek. Powiedziałaś, że pójdziemy do sklepu po nowe buty.
- Pójdziemy jutro.

Obietnica podniosła ją na duchu.

- Czy mogę dostać buty na obcasie? Wystarczy, jak będą tylko takie wysokie - przekomarzała się i kciukiem oraz palcem wskazującym pokazała, że obcasy powinny mieć około trzech centymetrów.

Małość zwiłkowało.

Charlie, podnosząc dziecko, pochyliła głowę i odsunęła grzywkę z oczu. Chryste, wykapaną matką - pomyślałem.

Joe zaproponował, abyśmy przeszli do jego gabinetu. Podążyłem za nim po schodach do małego pokoju z widokiem na ogród. Niemalże całą powierzchnię zajmowało olbrzymie biurko wciśnięte między półki na książki a szafę na dokumenty. Po prawej stronie na ścianie wisiała korkowa tablica z przypiętymi notatkami, pocztówkami i zdjęciami rodzinnymi.

To była kryjówka Joego, jego intymne zacisze. Gdybym miał w domu trzy kobiety, marzyłbym również o takiej kryjówce, aczkolwiek z telewizorem, barem i lodówką.

Joe zgarnia akta z krzesła i uprząta biurko. Odnoszę wrażenie, że nie jest już tak zorganizowany jak dawniej. Może to skutek choroby Parkinsona.

- Nie podpierasz się już laską - zauważa.
- Złamałem ją.
- Mogę ci pożyczyć inną.
- Nie ma potrzeby. Noga jest coraz sprawniejsza.

Przez następną godzinę omawiamy moje dzisiejsze dramatyczne przygody i przeżycia. Opowiedziałem o rozmowie z Sir Douglasem oraz o spotkaniu koło domu Kirsten z facetem, który chciał mnie zabić. Joe siedział z kamienną, nieporuszoną twarzą, z której absolutnie nic nie można było wyczytać. Kiedyś powiedział mi o wyrazie twarzy przypominającym maskę, wywołanym chorobą Parkinsona. Może to właśnie oglądałem.

W notatniku rysuje proste linie.

- Myślałem o okupie - mówi po chwili.
- I do jakiego doszedłeś wniosku? - pytam.
- Zanim doszło do okupu, ktoś napisał list, wysłał wiadomość pocztą elektroniczną lub zatelefonował. Wspomniałeś też o testach DNA.

- Przeprowadzonych na włosach.

- Przypuszczam, że pierwszy kontakt w sprawie okupu musiał być dla ciebie wielkim szokiem. Mamy wiadomość o zabitej dziewczynce, o człowieku odbywającym za zamordowanie tej dziewczynki karę dożywotniego pozbawienia wolności, a tu naraz pojawia się żądanie okupu. Co o tym myślisz?

- Nie pamiętam wielu szczegółów, jakie towarzyszyły tym wydarzeniom - odparłem.
- Lecz możesz sobie pewne rzeczy i zdarzenia wyobrazić. Postaw się w takiej właśnie sytuacji. Co pomyślałbyś, gdybyś otrzymał list z żądaniem okupu?

- Że to oszustwo.

- Nigdy nie byłeś w pełni przekonany o winie Howarda - przypomniał Joe.

- Lecz ta cała sprawa nadal wygląda jak jedno wielkie oszustwo.
- Co skłoniłoby cię do zmiany poglądu?
- Bezsporny dowód, że Mickey żyje.
- List dotyczący żądania okupu zawierał jej włosy.
- Oddałem je do laboratoryjnej analizy.
- Co jeszcze?
- Na moją prośbę wszystko poddano szczegółowej analizie, wszystko: atrament, charakter pisma, papier...
- Kto wykonywał analizy?
- Zakład medycyny sądowej.
- Lecz twój przełożony ci nie wierzy. Polecił, abys zaniechał prowadzenia tej sprawy.
- On się myli.
- Nikt nie przywiązuje wagi do tego listu z wyjątkiem ciebie i matki zaginionej dziewczynki. Dlaczego wierzysz, że Mickey żyje?
- Nie wystarczą włosy. Potrzebuję więcej dowodów.
- Jakich?
- Zdjęcia lub - co byłoby najlepszym w tej sytuacji dowodem - aktualnego nagrania wideo. Potrzebny byłby bezsporny dowód wskazujący na czas nagrania, jak na przykład aktualne wydanie jakiejś gazety.
- Co jeszcze?
- Próbki krwi lub tkanki skóry. Coś, co nie pochodzi sprzed trzech lat.
- Jeżeli nie ma tego rodzaju dowodów, będziesz kontynuował śledztwo w sprawie okoliczności związanych z przekazaniem okupu?
- Nie wiem. Może to jednak tylko oszustwo.
- Może nurtuje cię przemożna chęć złapania oszustów.
- Jednakże nie chciałbym z tego powodu narazić życia Rachel na niebezpieczeństwo.
- Musisz więc wierzyć w to, co robisz.
- Tak.
- Żaden z kolegów policjantów nie podziela twego rozumowania. Dlaczego?
- Być może dlatego, że wynik analizy włosów Mickey nie jest ostatecznym dowodem, że ona żyje.

Joe odwraca nieco krzesło i teraz patrzy na mnie z boku. Ilekroć zamilknę lub zawaham się z odpowiedzią, zadaje kolejne pytanie. To tak jakby malować na ścianie kolejne numery lub drążyć skałę.

- Dlaczego ktoś miałby czekać trzy lata z żądaniem okupu? - pyta.
- Może nie porwano jej dla okupu, a pomysł taki pojawił się później.
- To po co ją uprowadzono?

Zmagam się z własnymi myślami. Według Rachel nikt w Anglii nie wiedział, że ojcem Mickey jest Aleksei. Wiedział jednak Sir Douglas. Lecz jeżeli to on uprowadził Mickey, jest rzeczą mało prawdopodobną, aby żądał okupu.

- Więc ktoś inny porwał Mickey. Wracamy tym samym do początkowych pytań: dlaczego czekał trzy lata? - mówi Joe.

I znowu nie znam odpowiedzi. Domyślam się jedynie.

- Albo nie mają dziewczynki, albo chcą ją nadal więzić.
- Dlaczego mieliby ją teraz oddać?

Pojmuję tok jego rozumowania. Spekulacje na temat motywów żądania okupu nie mają sensu. Czy mogę więc sobie, tak naprawdę, wyobrazić następującą sytuację: że Mickey jest przez ostatnie trzy lata przykuta łańcuchem do kaloryfera? To niewiarygodne. Nie siedzi przecież w poczekalni na krześle, nie macha znudzona nóżkami i czeka na wyzwolenie z rąk oprawców.

Joe nadal myśli głośno.

- Jest jeszcze jeden problem. Jeżeli Mickey żyje, musimy zastanowić się, czy zechce wrócić do domu. Dla siedmioletniego dziecka trzy lata to bardzo długi okres. Mogła przywiązać się do innego miejsca, polubić inną rodzinę.

- Ale przecież ona napisała list! - wykrzyknąłem.
- Jaki list? - zapytał Joe.

Nagły przebłysk świadomości był jak silny podmuch gorącego wiatru. Przypomniałem sobie pocztówkę i ręczne pismo dziecka - wszystkie słowa pisane były wielkimi literami! Mogę je dokładnie powtórzyć:

KOCHANA MAMUSIU, BARDZO ZA TOBĄ TĘSKNIĘ I CHCĘ WRÓCIĆ DO
DOMU. CODZIENNIE WIECZOREM MODLĘ SIĘ O TO I PROSZĘ, ABYŚ TAKŻE SIĘ
MODLIŁA. ONI MÓWIĄ, ŻE WYPUSZCZĄ MNIE, JEŻELI DASZ IM COŚ. MYŚLĘ, ŻE
CHCĄ PIENIĘDZY. MAM DWADZIEŚCIA PIĘĆ FUNTÓW I JAKIEŚ ZŁOTE MONETY
W SKARBONCE POD ŁÓŻKIEM. PROSZĘ, POSPIESZ SIĘ. BĘDĘ MOGŁA CIĘ
ZNOWU ZOBACZYĆ, JEDNAKŻE TYLKO POD WARUNKIEM, ŻE NIE ZADZWONISZ
NA POLICJĘ.

KOCHAM MICKEY PS. MAM JUŻ OBA PRZEDNIE ZĘBY.

Przez moment chciałem uściskać Joego. Boże, jak to dobrze przypominać sobie!

Radość wspomnienia to uczucie lepsze od odurzenia, jakie wywołuje morfina.

- Co zrobiłeś z pocztówką? - zapytał Joe.

- Oddałem ją do analizy.

- Gdzie?

- Do prywatnego laboratorium.

Przypominam sobie, widzę pocztówkę pod jakimś szkłem. Jest skanowana przez specjalne urządzenie - aparat do widmowej analizy porównawczej pisma. Aparat ustala, czy zamieniono litery oraz jakiego rodzaju atramentem się posłużono.

- Można było odnieść wrażenie, że tekst na pocztówce napisany był ręką dziecka.

- Nie jesteś jednak o tym przekonany - mówi Joe.

- Nie jestem.

Pamiętam, że grafolodzy wyjaśniali mi, jak większość dzieci pisze literę R. Mają skłonność do wydłużania dolnej części tej litery i robienia pętelki. Nie zauważyłem takich zawijasów w piśmie na pocztówce. Dzieci piszą także specyficznie literę E, łącząc dokładnie górną i dolną kreskę z prostopadłym słupkiem. Inaczej niż dorośli piszą też literę J.

Najłatwiej jednak rozpoznać dziecięce pismo po wychodzeniu za linie. Dzieci mają trudności z równym stawianiem liter. Pisząc, schodzą literkami coraz bardziej w dół. Nie wiedzą także, ile miejsca zostawić na wyraz i dlatego często wychodzą poza margines.

A list z żądaniem okupu napisany był bezbłędnie.

- Nie pisało go więc dziecko? - zapytał Joe.

- Nie.

W sercu poczułem dotkliwy ból. Joe usiłuje skupić moją uwagę na sprawie dla niego zasadniczej.

- Ile było tych włosów? - pyta.

- Siedem.

- Czy była jakakolwiek instrukcja dotycząca okupu?

- Nie.

- Musiało więc być więcej listów... bądź telefonów.

- Takie rozumowanie wydaje się rozsądne.

Joe nadal rysuje w bloczku, tworząc spirale z czarnym środkiem.

- Okup zapakowany był w pojemniki wodoodporne, mogące unosić się na powierzchni wody. Pomarańczowy kolor plastikowego opakowania pozwalał je łatwiej dostrzec w ciemnościach. Dlaczego jednak te cztery opakowania były identycznego kształtu i koloru?

- Nie wiem. Może było czterech porywaczy? Ale przecież mogli sami podzielić diamenty między siebie.

- Masz na ten temat jakąś teorię?

- Myślę, że kształt i rozmiar paczek musiał do czegoś pasować bądź też paczki te musiały przez coś przepłynąć.

- Na przykład przez przewód kanalizacyjny.

- Tak

Jestem wyczerpany, lecz zarazem radośnie podniecony. Mam wrażenie, że moje oczy rozwierają się coraz szerzej i coraz wyraźniej wszystko widzę.

- Możesz teraz odpocząć - mówi Joe. - Wykonałeś dobrą robotę.

- Zapamiętałem tę pocztówkę.

- Tak.

- W pocztówce jest mowa o skarbonce Mickey. Mowa jest nawet o konkretnej sumie pieniędzy. Tylko ktoś pozostający w bardzo bliskich stosunkach z Mickey bądź Rachel mógł o czymś takim wiedzieć.

- To informacja o szczegółach, które możemy sprawdzić.

- Ale to nie wystarczy.

- Dajmy sobie czas.

W Londynie są trzy prywatne laboratoria, które przeprowadzają testy genetyczne. Największe, Genetech Corporation, mieści się na Harley Street. W holu recepcyjnym stoi granitowa lada, a także skórzane fotele, a na ścianie wisi wielki plakat, głoszący, że „ustalenie ojcostwa zapewnia spokój duszy”. Czyż nie jest to nieco ironiczny oksymoron?

Recepcjonistka to wysoka dziewczyna o bladej cerze. Ma rozwichrzone włosy i nieco nieobecny wyraz twarzy, nosi zapalniczkę do papierosów w dziwnym miejscu, w biustonoszu.

- Witam w Genetech, czym mogę służyć?

- Czy pani mnie pamięta? Powoli zamruwała powiekami.

- Hmm, no cóż, chyba nie. Był pan już u nas?

- Miałem nadzieję, że pani mi pomoże. Byłem tutaj przed kilkoma tygodniami.

- Czy prosił pan o przeprowadzenie testu?

- Sądzę, że tak.

Nawet nie mrugnęła. Byłem przekonany, że mógłbym poprosić o wyniki badań na ustalenie ojcostwa księcia Walii, a ona zachowywała się tak, jakby codziennie spotykała się z tego rodzaju prośbami. Spytała o nazwisko i zaczęła szukać w komputerze.

- Czy ta sprawa dotyczy policji? - zapytała.

- Chodziło o test dotyczący osoby prywatnej. Kliknęła jeszcze kilka razy.
- Jest, to test DNA. Poprosił pan o analizę porównawczą z wcześniejszymi wynikami... - Zrobiła przerwę, po czym dziwnie westchnęła.
- O co chodzi? - zapytałem.
- Prosił pan również o przeprowadzenie analizy listu i koperty i zapłacił gotówką prawie czterysta pięćdziesiąt funtów.
- Jak długo trwał test? - zapytałem.
- Analiza laboratoryjna trwała pięć dni. Czasami na przeprowadzenie tego rodzaju badań potrzeba sześciu tygodni. Widocznie zależało panu na szybkim przeprowadzeniu testów. Czy jest jakiś problem?
- Chciałbym jeszcze raz zobaczyć wyniki badań. Nie otrzymałem ich.
- Pan osobiście je odebrał. Jest to zapisane. - Pokazuje na monitorze komputera.
- Chyba się pani myli - powiedziałem. Patrzy na mnie niepewnie.
- Chce pan kopie wyników analizy?
- Nie. Chciałbym natomiast porozmawiać z kimś, kto przeprowadzał test.

Czekałem dwadzieścia minut. Siedziałem na wygodnej, obitej skórą kanapie i zajęty byłem lekturą broszury poświęconej testom genetycznym. Żyjemy w dziwnych czasach, pełnych przeróżnych podejrzeń; mężowie sprawdzają swoje żony, żony sprawdzają mężów, rodzice sprawdzają, czy ich dzieci nie zażywają narkotyków lub czy nie puszczają się na prawo i lewo. Dlatego w tajemnice pewnych spraw i wydarzeń lepiej nie wnikać.

W końcu prowadzą mnie schodami na pierwsze piętro. Potem idę długim sterylnym korytarzem do białej sali z rzędami mikroskopów i dziwnych urządzeń, które brzęczą i mrugają. Młoda kobieta w białym kitlu zdejmuje gumowe rękawiczki i wita się ze mną. Nazywa się Bernadette Foster i wygląda zbyt młodo jak na kogoś, kto zajmuje tak odpowiedzialne stanowisko, nie mówiąc już, że czuje się w tym otoczeniu jak ryba w wodzie.

- Pan chciał zapytać o wyniki pewnych testów.
- Tak, chciałbym uzyskać pełniejsze wyjaśnienie. Odsuwa taboret, otwiera segregator i pokazuje jasnozieloną teczkę.
- O ile pamiętam, to wyniki badań nie wymagały żadnych dodatkowych wyjaśnień. Dokonałam analizy DNA kosmyka włosów i porównałam z wynikami ekspertyzy przeprowadzonej wcześniej w laboratorium zakładu medycyny sądowej, które, jak sądzę, pan nam dostarczył.
- Tak.
- Obie próbki włosów należały do tej samej dziewczynki Michaeli Carlyle.

- Czy wyniki testów mogą być fałszywe? - pytam.

- Trzyście podstawowych wskaźników było identycznych. Oczywiście można mówić o niezwykle wątpliwej możliwości pomyłki, lecz pomyłka może zdarzyć się jedna na dziesięć miliardów.

Mimo że spodziewałem się podobnej odpowiedzi, nogi ugięły się pode mną. Obie próby dały identyczny wynik. Oczywiście, moje uczucia nie przywrócą życia małej, lecz przywołują na pamięć dziewczynkę, która miała piękne włosy, opadające na czoło i ramiona.

Pani Foster patrzy na mnie.

- Czy mogłabym zapytać, dlaczego pan zlecił nam przeprowadzenie tego testu? Zwykle w takich sprawach nie zastępujemy laboratoriów policyjnych.

- To była prywatna prośba matki zaginionej dziewczynki.

- Pan jest przecież detektywem.

- Tak.

Patrzy na mnie wzrokiem pełnym oczekiwania, lecz po chwili zdaje sobie sprawę, że nic więcej na ten temat nie powiem. Wyjmuje z teczki kilka zdjęć i mówi:

- Włosy z głowy są zwykle dłuższe i mają jednakową średnicę. Włosy nieścianane zwężają się, lecz w tym przypadku można zauważyć, że zostały obcięte nożyczkami fryzjerskimi lub maszynką do strzyżenia.

Pokazuje zdjęcie.

- Ten włos nie był ufarbowany i nie ma na nim śladów trwałej ondulacji.

.. - Jest pani pewna?

- Tak.

- Czy na podstawie analizy genetycznej włosa może pani ustalić wiek dziewczynki?

- Nie.

- Czy analiza włosa pozwala stwierdzić, że dziewczynka żyje?

W moim pytaniu jest zbyt wiele naiwnej nadziei i wydaje mi się, że z tego właśnie powodu pani Foster pomija je milczeniem. Pokazuje natomiast inne, powiększone zdjęcie.

- Kiedy włos wyrasta z ciała znajdującego się już w stanie rozkładu, przy jego korzeniu pojawia się czasami czarna obwódka. Nazywamy to pośmiertną obwódką korzenia - mówi pani Foster.

- Nie widzę obwódki.

- Ja także.

Drugie powiększone zdjęcie pokazuje pocztówkę. Pismo wygląda dokładnie tak, jak je zapamiętałem, widzę wielkie litery i zdania ułożone w równych liniach.

- Zarówno koperta, jak i sama pocztówka niewiele nam wyjaśniają. Ktokolwiek to wysłał, nie pozostawił żadnych śladów, nie znaleźliśmy odcisków palców. Dlaczego nagle wszyscy zainteresowali się tą sprawą? - pyta pani Foster.

- Co pani ma na myśli?

- W ubiegłym tygodniu telefonował prawnik. Prosił o wyniki ekspertyzy zakładu medycyny sądowej dotyczące Michaeli Carlyle.

- Przedstawił się?

- Nie.

- Co pani mu powiedziała?

- Powiedziałam, że nie możemy komentować wyników ekspertyz. Wyniki naszych badań są poufne.

Był to być może adwokat Howarda, który zwrócił się z prośbą o wyjaśnienie tej sprawy. Lecz skąd wiedział o ekspertyzie?

Pani Foster chowa teczkę do segregatora. Wydaje mi się, że wyczerpałem swoje pytania.

- Czy chciałby pan zobaczyć tę drugą paczkę? - zapytała. Byłem skonfundowany przez ułamek sekundy, ale to wystarczyło, aby pani Foster zauważyła moje zmieszanie.

- Pamięta pan, prawda? Poczulem, że oblewa mnie fala ciepła.

- Przepraszam. Miałem wypadek. Zostałem postrzelony. - Wskazuję na nogę. - Zupełnie nie pamiętam, co się wydarzyło.

- Całkowita przejściowa niepamięć.

- Tak. To jest powód, dla którego przyszedłem. Zbieram okruchy pamięci, usiłuję zebrać je w jakąś logiczną całość. Proszę mi pomóc. Co było w tej drugiej paczce?

Otworzyła szufladę i wyjęła plastikowe pudełko, a z niego przezroczysty worek zapinany na zamek błyskawiczny. W worku były jakieś rzeczy z poliestru w kolorze różowym i pomarańczowym. Kostium kąpielowy bikini!

Wzięła bikini i pokazała je z różnych stron.

- W tym przypadku przeprowadziłam także pewne badania. Takie właśnie bikini miała na sobie Michaela Carlyle, kiedy zaginęła. Przypuszczam, że dlatego prosił pan o ekspertyzę.

- Ja również tak przypuszczam. - Nagle zaschło mi w gardle.

- Gdzie pan to zdobył?

- Nie pamiętam. Wyraziła lekkie zdziwienie.

- Nie może mi pan więc powiedzieć, o co tu właściwie chodzi?

- Przykro mi, nie mogę. i Coś chyba zauważyła w moim wzroku, ponieważ nie

nalegała, i - Czy to bikini należało do Mickey? - spytałem.

- Nie mogliśmy pozyskać żadnego materiału pozwalającego na ustalenie DNA, lecz znaleźliśmy nikłe ślady moczu i kału. Zbyt mało, aby uzyskać jakiegokolwiek wyniki analizy. Odkryłam jednak, że takie bikini zostały uszyte w Tunezji, pochodziły z importu i były sprzedawane w sklepach oraz w sprzedaży katalogowej w 2001 roku. Do Zjednoczonego Królestwa dostarczono trzy tysiące sztuk, w tym pięćset w rozmiarze siedem.

Usiłowałem szybko zastanowić się nad tą informacją, ustalić, jakie miała dla mnie znaczenie. Kilka kostiumów kąpielowych bikini, rozmiar numer siedem z poliestru, nie świadczy jeszcze o tym, że Mickey żyje. Howard mógł je trzymać jako pamiątki lub znalazł je ktoś inny. Te szczegóły przedostały się do publicznej wiadomości. Były nawet zdjęcia Mickey w bikini.

Czy znalezione bikini stanowi dowód, który mógłby mnie ostatecznie przekonać, że Mickey żyje? Nie wiem. A czy fakt ten przekonałby Rachel? Z całą pewnością.

Wewnętrznie rozdarty, zdusiłem w sobie jęk rozpacz i zacząłem kombinować. Noga znowu dawała mi się we znaki. Zachowuje się, jakby nie była integralną częścią mego organizmu. Ja zaś czuję, jakbym włókł za sobą obcą kończynę po nieudanej transplantacji.

Schodzimy z panią Foster po schodach.

- Pan powinien być nadal w szpitalu - stwierdza.

- Czuję się dobrze. Proszę posłuchać. Czy może pani przeprowadzić dodatkowe analizy... Materiału, z jakiego uszyto ten kostium?

- Czego chciałby się pan dowiedzieć?

- Nie wiem. Ślady koloru włosów, włókno, skład chemiczny...

- Spróbuję raz jeszcze przyjrzeć się temu - obiecała.

- Dziękuję.

Każdemu śledztwu w sprawie przestępstwa do końca towarzyszy poczucie niepewności. W większości przypadków nie ma ono znaczenia dla przyznania się przestępcy do popełnionego czynu lub skazania go; przypomina szum, trochę doskwierający sumieniu. Cofam się teraz często myślą do początków śledztwa, zastanawiając się, czy nie przeoczyliśmy czegoś.

Przeprowadziliśmy rozmowy z wszystkimi mieszkańcami kamienicy Dolphin. Każdy z nich miał alibi z wyjątkiem Howarda. Howard jednak nie mógł znać dokładnej zawartości skarbonki Mickey, chyba że mu sama powiedziała. Sarah poinformowała mnie, że także nie wiedziała, co było w skarbonce. Kirsten mogła się o tym dowiedzieć.

Muszę znowu spotkać się z Joem. Tylko on potrafi dostrzec w tym wszystkim sens. W

jakiś przedziwny sposób może połączyć przypadkowe i pozornie niezwiązane z sobą szczegóły wydarzeń, które wyglądają jak kropki na tablicy.

Nie lubię telefonować do nikogo w sobotę, bo dla większości to dzień poświęcony rodzinie. Joe odbiera telefon przed włączeniem się automatycznej sekretarki. Słyszę w słuchawce śmiech Charlie.

- Jadłeś lunch? - pytam.

- Tak. Mamy małe dziecko, musimy więc przestrzegać godzin posiłków i snu.

- Nie miałbyś nic przeciwko spotkaniu w restauracji?

- Nie.

Umówiliśmy się w „Peregrini”, włoskim lokalu w Camden Town, gdzie podają niezłe chianti, a właściciel ma maniery aktora, sumiaste wąsy i donośny głos tenora.

Nalałem Joemu kieliszek wina i podałem kartę dań. Rzucił od niechcenia okiem na siedzących gości i bez żadnego wysiłku wiedział już o nich sporo.

- Co cię skłoniło do wyboru tego miejsca? - zapytał.

- Nie lubisz go?

- Nie, skądże, jest mile.

- Cóż, jedzenie jest smaczne, przypomina kuchnię toskańską, a poza tym znam rodzinę właściciela. Alberto jest w Londynie od lat sześćdziesiątych. To ten tam, w kuchni. Na pewno nic nie zjesz?

- Zamówię deser.

Czekając na przyjęcie zamówienia, opowiedziałem o przeprowadzonej próbie DNA oraz o znalezionym kostiumie kąpielowym bikini. Powiedziałem także, iż prawdopodobieństwo znalezienia kolejnych listów wydaje się teraz oczywiste.

- Co byś z nimi zrobił, gdybyś je wówczas miał? - zapytałem.

- Poddałbym je szczegółowej, wnikliwej analizie.

- A potem?

- Schowałbym w bezpiecznym miejscu... na wypadek gdyby miało mi się przytrafić coś złego.

- Joe kiwa głową i wpatruje się w kieliszek wina.

- Pokaż mi swój portfel. - Wyciąga rękę.

- Nie opłaciliby się mnie obrabować.

- Po prostu daj mi go.

Bierze mój portfel, przegląda wszystkie zakamarki i wyjmuje z nich różnego rodzaju pokwitowania, wizytówki, karty kredytowe oraz wiele innych drobiazgów.

- Okej, wyobraź sobie przez chwilę, że znalazłeś na podłodze portfel osoby, której nie znasz. Co ci powie o nim zawartość jego portfela? - pyta.

- Że nie ma przy sobie większej sumy pieniędzy.

- Co jeszcze?

To jedna z typowych dla Joego zagrywek psychologicznych. Chce, abym brał udział w tej grze. Zabieram od niego pokwitowania, które zdążyły wyschnąć po kąpielu w Tamizie. Rozdzielam sklezione karteczki. Na niektórych trudno cokolwiek odczytać, ale sześć z nich to pokwitowania za odebraną żywność. 24 września - w nocy, zanim zostałem postrzelony - zamówiłem pizzę. Kiedy Joe odwiedził mnie w szpitalu i zapytał o ostatnią rzecz, jaką zapamiętałem, powiedziałem mu właśnie o pizzy.

Patrząc na stół, jestem coraz bardziej przygnębiony. Przed oczami stają mi całe moje życie. Na stole leżą wizytówki kumpli z drużyny rugby, kupon zniżkowy z jakiegoś sklepu, zawiadomienie z gazowni, przypominające o konieczności okresowego sprawdzenia centralnego ogrzewania, prawo jazdy i zdjęcie Luke'a...

Zrobiono je na nadmorskim bulwarze w Blackpool. Byliśmy na jednodniowej wycieczce z Daj, która wyglądała zabawnie. Miała na sobie mnóstwo halek i wysokie sznurowane buty. Włosy zasłoniła szalem i ma gniewną minę, ponieważ ojczym prosił ją o uśmiech do zdjęcia. Lukę trzyma ją za rękę i śmieje się do rozpuku. Ja jestem z tyłu, patrzę na sandały, jakbym przed chwilą w coś wdepnął.

- Zawsze patrzysz w ziemię - zwykła mawiać Daj. - A mimo to przewracasz się o własne nogi.

Pamiętam ten dzień. Na moło zorganizowano konkurs talentów. Setki ludzi słuchało piosenek i dowcipów Joego Bloggsa. Lukę nie dawał matce spokoju i powtarzał, że chce zaśpiewać. Miał wówczas cztery latka. Matka strofowała go, nakazując, by był cicho.

Potem oglądaliśmy występy faceta ubranego w śmieszny marynarkę w kratkę, strojącego miny i opowiadającego kawały. Nagle przerwał swój występ, bo na podium wszedł mały chłopczyk. Był to Lukę z kosmykiem włosów opadającym na czoło, w spodenkach pobrudzonych lodami. Komik podszedł do Luke'a, pochylił się nad nim z mikrofonem i zapytał:

- A zatem, mały chłopcze, jak ci na imię?

- Lukę.

- Przyjechałeś na wakacje?

- Nie, jestem z mamą.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Lukę przybrał marsową minę. Nie wiedział,

dlaczego się śmieją.

- Lukę, dlaczego tu przyszedłeś?

- Chcę zaśpiewać.

- Co chcesz zaśpiewać?

- Nie wiem.

Ludzie znowu się roześmiali, a ja myślałem, że umrę z zakłopotania. Lukę stał na scenie nieruchomo, jakby zahipnotyzowany przez tłum. Nawet wówczas, kiedy Daj siłą ściągała go ze sceny, a ludzie klaskali, Lukę stał jak zamurowany i nie reagował na entuzjazm widowni.

Joe nadal przeszukuje zawartość mego portfela.

- Każdy pozostawia po sobie jakieś ślady - mówi. - Nie są to zwyczajne kawałki papieru bądź fotografie. Cokolwiek robimy, czynimy to zwykle podświadomie, aby wywołać wrażenie na innych i pokazać, w jaki sposób reagujemy na otaczający nas świat. Patrzy w prawo.

- Spójrz na tę parę - mówi.

Przy stole siedział mężczyzna z kobietą, zamówili lunch. On ma sportową marynarkę, a ona klasyczną spódniczkę i kaszmirowy sweter.

- Zwróć uwagę, że kiedy kelner proponuje im dania, on na niego nie patrzy. Oczy ma spuszczone, jakby czytał menu. Jego towarzyszka zachowuje się inaczej. Pochyliła się, łokcie ma oparte na stole, podpira twarz dłońmi. Interesuje ją każde słowo kelnera.

- Flirtuje z nim.

- Tak myślisz? Spójrz na jej nogi.

Wysunęła stopę z pantofla, podniosła ją i oparła o łydkę swego partnera. Chce zorientować się, jak zareaguje na jej ruch. Chce, aby się wyluzował.

- Musisz ogarnąć pamięcią całą przeżytą sytuację i wszystkie związane z nią wydarzenia - radzi Joe. - Wiem, pewnych rzeczy nie pamiętasz, a w każdym razie jeszcze nie pamiętasz. Musisz więc zapisywać niektóre rzeczy i wydarzenia, a także uporczywie powracać pamięcią do przeszłości. Jakieś przebłyski myśli, obrazy, słowa, twarze, cokolwiek. Dzisiaj nie mają one żadnego sensu, lecz kiedyś go nabiorą.

Kelnerka postawiła na naszym stole talerz z sardynkami.

- Z pozdrowieniami od szefa - powiedziała. Podniosłem kieliszek z winem i pozdrowiłem Alberta stojącego w drzwiach kuchni. Wypiął pierś dumnie niczym gladiator.

Ścierając oliwę z palców, Joe w swych rozważaniach skupia się coraz bardziej na kostiumie kąpielowym bikini i zastanawia się, kto mógł go mieć. Mickey, kiedy zaginęła,

niewiele miała na sobie, a jej ręcznik kąpielowy stał się najważniejszym dowodem przeciwko niemu.

W każdym śledztwie musi, prędzej czy później, dojść do przełomu. Pojawia się świadek lub niekwestionowany dowód i dotychczasowe przypuszczenia i teorie stają się niepodważalnym już oskarżeniem. W przypadku zaginięcia Mickey takim faktem był ręcznik kąpielowy. Znalazła go na cmentarzu East Finchley kobieta spacerująca z psem. Ręcznik był poplamiony krwią, wymiocinami i farbowanymi włosami. Na czas kiedy Mickey zaginęła, Howard nie miał alibi. Po jej zniknięciu, następnego dnia, pracował na cmentarzu.

Test wykazał, że krew na ręczniku jest pochodzenia ludzkiego, a wynik badania wykazał, że była to krew Mickey (grupa krwi A, charakterystyczna dla siedmiu procent populacji). Testy DNA przesądziły o oskarżeniu.

Natychmiast i bez wahania wydałem polecenie przeszukania wszystkich kwietników i świeżych grobów. Korzystaliśmy z urządzeń radarowych, koparek, łopat i sit.

Oczywiście, Campbell się wściekał.

- Przekopujesz cały cmentarz! - krzyczał do telefonu tak głośno, że musiałem trzymać słuchawkę z daleka od ucha.

Wziąłem głęboki oddech.

- Prowadzę śledztwo w bardzo ograniczonym zakresie. Mamy z zarządu cmentarza dokładny rejestr wszystkich świeżych grobów. Każdy zaś podejrzany ślad na cmentarzu zasługuje na wnikliwe śledztwo - powiedziałem.

- A co robicie z nagrobkami? - zapytał.

- Staramy się ich nie uszkodzić.

Campbell spisał nazwiska osób, które musiały udzielić urzędowego zezwolenia na dokonywanie ekshumacji zwłok, w tym również sędziego z sądu hrabstwa, administratora cmentarza, a także głównego lekarza z Westminster Council.

- Nie bezczestimy zwłok ani nie okradamy grobów - zapewniłem.

Tymczasem przekopaliśmy niektóre z trawników i kwietniki. Z chodników usunęliśmy płytki kamienne, układając je przy murach, a darń zwinęliśmy w wiązki. Przed dwoma miesiącami Howard w ramach konkursu sadzenia kwiatów w Westminster pomagał sadzić kwiaty.

Przekopano dwadzieścia dwa miejsca pochówku. Aczkolwiek cmentarz może wydawać się doskonałą kryjówką, niełatwo w grobie ukryć zwłoki. Najpierw trzeba je tak pochować, aby nikt tego nie zauważył, najprawdopodobniej w nocy. A niezależnie od tego, czy ktoś wierzy w duchy, czy też nie, niewielu ludzi czuje się dobrze w nocy na cmentarzu.

Kopaliśmy w absolutnej tajemnicy przed przedstawicielami mediów. Wiedziałem jednak, że nie uda się nam tej operacji długo zachować w sekrecie. I rzeczywiście. Ktoś zatelefonował do Rachel i zjawiła się na cmentarzu już pierwszego dnia po południu. Dwóch policjantów próbowało zatrzymać ją przed barierką, ale ona usiłowała wedrzeć się na ogrodzony teren, błagała, aby pozwolono jej wejść.

- Czy to Mickey?! - krzyknęła w moim kierunku. Zaprowadziłem ją na stronę i usiłowałem uspokoić.

- Nie wiemy jeszcze - powiedziałem.

- Znalazł pan coś? - zapytała.

- Ręcznik.

- Ręcznik Mickey?

- Nie wiemy, dopóki nie...

- To ręcznik Mickey? - przerwała mi.

Odpowiedź wyczytała w moich oczach. Nagle wyrwała mi się i pobiegła w stronę dołu. Zatrzymałem ją na skraju wykopu, chwytając ręką w pasie. Płakała, rozłożyła ręce, usiłowała do niego wskoczyć.

Żadną ludzką miarą nie mogłem jej pocieszyć, i nigdy nic nie zdoła jej pocieszyć.

Po tym zajściu zaprowadziłem ją do kaplicy i czekałem, aż policyjny samochód odwiezie ją do domu. Usiedliśmy na kamiennej ławie pod plakatem z napisem „Dzieci są nadzieją tego świata”.

Gdzie?! Proszę mi pokazać! Dzieci można pragnąć, zamartwiać się o nie, kochać je całym swoim jestestwem, lecz nie można im zapewnić bezpieczeństwa. Niedobry czas, nieszczęście i zło zawsze cię dopadną.

W restauracyjnej kuchni taca z naczyniami spadła na podłogę. Goście na chwilę przerwali rozmowy, być może w odruchu współczucia, po czym wrócili do omawiania swoich spraw. Joe, jak zwykle, zachował kamienny wyraz twarzy, patrzył przed siebie wzrokiem nieprzeniknionym. Powiedziałby ktoś, że ta kamienna twarz to ukrywanie choroby Parkinsona, lecz ja myślę, że ów mieodgadniony wyraz twarzy, cechujący jego zachowanie, sprawia mu nadzwyczajną przyjemność.

- Skąd ta farba do włosów? - zapytał.

- Co masz na myśli?

- Powiedziałeś, że na ręczniku znaleziono ślady farbowanych włosów. Jeżeli Howard porwał Mickey na schodach i zabił w swoim mieszkaniu, po co miałby zawracać sobie głowę farbowaniem jej włosów?

Ma rację, lecz ręcznik mógł być poplamiony farbą wcześniej. Może Rachel pofarbowała córce włosy? Nie zapytałem jej o to. Widzę, jak Joe postanawia na razie nie zajmować się tym wątkiem, podda go analizie później.

Kiedy kelner przyniósł główne danie, przestałem odczuwać głód. Z całą pewnością morfina zabija apetyt. Nawijam spaghetti na widelec i zostawiam na talerzu.

Joe nalewa sobie kolejny kieliszek wina.

- Powiedziałeś, że masz wątpliwości co do wina Howarda. Dlaczego?

- Dziwna rzecz, mam wątpliwości z powodu tego, co mi swego czasu powiedziałeś. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, a ja prowadziłem śledztwo w sprawie zabójstwa Catherine McBride, mówiłeś o podstawowych cechach charakterystycznych mordercy.

- Co powiedziałeś?

- Że ludzie nie rodzą się sadystami ani pedofilami. Oni się nimi stają.

Joe z wyraźnym zadowoleniem potakuje głową, albo ze względu na moją pamięć, albo też jest pod wrażeniem swojej przenikliwej, głębokiej opinii.

Usiłuję wyjaśnić mu tok swego rozumowania.

- Dopóki nie znaleźliśmy ręcznika, postawienie Howarda w stan oskarżenia było raczej naszym pobożnym życzeniem, pozbawionym istotnego dowodu. Nigdy nikt z rodziców nie uskarżał się na sposób prowadzenia przez Howarda akcji opiekuńczych. Nikt nie nazwał go nigdy zbrojcem ani nie sugerował, aby odsunąć go od dzieci. W jego komputerze znaleziono tysiące zdjęć dzieci, lecz tylko niektóre z nich mogłyby budzić zastrzeżenia, a żadne nie było świadectwem jego ewentualnych zbrodni seksualnych. Nikt nigdy nie mógł go oskarżyć o popełnienie przestępstwa seksualnego. I nagle Howard staje się w oczach wielu ludzi typowym mordercą dzieci.

Joe wpatruje się w butelkę wina, oplecioną rafią.

- Wielu ludzi reaguje bardzo emocjonalnie na widok dzieci, lecz osoby te nigdy nie działają w złej wierze i nie czynią dzieciom krzywdy - mówi. - Przyjemność, jaką daje im widok dzieci i przebywanie w ich towarzystwie, całkowicie im wystarcza do szczęścia.

- No tak, lecz jeśli chodzi o postępowanie Howarda, niewiele mi to wyjaśnia. Powiedziałeś swego czasu, że zachowanie zbrojcy, jego postępowanie można niemalże przedstawić w postaci wykresu graficznego. Jest to ktoś, kto zaczyna od zbierania zdjęć pornograficznych, a kończy na molestowaniu seksualnym, uwodzeniu i morderstwie.

- Czy w przypadku Howarda znalazłeś zdjęcia mające cechy pornografii?

- Howard miał przyczepę kempingową, którą, jak twierdzi, sprzedał. Wykorzystując pokwitowania za benzynę i kwity za opłatę wnoszoną za jej czyszczenie, dotarliśmy do

miejsca, gdzie stała. Było to pole kempingowe. Za miejsce na kempingu Howard płacił z góry. Na tym polu były również skrzynie pełne towarów głównie z krajów Europy Wschodniej i Azji. Była wśród nich pornografia dziecięca.

Joe pochyla głowę. Jest głęboko zamyślony. Niemalże gołym okiem widzę, jak pracują jego szare komórki.

- Opisałeś klasyczne metody postępowania pedofila. Howard wiedział doskonale, jak wrażliwą naturą jest Mickey. Robił wszystko, aby stać się jej przyjacielem, rozpieszczał ją prezentami i pochwałami, kupował jej stroje i zabawki. Robił zdjęcia i mówił, że pięknie wygląda. W końcu seksualna część gry zaczęła się od dyskretnych dotyków i udawanych zapasów. Pedofile pozbawieni sadystycznych skłonności poświęcają całe miesiące, a często i lata, aby dobrze poznać dziecko, a szczególnie jego psychikę.

- Pedofile wykazują niezwykłą cierpliwość w postępowaniu z dziećmi. Dlaczego więc Howard, poświęciwszy Mickey tak wiele czasu i wysiłków, nagle, ni stąd, ni zowąd, porywa ją ze schodów w domu? - zapytałem.

Zauważyłem, że ręka Joego drży, jakby nagle uwolniła się z niewidzialnego uchwytu.

- Masz rację, metodycznie działający pedofil raczej uwodzi swoją ofiarę, a nie uprowadza jej siłą.

Czuję wielką ulgę. To miło, gdy ktoś podziela nasze poglądy. Lecz Joe ostrzega:

- Psychologia nie jest nauką ścisłą. Nawet jeżeli Howard jest niewinny, stwierdzenie to nie przywróci Mickey do życia. Jeden fakt nie zmienia automatycznie znaczenia i charakteru innych faktów. Co się stało, kiedy powiedziałeś Campbellowi Smithowi o swoich wątpliwościach? - zapytał.

- Powiedział, żebym zwrócił policyjną odznakę i działał na własną rękę - odparłem. - Czy myślałem wówczas, że Mickey nie żyje? Miałem przed oczami ślady krwi na ręczniku i powiedziałem tak, Mickey nie żyje. Wszystko wskazywało na to, że należy podejrzewać o dokonanie tego przestępstwa Howarda.

- Nie skazałeś go, uczyniła to wielka ława przysięgłych, wydając wyrok.

Ta uwaga nie zabrzmiała protekcyjnie, nie cierpię jednak, gdy ktoś usiłuje usprawiedliwić moje błędne postępowanie. Joe opróżnił kieliszek.

- Ta sprawa doskwiera ci jednak, nieprawdaż?

- Tak, zapewne.

- Nawet wiem dlaczego - powiedział Joe.

- Profesorze, proszę zostawić to w spokoju.

Odsuwa kieliszki, kładzie łokieć na stole i chce się ze mną mocować na rękę.

- Nie masz żadnych szans - mówię.

- Wiem.

- To dlaczego to robisz?

- Abyś ty poczuł się lepiej.

- W jaki sposób?

- Zachowujesz się teraz tak, jakbym naskakiwał na ciebie. Daję więc ci możliwość odplacenia mi pięknym za nadobne. Może wreszcie zdasz sobie sprawę, że nie są to zawody, że nie chodzi o to, by wykazać, kto jest mądrzejszy. Po prostu usiłuję ci pomóc.

Poczułem ukłucie w sercu. Poczułem także kwaśny zapach lekarstw, jakie Joe zażywa, i ścisnęło mnie w gardle. Wysunięta ręka Joego czekała na zapasy. On uśmiecha się do mnie.

- Możemy uznać to za remis? - pyta.

Z najwyższą niechęcią muszę przyznać, że Joe i ja stanowimy dwie pokrewne dusze. Obaj wydaliśmy wojnę na śmierć i życie łajdakom współczesnego świata.

Moja kariera zawodowa dobiega końca. Jego choroba pozbawi wszystkiego, co może uczynić życie znośnym w podeszłym wieku. Wydaje mi się, że on także wie, co czuje człowiek odpowiedzialny, przez przypadek bądź zaniedbanie, za śmierć drugiego człowieka. Nadarza się teraz ostatnia szansa, abym mógł naprawić własne błędy, aby dowieść, że jestem coś wart, aby dokonać wielkiego rachunku sumienia.

Było już ciemno, kiedy czarna taksówka zawiozła mnie pod dom rodziców Ali. Ona sama otworzyła drzwi i szybko je zamknęła. Zauważyłem na podłodze szufelkę i szczotkę, a także potłuczoną porcelanę.

- Miałam gościa - mówi Ali.

- Keebal? - pytam.

- Skąd wiesz?

- Po zapachu wody, jakiej używa po goleniu, Eau de Clan. Gdzie twoi rodzice?

- U ciotki, wkrótce wrócą.

Ali bierze odkurzacz, a ja zbieram rozbitą porcelanę i wrzucam do pojemnika na śmieci. Ali jest ubrana w sari, które znakomicie pasuje do jej karnacji. Czuję zapach kminku, drzewa sandałowego i jaśminu.

- Czego chciał Keebal?

- Oskarżono mnie o złamanie dyscypliny służbowej. Funkcjonariusze policji korzystający z urlopu nie mają prawa przeprowadzania na własną rękę śledztwa i noszenia broni. Będę przesłuchiwana.

- Przykro mi.

- Proszę się nie martwić.

- To moja wina. Nie powinienem cię prosić o tego rodzaju pomoc.

Reaguje ze złością.

- Proszę posłuchać, jestem już dorosłą dziewczyną i sama podejmuję decyzje.

- Chyba powinienem już iść - mówię.

- Nie! Przecież nie ryzykuję jakiejś wspaniałej kariery zawodowej. Chronię dyplomatów, zawożę ich rozpieszczone i rozgrymaszone bachory do szkoły, żonom zaś towarzyszę podczas zakupów u Harrodsa. A przecież są w życiu sprawy ważniejsze.

- Co mogłabyś na przykład robić?

- Mnóstwo rzeczy. Mogłabym założyć biznes. Może wyjdę za mąż.

- Za Nowego Chłopaka? Zbyła mnie milczeniem.

- Najbardziej wkurza mnie polityka i faceci tacy jak Keebal, który już dawno powinien być z policji wyrzucony, a przecież awansował. Jest rasistą, szowinistą i złamanym kutasem!

Spojrzałem na szczątki wazy.

- Trafiłaś go?

- Chybiłam.

- Szkoda. Zaśmiała się, a ja chciałem ją uściskać. Ale była to tylko krótka chwila zapomnienia. Ali nastawiła czajnik i otworzyła paczkę czekoladowych ciasteczek.

- Natrafiłam na coś interesującego - mówi, maczając ciasteczko w kawie i oblizując palce. - Aleksei Kuznet ma motorowy jacht wycieczkowy. Cumuje go w porcie Chelsea i wykorzystuje do wydawania przyjęć dla elity korporacyjnej. Kapitan, który jest Serbem, mieszka na jachcie. Mogłabym zadać mu kilka pytań, uważam jednak, że musimy postępować dyskretnie i potraktować go łagodnie.

- Dobry pomysł.

- Jest coś jeszcze. Ostatnio Aleksei sprzedał sporą część obligacji i akcji swojej firmy. Wystawił także na sprzedaż swój dom w Hampstead.

- Dlaczego?

- Jedna z moich koleżanek, pracująca w redakcji „Financial Times”, powiedziała tylko, że Aleksei pozbywa się akcji, lecz nikt nie wie dlaczego. Chodzą słuchy, że jest bardzo obciążony kredytami i zbiera pieniądze na zwrot długu, ale może też przygotowuje się do przejęcia jakiejś dużej firmy.

- Sprzedaje dom?

- Dał ogłoszenie w ubiegłym miesiącu. Może byśmy przekopali jego piwnice i

zobaczyli, gdzie ukrył zwłoki brata?

- Słyszałem, że Sachy wypruto wnętrzości.

- Zanim włożono go do wanny z kwasem.

Śmialiśmy się do łez z idiotycznych i niewiarygodnych historii traktowanych przez ludzi całkiem serio.

Przypuszczam, że Ali ma coś jeszcze w zanadrzu, lecz milczy, trzymając mnie w napięciu.

- Sprawdziłam pewne informacje dotyczące Kirsten Fitz-roy - mówi w końcu. - Pamięta pan, mówiła, iż prowadzi agencję zatrudnienia i pośrednictwa pracy na West End. Agencja mieściła się w budynku Mayfair, dzierżawionym przez firmę zarejestrowaną na Bermudach. Dzierżawa została zakończona przed ośmioma miesiącami, a wszystkie rachunki zapłacone.

Od tego czasu wszelką korespondencję kierowano do biura usługowego w Soho, a stamtąd do szwajcarskiej firmy prawniczej, która reprezentowała interesy właścicieli, firmę ze stanu Nevada.

Tego rodzaju struktury korporacyjne wszyscy widzą gołym okiem, jak fryzury punków, z wyjątkiem urzędników Ministerstwa Przemysłu i Handlu. Jedynym powodem ukrywania się pod szyldem różnych firm jest chęć unikania płacenia podatków bądź wywiązywania się z obowiązków płatniczych.

- Według zeznań sąsiadów agencja czasami podejmuje się dyskretnych zadań, lecz głównie zatrudnia personel do krótkookresowych usług. Są to kelnerki, kelnerzy, hostessy. Ludzie ci nie są nigdzie zarejestrowani i nie płacą podatków. Większość zatrudnionych kobiet to cudzoziemki. Być może pracują nielegalnie.

To pachnie prostytutką. Pieniądze i seks. Nic dziwnego, że Kirsten stać na antyczną zbroję i oryginalne średniowieczne miecze.

Ali wyciąga notatnik, siada na kanapie, masuje nogę i czyta.

- Zorientowałam się, jaką wartość przedstawia mieszkanie Kirsten. Kupiła je za pół miliona funtów, a więc za połowę ceny rynkowej, od prywatnej firmy o nazwie Dalmatian Investments. Głównym udziałowcem w Dalmatian Investments jest pan Douglas Carlyle.

Poczułem nagły przyływ emocji.

- W jaki sposób Kirsten i Douglas zawarli znajomość? Dlaczego okazał się wobec niej tak szczodry?

- Może korzystał z jej usług - zasugerowała Ali.

- A może wyświadczyła mu inną przysługę.

Może źle oceniłem Kirsten, jej charakter i talenty. Zawsze zaskakiwała mnie jej dziwna przyjaźń z Rachel, niewiele bowiem miały ze sobą wspólnego. Rachel zdecydowana była odciąć się od rodzinnej fortuny i przywilejów, jakich zaznała w dzieciństwie. Kirsten natomiast poświęciła całą swoją energię, aby wejść na najwyższy szczebel społecznej drabiny i znaleźć się w najlepszym towarzystwie. Wprowadziła się do kamienicy Dolphin zaledwie w kilka tygodni po Rachel. Zaprzyjaźniły się, zachowywały jak papużki nierozłączki, wspólnie robiły zakupy, chodziły na te same przyjęcia towarzyskie, wymieniały się elementami garderoby.

Sir Douglas wiedział o upadku Rachel w łazience oraz o tym, że Mickey spędziła tę noc na podłodze obok nieprzytomnej od alkoholu matki. Musiał mieć w Dolphin szpiega, Kirsten właśnie. Pół miliona funtów to jednak spora suma za tak prostą usługę jak szpiegowanie sąsiadki. Wystarczyłaby także, aby zorganizować uprowadzenie dziecka oraz tłumaczy, dlaczego ktoś tak bardzo poszukiwał pani Kirsten.

Ali zabiera kubki po kawie.

- Wiem, że pan się ze mną nie zgodzi, lecz uważam, że to uprowadzenie, to wszystko, o czym mówimy, świadczy jedynie o wielkiej mistyfikacji...

- Jaki motyw mógłby skłonić kogoś do zrobienia czegoś takiego jak porwanie dziecka?

- Chciwość, zemsta, chęć doprowadzenia do wypuszczenia Howarda z więzienia, każdy z tych powodów.

- W jaki sposób Kirsten mogła do tego doprowadzić?

- Sam pan powiedział, że miała możliwość. Wiedziała wystarczająco wiele o dramacie rodzinnym, pozostawała w na tyle bliskich stosunkach z Rachel, aby mistyfikację tę przeprowadzić.

- Zrobiłaby coś takiego przyjaciółce?

- Ma pan na myśli szpiegowanie i donoszenie?

Całą noc moglibyśmy na ten temat dyskutować i nie znaleźć odpowiedzi, która wyjaśniłaby wszystkie znane nam fakty.

- Jest coś jeszcze - mówi Ali, podając mi stos papierów. - Wpadł w moje ręce zapis zgłoszonych wypadków, jakie zdarzyły się owej nocy, kiedy strzelano do pana. Może to być ciekawa lektura do poduszki.

Fotokopie meldunków obejmują rejestr wypadków na obszarze dziesięciu kilometrów kwadratowych w północnej części Londynu w czasie między godziną dziesiątą wieczorem i trzecią nad ranem.

- Zapamiętałam - mówi Ali - że zgłoszono pięć przypadków przedawkowania narkotyków, trzy kradzieże samochodów, sześć włamań, kradzież samochodu połączoną z czynną napaścią na kierowcę, sześć fałszywych alarmów wzywających policję, awanturę w barze nocnym, pożar w domu, jedenaście skarg dotyczących zarówno informacji o włączonych alarmach przeciw włamaniom, jak i o pęknięciu głównej rury kanalizacyjnej. Są tam także meldunki o zgłoszonych niewielkich podtopieniach, o napadzie na pielęgniarkę wracającą z nocnego dyżuru do domu i o pocisku z gazem łzawiącym znalezionym w koszu na śmieci.

- Ile zanotowano zgłoszeń na temat alarmów związanych z włamaniami?

- Jedenaście.

- Na jednej tylko ulicy?

- Tak. Priory Road.

- A gdzie nastąpiło pęknięcie głównej rury kanalizacyjnej?

Ali, mrużąc oczy, patrzy na mapę.

- Również na Priory Road. Woda zalała kilka sklepów.

- Czy możemy odnaleźć ludzi, którzy usuwali tę awarię?

- Mogę wiedzieć dlaczego? - zapytała.

- Nie, ponieważ mężczyzna ma prawo do pewnych tajemnic - odparłem. - A jeżeli się mylę? Nie chcę pozbawiać cię złudzeń co do mojej genialności.

Nawet nie była zdziwiona. Chwyła za telefon.

- Do kogo dzwonisz? - zapytałem.

- Do przyjaciela.

Śnię, że się topię. Mam pełne płuca wodnistego mułu. W tej ciemnej topieli nagle pojawia się światło i słyszę wrzawę ludzkich głosów. Wymiotuję, a brązowa woda wycieka mi z nosa, ust i uszu.

Widzę kobietę nade mną. Siedzi na moich biodrach, rękami ugniatając klatkę piersiową. Znowu się pochyla, a jej usta dotykają moich. Na szyi ma znamię sięgające aż do piersi.

Obudziłem się dopiero po dłuższej chwili. Nie chcę wyzwolić się z tego sennego koszmaru. Otwieram oczy i mam poczucie, że dawno czegoś takiego nie przeżyłem. Podciągam kołdrę, tym odruchem raz jeszcze chcę się upewnić, że żyję. Powinienem poczuć zakłopotanie, a odczuwam radość. Cokolwiek bowiem mi się dzisiaj udaje, jest powodem do świętowania.

Lecz ten stan zadowolenia nie trwa długo. Myślę więc znowu o Mickey, o żądaniu

okupu i o strzałach na rzece. Zdaję sobie w pełni sprawę, że w tej tragicznej historii zbyt wiele jest jeszcze niewiadomych. Muszą być także inne listy. Co z nimi zrobiłem? Może ulokowałem je w bezpiecznym miejscu. Gdyby coś mi się stało podczas przekazywania okupu, chciałbym przecież, aby ktoś znał prawdę.

Wczoraj, kiedy Joe przeglądał mój portfel, znalazł pokwitowanie z poczty. Wysłałem do kogoś list polecony. Gdy ściągałem spodnie z krzesła, pokwitowania wypadły na łóżko. Litery rozmyły się w wodzie, mogę jedynie odczytać kod pocztowy, ale to za mało.

Telefonuję do Daj. Odpowiada już po pierwszym dzwonku, krzyczy do słuchawki. Sądzę, że nie rozumie zasady bezprzewodowej telefonii i wyobraża sobie, że mówię z jakiejś tuby.

- Nie dzwonisz, nie odwiedzasz mnie, a minęły już trzy tygodnie. Nie kochasz mnie.

- Byłem w szpitalu.

- Nie telefonujesz.

- Dzwonię do ciebie dwa razy w tygodniu, ale ty przerywasz nasze rozmowy.

- Opowiadasz dyrdymały.

- Zostałem postrzelony.

- Umierasz?

- Nie.

- No właśnie! Dramatyzujesz, jak zwykle. Odwiedził mnie twój przyjaciel, ten psycholog, profesor O'Loughlin. Był bardzo miły. Wypił ze mną herbatę...

Gdy czyni mi wyrzuty, słyszę w słuchawce, że rozmawia z kimś jeszcze. Mój drugi syn, Lukę, jest bogiem. To piękny chłopak, blondyn... oczy jak gwiazdy. Ten zaś łamie mi tylko serce.

- Posłuchaj, Daj, mam do ciebie pytanie. Czy wysłałem coś do ciebie?

- Nigdy nic mi nie wysyłałeś... Mój Lukę to taka wspaniała dusza... Może zrobiłbyś mu coś na drutach. Kamizelkę na przykład, aby było mu ciepło.

- Daj spokój, mam. Pomyśl dobrze, przypomnij sobie. Przypomina sobie.

- Przysłałeś mi list. Powiedziałeś, abym go dobrze schowała.

- Mam, jadę do ciebie. Zachowaj list w bezpiecznym miejscu.

- Powiedz mi, kiedy to było.

Główny budynek w Villawood Lodge wygląda jak stara szkoła. Ma dwuspadowy dach, gargulce i pionowe rynny. Został zbudowany w latach siedemdziesiątych z czerwonej cegły, oszalowany jest piaskowcem, ma aluminiowe ramy okienne i szare dachówki.

Daj czeka na mnie na werandzie. Przyjmuje dwa całusy w policzek i patrząc na jedno

tylko pudełko owoców, które przyniosłem, jest wyraźnie niezadowolona. Bez przerwy porusza dłońmi i palcami, pociera ramiona, jakby swędziała ją skóra.

Ali została w pewnej odległości, lecz Daj patrzy na nią podejrzliwie.

- Kto ty jesteś? - pyta.

- To Ali - przedstawiam ją.

- Ma bardzo ciemną skórę.

- Moi rodzice urodzili się w Indiach - wyjaśnia Ali.

- Hmm!

Nie wiem, dlaczego rodzice muszą wprawiać swoje dzieci w zakłopotanie. Może to rekompensata za te wszystkie nieprzespane noce w okresie ich niemowlęstwa.

- Daj, gdzie jest ta koperta?

- Nie, najpierw porozmawiaj ze mną. Zabierzesz ją i znikniesz, jak ostatnio. - Daj odwraca się i mówi do siedzących obok pensjonariuszy: - To mój syn, Yanko! Jest policjantem. To ten, który nigdy mnie nie odwiedza.

Czuję, jak moje policzki pokrywają się rumieńcem. Daj nie tylko ukradła nazwisko zamordowanej żydowskiej dziewczyny, ale przyjęła także jej osobowość, postawę i zachowanie.

- Co masz na myśli, mówiąc, że ostatnio bardzo się śpieszyłem?

Daj zwraca się do Ali:

- Widzisz, on nigdy nie słucha tego, co do niego mówię. Nie słuchał nawet wtedy, kiedy był dzieckiem. W głowie ma groch z kapustą.

- Kiedy ostatnio byłem u ciebie?

- Widzisz! Już zapomniałeś. To było tak dawno. Lukę nie zapomina, dba o mnie.

- Daj, Lukę nie żyje. W którym dniu byłem u ciebie?

- Hmm! To była niedziela. Miałeś przy sobie gazety i czekałeś na telefon.

- Skąd wiesz?

- Telefonowała do ciebie matka tej zaginionej dziewczynki. Musiała być wstrząśnięta. Powiedziałeś jej wówczas, aby się opanowała, zachowała cierpliwość i czekała na telefon.

Daj znowu zaczęła się drapać.

- Muszę zobaczyć tę kopertę - powiedziałem.

- Jeżeli nie powiem ci, gdzie jest, nie znajdziesz jej.

- Nie mam czasu na przekomarzanki.

- Nigdy nie miałeś czasu. Chcę, abyś wziął mnie na spacer.

Ubiera się, wkłada buty i ciepły płaszcz. Biorę ją pod rękę i idziemy alejką wyłożoną

kamykami. Idziemy wolno, a Daj i tak z dużym wysiłkiem usiłuje dotrzymać mi kroku. Kilku pensjonariuszy uprawia na trawie gimnastykę rekreacyjną tai-chi. Rozglądam się i widzę, że ogrodnicy sadzą kwiaty.

- Jedzenie jest tu dobre? - pytam.

- Chcą mnie otruć.

- Grasz w brydża?

- Niektórzy oszukują.

Mówi tak głośno, że nawet półgłusi ją słyszą.

- Daj, naprawdę powinnaś się ruszać.

- Dlaczego? My tutaj wszyscy po prostu czekamy już tylko na śmierć.

- To nie tak.

Zatrzymuję się i zapinam górny guzik jej płaszcza. Na twarzy ma coraz więcej zmarszczek, lecz oczy nadal pełne życia. Z daleka wyglądamy jak matka i syn zatopieni w wspomnieniach. Monosylabami przywołujemy z pamięci niektóre obrazy z ponadpółwiecznych tragikomicznych losów naszego wspólnego istnienia.

- Czy otrzymam teraz swoją kopertę? - pytam.

- Po porannej herbacie.

Siedzimy w jadalni i prowadzimy rozmowę, dyskretnie omijając trudne tematy. Poczęstowano nas dżemem, ciastkami i herbatą. Między stołami kręci się kierownik pensjonatu.

- Witam! Cieszę się, że panią widzę. Pani Ruiz, jak to przyjemnie widzieć panią w towarzystwie syna! Może syn chciałby nas znów odwiedzić i wysłuchać odczytu pana Wilsona o wędrówce po Andach?

Pomyślałem, że wolałbym raczej się powiesić. Tymczasem Daj ogłasza donośnym głosem:

- Yanko był najsilniejszy z moich dzieci. Ale mleka z piersi nie chciał.

- Daj, kochanie, nikogo to nie interesuje - powiedziałem. Ale Daj jeszcze głośniejsz obwieszcza:

- Jego ojciec był nazistą. Jak ojciec Arnolda Schwarzeneg-gera.

Policzki zaczęły mnie palić. Nie mogłem jej powstrzymać od mówienia.

- Nie wiem, czy wygląda jak ojciec. Wielu ich było. Może w moim łonie połączyły się wszystkie ich plemniki?

Po tej bardzo intymnej spowiedzi zażenowany kierownik wyjaśnił, że ma pilne zajęcia i szybko się oddalił. Odchodząc, spojrział na mnie wzrokiem przypominającym spojrzenie

moich nauczycieli, w chwili gdy Daj pojawiała się w szkole na jakichś uroczystościach.

Kiedy herbata już ostygła, a na stole pozostały nieruszone ciastka, poszedłem do pokoju Daj, aby zabrać kopertę. Po drodze wpadłem do gabinetu kierownika i zostawiłem czek.

Przyjmując czek, sekretarka powiedziała:

- Musi pan bardzo kochać matkę.

Spojrzałem na nią wzrokiem obojętnym i odparłem:

- Nie, nie kocham jej, lecz ta kobieta jest moją matką.

W samochodzie otwarłem usztywnioną kopertę. Wewnątrz znajdowały się kopie pocztówki, rzekomo napisanej przez Mickey, oraz wyników testu DNA i wyników analizy atramentu, jakieś materiały biurowe i próbki włosów.

I jeszcze jeden list w plastikowym woreczku. Wyjąłem go i z zapartym tchem zacząłem czytać.

Szanowna Pani Carlyle

Pani córka żyje. I żyć będzie nadal, jeżeli zgodzi się Pani współpracować. Błędny krok z Pani strony doprowadzi zaś do jej śmierci. Jej życie jest w Pani rękach.

Żądamy dostarczenia diamentów o wartości dwóch milionów funtów, diamentów wysokiej jakości, o pojedynczej wielkości nie mniejszej niż jeden karat. Muszą być zapakowane w czterech oddzielnych kwadratowych paczkach z plastikowej pianki o grubości pół centymetra i owinięte podwójnie fluoryzującą taśmą plastikową. Długość każdej paczki nie może przekraczać piętnastu centymetrów, szerokość sześciu, a grubość dwóch centymetrów. Należy je umieścić w pięćdziesięciocentymetrowym kartonie po pizzy.

Po trzech dniach od otrzymania tej wiadomości zamieści Pani w dzienniku „Sunday Times” płatne ogłoszenie informujące, że chce Pani wynająć w Toskanii domek letniskowy. W ogłoszeniu poda Pani kontaktowy numer telefonu komórkowego.

Pani Carlyle, za każdym razem musi Pani osobiście odebrać telefon. Jeżeli telefon odbierze inna osoba, Michaela umrze.

W tej sprawie nie będą możliwe żadne negocjacje. Nie zostaną uznane żadne tłumaczenia. Jeżeli zaangażowana zostanie policja, wie Pani, jaki będzie rezultat. MA PANI TYLKO JEDNĄ, NIEPOWTARZALNĄ SZANSE.

List starannie napisany i chyba wydrukowany na laserowej drukarce, aczkolwiek nie został napisany ręką dziecka, zawarte w nim słowa wywołują wielkie emocje.

Zamieściłem ogłoszenie. Podałem numer telefonu komórkowego i muszę wierzyć, że Mickey żyje. Może bardziej sprawił to emocjonalny charakter informacji niż niepodważalny

dowód, że żyje. Tak jak Howarda skazaliśmy na karę dożywotniego pozbawienia wolności na podstawie dowodów poszlakowych, tak być może ja, na podstawie różnego rodzaju wątpliwych informacji i spekulacji, przywróciłem w swojej wyobraźni Mickey do życia.

Ali, czytając na temat wyników analizy DNA, mówi:

- Przynajmniej mamy do czynienia z potwierdzeniem pewnego faktu.

- Nie zmienia to całej sprawy. Główny komisarz Smith nie wznowi śledztwa i nie przyzna się do popełnionych błędów. Specjaliści z zakładu medycyny sądowej, prokuratorzy, sędziowie, świadkowie wezwani przez policję i politycy nie zamierzają zmienić zdania w sprawie zasadności skazania Howarda na karę dożywotniego pozbawienia wolności.

- Obarcza ich pan winą. Naprawdę chce pan uwolnić Howarda?

- Nie.

- A więc po co to wszystko robimy?

- Ponieważ nie wierzę, że żądanie okupu było oszustwem. Wierzę, że Mickey żyje!

Dlaczego ryzykowałbym, dlaczego postawiłbym wszystko na jedną kartę?

Patrzę na przystanek autobusowy, na którym jakaś dziewczyna wypatruje autobusu, który ma przybyć o godzinie 11.15, a nie zjawi się przed 11.35.

- Nie chodzi o uzasadnione wątpliwości, niewinność czy winę. Chcę tylko znaleźć Mickey.

Zanosi się na burzę. Naelektryzowane powietrze powoduje, że kosmyki włosów na głowie Ali stają na sztorc.

W ciągu paru minut zrywa się ulewa, duże krople deszczu uderzają o szyby samochodu, ulicami płyną strugi, zatykając liśćmi rynsztoki. Być może jest to skutek ocieplenia klimatu czy jego zmiany, bo nie pamiętam takich burz z czasów, kiedy byłem młody.

Słyszę świst opon vauxhalla na mokrej powierzchni jezdni. Prowadząc szybko samochód w trudnych warunkach, Ali wykazuje wielką umiejętność koncentracji, przypomina to sytuację podczas gry w arkady. To tak jakby spodziewała się, że ktoś nagle na czerwonym świetle skoczy pod samochód lub zniecka zejdzie z chodnika.

Przejeżdżamy przez Tower Bridge i kierujemy się na wschód wzdłuż autostrady A2, mijamy Blackheath i Shooters Hill, zanim dotrzemy do Dartford.

Burza przeszła, ale szare chmury suną nisko po niebie. Zimny wiatr podrywa skrawki papierów, które wirują wzdłuż chodników.

Tak wyglądają prawdziwe angielskie przedmieścia, pełne różnego rodzaju żywoptów i poidełek dla ptaków. Czuję nawet zapach nawozów sztucznych i widzę przez

szyby ludzi oglądających przez co najmniej trzy godziny dziennie telewizję.

Restauracja „White Horse” oferuje przez cały dzień śniadania, lecz do południa jest zamknięta. Zaglądając przez okno, widzę pustą salę przygotowaną do sprzątanego, krzesła odsunięte od stołów, odkurzacz na dywanie, tarcze do gry w strzałki i błyszczące metalowe oparcie na nogi przy barze. Wsiadam z samochodu, obchodzę budynek, Ali kilka metrów za mną. Drewniana brama z tyłu jest zamknięta, lecz nie na klucz. Prowadzi na ceglane podwórze pełne beczulek w srebrnym kolorze. Jest tam także motocykl i dwa samochody, jeden z nich wygląda na porzucony, ma zdjęte koła, stoi na cegłach, a pomalowany jest na maskujący kolor zielony.

Tuż za bramą siedzi na masce samochodu chłopak, może piętnastoletni, czyści oliwą karburator. Jest w starych tenisówkach, macha nerwowo nogami, wykrzykuje jakieś słowa i splotuwa.

Potrząsając głową, krzyczy:

- Szpiegujesz mnie. FUKLEMICK!
- Cześć, Stevie - witam go.

Zsunął się z maski i uściśnął mi rękę, po czym natychmiast przywarł uchem do mego zegarka.

- Tik-tak, tik-tak - powiedział.

To syndrom choroby, która wywołuje gwałtowne skurcze mięśni, skłonność do przekleństw i wrzasków. Stevie to ludzki dziwoląg, jak mówi jego ojciec Ray Murphy, dawny dozorca w bloku mieszkalnym Dolphin.

Zwracam się do Ali:

- To Stevie Murphy.
- S. Murphy. Smurfy. Smurf. Smurf.

To co chłopiec mówi, bardziej jednak przypomina głos foki. Ali rozczesuje palcami swoje krótkie włosy i mruczy, udając kotka.

- Jest tata w domu? - pytam. Potrząsa głową.
- FUKLEOFF! POSZEDŁ!
- Dokąd? - pytam. Wzrusza ramionami.

Owego poranka, kiedy znikła Mickey, Ray Murphy zapewnił Kirsten alibi. Według zgodnego oświadczenia jego i Kir-sten, naprawiał w jej mieszkaniu prysznic. Murphy, niewielkiej postury mężczyzna, przypominał jamnika; pamiętam, jak na Wembley brał udział w ogólnobrytyjskich zawodach bokserskich w wadze koguciej. Było to chyba w latach osiemdziesiątych.

W pierwotnej fazie śledztwa przesłuchiwałem go dwukrotnie. Pomyślałem, że może domyśla się, w jaki sposób Mickey wymknęła się z budynku.

- Wyszła drzwiami, jak wszyscy - powiedział mi wówczas.

- Myśli pan, że Sarah mogła jej nie zauważyć?

- Dzieci nie zawsze robią to, czego od nich oczekujemy.

Mówił na podstawie własnego doświadczenia. Jego najstarszy syn Tony odbywał karę więzienia w Brixton za napad z bronią w rękę.

Zostawiłem Steviego i podszedłem do restauracji. Zapukałem trzy razy w drzwi. Odsunięto łańcuch i drzwi zostały nieco uchylone. Pojawiła się wysoka kobieta, mająca lakierowane włosy koloru żółtego i patrząca na mnie podejrzliwie. W puszystym pulowerze i czarnych legginsach wyglądała jak monstrualna kaczka.

- Pani Murphy? - zapytałem.

- Jeszcze go pan nie znalazł?

- Proszę wybaczyć, ale nie wiem, o co chodzi.

- Znalazł pan mego Raya? Którą dziwkę teraz rżnie? Ali usiłuje zorientować się, o co chodzi.

- Mówi pani, że nie widziała swego męża?

- Cholera, nie widziałam, panno Marple.

Odchodzi od drzwi i siada na krześle. Na stole leżą resztki śniadania, a na ekranie telewizora widać siedzącą na kanapie roześmianą parę. Pani Murphy, patrząc w telewizor, mówi:

- Pamiętam, jest pan policjantem, który poszukiwał zaginionej dziewczynki.

- Mickey Carlyle. Ręką wskazuje na syna.

- Stevie pamięta. On niczego nie zapomina.

- Mickey ficky sticky licky - mówi Stevie, ciesząc się, że znalazł właściwy rym do imienia dziewczynki.

Pani Murphy, karcąc syna, mówi:

- Nie bądź upierdliwy.

Stevie wzdrygnął się i uniknął klapsa, potem cofnął się i zawirował biodrami, naśladowując taniec dorosłych.

Kuchnia jest mała i zagracona. Stoi tam kolekcja dziwnych pamiątek, jakieś metalowe starocie, solniczki i pieprzniczki z podobiznami Myszki Miki, trofea bokserskie i zdjęcie Henry'ego Coopera.

Stevie nadal uprawia swój dziwny taniec, a wzrok pani Murphy przyklejony jest do

ekranu telewizora. Nie wiem, co mam zrobić, aby zwróciła na mnie uwagę. Kiedy pilotem wyłączyłem telewizor, spojrzała na mnie tak, jakbym odłączył aparaturę podtrzymującą jej życie.

- Kiedy widziała pani ostatni raz Raya? - pytam.

- Jak już mówiłam, dwudziestego czwartego września.

- Komu pani mówiła?

- Policjantom! Dwa razy byłam u nich, ale mi nie wierzyli. Mówili, że Ray po prostu urwał się, jak poprzednio.

- Poprzednio?

Ociera oczy i patrzy na Steviego. Ali rozumie, o co chodzi.

- Może wyjdziemy na dwór? - proponuje chłopcu. Stevie uśmiechnął się i objął ją w pól.

- Lepiej niech trzyma ręce przy sobie - mówi matka, nie odrywając wzroku od ciemnego ekranu.

Kiedy zamknęły się drzwi, powiedziała:

- Ray to okropny dziwkarz. Ale odkąd nabyliśmy ten pub, nie wychodził z domu.

Kochał „White Horse”...

To stwierdzenie dało mi wiele do myślenia.

- Jako dozorca kamienicy musiał nieźle zarabiać, skoro stać go było na kupienie pubu.

Obruszyła się.

- Kupiliśmy pub za uczciwe pieniądze. Wujek zostawił Rayowi pewną sumę.

- Spotkała pani kiedyś tego wujka?

- Pracował w Arabii Saudyjskiej. Tam nie płać podatków. A Ray zasłużył na podarunek. Dwadzieścia lat pracował, czyszcząc kanały. Wie pan, co to znaczy? Całe życie na kolanach, w błocie, w ciemnościach, ze szczurami.

- Myślałem, że zajmował się zarządzaniem akcjami przeciwpowodziowymi.

- Tak, ale znacznie później, jak już cierpiał na bóle pleców. Pomagał londyńskiemu zarządowi kanalizacji i wodociągów sporządzać plany przeciwpowodziowe. Ludzie nie pamiętają, że Tamiza jest rzeką bardzo podatną na przyływy i odpływy wody morskiej.

W jej głosie słychać coraz więcej goryczy.

- Kiedy budowali tamy na Tamizie, mówili, że przyływy nie będą już stanowiły zagrożenia. I pozbyli się Raya. On powiedział, że to idioci! Poziom morza stale się podnosi, a grunty w południowo-wschodniej Anglii opadają. Trzeba coś z tym zrobić.

- Co go skłoniło do kupienia pubu? - zapytałem.

- Proszę mi pokazać mężczyznę, który nie chciałby mieć pubu - odparła.

- Gdy już zarobią, większość z nich przepija dochody - mówię.

- Ale nie mój Ray. Przez szesnaście lat nie wziął mi ani grosza. Lubi to miejsce. Wie pan, interes szedł dobrze, dopóki na naszej ulicy nie otwarto tego cholernego pubu dla smakoszy z ekologiczną zdrową żywnością „The Frog & Let-tuce”. Co to za nazwa dla pubu? Aby nie dać się konkurencji, musieliśmy sporo zainwestować i organizować towarzyskie gry w strzałki. Tony to organizował. Zna sporo zawodowych graczy.

- Jak się miewa Tony? Pani Murphy milczy.

- Miałem nadzieję zamienić z nim parę słów.

- Nie ma go.

Odpowiedź jest zbyt gwałtowna. Patrę w sufit. Ta kobieta jest jak kula kryształowa przepowiadająca przyszłość - wystarczy ją potrząsnąć, a cała prawda wyjdzie na jaw.

- Mój Tony nic nie zrobił złego. To dobry chłopak.

- Kiedy wyszedł z domu?

- Przed sześcioma miesiącami.

- Czy Ray kiedykolwiek wspominał o pani Kirsten Fitzroy? Nazwisko coś jej mówi.

- To ta zadzierająca nosa, mieszka w kamienicy Dolphin, ma bliznę na szyi...

- Znamię.

- Wszystko jedno - mówi lekceważąco.

- Składała wam kiedykolwiek wizytę bądź telefonowała?

- Ray by jej nie tknął, jest dla niego za chuda. Lubi kobiety przy kości. Teraz na pewno pieprzy się z jakąś dziwką. Wkrótce wróci do domu. Zawsze wraca.

Z zewnątrz dochodzi głos silnika. Stevie zagląda pod maskę samochodu. Ali siedzi za kierownicą, dodaje gazu. Na piętrze gdzieś nade mną otwiera się okno i ktoś rzuca obelgami, krzyczy, aby ci przy samochodzie uspokoili się.

- A więc teraz, kiedy Tony się obudził... - mówię, aby nie wprawić jej w zakłopotanie.

Kładzie obie dłonie na stole, powoli podnosi się i z trudnością idzie po schodach na górę. Po kilku minutach pojawia się Tony w szlafroku. Jest w nastroju rubasznym, na luzie. Głowę ma ogoloną, pozostawił jedynie małą kępkę tuż nad karkiem. Na przedramieniu ma tatuaż, a uszy sterczą mu niczym czasze anten satelitarnych. Wygląda jak postać z filmu Star Trek.

Tony, podobnie jak ojciec, zapowiadał się na dobrego boksera, dopóki nie usiłował stosować opacznie w walce pewnych chwytów zalecanych przez Światową Federację Zapaśnictwa. Libacje i pozorowane walki były w jakimś stopniu tolerowane przez federację,

lecz kiedy zaczął oszukiwać podczas zawodów, wpadł w tarapaty. Wdał się także w awanturę i połamał palce zawodnikowi, który popełnił błąd przy obliczaniu punktów. Tony wygrał, mimo że według wszelkiego prawdopodobieństwa powinien przegrać.

Tony pije z kartonu sok pomarańczowy. Wyciera usta i siada na krześle.

- Nie muszę odpowiadać na żadne pytania, nawet nie musiałem dla pana wstać w łóżka - powiedział.

- Doceniam twój wysiłek. Kiedy ostatni raz widziałeś ojca? - zapytałem.

- Czy wyglądam na faceta, który prowadzi dziennik spotkań?

Błyskawicznym ruchem chwyciłem go za ramię.

- Posłuchaj, ty mała wściekła kanalio. Nadal jesteś na zwolnieniu warunkowym. Chcesz wrócić do pierdła? Dobrze. Postaram się, abyś siedział w jednej celi z najbardziej zdeprawowanym pedziem. Nie będziesz musiał nawet wstawać z łóżka. On ci pozwoli leżeć przez cały dzień.

Zauważyłem, że spojrzał na leżący na stole nóż kuchenny, było to jednak tylko przelotne spojrzenie.

- Ojca widziałem przed trzema tygodniami. Podwiozłem go do południowej części Londynu, a po południu zabrałem z powrotem.

- Co on tam robił?

- Pojęcia nie mam. Nie rozmawiał ze mną na ten temat. - Tony podnosi głos. - Cokolwiek robił, nie ma to nic wspólnego ze mną. Absolutnie nic.

- Myślisz więc, że miał jakąś sprawę do załatwienia?

- Nie wiem.

- Ale o czymś wiesz, prawda? Coś podejrzewałeś.

Nie wiedząc, co powiedzieć i chcąc zyskać na czasie, zaczął przewracać językiem w ustach.

- Jest facet, z którym siedziałem w jednej celi w więzieniu w Brixton. Nazywa się Gerry Brandt. Mówiliśmy na niego Larwa.

Przez chwilę wydawało mi się, że słyszałem już takie nazwisko.

Tony rozgadał się.

- Nigdy nie widziałem faceta, który tak by uderzał w kimono jak on. Nigdy. Przysięgłbyś, że nie żyje, tylko klatka piersiowa mu się ruszała. Chłopaki mogli robić w celi dzikie awantury, a on spał jak niemowlę. Mówię panu, jak ten facet potrafił spać!

Tony popija jeszcze jeden łyk soku pomarańczowego.

- Larwa siedział tylko parę miesięcy. Od tego czasu nie widziałem go przez parę lat.

Przed trzema miesiącami pojawił się. Wyglądał jak playboy, opalony, w drogim garniturze.

- Miał pieniądze? - zapytałem.

- Nie wiem, ale samochód miał kiepski, niewart skradzenia czy podpalenia.

- Czego chciał?

- Nie wiem, nie przyszedł do mnie. Chciał rozmawiać ze starym. Nie wiem, o czym rozmawiali, ale sprzeczali się. Mój stary pluł pestkami. Powiedział mi później, że Larwa szuka pracy, ale wiedziałem, że to bzdura. Gerry Brandt nie będzie mył naczyń. To cwany gracz.

- Robili razem jakieś interesy? - zapytałem. Tony wzruszył ramionami.

- Cholera wie. Nawet nie wiedziałem, że oni się znają.

- Gdy siedzieliście razem w celi, wspomniałeś kiedykolwiek o swoim starym?

- Może coś powiedziałem. Wie pan, w celi się gada.

- A kiedy ojciec wybrał się do Londynu, co skłoniło cię do przypuszczenia, że zamierza spotkać się z Gerrym?

- Wysadziłem go koło knajpy w Pentonville Road. Pamiętam, jak Larwa powiedział „kupiłem to miejsce”. To był jego lokal.

Wyjąłem z kieszeni zdjęcie Kirsten i położyłem na stole.

- Poznajesz ją? - zapytałem.

Tony przez chwilę pilnie się przyglądał. Szybciej się kłamię, niż mówi prawdę, dlatego zajęło mu to chwilę. Zaprzeczył ruchem głowy. Uwierzyłem mu.

Po powrocie do samochodu jeszcze raz omówiłem z Ali wszystkie szczegóły, jakie pojawiły się w wyniku spotkania z Tonym. Chciałem, aby zadawała mi pytania, jeśli uzna to za potrzebne. Ona należy do tych, którzy kombinują głośno, ja kalkuluję po cichu.

- Czy pamiętasz kogoś o nazwisku Gerry Brandt? Wzrusza ramionami.

- Kto to jest?

- Obrzydliwy gnojek z gębą niczym muszla klozetowa, uprawia sutenerstwo.

- Uroczy facet - powiedziała Ali.

- Podczas pierwszego śledztwa spotkałem się z jego nazwiskiem. Jego twarz pojawiła się na jednym ze zdjęć Howarda, w tłumie na zewnątrz budynku Dolphin, w dniu, w którym zniknęła Mickey. Później natrafiłem na jego nazwisko w rejestrze skazanych za przestępstwa seksualne. Wcześniej skazany był za utrzymywanie stosunków seksualnych z nieletnią. Wówczas jednak nikt tej sprawie nie poświęcał większej uwagi. Miał wtedy siedemnaście lat, a dziewczyna czternaście, znali się. Chcieliśmy go przesłuchać, lecz nie mogliśmy go znaleźć. Ulotnił się. Teraz znowu się pojawił. Według To-ny'ego przyjechał przed trzema miesiącami,

aby zobaczyć się z Rayem Murphym.

- Może to przypadek?

- Może.

Kirsten i Ray Murphy zniknęli. Pomyślałem, że przed trzema laty, kiedy zaginęła Mickey, zapewnili sobie wzajemnie alibi. Mickey, idąc owego dnia do czekającej na nią w holu Sarah, musiała przejść tuż obok drzwi mieszkania Kirsten. Jednocześnie pan Douglas Carlyle zapłacił Kirsten za śledzenie Rachel i dostarczenie dowodów niezbędnych do złożenia wniosku o przyznanie mu opieki nad Mickey. Być może posunął się o krok dalej, porwijąc wnuczkę. Oczywiście, nasze rozumowanie nie rzuca światła na miejsce pobytu dziewczynki ani też na pojawienie się po trzech latach żądania okupu.

Może Ali ma rację i sprawa okupu oraz wynikające z niej zamieszanie to jedna wielka mistyfikacja, próba odwrócenia uwagi? Kirsten mogła zebrać włosy Mickey z poduszki czy szczotki do włosów. Może wiedziała także o skarbonce. Wykorzystując zaistniałą sytuację, obmyśliła plan działania.

Chłód przeniknął mnie do głębi, jakby była piąta nad ranem. Profesor utrzymuje, że przypadkowość to nic innego jak zbieżność dwóch wydarzeń. Jednakże ja w to nie wierzę. Uważam, że nóż najszybciej poddaje się zrządzeniom losu.

Cysterna londyńskich wodociągów stoi w połowie Priory Road, przodem do zachodzącego słońca. Brygadzysta wyszedł i pali papierosa. Przeciąga się, prostuje nogi. Wygląda na zadowolonego z siebie.

Nie jestem zdziwiony; wygląda na faceta, który marzy jedynie o zagranju w pubie snookera z kolegami. Ali przedstawia mnie brygadziście, który staje się powściągliwy.

- Panie Donovan, dwudziestego piątego września naprawiał pan na tej ulicy uszkodzoną główną rurę wodociągową.

- Dlaczego pani o to pyta? Czyżby ktoś wniósł skargę? Nic złego nie zrobiliśmy.

Wtrąciłem się, wyjaśniając, że chcemy jedynie dowiedzieć się, co się wówczas stało.

Gasi papierosa o podeszwę buta i wskazuje w kierunku czarnej plamy asfaltu bitumicznego na jezdni.

- Wyglądało to wówczas jak skutki jednej wielkiej erupcji. Woda wypłukała połowę drogi. Nigdy w czasie swojej pracy nie widziałem takiego wybuchu wody z głównej rury wodociągowej.

- Co pan chce przez to powiedzieć? Podciągnął spodnie.

- No cóż, rozumie pan, niektóre z tych rur mają ponad sto lat i są już zużyte. Jedną się naprawi, to druga pęka. To tak, jakby się chciało dziesięćmioma palcami zatkać w tym samym

czasie dwanaście dziur.

- Ale to pęknięcie było nietypowe? - pytam.

- Tak. Zazwyczaj rury pękają w spojeniach, a ta po prostu została rozerwana. - Zgniółł dłoń, a potem gwałtownie je rozwarł, pokazując, jak wyglądało uszkodzenie. - Nie mogliśmy jej spoić. Musieliśmy wymienić sześć metrów rury.

- Jak pan przypuszcza, co mogło spowodować takie rozerwanie rury? - zapytała Ali.

Potrząsnął głową i znów poprawił spodnie.

- Lew, facet z naszej brygady, był saperem w armii. Uważa, że był to jakiś wybuch, ponieważ metal w miejscu rozerwania był pognięty. Uważał, że nastąpił wybuch metanu w kanale ściekowym.

- Czy to się często zdarza?

- Nie, choć dawniej zdarzało się dość często. Dzisiaj budują kanały ściekowe z lepszą wentylacją. Słyszałem o podobnej eksplozji przed kilku laty. Zalało wówczas sześć ulic w Bays-water.

Ali chodzi po ulicy w tę i z powrotem, patrząc uważnie pod nogi.

- W jaki sposób dowiaduje się pan, gdzie ułożone są rury? - zapytała.

- To zależy - odpowiada Donovan. - Za pomocą magnetometru, który odbiera sygnały metalu, czasami używamy szczególnego rodzaju radaru do penetracji gruntu, lecz w zasadzie nie potrzeba specjalistycznych urządzeń do lokalizacji rur. Dzisiaj główne sieci wodociągowe budowane są wzdłuż kanałów ściekowych.

- W jaki sposób je znajdujecie?

- Trzeba zejść do kanału. Cały system jest zasilany grawitacyjnie.

Przyjrzałem się uważnie kracie zabezpieczającej włącz do kanału. Przerwy pomiędzy jej prętami mają szerokość dwóch centymetrów. Paczki z okupem były dokładnie zabezpieczone. Opakowanie każdej było wodoszczelne i mogło unosić się na wodzie. Każda paczka miała piętnaście centymetrów długości, sześć centymetrów szerokości i dwa centymetry grubości... Z powodzeniem więc mieściła się między prętami kraty przykrywającej włącz do kanału. Ktokolwiek przekazał okup, musiał dopuszczać możliwość użycia urządzenia do śledzenia ruchu paczek. A pod ziemią nie działa ani nadajnik, ani globalny system określania położenia przedmiotów.

- Panie Donovan, czy możemy zejść do kanału?

- Żartuje pan, prawda?

- Takie mam poczucie humoru.

!. Gestykuje i mówi:

- Po jedenastym września władze wykazują dużą ostrożność, jeśli chodzi o kanały ściekowe. Kanał Tyburn na przykład biegnie pod budynkiem ambasady USA i pałacem Buckingham. Kanał Tachbrook zaś pod gmachem Pimlico. Nie ma ich na mapach, przynajmniej na mapach wydawanych dzisiaj. Nawet nie ma ich w ogólnie dostępnej dokumentacji.

- Chyba jednak można je nadal gdzieś dostać. Mogę wystąpić z prośbą.

- Sądzę, że to możliwe, ale musi potrwać.

- Jak długo? Pociera policzek.

- Pewnie kilka tygodni.

Widzę, do czego zmierza. Daje do zrozumienia, że rozbudowana i ociążała biurokracja brytyjska będzie przysyłać moje podanie od komisji do komisji, grup roboczych, które będą je analizować, a wszystko po to, aby zastanowić się nad właściwą formą odrzucenia mojej prośby.

No cóż, wiele jest sposobów obdarcia kota ze skóry. Według profesora, który studiował medycynę, są trzy sposoby, a on wie, co mówi.

Przed blisko dziesięcioma laty, podczas publicznej batalii przeciwko budowie obwodnicy w Newbury, mówiono, że pewien facet wpadł do rozpadliny i przetrwał w niej, a nie była większa niż jego plecy, szesnaście dni. Zajął się nim policja, lecz on potrafił szybciej wydrążyć przejście gołymi rękami niż ludzie z kilofami i łopatami.

Nazwał siebie ekowojownikiem walczącym z „gwałcicielami ziemi”. Prasa bulwarowa nazwała go Moleym.

Ali potrzebowała trzech godzin i pięćdziesięciu funciaków łapówki, aby odnaleźć ostatni adres pobytu Moleya - opustoszały magazyn w Hackney, w jednym z tych podupadłych miejsc Londynu, które trudno znaleźć.

Jechaliśmy między pokrytymi sadzą murami fabryk i sklepami zabitymi deskami. Dotarliśmy na pustkowie, gdzie chłopcy grali w piłkę nożną, strzelając do bramek ułożonych z kurtek. Zauważono nasze przybycie i wieść o nim rozeszła się natychmiast po całej okolicy.

- Może zostanę w samochodzie, dopóki ma jeszcze cztery koła? - zaproponowała Ali.

Przed nami widać mury opuszczonej fabryki, pokryte szczelnie kilku warstwami graffiti. Przy końcu budynku widać rampę i duże okno. Są tam także drzwi pokryte stalową blachą falistą. Otworzyłem je i wszedłem do środka. Przez górne okna w ścianach docierały promienie słońca, zamieniając pajęczyny w srebrne nici.

Podłoga jest pusta poza rozrzuconymi tu i ówdzie kartonami, są tam także wykopane dołki. Wchodząc na piętro, widzę opuszczone pokoje biurowe, odarte panele i zwisające

druty. W jednym z małych pokoi stoi prycza, a na niej leży materac i jakieś ubrania. Na gwoździu wisi para spodni, a obok leżą puszek z żywnością. Pośrodku na skrzyni widzę cynowy talerz i kubek ze znakiem graficznym Batmana.

Potrącam stojącą na podłodze lampę oliwną i chwytam ją, zanim przewróci się i pęknie. Szkło lampy jest jeszcze ciepłe. Musiał słyszeć, jak wchodzę.

Ściany pokoju oblepione są gazetami i starymi plakatami wyborczymi, tworzącymi coś na wzór kolażu - ze zdjęciami Saddama Husajna, Tony'ego Blaira, Jasera Arafata i Davida Beckhama. Prezydent George Bush ma na sobie mundur pustynny i uczestniczy w uroczystości Święta Dziękczynienia.

Na innej stronie gazety jest zdjęcie Arta Carneya i nekrolog. Nie wiedziałem, że Art Carney zmarł. Zapamiętam go na zawsze z filmu *The Honeymooners* z Jackie Gleason. W filmie jest jej sąsiadem. W jednej ze scen wraz z Jackie uczy się gry w golfa i Jackie napomina go: Najpierw musisz przemówić do piłki (oczywiście ma na myśli to, że powinien wziąć zamach do uderzenia). Art natomiast pozdrawia piłkę ręką i woła: Cześć, piłeczko!

Coś się poruszyło i w tym samym momencie pięścią przebiłem rozwieszoną gazetę i chwyciłem za kępę brudnych, potarganych włosów. Kiedy je pociągnąłem, rozległ się dziki kwik i zobaczyłem pod nogami wijącą się ludzką kreaturę.

- Nie zrobiłem tego! To nie ja! - krzyczał Moley, zwinąwszy się w kłębek. - Nie rób mi krzywdy! Nie rób mi krzywdy!

- Nikt ci nie zrobi krzywdy. Jestem policjantem.

- Bezprawnie tu wkroczyłeś. Nie masz żadnego prawa. Nie możesz tak wtargnąć, nie możesz!

- Jesteś dzikim lokatorem, Moley, i nie sądzę, abyś miał prawo tu przebywać - powiedziałem.

Spojrzał na mnie przerażony. Miał włosy poskręcane w zwisające na szyję dredy przypominające szczurze ogony. Był w spodniach worach i w starej polowej kurtce wojskowej z metalowymi guzikami, klamrami i uchwyty, które wyglądały jak linki od spadochronu.

Nakłoniłem go, aby usiadł na skrzyni. Patrzył na mnie podejrzliwie. Powiedziałem mu, że podziwiam jego mieszkalną prowizorkę.

- Podoba mi się twoje miejsce.

- Chroni przed deszczem - odparł bez cienia ironii.

Miał bokobrody, z którymi wyglądał jak borsuk. Bez przerwy drapał się pod pachami i pocierał szyję. Boże, aby tylko nie miał jakiejś choroby skóry.

- Muszę dostać się do kanału ściekowego - oznajmiam.

- Bez zezwolenia nie wolno - mówi.

- Ale możesz mi pokazać, w jaki sposób tam się dostać. Potrząsa głową.

- Nie. Nie. Nie wolno.

- Moley, powiedziałem ci, że jestem oficerem policji. Zapaliłem lampę i postawiłem ją na skrzyni. Na podłodze rozłożyłem mapę, rozprostowując zgniecenia.

- Znasz to miejsce? - zapytałem.

Pokazałem mu Priory Road, lecz patrzył obojętnie.

- To przy rogu placu Abbot - wyjaśniłem. - Szukam tam kanału ściekowego lub studzienki kanalizacyjnej.

Moley drapie się po szyi.

Nagle przyszło mi na myśl, że nie potrafi odczytywać map. Wszelkie punkty odniesienia dla jego kalkulacji znajdują się pod ziemią. Nie jest w stanie nanieść na mapę skrzyżowań ulic lub jakichkolwiek punktów orientacyjnych.

Wyjmuję z kieszeni pomarańczę i kładę na mapę. Pomarańcza toczy się i w końcu staje.

- Możesz mi pokazać.

Moley z uwagą przygląda się ruchowi pomarańczy. Toczy się w tym kierunku, gdzie jest niżej. Tak samo woda. Woda też znajduje drogę do tych miejsc, które są niżej położone.

- Potrzebuję twojej pomocy.

Moley zafascynowany jest zachowaniem się pomarańczy. Daję mu ją, a on chowa owoc do kieszeni.

- Chce więc pan zobaczyć, gdzie mieszka diabeł?

- Tak.

- Tylko pan?

- Tak, tylko ja.

- Jutro.

- Dlaczego nie dzisiaj?

- Muszę zobaczyć, co powie dzisiaj meteorolog Pete, muszę wiedzieć, jaka będzie pogoda.

- Jakże to ma znaczenie dla wody w kanałach ściekowych? Moley zaświstał, chcąc pokazać, jak szybko pędzi woda w kanałach.

- Nie chciałby pan tam być podczas ulewy. To tak jakby sam Bóg otworzył śluzy - powiedział.

- Dlaczego tak bardzo interesują cię ścieki kanalizacyjne? - pyta Joe. Prosi, abym usiadł, to niemal automatyczny gest zawodowy psychologa w gabinecie.

Jest poniedziałek rano, siedzimy w jego prywatnym gabinecie tuż obok Harley Street. Jest to dom w stylu z okresu panowania Jerzego V, ma czarne pionowe rynny i białe parapety okienne. Na drzwiach wisi tabliczka, bardzo oryginalna, po nazwisku bowiem są jeszcze inicjały. Jest tam także rysunek uśmiechniętej buzi, mający dodać otuchy zaleźnionym pacjentom.

- To tylko teoria. Okup miał unosić się na wodzie.

- Nic więcej na ten temat nie wiesz?

- Ray Murphy pracował w kanałach. Zniknął, nie wiem, gdzie jest.

Lewa ręka Joego drży na jego kolanie. Na stole leży otwarty podręcznik pt. „Odzyskiwanie pamięci”.

- Jak się sprawuje twoja noga?

- Jest coraz silniejsza.

Przypuszczam, że chciał zapytać o działanie morfiny, lecz zmienił zdanie. Przez kilka sekund panuje w gabinecie gęsta atmosfera. Joe wstaje, nieco się chwiejąc, ma trudności z utrzymaniem równowagi. Po chwili zaczyna wolno, z wielkim rozmysłem spacerować, zmagając się z każdym krokiem. Od czasu do czasu przechyla się na prawą stronę i musi się prostować. Zauważyłem, że znajdujące się w jego gabinecie rzeczy są w pewnym nieładzie - w szafkach, na półkach książki i teczki są poustawiane krzywo. Widocznie z coraz większym trudem przychodzi mu utrzymać porządek.

- Pamiętasz Jessicę Lynch? - zapytał.

- Żołnierz armii Stanów Zjednoczonych, wzięta do niewoli w Iraku.

- Kiedy ją uwolniono, mówiła, że nic nie pamięta od momentu, kiedy wpadła w iracką zasadzkę do chwili odzyskania przytomności w irackim szpitalu. Wiele miesięcy po tym wypadku, mimo że została przesłuchana przez służby amerykańskie i poddana badaniom psychiatrycznym, nadal nic nie pamiętała z tego okresu. Lekarze nazwali ten przypadek chwilowej utraty pamięci memory tracę. Różni się on od wszelkich symptomów amnezji. Amnezja oznacza, że twoja pamięć funkcjonuje nadal, lecz skutek traumatycznego wstrząsu, jaki przeżyłeś, nagle coś zapominasz. W przypadku

Jessiki mózg nie pozwolił jej zachować pewnych wspomnień. To swego rodzaju lunatyzm.

- Chcesz więc powiedzieć, że mogę nigdy już nie pamiętać wszystkich szczegółów dotyczących tego wydarzenia?

- Nigdy możesz sobie ich nie przypomnieć.

Chciał, aby ta prawda dotarła wreszcie do mojej świadomości, ja natomiast usilnie wzbraniałem się przed jej przyjęciem. Nie chciałem jej żadną miarą zaakceptować. Postanowiłem, że zrobię wszystko, aby sobie przypomnieć, co się wydarzyło.

- Czy kiedykolwiek wcześniej brałeś udział w przekazywaniu okupu? - zapytał.

- Przed blisko piętnastu laty pomagałem w operacji ujęcia szantażysty, który groził zatruciem pokarmu dla dzieci.

- Jaki masz plan teraz?

- Są dwa rodzaje operacji przekazywania okupu - długofalowa i szybkie działanie. Plan długofalowy pociąga za sobą konieczność sformułowania całego zestawu bardzo skomplikowanych instrukcji. Przekazujący okup musi pokonywać kolejne przeszkody, musi przechodzić od punktu A do B, a potem C, co bardzo osłabia możliwości działania policji.

- Jaka jest alternatywa?

- No cóż, zaczyna się podobnie, kieruje się dostawcą okupu, który wędruje od jednej budki telefonicznej do drugiej, jeździ różnymi autobusami, zmienia kierunki wędrówki... i wówczas nagle gdzieś po drodze coś się wydarza. Policja atakuje zdecydowanie i szybko, niwecząc cały plan przekazywania okupu.

- Na przykład?

- W latach osiemdziesiątych Michael Sams porwał młodą agentkę biura sprzedaży nieruchomości, Stephanie Slater, i zażądał okupu. Przekazującym okup był szef Stephanie. Akcję przeprowadzono podczas ciemnej, mglistej nocy w południowej części Yorkshire. Sams zostawiał kolejne instrukcje na latarniach, w budkach telefonicznych. Wodził dostawcę okupu za nos, kierując go w stronę wąziutkich uliczek przedmieścia, aż nagle zatrzymał jego samochód za pomocą blokady drogowej. Posłaniec musiał zostawić pieniądze na skraju mostu na drewnianej tacy z przytwierdzonym do niej sznurem. Sams był pod mostem. Pociągnął za sznur i taca spadła, a on w tej mgle odjechał błotnistą ścieżką na motocyklu.

- Umknął?

- Tak, ze stu siedemdziesięcioma pięcioma tysiącami funtów.

W oczach profesora widzę podziw. Docenia ludzką pomysłowość, lecz w tym wypadku w grę wchodził nie tylko spryt porywacza. Michael Sams zamordował bowiem dziewczynę, zanim zażądał okupu za jej uwolnienie.

- Czy wybrałbyś Rachel na osobę przekazującą okup?

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie można oczekiwać od człowieka racjonalnego działania, kiedy chodzi o życie jego dziecka. Porywacze z pewnością musieli jednak postanowić, że okup dostarczy Rachel. Tak bym przynajmniej postąpił, będąc na ich miejscu.

- Okej, co zrobiłbyś jeszcze, gdyby oni rzeczywiście podjęli taką decyzję?

- Przygotowałbym ją do tej roli. Przecwiczyłbym z nią kilka scenariuszy działań, aby była gotowa do swej roli.

- W jaki sposób? - pyta Joe, wskazując na puste krzesło. - Wyobraź sobie, że na tym krześle siedzi teraz Rachel. W jaki sposób byś ją do tej roli przygotował?

Patrzę na krzesło i próbuję wyobrazić sobie, że jest to krzesło w mojej kuchni i że siedzi na nim Rachel. W umywalce są trzy kubki po kawie. Być może, w kuchni jest również Aleksei. To przecież jego diamenty.

Oczami duszy widzę Rachel w czarnych dżinsach i szarym pulowerze. Do tej pory nie przyglądałem się jej uważnie, widziałem ją jak przez mgłę. Z powodu udręki, jaką przeżywała po zaginięciu dziecka, wyraz jej twarzy nie zawsze był dla mnie czytelny. Jest jednak kobietą atrakcyjną, lecz raczej typem mola książkowego i osobą pogrążoną w smutku. Rozumiem, dlaczego Aleksei Ignął do niej.

Rachel siedzi na krześle, a na kolanach trzyma skórzaną torebkę. Na podłodze w kuchni leży pełno skrawków plastiku i pokruszonej pianki.

- Proszę pamiętać, to nie jest sprawa załatwiona, to dopiero rokowania w sprawie warunków przekazania okupu - mówię.

Przytakuje głową. Mówię dalej:

- Porywacze chcą, aby pani ślepo wykonywała ich polecenia. Nie możemy jednak pozwolić, aby dyktowali nam warunki uwolnienia Mickey. Musi pani otrzymać zapewnienie, że córka żyje, domagać się od nich absolutnego dowodu. Musi pani powiedzieć, że chce rozmawiać z Mickey.

- Będą podkreślać, że mamy włosy Mickey i jej bikini.

- A pani im odpowie, że to żaden dowód, że chce pani mieć stuprocentową pewność.

- A jeżeli zażądadają, abym po prostu w jakimś miejscu zostawiła okup? - zapytała Rachel.

- Proszę tego nie robić. Proszę domagać się bezpośredniej wymiany - Mickey za diamenty.

- A jeżeli się nie zgodzą?

- To wymiana nie dojdzie do skutku. Słyszę w jej głosie bezradność i bezsilność.

- A jeżeli nie przyprowadzą Mickey? Jeżeli najpierw zażądadają diamentów?

- Powie pani „nie”.

- Zabijają.

- Nie! Będą chcieli panią zmiękczyć. Będą mówić, że Mickey przebywa w odosobnieniu lub że doskwiera jej głód albo też, że trzymają ją w zamkniętym pomieszczeniu, gdzie zaczyna brakować powietrza lub wody. Będą mówić różne rzeczy, będą się nad panią znęcać, będą chcieli panią nastraszyć...

- Jeżeli jednak... - Jej głos załamuje się. -.. Jeżeli jednak zrobią jej krzywdę?

Wyraźnie widzę, jak dociera do niej straszna myśl.

- Zabijają ją, prawda? Nigdy jej nie wypuszczą, ponieważ mogłaby ich zidentyfikować...

Ujmuję jej rękę i proszę, aby spojrzała na mnie.

- Stop! Proszę wziąć się w garść. W tej chwili Mickey to dla porywaczy cenny skarb.

- A co się stanie, gdy odmówię przyjęcia ich warunków?

- Musimy być twardzi, ponieważ to my chcemy dyktować warunki uwolnienia Mickey, a pani musi być do tego przygotowana.

Stanąłem za nią.

- - Przećwiczmy to, co ma pani im powiedzieć. i Wyciągam telefon komórkowy i telefonuję. Leżący obok niej telefon dzwoni. Daję jej znak.

Nerwowym ruchem podnosi słuchawkę.

- Halo?

- WYRZUĆ TEN CHOLERNY KABEL!

Patrzy na mnie z przerażeniem i jękając się, mówi:

- Co masz na myśli?

- NATYCHMIAST, SUKO! WYRZUĆ TEN CHOLERNY KABEL! ALBO ZABIJĘ MICKEY.

- Nie mam... nie mam żadnego kabla.

- NIE KŁAM. WYRZUĆ GO PRZEZ OKNO!

- Nie.

- KONIEC Z TWOJĄ MICKEY, ONA JUŻ NIE ŻYJE. MIAŁAŚ SZANSE.

- Wszystko zrobię, co każesz. Wszystko. Proszę. Już robię...: Rachel drży. Biorę od niej telefon i wyłączam go.

- On przecież nie wiedział, że pani ma kabel, blefował. Pani powinna dać mu do zrozumienia, że wie o blefie.

Skinęła głową i boleśnie westchnęła.

Powtarzamy tę scenę raz jeszcze. Mówię jej, aby była uprzejma, a zarazem stanowcza, pewna siebie, lecz nie konfrontacyjna.

- Proszę nie zgadzać się z warunkami złożenia okupu, lecz nie grozić im. Grać na zwłokę. Proszę powiedzieć, że jest pani przerażona, że nigdy nie spotkała się pani z czymś takim, że jest pani zdenerwowana. Oni zechcą zapanować nad pani poczynaniami. Niech więc pani pozwoli im mniemać, że jest bardzo podatna na presje i groźby.

Przez następne dwie godziny robiliśmy to samo - omawialiśmy różnego rodzaju scenariusze zachowań. Tak naprawdę to niewiele miałem nowych pomysłów.

- Jakie teraz zamierza pani zadać porywaczom pytanie?

- Czy będę mogła zobaczyć Mickey?

- Kiedy zamierza pani przekazać okup?

- Kiedy zobaczę Mickey.

- Właśnie tak - powiedziałem, dodając jej otuchy. - Proszę im powiedzieć, że dostaną okup wtedy, kiedy będzie pani trzymała córkę za rękę.

Patrzyłem jej w oczy, mając nadzieję, że dostrzegę w nich takie samo zdecydowanie jak podczas pierwszej konferencji prasowej tuż po zaginięciu Mickey, kiedy Rachel siłą woli powstrzymywała się od łez i nie dawała po sobie poznać, że jest załamana. Potem ten sam wyraz zdecydowania zobaczyłem na jej twarzy, gdy po ogłoszeniu wyroku odczytywała na stopniach schodów przed gmachem sądu oświadczenie dla prasy.

Przypomniałem jej, że taka sytuacja już się nie powtórzy. Siedziała nieporuszona. Palcami skubała jednak nerwowo klamerkę torebki.

Nagły dzwonek telefonu w gabinecie Joego sprawił, że ze świata wymagowanych dialogów i spekulacji powróciłem do rzeczywistości. Joe pochyła się nad biurkiem i podaje mi słuchawkę. Patrzy na mnie z wyrazem oczekiwania, jego lewa ręka drży jak strażacka sikawka.

- Pan zapewne coś pamięta - mówi głos w słuchawce. Czuję skurcz żołądka.

- Nie bardzo - odpowiadam.

Ramię Joego przestaje się trząść, jest zaskoczony, ma wyraźnie ożywione oczy. Wydają się mówić, że życie jest jedną wielką tajemnicą, stale zmieniającą się układanką. Większość ludzi bez przerwy coś kombinuje. Joe także ma stałą gonitwę myśli.

Ali wieczorem wyłączyła telefon. W końcu jednak dzwoni do mnie.

- Gdzie jesteś? - pytam.

- Pracowałam. Teraz jadę do domu.

Po dwudziestu minutach przychodzi, jest wyraźnie zmieniona.

Niektórzy mówią, że można poznać, kiedy kobiety uprawiają seks. Dla mnie te sprawy zawsze jednak owiane były mgłą tajemnicy.

Ali ma coś dla mnie. Centralny komputer policji potwierdził, że przed czterema laty, podczas odbywania kary, Gerry Brandt siedział w jednej celi z Tonym Murphym. Dwa miesiące przed zniknięciem Mickey został warunkowo wypuszczony na wolność.

- Czyżby to kolejny zbieg okoliczności? - zapytała Ali. - Tony Murphy został zwolniony warunkowo sześć miesięcy przed porwaniem dziewczynki, w samą porę, aby wziąć udział w tej przestępczej akcji.

- Jak się miewa Dave, twój Nowy Chłopak? Uśmiechając się dyskretnie, mówi:

- To taki bardzo szczęśliwy króliczek.

Mimo zmęczenia odczytuje mi swoje notatki. Gerry Brandt znikł z pola widzenia w tym samym miesiącu, kiedy zagięła Mickey. Od tego momentu nie ma śladu jego zeznań podatkowych, dokumentów dotyczących ubezpieczenia społecznego, mandatów drogowych, ostrzeżeń policyjnych bądź upomnień w sprawie zwrotu książek... Pojawił się znowu przed trzema miesiącami, kiedy ubiegał się o zasiłek z pomocy społecznej.

- Proszę mi więc powiedzieć, moja bystra wywiadowczy - nio, czy Brandt ma teraz jakieś stałe miejsce zamieszkania?

- Ma - mówi Ali, podnosząc rękę. W palcach trzyma zwiniętą kartkę papieru. - Adres w południowej części Londynu.

Dzielnica Bermondsey to obszar zbombardowany podczas drugiej wojny światowej przez samoloty Luftwaffe, a w latach siedemdziesiątych oszpecony przez architektów, którzy postawili tutaj ponure bloki mieszkalne w stylu architektury stalinowskiej oraz betonowe budynki siedzib komunalnych władz lokalnych. Tutejsza zabudowa przypomina zęby wypełnione plombami.

Zatrzymujemy się przy białym placu zasypanym liśćmi. Widzę budynek, w oknach są firanki, rośnie bluszcz, jest też balkon ze zdobnymi kratami, a stromy dach wykonano z płytki łupkowej czarnej jak tablica szkolna.

Patrzę na zegarek. Właśnie minęła siódma rano.

- Księżniczko, wstań i obdarz nas promiennym uśmiechem - mówię.

Pukamy. Dziewczyna w wieku około dziewiętnastu lat, ze zmierzwionymi włosami, wygląda przez uchylone drzwi. Ma na sobie bluzę do rugby i bawełniane figi. Na biodrze widzę tatuaż.

Patrzy na policyjną odznakę Ali i otwiera drzwi z łańcucha. Idziemy za nią do gościnnego pokoju. Ali karci mnie wzrokiem za pożądlive spojrzenia na kręcącą biodrami

dziewczyne.

W pokoju na podłodze, obejmując się wzajemnie, śpią jeszcze dwie dziewczyny. Na sofie leży osoba, której płci nie możemy rozpoznać. W pokoju unosi się zapach haszyszu i tanich papierosów.

- Ciężka noc? - pytam.

- Nie dla mnie, nie piję alkoholu - odpowiada dziewczyna.

- Szukamy Gerry'ego Brandta.

- Jest na górze.

Dziewczyna siada na krześle, opiera bosc stopy o stół i z kolana zeskrobuje strup.

- Może poszłabyś i powiedziała, że chcemy zamienić z nim parę słów? - rzuca Ali.

Po chwili zastanowienia dziewczyna zdejmuję nogi ze stołu. Wchodzi po schodach z pewnym wysiłkiem. Na ścianach pokoju pełno tanich plakatów, jakie spotyka się w pubach. W rogu ława pod barem. Przez oszklone drzwi kuchni widzę w pojemniku resztki potrawy z curry.

Dziewczyna wraca i mówi, że Larwa za chwilę zejdzie.

Idzie do łazienki, nie zamyka drzwi, siada na klozecie i siusia. Potem myje zęby i patrzy za pośrednictwem lustra. Na górze jest jeszcze jedna toaleta, słyszę, jak woda ścieka do klozetu, po czym dobiega mnie głos otwieranego okna.

Kilka sekund później jakaś postać skacze z piętra i widzę przez okno, jak ląduje w ogródku.

W ułamku sekundy widzę twarz tego człowieka i przerażenie w jego oczach.

Zanim dobiegłem do tylnych drzwi, mężczyzna zdążył przeskoczyć przez płot i pobiec w stronę ścieżki. Był boso, na sobie miał tylko bawełniany podkoszulek i wyblakłe spodnie od dresu.

Przeskoczyłem również przez płot i wylądowałem na bruku. Mężczyzna oddalił się tymczasem o jakieś dziewięćset metrów i biegnie w stronę bramy. Domyślam się, że Ali spróbuje zająć go z przodu i odciąć mu drogę.

Łobuz, nie zwalniając, przeskakuje przez bramę. Ponieważ jest bardzo ślisko, już wiem, że biegnąc za nim, nie zatrzymam się. Z impetem wpadam na bramę. On zaś skręca w lewo, omija kontener na gruz, przeskakuje przez żywopłot, ścina zakręt i wybiega na sąsiednią drogę.

Nawet gdybym miał dwadzieścia lat i dwie zdrowe nogi, nie dogoniłbym go. Jestem coraz bardziej z tyłu, krztuszę się, a przed oczami latają mi czarne płaty.

Przy ulicy ekipa pracowników z British Gas kopie rów. Za rowem widzę kupę

czerwonej gliny. Z łatwością przeskakuję przez rów i biegnę przez jezdnię, nie zwracając uwagi na ruch pojazdów. Zwiodła mnie cicha praca silnika elektrycznego. Biegąc, widzę nagle, jak z parkingu bardzo wolno rozlewa się szeroką strugą mleko. Biegnę coraz szybciej, wpadam na pojazd, ocieram się o lewą stronę błotnika, siła uderzenia rzuca mnie na asfalt.

Upadłem, przeokożółkowałem kilka razy, zderzyłem się z krawężnikiem chodnika, czuję silny ból w udzie. Przez moment zastanawiam się, co stało się z moimi nogami. Wokół mnie gromadzą się ludzie, krzyczą, wymyślają mi!

Gerry jest już przy końcu drogi. Odwraca się w moją stronę, i to go zgubiło. W tym momencie dopada go Ali, uderza ramieniem w żołądek, zatrzymuje go, wykręca mu rękę, powala na ziemię, przygniata plecy kolanem i usiłuje założyć mu kajdanki.

Kiedy sięga po kajdanki, Gerry próbuje się wyrwać i uderza ją w twarz. Ali o mało co nie traci równowagi, lecz nadal go przygniata kolanami.

Wstaję, biegnę w ich stronę. Moja noga jest zdrętwiała, ledwo nią powłóczę. Widzę, jak Gerry usiłuje wstać, już stoi na czworakach. Ali wciąż przyciska go do ziemi, siedzi na nim jak dziecko na tacie, bawiące się w konika. Ramieniem obejmuje jego szyję, naciskając na tchawicę. Gerry przykucnął, usiłuje wstać. Wstał.

Zdaję sobie sprawę z tego, co będzie się teraz działo. Krzyczę do Ali, aby go puściła, lecz ona trzyma kurczowo. Ogródek oddziela od ulicy niski murek ceglany i żywopłot.

Teraz on dobiera się do niej, trzymając za nogi. Odwraca się i patrzy na mnie. Po chwili słyszę, jak wydaje z siebie przerażający zwierzęcy krzyk. Przewraca się do tyłu. Całym ciężarem ciała pada na Ali, która plecami uderza o brzeg murka.

Nie dobiega mnie żaden głos. Wykrzykuję jej imię. Pracownicy gazowni stoją jak sparaliżowani, jakby nagle zamienili się w słupy kamienne. Patrzę na jednego z nich i krzyczę, żeby wezwał karetkę pogotowia.

- Natychmiast ambulans!

Zapomniałem o bólu w nodze. Ali leży pod murem. Nie rusza się. Widzę łzy w jej oczach. Klękam przy niej i w jej pięknych błękitnych oczach widzę odbicie własnej twarzy.

- Nie czuję nóg - szepce.

- Nie ruszaj się. Zaraz będzie pomoc.

- Chyba spartoliłam wszystko.

- To było naprawdę dobre blokowanie, jak w piłce nożnej. Gdzie się nauczyłaś tak blokować przeciwnika?

- Mam przecież czterech braci.

Ciężko oddycha. Bóg jeden wie, co ma złamane. Zrobiłbym wszystko, aby ulżyć jej

cierpieniu.

- Przepraszam bardzo, nigdy bym się nie ośmieliła, ale czy mógłby pan odgarnąć mi włosy z oczu? - zapytała nieśmiało.

Opadające kosmyki odsunąłem za uszy.

- Może jutro wezmę wolny dzień - powiedziała. - Może mogłabym polecieć po zakupy do Paryża?

- Może polecę z tobą.

- Pan nienawidzi zakupów i nie lubi Paryża.

- Owszem, ale czasami dobrze się przewietrzyć.

- A co z Mickey?

- Do tego czasu znajdziemy ją.

Tymczasem nie ma nawet pledu, aby podłożyć jej pod głowę, i ani kropli wody do picia. Już nie płacze. Ma spojrzenie zranionej sarny. Słyszę sygnał karetki pogotowia.

Gerry Brandt zniknął. Pozostały po nim tylko ślady stóp na kwietniku, a w rękę Ali strzępy jego podkoszulka.

Nie cierpię szpitali. Pełno w nich zarazków i różnego rodzaju chorób. Wiem, o czym mówię. Moja pierwsza żona zmarła w jednym z nich. Nowotwór odebrał jej życie. Czasami zastanawiałem się, czy pobyt w szpitalu nie był dla niej gorszy od choroby. Potrzebowała zaledwie dwóch lat, aby umrzeć, lecz dla mnie była to wieczność. Laura świętowała każdy darowany jej dzień, ja jednak inaczej przeżywałem jej chorobę. Kolejne wizyty u lekarzy, przeprowadzane badania, chemioterapia, coraz to nowe lekarstwa budzące nadzieję, potem złe wieści i uśmiech na twarzy, ukrywający okrutną prawdę - to nieprzerwane pasmo tortur.

Moje dzieci, Claire i Michael, miały zaledwie po trzynaście lat, ale znosiły to dzielnie. To ja stchórzyłem. Uciekłem i spędziłem osiemnaście miesięcy w kolumnie samochodów, dostarczając pomoc dla Bośni i Hercegowiny. Powinienem być w domu i opiekować się dziećmi, zamiast przysyłać im pocztówki. Może właśnie tego nigdy mi nie wybaczyły.

Nie wolno mi zobaczyć się z Ali. Lekarze i pielęgniarki mijają mnie w poczekalni, jakbym był plastikowym krzesłem. Pielęgniarka dyżurna, Amanda, to kobieta przy kości, bardzo opanowana. Jednakże kiedy mówi, słowa wypadają jej z ust niczym spadochroniarze z samolotu.

- Musicie państwo poczekać na chirurga - powiedziała, licząc bandażę w pojemniku. - To nie potrwa długo. W automacie są ciepłe kanapki i napoje. Niestety, nie mam drobnych.

- Czekamy już cztery godziny - mówię.

- Zaraz będzie - powtarza pielęgniarka, dalej licząc bandażę.

Rodzina Ali przysłuchuje się rozmowie. Ojciec siedzi z pochyloną głową opartą na rękach. Jest to mężczyzna o łagodnym usposobieniu, budzący szacunek swoim zachowaniem. Wygląda jak trafiony torpedą, tonący statek.

Matka trzyma papierowy kubek z wodą, od czasu do czasu zanurza palec, a następnie pociera nim powieki. W poczekalni są także trzej bracia Ali. Darzą mnie spojrzeniem chłodnym, a zarazem przenikliwym.

Moje ciało i przepocona koszula wydzielają przykry zapach. Przypomina to zapach rozchodzący się w kabinach samolotów pasażerskich, kiedy biznesmeni zdejmują marynarki. Odwracam się od pielęgniarki i wolnym krokiem zmierzam do swego krzesła. Przechodząc obok ojca Ali, zatrzymuję się, chcę, aby podniósł głowę.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało - mówię. Przez grzeczność podaje mi rękę.

- Był pan z nią, komisarzu?

- Tak.

Skinął głową i spojrzał przed siebie.

- Dlaczego kobiety ścigają szubrawców i przestępców? To zadanie dla mężczyzn.

- Pana córka jest znakomitą policjantką. Komplement zbył milczeniem.

- Moja córka w młodości była bardzo wysportowana - powiedział. - Była sprinterką. Kiedyś zapytałem ją, dlaczego tak szybko biega. Odpowiedziała, że chce dopaść przyszłość, aby dowiedzieć się, kim będzie. - Na to wspomnienie uśmiechnął się.

- Powinien pan być z niej dumny - powiedziałem.

Skinął głową, lecz zaraz nią potrząsnął. Omijając go, wszedłem do toalety i obmyłem twarz zimną wodą. Zdjąłem koszulę i umyłem się pod pachami, poczułem wodę spływającą do pasa. Zamknąłem drzwi i usiadłem na sedesie.

Pomyślałem, że popełniłem błąd. Powinienem pójść na górę do Gerry'ego Brandta. Powinienem go dopaść, zanim uciekł przez okno. Nadal mam w oczach wyraz jego twarzy, kiedy trzyma Ali za nogi, a następnie pada do tyłu, obalając ją na mur w ogrodzie. Wiedział, co robi. Muszę go ująć i przyprowadzić tutaj. A jeżeli dopisze mi szczęście i będzie stawiać opór podczas aresztowania, wtedy go załatwię.

Nagle coś mną wstrząsnęło, obudziłem się. Siedząc na sedesie, z głową opartą o ścianę, zapadłem na chwilę w sen. Kiedy usiłowałem wstać, poczułem ból w szyi.

Jaki mamy dzisiaj dzień? Poniedziałek - nie, wtorek rano? Musi być wcześniej, bo jeszcze jest ciemno. Nawet nie spojrzałem na zegarek.

Wracając do poczekalni, odzyskuję trzeźwość spojrzenia. Na czole mam zmierzwiłone włosy, a nos suchy i pokryty strupami.

Lekarz rozmawia z rodziną Ali. Pełen obaw przechodzę przez izbę przyjęć, omijając rzędy plastikowych krzeseł. Mimo ostrego oświetlenia mój nastrój staje się coraz bardziej mroczny.

Waham się przez chwilę, nie chcę się narzucać, lecz pragnienie dowiedzenia się czegoś o stanie zdrowia Ali jest silniejsze. Podchodzę do grupy ludzi, nikt nie zwraca na mnie uwagi. Lekarz nadal coś wyjaśnia.

- Ma uszkodzone i przemieszczone dwa kręgi, które ugniatają rdzeń. Dopóki nie przekonamy się, jak rozległe jest to uszkodzenie, nie można będzie powiedzieć, jaka część kręgosłupa jest sparaliżowana i czy paraliż będzie trwały. Mam pacjenta dżokeja z podobnymi uszkodzeniami kręgosłupa. Spadł z konia i uderzył o barierkę. Jego stan zdrowia poprawia się i myślę, że ten człowiek będzie chodzić.

Oblałem się zimnym potem, a korytarze szpitala rozpełzły się w moich oczach. Wypełnił je mrok.

- Daliśmy jej środki przeciwbólowe, można ją zobaczyć. Proszę jej tylko nie denerwować - mówi lekarz, pocierając dłonią nieogolony policzek.

W tym samym momencie dobiega do moich uszu przenikliwy sygnał jego bipera. Spojrzał przepaszająco na rodziców Ali i stukając chodakami po plastikowej podłodze, oddalił się w głąb korytarza.

Czekałem na swoją kolej, aby zobaczyć się z Ali. Kiedy z jej pokoju wychodzili rodzice, nie mogłem spojrzeć im w oczy. Matka płakała, a twarze braci pełne były żalu i pretensji. Chciałem zapaść się pod ziemię. Kiedy otwierałem drzwi poczekalni, poczułem mdłości, w półmroku popędziłem schodami do pokoju Ali. Leżała na plecach, patrząc w sufit. Szyję i głowę miała opartą na stalowej konstrukcji mającej zapobiec ruchowi.

Nie chciałem podejść blisko ze względu na zapach, jaki wydzielałem, i brud, jaki miałem na sobie. Ale było już za późno. Zobaczyła mnie w lustrze nad swoją głową i powiedziała:

- Dzień dobry.

- Dzień dobry.

Rzuciłem okiem na pokój i usiadłem na krześle. Zastłonę przenikały złote promienie światła padającego na łóżko.

- Jak się czujesz? - zapytałem.

- W tej chwili lecę z Lucy i jej diamentami. Nic nie czuję. - Wzięła głęboki oddech, usłyszałem jęk, uśmiechnęła się. Na jej twarzy zauważyłem zaschnięte ślady łez. - Mówią, że przejdę operację chirurgiczną kręgosłupa. Wydłużą go o kilka centymetrów. Zawsze chciałam

mieć metr osiemdziesiąt wzrostu.

Usiłowała mnie rozweselić, lecz stać mnie było jedynie na nieśmiały uśmiech. Ali zamilkła. Zamknęła oczy. Cicho wstałem, aby odejść, lecz chwyciła mnie za rękę.

- Co powiedział panu lekarz? - zapytała.

- Dopiero za parę dni będą coś wiedzieć. Krztusząc się, zapytała:

- Czy będę chodzić?

- Sadzą, że tak.

Zacisnęła oczy, a łzy popłynęły jej szerokim strumieniem.

- Będiesz zdrowa - powiedziałem tonem jak najbardziej przekonującym. - Wrócisz do pracy o wiele wyższa, będziesz miała metr osiemdziesiąt wzrostu.

Ali chce, abym pozostał. Patrzyłem, jak spała, dopóki nie przepędziła mnie pielęgniarka. Zbliża się południe. W telefonie komórkowym mam sporo nieodebranych rozmów - większość od Campbella Smitha.

Dzwonię do wydziału operacyjnego i usiłuję uzyskać wiadomości na temat ucieczki Gerry'ego Brandta. Nikt jednak nie chce ze mną rozmawiać. W końcu udaje mi się połączyć z wydziałem SIO, kolega odbierający telefon wyraża mi współczucie. Pod deską podłogi w pokoju Gerry'ego znaleziono trzysta tabletek ekstazy, a w toalecie środki dopingowe. To dlatego tak szybko biegł?

Po drugiej po południu dotarłem do komisariatu i minąłem tłum, w którym kierowcy w zakrwawionych koszulach podniesionymi głosami rozprawiali o wypadku drogowym.

Wchodzę do gabinetu Campbella, a on zamyka drzwi. Patrzy na mnie spojrzeniem najważniejszego szefa, ręce założył do tyłu, przyjął jak najsurowszy i karcący wyraz twarzy.

- Jezu Chryste, Ruiz! Dziewczyna ma pęknięte dwa dyski kręgosłupowe, połamane żebra i uszkodzoną śledzionę. Może skończyć na wózku inwalidzkim. Gdzie byłeś? Biegałeś po jezdni zalanej mlekiem...

Nadal słyszę złośliwy chichot dochodzący z holu. Ze względu na stan, w jakim znajduje się Ali, jeszcze powstrzymują się od opowiadania dowcipów na nasz temat.

Campbell otwiera górną szufladę biurka i wyciąga na maszynie napisane pismo.

- Mówiłem, żebyś trzymał się od tej sprawy z daleka. Wręcza mi pismo w sprawie mojej rezygnacji z czynnej służby. Ze względów zdrowotnych mam natychmiast przejść na emeryturę.

- Podpisz to.

- Co robicie, aby ująć Gerry'ego Brandta?

- To nie twoje zmartwienie. Podpisz podanie.

- Chcę ci pomóc w odnalezieniu tego łobuza. Podpiszę, jeżeli pozwolisz mi pomóc w jego ujęciu.

Campbell jest coraz bardziej oburzony, naburmuszył się jak wilk w gwiazdkowym przedstawieniu dla dzieci. Nie widzę jego oczu ukrytych pod krzaczastymi brwiami, które są tak długie, że rozciągają się na całe czoło, dochodząc niemalże do uszu.

Opowiadam mu o wszystkich szczegółach dotyczących listów w sprawie okupu, o rezultatach laboratoryjnej analizy DNA, a także o przypomnianych i odtworzonych okolicznościach przekazania okupu.

- Wiem, że brzmi to nieco przesadnie, ale zbliżam się do rozwiązania zagadki zniknięcia Mickey. Po prostu potrzebuję pomocy, aby kontynuować śledztwo. Sądzę, że Gerry Brandt ma coś wspólnego ze sprawą uprowadzenia dziewczynki.

- Co?

- Jeszcze nie wiem.

W gości niedowierzania Campbell kręci głową.

- Wiesz, że masz obsesję na punkcie tej sprawy.

- Nie słuchasz tego, co mówię. Ktoś uprowadził Mickey. Nie sądzą, aby Howard ją zabił. Ona żyje.

- Nie. Ty posłuchaj. To bzdura, co mówisz. Mickey Carlyle zmarła przed trzema laty. Powiedz mi - jeżeli ktoś ją uprowadził, dlaczego miałby czekać trzy lata z żądaniem okupu? To nie ma sensu, ponieważ nie jest to prawda.

Znowu podsuwa mi pod nos podanie.

- Powinieneś przejść na emeryturę wówczas, kiedy dałem ci szansę. Jesteś rozwiedziony, rzadko widzisz dzieci, żyjesz samotnie. Popatrz tylko na siebie! Chryste, jesteś w rozsypce! Zwykle mówię młodym detektywom, aby wzorowali się na tobie, a teraz przynosisz mi wstyd. Za długo tu jesteś, Vin-cent...

- Nie, nie prosz mnie - powiedziałem.

- Przeżyłeś połowę życia, masz już z górki.

- Z jakiej górki? Nie widziałem żadnej górki.

- Podpisz podanie.

Odwrociłem się, zamknąłem oczy i starałem się uwolnić od poczucia goryczy. Im bardziej jednak o tym wszystkim myślałem, tym bardziej byłem wkurzony, wszystko się we mnie przewracało.

Campbell zabrał z powrotem pióro wieczne i schował je do szuflady.

- Przykro mi, lecz muszę cię poinformować, że nie jesteś już w służbie czynnej

londyńskiej policji. Komisarz stwierdził, że jesteś dla nas kulą u nogi. Nie przekaże ci żadnych dowodów, ponieważ nie jesteś policjantem w służbie czynnej.

- Co masz na myśli, mówiąc, że nie dostarczycie mi żadnych dowodów?

Campbell wyciąga z szuflady kolejne pismo. Tym razem jest to wezwanie do sądu.

- Dzisiaj o godzinie dziesiątej rano adwokaci Howarda Wavella będą domagać się od ciebie przedstawienia jutro w południe wszelkich dowodów dotyczących jego rozprawy apelacyjnej. Wiedzą o żądaniu okupu i analizie DNA. Zamierzają utrzymywać, że jeśli wyższy oficer policji zgodził się na przekazanie okupu za uwolnienie Michaeli Carlyle, jest to dowodem, że ona żyje.

- Jak do tego doszli?

- Ty mi powiedz. Adwokaci Howarda Wavella występują także do sądu z wnioskiem o zwolnienie warunkowe za kaucją. Howard Wavell jutro po południu może opuścić więzienie.

Nagle wszystko zrozumiałem. Wyrzucenie mnie z pracy jest zabiegiem mającym na celu „ograniczenie szkód”, jakich doznać może reputacja zarówno czynników ścigania, jak i wymiaru sprawiedliwości w rezultacie wznowienia procesu. Moje zeznania będą zeznaniami jakiegoś zdziwaczałego eksplora, a nie oficera policji w służbie czynnej.

W gabinecie policyjnego dygnitarza coś powoli obumiera. Campbell nadal peroruje, lecz nie słyszę jego słów. Omijają mnie, docierają zbyt późno lub zbyt wcześnie. Tymczasem gdzieś dzwoni telefon, ale nikt go nie odbiera.

Siedząc na przednim siedzeniu furgonetki, wpatrywałem się przez szybę w zapadający zmrok. Przy tablicy rozdzielczej samochodu dyndała mała laleczka, śmiesznie podskakująca na gumce.

Kierowca furgonetki, meteorolog Pete, ma sumiaste wąsy, a na głowie wełniany kapelusz. Stale rusza szczękami, żując gumę, którą wyjął z za ucha.

W samochodzie za nami mamy czterech towarzyszy podróży, którzy sami siebie nazywają miejskimi eksploratorami. Jest z nami Barry, mieszkaniec londyńskiego East Endu, mówiący gwarą, całkowicie łyśy, z dwoma przednimi zębami. Sprzecza się z Angusem, emerytowanym górnikiem, o to, który ze znanych bokserów wagi ciężkiej na najśłabszą szczękę. Naprzeciwko nich siedzi Phil. Usiłuje wziąć udział w tej sprzeczce, lecz ponieważ się jąka, w żaden sposób nie może wstrześcić się w wartki dialog znawców boksu. Tylko Moley milczy, siedzi na podłodze furgonetki i sprawdza liny oraz lampy.

Mówiąc o naszej wyprawie do podziemi Londynu, Pete zwraca się do mnie:

- To szczyt ludzkich umiejętności technicznych, sześćdziesiąt tysięcy kilometrów kanałów ściekowych i wodnych, niektóre z nich mają ponad sto lat. Jest to dzieło inżynierii

ładowej, które śmiało może rywalizować z budową Kanału Sueskiego, lecz mało kto zastanawia się nad tym cudem techniki. Ludzie po prostu wlewają do zlewów różnego rodzaju nieczystości...

- Ale po co je przeszukiwać, badać?

Patrzy na mnie wyraźnie niezadowolony.

- Hillary'ego pytano, dlaczego wszedł na Mount Everest?

- O tak, pytano.

- Okej. Okej. No cóż, te kanały to jak Mount Everest. Są granicą technicznego geniuszu człowieka. Zobaczycie, to całkowicie nam nieznaną świat. Schodzisz w dół na głębokość dziesięciu metrów i panuje tam taka cisza, że słyszysz, jak oddychają pory twojej skóry. I ta ciemność - zupełnie nienaturalna. To nie jest ciemność znana z powierzchni ziemi. I jeżeli poczekaś, to źrenice twoich oczu rozszerzą się i tam na dole będziesz stwarzał sobie różnego rodzaju kształty i postaci. Tam panuje ciemność większa niż w jakiegokolwiek ciemni.

Siedzący w tylnej części furgonetki Barry mówi:

- To przypomina zagubione miasto. Są tam potoki, przepusty, schrony, piwnice, groty, groby, krypty, katakumby, tajne miejsca, o których według rządu nikt nie powinien wiedzieć. To zupełnie inny świat, składający się z kolejnych warstw, przypominających warstwy osadowe ziemi. Każda upadła cywilizacja - egipska, rzymska, hetycka - pozostawiła po sobie ślady latryn i kanałów ściekowych. Za milion lat archeolodzy będą przekopywać i badać skamieniałości tego miasta, wierzcie mi.

- My zaś znajdujemy tutaj różnego rodzaju rzeczy: biżuterię, sztuczne zęby, okulary, latarki, złote monety, aparaty słuchowe, harmonie, buty...

- Raz widziałem dużą ś-ś-świnie - przerywa Phil. - Największego t-t-t-tuczniaka, jakiego w ogóle w życiu widziałem.

- Zadowolonego jak świnia w gównie? - zarechotał An-gus. Do dyskusji przyłączył się Barry, lecz dopiero meteorolog Pete nadał poważny ton rozmowie.

- Wiecie, co to jest tosher?

- Nie.

- Otóż już w osiemnastym wieku ci ludzie szorowali kanały ściekowe, wypłukiwali błoto i muł, jak płucze się w sitach piasek w poszukiwaniu złota. Wyobrażacie sobie! Byli także fachowcy od czyszczenia i naprawy kanałów ściekowych. Dzisiaj nazywamy ich po prostu pracownikami kanalizacji i wodociągów, kanalarzami. Być może tej nocy spotkamy ich w podziemiu.

- Dlaczego pracują w nocy?

- Mniej nieczystości i odchodów ludzkich płynie wówczas w kanałach.

Żałuję, że zadałem to pytanie. Żona Raya Murphy'ego opowiadała mi o mężu pracującym jako kanalarz. Pete wyjaśnił nam, w jaki sposób zespół sześciu mężczyzn z brygadziwą na czele czyści blokady i śluzy, wynosząc szlam przez studzienkę wjazdową.

- Wiem, że zabrzmiało to niewłaściwie w gronie takich fachowców jak wy, lecz jest przecież dostępny nowoczesny sprzęt do czyszczenia kanałów ściekowych. Są te miniłódzie, poruszające się jak poduszkowce, zaopatrzone w kamery, które robią zdjęcia wewnątrz kanałów, badając wszelkie możliwe uszkodzenia. Musimy na nie uważać. Niedobrze byłoby nadziać się na którąś.

Furgonetka zatrzymała się na żwirze opuszczonego parkingu. Po otwarciu tylnych drzwi Moley wychodzi pierwszy i podaje mi kombinezon oraz sięgające pasa buty gumowe. Potem otrzymuję zaczep i pasy bezpieczeństwa oraz specjalne rękawice. Tymczasem meteorolog Pete otwiera żółtą plastikową walizkę i wysuwa aluminiowy pręt na trójnoży z trzema lotkami na górze.

- To przenośna stacja meteorologiczna. Dzięki niej mogę odczytać szybkość i kierunek wiatru, temperaturę i wilgotność powietrza, ciśnienie barometryczne, promieniowanie słoneczne oraz nadejście opadów atmosferycznych. Wszystkie dane przetwarza komputer. - Otwiera laptop i stuka w klawiaturę. Po chwili mówi: - Według ostatnich danych mamy cztery godziny względnej ciszy.

Moley podaje mi także metalowy hełm i aparat tlenowy. Zanim założy kombinezon, raz jeszcze drapie się pod pachą.

- Macie jakieś skaleczenia, rany? - pyta. - Należy zakleić je higieniczną taśmą wodoszczelną - mówi Barry, rzucając mi pojemnik. - To przeciwko chorobie Weila, którą można się zarazić z moczu szczurzego. Zarazki przedostają się do rany i wędrują do mózgu.

Raz jeszcze sprawdza moje pasy bezpieczeństwa.

- Pozwólcie, że powiem, co może nam grozić na dole: pożar, wybuch metanu, uduszenie się, zatrucie, zakażenie i atak głodnych szczurów, które potrafią ogryźć ciało do kości. Ponieważ nikt nie wie, że tam schodzimy, nie ma pewności, że czynne są wentylatory. Możemy natknąć się na ogniska metanu, amoniaku, wodoru, siarki, benzenu, dwutlenku węgla i innych gazów. Rękawicami nie dotykajcie ust ani oczu. Trzymajcie się blisko Moleya. Nikt tak dobrze jak on nie zna tych podziemnych zakamarków.

Przyczepił do mego kombinezonu czujnik gazu.

Meteorolog Pete daje znak i Moley podnosi hakiem pokrywę studzienki. Potem do okrągłego szybu opuszcza na sznurze lampę. Najpierw po żelaznych pierścieniowych

schodach do szybu schodzą Angus i Phil. Ja schodzę wciśnięty między Barry'ego i Moleya.

Idąc, muszę się pochylić, kanał ściekowy ma bowiem półtora metra wysokości. Cuchnie kałem oraz gnijącą wilgocią. Kamienne murki po obu stronach zaginają się, schodzą w dół i giną w płytkiej wodzie. W świetle lampy pokryte wilgocią mury zniekształcają nasze cienie.

Angus, siusiając na ceglana ścianę, przypomina nam, abyśmy nie zapomnieli zamknąć wejścia do włazu.

Moley patrzy na mnie. W świetle lampy widzę jego błyszczące oczy. Nic nie mówi, lecz wiem, że czeka na mój znak, że daje mi ostatnią szansę na wycofanie się z tej niebezpiecznej wyprawy.

Meteorolog Pete pozostaje na górze i zamyka wąż do studzienki. Jesteśmy teraz odcięci od świata.

Nagle puszczają mi nerwy.

- Jeżeli będzie ulewa, grożąca nam w kanale, w jaki sposób Pete skontaktuje się z nami?

- W sposób tradycyjny - odpowiada Barry. - Zrzuci do kanału wąż do studzienki. Usłyszymy huk z odległości wielu kilometrów.

Angus klepie mnie po plecach i pyta:

- Jak się czujesz?

- Niezbyt tu śmierdzi, można wytrzymać - odpowiadam. Śmieje się.

- Przyjdź tutaj w sobotę rano. W piątek wieczorem, gdy zaczyna się weekend, ludzie tradycyjnie jedzą curry.

Moley oddalił się wzdłuż strumienia wody. Barry coraz bardziej pozostaje za mną, kuca raczej, niż idzie, pasy bezpieczeństwa krępują i uwierają jego ogromne ciało z każdej niemal strony. Moje kolana oblewa silny strumień wody, a pokryte wilgocią cegły ścian nabierają w świetle srebrnego połysku.

- Nazywamy je śpikami - mówi Barry, wskazując ręką na końcówki stalaktytów ocierających się o nasze hełmy ochronne.

Pocę się w tym wilgotnym zimnie. Po przejściu kilkuset metrów mam dreszcze. Każdy odgłos brzmi w kanale jak echo dzwonu, zaczynam się denerwować. Wielokrotnie wyobrażałem sobie Mickey w różnych tragicznych sytuacjach, lecz teraz przychodzi mi to z coraz większą trudnością.

Myślę o Ali w szpitalu, potłuczonej, obolałej, obandażowanej, wpatrującej się w lustro i zastanawiającej się, czy jeszcze kiedykolwiek będzie chodzić. To wszystko moja wina.

Pozwoliłem jej uczestniczyć w tym śledztwie, mimo że miała do stracenia więcej niż ja. Co innego ja. Nurzam się teraz w odchodach kanału ściekowego i nie widzę w tym nic nadzwyczajnego. Kiedy zastanawiam się nad swoim życiem od samego początku, nad karierą zawodową oraz związkami, jakie mnie łączyły i łączą z ludźmi, to czasami wydaje mi się, że to wszystko było równie odpychające jak wnętrze kanałów.

- Nad nami jest właśnie to miejsce, które pokazał nam pan na mapie - mówi Barry, oślepiając mnie lampą umocowaną na hełmie.

Zadzieram głowę i patrzę na duży otwór i przylegający do niego boczny kanał.

Z głównej rury wodociągowej, pękniętej owej nocy, kiedy podrzucono okup, wydobywało się na powierzchnię tysiące litrów wody na minutę, zalewając ulice i studzienki. Tak potężna fala mogła nie tylko unieść paczki z okupem, lecz być może nawet mnie by wyniosła na powierzchnię.

Gdyby cokolwiek było wówczas na dole, gdzie zaniósłby to ten potężny strumień wody?

- To system opadowy grawitacyjny, działa tam siła ziemskiego przyciągania - mówi Angus.

Moley potwierdza skinieniem głowy.

- Woda s-s-stacza się kanałami i w końcu wypływa - wyjąkał Phil.

Barry usiłuje wyjaśnić skomplikowany system działania sieci kanalizacyjnej.

- Te małe kanały wpadają do głównego ścieku, a nieczystości odprowadzane są do jednego z pięciu kolektorów kanalizacyjnych, które prowadzą z zachodu na wschód - przyciąganie ziemskie powoduje, że woda stale spływa. Wyższy kanał ściekowy ma swój początek w Hampstead Hill, przecina Highgate Road w pobliżu Kentish Town. Dalej na południe są już tylko na półpoziomach dwa kanały ściekowe.

Jeden zaczyna się blisko Kilburn i biegnie pod Edgware Road do Euston Road, mijając King Cross. Drugi biegnie od Kentish Town pod Bayswater i dalej wzdłuż Oxford Street. Potem mamy dwa kanały ściekowe na niskim poziomie: jeden biegnący pod Kensington, Piccadilly i City, drugi tuż pod bulwarami Tamizy i dalej do północnej skarpy rzeki.

- Dokąd te wszystkie kanały prowadzą?

- Do zakładu oczyszczania ścieków w Beckton.

- I ten system wytrzymuje próbę każdej ulewy i fali powodziowej?

Barry potrząsa głową.

- Główne magistrale wodne budowane są wzdłuż starych rzek, aby można było

korzystać z ujść wodnych.

Jedyna rzeka, o której wiem, że z północy wpływa do ujścia Tamizy, to rzeka Lea, która płynie daleko stąd, na wschodzie kraju.

- Jest mnóstwo rzek i rzeczek - obrusza się Angus. - Nie znikną na twoje życzenie. Możesz je natomiast zakryć, skierować ich wody do rur wodociągowych, a one nadal będą płynąć.

- A więc gdzie one są?

- To takie niewielkie rzeki, jak na przykład: Westbourne, Walbrook Tyburn, Stamford Brook, potok Counter, Fleet...

Nazwy tych rzek są mi znane, jest bowiem mnóstwo ulic, parków, posiadłości ziemskich noszących te nazwy. Nigdy jednak nie utożsamiałem ich z nazwami rzek. Często słyszy się historie o podziemnych miastach, znajdujących się pod zwykłymi miastami, o tunelach, które prowadziły kiedyś do pomieszczeń Gabinetu Wojennego Churchilla, o podziemnych przejściach dla kochanek królów i dla uczestników intymnych spotkań w pałacach, lecz trudno było mi wyobrazić sobie świat podziemnych kanałów, wody niewidocznych rzek płynących pod ulicami i domami. Gdyby mury tych kanałów mogły mówić...

Moley chce, abyśmy poszli dalej. Tunel biegnie prosto, nieco opada, znajdujące się po drodze szyby tworzą miniwodospady. Idziemy środkiem kanału w głównym nurcie wody, brodzimy w nieczystościach i szarej mazi. Powoli kanał jest coraz szerszy i wyższy, nie musimy się już pochylać i nie widzimy już naszych cieni na ścianach.

Ściśnięci w gromadce schodzimy do studzienki i w ciszy brniemy do większego ścieku. Od czasu do czasu zjeżdżamy w dół po cementowych pochyłościach i wpadamy do płytkiej wody o odrażającej woni. Innym zaś razem zbliżamy się do wyjścia i spostrzegamy promienie słońca przenikające przez metalowe kraty wjazdu.

Próbowałem wyobrazić sobie okup, podzielony na paczki oklejone plastikowymi taśmami, wędrujący tymi tunelami, spadający na uskokach tunelu i płynący dalej wśród tych grot.

W ciągu następnej godziny, idąc dalej, pokonywaliśmy różnego rodzaju przeszkody. Czasami szliśmy w żółtym tempie, ślizgając się i brodząc po pachy w wodzie. W końcu dotarliśmy do przepastnej i nieprzeniknionej, zbudowanej z cegły wiktoriańskiej komnaty, wspartej na palach i łukach. Musiała mieć około dziewięciu metrów wysokości, aczkolwiek trudno to było ustalić, panowały bowiem ciemności. Wydawało mi się, iż pod nogami bulgocze woda i opada naokoło.

Znajdowały się tu żelazne, zardzewiałe paleniska i łańcuchy zwisające z sufitu. Cementowe jazy tworzyły dwa duże przelewy spływowe, dzielące komnatę. Wielki spust, który zatrzymywał wodę nad przelewem, rozgarniał nieczystości.

Poniżej zaś, tam gdzie zbudowano betonowy jaz, znajdował się także pusty basen z wielkimi opuszczonymi bramami stalowymi, z przeciwwagą na samej górze, która spełniała funkcję dźwigni i zamykała bramy.

Angus, siedząc na skraju przelewu spływowego, wyjmując z kieszeni kanapkę i zdejmując z niej plastikowe opakowanie. Trzymając kanapkę w ręce, mówi:

- Tam jest niższy kolektor kanalizacyjny, bardzo długi. Bierze początek w Chiswick, biegnie w kierunku wschodnim pod nabrzeżem Tamizy do stacji pomp w Abbey Mills we wschodniej części Londynu. Z miejsca, gdzie teraz jesteśmy, wszystkie nieczystości spływają do oczyszczalni ścieków.

- Do czego służy przelew przepływowy?

- Budowany jest po to, aby odprowadzał wodę burzową. W Londynie mamy często silne opady deszczu. Woda nie znajduje innego ujścia niż system kanalizacyjny. Tysiące kilometrów lokalnych ścieków wpada do głównej magistrali ściekowej. Najpierw jest ulewa, potem wichura, w końcu pojawia się potężna fala wody!

- Potężna fala wody - powtarza jak echo Moley. Angus zgarnia coś z półeczki.

- Istniejący system kanalizacyjny zdoła wchłonąć tylko określoną ilość wody. Gdyby się zapchał, politycy w Westminsterze mieliby poważne kłopoty. Dosłownie. Jeżeli poziom wody jest zbyt wysoki, przelewa się ona przez jazy, a następnie przepływa przez bramy. - Wskazuje na wielkie żelazne wrota, ważące około trzech ton. - Kiedy woda przelewa się przez jazy, wrota niczym potężny zawór otwierają się.

- Dokąd spływa woda?

- Do Tamizy, z szybkością około dziesięciu węzłów na godzinę.

Nagle przyszedł mi na myśl inny scenariusz wydarzeń. Brygadzysta z miejskiego zarządu wodociągów i kanalizacji powiedział, że rura głównego kanału ściekowego została rozerwana, powodując powódź. Nagły wylew olbrzymiej ilości wody zniechęciłby każdego do śledzenia okupu, ale mógł służyć także innemu celowi - umożliwić przepłynięcie paczkom z diamentami przez jaz.

- Muszę przedostać się przez bramy w kanałach ściekowych.

- Nie może pan - powiedział Moley. - Otwierane są tylko podczas powodzi.

- Ale może mnie pan przeprowadzić - odparłem. - Wie pan przecież, gdzie kanałami płynie woda.

Moley drapie się pod pachą i kręci głową. Nagle poczułem świąd na całym ciele.

Meteorolog Pete wieszka wysoko na haku wąż do polewania wodą. Czyścimy kombinezony i obmywamy buty. Obracam się, polewany silnym strumieniem wody.

Furgonetka została zaparkowana bezpośrednio nad otwartą studzienką włączową w ogrodach Ranelagh na terenie Royal Hospital Chelsea. Przez gałęzie drzew widać oświetlone promieniami słońca potężne mury budynków szpitalnych. Obok, z koszar dobiegają odgłosy próby orkiestry wojskowej.

Zazwyczaj ogrody zamknięte są do dziesiątej rano. Nie wiem, w jaki sposób udało się meteorologowi Pete'owi przedostać przez bramy. Nagle zauważam na furgonetce magiczny napis „City of Westminster”.

- Mam ich sporo - mówi Pete z wyraźnym zakłopotaniem. - Chodźmy, pokażę panu to, co chciał pan zobaczyć.

Zdejmujemy kombinezony i gumowe buty, pakujemy je do plastikowych worków i zanosimy do furgonetki. Moley wkłada na siebie wojskowy mundur polowy i spogląda na słońce, jakby bał się porażenia. Pozostali piją herbatę i dzielą się wrażeniami z odbytej niedawno podziemnej podróży w mrok.

Wszedłem do furgonetki, usiadłem, a meteorolog Pete ruszył wąską ścieżką asfaltową. Jadąc, pomachał przyjaźnie ręką trzem pacjentom na porannym spacerze. Minęliśmy bramę i zanim dotarliśmy do Tamizy, okrążyliśmy zewnętrzne mury ogrodów.

Z miejsca, gdzie zaparkowałem, z bulwaru nad Tamizą poszedłem drogą do Riverside Walk. Po naszych doświadczeniach węchowych w kanałach woda Tamizy pachniała drogimi perfumami.

Przyłącza się do mnie Pete i patrzy na wodę. Wchodzi na wał, obejmuje ręką filar lampy i przechyla się w stronę zamulonej ściany wału.

- To tutaj - mówi.

Kieruję wzrok w jego stronę i zauważam nieckę w kamiennej obudowie wału. Okrągły metalowy wąż prowadzi do rury, która znika pod ziemią. Na skraju wjazdu woda wycieka, tworząc bajoro.

- To jest Ranelagh, pomocniczy kanał ściekowy dla nadmiaru wody gromadzącej się podczas gwałtownych deszczy. Kiedy fala wodna jest bardzo wysoka, wrota się otwierają, umożliwiając przepływ wody, i zamykają, aby uniemożliwić jej powrót do kanału ściekowego podczas przyływu morza.

Odwraca się i ręką wskazuje na szpital.

- Był pan podczas tej strzelaniny dokładnie na północ od tego miejsca. Płynął pan

niesiony prądem Westbourne River.

- Skąd ona wypływa?

- Ma źródło w West Hampstead, a po drodze zasilana jest pięcioma strumieniami, które wpadają do niej w okolicy Kil-burn. Płynąc dalej, przecina dolinę Maida Vale i Paddington i zanim wpłynie do Hyde Parku, zasila swymi wodami rejon wzniesień i pagórków. Potem znowu znika pod ziemią i przepływa pod ulicami William Street, Cadogan Lane i King Road, mija Sloane Square i w końcu wypływa przy koszarach Chelsea.

- Nie widzę żadnej płynącej wody - mówię.

- Większą jej część pochłaniają kanały. Nie otworzy się ta brama, dopóki w całym systemie kanalizacyjnym nie zgromadzi się nadmiar wody.

Nie słyszę dalszych wyjaśnień. Przyszła mi bowiem na myśl smutna i poruszająca historia, którą opowiadał ojczym. Była to opowieść o starym, ślepym koniu, który wpadł w głęboką rozpadlinę. Farmer uznał, że nie warto zwierzęcia ratować, wyciągając go z dołu. Zaczął więc zasypywać żywego konia ziemią, lecz zwierzę strząsało ziemię z grzbietu i udeptywało ją kopytami. Farmer chciał za jednym zamachem zasypać rozpadlinę i pogrzebać konia. Nie przestawał więc sypać ziemi, a koń z uporem ją deptał, aż wy dostał się z zapadliska, wbrew intencjom farmera.

Także mnie chcą dzisiaj pogrzebać żywcem, lecz nie daję się. Z tej niezwykle zawikłanej sytuacji, w jakiej się znalazłem, powoli wychodzę na prostą. A tym wszystkim, którzy chcą mnie pogrzebać, dołożę tak, że się nie pozbierają.

Wydaje mi się, że już wiem, co stało się owej tragicznej nocy, kiedy zostałem postrzelony. Zbudowaliśmy bardzo kosztowną łódkę, zabezpieczoną plastikową pokrywą i pianką, aby mogła unosić się na wodzie. Lecz wymknęła się nam. Paczki z diamentami przepłynęły przez kanał ściekowy Ranelagh. Po eksplozji głównej rury pod wpływem olbrzymiego strumienia wody popłynęły dalej. Ktoś taki jak Ray Murphy, kto wiedział o okupie, czekał w odpowiednim miejscu na łup.

Dopiero teraz zaczynam zdawać sobie w pełni sprawę z ogarniającego mnie uczucia bezsilnej złości, kiedy obudziłem się w szpitalu z raną postrzałową, myśląc o Mickey Carlyle. Moja gorycz i złość to coś więcej niż suma przeżytych doświadczeń i doznanych przykrości. Teraz już wiem, że sprytni, pełni ambicji, lecz całkowicie pozbawieni skrupułów ludzie manipulowali emocjami zdesperowanej matki oraz wykorzystali moją naiwność. Gdzie przez cały ten czas była Mickey? Wiem, że żyje. Nie wiem, skąd ta pewność, mam tylko przecucie, nieoparte żadnymi dowodami; wiem po prostu, że tak jak inni ludzie, Mickey tego poranka jest wśród żywych.

Meteorolog Pete pakuje sprzęt na furgonetkę, podczas gdy Moley wyłącza akumulator z urządzeniem do pomiaru stężenia gazów. Nie ma już Angusa i Barry'ego; poszli do stacji kolejki podziemnej. Jest prawie ósma rano.

- Czy mogę gdzieś pana podwieźć?

Zastanawiam się przez chwilę. W południe mam być w gmachu sądu. Chciałbym także odwiedzić Ali w szpitalu. Jednocześnie skoro o sprawie zaginięcia Mickey wiem już tak wiele, nie chcę zaprzestać dalszych poszukiwań. Pozostaję wierny zasadzie, że nie dobra pamięć, nie przypomnienia, lecz fakty pomagają rozwiązywać nawet najbardziej zagmatwane sprawy. Dlatego muszę kontynuować śledztwo.

- Możecie mnie wysadzić w Maida Vale - mówię.

- Oczywiście, proszę do wozu.

Ruch kołowy malał, w miarę jak zbliżaliśmy się do Dol-phin. Bolały mnie ramiona po wędrówkach w kanałach i wciąż czułem zapach ścieków.

Meteorolog dowiózł mnie do rogu naprzeciwko delikatesów, pozostałe siedemdziesiąt metrów przeszedłem pieszo. W kieszeni spodni miałem dwie ostatnie kapsułki morfiny. Bardzo często ich dotykałem; sprawiało mi to przyjemność.

Ostre promienie słońca padały na fasadę kamienicy Dol-phin. Zatrzymując się od czasu do czasu, przyglądałem się studzienkom ściekowym, szukałem wejść i metalowych krat. Zauważyłem wyrzucenia jezdni w miejscach, gdzie wpuszczone zostały do ziemi rury kanalizacyjne.

Niektóre bloki osiedla miały piwnice poniżej poziomu ulicy. Miały też studzienki do odprowadzania wody deszczowej.

Nacisnąłem przycisk i drzwi otworzyły się automatycznie. Spojrzałem na główną klatkę schodową kamienicy. Obejrzałem szyb windy i obok zauważyłem drzwi prowadzące do piwnicy. Ciemne jej wnętrze oświetlała słaba żarówka. Prowadzące w dół schody były wąskie i strome. Na ścianach widać było wilgotne szare plamy.

Kiedy byłem już na dole, usiłowałem przypomnieć sobie to miejsce sprzed trzech lat. Pamiętam, jak przeszukiwałem tę piwnicę. Jak w każdym zakątku tego domu, przewróciłem tu wszystko do góry nogami. W jednym z murów jest nisza, a w niej nieużywany bojler. Musi mieć cztery i pół metra średnicy, ma zegary, zawory i różne rurki. Widnieje na nim miedziana tabliczka z nazwą producenta „Fergus & Tatę”. Na posadzce leży mnóstwo starych kartonów z puszkami po farbie, jest także lampa gazowa w stylu wiktoriańskim, z kloszem.

Odsunąłem to wszystko i zacząłem uważnie badać posadzkę.

Nagle uwagę moją zwrócił jakiś głos. Na schodkach siedział mały chłopczyk

trzymający na kolanach plastikowego robota. Miał poplamione spodnie, patrzył na mnie podejrzliwie.

- Pan jest obcy? - zapytał.

- Sądzę, że tak.

- Moja mama mówi, że nie powinienem rozmawiać z obcymi.

- To dobra rada - odparłem.

- Mówi, że mogę zostać porwany. Z tego domu porwano dziewczynkę, właśnie na tych schodach. Wiedziałem, jak jej na imię, ale zapomniałem. Wie pan, ona już nie żyje. Czy to boli, jak się umiera? Mój kolega Sam spadł z drzewa i złamał rękę. Powiedział, że to naprawdę boli...

- Nie wiem - odparłem.

- Czego pan szuka?

- Także nie wiem.

- Nigdy pan nie znajdzie mojej kryjówki. Ona także się tam chowała.

- Kto?

- Ta dziewczynka.

- Michaela Carlyle.

- Pan zna jej nazwisko! Naprawdę chce pan zobaczyć to miejsce? Ale musi mi pan przyrzec, że nikomu nie powie.

- Przyrzekam.

- Musi pan przysiąc.

- Przysięgam.

Chłopiec schował robota do kieszeni, zsunął się na plecach po schodach, minął mnie i podszedł do bojlera. Zniknął w czeluści nie większej od jego pleców, w miejscu gdzie zakrzywiona część bojlera nie dochodzi do muru.

- Czujesz się tam dobrze? - zapytałem.

- Tak - odparł i wyszedł z dziury. W ręku trzymał książkę. - To moja skrytka. Chce pan wejść?

- Nie sądzę, abym się zmieścił. Co tam masz? - zapytałem.

- Książkę. To była jej książka, teraz jest moja.

- Mogę zobaczyć?

Chłopiec niechętnie podaje mi książkę. Brzegi okładki są postrzępione, ale można dostrzec zdjęcie kaczki z kaczątkami. Na wewnętrznej stronie okładki jest duża naklejka z podwiniętym rogiem. Jest na niej nazwisko: „Michaela Carlyle Allz\ To opowiadanie o pięciu

kaczątkach, które pewnego dnia wyszły na wzgórze i odleciały. Matka kaczka przywoływała je kwa, kwa, kwa, lecz tylko cztery kaczątka wróciły. Kaczuszki w końcu odleciały, lecz na ostatniej stronie jest wiadomość, że wróciły wszystkie.

Oddałem mu książkę, ukląknę na podłodze i zacząłem uważnie przyglądać się szczelinie między bojlerem a murem.

- Tam jest ciemno - powiedziałem.
- Mam latarkę - odparł.
- Czy ten szum to płynąca woda?
- Mój tata mówi, że tam na dole jest rzeka - powiada chłopiec.
- Gdzie?

Pokazał kciukiem w dół, a ja odruchowo spojrzałem pod jego stopy. W tym momencie oblałem się zimnym potem.

Odsunąłem na bok worki z cementem i zaprawą do tynku i znalazłem zwinięty postrzępiony dywan. Odsunąłem dywan i zobaczyłem metalowe rusztowanie z prętami osadzonymi w kamiennym podłożu. Przywarłem twarzą do rusztowania, usiłując coś zobaczyć. Widziałem mokry ceglany mur, który, zdawało się, iż ocieka czarnymi łzami. Słyszałem bulgoczącą wodę, jakby ktoś napełniał gigantyczną cysternę.

Chłopiec nadal coś mówi, lecz go nie słucham. Pomyślałem, że powinniśmy to miejsce odkryć przed trzema laty. Nie szukaliśmy wówczas tuneli, a gdyby nawet, to hałas, jaki z reguły towarzyszy wszelkim chaotycznym przeszukiwaniom, i tak zagłuszyłby szum podziemnej rzeki.

- Jak ci na imię?
- Timothy.
- Timothy, mogę pożyczyć twoją latarkę?
- Oczywiście.

Była to słaba latarka, która oświetliła około dwóch metrów szybu, tak że nie mogłem zobaczyć dna.

Uchwyciłem pręty palcami i usiłowałem podnieść kratę. Nie dałem rady. Rozglądając się za dźwignią, zobaczyłem stare dłuto ze złamanym trzonkiem. Wcisnąłem je w dziurę pomiędzy metalowym prętem a kamieniem. Usiłowałem podważyć pręt i wyjąć go. Kratownica nieco się podniosła, przygniatając mi palce. O Chryste, jaka ciężka!

Timothy pomógł mi i wypchnęliśmy kratę, która z hałasem spadła na kamienną podłogę. Chłopiec pochylił się i spojrzał w czarną czeluść.

- Ojej, zejdzie pan tam?

Zaświeciłem znów latarkę i spojrzałem w otwór. Zamiast oświetlić wnętrze, odbite światło oślepiło mnie. Po jednej stronie szybu widać było zgięte w literę U metalowe uchwyty.

- Jestem policjantem - powiedziałem chłopcu. Wyjąłem z portfela wizytówkę i dałem mu. - Timothy, masz zegarek?

- Nie.

- A wiesz mniej więcej, jak długa jest godzina?

- Tak.

- Jeżeli więc po godzinie nie wrócę, daj tę kartkę mamie i poproś, aby zadzwoniła pod podany tam numer telefonu. - Na wizytówce napisałem kilka słów do profesora. - Temu panu, który przyjdzie, powiesz, gdzie poszedłem. Rozumiesz?

Skinął głową.

Przypiąłem latarkę do paska i zszedłem do szybu. Po kilku krokach jestem mokry, cały czas słyszę szum wody. Chłopiec nadal stoi w tym samym miejscu, nad wejściem do szybu. Widzę w świetle cień jego głowy.

- Timothy, idź na górę. Nie przychodź już tu. Zszedłem pięć metrów w dół, zatrzymałem się, chwyciłem metalowy szczebel i skierowałem strumień światła w dół. Nic nie zauważyłem.

Schodziłem jeszcze niżej, dopóki stopami nie dotknąłem czegoś płaskiego i twardego. W świetle latarki zobaczyłem w dole rwący potok wody. Po bokach tunelu w obu kierunkach biegł kamienny występ znajdujący się jakieś dwadzieścia pięć centymetrów ponad poziomem wody. Ginał w ciemnościach. To nie jest kanał ściekowy - pomyślałem. Potężne słupy wspierają strop, a ściany tunelu podmywane są silnym nurtem wody.

Z wielkim wysiłkiem i bardzo ostrożnie stąpałem po kamiennym występie, centymetr po centymetrze przesuwając stopy. Obawiałem się, że w każdej chwili mogę się zsunąć i wpaść do wody. W świetle latarki widziałem tylko skrawek tunelu, za sobą zaś błyszczące oczka szczurów uciekających kamiennym występem.

Wilgotny mech na ścianach tunelu wygląda jak czarne futro. Kiedy przykładam ucho do ściany, wyczuwam lekką wibrację. Gdzieś tam nade mną jest ulica, słyszę ruch pojazdów. Wypełniające tunel chrapliwe odgłosy sprawiają, że robi on wrażenie mitologicznej żarłocznej bestii. Chce mnie pożreć i przetrawić.

Pod ziemią czas i odległość wydłużają się. Mam wrażenie, jakbym był tutaj nieskończenie długo, a przebyłem prawdopodobnie zaledwie sto metrów. Nie bardzo wiedziałem, czego szukam. Nie przetrwały tu z pewnością przez długie trzy lata żadne ślady

uprowadzenia Mickey. Przetaczające się wody po ulewie i burzy gruntownie przepłukały tunel.

Usiłuję wyobrazić sobie człowieka, który zabrał Mickey do tego przerażającego miejsca. Nie wiedząc, o co chodzi, mogła nawet pozwolić zaprowadzić się do szybu. Świadoma zaś zagrożenia, ogarnięta przerażeniem, nie dałaby się zapewne żadną perswazją skłonić do posłuszeństwa. Przyszła mi także na myśl scena napawająca grozą. Czy jest lepsze miejsce do ukrycia ciała? Podziemna rzeka pochłonęłaby ciało, a szczury zrobiłyby resztę.

Na samą tę myśl wzdrygnąłem się.

Do porwania trzeba co najmniej dwóch ludzi i niemałych przygotowań.

Jestem doszczętnie przemoczony i szczękam z zimna zębami. W przeciwieństwie do wyprawy z Moleym, tym razem jestem zupełnie nieprzygotowany do podziemnej wędrówki. To głupi pomysł. Powinienem zawrócić. Nagle zauważyłem w kamiennych występach wyrwę o długości około metra. Może mógłbym ją przeskoczyć, lecz nawet mając obie nogi zdrowe, nie mógłbym być pewny, czy skok zakończyłby się szczęśliwie.

Uklęknąłem i ręką usiłowałem ocenić głębokość wyrwy. Zauważyłem, że jest też dziura w murze tuż nad poziomem wody. Podwinąłem rękawy i usiłowałem wymacać dno. Otwór ma pół metra wysokości i podobnych rozmiarów średnicę, stanowi zaś ujście dla rzecznej wody. Może to być jeden z kanałów zasilających główną magistralę ściekową. Wchodząc do kanału, przemoczyłem buty i spodnie. Klatkę piersiową również mam w wodzie, plecami ocieram się o strop. Trzymając latarkę w ustach, posuwałem się w żółtym tempie.

Coraz głębsza ciemność skłoniła mnie do odwrotu. Buty i kolana oblepione były kilkucentymetrową warstwą błota; miałem wrażenie, że nurzam się w błocie niczym dżdżownica. Moje stękania i jęki powracały do mnie dalekim echem, jakby ktoś był w oddali... i czekał na mnie.

Po kilku metrach kanał schodził w dół, stając się coraz bardziej stromy. Ręce mi się ześliznęły i upadłem twarzą do wody. Latarka również do niej wpadła. Dzięki Bogu, nadal świeciła.

Wraz ze zwiększoną pochyłością coraz silniejszy strumień wody napierał na mnie, popychając do przodu. Jeżeli tunel będzie się coraz bardziej zwężał, zostanę w nim zakleszczony, znajdę się w pułapce. Plecami wciąż ocieram się o strop. Poziom wody się podnosi. Może już mam zwidy?

Znowu się pośliznąłem, popychając muł i wodę do przodu. Przerażony, usiłuję zawrócić, nie mogę się jednak zatrzymać. Tracę siłę w nogach. Przeskakuję przez wystający

próg, po czym padam. Łąduję w wodzie i odchodach. Chce mi się wymiotować.

Czarny muł oblepia mi twarz łącznie z oczami. Usiłuję go zeskrobać. Wokół panuje absolutna ciemność. Zgubiłem latarkę, wpadła do wody albo też uszkodziła się przy moim upadku.

Usiadłem i próbowałem sprawdzić, czy czegoś sobie nie złamałem. Ręce mi się trzęsą z zimna i nie czuję palców. Na głowę leje mi się woda. Muszę się stąd wydostać!

Zastanawiam się, gdzie się znajduję w stosunku do budynków osiedla Dolphin. Nie widzę zegarka, nie wiem więc, jak długo tu jestem. Murowany występ na dole kanału zwęża się, poruszam się więc coraz wolniej. Być może przebyłem jedynie kilkaset metrów. Słyszę ruch kołowy. Muszę zatem być pod jezdnią. Nasłuchuję odległych odgłosów i czuję nagle na policzku lekki powiew.

Poderwałem się zbyt szybko i głową uderzyłem w sklepienie. Teraz kucam, dłonią dotykam wystających cegieł i poruszam się po omacku jak ślepiec w labiryncie. Zatrzymuję się i znowu czuję na policzkach powiew. Mój umysł zaczyna płatać figle. Czuję ów powiew raz z jednej, raz z drugiej strony. Czuję także, jak wzbiera we mnie uczucie desperacji, zaschło mi w gardle. Może powinienem zawrócić? W tych ciemnościach wpadnę do szybu i nigdy już nie wydostanę się z tunelu. Nagle widzę przed sobą poświatę. Snop światła wygląda jak hologram w tunelu. Podchodzę do tego miejsca i podnoszę głowę. Przez kratownicę wjazdu widzę niebo. Z otoczki kratownicy zwisa darń. Zadzieram głowę i widzę podeszwy butów do piłki nożnej, obłoczone kolana i nagolenniki. Kilku uczniów i nauczycieli ogląda mecz. Ktoś krzyczy: „Atakuj!”, ktoś inny woła: „Podaj na bok!”.

Najbliżej mnie siedzi samotny chłopak i czyta książkę.

- Pomóż mi! - wołam. Rozgląda się wokół.

- Jestem tutaj, na dole!

Spogląda na kratę studzienki ściekowej.

- Pomóż mi wyjść! - ponaglam go. Ukląkł i wpatruje się w kratownicę.

- Co pan tam robi?

- Jestem policjantem.

Wiem, że to niewiele mu mówi, lecz nie zignorował mojej prośby. Idzie do nauczyciela. Słyszę, jak rozmawia.

- Proszę pana, tam na dole w kanalizacji ktoś jest. Chyba nie może się wydostać.

Nad kratownicą pojawia się nowa twarz, należąca do starszego człowieka, być może nauczyciela.

- Co pan tam robi?

- Usiłuję się wydostać.

Wokół studzienki kanalizacyjnej widzę coraz więcej twarzy. Wydaje mi się, że zapomniano o meczu. Większość graczy chce zobaczyć faceta, który „utknął tam na dole”.

Przyniesiono z samochodu łom. Z krawędzi metalowej kraty zeszkrobano darń. Odsunięto kratownicę na bok i ktoś podał mi rękę. Zmrużywszy oczy, ujrzałem promienie słońca angielskiej jesieni. Z twarzy starłem resztki mułu.

Znalazłem w kieszeni spodni ostatnią kapsułkę morfiny. Dziwnym zbiegiem okoliczności ból ustąpił, ale zawładnęły mną silne emocje. Nie lubię się roztkliwiać, lecz opanował mnie przedziwny nastrój wyciskający łzy z oczu, powodujący zamęt w głowie wręcz rozkoszny jak po miłosnym stosunku, jak po tryumfalnym zwycięstwie w rugby. Szczególnie przypadli mi jednak do gustu chłopcy ze szkolnego boiska, po prostu ich kocham. Mają na szyjach takie same chusty szkolne, niezmordowanie biegają za piłką. Wyglądają wspaniale. Pozwolili mi skorzystać z prysznicy w pawilonie sportowym, pożyczyci bluzę i buty treningowe. Wyglądałem jak senior na bieżni.

Wezwany profesor zastał mnie w sportowym pawilonie szkoły. Bez żadnych ceregieli z miejsca potraktował mnie jak pacjenta, obejrzał dokładnie twarz, uważnie popatrzył w oczy.

- Ile wzięłeś kapsułek morfiny? - zapytał.

- Dwie ostatnie - odparłem.

- Jezu!

- Dobrze się czuję, naprawdę. Posłuchaj! Byłem w podziemiach... w rzece. Powinniśmy to zobaczyć przed trzema laty.

- O czym ty mówisz?

- Teraz już wiem, jak Mickey wyprowadzono z kamienicy. Zeszła do piwnicy, a potem do szybu kanalizacyjnego, i znikła jak Alicja z Krainy Czarów.

Wiem, że to, co mówię, na pierwszy rzut oka nie ma sensu, lecz Joe wykazuje dużą cierpliwość i słucha. W miarę jednak, jak opowiadam swoje przygody, zamiast wykazywać coraz większe zainteresowanie, okazuje złość.

Uważa, że postąpiłem głupio, lekkomyślnie, zbyt impulsywnie, lecz każde słowo krytyki poprzedza kurtuazyjnym „z całym szacunkiem”. W żadnej z dotychczasowych rozmów nie byliśmy dla siebie tak uprzejmi.

Spojrzałem na zegarek. Jest prawie jedenasta przed południem. W południe zaś mam stawić się w sądzie.

- Możemy jeszcze zdążyć - mówi.

- Najpierw muszę gdzieś wstąpić.

- Aby zmienić ubranie?

- Aby zobaczyć się z chłopcem w sprawie jego latarki.

W gmachu sądu w Strand są tysiące pokoi i z pięć kilometrów korytarzy wyłożonych czarną boazerią pochłaniającą światło i stwarzającą ponury nastrój. Budynek sądu to wiktoriański gotyk, imponująca budowla, miejsce onieśmielające ludzi, skłaniające ich do mówienia prawdy w majestacie prawa.

Dla Eddiego Barretta, adwokata mianowanego z rekomendacji przewodniczącego Izby Lordów i ministra sprawiedliwości, to po prostu jeszcze jedno miejsce popisu umiejętności prawniczych. Dumnym krokiem przemierza korytarze, z rozmachem otwiera drzwi, nonszalancko przemyka pośród grupek szepczących kolegów prawników. Jak na mężczyznę o krótkich nogach, chodzi zadziwiająco szybko, obdarzając otoczenie butnym spojrzeniem buldoga.

W środowisku adwokackim Barrett jest tym, czym hieny na afrykańskich równinach - zbirem działającym na zlecenie i padlinożercą. Weźmie każdą sprawę nie tyle ze względu na adwokackie honorarium, ile rozgłos, jaki może mu ona przynieść. Wykorzysta wszelkie luki w przepisach prawnych oraz wszystkie niejasności, chwając jednocześnie brytyjski system sądowy i prawo procesowe jako najlepsze i najuczciwsze w świecie.

Według Eddiego prawo to pojęcie bardzo elastyczne. Można je naginać, przekręcać, niwelować, rozciągać i tak kształtować, aż wreszcie będzie w pełni odpowiadać zainteresowanym stronom. Eddie Barrett może nawet uznać, że są sytuacje, przypadki i sprawy, których nie można w ogóle rozpatrywać, ponieważ nie przewidziało ich prawo.

Parę kroków za nim idzie adwokat Charles Raynor. Mówią na niego „Gawron”; ma czarne jak kruk włosy i zakrzywiony nos. Podczas jednej z rozpraw wziął w krzyżowy ogień pytań byłego ministra, członka gabinetu. Ośmieszył go, ponieważ minister przejawiał dziwny gust, jeśli chodzi o intymne części damskiej bielizny.

Eddie szpiegował mnie i odnosił się do mnie z pewną nonszalancją.

- Cóż to? Patrzcie, patrzcie, kogo my tu widzimy, inspektora Roooeeez. Wiele o panu ostatnio słyszałem. Słyszałem, że ktoś inny dmucha pana żonę, jego fiut, jej cipa robią barabara. Urznąłbym się w trupa, gdybym nakrył moją starą pieprzącą się z szefem. Na dobre i złe, w zdrowiu i chorobie - tak się mówi podczas ceremonii ślubnej, nieprawda?

Zacisnąłem zęby, a przed oczami latały mi czerwone plamki. Eddie nieco się cofnął.

- Tak, takie są ludzkie charaktery, wiele o nich słyszałem. Baw się dobrze na rozprawie.

Wiem, że usiłuje mnie nakręcić. Zawsze tak robi, chce zająć człowiekowi za skórę,

szuka w jego charakterze najsłabszych miejsc.

Na galerii dla publiczności robi się coraz gęściej. Zajęte są rzędy dla dziennikarzy, w tym cztery dla rysowników. Instalowane są mikrofony i aparatura do nagrywania. Do podłogi przyczepiono mnóstwo kabli.

Rozglądam się za Rachel, mam nadzieję, że jest tutaj. Widzę natomiast Alekseia, który wpatruje się we mnie z nadzieją, że za chwilę rozplynie się w powietrzu. Po jego lewej stronie siedzi znany mi już Rosjanin, a po prawej młody czarny mężczyzna.

Gawron układa na głowie perukę przypominającą końską grzywę i mierzy wzrokiem swoją przeciwniczkę, adwokatkę Fionę Hanley, przystojną, opanowaną, szykowną kobietę przypominającą moją drugą żonę, Jessie, którą cechowała taka sama oschłość. Ma również, jak moja była żona, oczy w kolorze miodu. Pani Hanley układa przed sobą dokumenty i teczki, jakby budowała mur obronny w minifortecy. Odwraca się i nieśmiało uśmiecha się do mnie, robiąc wrażenie, jakbyśmy się już kiedyś przypadkiem spotkali (a spotkaliśmy się kilkanaście razy).

- Proszę wstać, sąd idzie.

Wchodzi sędzia Connelly, prezes sądu, i przez chwilę wnikliwie obserwuje salę rozpraw, aby nic nie umknęło jego uwagi, jakby czujnym wzrokiem ogarniał bramy raj. Siada. Siadają wszyscy obecni.

Pojawia się Howard. Z trudem wchodzi po schodkach i siada na ławie oskarżonych. Ma półotwarte usta i szarą cerę. Włosy opadają mu na czoło, spojrzenie ma mgliste, jest rozkojarzony. Zniknęła jego dawna pełna godności postawa. Ed-die szepcze mu coś do ucha i obaj zaśmiewają się. Wydaje mi się, że wszyscy przeciwko wszystkim spiskują.

Campbell myśli, że to, co się teraz dzieje, zostało już dawno zaplanowane przez Howarda. Żądanie okupu, kosmyk włosów Mickey, jej bikini to wszystko jest częścią szeroko zakrojonego oszustwa, aby wzbudzić wątpliwości co do zasadności skazania Howarda na karę dożywotniego więzienia i umożliwić wypuszczenie go na wolność.

Ta teoria spiskowa nie przekonuje mnie, ponieważ nie daje odpowiedzi na pytanie, które tak często zadaje mi Joe: Dlaczego z żądaniem okupu czekano trzy lata?

Sędzia Connelly poprawił poduszkę na fotelu i odchrząknął. Przez chwilę patrzył wnikliwie na sufit i rozpoczął rozprawę.

- Przystudiowałem wniosek obrony dotyczący wyroku, jaki zapadł podczas pierwszej rozprawy sądowej przeciwko panu Wavellovi. Aczkolwiek skłonny jestem zgodzić się z kilkoma uwagami dotyczącymi mowy końcowej sędziego podczas tego procesu, nie sądzę, aby uwagi te i wniesione w podaniu zastrzeżenia mogły wpłynąć na zmianę wyroku, jaki

wydała ława przysięgłych. Jestem jednak skłonny wysłuchać argumentów stron. Czy jest pan gotów, panie Raynor?

Gawron wstaje, teatralnym gestem poprawia na ramionach czarną togę.

- Jestem gotowy, Wysoki Sądzie, i zamierzam przedstawić nowe dowody w sprawie.

- Czy te nowe dowody dotyczą uzasadnienia apelacji, czy też pierwotnego przestępstwa?

- Pierwotnego przestępstwa. Pani Hanley zgłasza sprzeciw.

- Wysoki Sądzie, wydaje się, że mój uczony kolega zmierza do wznowienia procesu, zanim skazany otrzymał prawo do apelacji. Dostarczono listę dwudziestu czterech świadków. Czy ma on zamiar wezwać ich wszystkich?

Sędzia Connelly przegląda listę świadków. Gawron składa dodatkowe wyjaśnienia.

- Wysoki Sądzie, być może wezwiemy tylko jednego świadka. W zasadniczym stopniu zależy to od tego, co będzie miał do powiedzenia.

- Panie Raynor, mam nadzieję, że nie będzie to podróż w nieznane.

- Nie, Wysoki Sądzie. Mogę zapewnić Wysoki Sąd, że nie o to chodzi. Chciałbym wezwać na świadka komisarza, który prowadził pierwotne śledztwo w sprawie zaginięcia Michaeli Carlyle.

Sędzia Connelly podkreśla moje nazwisko na liście.

- Pani Hanley, zasadniczym celem ustawy dotyczącej procedury apelacyjnej w sprawach kryminalnych jest doskonalenie pracy wymiaru sprawiedliwości. Ustawa zezwala zarówno prokuratorowi, jak i obrońcy na przedstawienie dodatkowych dowodów. Niemniej jednak ostrzegam pana, panie Raynor, iż nie zamierzam wyrazić zgody na wznowienie procesu, który się już odbył - oświadcza sędzia.

Pani Hanley natychmiast występuje z wnioskiem o umożliwienie przedłożenia nowych dowodów na zamkniętym posiedzeniu sądu.

- Wysoki Sądzie, pojawiły się nowe problemy i okoliczności, które znacznie wykraczają poza aktualną sytuację prawną pana Wavella. Przekazanie opinii publicznej pewnych informacji mogłoby zaszkodzić prowadzonemu śledztwu.

- Jakiemu śledztwu? - Campbella interesuje jedynie możliwość przygwożdżenia mnie.

- Czy prowadzone śledztwo dotyczy pana Wavella? - pyta sędzia.

- Być może pośrednio. Wiem o charakterze prowadzonego śledztwa, nie znam jego szczegółów. Media mają zakaz publikowania czegokolwiek na ten temat.

Gawron wtrąca swoje trzy grosze bardziej z przyzwyczajenia niż z wewnętrznej potrzeby.

- Sprawiedliwości musi stać się zadość, Wysoki Sądzie - mówi.

Dziennikarze opuszczają ławy prasowe, a sędzia Connelly wydaje decyzję na korzyść oskarżyciela publicznego. Jest to ten moment w procedurze przewodu sądowego, gdy pojawiają się rzeczywiste argumenty stron. To wówczas w ferworze polemicznym zwraca się do adwersarza „z należytym szacunkiem” oraz mówi się „mój uczony kolega” (co oznacza kompletny dureń).

Jednakże siedząc na sali rozpraw, po raz kolejny zastanawiam się, co ja wiem tak naprawdę na temat tej sprawy? Gawron i pani Hanley mogą okazać się w mojej sytuacji najlepszymi z przyjaciół. Ale mogą też skoczyć sobie do oczu.

Zostałem wywołany. Zapinam marynarkę, idę na miejsce świadka, siadam i odpinam marynarkę.

Gawron podnosi głowę znad notatek, patrzy na mnie jakby nieco zaskoczony moją obecnością. Powoli wstaje, pochyla głowę, co sprawia wrażenie, że chce spojrzeć na mnie z góry. Zadaje pierwsze pytania, te najłatwiejsze - imię i nazwisko, stopień służbowy, lata służby.

Zrywa się pani Hanley.

- Wydaje się, że mój uczony kolega pokłada zbyt wielką nadzieję w wiarygodności świadka. Nie wspomniał, że policjant Ruiz od kilku dni nie jest już szefem grupy operacyjnej zajmującej się ciężkimi przestępstwami, a wczoraj po decyzji dyscyplinarnej komisji do spraw wewnętrznych został wyrzucony z policji. Nie jest już członkiem policji londyńskiej, prowadzone jest natomiast przeciwko niemu śledztwo...

Sędzia Connelly nakazuje gestem ręki, aby usiadła.

- Będzie pani miała możliwość zadawania pytań świadkowi - oświadcza.

Gawron przegląda notatki, po czym robi coś, czego nie oczekiwałem. Każe mi powtórzyć wszystkie szczegóły pierwotnego śledztwa i przypomnieć dowody przeciwko Howardowi. Wymieniłem fotografie, ślady krwi, mówiłem o zaginięciu dywanika oraz ręcznika kąpielowego Mickey. Zwróciłem uwagę, że z pierwotnego śledztwa wynikało, iż Howard miał możliwość popełnienia przestępstwa, motywy i pewne skłonności, które pozwalały oskarżyć go o popełnienie zbrodni na tle seksualnym.

- Kiedy podczas pierwotnego śledztwa Howard Wavell stał się podejrzanym? - pyta Gawron.

- Po tym, co się wydarzyło, każdy mieszkaniec kamienicy Dolphin stał się automatycznie podejrzany.

- Rozumiem, lecz w jakim momencie skupił pan uwagę na panu Wavellu?

- Moje szczególne zainteresowanie wzbudził, kiedy zauważyłem, że zachowuje się podejrzanie w dniu, w którym zaginęła Michaela. Nie potrafił także dostarczyć alibi.

- Nie potrafił czy nie miał alibi?

- Nie miał.

- Jakiego rodzaju zachowanie pana Wavella budziło podejrzenie?

- Fotografował całą akcję poszukiwania i robił zdjęcia ludzi zebranych wokół kamienicy.

- Czy ktoś jeszcze robił zdjęcia?

- Było kilku przedstawicieli prasy. Gawron skrzywił się.

- Posiadanie kamery nie czyni nikogo podejrzanym.

- Mała dziewczynka zaginęła. Większość sąsiadów pomagała w szukaniu jej. A pan Wavell był w tym czasie zainteresowany robieniem dla przyszłych pokoleń dokumentacji zdjęciowej z tego tragicznego wydarzenia.

Gawron zrobił rozmyślnie przerwę. Chce, aby każdy z obecnych wiedział, że oczekiwał bardziej wyczerpującej odpowiedzi.

- Czy przed rozmową z Howardem Wavellem w kamienicy Dolphin w dniu zaginięcia dziewczynki spotkaliście się kiedyś w życiu?

- W latach sześćdziesiątych byliśmy w tym samym internacie szkolnym. On był w niższej klasie.

- Dobrze się znaliście?

- Nie.

- Czy jako oficer policji prowadzący śledztwo zastanawiał się pan nad wycofaniem się z tej sprawy ze względu na łączące was kiedyś związki koleżeńskie?

- Nie.

- Czy znał pan rodzinę pana Wavella?

- Mogłem spotkać któregoś z członków jego rodziny.

- Nie pamięta więc pan, czy umawiał się z jego siostrą na randki?

Milczę i zastanawiam się głęboko. Gawron uśmiecha się.

- Być może ze zbyt wieloma dziewczynami umawiał się pan na randki, aby ten fakt zapamiętać?

Rozległy się śmiechy. Śmiał się także Howard. Gawron spokojnie poczekał, aż sala ucichnie, i po chwili, niemalże mimochodem, zapytał:

- Przed czterema tygodniami zaniósł pan kopertę z sześcioma włoskami do prywatnego laboratorium w centrum Londynu w celu zamówienia analizy pozwalającej

ustalić DNA.

- Tak.

- Czy jest to normalna procedura stosowana w policji - korzystanie z prywatnego laboratorium w celu wykonania testów DNA?

- Nie.

- Nie myślę się, przypominając, że zakład medycyny sądowej wykonuje testy DNA dla policji?

- Test, o którym mowa, przeprowadzony został na życzenie osoby prywatnej, a nie na wniosek policji.

Wyraził zdziwienie.

- A więc nieoficjalnie? Jak pan zapłacił?

- Gotówką.

- Dlaczego?

- Nie wiem, czy to ma jakikolwiek związek ze sprawą...

- Zapłacił pan gotówką, by nie było śladu przeprowadzonej transakcji, czy o to chodziło? Nie zostawił pan w laboratorium numeru swego telefonu i adresu.

Gawron nie dał mi możliwości udzielenia odpowiedzi na to pytanie, co w tej sytuacji było chyba rzeczą najlepszą. Czuję się coraz gorzej. Klatka piersiowa ocieka mi potem, który spływa do pępka.

- O jakiego rodzaju usługę prosił pan laborantkę w Gene-tech?

- Prosiłem o analizę laboratoryjną DNA włosów, które przyniosłem, i o porównanie z wynikami testu DNA Michaeli Carlyle.

- Dziewczynki, która rzekomo miała już nie żyć.

- Ktoś wysłał list do pani Rachel Carlyle z żądaniem okupu, utrzymując, że jej córeczka żyje.

- Uwierzył pan autorowi listu?

- Zgodziłem się, aby włosy poddać testom laboratoryjnym.

Gawron nalega na dokładniejszą odpowiedź.

- Nadal nie odpowiedział pan na moje pytanie, dlaczego zwrócił się pan z prośbą o analizę DNA włosów do prywatnego laboratorium?

- Zrobiłem to dla pani Carlyle. Nie wierzyłem, że poddane analizie włosy będą miały cechy biologiczne włosów jej córki.

- Chciał pan ten fakt zachować w tajemnicy?

- Nie. Obawiałem się jednakże, że każda oficjalna prośba w tej sprawie zostałaby

opacznie zrozumiana. Nie chciałem, aby uznano, że mam wątpliwości co do wyników pierwotnego śledztwa.

- Chciał pan pozbawić pana Wavella prawa do sprawiedliwego osądu przez instytucje wymiaru sprawiedliwości? - zapytał.

- Chciałem się jedynie upewnić - odparłem.

Gawron powraca do pulpitu dla obrony, bierze drugi kawałek papieru, chwytając go palcami w taki sposób, jakby chciał zwrócić uwagę obecnych na sali na jego brzegi.

Zastanawiałem się, dlaczego nie zapytał o rezultat analizy DNA? Być może nie znał odpowiedzi na to pytanie. Jeżeli wyniki analizy laboratoryjnej włosów nie zgadzały się z cechami DNA Mickey, żądanie okupu tym bardziej wyglądało na mistyfikację, osłabiając tym samym możliwości obrony Howarda.

Gawron wraca do zadawania pytań.

- Następnie wysłano kolejną paczkę do pani Carlyle. Co zawierała?

- Dziecięcy kostium kąpielowy.

- Co może nam pan powiedzieć o tym kostiumie?

- Był w kolorze różowym i pomarańczowym, typu bikini. Podobny miała na sobie Michaela Carlyle w dniu, w którym zginęła.

- Podobny czy taki sam?

- Wyniki analizy zakładu medycyny sądowej nie dostarczyły ostatecznej odpowiedzi - odparłem.

Gawron krąży teraz po sali. Ma twarz niewiniątka, lecz duszę krokodyla.

- Panie komisarzu, ile w swojej karierze zawodowej przeprowadził pan śledztw w sprawach kryminalnych?

Wzruszyłem ramionami.

- Ponad dwadzieścia.

- Jak wiele w tym dotyczących zaginięcia dzieci?

- Zbyt wiele - odparłem.

- Zbyt wiele, aby zapamiętać?

- Nie, panie mecenasie. - Patrzę mu prosto w oczy. - Pamiętam każdą z tych spraw.

To moje stwierdzenie nieco go zdetonowało. Powrócił do pulpitu i przejrzał notatki.

- Oficer policji prowadzący śledztwo w sprawie budzącej tyle emocji musiał być cały czas pod wpływem silnej presji nie tylko opinii publicznej. Zginęła mała dziewczynka. Rodzice są zrozpaczeni. Opinia publiczna domaga się wyjaśnień - zwraca uwagę.

- Śledztwo prowadziliśmy ze szczególną starannością i wnikliwością. Nie sześliśmy na

skróty.

- Niezupełnie tak było. - Czyta listę. - Osiem tysięcy przeprowadzonych rozmów, tysiąc dwieście oświadczeń, w sumie ponad milion godzin czynności śledczych, sporo godzin poświęconych mojemu klientowi.

- Podążaliśmy za każdym ważnym śladem.

Gawron wyraźnie sugeruje mi określony kierunek rozumowania.

- Czy podczas prowadzonego śledztwa byli w pańskim odczuciu podejrzani, których nigdy pan nie indagował? - pyta.

- Nie, nie było takich osób.

- A co pan wie o Gerrym Brandcie? Zawahałem się.

- Był obiektem naszego zainteresowania, ale tylko przez krótki czas.

- Dlaczego pominął go pan w śledztwie?

- Prowadziliśmy bardzo rozległą akcję wywiadowczą...

- Czy dlatego, że nie mógł go pan znaleźć?

- Gerry Brandt to znany handlarz narkotyków i włamywacz. Utrzymywał rozległe kontakty ze światem przestępczym, gdzie, jak sądzę, znalazł schronienie.

- Czy to ten sam mężczyzna, który został sfotografowany przy kamienicy Dolphin w dniu, w którym zaginęła Michaela?

- Tak, to on - odparłem.

Odwraca się ode mnie i zwraca do publiczności:

- Czy to mężczyzna, który już raz został skazany na karę pozbawienia wolności za gwałt popełniony na nieletniej?

- Na przyjaciółce.

- Przystępcę seksualnego widziano obok domu Dolphin. Nie uznał pan jednak, iż jest osobnikiem wystarczająco podejrzanym, by go odszukać. Natomiast całe śledztwo ograniczył pan wyłącznie do osoby mego klienta, praktykującego chrześcijanina, który nigdy nie wszedł w kolizję z prawem. A otrzymany dowód wyraźnie sugerujący, że Michaela Carlyle być może żyje, usiłował pan ukryć.

- Wszystkie wyniki śledztwa przekazałem przełożonym.

- Ale nie te, które przemawiały na korzyść mego klienta.

- Z całym szacunkiem dla pana mecenasa, nie jest moim obowiązkiem pomaganie obrońcom oskarżonego.

- Ma pan rację, panie Ruiz. Pana obowiązkiem jest ustalenie prawdy, lecz w tym konkretnym wypadku usiłował pan ukryć prawdę. Usiłował pan zignorować dowód lub w

najgorszym razie ukryć go, podobnie jak zlekceważył pan rolę, jaką mógł odegrać jako podejrzany o przestępstwo Gerry Brandt.

- Nie! - zaprzeczyłem kategorycznie. Gawron kołysze się do przodu i do tyłu.

- Czy według pana, komisarzu, żądanie okupu to oszustwo?

- Nie wiem.

- Zaryzykuje pan własną karierę zawodową... - Poprawia się: - swoją reputację, a co ważniejsze, zaryzykuje pan wolność mego klienta, twierdząc w sposób niebudzący żadnych wątpliwości, że Michaela Carlyle została przed trzema laty zamordowana?

Długo się zastanawiałem, w końcu odparłem:

- Nie, nie zaryzykuję.

Moje oświadczenie zaskoczyło nawet Gawrona. Pomilczał chwilę, aby się zastanowić.

- Wierzy więc pan, że może ona żyć?

- Dopóki nie znajdziemy ciała, zawsze jest nadzieja.

- Czy w związku z pojawieniem się żądania okupu nadzieja według pana zwiększyła się?

- Tak.

- Nie mam dalszych pytań.

Nie patrzyłem na Campbella, Eddiego Barretta, a także na Howarda Wavella. Patrzyłem prosto przed siebie, jakbym wychodził z sali sądowej. W kieszeni marynarki, tuż przy sercu, wibruje sygnał telefonu komórkowego.

Odpinam guzik marynarki, wyjmuję telefon i odbieram rozmowę.

- Przed chwilą usłyszałem wiadomość w radiu - mówi Joe. - W rzece znaleźli ciało.

- Gdzie?

- Gdzieś w pobliżu Isle of Dogs.

Tak to właśnie wygląda. W pochmurne środowe popołudnie silne porywy wiatru, a więc i fale uderzają w pale przystani Trinity. W wodzie stoi pogłębiarka z wysuniętym na powierzchnię żurawiem, na jej pokładzie jest mnóstwo czarnych przewodów. Światło reflektorów zmienia kolor wody z brązowej na szarobiałą. W dwóch łodziach policyjnych typu Zodiak, składających się z pokrytego gumą płótna i drewnianego dna, policjanci zmagają się z odpływem, zrzucają w tor wodny plastikowe pontony.

Profesor zaparkował samochód na drodze w miejscu, gdzie rzeka Lea wpada do ujścia Tamizy. Rzeka ma tu dwieście metrów szerokości. Widać stąd na tle nieba kontury kopuły Millennium Dome na odległym brzegu.

Na dole, w połowie drogi od pochylego metalowego podjazdu widzę oddalającego się

od grupki detektywów Dave'a, Nowego Chłopaka Ali.

Jest wyraźnie podniecony; drżą mu ramiona, miałby wielką ochotę napluć mi w twarz albo nawet zadać cios pięścią. Jest wściekły. Widzę, że z ust cieknie mu ślina.

- Odpieprz się. Po prostu się odpieprz! - niemalże wyje. Z powodu Ali.

Widzę, jak stojący za nim nurkowie z policji londyńskiej przygotowują sprzęt i zbiorniki.

- Kogo znaleźli? - pytam.

Dave połyka ślinę i napiera na mnie. Chcę mu powiedzieć, że jest mi bardzo przykro z powodu Ali, lecz zaschło mi w gardle tak, że nie mogę wykrztusić słowa. Detektywi krążą wokół jak gapie podczas gry na boisku. Żaden z nich nie jest mi przychylny. Jestem tu obcy, jestem intruzem, a nawet kimś o wiele gorszym - zdrajcą. Joe usiłuje stanąć w mojej obronie.

- Ali byłaby przeciwna takiej postawie. Po prostu powiedz, kogo znaleźliście?

- Spieprzaj.

Przedziera się przez otaczający mnie kordon i chwytając mnie za rękę, wykręca ją. Cios w nerkę powala mnie na ziemię. Dave stoi nade mną wściekły. Na jego policzku widzę ślady krwi ze skaleczonej wargi.

To, co robimy później, nie jest godne postawy dżentelmenów. Chwytam go z całej siły za krocze. Zawył i padł na kolana. Nie puszczam go.

Podnosi pięści, aby zadać mi cios i powalić na ziemię, lecz uciskam go jeszcze bardziej. Zwijają się z bólu, nie może podnieść głowy. Czuje mój oddech na policzku.

- Nie wściekaj się na mnie - szepczę mu do ucha. - Jesteś uczciwym facetem.

Puściłem go, oparłem się o mur, nieco ochłonąłem, wpatrując się w czarną tafłę wody. Dave usiadł obok mnie, oddychając głęboko. Spojrzałem na pozostałych detektywów i powiedziałem, aby zostawili nas samych.

- Co znaleźli? - pytam.

- Nie wiemy - mówi Dave, krzywiąc się nieco. - Pogłębiarka przecięła ciało na pół.

- Niech zobaczą.

- Jeżeli nie rozpoznasz tego łobuza po dolnej części ciała, nikomu tutaj nie jesteś potrzebny, a mnie szczególnie.

- Jak umarł?

Długo zastanawia się, zanim odpowie:

- Jest ślad rany postrzałowej.

Odpowiadając na moje pytanie, odwraca głowę. Wzdłuż nabrzeża nadjeżdża furgonetka z koronerem. Otwarto już drzwi i wyciągnięto wózek.

- W żadnym wypadku nie chciałem, aby cokolwiek złego stało się Ali. Doskonale o tym wiesz.

Patrzy na swoje pięści.

- Przepraszam, że pana uderzyłem.

- W porządku, nic się nie stało.

- Komendant, jak się dowie, że pan tutaj jest, dostanie świra.

- A więc nie mów mu. Ja się usunę.

Kiedy ostatnie promienie słońca padały na wieżyczki nabrzeża Canary, czterech nurków z policyjnej łodzi Zodiak skoczyło do wody. Ich kombinezony błyszczały jak focze skóry. Skoczyli i ślad po nich zagał.

Dowodzący akcją oficer policji, mężczyzna niskiego wzrostu z wydatnym torsem, ubrany w strój piankowy do nurkowania, wygląda jak wyrzeźbiony z hebanu. Wrzuca pojemnik do łodzi, wyciera ręce i wita się ze mną:

- Sierżant Chris Kirkwood.

- Ruiz.

- Wiem, kim pan jest.

- Będzie pan miał kłopoty z powodu rozmowy ze mną?

- Nie. - Potrząsa głową. - Mam inne problemy. Widoczność jest tam, na dole, ograniczona do metra, a nurt do czterech węzłów na godzinę. Ktoś tego gnojka przywiązał łańcuchami do beczki z betonem. Będziemy potrzebować przyrządów do cięcia. - Wrzuca do łodzi jeszcze jeden pojemnik.

- Jak długo był w wodzie?

- Większość zwłok w końcu wypływa na powierzchnię. O tej porze roku po pięciu dniach, lecz ten facet był tam dłużej. W wodach Tamizy ciało na ogół szybko się nie rozkłada. Żadne z morskich żyjątek nie przegryzie wiązań w organizmie człowieka. Sądzę, że ciało tego człowieka było w wodzie około trzech tygodni...

Wiem, o czym chce powiedzieć - o tym, co dzieje się z ciałem człowieka pod wodą.

Łódź policyjną Zodiak mija wodna taksówka. Zauważam na powierzchni wody jakieś przedmioty oraz zamaskowaną twarz, a także rękę z zaciśniętą pięścią. Palce tej dłoni zaciśnięte są na policyjnym pistolecie.

Woda w tym miejscu bulgocze. Coś jeszcze wypływa na powierzchnię. Drugi płetwonurek ma w ręku sznur przyczepiony do wyciągarki. Nagle czuję się tak, jakby lodowata dłoń ścisnęła moje serce, jakby powietrze zamieniało się w wodę, a mnie wchłaniał nurt.

Zanim upadłem, chwycił mnie sierżant Kirkwood. Bierze mnie pod rękę i odciąga od skraju nabrzeża. Przyniesiono pojemnik, na którym usiadłem. Obok jest już Joe, woła, aby przyniesiono kubek wody. Opieram się, lecz on nalega, abym wypił.

Przecieram oczy i widzę zbliżającą się pierwszą łódź policyjną. Płetwonurkowie wyciągnęli coś z wody. Łódź podpływa do nabrzeża. Czyjeś ręce chwytają sznur i przycumowują ją do słupa na przystani.

Na drewnianym dnie leży okrwawiony tors mężczyzny, oblepiony liśćmi i wodorostami. To, co widzę, trudno uznać za człowieka, lecz mimo wszystko rozpoznaję go; nagle przypominam sobie jego nazwisko, twarz i silne ręce boksera. Po chwili przypominam sobie wszystko...

Coś zaświtało mi w głowie. Oczyma wyobraźni widzę skoroszyty, teczki, światła, fotokopie i nawet słyszę, jak dzwonią telefony. Ożywia się nagle wewnątrz jakiegoś biura, mężczyzna pochylony nad biurkiem podnosi ręce i krzyczy: „Eureka!”

Z tych strzępów wspomnień powstaje teraz obraz, tak jak z pojedynczych klatek powstaje film.

Nagle przypominam sobie, że dzwoni telefon. Odbiera go Rachel. Na automatycznej sekretarce nagrany jest głos, mężczyzna pyta: Czy moja pizza jest gotowa?

Telefon się wyłącza. Rachel patrzy na mnie zdziwiona.

- Proszę się nie martwić, zadzwonią jeszcze raz.

Jesteśmy w mojej kuchni. Rachel ma na sobie czarne dżinsy i szary pulower. Jest zdumiona, nieruchomo wpatruje się przed siebie, jak uciekinier, który nie wierzy własnemu szczęściu, że przed chwilą udało mu się przekroczyć granicę.

Ponad trzy godziny siedzi nieporuszona. Nie śmie nawet oddychać. Ma kurczowo splecione ręce. Robię wszystko, aby się odprężyła. Chcę, aby oszczędzała siły.

Obok znajduje się Aleksei, czujny jak zwierzę. Czasami idzie do mego salonu, aby zatelefonować z komórki, po czym wraca i spogląda na Rachel wzrokiem pełnym zarówno pożądania, jak i odrazy. Diamenty są już zapakowane. Zostały dostarczone w aksamitnych opakowaniach - dziewięćset sześćdziesiąt pięć kamieni jednokaratowych wysokiej jakości.

Aleksei pojedzie za nami. Za pomocą globalnego systemu określania położenia, założonego w samochodzie Rachel, będzie śledził sygnały nadajnika zainstalowanego w opakowaniach.

- Nikt nie wie, że ktoś za nami podąża - zapewniam Rachel. - Aleksei przyrzekł, że będzie się trzymał z daleka, o ile nie otrzyma sygnału alarmowego. Jadę z panią. Proszę się uspokoić.

- Jak mogę być spokojna?

- Wiem, że to trudne, lecz przed nami długa noc.

Na ulicy stoi jej renault estate, tuż po przeglądzie i dokonanych zmianach. Usunięto z samochodu przednie siedzenie dla pasażera i wzmocniono przednie drzwi. Zainstalowano także telefon, który pozwoli mi podsłuchiwać rozmowy obu stron.

- Cokolwiek się stanie, musi pani pozostać w samochodzie. Dopóki będzie to możliwe, nie może pani pozwolić, aby skłonili panią do wyjścia. Proszę też nie rozglądać się za mną ani ze mną nie rozmawiać. Mogą nas obserwować. Jeżeli zadam pytanie, a odpowiedź będzie pozytywna, proszę uderzyć raz dłońmi o kierownicę. Jeżeli odpowiedź będzie negatywna, proszę uderzyć dwukrotnie. Rozumie pani?

Przytaknęła ruchem głowy.

Jeszcze raz powtórzyłem najważniejszą kwestię:

- O co zamierza pani ich prosić?

- Abym mogła zobaczyć Mickey.

- Kiedy chce pani dostarczyć okup?

- Kiedy odzyskam Mickey.

- Dobrze. Będą chcieli, aby pani ślepo wykonywała ich rozkazy, lecz trzeba bezwzględnie stawiać warunek zobaczenia niebudzących wątpliwości dowodów, że Mickey żyje...

- A jeżeli odpowiedzą, że zarówno włosy, jak i bikini świadczą o tym, że ona żyje?

- Odpowie pani, że dowody te o niczym nie świadczą i że chce mieć pani absolutną pewność.

- A jeżeli zażądamy, abym gdzieś zostawiła okup?

- Proszę tego nie robić. Proszę domagać się wymiany bezpośredniej - Mickey za diamenty.

- Jeżeli jednak się nie zgodzą?

- To nie będzie żadnej transakcji.

O godzinie 11.37 telefon dzwoni ponownie. W słuchawce słychać głos mężczyzny, nieco zmieniony urządzeniem zniekształcającym samogłoski. Dzwoniący instruuje Rachel, że powinna pojechać do ronda przy Hanger Lane, następnie skręcić w kierunku autostrady A40. Rachel trzyma komórkę oburącz i odpowiada raczej skinieniem głowy niż głosem. Nie waha się, bierze paczkę i idzie w kierunku drzwi.

Aleksei podążą za nią, nagle wyraźnie zaniepokojony. Nie wiem, czy życzy jej szczęścia w tym przedsięwzięciu, czy też chciałby ją zastąpić. Może zresztą obawia się tylko

o los diamentów. Po chwili otwiera drzwi samochodu i widzę Rosjanina za kierownicą.

Leżę na podłodze samochodu Rachel, mam ramiona wciśnięte pod deskę rozdzielczą, a nogi w tylnej części samochodu. Widzę tylko połowę twarzy Rachel. Patrzy prosto przed siebie, obie ręce ma na kierownicy, siedzi tak poprawnie, jakby zdawała egzamin na prawo jazdy.

Dzwoniący odłożył słuchawkę.

- Odpręż się. Możemy włączyć muzykę. Tylko raz uderzyła w kierownicę. Wybrałem kasetę.

- Wszystkie utwory wprawiają mnie w dobry nastrój z wyjątkiem melodii Neila Diamonda lub Barry'ego Manilowa. Mam swoją teorię, według której dziewięćdziesiąt procent zgonów w domach opieki to efekt ciągłego grania muzyki Neila Diamonda i Barry'ego Manilowa.

Rachel uśmiecha się.

Mam przyczepiony do kieszeni radiotelefon przenośny i siedemnastozłowy pistolet w kaburze pod lewym ramieniem. Przy prawym uchu mam mikroskopijny radioodbiornik, który pracuje na tych samych częstotliwościach co telefon w samochodzie Alekseia.

Mam także ciemny pled, którym mogę się przykryć, kiedy samochód staje na światłach, na skrzyżowaniach lub kiedy nas ktoś mija.

- Pamiętaj, nie patrz na mnie. Jeżeli chcesz zaparkować, staraj się unikać latarni ulicznych. Zatrzymuj się w miejscach ciemniejszych.

Rachel raz uderzyła dłońmi o kierownicę. Znowu dzwoni telefon komórkowy. Rachel sięga w dół i włącza głośnik.

W tle słyszę głos płaczącej dziewczynki. Słyszę także nadal zniekształcony głos mężczyzny, który krzyczy, aby dziecko było cicho. Rachel wzdryga się.

- Pani Carlyle, telefonowała pani na policję.

- Nie.

- Nie okłamuj mnie. Nigdy mnie nie okłamuj. Przed pięćmioma dniami odwiedził cię w pracy detektyw.

- Nie wzywałam go. Kazałam mu odejść.

- Co jeszcze mu powiedziałaś?

- Nic.

- Nie obrażaj mojej inteligencji.

- Prawdę mówię. Przysięgam. Mam okup. - Głos Rachel drży, lecz jest bardzo stanowczy.

Gdyby była to operacja policyjna, ustalilibyśmy, skąd dzwonią, zawężając sygnał do najbliższej stacji przekąźnikowej.

Dzwoniący prawdopodobnie znowu ruszył w drogę. Rozmawia przez telefon zaledwie parę minut.

- Muszę mieć pewność. Chcę zobaczyć Mickey - mówi Rachel. - Muszę wiedzieć, czy córka dobrze się czuje, w przeciwnym razie nie będę mogła przekazać okupu...

- ZAMKNIJ GĘBĘ! Nie targuj się.

- Nie chcę zachowywać się nierozsądnie. Chcę tylko wiedzieć, czy...

- Czy żyje? Nie słyszysz jej?

- Tak, ale... skąd mam wiedzieć...?

- No cóż, mógłbym wydłubać jej brązowe oko i wysłać do ciebie. Może też powinienem odciąć jej głowę i wysłać ci w paczce, żebyś mogła postawić ją na gzymsie kominka dla przypomnienia, JAKĄ JESTEŚ GŁUPIĄ KROWĄ!

Wszystko wokół wiruje. Widzę wzburzenie Rachel, która przez chwilę nie może wydobyć z siebie słowa.

- Pani Carlyle?

- Słucham.

- Czy jasno się wyrażam?

- Tak. Proszę jej nie krzywdzić.

- Uważnie mnie posłuchaj. Masz tylko jedną szansę. Jeżeli nie wykonasz mojej instrukcji, przerywam rozmowę. Jeśli będziesz obstawać przy swoim, przerywam rozmowę. Jeżeli schrzanisz całą sprawę, nigdy mnie już nie usłyszysz. Wiesz, co to znaczy?

- Tak.

- Okej. Zróbmy to jeszcze raz.

Co on ma na myśli, mówiąc „jeszcze raz”? Czy robił to już przedtem?

Zarówno ton jego głosu, jak i powolność wypowiedzi oraz sposób akcentowania sugerują, że nie jest to pierwszy raz, że ma w tym wprawę. Ogarnęło mnie przerażenie. Czuję, że Mickey nie wróci tej nocy do domu. Ona nigdy nie wróci do domu. Ci ludzie nie zawahają się zabić też Rachel. Co ja kombinuję? To zbyt niebezpieczne.

- Gdzie jesteś teraz?

- Ach, dojeżdżam do ronda.

- Objedź je trzy razy i wracaj drogą, którą przyjechałaś.

- Dokąd?

- Do ronda Prince Albert, Road blisko Regens Park.

Ronda stanowią przestrzeń otwartą i trudną do nadzorowania. Szantażyści zmuszają Rachel do objeżdżania ronda, aby mogli ustalić, czy ktoś za nią nie jedzie. Mam nadzieję, że Aleksei zdaje sobie z tego sprawę i trzyma się z daleka.

Teraz jedziemy z powrotem w kierunku West Endu. Z miejsca swego ukrycia widzę tylko ostatnie piętra budynków i wiszące lampy uliczne.

Przed nami jest gmach poczty, na niebie widzę smugę czerwonego światła; śmigłowiec bądź samolot.

Linia telefoniczna jest nadal otwarta. Podnoszę rękę i daję znak. Rachel uderza dłonią o kierownicę.

- Czy z Mickey wszystko w porządku? - pyta niepewnie.

- Tak, na razie.

- Czy mogę z nią rozmawiać?

- Nie.

- Dlaczego pan tak długo czekał? Mężczyzna nie odpowiada.

- Gdzie jesteś teraz? - pyta.

- Właśnie mijam meczet.

- Skręć w Prince Albert Road i jedź koło Regens Park.

Jest coś dziwnego w tym głosie. Niezależnie od technicznego zniekształcenia, słyszę w nim pewien akcent, być może mieszkańca południowego Londynu bądź wschodnich okolic sąsiadujących z miastem. Na górnej wardze Rachel widzę kropelki potu. Zlizuje je i patrzy prosto przed siebie.

- Jedź do Chalk Farm Road w kierunku północnym.

Przez szyby samochodu widzę pasma chmur na niebie rozjaśnionym poświatą księżyca. Widocznie jedziemy do Haverstock Hill w kierunku Hampstead Heath.

Dzwoniący wymienia skrzyżowania i liczy je.

- Belsize Avenue... Orman Road... Wedderburn Road... - I nagle mówi: - Skręć w lewo teraz, natychmiast! - Kolanami uderzyłem o drążek skrzyni biegów. Po pięćdziesięciu metrach krzyczy: - STOP! Wychodź z samochodu. Przynieś pizzę.

- Dokąd mam przynieść...? - pyta błagalnie Rachel.

- Idź ulicą i poszukaj samochodu, którego drzwi nie są zamknięte. Kluczyki są w stacyjce. Nie bierz ze sobą komórki. W samochodzie czeka na ciebie druga.

- Nie, nie mogę... - mówi Rachel.

- RÓB, CO CI KAŻĘ, ALBO ONA ZGINIE. Rozmowa została przerwana. Rachel zamarła w bezruchu, obie dłonie trzyma nadal na kierownicy.

- Czujesz się dobrze? - pytam.

Odpowiada pojedynczym uderzeniem w kierownicę.

- Czy widzisz kogoś? Uderza dwa razy.

- Co się dzieje za nami? Dwa uderzenia.

Usiłuję się podnieść, czuję skurcz w nogach. Znajdujemy się na ulicy trzypasmowej, prowadzącej do dużego skrzyżowania. Gałęzie drzew zasłaniają zaparkowane samochody.

Rachel chwyta klamkę.

- Czekaj! - mówię.

- Muszę iść, słyszał pan, co powiedział.

On dobrze zna to skrzyżowanie. Działa z pewnej odległości, jednak może znajdować się bardzo blisko albo też ta cała impreza została starannie zaplanowana. Czy mam zaryzykować i pójść z Rachel?

- Okej, weź okup i idź wzdłuż ulicy. Kiedy znajdziesz samochód, otwórz bagażnik.

Rachel zabiera z tylnego siedzenia pudełko od pizzy. Otwiera drzwi, światło wewnętrzne zostało rozłączone. Trzymając w ręku peryskop, robię najazd na Rachel i patrzę, jak się oddala, a jednocześnie obserwuje ruch na ulicy.

- Oscar Sierra, tu Ruiz. Rachel idzie do samochodu. Samochód docelowy zmienia się. Bądź czujny.

Rachel kolejno próbuje otworzyć drzwi każdego z zaparkowanych tam samochodów, po czym idzie dalej. Oddala się coraz bardziej. Wreszcie widzę zapalające się światło wewnątrz samochodu. Rachel wsiada i bierze nowy telefon komórkowy. Drzwi się zamykają, włączają się światła hamowania. Teraz albo nigdy - pomyślałem.

Wysiadam. Biegnę. Mam zeszywniałe nogi, biegnę chyba siłą woli. Chodnik jest nierówny, pozapadany i dziurawy, wykrzywiony przez korzenie drzew, trudno to zauważyć w głębokim cieniu.

Vauxhall odjeżdża mi sprzed nosa. W ostatniej chwili Rachel zauważa mnie w lusterku i zwalnia. Otwieram bagażnik, pochylam się i wpadam do środka. Pociągam z całej siły klapę, usiłuję ją zatrzaskać, spada na mnie, lecz, wbrew moim wysiłkom, nie zamyka się.

Znowu jedziemy. Zwinąłem się w kłębek, policzkiem przywarłem do nylonowej maty wyścielającej bagażnik i czuję, jak wali mi serce. Słyszę jedynie szum opon na nawierzchni drogi, nic poza tym.

Słuchawka z ucha opadła mi na pierś. Wkładam ją znowu i słyszę, jak Aleksei krzyczy po rosyjsku. Nie wie, za którym jechać samochodem. Na ulicy bowiem ruszają dwa: bmw, które zawraca na południe, do Fitzjohhn Avenue, i vectra zawracająca na północ.

Sądę, że usiłuje się ze mną skontaktować. Na mojej piersi dynda przenośny radiotelefon. Podnoszę się nieco i biorę go do ręki. Naciskam przycisk, lecz nikt nie odpowiada. Kiedy wtaczałem się do samochodu, musiałem aparat uszkodzić.

Aleksei nie będzie wiedział, za którym samochodem pojechać, dopóki nie oddzieli się od siebie na tyle, aby nadajnik mógł przekazać wiadomość, w którym samochodzie jest okup. Do tego momentu może jednak stracić nas z oczu.

Nie mogę temu zapobiec. Usiłuję natomiast przypomnieć sobie topografię Londynu, zastanawiam się, kiedy i gdzie powinniśmy skręcić i w jakim kierunku jechać. Tymczasem uciekają kilometry i minuty.

Ciężar pokrywy sprawia, że bagażnik jest zamknięty, dopóki nie wpadamy w dziurę, podczas podskoku nieco się uchyla. Podnoszę głowę i przez wąską szparę usiłuję zobaczyć cokolwiek. Widzę jedynie szary asfalt i czasami odbłysek lamp ulicznych.

Mając radiowy nasłuch, mogę monitorować Alekseia i Rosjanina. Bmw nie jest już brane pod uwagę. Jadą teraz w kierunku Kilburn, polegając wyłącznie na sygnale radiowym pochodzącym z paczek z okupem.

Przewróciłem się na plecy, jedną ręką podtrzymuję pokrywę bagażnika, drugą szukam lampki. Znajduję ją i wykręcam z gniazdka.

Samochód zatrzymuje się kilka razy i zawraca. Dochodzę do wniosku, że albo Rachel zgubiła ich, albo też oni zmuszają ją do pokonywania wciąż nowych przeszkód. Jedzie coraz szybciej. Ulice pustoszeją.

Samochód przejeżdża przez próg, zwalnia i zatrzymuje się. Czy to już? Wyjmuję pistolet z kabury i kładę go sobie na pierś.

- Łaskawa pani, proszę się zatrzymać. Tak pani pędziła, że wziąłem ją za amatora przejażdżki skradzionym samochodem. - To głos męski. Może to być funkcjonariusz straży miejskiej, który o tej porze niewiele ma do roboty. - Zgubiła pani drogę? - pyta.

- Nie. Szukam... szukam domu przyjaciela.

- Nie radziłbym kręcić się tutaj. Niech pani zawróci.

- Pan nie rozumie, muszę jechać!

Czuję, że zastanawia się, czy nie zatelefonować do przyjaciela przed podjęciem ostatecznej decyzji.

- Może nie wyraziłem się jasno - mamrocze tamten pod nosem.

- Ja muszę...

- Proszę trzymać ręce tak, abym mógł je widzieć - mówi. Obchodzi samochód, kopie w opony.

- Proszę pozwolić mi odjechać.

- Dlaczego pani się tak śpieszy? Ma pani kłopoty?

Czuję podmuch wiatru, odgłos łomoczących blach na jezdni. Gdzieś szczeka pies. Kiedy mężczyzna podochodzi do bagażnika, zauważa, że nie jest zamknięty. Usiłuje podnieść pokrywę.

W momencie kiedy unosi ją, wysuwam lufę pistoletu i celuję w jego krocze. Jest zaszokowany, bierze głęboki oddech.

- Utrudnia pan przeprowadzenie tajnej operacji policyjnej - syczę. - Proszę odejść i pozwolić tej pani odjechać.

Zanim przymknął pokrywę na powrót, zamrugnął oczami i kiwnął głową. Samochód ruszył. Strażnik podniósł rękę, jakby chciał nas pożegnać.

Popędziliśmy dalej. Wydawało mi się, że krążymy po ulicach dzielnicy przemysłowej.

Rachel za czymś się rozgląda. Zjeżdża z drogi na nierówne pobocze. Silnik gaśnie.

Zapanowała cisza, słyszę w niej tylko głos Rachel:

- Nie widzę słupa sygnalizacji świetlnej. Nie, nie widzę go. - Jest w rozpacz. - To tylko pusty plac... Chwileczkę! Widzę słup!

Drzwi się otwierają, czuję lekkie kołysanie samochodu. Nie chcę, aby Rachel odeszła daleko. Chcę, aby była blisko mnie.

Nie czas jednak na takie rozmyślenia. Mam nadzieję, że Ałeks-sei i Rosjanin są już na miejscu i zajmują swoje stanowiska.

Podnoszę powoli pokrywę bagażnika. Chcę wyjść, ale ciężko opadam na ziemię i natychmiast usiłuję schować się w cieniu. Leżąc, przywieram policzkiem do żwiru i błota.

Podnoszę głowę i w świetle reflektorów widzę sylwetkę Rachel.

Tuż przed nią na pustym placu stoi porzucona zamrażarka przemysłowa. Stalowe jej drzwi są poobijane kamieniami, lecz nadal odbijają światła lampy. Na zamrażarce ustawiono słup od sygnalizacji świetlnej.

Rachel idzie w tamtym kierunku, potykając się o kawałki cegieł i gruz. Dzinsami zahacza o wystające z ziemi kawałki kolczastego drutu. Usiłuje je omijać.

Jest teraz we wskazanym miejscu, tuż przed zamrażarką, prawie tak wysoką jak ona. Chwyta klamkę drzwiczek i otwiera je. Z wnętrza wypadają zwłoki dziecka, wyraźnie mokre. Rachel bezwiednie wyciąga ręce i otwiera usta w niemym okrzyku bólu.

Zrywam się i biegnę do niej. To najdłuższe w moim życiu czterdzieści metrów - to horyzontalny Everest - które przebiegam, dając z siebie wszystko. Rachel klęczy, obejmując zwłoki. Chwytam ją w pasie i podnoszę. „Ciało dziecka” jest niezwykle lekkie, nie waży

prawie nic i wydaje się puste w środku. Nakrycie głowy przykrywa oczy i kępkę włosów z wełny. To tylko lalka wielkości dziecka. Ma beżowego koloru tułów, beżowe kończyny dolne i górne, gruzłowatą łysą głowę i jest czymś napelniona.

- Rachel, proszę mnie posłuchać! To nie Mickey. To tylko kukła. Patrz! Widzisz?! Ma dziwny, niemalże pogodny wyraz twarzy, mechanicznie porusza powiekami. - Powoli i delikatnie odrywam palce Rachel od kukły i przytulam jej głowę do mojej piersi.

Do szyi lalki wełnianą niebieską nitką, taką samą jak włosy, przywiązana jest kartka. Każda jej litera zapaćkana jest czymś ciemnoczerwonym. Modłę się, aby nie była to krew.

Na kartce są cztery słowa napisane wielkimi literami: TO MOGŁABY BYĆ ONA!

Otulam Rachel marynarką i powoli prowadzę ją do samochodu. Nie wydała z siebie głosu. Nie reaguje też na to, co mówię. Patrzy przed siebie, wzrok ma utkwiony w jakimś punkcie bardzo oddalonym w przestrzeni lub czasie, odległym od niej o setki metrów bądź lat.

Z przedniego siedzenia biorę milczący telefon komórkowy. Coś we mnie krzyczy z poczucia bezsilności.

- Zadzwoń - mówię. - Siedź spokojnie i czekaj. Siadam obok Rachel i badam jej tętno. Mocniej otulam jej ramiona marynarką. Potrzebuje lekarza. Powinienem natychmiast tę wyprawę zakończyć.

Rachel przychodzi do siebie i pyta:

- Co się stało?

- Przerwali rozmowę i rozłączyli się - odpowiadam.

- Ale zadzwonią?

Nie wiem, co powiedzieć.

- Dzwonię po karetkę pogotowia - informuję.

- Nie!

To zdumiewające! Mimo szoku, jaki przeżyła, i odrętwienia reaguje, jakby coś w jej głowie nadal funkcjonowało sprawnie. Być może jakaś jedna komórka w mózgu, jak królowa w ulu chroniona przez rój pszczół, pracuje za pozostałe.

- Jeżeli mają Mickey, zadzwonią - mówi. A mówi z taką mocą i z takim przekonaniem, że nie potrafię zaprzeczyć.

- Okej. Poczekamy.

Skinęła głową i wytarła nos w rękaw marynarki. Reflektory samochodu nadal oświetlają ścieżkę biegnącą wśród chwastów i śmieci. W świetle reflektora mógłbym na tle tego nastrojowego światła wytyczyć prostą linię drzew i krzewów.

Pomyślałem, że spartaczyliśmy operację przekazania okupu. Co mogliśmy jeszcze zrobić? Spojrzałem na Rachel. Ma sine, drżące wargi. Jej zwisające luźno ramiona świadczą o tym, że w pionowej pozycji utrzymuje ją tylko układ kostny.

Otoczająca nas cisza wzmacnia odgłosy dobiegającego z oddali szumu pojazdów. Nagle telefon.

Rachel nie reaguje. Jej umysł broni się przed kolejnym wstrząsem. Patrzę na jarzący się ekran telefonu komórkowego i odbieram rozmowę.

- Pani Carlyle?

- Pani Carlyle nie może w tej chwili rozmawiać. Przerwa w rozmowie jest tak długa, że wystarczyłaby na napisanie książki.

- Gdzie ona jest? - Głos jest nadal zniekształcony.

- Pani Carlyle nie jest w stanie w tej chwili rozmawiać. Musi pan rozmawiać ze mną.

- Jest pan policjantem?

- Nie ma znaczenia, kim jestem. Możemy tę całą sprawę szybko zakończyć.

Dokonamy prostej wymiany - dziewczynka za diamenty.

Kolejna długa przerwa.

- Mam okup przy sobie. Albo załatwi pan tę sprawę ze mną, albo odjedzie.

- Dziewczynka umrze.

- Dobrze! Sądzę, że już nie żyje. Udowodnij, że się mylę. Ekran telefonu gaśnie.

Rozmówca przerywa rozmowę.

Jakby drzwi do mego umysłu nagle zatrzasnęły się. Ogarnia mnie uczucie desperacji, dociera do mnie podmuch wiatru. Nade mną klęczy Joe. Patrzymy na siebie.

- Pamiętam - mówię.

- Leż i nie ruszaj się.

- Przypomniałem sobie - powtarzam.

- Karetka pogotowia jest w drodze. Zachowaj spokój. Sądzę, że po prostu straciłeś przytomność - mówi Joe.

Wokoło nas policyjni nurkowie rzucają z Zodiaka butle z tlenem na nabrzeże. Od tego hałasu ciarki przechodzą mi po plecach. Na rzece widać już bardzo silne światła nawigacyjne, a wieże Canary Wharf jawią się w wodzie jak drapacze chmur.

Joe miał rację. Jeżeli będę usilnie dążył do przypomnienia sobie oderwanych szczegółów, nawet tych drobnych i najmniej istotnych, i podążał pewnymi wątkami wspomnień, te strużki odzyskiwanej pamięci zamienią się w rwący potok.

Wziąłem łyk wody z plastikowej butelki i usiadłem. Joe pozwala mi oprzeć się na

swym ramieniu. Nade mną widzę samolot, podchodzi do lądowania na Heathrow. Obok mnie klęka sanitariusz.

- Odczuwa pan ból w klatce piersiowej?

- Nie.

- Trudności z oddychaniem?

- Nie

Facet, który mnie bada, ma sumiaste wąsy i zalatuje od niego zapachem pizzy. Gdzieś go już widziałem. Odpina guziki mojej koszuli.

- Posłucham, jak bije pańskie serce - zapowiada. Chwytam go za przegub dłoni. Szeroko otwiera oczy, ma dziwny wyraz twarzy. Powoli patrzy na moją nogę, po czym spogląda na rzekę.

- Pamiętam pana - mówię.

- To niemożliwe. Był pan nieprzytomny. Nadal trzymam go kurczowo za rękę.

- Pan mi uratował życie.

- Nie sądziłem, że pan przeżyje - mówi. Skinął głową i uśmiechnął się nerwowo.

Zdejmuje zacisk maski z tlenem, sanitariusz bada mi ciśnienie krwi.

Ogarniająca mnie fala wspomnień ustąpiła na chwilę. To tak, jakbym wstrzymał oddech. Wiem, że powróci.

W świetle reflektorów widzę przepływające fale. Nowy Chłopak, Dave, ogroził nabrzeże policyjną taśmą. Rano powrócą tutaj nurkowie, aby kontynuować poszukiwania. Jak wiele jeszcze tajemnic kryje szlam na dnie rzeki?

- Chodźmy do domu - mówi Joe.

Nie reaguję na tę propozycję. Jestem bardzo zmęczony i ledwo mogę utrzymać się na nogach. Czuję, że odzyskuję pamięć. Nadal muszę dołożyć wszelkich starań, aby nastąpiło to jak najszybciej. Nie mogę już dłużej czekać.

Joe telefonuje do żony i powiadamia, że wróci późno. Dziwnie brzmi jej głos przez telefon. Jest to głos dobiegający z kuchni. Juliannę musi nakarmić dzieci. My zaś musimy jedno dziecko odnaleźć.

Odjeżdżamy, zostawiamy Tamizę za sobą. Opowiadam Joemu o tym, co zapamiętałem - o rozmowach telefonicznych, lalce wielkości małej dziewczynki oraz fiasku całej operacji, a także o ostatniej rozmowie telefonicznej. Wszystkie te wspomnienia mają jakieś znaczenie, spełniają jakąś rolę, wszystkie układają się w pewien wzór: w tym wzorze są diamenty, urządzenia do śledzenia ruchu przedmiotów, karton na pizzę...

Zaparkowaliśmy samochód na tej samej opuszczonej działce, naprzeciwko porzuconej

zamrażarki przemysłowej. Na jej drzwiach widzimy odbłask reflektorów samochodu. Lalki już nie ma, natomiast słup sygnalizacji świetlnej leży w zielsku.

Wychodzę z samochodu i idę ostrożnie w kierunku zamrażarki. Joe, jak zwykle, cztery kroki za mną. Ma na sobie lnianą kurtkę, jakby wybierał się na safari.

- Gdzie była Rachel? - pyta.

- Została w samochodzie. Nie mogła się ruszyć.

- Co się stało potem?

Wyteżam pamięć, usiłując odtworzyć zdarzenia. Nagle przypominam sobie.

- Ten facet musiał zadzwonić. Ten, który odłożył słuchawkę. Zatelefonował jeszcze raz.

- Co powiedział?

- Nie wiem. Nie pamiętam. Chwileczkę! Spojrzałem na swoje ubranie.

- Ten człowiek chciał, abym zdjął buty, lecz nie zrobiłem tego. Pomyślałem, że nie mógł mnie obserwować, na pewno nie przez cały czas. Powiedział, abym szedł prosto przed siebie i minął zamrażarkę.

Relacjonując, cały czas idę. Przed nami leżą zwoje drutu kolczastego, a dalej Bakerloo Linę.

- Słyszałem przez telefon głos płaczącej dziewczynki.

- Jesteś pewien?

- Tak, słyszałem jej głos w tle.

W miarę jak oddalamy się od samochodu Joego, odbłask przednich świateł jest coraz słabszy. Moje oczy powoli przyzwyczajają się do ciemności, lecz umysł płata mi figle. Cały czas widzę w tym mroku postaci kucające i kryjące się za drzewami.

Na fioletowym niebie nie widzę gwiazd. Tęsknię za wzruszeniami, jakich doznawałem, mieszkając na wsi - za patrzeniem w gwiazdy, za wszechogarniającą ciszą, za szronem pokrywającym w zimie pola niczym świeżo uprana pościel.

- Przed nami jest ogrodzenie składające się z łańcuchów. Skręciłem w lewo i szedłem do kładki dla pieszych. Ten facet przekazywał mi przez telefon instrukcje.

- Rozpoznałeś wówczas jego głos? - pyta Joe.

- Nie.

Pojawia się ogrodzenie, dzielące ciemności na coś, co przypomina czarne diamenty i srebrne ramy. Skręcamy i idziemy wzdłuż tego ogrodzenia do łukowatego pomostu dla pieszych nad torami kolejowymi. Huczy generator, a brygada naprawcza pracuje w świetle reflektorów.

Będąc w połowie kładki, spoglądałam na srebrne taśmy policyjne.

- Rzuciłeś okup z mostu? - pyta Joe.

- Nie. To właśnie tam zadzwonił telefon. Szedłem zbyt wolno. Śledzili moje ruchy. Telefon komórkowy musiał mieć zainstalowane urządzenie do określania położenia przedmiotów. Ktoś na ekranie komputera śledził moje ruchy.

Obaj rozglądaliśmy się za jakimiś śladami owego wydarzenia, jakby miały stanowić odpowiedź na nurtujące nas pytania. Wiatr przyniósł zapach spalanego węgla i detergentów. W mojej głowie zapanowała cisza, nie słyszę żadnych głosów, żadnych podszeptów.

- Rozszyfrowanie tej zagadki wymaga czasu - mówi Joe.

- Nie, nie mam już czasu. Muszę sobie wszystko przypomnieć.

Joe wyjmuje telefon komórkowy i wybiera jakiś numer. Mój telefon zadzwonił. Otwieram go, a Joe odwraca się do mnie plecami.

- Dlaczego się zatrzymałeś? IDŹ! Powiedziałem ci, dokąd masz pójść.

Joe odtwarza sytuację, w jakiej się niedawno znalazłem. Ten zabieg przywraca mi obraz tego, co się niedawno wydarzyło w tym miejscu. Joe znowu odniósł sukces, umożliwił mi powrót do przeszłości.

- Będzie tam Mickey?! - krzyczę do słuchawki telefonu.

- Zamknij się i idź!

Dokąd? To niedaleko. Samochód zaparkowany jest po tamtej stronie stacji! Ruszaj!

Biegnę, szybko schodzę po schodach. Joe nie może dotrzymać mi kroku. Nie bardzo wiem, dokąd idę, lecz pamiętam tę ścieżkę wzdłuż torów kolejowych. Wyżej znajduje się stalowe ogrodzenie, oddzielające ją od torów.

Zerwał się wiatr, szarpie ogrodzeniem i zmiata śmieci pod moje nogi. Na ścieżce pojawia się światło, widzę więcej. Zauważam, że ścieżka wychodzi na opuszczony parking. Na jego środku stoi samotna latarnia. Jej słup rzuca żółty cień na asfalt. Pamiętam, że pod nią był słupek drogowy. Biegłem w jego stronę, trzymając pod ręką karton z okupem. Ten plac wydawał mi się bardzo dziwny, zbyt pusty i otwarty.

Joe dogonił mnie. Stoimy pod latarnią. Pod moimi stopami widać metalową kratę.

- Ten mężczyzna kazał mi wrzucić paczkę do kanału ściekowego.

- Co zrobiłeś? - pyta Joe.

- Powiedziałem, że chcę zobaczyć Mickey. Groził, że odłoży słuchawkę. Spokojnym głosem powiedział jednak, że Mickey jest bardzo blisko.

- Gdzie?

Odwracam głowę. Trzydzieści metrów od miejsca, gdzie stoimy, widać wlot kanału.

- Powiedział, że tam, na dole... Mickey czeka na mnie. Podeszliśmy z Joem do kraty, zajrzeliśmy do środka tunelu. Strone betonowe ściany pokryte były rysunkami graffiti.

- Nie mogłem jej zobaczyć. Było zbyt ciemno. Wykrzyczałem jej imię: Mickey, słyszysz mnie? Krzyczałem do telefonu. Nie widzę jej. Gdzie ona jest? Jest w kanale - odpowiedział. - Gdzie? Krzyknąłem ponownie: Mickey, jesteś tam?!

Joe podtrzymuje mnie. Obawia się, że mogę wpaść do kanału. Równocześnie jednak usilnie chce, abym przypomniał sobie te wydarzenia, abym krok po kroku odtworzył ówczesną sytuację.

- Pokaż mi, jak to było - mówi.

W studziencie prowadzącej do kanału tkwi przy ścianie stalowa drabinka. Jej szczeble są lodowate. Joe schodzi za mną. Pomyślałem, że nie mógłbym wówczas nieść pudełka z okupem i jednocześnie trzymać w rękach automatycznego pistoletu. Pistolet wsadziłem więc do kabury, a pudełko miałem pod pachą.

- Mickey, słyszysz mnie?

Nogami dotknąłem dna. Na pobliskim murze widzę cień kanału dopływowego. Musiała być w tym kanale. Było to jedyne miejsce, gdzie mogli ją ukryć.

- Michaela! - wołam.

Usłyszałem przytłumione dudnienie jak odgłos grzmotu z oddali. W nogach odczułem jego drżenie. Chwyciłem za broń, lecz zawahałem się.

- Mickey...?

Wiatr rozwiewa mi włosy, słyszę odgłos przypominający dudnienie pociągu w tunelu. Czy tupot kopyt końskich. Rozglądałem się, wypatrując Mickey. Dudnienie nasilało się, zbliżało się do mnie... Była to fala nadbiegająca z ciemności.

Drzwi znów się otwierają, świat jawi się w hałasie i ruchu. Wydaje mi się, że nie podlegam już działaniu siły ciężenia. Unoszę się w powietrzu, przewracam się, w uszach słyszę ryk oceanu. Podnoszę głowę, łyk powietrza i znowu zanurzam się pod wodę, w ciemność.

Całkowicie zdezorientowany nie mogę wypłynąć na powierzchnię. Wciąga mnie silny nurt. Czepiam się kurczowo oślizłych ścian, mam pościerane dłonie i połamane paznokcie.

Kilka sekund później zapadam się w kolejny pionowy szyb. Ledwo dysząc, wpadam w szlam i ludzkie odchody. Jestem w zalanym kanale wypełnionym gazami i rozkładającymi się nieczystościami. Chyba skonam tutaj.

Nad sobą widzę odbłysek światła i żelazne kraty. Palcami rozpaczliwie chwytam stalowe pręty. Woda dochodzi mi już do szyi, zalewa usta.

Resztkami sił trzymam usta i nos nad powierzchnią wody, usiłuję wypchnąć kratę. Nawet nie drgnie. Siła płynącej wody sprawiła, że znalazłem się w pozycji poziomej.

Poprzez kraty widzę światło. Poruszających się ludzi, pieszych. Coś rozpaczliwie wykrzykuje. Nie słyszą mnie.

Ktoś schodzi z chodnika i wrzuca niedopałek papierosa do kratownicy. Na oko spada mi dopalający się pet.

- Pomocy! Pomocy!

Coś łązi po moim ramieniu. To szczur, czuję jego pazury. Czuję także dokuczliwy szczurzy odór i widzę szczurze zęby. Moim ciałem wstrząsają dreszcze. Wokół mnie pełno szczurów w zakamarkach i dziurach.

Palce mi drętwieją, nie mam już siły trzymać się prętów. Nurt wody w kanale jest zbyt silny. Przypomina mi się Lukę. Był młody, silny, miał zdrowe płuca, mógł dłużej niż ja wytrzymać pod wodą, lecz nie pod lodem. Był małym, upartym urwisem. Czasami w chwilach złości tarmosiłem go, chciałem, aby mi ustąpił, aby się poddał...

- Poddajesz się? - pytałem. Mając oczy pełne łez, odpowiadał:

- Nigdy!

- Poddaj się, a nie będę cię tarmosił.

- Nie.

Pełen podziwu dla jego zawziętości proponowałem rozejm, lecz on nie chciał skapitulować.

- Okej, okej, wygrałeś - mówiłem wówczas zniechęcony tą niemądrą zabawą i zawstydzony własną zawziętością.

Nie mam już siły trzymać się prętów. Spadam, twarzą uderzam w wodę, wdycham opary siarki. Pochłaniają mnie ciemności. Silny nurt wody przewraca mnie i wciąga do większej rury kanalizacyjnej.

Nie wiem, co się stało z okupem. Popłynął wraz z moimi butami. A co się dzieje z Mickey? Jest w wodzie za mną czy gdzieś z przodu? Zaglądając do rury kanalizacyjnej, słyszę słaby krzyk. Może to wiatr albo pisk szczurów?

A więc tak to się wszystko kończy - pomyślałem. Pochłonie mnie cuchnąca woda i ludzkie odchody. Jak żyłem, tak i skończę. Żyłem z ludzkich brudów, zarabiałem na życie jako policjant, rozprawiałem się ze złodziejami, oszustami, mordercami, babrałem się w ludzkim bagnie. Teraz jestem łowcą szczurów, myśliwym polującym w kanałach ściekowych, larwą wijącą się w szlamie. Przestępców rodzi także nędza, ignorancja i niesprawiedliwość, ja ich zamykałem, izolowałem, aby syta i dobrze mająca się część społeczności nie czuła

zapachu ich moralnej zgnilizny, a nade wszystko aby nie musiała się ich bać.

Ramieniem uderzam o coś twardego, zalewa mnie silny strumień wody. Głęboko oddycham, zataczam się od ściany do ściany, usiłuję znaleźć jakiś uchwyt, przewracam się i wpadam do pochylni bądź jazu.

Całkowicie oślepiiony zanurzam się w jakimś rozlewisku. Nie wiem, jak się stąd wydostać. Być może brnę w stronę jeszcze większego niebezpieczeństwa. Ręce mam już na powierzchni wody, lecz silny prąd z przeciwka zatrzymuje mnie.

Wir kręci mną w koło i wciąga w głębinę. Łaknę powietrza, lecz woda mnie zmoęła.

Koniec już blisko. Jestem wewnątrz wąskiej rury kanalizacyjnej, ledwo się w niej mieszczę. Nie ma tam żadnego wgłębienia, czegoś w rodzaju poduszki powietrznej. Czuję, jakby moją klatkę piersiową opasywały kable, coraz bardziej się zaciskając.

Brakuje mi powietrza. Czuję skutki dwutlenku węgla we krwi. Instykt samozachowawczy, który mówi mi, aby ograniczyć oddychanie do minimum, poddaje się wobec męczarni braku powietrza. Mam otwarte usta, nieostrożny wdech napelnia moją tchawicę wodą. Zakrztusiłem się. Czuję wodę w płucach. Jestem bezsilny jak niemowlę tuż po przyjściu na świat.

Nie ocieram się już o ściany. Porywa mnie inny prąd, przewraca jak liść na wodzie pędzony wiatrem.

Czuję, że umieram, lecz nie godzę się z tą myślą. Nade mną - lub być może pode mną - dostrzegam zielone światło. Wzbiera we mnie przemożna chęć walki o życie, czuję, że podnoszę się na wodzie, całą siłą mięśni usiłuję wypłynąć na powierzchnię; podnoszę rękę, jakbym chciał przyciągnąć to światło do siebie. Wygląda ono jak świecznik na końcu długiego stołu. Te ostatnie kroki wydają się niemożliwe do pokonania.

Wydostałem się, wymiotuję wodą i flegmą, po raz pierwszy zaczerpnąłem powietrza. Oślepia mnie snop światła. Coś chwyta mnie z tyłu za pas, podnosi do góry i wciąga na drewniany pokład. Silne ręce ugniatają mój żołądek. Ktoś pochyla się nade mną, wyciera mi policzki i szyję. To Kirsten Fitz-roy!

Zwisam na jej ramieniu. Wyciera mi głowę. Odsuwa włosy spadające na czoło.

- Jezu, jesteś zwariowanym idiotą! - mruczy pod nosem, znowu wycierając moje usta.

Nadal mam skurcze żołądka i nie mogę wydobyć z siebie głosu.

Silnik łodzi pracuje na jałowym biegu. Czuję wydzielające się opary i widzę przyćmione światło na kokpicie. Spragniony powietrza, oddycham głęboko. Odwracam głowę i poznaję klęczącego obok mnie ubranego na czarno Raya Murphy'ego.

- Powinniśmy pozwolić, żeby się utopił - mówi Ray do kogoś.

- Nikt nie miał przecież doznać krzywdy - odpowiada Kirsten.

Sprzecząją się, lecz Kirsten nie słucha tego, co mówi Ray.

- Gdzie jest Mickey? - szepczę.

- Szs... odpręż się - mówi Kirsten.

- Czuje się dobrze? - pytam.

- Nic mu nie mów! - grozi jej Murphy.

Mały czerwony punkcik skacze po jego czole w takt jakiejś piosenki. Ułamek sekundy później z gardła mężczyzny dobywa się dźwięk, jaki wydaje przebity wodny balon. Połowa jego głowy znikła w drobinach rozpryskującej się krwi i pokruszonych kości. Znikło także jedno oko. Jeden policzek i połowa szczęki nie istnieją.

Sekundę później słyszę świst kuli.

Kirsten krzyczy rozdzierająco. Ma szeroko otwarte oczy jak przerażone dziecko. Jej policzki zalewa krew.

Na mnie leży ciało Murphy'ego, z głową na piersi. Usiłuję je zrzucić, odpycham nogami, zsuwam na pokrwawiony pomost.

Kirsten nie rusza się, sparaliżowana szokiem. Odwracam się i pełnę w jej stronę.

Kula przebija mi udo. Rana wejściowa jest niewielka, przebicie nie większe od małego palca, lecz pocisk, wychodząc na zewnątrz, spalił skórę i mięsień, pozostawiając ranę wielkości dużego pieroga. Mimo piekącego bólu ogarnia mnie zdumienie. To tak jakbym był pod silnym wrażeniem widoku wysadzanego w powietrze budynku lub zderzenia samochodów.

Następna kula świsnęła mi nad uchem i wbiła się w deski pomostu tuż obok mego prawego kolana. Ten, kto strzela, jest nad nami. Turlam się po pokładzie zalanym krwią. Usiłuję dotrzeć do Kirsten i ściągnąć ją poniżej poziomu drewnianych poręczy.

Znajdująca się nad naszymi głowami część burty z wypolerowanego drewna rozprysła się od pocisków, drzazga wbiła się w szyję Kirsten, która znowu krzyczy.

Odpiąłem pasek od spodni i zacisnąłem nim górną część uda, aby powstrzymać krwawienie.

Leżące obok mnie ciało Raya Murphy'ego drgnęło, kiedy pocisk przebił jego udo i uderzył w pokład. Dalej, niemalże przy jego nogach, widać sieć rybacką, zawieszoną na długim słupie. W oczkach sieci widzę kilka plastikowych paczuszek - to okup.

Ktoś w sterowni usiłuje uruchomić silnik i odpłynąć, lecz rufa łodzi przycumowana jest do pala. Ręką sięgam pod pachę po pistolet i wydaję go z kabury. Patrzę na Kirsten. Jest w głębokim szoku, lecz słucha moich poleceń.

- Nie możemy tutaj zostać! Pani musi schronić się w sterowni. Szybko, natychmiast!

Kirsten przytaknęła głową.

Przeciągnąłem ją przez pomost, zauważyłem, że ma zakrwawioną halkę. Odwróciłem się i leżąc na pomoście, wyjąłem pistolet i po omacku wycelowałem w niebo. Kiedy nacisnąłem spust, nic się nie wydarzyło.

Kirsten obróciła się i leży na boku. Ułamek sekundy później słyszę świst kuli. Koło jej palców tryska krew, lecz ona porusza się nadal.

Pojawienie się dwóch celów rozprasza strzelca, lecz muszę coś zrobić z reflektorem przymocowanym do słupa w samym środku pomostu, wykonanym z mosiądzu i chromu.

Biorę pistolet i trzymam go jak uchwyt młotka. Chroniąc się za ciałem Murphy'ego, czołgam się pod reflektor, rozbijam żarówkę. Światło gaśnie. Przez chwilę przed sobą widzę jakiś cień, potyka się o moje stopy. To Gerry Brandt chwiejnym krokiem idzie do paczek z diamentami. Uderzam go w pachwinę i przewracam. W miejscu gdzie przed sekundą był Brandt, rozpryskuje się pocisk. Brand zawył i spojrzał na mnie wściekłym wzrokiem. Ocaliłem temu dupkowi życie, a on w taki właśnie sposób wyraża wdzięczność.

Jego twarz wyraża szok i zaskoczenie. W środku jego klatki piersiowej pojawia się czerwona plama. Nawet w tych ciemnościach snajper widzi nas. Widocznie ma teleskop podczerwieni zamontowany na karabinie.

Gerry patrzy na swoją klatkę piersiową, potem spogląda na mnie. Chyba umrze. Turla się, obok niego padają strzały. Za siatką i paczkami wstaje i znowu pada. Znika za rufą, lecz pracujący na pełnych obrotach silnik zagłusza plusk wody. Jakbym widział jego ciało spadające prosto na śrubę silnika.

Kirsten jest przy sterze, dodaje gazu. Łódź nadal jest przycumowana. Silnik pracuje, łódź wrywa się. Łódź ma dwa silniki wielkiej mocy, które teraz ciągną nas w dół. Turlając się po pokładzie, usiłuję odczepić cumę. Sznur wżyna się w moje palce. Łódź zaczyna pędzić, lecz zamiast oddalać się od kamiennego nabrzeża, płynie wprost na nie. Po chwili uderza w jego kamienną obudowę.

- Do cholery, co ona robi!

Łódź, zanim wypłynie na otwarte wody, zderza się z zatopionym w wodzie słupem. Nie widzę nikogo przy sterze. Dokąd ona płynie? Łódź zatacza koła. Strzelec czeka na dogodną chwilę, aby wziąć mnie na muszkę. Czołgając się i turlając na pokładzie w stronę sterowni, zaparłem się plecami o zewnętrzną stronę balustrady. Wspiąłem się, uchwyciłem palcami za obudowę iluminatora, zobaczyłem szklane okno.

Nikogo nie widzę. W tym samym momencie mgiełka drobnych kropelek krwi

zasłoniła mi oczy. Zniknął mój palec wraz ze ślubną obrączką. Pocisk o dużej szybkości dokonał amputacji palca. Odsunąłem się i upadłem na pokład łodzi. Strzelec musiał być gdzieś wyżej na moście bądź budynku.

Teraz na pewno celuje w silnik bądź pojemnik z paliwem. Silny nurt wody obraca sterem, dryfujemy wraz z falą przyływu. Wkrótce będziemy poza zasięgiem strzału. Wysysam krew z kikuta palca. Nie bardzo krwawi. Gdzie jest Mickey? Czy jest na dole? Nie mogę jej tam zostawić.

Słyszę głos - głos innego silnika. Oparłem się o barierkę, podnoszę się, patrzę przez rozbite szkło iluminatora. Nie widzę żadnych świateł nawigacyjnych. Natomiast powoli dostrzegam sylwetkę łodzi. Ktoś stoi na dziobie łodzi z pistoletem w ręku.

Mogę tu pozostać bądź szukać ratunku w nurcie rzeki. Wystarczy ułamek sekundy, aby podjąć właściwą decyzję.

Widzę Kirsten na dziobie, przykrytą plandeką. Nie widzę jej twarzy, jedynie sylwetkę, chce wstać, lecz upada. Ponawia próbę, ale przewraca się. Słyszę plusk wody, krzyk mężczyzn oraz uderzenie kul w powierzchnię wody.

Łódź jest coraz bliżej. Mam sprawną tylko jedną nogę. Odpychając się od barierki, kuśtykam w stronę poręczy. Nagle przenika mnie dreszcz lodowatego zimna. Nie wiem, jak to się stało, że jestem cały mokry.

Podskakując na zdrowej nodze, obejmując ciało ramionami, czuję, że słabnę, że zaraz się wykrwawię i stracę przytomność, zanurzam się w otchłani ciemności. Niech o moim losie rozstrzygnie rzeka.

Joe podtrzymuje mnie. Coraz bardziej przyzwyczajam się do widoku jego twarzy. Kładzie moje ręce na swoje ramiona, obejmuje mnie wpół.

- Chodźmy stąd - mówi.

- Pamiętam.

- Tak, pamiętasz.

- A co z Mickey?

- Nie ma jej tutaj. Znajdziemy ją. Wychodzę ze ścieku. Kuśtykając, idziemy przez parking.

Z daleka od lampy para nastolatków, chłopak i dziewczyna, siedzą w zaparkowanym samochodzie. Zastanawiam się, co ci młodzi myślą, widząc idących pod rękę dwóch mężczyzn. Zał stanawiają się, czy ci dwaj są pijani, czy też to kochankowie? Niewiele mnie to obchodzi.

W końcu jednak odtworzyłem w pamięci to wszystko, co się wydarzyło. Z wielką

nadzieją czekałem, że to się stanie. Nawet się tego obawiałem. A jeżeli kogoś zastrzeliłem? Lub trzymałem Mickey w ramionach i straciłem ją w nurtach rzeki? Miewałem koszmary senne, ponieważ nie znałem prawdy.

Była prawie dziesiąta, kiedy dotarliśmy do Primrose Hill. Na obrzeżach kotary widzę odbłask żółtego światła, żar buchający z kominka napętnia ciepłem poczekalnię.

- Dzisiaj będziesz tutaj nocował - oznajmia Joe.

Chcę powiedzieć „nie”, lecz nie mam siły na sprzeciw. Nie mogę pójść do domu ani do mieszkania rodziców Ali. Jestem jak zakaźna choroba, wszystkich wokół siebie zakażam. Nie pozostanę tu jednak długo, tylko przez tę noc.

Nadal mam wrażenie, jakbym był pod wodą, nie mogę oddychać. Czuję odór kanałów ściekowych i szarozieloną wodę obmywającą mi nogi. Za każdym takim odruchem biorę głęboki oddech. Joe patrzy na mnie. Myśli, że mam atak serca.

- Powinienem zawieźć cię do szpitala na badania.

- Nie. Musimy porozmawiać. - Muszę powiedzieć Joemu o wszystkim, co sobie przypomniałem.

Joe podaje mi drinka i prosi, abym usiadł. Nagle sztywnieje. Zanim zdążył zająć miejsce, przez ułamek sekundy wygląda jak posąg. Jednakże po chwili siada. Uśmiecha się do mnie skruszony.

Na kominku stoją zdjęcia całej rodziny. Najmłodsza dziewczynka ma twarzyczkę okrągłą jak księżyc w pełni i jasny lok na czole. Jest bardziej podobna do Joego niż do Juliannę.

- Gdzie jest twoja urocza żona? - pytam.

- Już w łóżku. To ranny ptaszek.

Joe pochyla się, wsuwając ręce między uda. Opowiadam mu o swoich przejściach w kanałach i o tym, co się zdarzyło na łodzi. Pamiętam Kirsten Fitzroy ścierającą z moich ust wymiociny i ciężar przygniatającego mnie ciała Raya Mur-phy'ego. Jego krew spływała na moją szyję koło grdyki. Pamiętam świst kuli i widzę turlającą się po pokładzie Kirsten.

Jedne wspomnienia ożywiają inne - te przelotne wspomnienia usiłuję utrwalić w pamięci. Przypominam sobie Ger-ry'ego Brandta, idącego na rufę, sylwetkę uzbrojonego bandyty, mój odstrzelony palec... Wspomnienia tych wydarzeń wypełniają moją pamięć. Teraz rzeczywiste jest tylko to, co się wydarzyło owej nocy. Nawet w tej chwili, kiedy usiłuję to wszystko wyjaśnić Joemu, odczuwam wewnętrzne przerażenie i ubolewam, że musiałem się z tym wszystkim zmierzyć. Gdybym tylko mógł tym tragicznym chwilom zapobiec. Gdybym mógł to wszystko cofnąć...

Ray Murphy pracował dla zarządu londyńskich wodociągów i kanalizacji. Doskonale znał wejścia do kanałów i spustów ściekowych uruchamianych podczas sztormów i ulewnych deszczów, ponieważ był kanalarzem i brał udział w planowaniu akcji przeciwpowodziowych. Wiedział, jak można uszkodzić magistralę wodną, aby spowodować powódź. Winę za uszkodzenie magistrali można przypisać wybuchowi metanu lub wyciekowi gazu i nikt nie podjąłby się śledztwa, aby ustalić rzeczywiste przyczyny eksplozji.

Stacje radiowe i satelitarne urządzenia śledzące są nieużyteczne pod ziemią, a prawdopodobnie nikt nie zechciałby przeprowadzać wizji lokalnej w kanale ściekowym. Ray Murphy być może wiedział także o podziemnej rzece przepływającej pod kamienicą Dolphin. On i Kirsten zapewnili sobie wzajemnie alibi w dniu, w którym zaginęła Mickey. Kiedy jednak w tej operacji pojawił się Geny Brandt? Być może do realizacji swego planu potrzebowali trzeciej osoby.

- Nadal jednakże nie możesz mieć absolutnej pewności, że to oni uprowadzili Mickey
- mówi Joe. - Nie ma na to bezpośrednich dowodów. - Zauważyłem ruch jego ramienia wywołany porażeniem spastycznym. - To może jednak być mistyfikacja. Kirsten miała dostęp do mieszkania Rachel. Mogła wziąć włosy Mickey i przeliczyć zawartość jej skarbonki. Jeżeli jednak uprowadzili ją przed trzema laty, to dlaczego tak długo czekali z żądaniem okupu?

- Może w całej tej sprawie wcale nie chodzi o okup, a przynajmniej nie chodziło z początku. Pan Douglas Car-lyle powiedział wyraźnie, że zrobi wszystko, aby zapewnić bezpieczeństwo wnuczce. Wiemy, że najął Kirsten, aby szpiegowała Rachel. Poza tym zbiera! dowody, aby możliwe było wystąpienie o przyznanie opieki nad wnuczką. Prawnicy powiedzieli, że sąd nie przyzna mu prawa do opieki nad małą. Być może więc wziął rozwiązanie tej sprawy w swoje ręce?

- A co z ręcznikiem Mickey znalezionym na cmentarzu? Zacząłem intensywnie rozmyślać. Może w to przestępstwo wrobili Howarda? Może poplamili ręcznik krwią Mickey i porzucili go na cmentarzu? Reszty dokonała policja i sąd, przyjmując fałszywe założenia.

- Nadal nie masz dowodu, że Mickey żyje.

- Wiem o tym.

Joe, patrząc w stronę kominka, zadał pytanie skierowane raczej do płonącego ognia niż do mnie.

- Dlaczego żądanie okupu przekazano teraz?

- Chciwość - odparłem.

To motyw w pełni dla mnie zrozumiały. Joe może mieć doświadczenie z psychopatami i sadystami i może rozumieć motywy ich postępowania, ja z kolei najłatwiej rozszyfrowuję te

najprostsze i najbardziej powszechne motywy przestępstw, jakie dają o sobie znać niemalże codziennie.

- Kto strzelał? Kto pragnął śmierci tych ludzi?

- Ktoś, kto chciał zapewnić sobie ich całkowite milczenie lub chciał ich ukarać - szepnąłem, kołyszac się w fotelu. - Na przykład Sir Douglas. Jeżeli zorganizował porwanie Mickey, mógł być szantażowany, może też mu grożono.

- Jakie jeszcze przyczyny i okoliczności mogły doprowadzić do tej strzelaniny? Wiem, że nie masz jego na myśli.

- Aleksei.

- Powiedziałeś, że owej nocy jechał śladem twoim i Rachel.

- Chciał się upewnić, jaki będzie los diamentów.

Joe czeka na bliższe wyjaśnienia. Wiem, że już doszedł do pewnych wniosków, lecz chce, abym przedstawił mu swoje argumenty.

- Aleksei nie zamierzał beczynnie przypatrywać się, jak ktoś zabiera mu spod nosa dwa miliony funtów. Obojętnie, czy Mickey uprowadzono, czy też nie, czy żyła, czy została zabita, ktoś musiał za wyłudzenie okupu zapłacić. Przypomnij sobie, co zrobił ze swoim bratem.

- Czy jego plan zemsty przewidywał także zabicie ciebie?

- Nie. Nie miało mnie być na tej łodzi. Nikt nie przypuszczał, że ktoś wejdzie do kanałów ściekowych, aby ustalić, co dzieje się z okupem.

- A ten zamach na ciebie w szpitalu? Moja pamięć tak daleko nie sięga.

- Nie wiem - odparłem. - Nie zastanawiałem się jeszcze nad tym. Może ten ktoś obawiał się, że zorientuję się, co się wówczas stało, lub być może sądził, że coś wtedy zauważyłem...

Nadał nie potrafię wyjaśnić, w jaki sposób diamenty znalazły się w końcu w mojej bieliźniarce. Wiem, że były w kartonie po pizzy. Karton widziałem na pokładzie „Charmaine”. Niektóre fakty układają się w logiczną całość, lecz nie wszystkie.

Będę musiał przekonać władze policji londyńskiej o konieczności wznowienia śledztwa. Tu już nie chodzi o skazanie Howarda Wavella na karę dożywotniego pozbawienia wolności. Owszem, on powinien być izolowany, lecz nie z powodu popełnienia tego przestępstwa. Prawdziwym potworem jest Aleksei.

Dreszcze przechodzą mi po plecach, czuję ogromne zmęczenie. Zaczyna się właśnie mój nowy dzień, nie pamiętam natomiast, kiedy skończył się wczorajszy. Całą noc brodziłem w kanałach ściekowych i patrzyłem na czerwone kropki tańczące na murach kanalizacji.

W kuchni Juliannę wita mnie promiennym uśmiechem.

- Jak się czujesz? - pyta. i Po wczorajszych doświadczeniach uszło ze mnie nieco życia, lecz na to grzecznościowe pytanie nie odpowiadam. Z wdzięcznością natomiast rozkoszuję się kubkiem gorącej kawy.

- Gdzie dziewczynki? - pytam.

- Joe zawiózł Charlie do szkoły, a przy okazji zabrał Emmę na przejażdżkę - odparła.

Jej jasnyniebieskie oczy patrzą na mnie łagodnie, lecz zarazem karcąco, jak oczy kogoś, kto jest głęboko przekonany, że poza małżeństwem nie istnieje szczęśliwe życie. Mając na sobie szkarłatną spódniczkę i lekki pulower, Juliannę wygląda jak zwykle prześlicznie. Potrafię ją sobie wyobrazić spacerującą bosą po plaży w ciepłym kraju, z bobasem siedzącym na jej smukłym biodrze. Ten profesor to prawdziwy szczęściarz.

Otwierają się drzwi frontowe. Joe niesie na jednym ramieniu Emmę, a pod pachą poranne gazety. Juliannę odbiera małą, całuje ją w nos i czochra jej włosy.

Joe przegląda gazetę.

- Jest tylko mała wzmianka, kilka zdań poświęconych wydobytemu wczoraj z Tamizy ciała.

- Jeszcze za wcześnie. Dopiero dzisiaj przeprowadzą sekcję zwłok.

- Co zamierzasz zrobić? - pyta Joe.

- Muszę ich przekonać, aby przeprowadzili śledztwo w sprawie okoliczności tej strzelaniny. Pójdiesz ze mną? Chcę, aby ktoś mnie wspierał.

- Nie sądzę, aby wzięli pod uwagę moją opinię.

- Musimy spróbować.

W drodze do New Scotland Yard zaczynam odczuwać drżenie rąk. Joe być może rozumie, co przeszedłem i co odczuwam - bóle głowy, skurcze, ciągłe podchodzenie żołądka do gardła. Jeśli jednak Joe rzeczywiście zauważy u mnie objawy głodu narkotycznego po tak wielkiej ilości zażytej morfiny, dyskretnie milczy.

W siedzibie Yardu musimy czekać jak wszyscy petenci. Moje podanie o wznowienie śledztwa, przesłane do komisarza za pośrednictwem departamentu do spraw publicznych oraz różnych komórek biurokratycznej maszyny, zostało odrzucone. Zwróciłem się z prośbą o rozmowę z asystentem komisarza. Moje podanie przebyło kolejną biurokratyczną drogę i zostało potraktowane jak sprawa, z którą nikt nie chce mieć nic do czynienia. W końcu odesłano mnie ponownie do Campbella Smitha.

Przejechaliśmy całe miasto i spędziliśmy kolejną godzinę w komisariacie przy Harrow Road. Joe poświęca czas na studiowanie zdjęć osób zaginionych, jakby była to wystawa w

narodowej galerii portretu. Recepcjonistki, sekretarki i policjanci w mundurach nie zauważają nas. A miesiąc temu kierowałem tym miejscem. Służbie policyjnej oddałem się bez reszty.

W końcu Campbell zgadza się nas przyjąć. Joe idzie ze mną, na korytarzu rozlega się echo naszych kroków. Przy jego końcu, w pokoju, gdzie przyjmuje się zgłoszenia o wszelkiego rodzaju wypadkach, siedzą przy monitorach cywilni operatorzy komputerów. Stukot klawiatur przypomina odgłos kropel deszczu bębniących o szyby. Niektórzy operatorzy mają na uszach słuchawki, rozmawiają z policjantami, sprawdzają nazwiska, adresy i numery tablic rejestracyjnych samochodów.

Jest nowy szef grupy operacyjnej zajmującej się ciężkimi przestępstwami, detektyw John Meldrum. Bacznie mi się przygląda.

- Kiedyś pracował tu facet podobny do pana. Myślałem, że on nie żyje - mówi.

- Nie został jeszcze pochowany! - odkrzyknąłem. - Gratulacje z okazji promocji! Awansu?

Chciałem, aby zabrzmiało to naturalnie, lecz nie udało się. Poczulem w sobie szczeniacki odruch złości i zazdrości. Meldrum zajął mój pokój, jego marynarka wisi na moim dawnym krześle.

Campbell znowu zmusza nas do czekania pod drzwiami swego gabinetu. Profesor nie rozumie tych politycznych podtekstów i zagrywek. Myślę jednak, że zachowanie Campbella nie ma nic wspólnego z polityką, to czysta złośliwość.

W końcu nas wezwano. Przepuszczam profesora przodem. Campbell podaje mu rękę i patrzy na niego zimnym wzrokiem. Potem rzuca na mnie przenikliwe spojrzenie i wskazuje na krzesło. Meldrum odsuwa nieco swoje krzesło do tyłu. Jest tutaj po to, aby nas obserwować, a jednocześnie być świadkiem rozmowy.

To, co powiem, powinno być skierowane do powołanej natychmiast grupy zadaniowej. Powinni tutaj, w tym gabinecie, podczas naszej rozmowy być obecni detektywi. Muszę jednak przedstawiać sprawę wrogo wobec mnie nastawionemu głównemu komisarzowi, który myśli, że zdradziłem swych kolegów i mogę przyczynić się do wypuszczenia na wolność groźnego przestępcy.

Na tablicy ściennej rysuję elementy topograficznie i wyjaśniam szczegóły wydarzeń w rzece. Na górze wypisuję cztery nazwiska: Ray Murphy, Kirsten Fitzroy, Gerry Brandt i Aleksei Kuznet. Ray Brandt nie żyje, Kirsten i Brandt zaginęli.

Wyjmuję brązową kopertę i pokazuję list z żądaniem okupu, wyniki analizy DNA, a następnie relacjonuję okoliczności przekazania okupu i moje wędrówki po kanałach ściekowych.

- Wiem, że to brzmi niewiarygodnie, lecz ja tam byłem, na dole, w tych kanałach. Szedłem śladami szantażystów, przeszedłem całą ich drogę. Jestem absolutnie przekonany, że czekali na końcu kanału. Ray Murphy był dozorcą w kamienicy Dolphin, kiedy zginęła Mickey Carlyle. Widziałem, jak go zastrzelono na pokładzie „Charmaine”. To był on. Potwierdza to zarówno analiza krwi, jak i pociski znalezione na łodzi - mówię Campbellowi.

- Kto go zabił?

- Snajper.

Meldrum przysunął się do mnie.

- Ten sam snajper, który chciał zabić pana? - pyta.

- Znalazłem się nieopatrznie w polu jego ostrzału - odpowiadam.

Campbell nie odzywa się, usilnie stara się zachować spokój.

- Kirsten Fitzroy mieszkała w kamienicy Dolphin, kiedy znikła Mickey. To najbliższa przyjaciółka Rachel Carlyle. Była na pokładzie „Charmaine” i widziałem, jak do niej strzelano. Została trafiona pociskiem w brzuch, przewróciła się. Nie wiem, czy przeżyła.

- Włamano się do jej mieszkania - dodaje Meldrum.

- Nie włamano się. Przeszukiwano je. Myślę, że Aleksei Kuznet szukał Kirsten. Chce zemścić się na ludziach, którzy wysłali żądanie okupu. Sądzę, że są to ci sami ludzie, którzy porwali jego córkę.

Słyszając moje wywody, Campbell warknął:

- To Howard Wavell zabił Mickey Carlyle.

- Nawet jeżeli w to wierzysz, musisz przyjąć do wiadomości bezsporny fakt, iż ktoś wysłał żądanie okupu wraz z włosami Mickey i jej bikini - odparłem.

- Żaden z tych faktów nie świadczy o tym, że dziewczynka żyje - powiedział Campbell.

- Masz rację, nie potwierdza. Jednakże Ray Murphy nie żyje, a życiu Kirsten zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo. Aleksei Kuznet nigdy nie pozwoli, aby ktoś skradł mu dwa miliony funtów. Zorganizował ekspedycję egzekucyjną. Teraz poszukuje Kirsten i Gerry'ego Brandta, by tę operację zakończyć.

Relacjonując wydarzenia, postanowiłem nie wspomnieć o panu Douglasie Carlyle.

Campbell jest wyraźnie zdenerwowany. Mogę go skłonić do wznowienia śledztwa jedynie wówczas, kiedy uda mi się go przekonać, że ta cała sprawa z okupem to jedno wielkie oszustwo. I tak zresztą nie mam wystarczających dowodów, aby wysunąć jakąkolwiek inną tezę.

- Co ma wspólnego z tą sprawą Gerry Brandt? - zapytał Campbell.

- Był na pokładzie „Charmaine”. Widziałem go. Zamilkłem, czekając. Nie wiem, czy powiedziałem dość dużo, aby skłonić Campbella do wznowienia śledztwa. Przyjął wyniosłą pozę sędziego.

- Powiem ci jasno. Jak dotąd wspomniałeś jedynie o porwaniu, zabójstwie z zemsty, strzelaninie na pokładzie łodzi i żądaniu okupu. Ja do tej listy twoich dokonań dodam jeszcze: zaniedbanie obowiązku służbowego, okaleczenie partnera na służbie, zatajenie informacji oraz odmowę wykonania rozkazów...

Ogarnęło mnie przerażenie. On nic nie rozumie! Jawi mu się tylko postać Howarda Wavella i zasłania wszystko, wszelkie inne wątki i motywy uprowadzenia Mickey.

- Musimy odszukać Kirsten, zanim dopadnie ją Aleksei. Jeżeli ocalała, potrzebuje pomocy lekarskiej. Musimy przeszukać wszystkie miejscowe szpitale i zwrócić się do lekarzy, aby przejrzyli swoje dokumentacje chorych. Musimy sprawdzić jej konto bankowe, rozmowy telefoniczne i podróże. Musimy wiedzieć, gdzie ostatnio bywała, z kim utrzymywała stosunki, odszukać jej ulubione miejsce regularnych spotkań - mówię podniesionym głosem.

Campbell patrzy na mnie dzikim wzrokiem.

- Mówisz zawsze my „musimy”. Z nieznanymi mi bliżej powodów błędnie mniemasz, że nadal jesteś w czynnej służbie policji londyńskiej.

Z wściekłości pociemniało mi w oczach. Joe usiłuje załagodzić konflikt.

- Panowie, wydaje mi się, że wszyscy dążymy do ustalenia prawdy. Policjant Meldrum prowadzi śledztwo w sprawie strzelaniny na rzece. Policjant Ruiz występuje w charakterze świadka. Chce złożyć zeznania. Nie będzie w żadnym wypadku ingerować w tok śledztwa.

Meldrum przytakuje z aprobatą. Jest wyraźnie zadowolony.

Campbell, wskazując na mnie palcem, mówi:

- Ruiz, chcę, abyś wiedział, że ja znam prawdę o tym wydarzeniu.

- Oczywiście, że znasz - odparłem.

Campbell patrzy na mnie z wyrazem tryumfu w oczach.

- Miałeś rację co do Alekseia Kuzneta. Nie należy on do ludzi, którym można bezkarnie zabrać dwa miliony funtów. Kuznet utrzymuje, że to ty skradłeś mu diamenty i wniósł w tej sprawie oficjalną skargę przeciwko tobie. Przygotowujemy nakaz aresztowania cię. Na twoim miejscu postarałbym się o dobrego adwokata.

Ogarniająca mnie wściekłość powoduje, że pędzę przed siebie jak oszalały. W korytarzu szybkim krokiem zmierzam do szklanych drzwi obrotowych. Joe usiłuje dotrzymać mi kroku. Na chodniku dopada mnie głos jak podmuch lodowatego wiatru.

- Czy ty go zabiłeś?

Tony Murphy, syn zabitego Raya, zadaje mi to pytanie, akcentując je ruchem ciała.

- Czy widziałeś kiedykolwiek ludzkie ciało w takim stanie... rozerwane na strzępy? Musiałem pójść do kostnicy, aby zidentyfikować zwłoki. Jego ciało to krwawa masa, przypominająca stopioną świecę. Policjanci mówią, że ktoś do niego strzelał. Mają świadków. Czy to ty byłeś świadkiem?

- Tak - odparłem. Jest spięty.

- Czy to ty go zastrześliłeś?

- Nie.

- Czy wiesz, kto to zrobił?

- Nie wiem, kto pociągnął za spust, ale widziałem, jak twój ojciec padł rażony kulą. Nie mogłem mu przyjść z pomocą.

Tony coś gwałtownie przełyka.

- Muszę się teraz zaopiekować mamą i Steviem. Pozostał nam tylko pub.

- Przykro mi - odparłem.

Chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz zastygł w świetle reflektorów, pogrążony w swoim nieszczęściu.

- Idź do domu, Tony - poradziłem. - Ja się tym zajmę.

Joe czeka, aby mi coś powiedzieć. W jego ciemnobrązowych oczach widzę smutek i przekonanie, że niewiele może mi pomóc. Tymczasem zastanawiam się, jaki obrót powinny przyjąć teraz wydarzenia. Na pewno Campbell powinien powołać do życia grupę zadaniową. Kilkunastu detektywów powinno szukać Kirsten i Gerry'ego Brandta. Powinniśmy inwigilować Alekseia i przeszukać jego statek wycieczkowy.

W najwyższym skupieniu całą godzinę spędziłem na zastanawianiu się, co mam teraz zrobić. Chciałem, aby każda podjęta przeze mnie decyzja była do końca przemyślana i jedynie słuszna.

Jedziemy wzdłuż Euston Road za Regent Park.

- Co więc zamierzasz zrobić? - pyta Joe.

- Odnaleźć ich.

- Nie możesz tego zrobić sam, na własną rękę.

- Nie mam wyboru.

Joe robi wrażenie, jakby miał jakiś plan.

- A gdybyśmy tak zwrócili się o pomoc do wolontariuszy? Możemy zatelefonować do przyjaciół i członków rodziny. Ilu ludzi potrzebujesz?

- Nie wiem. Musimy skontaktować się ze szpitalami, lekarzami, oddziałami chirurgicznymi i klinikami. W którejś z nich musieli udzielić pomocy Kirsten.

- Możemy wykorzystać moje biuro - mówi Joe. - Nie jest duże, ale ma poczekalnię, magazyn, kuchnię. Jest tam także sześć linii telefonicznych i faks. Możemy podłączyć słuchawki z mikrofonami. Moja sekretarka, Philippa, zadzwoni do różnych osób. - Zatrzymaliśmy się przed jego biurem. - Co zamierzasz zrobić?

W powietrzu wyczuwa się zapowiedź czegoś nieoczekiwanego. Decyzja została podjęta.

- Tak czy inaczej zamierzam spotkać się z Rachel Carlyle.

Nie będzie dzisiaj tenisa. Kort tenisowy zakryty jest plandekami, a krople deszczu zwisają na siatkach niczym koraliki. Jest jesień, deszcze są coraz chłodniejsze.

Zaparkowałem przed domem Carlyle, obserwuję podjazd, słucham radia. Podano do wiadomości nazwisko Raya Mur-phy'ego, lecz nie wspomina się o Kirsten. Campbell nie pozwolił.

Rzucam okiem na rezydencję, obserwuję czarnego mercedesa przejeżdżającego przez bramę wejściową. Zatrzymał się, zanim skręcił w lewo. Sir Douglas i Tottie odjechali.

Czekam kilka minut, po czym idę w kierunku domu. Wzdłuż drogi dojazdowej do rezydencji przy żywopłocie leżą sterty liści. Liście zakrywają też fontanny, z ich obrzeży ścieka woda.

Przechodzę obok drzwi frontowych i wchodzę na kamienne schody znajdujące się w prawym skrzydle domu. Pukam cztery razy, zanim ktoś otwiera. W drzwiach stoi Thomas.

- Muszę rozmawiać z Rachel - oświadczam.

- Proszę pana, tutaj nie ma Rachel. Wiem, że kłamie.

- Nie musi pan jej przede mną chronić. Nie chcę jej wyrządzić krzywdy. Jeżeli nie wyrazi zgody na rozmowę ze mną, odejdę.

Patrzy na ogród.

- Nie sądzę, aby Sir Douglas zgodził się na to.

- Proszę zapytać Rachel.

Przez chwilę się zastanawia, po czym kiwa głową i zostawia mnie na schodach. Gdzieś się coś pali i dym zamienia powietrze w brudną i wilgotną zawieszinę.

Wraca Thomas i mówi:

- Pani Carlyle oczekuje pana w kuchni.

Idzie przede mną, wskazując drogę. W korytarzu wiszą na ścianach obrazy z polowań, psów myśliwskich, koni i bażantów. Ramy obrazów są tak ciemne, że zlewają się z kolorem

ścian, a zwierzęta na obrazach wydają się unosić w jakiejś nierzeczywistej przestrzeni. Nad schodami wiszą obrazy przedstawiające pejzaże z jeziorami i rzekami.

Nie od razu zdałem sobie sprawę, że Rachel już czeka. Stała w kuchni nieporuszona, jakby pozowała do zdjęcia, wysoka, smagła, z włosami zaczesanymi do tyłu.

- Pani ojciec powiedział, że nie mogę się z panią widzieć - oświadczyłem.
- Nie uzgadniał tego ze mną.

Ma na sobie dzinsy i jedwabną koszulkę. Ostry profil jej twarzy nieco wysubtelniał, ponieważ zmieniła uczesanie; włosy są teraz krótsze i nie spadają jej na ramiona, tak jak dawniej.

- Słyszałam, że nie mógł pan przypomnieć sobie, co się wydarzyło w ową tragiczną noc - powiedziała.

- Tak, przez pewien czas tak było.

Przygryza dolną wargę i zastanawia się, czy może mi wierzyć.

- O mnie pan nie zapomniał.

- Nie. Nie wiedziałem, co się z panią stało. O tym, gdzie pani jest, dowiedziałem się niedawno.

Nagle poczuła zaciekawienie.

- Widział pan Mickey? Była tam?

- Nie. Przykro mi. Zacisnęła usta i odwróciła się.

- Czasami utrata pamięci przynosi ogromną ulgę. Wszystkie przeżyte koszmary, wszystko, co nas w życiu spotkało, poczucie winy, żale ulegają całkowitemu zapomnieniu. Czasami chciałabym... - Nie dokończyła.

Podeszła do kranu, nalała wody do kubka i podlała fiołki afrykańskie na parapecie okna.

- Nigdy pan nie zapytał, dlaczego wyszłam za Alekseia.

- Bo to naprawdę nie moja sprawa.

- Spotkałam mego byłego męża na przyjęciu poświęconym zbiorce pieniędzy na bośniackie sieroty, ofiary wojny. Przekazał czek na wielką sumę. Podczas spotkań poświęconych ofiarom wojny w Bośni przekazał sporo pieniędzy. Zapraszałam go na wykłady, projekcje filmów dokumentalnych na temat niszczenia lasów w obszarach tropikalnych, zęciana się nad zwierzętami lub pomocy dla bezdomnych. Zawsze okazywał wielką szczodrość.

- Chciał kupić pani sympatię.

- Myślałam, że podziela moje poglądy, że ma te same przekonania.

- Pani rodzice nie lubili go?

- Byli przerażeni. Każdy byłby lepszy od rosyjskiego emigranta mającego ojca mordercę.

- Kochała go pani? Zastanawiała się przez chwilę.

- Myślę, że tak.

- Co się więc stało? Wzrusza ramionami.

- Pobraliśmy się. Przez pierwsze trzy lata mieszkaliśmy w Holandii. Mickey urodziła się w Amsterdamie. Aleksei robił coraz większe interesy. - Mówiła głosem cichym z nutą refleksji. - Niezależnie od tego, co myśli o mnie mój ojciec, nie jestem idiotką. Wiedziałam, że dzieje się coś niedobrego. Dochodziły do mnie pogłoski i dziwnie nerwowe spojrzenia rzucające w restauracjach. Pytałam Alekseia, o co chodzi, lecz on odpowiadał, że ludzie mu po prostu zazdroszczą. Wiedziałam, że prowadzi nielegalne interesy, coraz częściej zadawałam mu pytania, a on reagował na nie z coraz większą złością. Powiedział, że żona nie powinna zadawać mężowi żadnych pytań. Powinna po prostu być posłuszna. Pewnego dnia złożyła mi wizytę żona jednego z holenderskich hodowców kwiatów. Nie wiem, od kogo otrzymała mój adres. Pokazała zdjęcie swego męża. Jego twarz była spalona kwasem, wyglądała jak stopiony wosk. Proszę mi powiedzieć, dlaczego kobieta miałaby porzucić mężczyznę, który tak wygląda? - zapytała mnie. Z niedowierzaniem potrząsnęłam głową. Potem powiedziała jeszcze: Nie jest to tak złe jak pozostanie z mężczyzną, który to zrobił. Od tego wydarzenia zaczęłam dowiadywać się i o innych rzeczach. Podśluchiwałam rozmowy, czytałam listy elektroniczne Alekseia, kopiowałam jego korespondencję. Dowiedziałam się niemało...

- Na tyle wiele, aby chciał panią zabić - dodałam.

- Na tyle wiele, aby nade mną czuwać - poprawiła mnie. - Dowiedziałam się, w jaki sposób Aleksei prowadzi interesy. Był to sposób zadziwiająco prosty, lecz brutalny. Najpierw proponuje kupienie jakiegoś przedsiębiorstwa. Jeżeli nie może z właścicielem uzgodnić ceny, podpala je. Jeżeli właściciel mimo to nie poddaje się i ponownie zakłada przedsiębiorstwo, podpala jego domy. A jeżeli i to nie wystarcza, podpala domy jego krewnych i szkoły, do których chodzą ich dzieci.

- Jak się zachowywał Aleksei, kiedy pani go zostawiła?

- Najpierw błagał, abym wróciła. Potem chciał mnie przekupić za pomocą ogromnych pieniędzy. W końcu zaczął mnie tyranizować.

- Nie wróciła pani do swojej rodziny. Rękami odsunęła włosy z czoła.

- Całe życie uciekałam od rodziny.

Siedzieliśmy w milczeniu. Strumień powietrza z wentylatora rozwiewał jej włosy.

- Kiedy ostatnio widziała pani Kirsten Fitzroy?
- Przed dwoma miesiącami; powiedziała, że wyjeżdża za granicę.
- Czy powiedziała dokąd?
- Ameryka Północna bądź Południowa; miała jakieś foldery. To mogła być Argentyna.

Obiecała przysłać pocztówkę, lecz nic nie nadeszło. Co się stało? Ma kłopoty?

- Spotkała ją pani w kamienicy Dolphin?

- Tak.

- A czy pani Kirsten знаła pani ojca?

- Nie. Nie sądzę.

- Jest pani pewna?

- Proszę mi powiedzieć, co ona takiego zrobiła?

- Sir Douglas płacił za nią czynsz za mieszkanie w Dolphin. Później pomógł jej kupić mieszkanie w Notting Hill.

Rachel nie zareagowała. Nie wiem, czy dlatego, że była tą wiadomością tak bardzo wstrząśnięta, czy też dlatego, że dawno już o tym wszystkim wiedziała.

- Śledziła panią. Pani ojciec chciał zwrócić się do sądu o przyznanie mu prawa do opieki nad Mickey; polecił swoim prawnikom wystąpienie z takim wnioskiem. Mieli utrzymywać, że jest pani niezdolna do sprawowania opieki nad dzieckiem ze względu na alkoholizm. Jednak pani zaczęła się leczyć w klubie anonimowych alkoholików i wniosek wycofano.

- Nie mogę w to uwierzyć... - szepnęła. Wiedziałem, że nie jest to jednak cała gorzka prawda. Nie wiedziałem natomiast, jak wiele mogę jej jeszcze powiedzieć.

- Podczas tej nocy, kiedy przekazywano okup, śledziłem przepływ diamentów w kanałach ściekowych. O mało nie utopiłem się w Tamizie. Kirsten uratowała mi życie.

- Co ona tam robiła?

- Razem z Rayem Murphym czekali na diamenty. To oni zorganizowali tę całą operację: żądanie okupu, przekazanie włosów Mickey i jej bikini. Kirsten wiedziała wszystko o pani i Mickey. Wiedziała, które guziki należy naciskać, jak należy postępować.

Rachel z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

- Lecz bikini... ono należało do Mickey. Zabrali jej. Nagle zdała sobie sprawę z tego, co do niej mówię. Ogarnęło ją uczucie trwogi, gdy pojęła grozę całej sytuacji.

W tym momencie ktoś otworzył wejściowe drzwi obrotowe i napłynęła fala powietrza. Sir Douglas pędził korytarzem, krzycząc na Thomasa, aby wezwał policję. Kamerdyner musiał go zawiadomić natychmiast po moim przybyciu.

Przez moment tracę go z pola widzenia, po czym pojawia się w drzwiach kuchni. W ręku trzyma śrutówkę. Ma twarz wzburzoną, nabiegłą krwią.

- Proszę tu zostać. Nie ruszać się. Jest pan aresztowany - mówi.

- Proszę się uspokoić - odparłem.

- Pan wkroczył na teren prywatny.

- Tato, rzuć broń - mówi Rachel.

Douglas lufę strzelby skierowuje w moją stronę.

- Nie zbliżaj się do niego - mówi do córki.

- Tato, proszę, rzuć broń.

Rachel patrzy na ojca jak na szaleńca. Robi krok w jego stronę, przez moment odwraca jego uwagę. Douglas nie zauważa mnie. Chwytam strzelbę, wrywam mu ją z rąk i uderzam kolbą w żebro. Patrzę na Rachel przepraszącą. Nie chciałem go uderzyć.

Sir Douglas bierze długi powolny oddech. Usiłuje powiedzieć, abym opuścił jego dom. Wychodzę. Rachel podąża za mną, błagając, bym wyjaśnił jej tę koszmarną sytuację.

- Dlaczego to zrobili? Dlaczego zrobili to Mickey? Odwracam się i mówię ze smutkiem w głosie.

- Nie wiem, proszę zapytać ojca.

Nie chcę dać jej fałszywych nadziei. Nawet nie wiem, czy moje rozumowanie ma jakikolwiek sens. Ostatnio tak często się myliłem.

Otwieram drzwi i idę schodami w dół do pokrytej żwirem ścieżki. Rachel, stojąc na schodach, patrzy za mną.

- A co z Mickey?! - krzyczy głosem pełnym rozpacz.

- Nie sądzę, aby Howard ją zabił! - odkrzyknąłem.

Stoi nieporuszona. Może straciła nadzieję, a może stała się więźniem wspomnień z tej strasznej przeszłości. Ale to tylko chwila wahania, po której biegnie do mnie. Przypuszczam, że to, co powiedziałem, potraktowała jako wybór między nienawiścią, przebaczeniem i wiarą. Sądzę, że wybrała wiarę.

- Dokąd jedziemy? - pyta Rachel.

- Zaraz pani zobaczy. To tutaj.

Zatrzymaliśmy się przed domkiem w Hampstead; przy bramie stoi altanka, wzdłuż ścieżki rosną róże. W furtce znaleźliśmy przycisk dzwonka.

Esmeralda Bird, o wyglądzie dostojnej matrony, ubrana jest w spódnicę i rozpinany sweter. Wita nas, po czym zostawia w pokoju gościnnym i idzie po męża.

Siadamy na skraju kanapy i rozglądamy się po pomieszczeniu pełnym przeróżnych

drobiazgów, makatek, zdjęć i poduszek. Tak kiedyś urządzano wnętrza, zanim ludzie zaczęli kupować skandynawskie meble sosnowe pokryte lakierem.

Małżeństwo Birdów spotkałem przed trzema laty, podczas pierwszego śledztwa. Oboje na emeryturze, należą do tej kategorii starszych ludzi, którzy z atencją traktują przedstawicieli policji, a przez telefon rozmawiają z wielkim przejęciem.

Pani Bird wraca. Ma teraz inną fryzurę, włosy splecione z tyłu. Ma także inny sweter i perłowe kolczyki.

- Właśnie parzę herbatę - mówi.

- To naprawdę nie jest konieczne - odparłem. Nie zwraca uwagi na to, co mówię.

- Przygotowałam też ciasto.

Kuśtykając, pojawia się Brian Bird. Jest wymizerowany i idzie wolno. Łysy jak kolano, ma pomarszczoną twarz. Podpierając się laską, bardzo powoli siada na krześle.

Podczas przyrządzania i nalewania herbaty panuje milczenie. Na stole stoi owocowe ciasto.

- Pamiętacie państwo, kiedy ostatnio was odwiedziłem? - pytam.

- Tak, było to w związku z zaginięciem dziewczynki, którą widzieliśmy na peronie dworca.

Rachel spogląda kolejno na panią Bird i na mnie.

- To prawda. Uważali państwo, że widzieli Michaelę Car-lyle. To jest jej matka, Rachel.

Oboje uśmiechnęli się smutno.

- Chciałbym, aby państwo powiedzieli pani Carlyle, co właściwie zauważyliście owego wieczoru.

- Oczywiście - mówi pani Bird. - Obawiam się jednak, że myliliśmy się. Ten okropny człowiek został przecież skazany na karę więzienia. Nie pamiętam jego nazwiska. - Patrzy na męża, którego wzrok wyraża niewiele.

Po chwili milczenia odzywa się Rachel:

- Proszę mi powiedzieć, co państwo widzieli.

- Na peronie, tak... muszę sobie przypomnieć. To była... środa wieczorem. Byliśmy na przedstawieniu „Nędzników” w Queen Theatre. Brian opuścił wiele teatralnych przedstawień, ponieważ miał zabieg wszczepienia pomostów tętniczych. Prawda, Brian?

Brian przytakuje.

- Dlaczego pani sądzi, że to była Mickey? - zapytałem.

- We wszystkich gazetach było jej zdjęcie. Właśnie zjeżdżaliśmy ruchomymi

schodami, gdy ujrzelismy, jak kręci się na dole.

- Kręciła się?

- Tak. Wydawała się nieco zagubiona.

- Co miała na sobie?

- Niech pomyślę. To było tak dawno. Co panu mówiłam wówczas?

- Że miała spodnie i kurtkę z kapturem.

- O tak, Brian uważał, że miała spodnie zapinane u dołu na zamki błyskawiczne. I z całą pewnością miała kurtkę z kapturem.

- A kaptur był podniesiony?

- Tak.

- Nie widzieliście więc, czy włosy miała krótkie czy długie?

- Widzieliśmy tylko grzywkę.

- Jakiego koloru?

- Jasnobrązowe.

- Jak blisko niej byliście?

- Brian nie mógł iść szybko ze względu na chore nogi. Ja byłam przed nim. Byliśmy od niej oddaleni około trzech metrów. Z początku jej nie rozpoznałam. Spytałam po prostu: Kochanie, mogę ci w czymś pomóc? Zgubiłaś się? A ona zaraz uciekła.

- Dokąd?

- Pobiegła wzdłuż peronu. - Swe słowa pani Bird potwierdziła zdecydowanym skinieniem głową. Po chwili wstała z filiżanką herbaty i pochyliła się nad stołem w poszukiwaniu spodka.

- Mówiliśmy wtedy i o pani okularach, pamięta pani? Bezwiednie dotyka nasady nosa.

- Tak, pamiętam.

- Nie miała ich pani tamtego wieczoru?

- Nie. Zazwyczaj jednak nie zapominam.

- Czy ta dziewczynka miała przekłute uszy do kolczyków?

- Nie zauważyłam, tak szybko zniknęła.

- Powiedziała pani jednak, że ta dziewczynka miała szczelinę między zębami i piegi.

Niosła coś. Co? Może ręcznik?

- Drogi mój, nie pamiętam. Nie przyglądałam się tak uważnie. Na peronie było sporo ludzi. Musieli ją widzieć.

Ręce Rachel się trzęsą, filiżanka z herbatą drży na podstawce.

- Pani Bird, ma pani wnuczka?

- O tak, moja droga, szczęście.

- W jakim wieku?

- Od ośmiu do osiemnastu lat.

- Dziewczynka, którą pani widziała na peronie, byłaby teraz w wieku jednej z pani wnuczek.

- Tak.

- Czy ta dziewczynka była przerażona?

- Robiła wrażenie zagubionej.

Rachel chłonęła słowa pani Bird, wsłuchiwała się w nie z natężoną uwagą.

- Przykro mi, ale nic więcej nie pamiętam, to było tak dawno. - Pani Bird patrzy na swoje ręce. - Dziewczynka na peronie z całą pewnością przypominała Mickey, lecz kiedy dowiedzieliśmy się, że policja aresztowała tego człowieka... no cóż... pomyślałam, że widocznie pomyliliśmy się. Na starość oczy platają człowiekowi figle. Bardzo mi przykro z powodu zaginięcia pani córki. Może jeszcze herbaty?

W samochodzie Rachel zadaje mi mnóstwo pytań, na większość z nich nie potrafię udzielić odpowiedzi. Po zniknięciu

Mickey przez wiele tygodni otrzymywaliśmy informacje, że widziało ją kilkunastu ludzi. Bez niezależnego potwierdzenia, biorąc także pod uwagę fakt, iż pani Bird nie miała wówczas okularów, nie mogłem uznać jej oświadczenia za wiarygodne.

- Na stacji musiały być zainstalowane kamery telewizyjne - mówi Rachel.

- Ten materiał filmowy jest bezużyteczny. Nie dowiemy się nawet, czy to było dziecko - odparłem.

Rachel nie ustępuje.

- Chcę to zobaczyć - mówi.

- Dobrze. Właśnie tam jedziemy - oznajmiłem. Dyrekcja londyńskiego metra znajduje się na Broadway koło siedziby New Scotland Yard. Komendant tego rejonu policji zajmującej się ochroną sieci transportu, nadkomisarz Paul Magee, jest moim starym przyjacielem. Znam go od trzydziestu lat, od czasu kiedy Irlandzka Armia Republikańska nie dawała mu chwili spokoju w dzień i w nocy. Dzisiaj mamy do czynienia z innego rodzaju terrorystami.

Paul Magee, o pociągłej, gładko wygolonej twarzy, ma niemal młodzieńczy wygląd mimo włosów, które coraz wyraźniej, za każdym razem, kiedy go widzę, pokryte są coraz gęstsza bielą. Wkrótce będzie zupełnie siwy.

- Vince, wyglądasz mizernie.

- Wszyscy mi to mówią.

- Słyszałem, że się znowu rozwodzisz. Dlaczego?

- Tym razem zapomniałem osłodzić żonie herbatę. Zaśmiewa się. Paul ożenił się z dziewczyną, którą poznał w szkole podstawowej. Shirley jest prawdziwą strażniczką domowego ogniska, oskarża mnie o zły wpływ na męża, lecz nadal chce, abym był ojcem chrzestnym ich najmłodszego syna.

Siedzimy w biurze Paula, skąd rozpościera się widok na koszary Wellingtona. Może codziennie obserwować oddział gwardii, maszerujący przez Birdcage do pałacu Buckingham. Rachel czeka nieco z tyłu, aż ją przedstawię. Paul nie kojarzy jej nazwiska z zaginięciem Mickey. Mówię mu, że chcielibyśmy przejrzeć taśmy z kamer telewizyjnych ze stacji metra z ostatnich trzech lat.

- Nie trzymamy tak długo taśm.

- Ale tę taśmę zatrzymałeś. Prosiłem cię o to.

Nagle przypomina sobie i spogląda na Rachel. Wstaje i bez słowa prowadzi nas korytarzem, otwierając kodem kolejne przejścia do podziemi budynku.

W końcu siedzimy w małym pokoju, czekając na projekcję taśm wideo. Rachel w milczeniu obserwuje film; nawet nie słyszę, jak oddycha. Na ekranie pojawiają się ziarniste postaci białe i czarne. Widać jakąś postać, tuż przy wejściu do ruchomych schodów. Przypuszczalnie jest to dziewczynka, ma na sobie dres i coś na ręku, być może ręcznik kąpielowy. Może to być zresztą cokolwiek.

Na stacji jest dwanaście kamer. Każda zamontowana powyżej peronu i ruchomych schodów.

Są ustawione źle, ponieważ nie pokazują twarzy. Wszelkie powiększenia komputerowe nie sprawią więc, że zobaczymy twarze.

Paul Magee zostawia nas samych. Jeszcze raz przeglądamy taśmy. Przyjrząwszy się dokładniej, obserwujemy schodzącą dziewczynkę niemalże zerkającą na kamerę. Zatrzymuje się przy wejściu na schody ruchome, jakby nie była pewna, dokąd się udać. Potem widzimy na ekranie panią Bird, a chwilę później pana Birda z jego balkonikiem, idącego za żoną. Pani Bird coś mówi do dziewczynki, która zawraca i znika pod łukiem na południowym peronie stacji.

Na dole taśmy, w prawym rogu, podano dzień miesiąca, tygodnia oraz dokładny czas - godzina 22.14, 25 lipca, środa wieczór.

Na zdjęciach z drugiej kamery pojawia się ta sama dziewczynka. Chyba jest sama. Za nią idzie korpulentna kobieta o ciemnych włosach i w stroju pielęgniarki.

- A więc co pani o tym myśli? - pytam Rachel.

Milczy. Patrzę na nią i widzę łzy w jej oczach. Mruga powiekami, łzy spadają na policzki.

- Jest pani pewna? Skinęła głową, nadal milcząc.

- Ta dziewczynka może mieć zarówno siedem, jak i siedemnaście lat. Nie widać jej twarzy.

- To ona. Znam swoją córkę. Poznaję ją po chodzie, po tym, jak trzyma głowę.

Z wielką trudnością uwierzyłbym, że jej reakcja na zdjęcia byłaby czymś więcej niż tylko wyrazem przemożnej wiary, że córka żyje. Dlatego właśnie nie pokazałem jej tej taśmy przed trzema laty. Wydawało mi się, że pójdzie tym śladem zagmatwa śledztwo i skłoni mnie do zaangażowania wielu funkcjonariuszy policji w działania nieistotne oraz odwróci od tej tragedii uwagę opinii publicznej.

Teraz uwierzyłem Rachel. Jednakże zdawałem sobie sprawę, że nie ma takiego składu sędziowskiego i takiej ławy przysięgłych, którzy bez cienia wątpliwości uznaliby, że osoba na taśmie to Mickey, lecz fakt ten nie ma dla wyjaśnienia sprawy zaginięcia dziewczynki żadnego znaczenia. Jednakże osoba, która zna ją najlepiej, nie ma wątpliwości. W środę 25 lipca, dwa dni po zaginięciu, Mickey jeszcze więc żyła.

Jedyną osobą w poczekalni Joego jest mężczyzna w średnim wieku, w tanim garniturze, który marszczy się przy każdym ruchu rąk. Trzyma w zębach wykałaczkę i kiedy siadam, bacznie mnie obserwuje.

- Sekretarka poszła po kawę, a profesor ma pacjenta - mówi.

Skinąłem głową i widzę, że nadal uważnie mi się przygląda. W końcu pyta:

- Czy my się znamy?

- Nie sędzę. Jest pan policjantem?

- Tak, policjant Roger Casey. Mówili na mnie „Obibok”. - Siada przy mnie i podaje rękę, zerkając jednocześnie na Rachel.

- Gdzie pełnisz służbę, Roger?

- Jestem zastępcą w Holborn.

Siedzi blisko mnie i czuje się poczucie koleżeństwa. Powinienem pamiętać jego twarz, lecz tylu facetów w ciągu ostatnich dziesięciu lat odeszło ze służby.

- Znasz ten dowcip? - pyta. - Ilu potrzeba gliniarzy, aby zrzucić faceta ze schodów?

- Nie wiem. Ilu?

- Żadnego, sam spadł.

Rogers śmieje się całą gębą, ja uśmiecham się lekko. Wyraża zdziwienie z powodu mojej powściągliwości i milknie.

Sekretarka wraca z kawą i ciastkami. Jest bardzo młoda, wygląda niemalże jak uczennica szkoły średniej. Patrzy na nas i nie jest zdziwiona naszą obecnością.

- Nazywam się Ruiz. Może pani powiedzieć profesorowi, że już jesteśmy?

Wzdycha.

- Jest kolejka.

W tym momencie otwierają się drzwi gabinetu profesora i wychodzi młoda kobieta z zaczerwienionymi, podkrążonymi oczami.

Za nią Joe.

- A więc do zobaczenia w następnym tygodniu, Krystyno. Pamiętaj, noszenie spodni nie jest wyrazem nieskromności i nie ujmuje ci kobiecości.

Krystyna przytakuje i wychodzi ze spuszczonej oczami. Obecni w poczekalni zachowują się dyskretnie z wyjątkiem Rogera, który chichocze. Zażenowana kobieta niemalże wybiega z poczekalni.

Joe spogląda na obecnych karcącym wzrokiem. Kiedy zauważa mnie i Rachel, mówi głosem nieco łagodniejszym:

- Państwa oboje proszę do gabinetu.

- Sierżant detektyw był przed nami - mówię. Joe potrząsa głową i wzdycha.

- Roger, robi pan wyraźne postępy. - Następnie zwraca się do sekretarki: - Philippa, w przyszłości proszę pamiętać, komisarz Ruiz jest policjantem w służbie czynnej. Nie wszyscy, którzy tu przychodzą, utrzymując, że są oficerami policji, fantazjują.

Philippa zarumieniła się, a Rachel zachichotała. Ja także poczułem się nieswojo.

Kiedy wchodzimy do gabinetu, Joe mówi:

- Przepraszam za zachowanie Rogera. Często udaje policjanta, aby podstępem nakłonić prostytutki do seksu.

- Czy to skuteczna metoda?

- Widocznie.

- To dziwak - wyrażam opinię.

Joe patrzy na mnie z zakłopotaniem.

- No cóż, trudno, jest w naszym zespole. Obiecujący początek! - pomyślałem.

Joe spędził cały poranek, telefonując do ludzi, którzy mogliby nam pomóc. W rezultacie jego działań mieliśmy już trzynastu ochotników, w tym dwóch moich przyjaciół z czasów, kiedy graliśmy w rugby, i jednego kapusia, którego nazywaliśmy „Dicko”. Miał niesłychanego nosa do rozwiązywania kłopotliwych problemów i ani śladu powonienia, jeśli chodzi o wycucie przykrych zapachów, dlatego jego higiena osobista pozostawiała tak wiele

do życzenia.

W ciągu godziny przybyła reszta „zespołu”. Joemu udało się zwerbować szwagra Erica, młodszą siostrę Rebecę, która pracowała dla Organizacji Narodów Zjednoczonych. Dołączy do nas też Juliannę po odebraniu Charlie ze szkoły. W zespole znalazło się także kilku pacjentów Joego, w tym Margaret, pielęgniarka zajadająca z apetytem dużą kanapkę, oraz jeszcze jedna kobieta, Jean, od higienicznego zabezpieczenia słuchawek telefonicznych.

Margaret usiadła przy mnie.

- Słyszałam, że niewiele brakowało, a byłby się pan utopił. Mosty są zwodnicze - powiedziała, rozkoszując się smakiem kanapki.

Po przybyciu ostatniego marudera zebrałem wszystkich w poczekalni. Był to najdziwniejszy zespół „detektywów”, jakim kiedykolwiek dowodziłem.

Przypiąłem do tablicy dwa zdjęcia, odchrząknąłem i przedstawiłem się nie jako komisarz z wydziału dochodzeniowo-śledczego londyńskiej policji, lecz jako członek społeczności zainteresowanej rozwiązaniem ponurej i tragicznej zagadki.

- Dwoje ludzi widocznych na tych zdjęciach zaginęło. Ich nazwiska to Kirsten Fitzroy i Gerry Brandt. Mamy nadzieję ich odszukać.

- Co oni takiego zrobili? - zapytała Margaret.

- Sądzę, że uprowadzili dziewczynkę. W poczekalni rozległ się szmer.

- Musimy dowiedzieć się, co ich łączy, kiedy się spotkali, o czym rozmawiali, co mają ze sobą wspólnego. Nade wszystko jednak musimy ich znaleźć. Każde z was otrzyma konkretne zadanie. Nie prosimy o żadną niezgodną z prawem działalność, ale jest to praca detektywistyczna i jako taka musi mieć poufny charakter.

Siedzący na skraju biurka Erie zapytał:

- Dlaczego wobec tego nie zwrócimy się do policji, aby ich znalazła?

- Policja nie wykazuje nadmiernego zainteresowania.

- Ale pan jest policjantem?

- Już nie.

Wyjaśniając sprawę naszej misji, podkreśliłem, że ostatnio widziano Kirsten na pokładzie łodzi „Charmaine”. Otrzymała strzał w brzuch i mogła nie przeżyć. Zakładamy jednak, że żyje. Gerry Brandt jest znanym handlarzem narkotyków, alfonsiem i niebezpiecznym bandytą. Jest groźny, nikt nie powinien się do niego zbliżać.

Spojrzałem na Dicko. Bezgłośnie poruszał ustami. Zwracając się bezpośrednio do niego, powiedziałem:

- Chcę, abys rozmawiał z każdym, kto go zna: z handlarzami narkotyków,

narkomanami, z jego przyjaciółmi. Gerry zwykł hulać w pubie przy Pentomille Road. Zobacz, czy ktokolwiek go tam pamięta.

Po kilku sekundach powiedział:

- Mogę potrzebować nieco gotówki.

- Jeżeli przylapię cię na picciu, rozwalę ci łeb - ostrzegłem. Siedząca obok mnie kobieta ze zdziwieniem zmarszczyła brwi.

- Może powinienem pójść z nim - zasugerował Roger.

- Doskonale. Jednakże pamiętajcie o tym, co powiedziałem. Pod żadnym pozorem nie zbliżać się do Gerry'ego Brandta.

Roger starym policyjnym zwyczajem zasalutował.

- Philippa, Margaret i Jean obdzwonią szpitale, kliniki i wszystkich chirurgów. Wymyślcie coś. Powiedźcie, że szukacie przyjaciół, którzy zaginęli. Rachel i profesor skontaktują się z rodziną Kirsten i z wszystkimi jej dawnymi pracownikami. Kirsten wychowała się w West Country.

- A co ty zamierzasz zrobić? - zapytał Joe.

- Geny Brandt miał przyjaciółkę, taką chudzińkę ze stale krwawiącymi dziąsłami i białymi pasmami włosów. Mam nadzieję, że wie, gdzie on się ukrywa.

Half-Mile to ulica rozkoszy tuż za stacją King's Cross, gdzie kręci się mnóstwo podejrzanych typów i prostytutek. Niektóre z dziewcząt nie mają jeszcze szesnastu lat, lecz po ich wyglądzie trudno to poznać. Nawet jeżeli nie ma się blizn ani siniaków, w ciągu roku na ulicy można się postarzyć o pięć lat.

Dzisiaj niewiele prostytutek pracuje na ulicy, ponieważ przepędza je policja. Pracują raczej dla agencji towarzyskich, w gabinetach masażu, kręcą się wokół różnego rodzaju konferencji politycznych, targów handlowych i wystaw. Dzisiaj dla prostytutek otwarty jest cały świat.

Alkowsy, gdzie przyjmują i świadczą usługi, są na ogół łatwo dostępne. Prowadzą do nich bardzo widoczne wejścia, wiodące zwykle na pierwsze piętro, do garsonier z reklamami w oknach, niebudzącymi już żadnych wątpliwości, w rodzaju „Młode, piękne modelki z obfitym biustem”. Większość prostytutek zatrudnia pomocnice, które przyjmują opłaty, a często także skromne napiwki.

Prostytutki, niezależnie od przypadkowych transakcji, posługują się reklamą. Zostawiają swoje wizytówki z numerami telefonów w budkach telefonicznych i korzystają z pomocy londyńskich taksówkarzy, którzy zawsze przyjdą z pomocą napalonym facetom.

Krążąc bardzo wolno samochodem po ulicy, usiłowałem rozpoznać dziewczyny.

Wpadła mi w oko przechadzająca się dziewczyna o figurze chłopca, z fryzurą na pazia i wydatnym biustem.

- Chce pan o coś zapytać?

- Co było dzisiaj w serialu „Ulica Sezamkowa”? Jej twarz poczerwieniała ze złości.

- Spieprzaj!

- Szukam pewnej dziewczyny o imieniu Theresa. Ma mniej więcej metr osiemdziesiąt wzrostu, blondynka. Pochodzi z Harrogate. Na ramieniu wytatuowany motylek.

- Co ta dziewczyna ma, czego ja nie mam?

- Wielkie cycki. Widziałaś ją?

- Nie.

- Okej. Zróbmy interes. Mam pięćdziesiąt funtów. Zapukaj do drzwi tych domów i zapytaj, czy ktoś zna dziewczynę o imieniu Theresa. Jak się dowiesz, dostaniesz tę pięćdziesiątkę.

- Jesteś gliną?

- Nie. - Tym razem mówię prawdę.

- Dlaczego jej szukasz?

- Wygrała los na loterii. Jakie to ma zresztą znaczenie?

- Dowiem się, ale za stówę.

- Dostaniesz pięćdziesiąt. Nigdy tak łatwo nie zarobiłaś takiego szmalu.

- Uważaj! Niektórzy z tych facetów śledzą mnie.

- Oczywiście.

Patrzę, jak się oddała. Nawet nie wie, z jaką gracją porusza się kobieta. Być może sposób, w jaki chodzi, ma pewien związek z jej profesją.

Zapalają się światła uliczne. Siadam przy stole sklepu z delikatesami, gdzie czeskie dziewczęta z obcym akcentem, w obcisłych bluzkach podają dobrą kawę lub domową zupę. Jestem dostatecznie stary, aby być ich dziadkiem, lecz patrzę na nie wzrokiem, który powinien skłonić mnie do wyrzutów sumienia. Jedna z tych dziewcząt przynosi kawę i niedopieczoną bułeczkę.

Na placu pełno jest stręczycieli i prostytutek. Podliczają grzeszny urobek. Niektóre dziewczyny patrzą na mnie nieufnie. Siedzą nieruchomo, wyprostowane jak podczas przesłuchań.

Stręczyciele w rzeczywistości wyglądają inaczej niż w filmach. Nie są to eleganci w długich skórzanych płaszczach, z mnóstwem złotej biżuterii. W większości to handlarze narkotyków lub koledzy dziewcząt, którzy gdyby im zapłacono, sami by się oddali męskiej

prostytacji.

Dziewczyna o figurze chłopca, fryzurze pazia i wydatnym biuście powróciła. Patrzy łąpczywie na duży garnek zupy stojący na piecu. Kupiłem jej zupę. Przez okno patrzy na nas nerwowym wzrokiem nieco starsza, czarna dziewczyna. Ma na sobie sznurowane buty i minispódniczkę. Ma także poskręcane włosy, które opadają jej na czoło.

- Mówi, że zna Theresę.

- Jak się nazywa?

- Brittany.

- Dlaczego tu nie przychodzi?

- Może jej alfons ją obserwuje. Nie lubi, jak się sama włóczy. A moje pięćdziesiąt funciaków?

Niemalże wrywa mi banknoty z ręki. Chwyciłem ją za przegub, odwróciłem dłoń i podciągnąłem rękaw. Nie miała żadnych śladów po igle.

- Nie narkotyzuję się - powiedziała.

- To dobrze, idź do domu.

- Tak, oczywiście, powinien pan zobaczyć, gdzie mieszkam.

Brittany rozmawia ze mną. Bez przerwy się wierci, ani sekundy nie może ustać spokojnie, żuje gumę i wypluwa z siebie pojedyncze słowa.

- Co zrobiła Theresa?

- Nic, po prostu chciałem z nią pogadać.

Brittany patrzy przed siebie, zastanawiając się, czy może mi zaufać. W końcu po otrzymaniu dwudziestu funtów daje za wygraną.

- Theresa mieszka w bloku w Finsbury Park. Ma dziecko.

- Nadał to robi?

- Tylko z kilkoma stałymi klientami.

Piętnaście minut później wchodzę na trzynaste piętro wysokiego budynku, winda bowiem jest zepsuta. Po drodze zalatuje różnego rodzaju potrawami, głosy z telewizorów mieszają się z odgłosami kłótni rodzinnych.

Ponieważ Theresa otwiera drzwi teatralnym gestem, a na sobie ma jedynie czarną prześwitującą sukienkę i kolczyki z króliczkami, przypuszczam, że oczekiwała kogoś innego.

- Cholera! Kim pan jest?

- Wielkim czarnym wilkiem.

Patrzy, czy kogoś nie ma w korytarzu, potem spogląda na mnie. W końcu dotarło do niej.

- Och nie! - mówi przerażona.

Odwraca się, idzie w głąb pokoju, wkłada podomkę, idę za nią. Na podłodze w pokoju gościnnym pełno zabawek, a na telewizorze elektroniczna niania. Drzwi do sypialni są zamknięte.

- Pamiętasz mnie?

- Tak. - Zarzuca włosy na ramiona i zapala papierosa.

- Szukam Geny'ego.

- Szuka go pan od trzech lat.

- Tak, jestem człowiekiem bardzo cierpliwym i wytrwałym. Patrzy na zegar w kształcie ananasa wiszący na ścianie.

- Hej, ktoś zaraz do mnie przyjdzie. To mój najlepszy klient. Jeżeli zastanie pana tutaj, nigdy już nie wróci.

- Żonaty ten twój klient?

- Większość najlepszych klientów to ludzie żonaci. Odsunąłem na bok urządzenie do ćwiczeń ruchowych dla niemowląt i usiadłem na kanapie.

- Pomówmy o Gerrym.

- Nie widziałam go.

- Może ukrył się w twojej sypialni?

- Proszę nie obudzić dziecka.

Theresa jest ładną dziewczyną mimo krogulczego nosa i oczu podkrążonych po narkotycznych orgiach.

- Gerry puścił mnie kantem przed trzema laty. Myślałam, że chyba nie żyje, dopóki w gazetach nie pojawiły się jego zdjęcia oraz doniesienia o jego barze w Tajlandii.

- Kupił bar?

- Tak. Zdobył paszport i prawo jazdy na inne nazwisko. Musiał komuś buchnąć.

- Pamiętasz to nazwisko?

- Peter Brannigan.

- Dlaczego wrócił?

- Nie wiem.

- Kiedy ostatni raz go widziałaś?

- Przed trzema dniami, późnym wieczorem w poniedziałek. - Gasi niedopałek i zapala następnego papierosa. - Przyszedł tutaj z awanturą. Był zdenerwowany, przestraszony i strasznie krzyczał. Nigdy nikogo nie widziałam tak spanikowanego. Wyglądał tak, jakby ścigał go sam diabeł.

Pomyślałem, że być może było to po poturbowaniu przez niego Ali. Pamiętam, jak bardzo był przerażony, kiedy uciekał. Myślał, że przysłał nas Aleksei, abyśmy go załatwili.

Theresa ściera szminkę z kącików ust.

- Chciał pieniędzy. Powiedział, że musi wyjechać z kraju. Zachowywał się jak wariat, mówię panu. Pozwoliłam mu zostać, lecz jak tylko usnął, wzięłam nóż i przyłożyłam mu o tutaj. - Pokazuje na przegrodę nosową. - Powiedziałam mu, aby się natychmiast wynosił. Jak wróci, zabiję go.

- To było we wtorek rano?

- Tak.

- Wiesz, dokąd poszedł?

- Nie. I niewiele mnie to obchodzi. To kompletny świr. Zgniotła w ręce paczkę papierosów. Spojrzała przelotnie na mnie siedzącego na kanapie, potem na dziecięce zabawki.

- Mam teraz coś dobrego, co wypełnia mi życie, nie potrzebuję Gruba ani Petera Brannigana, ani żadnego z nich. Zniszczyliby mi życie.

Przed trzema godzinami minęła północ. Na biurku Joego świeci się lampa, której klosz rzuca ostre światło w środku, a łagodniejsze na obrzeżach. W oczach mam gryzący piasek, razi mnie światło.

O dziewiątej wieczorem zamówiłem pizzę, a kawę skończyliśmy pić o jedenastej. Reszta ochotników, z wyjątkiem Joe i Rachel, którzy nadal pracują, poszła do domu. W poczekalni na dużej tablicy wiszącej na ścianie przypięto pełno karteczek z uwagami i numerami telefonów. Obok, pod oknem stoi skrzynia z równo ułożonymi segregatorami. Wykorzystujemy ją jako półkę dla kawałków niezjedzonej pizzy i butelek z wodą.

Rachel wciąż do kogoś telefonuje.

- Halo, czy to klinika Świętej Katarzyny? Przepraszam, że dzwonię o tej porze, lecz poszukuję mojej przyjaciółki, która zaginęła. Nazywa się Kirsten Fitzroy, ma trzydzieści dwa lata, ciemnobrązowe włosy, zielone oczy i znamię na szyi.

Czeka przy telefonie.

- Okej. Nie ma jej u was, lecz może w ciągu ubiegłych kilku tygodni korzystała z waszej pomocy medycznej? Może macie jej nazwisko w rejestracji usług medycznych? Tak, wiem, że jest bardzo późno, ale to bardzo ważne. - Rachel nie poddaje się. - Tak naprawdę to moja siostra. Rodzice są zrozpaczeni. Boimy się, że zrobiła sobie coś złego...

Rachel dalej czeka.

- Nie ma żadnych odnotowań w rejestracji chorych? Bardzo dziękuję. Przykro mi, że sprawiłam pani kłopot.

Członkowie zespołu pracują ciężko, dając z siebie wszystko. Roger i Dicko przeprowadzili rekonesans na obszarach podlondyńskich, spenetrowali puby, nielegalne kasyna i lokale ze striptizem. Tymczasem Margaret wykazała się niezwykłą pomysłowością, przepytowała wielu ludzi na lotniskach, promach, dworcach kolejowych, przejrzała listy wyjeżdżających. Jak dotąd, zdołaliśmy ustalić, że Kirsten nie opuściła kraju żadnym regularnym stałym środkiem lokomocji.

Wszystkie większe szpitale w Londynie, całodobowe kliniki nie miały żadnego zapisu o przyjęciu rannej kobiety w czasie, kiedy nastąpiło przekazywanie okupu. Dzwonimy do poszczególnych lekarzy oraz do hospicjów.

Wiemy teraz o Kirsten o wiele więcej niż przed sześcioma godzinami. Urodziła się w Exeter w roku 1972 jako córka listonosza i nauczycielki. Jej dwaj bracia mieszkają w Devon. W 1984 roku uzyskała stypendium w szkole dla dziewcząt w Sherborne, wyróżniała się w historii i sztuce zdobniczej. Jedna z jej rzeźb została przyjęta na letnią wystawę Royal Academy of Art w Londynie. Pod koniec nauki opuściła szkołę wraz z dwiema innymi uczennicami w bardzo niejasnych okolicznościach. Przebąkiwano o narkotykach, lecz jej akta personalne nic o tej sprawie nie mówią.

Rok później Kirsten otrzymała stopień A i studiowała na wydziale historii i sztuki w Bristol University.

Po kilku nieudanych próbach ukończyła studia w 1995 roku. W tym samym roku magazyn „Tatler” zrobił jej zdjęcie z synem saudyjskiego ministra podczas turnieju golfowego w Windsorze. Potem ślad o niej zaginął, a po sześciu latach pojawiła się jako menedżer agencji zatrudnienia.

- Rozmawiałam z kilkoma osobami z domu aukcyjnego Sotheby - powiedziała Rachel.

- Kirsten była znana wśród dealerów i sprzedawców dzieł sztuki. Pamiętano jednak tylko, że zawsze chodziła w ciemnych strojach i bez przerwy rozmawiała przez telefon komórkowy.

- Czyżby podczas aukcji występowała w czyimś imieniu?

- Przed czterema miesiącami wzięła udział w aukcji dzieł sztuki i złożyła ofertę kupna akwareli Turnera za sto siedemdziesiąt tysięcy funtów.

- Kto był rzeczywistym kupującym?

- Przedstawiciele Sotheby odmawiają odpowiedzi na pytania dotyczące tej transakcji. Przekazali mi jednak zdjęcie obrazu, widziałam go w gabinecie ojca.

Wyraźnie zdumiona, patrzyła to na mnie, to na Joego. Odniosłem wrażenie, że ma gonitwę myśli. Widziałem, jak nurtujące ją podejrzenia powodują drżenie całego jej ciała.

- Nadal nie wierzę, że mogła coś takiego zrobić. Kochała przecież Mickey.

- Co zamierzasz teraz?

- Zapytam ojca.

- Czy powie prawdę?

- Może powie, zawsze kiedyś jest ten pierwszy raz. Ręka Joego drży, kiedy sięga po butelkę z wodą.

- W naszych działaniach jesteśmy wyraźnie opóźnieni, niewiele wiemy. Jacyś ludzie kontaktowali się z członkami rodziny Kirsten i jej przyjaciółmi, niektórym grożono. Jednego z braci Kirsten ciężko pobito niecałą godzinę po tym, jak zatrzaskał drzwi przed facetem, który podawał się za poborcę należności.

- Sądysz, że rodzina wie, gdzie jest Kirsten?

- Nie sądzę.

Rachel przytakuje skinieniem głowy.

- Kirsten nie naraziłaby ich na takie niebezpieczeństwo.

Dlaczego Aleksei robi takie zamieszanie i pakuje się w tarapaty? Przecież powinien wiedzieć, że gdyby zachowywał się dyskretniej i działał zza kulis, to Kirsten i tak się ujawni. Tacy ludzie zawsze w końcu się ujawniają, na przykład Ger-ry Brandt. Tu nie chodzi tylko o diamenty. To sprawa o wiele bardziej osobista, sprawa charakteru. Jak wieść niesie, Aleksei zabił swego brata tylko dlatego, że okrył rodzinę niesławą. Co więc mógłby zrobić komuś, kto porwał jego córkę?

Joe siedzi naprzeciwko, sporządza notatki. Przypomina swoim zachowaniem nauczyciela szkoły podstawowej, który dokładnie wie, ile jest w szkolnym magazynie ołówków, pędzelków i książek, a potrafi przyjść do szkoły ze śladami mydła do golenia na twarzy i w dwóch różnych skarpetkach.

Telefonuje do mnie Juliannę. Prosi, abym w drodze do domu nie pozwolił Joemu prowadzić samochodu. Rozmawiała także z nim i prosiła, aby się mną zajął.

Rachel zbiera kubki i zanosz je do kuchni. Niewiele jest naczyń do zmywania, Jean bowiem to maniaczka czystości i całe popołudnie sprząta.

Joe sięga ręką do kieszeni, wyjmując pomietą kartkę z notatkami i rozprostowuje ją na udzie.

- Cały czas myślę - mówi głośno.

- To dobrze - odpowiadam.

- Chciałbym w tej chwili odsunąć na moment sprawę uprowadzenia Mickey i skupić się na żądaniu okupu. Jeżeli uważnie przyjrzymy się charakterowi pisma, literom tekstu dotyczącego warunków okupu, nie widzimy, by sugerowały one jakieś zaburzenia psychiczne

autora, jakąkolwiek obsesję lub brak zdolności logicznego myślenia. Porywacze żądają wielkiej sumy, lecz nie jest to suma niemożliwa do uzyskania, jeśli wziąć pod uwagę zamożność Alekseia czy Douglasa.

Wiemy, że co najmniej trzy osoby zaangażowane są w to przestępstwo. Autorką planu jest prawdopodobnie Kirsten. Ray Murphy zajął się czynnościami logistycznymi. Kirsten jest nieprzeciętnie inteligentna. Jej postępowanie cechuje niezwykła ostrożność i elastyczność w planowaniu wszelkich czynności. Musiała sprawdzić pomysł z paczkami diamentów oraz ustalić ich wymiary. Była także świadoma możliwości zainstalowania urządzeń śledzących w paczkach oraz wyjścia na jaw wyników badań zakładu medycyny sądowej...

Profesor jest w dobrej formie. Widziałem go kiedyś przy takiej pracy - zagładania do cudzych głów, dopóki nie dowie się, jakie w nich krążą myśli, i do ludzkich serc, dopóki nie dowie się, co czują.

- Plan odebrania okupu był sprytny, lecz zbyt skomplikowany. Kiedy ludzie stają w obliczu konieczności rozwiązania zawikłanego problemu, rozważają zastosowanie tylko kilku opcji i scenariuszy. Jeżeli później pojawia się zbyt wiele niewiadomych, są skonfundowani. To właśnie dlatego planują tylko do pewnego momentu lub przewidują rozwiązania częściowe. Czasami nawet nie rozważają rozwiązań alternatywnych, ponieważ nie wierzą w możliwość niepowodzenia.

Ktokolwiek był autorem tego planu, chciał przewidzieć wszystko, opracował wszelkie możliwe szczegóły, lecz tym samym plan stał się zbyt skomplikowany. Spójrzmy na te wszystkie jego elementy, które muszą ze sobą współgrać. Niezwykle precyzyjne techniczne warunki opakowania okupu, nadzór nad przewożącym diamenty, ulokowanie kamieni we właściwych spustach ściekowych londyńskiego systemu kanalizacji, przeprowadzenie wybuchu, wywołanie powodzi... Jeżeli którykolwiek z tych składników by zawiódł, operacja przejęcia okupu mogła się nie udać.

- Może najpierw sprawdzili, czy ten cały mechanizm będzie działał? Pamiętam ten głos w telefonie do Rachel: Zróbmy to jeszcze raz.

Moje wywody nie przekonują Joego.

- Jest to rodzaj operacji, którą tylko raz można spartolić, nie można jej w żadnym wypadku powtórzyć. Zakładając bowiem drugie podejście, należałoby wszystkie czynności uprościć.

Joe zaczyna chodzić, wymachuje rękami.

- Załóżmy, że jednak uprowadzili Mickey. Zabrali ją pod ziemię. Korzystając z podziemnych tuneli, chcieli także odebrać okup. W jakimś miejscu musieli jednak

dziewczynkę przetrzymywać. Miejsce to wybrał najprawdopodobniej Ray Murphy.

- Nie w kanale ściekowym, to zbyt niebezpieczne miejsce!

- Ale umieszczenie jej z kolei gdziekolwiek na powierzchni ziemi groziło rozpoznaniem. Zdjęcia Mickey były rozwieszane wszędzie.

- Sądziś więc, że trzymali ją pod ziemią?

- Musimy rozważyć taką ewentualność.

Mogę zadać takie pytanie meteorologowi Pete'owi. Spojrzałem na zegarek. Za kilka godzin zatelefonuję do niego.

- A co myślicie o Gerrym Brandcie? - zapytał Joe.

- Zdobył paszport i prawo jazdy na nazwisko Peter Bran-nigan. Sporo go kosztowała zmiana tożsamości oraz zniknięcie, ucieczka do takiego kraju jak Tajlandia. Wymaga to pewnych powiązań.

- Masz na myśli ludzi z narkotykowego podziemia?

- Może. Według międzynarodowego katalogu branżowego w Phuket w Tajlandii jest bar o nazwie „Branningan”.

- Zabawne. Która teraz godzina w Tajlandii?

- Czas wstawać.

Rachel zasnęła na kanapie w poczekalni. Obudziłem ją delikatnie.

- Zawiozę panią do domu - powiedziałem. Jak przez sen zapytała:

- A co z Mickey?

- Musi się pani przespać. Mickey znajdziemy rano.

Joe nadal rozmawia przez telefon z kelnerką w Phuket, która kiepsko zna angielski. Usiłuje uzyskać od niej rysopis Petera Brannigana, aby ustalić, że on i Geny Brandt to ta sama osoba.

O tej porze ulice są puste, jeżdżą tylko zmiataczki śmieci i polewaczki. Otwieram przed Rachel drzwi samochodu. We wnętrzu czuję zapach sosny i tytoniu.

Rachel pożyczyła płaszcz i przykrywa nim kolana. Czuję, że nurtują ją jakieś pytania. Czeka, aby ktoś dodał jej otuchy. Być może zwozimy się wzajemnie. Włączam silnik, ruszamy i jedziemy do Maida Vale. Rachel oparta głowę na zagłówek i obserwuje mnie.

- Ma pan dzieci, inspektorze?

- Nie jestem już policjantem. Proszę mi mówić Vincent. Czeka na odpowiedź.

- Mam córkę i syna, bliźniaki, już dorosłe.

- Często ich pan widuje?

- Nie.

- Dlaczego?

- To długa historia.

- Jak długa? To przecież pańskie dzieci.

Nie wymigam się. Niezależnie od tego, co jej powiem, i tak nie zrozumie. Rozpaczliwie pragnie odnaleźć swoje dziecko, a ja ze swoimi dziećmi nawet nie rozmawiam. Gdzie jest sprawiedliwość?

Odgarnęła włosy z czoła za uszy.

- Wie pan, czasami myślę, że wychowałam Mickey w przekonaniu, że świat stanowi dla niej zagrożenie największe.

- Dlaczego pani mi to mówi?

- Stale powtarzałam, że powinna być nieufna i ostrożna.

- Tak mówią wszyscy rodzice.

- Owszem, lecz nie były to typowe pouczenia rodzicielskie. Były bowiem nadopiekuńcze, nie mieściły się w zwyczajowej normie, niewiele miały wspólnego z codziennymi ostrzeżeniami matki. Zbyt często skłaniałam ją do zastanowienia, jak postąpi, jeżeli kogoś zbyt mocno pokocha, a ten ktoś zawiedzie ją lub porzuci. Wpołam jej lęk przed nieszczęśliwą miłością. Nie zawsze bała się wyjść z domu. Dopiero jak miała cztery latka, wykształcił się u niej lęk przed światem zewnętrznym.

- Co takiego stało się wówczas?

Głosem pełnym żalu i ubolewania opowiedziała przygodę, jaka zdarzyła się któregoś sobotniego popołudnia w miejscowym parku, gdzie Mickey zwykle karmiła kaczki. Tej soboty był tam jarmark w dawnym tradycyjnym stylu. Była karuzela, sprzedawano watę cukrową na patykach. Mickey jechała sama na barwnie pomalowanym koniku, dumna, że nie potrzebuje już opieki matki. Kiedy jazda się skończyła, Mickey znalazła się po stronie przeciwnej niż czekająca matka. Rachel, zajęta rozmową z jakąś kobietą, nie zauważyła, że karuzela już się nie kręci.

Mickey zeszła z konika i zamiast obejść karuzelę, poszła za gromadą matek z dziećmi, sądząc, że jest wśród nich i jej matka.

Zawróciła następnie do stawu, gdzie przy wierzbie gromadziły się kaczki. Patrząc przez ogrodzenie, zauważyła dwóch chłopców w wieku około jedenastu lat rzucających do stawu kamienie. Przestraszone kaczki zbiły się w gromadkę. Mickey zastanawiała się, dlaczego nie odlecą. Nagle zauważyła kaczątka chroniące się pod skrzydłami matek.

Jedno z kaczątek - czarna kuleczka na tle szarej wody - oddaliło się od stadka. Trafił w nie kamień. Znikło pod wodą. Po chwili wypłynęło martwe.

Mickey zaczęła histerycznie płakać, zalała się łzami. Chłopcy usłyszeli płacz, porzucili kamienie i uciekli. Nie chcieli czuć się odpowiedzialni za płacz dziecka.

Rozpaczliwy krzyk dziewczynki siedzącej nad stawem wywołał wśród ludzi różne reakcje. Niektórzy zachowali się tak, jakby nic się nie stało. Inni czekali, aż ktoś się małą zainteresuje.

Człowiek karmiący gołębie był najbliżej. Zegnał gołębie ze swych kolan i podniósł się. Podeszedł do Mickey i uklęknął przy niej.

- Masz jakiś kłopot, panienko?
- Niech przestaną! - wołała, łkając.
- Chcesz karmić ptaszki? - zapytał.
- Kaczki - odpowiedziała, łkając.
- Chcesz karmić kaczki? - upewnił się.

Mickey znowu zalała się łzami. Mężczyzna wstał i popatrzył na nią ze zdziwieniem. Należał do osób, które nigdy nie zrozumieją zachowania dzieci. Wziął ją za rączkę i chciał zaprowadzić do strażniczki czy matki.

Ale pojawił się policjant. Przepchnął się przez tłum i podeszedł do mężczyzny z dzieckiem.

- Proszę ją puścić - powiedział.
- Szukam matki tej małej - wyjaśnił mężczyzna. Na zmierzwionej brodzie miał plwocinę.
- Proszę ją puścić i odejść.

Pojawiła się Rachel. Chwyliła Mickey i z całej siły przytuliła do siebie. Tymczasem policjant przeszukał kieszenie spodni mężczyzny i wysypał na trawę karmę dla ptaków.

Mickey już nigdy nie chciała karmić kaczek. Nie wychodziła na spacer do parku, a wkrótce nie wychodziła już sama na zewnątrz kamienicy osiedla Dolphin. Rok później była już pod opieką terapeuty.

Książka dla dzieci, którą Timothy znalazł w jej schowku w piwnicy, była o pięciu kaczkach, które poszły zwiedzać świat, po czym szybko wróciły do domu. Teraz Mickey z własnego bolesnego doświadczenia wiedziała już, że nie wszystkim małym kaczkom udaje się powrócić do domu.

Meteorolog Pete ściera z wąsów ślady mleka i wskazuje kubkiem na oddaloną rzekę, mówiąc:

- Kanały ściekowe to nie miejsce dla dzieci. Zaparkował samochód na pochylni w cieniu Putney Bridge.

Nurt wody niesie osiem muszli, które wyglądają jak olbrzymie żuki wodne. Moley siedzi z tyłu w samochodzie, senny i skulony jak piesek, z jednym okiem otwartym.

- Gdzie oni mogli ją przetrzymywać? Pete wzdycha głęboko, jego wargi drżą.

- Tam, na dole, jest mnóstwo miejsc: nieużywanych podstacji metra, tunele do napraw, wloty powietrza, rury wodociągowe, studzienki, tysiące zakamarków... Dlaczego pan myśli, że tam ją właśnie przetrzymują?

- Bo Gerry Brandt jest przerażony. Ludzie go szukają. Pete mruczy:

- Trzeba być kimś wyjątkowo podłym, aby zaszyć się w tym podziemiu.

- Bo to dziwny człowiek - odparłem.

- Pan mnie nie rozumie. Weźmy na przykład Moleya. Jeżeli zniknie w podziemiach, nie znajdziemy go i w ciągu stu lat. Lubi ciemności, podobnie jak niektórzy ludzie lubią niskie temperatury. Wie pan, co mam na myśli?

- Ten facet jest inny.

- Skąd więc wiedział, jak się tam dostać?

- Posłużył się pamięcią. Ktoś powiedział mu, jak się ukryć i jak się tam poruszać. Tym kimś mógł być były wieloletni pracownik kanalizacji miejskiej, Ray Murphy.

- Ckliwy Ray! Ten bokser.

- Znasz go?

- Tak, znam. Ray nigdy nie był rasowym bokserem. Częściej leżał na deskach niż Ruud van Nistelrooy. Nie wiedziałem jednak, że pracował w kanalizacji miejskiej.

- To było dawno temu. Potem był w grupie przeciwpowodziowej.

Na twarzy Pete'a pojawił się szeroki uśmiech.

- Stare pomieszczenia oddziału przeciwpowodziowego londyńskiej sieci kanalizacyjnej znajdują się w podziemiu przy przejściu pieszych obok przy starej zajezdni tramwajowej Kingsway Tram.

- Przecież w śródmieściu Londynu już od pięćdziesięciu lat nie kursują tramwaje.

- Toteż ten tunel dawno jest nieczynny. To było najmniej właściwe miejsce na centrum zapobiegania powodziom. Gdyby Tamiza wylała, właśnie to miejsce jako pierwsze zostałyby zalane. Co za głupi pomysł!

To przejście jest jednym z najdziwniejszych, prawie tajemniczych miejsc w mieście. Codziennie tysiące ludzi przechodzi tutaj dołem lub przejeżdża górą, nie zdając sobie z jego istnienia sprawy. Widać tylko parkan i drogę pokrytą kocimi łbami, która ginie gdzieś pod ziemią. Biegnie pod Kingsway - jedną z najruchliwszych ulic West Endu - do Aldwych, gdzie skręca w prawo i wychodzi bezpośrednio na Waterloo Bridge.

Meteorolog Pete parkuje furgonetkę na podjeździe, ignorując znak zakazu postoju. Daje mi plastikowy hełm ochronny i wyjmuję z samochodu tablicę informującą, że w tym miejscu prowadzone są prace dla władz miejskich.

W kamiennej nawierzchni tkwią jeszcze pozostałości szyn tramwajowych, a duża brama zagraża wejście do tunelu.

- Możemy tam wejść?

- To wbrew prawu - mówi i wyciąga największy, jaki kiedykolwiek widziałem, obcinak, przyrząd do przecinania stalowych prętów.

Moley postępuje i nakrywa się plandeką.

Usiłuję ostudzić odkrywczy entuzjizm Pete'a, mówię, że Gerry Brandt to groźny przestępca. Przez niego Ali wylądowała w szpitalu; nie chcę, aby jeszcze ktoś ucierpiał. Z chwilą kiedy zorientujemy się, że on tam się zaszył, wezwę policję.

- Możemy tam wsunąć kreta drenarskiego. - Pete zawija końce plandeki. Widać tylko głowę Moleya. - Jesteście przygotowani?

Schodząc po rampie, wyglądamy jak trzej inżynierowie sprawdzający jakieś urządzenia w podziemiach w piątkowy poranek. Kłódka na bramie wygląda na solidną, lecz obcinak wchodzi w nią jak w masło. Wkraczamy do środka.

Aczkolwiek przy wejściu widoczność jest ograniczona, zanim pogrążymy się w całkowitych ciemnościach, widzimy, jak tunel rozszerza się. Zaskakuje nas widok nagromadzonych pod ścianami przedmiotów - są tam tabliczki z nazwami ulic, znaki drogowe, słupki, płyty chodnikowe. Widocznie władze miejskie zamieniły tunel w wielki magazyn.

- Powinniśmy poczekać - szepcze Pete. - Nie ma sensu chodzić po omacku w tych ciemnościach. - Wręcza Moleyowi coś, co wygląda na racę. - Na wszelki wypadek - mówi.

Moley przystawia ucho do muru i przez kilkanaście sekund słucha w skupieniu. Następnie jak najciszej skacze i kilka metrów dalej znowu zamienia się w słuch. Znika mi z oczu. Słyszę tylko bicie własnego serca i odgłosy ruchu ulicznego dwanaście metrów nad naszymi głowami.

Po piętnastu minutach Moley wraca.

- Tam ktoś jest. W odległości około stu metrów są przenośne baraki. Jest w pierwszym z nich. Czuję zapach lampy oliwnej.

- Co robi?

- Pewnie śpi.

Zdaję sobie sprawę, że powinienem wezwać pomoc. Mogę rozmawiać bezpośrednio z

Nowym Chłopakiem, Da-ve'em, pominawszy Meldruma i Campbella. Dave tak samo nienawidzi Gerry'ego Brandta jak ja. Obaj mamy z nim na pieńku.

Lecz powoduje mną także pragnienie zemsty. Nie mogę zapomnieć tej sceny, kiedy Gerry Brandt trzyma Ali, patrzy mi prosto w oczy, rzuca się do tyłu i łamie Ali kręgosłup. Z całej duszy pragnąłem spotkać go w takim jak to miejscu - ciemnym i bezludnym.

Za chwilę wtargną tutaj policjanci uzbrojeni po zęby. Tak się dzieje, kiedy zagrożone jest ludzkie życie bądź kiedy ludzie giną. Nie mam na myśli działania żadnych tajemnych sił, to zwykła rzeczywistość, to ludzie ludziom gotują taki los. Nie mogę sobie pozwolić na to, aby Gerry Brandt mi umknął. To agresywny, impulsywny drań, żerujący bez skrupułów na słabości innych, lecz jest mi potrzebny ze względu na Ali i Mi-ckey. On wie, co się stało z dziewczynką.

Nagle słyszę szept Pete'a:

- Co zamierza pan zrobić?

- Wezwę policję, ale chcę także porozmawiać z tym draniem. Nie dopuszczę do tego, aby wymknął mi się z rąk lub został zabity.

Na Moleya pada snop światła z wejścia do tunelu. Podnosi głowę i patrzy na mnie wzrokiem pełnym lęku i oczekiwania.

- Ten facet ma na sumieniu straszne rzeczy?

- Tak - odparłem.

- Mam pana tam zaprowadzić?

Po kilku sekundach zastanowienia Pete zgadza się na mój plan. Po powrocie do furgonetki telefonuję do Nowego Chłopaka, Dave'a. Spoglądam na zegarek i zdaję sobie sprawę, że Ali jest już po operacji. Nie wiem dokładnie, na czym polega! zabieg, lecz przypuszczam, że w uszkodzone miejsce kręgosłupa założyli jej trzpień.

Meteorolog Pete przyniósł z furgonetki dziwne urządzenie - dodatkową racę i „tajną broń”. Pokazał mi coś, co przypominało dwie bombki czy raczej piłki pingpongowe.

- Sam to zrobiłem. Czarny proch do rac oświetleniowych, taśma z magnezu i odrobina wosku ze świec - powiedział z dumą w głosie.

- Jakie jest działanie tego wszystkiego?

- Powstaje ogłuszający huk! - Wyszczrzył do mnie zęby w uśmiechu. - Nic poza tym, tylko błysk i huk. Powinien pan usłyszeć taką eksplozję w tunelu.

Plan, jaki chcemy teraz zrealizować, jest dość prosty. Mo-ley zamierza sprawdzić, czy nie ma innego wyjścia z tunelu. Po sprawdzeniu zapali race i bombki.

- Napędzimy skurczybykowi strachu - mówi podniecony. Pete patrzy na mnie.

- Pan ma okulary przeciwsłoneczne, proszę je założyć. I nie patrzeć na światło. Kiedy Geny Brandt będzie zupełnie zdezorientowany, ma pan zaledwie kilka sekund, aby go dopaść.

Dajemy Moleyowi dziesięć minut na przygotowanie się do tej operacji. Z meteorologiem Pete'em idziemy po omacku w przeciwnym kierunku tunelu, stąpając po bajorach oleju i kupach zgnitych liści.

Powoli zmienia się kształt tunelu. Strop opada w miejscu, gdzie znajdująca się nad nami droga wcina się w jego dawny pułap. Przede mną są przenośne baraki. Widzę także słabe zielone światło latarni i czymś zakryte okna.

Kucnąłem i czekam na Moleya. Jest tak ciemno, że może być tuż za mną, ale go nie widzę. Mam sucho w ustach. Od dwóch dni połykam drażetki kodeiny i odczuwam głód morfiny. Wmawiam sobie, że ból, jaki doskwiera mi w nodze, to tylko wytwór chorego umysłu.

To, co się za chwilę wydarzy, nie zostało przewidziane ani opisane w żadnym z policyjnych podręczników i instrukcji dotyczących zachowań podczas działań operacyjnych. Wybuch jest tak nagły i ogłuszający, że przypomina strzał armatni. Oślepiający błysk rozświetla tunel. W pobliżu opadają miliony iskier z racy.

Patrzę na to spod przymrużonych powiek, czując piekący ból oczu. Widzę jedną oślepiającą biel. Odwracam głowę, idę do pierwszego baraku. Następuje drugi wybuch i jakaś postać wyskakuje z drzwi baraku. Podskakuje, jakby chciała odzyskać równowagę. Oślepiony światłem mężczyzna uderza głową w mur, niemalże tracąc przytomność.

Chwytam go z tyłu, obejmuję rękami jego tułów. Całą siłą rzucił się w lewo, rękami młóci powietrze. Obaj wpadamy w bajoro. Podczas tej szamotaniny usiłuję nałożyć mu kajdanki. Uderza gwałtownie głową do tyłu. Przewidziałem ten ruch. Bije na oślep. Jestem za nim. Powaliłem go, usiadłem okrakiem na jego plecach i przekręciłem jego rękę do tyłu, aż zawył z bólu. Wypina grzbiet, usiłuje mnie zrzucić i chwycić ręką. Przedramieniem przyduszam mu gardło, uciskam tchawicę i przyciskam twarz do podłoża. Nie może oddychać. Ledwo wierzga nogami.

Jakże łatwo mógłbym go teraz zabić. Mógłbym go udusić lub złamać mu kark. Lecz co z tego, jeśli umrze? Niewielka strata dla ludzkości. Nie zostawi po sobie niczego godnego zapamiętania. Jedyne ślady, jakie pozostawi po sobie na tej ziemi, to ślady krwi.

Poluzowałem uchwyt ręki, jego głowa opadła na betonową nawierzchnię, wydając głuchy dźwięk. Z trudem łapie powietrze.

Podciągnąłem do tyłu jego drugą rękę, założyłem kajdanki i odsunąłem się od niego. Wstałem, trzymając się niepewnie na nogach, patrzę na niego z góry. Widzę czarne dredy z

jego włosów i kawałki potłuczonego szkła, tkwiące w jego policzkach. W świetle gasnących rac zobaczyłem spływającą z jego ucha cienką strużkę krwi.

Z oddali słycać odgłosy syren policyjnych.

- Zabierzcie go stąd wreszcie - mówię do siebie.

- Będziemy mieć kłopoty? - zapytał Moley, stając obok meteorologa Pete'a.

- Nic wam nie będzie. Idźcie do furgonetki i pozwólcie mnie z nimi porozmawiać.

Jesteśmy niemalże u wylotu tunelu. Słycać głośno metaliczne echo otwieranej bramy. Obok furgonetki zatrzymały się dwa wozy policyjne. Policjanci uzbrojeni są w karabiny MP5. Podjechał także do nich nieoznaczony samochód policyjny. Wszedł z niego Nowy Chłopak, Dave, wraz z Camp-bellem, który idzie, jakby miał w gaciach kule do gry w kręgle.

- Aresztujcie go! - krzyczy Campbell, wskazując na mnie. W tym momencie Geny Brandt podnosi głowę i słabym głosem mówi:

- Nie zamierzałem tego zrobić. Puściłem ją.

- Gdzie ona jest teraz? - pytam. Kręci głową i drżącym głosem powtarza:

- Puściłem ją.

- Co zrobiłeś z Mickey? - pytam.

- Musi pan powiedzieć Kuznetowi, że ją wypuściłem. Nagle tuż nad zakrwawionym miejscem na jego policzku pojawia się jeszcze jedna czerwona plama, potem widzę krew, która powoli zalewa jego oczy i czoło. Nagle dociera do mnie, co się stało, lecz już za późno na jakąś reakcję. W rozprysku krwi jego głowa podskakuje i opada.

Pocisk, który nie wiadomo skąd nadleciał, przebił policzek Brandta, szyję i wyszedł poniżej obojczyka. Gerry jest ciężki, nie mogę go utrzymać, ciągnie mnie do dołu. Pod wpływem ciężaru odsunąłem się od niego, głową uderzyłem o bruk, potem o ścianę tunelu.

Podjazd jest już pusty. Ludzie rozbiegli się. Tylko Gerry Brandt leży nieruchomo. Połowę głowy ma przykrytą kurtką, która powoli nasiąka jego krwią.

Nie słyszę już strzałów. Wystarczył jeden.

Według opinii ekspertów nasz wsłaniały świat zakończy swój żywot za pięć miliardów lat, kiedy zgaśnie Słonce i pochłonie okrążające je planety, zamieniając resztę Układu Słonecznego w ciemny grafit. Zawsze wyobrażałem sobie ten dramatyczny koniec jako powtórne przyjsie Mesjasza, kiedy Jezus i Charlton Heston będą rywalizować w tych ostatnich scenach życia o to, kto skupi na sobie większą uwagę świata. Nie sądzę jednak, że będę świadkiem tego wydarzenia.

Niemniej jednak taka oto myśl nasunęła mi się, kiedy siedziałem na tylnym siedzeniu auta, patrząc, jak policjanci robią zdjęcie zmasakrowanego ciała Gerry'ego Brandta. Chmara

uzbrojonych funkcjonariuszy chodzi od drzwi do drzwi, przeszukując okoliczne sklepy, biura i mieszkania. Obawiam się, że nic nie znajdą. Snajper już dawno się ulotnił.

Wymknął się również Campbell, przerażony moim towarzystwem. Podążałem za nim, krzycząc:

- Komu o tym powiedziałaś?! Kto wiedział?!

W momencie kiedy zadzwoniłem o wsparcie, ktoś poinformował Alekseia o sytuacji. Od kogo bowiem snajper dowiedziałby się, gdzie szukać Brandta? To jedyne logiczne wyjaśnienie.

Kilkunastu policjantów w równym szeregu zeszło z rampy w podziemia, przeszukując uważnie tunel. Kilku pracowników lokalnych władz w Camden z uwagą przyglądało się tym czynnościom, jakby szykowali się już do policyjnych przesłuchań.

Coraz wyraźniej widzę, że ta cała historia to podstęp mający kogoś skompromitować. Winny został zastrzelony, a ludzie niewinni dostali się pod obstrzał. Jedną z ofiar spisku mógł być Howard. Nadal nie wiem, jaką rolę wyznaczono mu w tym perfidnym planie porwania Mickey. Mogę jednakże wyobrazić go sobie leżącego na pryczy, czekającego na wyjście z więzienia i planującego pierwsze dni wolności.

Pedofile zaś śpią w więzieniu snem potępionych. Przez sen słyszą swoje nazwiska przekazywane szeptem z celi do celi.

W miarę jak głosy się natężają, szept zamienia się monotonna pieśń, a następnie w budzącą grozę symfonię.

Funkcjonariusze SOCO, zajmujący się oceną i analizą miejsca przestępstwa, ubrani w białe kombinezony, zapalili reflektory na ruchomych lawetach. Światło rzucało groteskowe cienie na mury. Noonan, dowodzący grupą SOCO, krzyczy do dyktafonu: Widzę ciało dobrze zbudowanego i dobrze odżywionego białego mężczyzny! Po lewej stronie głowy widoczna jest kontuzja, drugą ranę ma między brwiami! Po postrzeleniu mógł upaść lub też ktoś zadał mu cios w twarz przed postrzeleniem...

Nowy Chłopak, Dave, przyniósł mi kawę. Ma smak smoły i przywodzi na myśl godziny spędzone na inwigilacji oraz poranne zmiany w komendzie policji.

Noonan przewraca ciało, sprawdza kieszenie oraz podszewkę marynarki.

Dave skrzywił się.

- No cóż, cieszę się, że drań nie żyje - powiedział.

Ze względu na to, co przydarzyło się Ali, jego reakcja jest w pełni zrozumiała. Nie rozumie natomiast, dlaczego potrzebowałem Gerry'ego żywego. Dave poluźnił krawat i odpiął górny guzik koszuli.

- Mówią, że zamierza pan podważyć wyrok skazujący Howarda Wavella na dożywocie.

- Nie.

- Mówią także, że ukradł pan diamenty Aleksejowi Kuz-netowi. Utrzymują, że jest pan człowiekiem nieuczciwym.

- A co ty o tym myślisz?

- Ali mówi, że to nieprawda.

Obok przejeżdża piętrowy autobus, połyskując kolorami czerwonym i żółtym. Widać znużone twarze i głowy oparte o szyby. Z perspektywy tych znużonych pracą i życiem ludzi Londyn wcale nie jest szczególnie ekscytującym miejscem na Ziemi. O zmroku nie widać tych wszystkich jego architektonicznych i historycznych wspaniałości.

Jestem aresztowany. Campbell nalegał na to. Dave nie kwapi się założyć mi kajdanków, moja policyjna przeszłość coś jednak znaczy w tym towarzystwie. Gdyby to byli policjanci pokroju Ali, z całą pewnością stanęliby po mojej stronie. Lecz Ali tam nie było.

Policjanci z SOCO, po zakończeniu oględzin miejsca przestępstwa, zawożą mnie na komisariat przy Harrow Road. Do izby przesłuchań w budynku komisariatu wchodzę tylnym wejściem. Za chwilę zacznie się procedura przesłuchań, którą doskonale znam. Wezmą kosmyk moich włosów do plastikowego pojemnika, próbki śliny na bawełniany wacik i odciski palców. Potem zaprowadzą mnie raczej do pokoju przesłuchań niż do aresztu.

Oczywiście, każą mi czekać. Siedzę przy stole, objąwszy kolana rękami i patrzę bezmyślnie przed siebie. To czekanie na nie wiadomo kogo i nie wiadomo dlaczego to część procedury przesłuchań. Milczenie i bezruch może okazać się bardziej owocne dla policji niż zadawanie pytań.

W końcu zjawił się Keebal, pod pachą przyniósł teczki i zaczyna je przeglądać. Większość z nich prawdopodobnie niewiele ma wspólnego z moją sprawą, lecz chce, abym nabrał... przekonania, iż są to dowody przeciwko mnie. Każdy ma tutaj odrobinę swojej zawodowej satysfakcji i radości.

Keebal lubi robić wrażenie, że jest typem człowieka bardzo cierpliwego, ale to nieprawda. Może to sprawa cygańskiej krwi, lecz mogę cały dzień siedzieć naprzeciwko kogokolwiek, nie odezawszy się słowem. Cyganie są podobni z charakteru do Sycylińczyków. Możemy z kimś pić, uśmiechać się do niego przymilnie, lecz kiedy na nas nie patrzy, wycelujemy rewolwer w jego brzuch.

W końcu Keebal włączył magnetofon, poprosił wszystkich obecnych w pokoju o podanie imion i nazwisk, czasu i daty przesłuchania.

Klepnął dłonią po u fryzowanych włosach i powiedział:

- Słyszałem, że odzyskałeś pamięć.

- Zostawmy to na później. Z pewnością w salonie piękności masz umówionego fryzjera.

Przestał gładzić włosy i spojrzał na mnie.

- Dwudziestego czwartego września około godziny szesnastej dostałeś paczkę zawierającą dziewięćset sześćdziesiąt pięć jednokaratowych diamentów najwyższej jakości.

Czy to prawda?

- Tak.

- Kiedy ostatni raz widziałeś te diamenty?

Czuję, że żołądek podchodzi mi do gardła, jakby ktoś dał mu kopa. Nadal mam w oczach paczki z diamentami wypadające z worka wyjętego z bielizniarki. Czuję łomot w głowie, jakby początek ataku migreny.

- Nie wiem - odparłem.

- Czy dałeś je komuś?

- Nie.

- Po co ci były te diamenty?

- Znasz odpowiedź na to pytanie.

- Ze względów protokołarnych odpowiedz na nie.

- Miały stanowić okup.

Patrzy na mnie, nie mrugnawszy okiem. Robię to, o co mu chodzi - okopuję się coraz bardziej. Biorę głęboki wdech i opowiadam całą historię okupu. Nie mam nic do stracenia, a w końcu mogę to wszystko wyrzucić z siebie. Jeżeli coś mi się stanie, pozostanie policyjny zapis moich zeznań.

- Ktoś zażądał okupu za uwolnienie Mickey Carlyle. Żądający okupu dostarczyli kosmyk włosów Mickey, bikini, jakie nosiła, oraz informacje, które mógł mieć tylko ktoś bardzo blisko związany z jej rodziną.

- Żądanie okupu za dziewczynkę, która zmarła przed trzema laty?

- Nie wierzę w to. Sądzę, że ona żyje.

Robi notatki. Wiem, że to tylko gra pozorów. Jeszcze raz powtarzam to samo. Przez kolejnych dziewięćdziesiąt minut relacjonuję wszelkie zapamiętane szczegóły tej historii. W sumie będzie miał do przesłuchania setki godzin nagrań. To, co jest na tych taśmach, przypomina raczej osobiste wyznania niż policyjne przesłuchania.

Keebal ma minę jak ktoś, kto sprzedaje używane samochody lub polisy

ubezpieczeniowe na życie.

- Przyznajesz, że byłeś na łodzi w momencie, kiedy zmarł Ray Murphy?

- Tak.

- Utrzymujesz, że diamenty były wówczas na pokładzie łodzi, w paczkach?

- Tak.

- Czy w tych paczkach były także urządzenia elektroniczne do określania ich pozycji.

- Tak.

- Czy kiedy byłeś już na pokładzie, zabrałeś diamenty?

- Nie.

- Gdzie one są teraz?

- Dlaczego sądzisz, że wiem?

- Mogą być w twoim mieszkaniu pod materacem łóżka?

- Mogą.

Pilnie studiuję wyraz mojej twarzy, chce zobaczyć, czy nie kłamię. Oczywiście, że kłamię, ale on tego nie zauważa.

- Pozwól, że dam ci dobrą radę - mówi. - Następnym razem, kiedy będziesz usiłował skraść okup, pamiętaj, że należy usunąć urządzenia służące do określenia położenia danego przedmiotu. W przeciwnym razie ktoś może cię śledzić i przyłapać na gorącym uczynku.

- Jak się miewa Aleksei? Ile ci zapłacił za odzyskanie diamentów? - zapytałem.

Keegal zacisnął usta i nosem wciągnął powietrze, dając mi tym samym niedwuznacznie do zrozumienia, że go rozczarowałem.

- Odpowiedz mi na proste pytanie. Snajper wpakował mi kulę w nogę. Osiem dni leżałem nieprzytomny. Sądzisz, że wziąłem diamenty? W jaki sposób? Kiedy?

Na jego twarzy pojawił się wyraz tryumfu.

- Powiem ci, w jaki sposób. Diamenty nigdy nie zostały wyniesione z twego domu. To ty pomogłeś zorganizować tę całą szopkę - list z żądaniem okupu, wyniki analizy DNA... Wszystkich wykołowałeś. A ludzie, którzy znają prawdę, kiedy znajdą się w twojej obecności, umierają. Najpierw Ray Murphy potem Geny Brandt...

Keegal nie może wierzyć w to, co mówi. To idiotyzm! Zawsze uważałem go za fanatyka, lecz teraz widzę, że to kompletny świr.

- Zostałem postrzelony.

- Może dlatego, że chciałeś ich przechytryć. Jestem wkurzony, zaczynam krzyczeć:

- To ty zatelefonowałeś do Alekseia! Ty mu powiedziałeś, gdzie jest Gerry Brandt.

Przez trzy lata śledztwa prześladowaliście uczciwych policjantów, przejrzelismy was na

wylot.

Na chwilę zapadła głęboka cisza. Keebal jest przekonany, że coś wie. Nie wie nic.

Tuż po piątej zabiera mnie z komisariatu profesor.

- Jak się czujesz?

- Żyję.

- To dobrze.

Rozkoszuję się odgłosami własnych kroków na chodniku, cieszę się, że jestem wolny. Keebal nie miał wiele przeciwko mnie, a nie ma takiego sędziego, który, wzięwszy pod uwagę moją karierę zawodową, nie zwolniłby mnie za kaucją.

W biurze Joego pełno jest naszych rozgorączkowanych ochotników siedzących przy telefonach i klawiaturach komputerów. Korzystają z wszelkich możliwych książek telefonicznych i sprawdzają adresy. Ktoś przykleił na oknie zdjęcie Mickey, aby stale przypominało wszystkim, po co tu jesteśmy.

Witają mnie znajome twarze - Rogera, Margaret, Jean, Erica i Rebeki - są również nowi ochotnicy - dwaj bracia Ali.

- Od kiedy oni są tutaj?

- Od lunchu - mówi Joe.

Widocznie nakazała im to Ali. Musi już być po zabiegu operacyjnym. Ciekaw jestem, czy słyszała o Gerrym Brandcie.

Siedząca w biurze Rachel cały czas obserwuje mnie wnikliwie. Patrzy na mnie wzrokiem pełnym nadziei, majstrując coś przy kołnierzyku.

- Rozmawiał pan z nim? To znaczy, czy cokolwiek powiedział?

- Powiedział, że pozwolił Mickey odejść. Zakrztusiła się własnym oddechem.

- Co się jej stało?

- Nie wiem. Nie zdążył mi tego powiedzieć - odparłem. Po czym zwróciłem się do wszystkich obecnych: - Teraz odszukanie Kirsten Fitzroy jest sprawą o wiele ważniejszą. Może ona być jedyną osobą, która wie, co stało się z Mickey.

Ustawiliśmy krzesła w koło i rozpoczęliśmy „naradę gabinetową”.

Margaret i Jean zdołały dotrzeć do wielu byłych pracownic Kirsten, kobiet w wieku od dwudziestu dwóch do trzydziestu czterech lat, których nazwiska z reguły brzmiało obco. Podczas rozmowy wykazywały duże zdenerwowanie - prostytutka nie jest zawodem, który nadaje się do reklamy. Jednakże żadna z tych kobiet nie widziała Kirsten od zamknięcia agencji towarzyskiej.

Tymczasem Roger zajrzał do dawnych biur agencji towarzyskiej prowadzonej przez

Kirsten. Kierujący agencją pracownik zachował dwa pudła teczek pozostałych po jej zamknięciu. Wśród dokumentów, które Roger zdobył, były rachunki za badania laboratoryjne chorób przenoszonych drogą płciową.

Były tam także zakodowane karty kredytowe oraz inicjały. Kirsten prawdopodobnie prowadziła kartotekę nazwisk, którym te inicjały odpowiadały. Usiłowałem znaleźć w tych dokumentach nazwisko Douglasa. Bezskutecznie.

- Dotychczas skontaktowaliśmy się z ponad czterystu klinikami i oddziałami chirurgicznymi - poinformowała Rachel. - Nigdzie nie było zgłoszenia ran postrzałowych, zawiadomiono natomiast o włamaniu do apteki przy Southwark i kradzieży bandaży oraz środków przeciwbólowych.

- Proszę zadzwonić do tej apteki i zapytać farmaceutę, czy po tym włamaniu i kradzieży policja pobrała odciski palców - powiedziałem Rachel.

Margaret usiłuje podać mi kubek kawy, lecz w tym samym momencie nasza „czyściszka” Jean zabiera kubek, aby go umyć. Ktoś podaje kanapki i napoje bezalkoholowe, lecz mam wrażenie, że jest to coś o wiele mocniejszego, coś, co smakiem przypomina alkohol.

Joe znajduje mnie siedzącego na schodach i siada obok.

- Nie wspomniałeś o diamentach. Co z nimi zrobiłeś?

- Schowałem w bezpiecznym miejscu - odparłem.

Mogę sobie wyobrazić te aksamitne woreczki, zaszyte w olbrzymim swetrze, leżącym w dawnym pokoju Ali. Sądzę, że powinienem mu o tym powiedzieć. Jeżeli bowiem coś złego mi się przydarzy, nikt nie będzie wiedział, gdzie je znaleźć. Poza tym nie chciałbym z powodu tych diamentów kogokolwiek narazić na niebezpieczeństwo.

- Wiedziałeś, że słonie z podniesionymi trąbami są podobno symbolem szczęścia i przynoszą szczęście?

- Nie.

- Powiedziała mi o tym Ali. Dużo wie o słoniach. Nie wiem, czy wiele szczęścia słonie przyniosły jej.

Zaschło mi w gardle. Wstaję i sięgam do kieszeni marynarki.

- Masz zamiar zobaczyć się z Alekseim, prawda? - pyta Joe. Przysięgam na Boga, że on naprawdę potrafi czytać ludzkie myśli.

Moje milczenie stanowi dla niego jasną odpowiedź.

- Wiesz, że to szaleństwo - mówi.

- Muszę powstrzymać ten bieg tragicznych wydarzeń. Wiem, że zabrzmiałoby to śmiesznie

i staromodnie, nie mogę uwolnić się od myśli, że jest coś godnego i szlachetnego w tym, że można wrogowi bez poczucia wstydu spojrzeć prosto w oczy, zanim zatopi się sztylet w jego sercu.

- Nie możesz pójść do niego sam - ostrzega Joe.

- W przeciwnym wypadku nie będzie chciał się ze mną zobaczyć - odparłem. - Umówię się z nim. Na ogół nie zabija się ludzi, z którymi ma się umówione spotkanie.

Joe bierze to pod uwagę.

- Pójdę z tobą - oznajmia.

- Nie, ale bardzo ci dziękuję za propozycję towarzyszenia mi.

Nie rozumiem, dlaczego ludzie występują z propozycją udzielania mi tego rodzaju pomocy. Powinni unikać takich sytuacji i omijać mnie szerokim łukiem. Ali twierdzi, że skłanianiem ludzi do okazywania mi lojalności swoim postępowaniem. Mnie się wszakże wydaje, że to kwestia ludzkiej życzliwości, której nigdy nie odpłacę. Nie jestem doskonały. Jestem cynikiem i pesymistą, a czasami mi się zdaje, że znalazłem się na tym świecie przez czysty przypadek. Czasem jednak w takich chwilach jak ta, kiedy mam do czynienia z odruchem czystej życzliwości lub poruszającym mnie zachowaniem bliźniego, to myślę sobie, że mógłbym być kimś innym, lepszym, że byłbym wówczas skłonny odkupić wiele win z przeszłości. Człowiekiem, którego postępowanie skłania mnie do takich refleksji, jest właśnie Joe. Jestem jednak istotą zbyt ułomną, abym mógł pozwolić sobie na zaciąganie tak wielkiego długu wdzięczności bliźnich.

Nie ma bezpośredniego połączenia z Alekseim. Zanim odezwie się osobiście, następuje szereg kolejnych połączeń. Kiedy już z nim rozmawiam, słyszę w słuchawce telefonu szum wody. To rzeka.

- Chcę porozmawiać. Żadnych prawników, policjantów, żadnej osoby trzeciej - mówię.

Niemalże słyszę, jak się namyśla.

- Gdzie mielibyśmy się spotkać?

- Na gruncie neutralnym.

- Nie. Jeżeli chce się pan spotkać, proszę przyjechać do mnie. Chelsea Harbour. Tam mnie pan znajdzie - mówi Kuznet.

Tuż przed dziesiątą czarna taksówka podwoziła mnie do tej przystani. Spojrzałem na zegarek i liczę ostatnie minuty przed spotkaniem. Nie ma sensu przyjść za wcześnie na własny pogrzeb.

Widać na nabrzeżu światła reflektorów odbite od białej farby jachtów motorowych.

Sąsiadujące doki są natomiast omszałe, szare, pokryte zielonkawym nalotem. Są tam także koła ratunkowe, zawieszane na palach wbitych głęboko w grunt.

Jacht Alekseia, na którym palą się kolorowe światełka, ma dwa miejsca do cumowania, trzy pokłady i bardzo opływowe kształty. Gdy patrzy się z rufy, sprawia wrażenie strzały. Na górnym pokładzie widać anteny radiowe i satelitarne oraz anteny służące do globalnego systemu określenia położenia statków.

Pięć lat męczyłem się na łodziach. Wiem, że można na nich odbywać wspaniałe rejsy, a także, jak kosztowne jest ich utrzymanie. Ludzie mało odporni na ciągłą zmianę pozycji, kołysani falami cierpią na łodziach na morską chorobę. Na ogół jestem człowiekiem bardzo opanowanym, lecz skutki parogodzinnego pobytu na wzburzonym morzu będę dotkliwie odczuwał cały rok.

Trap prowadzący na pokład pokryty jest gumową wykładziną, słupki wspierające bariery wykonano z mosiądzu. Wszedłem na pokład, jacht lekko się zakołysał. Przez otwarte drzwi widzę prywatną kabinę, mahoniowy stół i osiem foteli. Po jednej stronie jest bar i kilka kanap, z przodu olbrzymi ekran telewizora.

Schodząc do kabiny, pochylam głowę, co w tej sytuacji, ze względu na wysokość drzwi, nie było konieczne. Aleksei Kuznet siedzi przy biurku pochylony nad ekranem laptopa. Wita mnie i gestem ręki prosi o chwilę cierpliwości. Po chwili wita się ze mną.

Patrzy na mnie, przenika mnie wzrokiem, po czym spogląda na drzwi, które właśnie przekroczyłem, jakby coś tam zostawił. Chyba ma na myśli okup, na pewno chce zwrotu diamentów.

- Ładny jacht - mówię.

- To jacht motorowy.

- Droga zabawka.

- Wręcz przeciwnie, jak na biuro całkiem niedroga. Zamówiłem go według projektu amerykańskiego, w stoczni jachtowej blisko Odessy nad Morzem Czarnym. Widzi pan, korzystam z wszystkiego, co najlepsze we wszystkich kulturach pracy - kupiłem amerykański projekt jachtu, skorzystałem z niemieckiej techniki, włoskich mistrzów rzemiosła morskiego i słowiańskich robotników. Ludzie często krytykują narody Europy Wschodniej, oskarżając je o nieumiejętność budowania kapitalizmu. Prawdą natomiast jest, że w tych krajach realizuje się najczystsza forma kapitalizmu. Gdybym chciał zbudować ten jacht w Wielkiej Brytanii, musiałbym płacić przyjęte tu stawki płacy, różnego rodzaju wyrównania, odszkodowania, ubezpieczenia, opłaty za dodatkowe projekty oraz łapówki, aby zadowolić związki zawodowe. Wznosząc budynek, znajdziesz się w identycznej sytuacji. Na każdym etapie

budowy ktoś może zablokować dalsze prace. W Rosji, na Łotwie czy w Gruzji natomiast takie sprawy nie mają żadnego znaczenia, jeżeli dysponujesz wystarczającą ilością pieniędzy. To właśnie nazywam kapitalizmem w czystej postaci.

- Czy to jest powód, dla którego wyprzedaje się pan i wraca do rodzinnego kraju?

Uśmiechnął się złośliwie.

- Inspektorze, myli się pan, uważając mnie za patriotę. Zatrudniam Rosjan, pomagam im w budowie szpitali i szkół, opłacam ich skorumpowanych polityków, lecz niech pan nie oczekuje, że będę wśród nich.

Przeszedł na drugą stronę baru. Pilnie i uważnie rozglądam się po kabinie, intuicyjnie czekając na jakiś podstęp bądź niespodziankę.

- Dlaczego więc wyprzedaje się pan?

- Czas zmienić coś w życiu, podjąć nowe wyzwania. Może kupię klub sportowy, dzisiaj są to bardzo popularne przedsięwzięcia. Może, na okres zimowy, przeniosę się do cieplejszego kraju.

- Nigdy nie rozumiałem ludzi chcących mieszkać w tropikach.

Aleksei spogląda w ciemność przez okno w sterburcie.

- Każdy człowiek szuka swego raję, a trudno polubić Londyn - powiedział.

Podał mi szklankę ze szkocką whisky i pojemnik z lodem.

- Uprawia pan żeglarstwo?

- Tak naprawdę, to nie.

- To wstyd. Ja z kolei mam awersję do latania samolotem. Widział pan film „Strefa zmierzchu”, kiedy William Shatner patrzy przez okno samolotu z wysokości sześciu tysięcy metrów i widzi chochlika rozrywającego na strzępy skrzydło jego samolotu? Film był kiepską adaptacją książki. Ilekroć jednak wsiadam na pokład samolotu, czuję się tak jak jej bohater. Jestem jedynym pasażerem, który jest jak najgłębiej przekonany, że samolot się rozbije.

- Nigdy więc pan nie lata?

Odwraca dłonie, jakby chciał dać do zrozumienia, że mówi o czymś zupełnie dla niego oczywistym.

- Ja mam jacht motorowy.

Szkocka whisky przyjemnie grzeje, lecz ma zupełnie inny niż zwykle posmak. Morfina zabiła kubki smakowe.

Aleksei jest typowym biznesmenem, wie, jak robić interesy. Wie, jak wygląda bilans strat i zysków, jak ograniczyć ryzyko i maksymalizować korzyści.

- Mógłbym coś panu zaoferować - oświadczam. Podnosi rękę, kładąc palec na

wargach. Z zejściówki schodzi Rosjanin i robi minę, jakby go ktoś zaskoczył.

- Jestem pewien, że pan to zrozumie - mówi przepaszającym głosem, kiedy ochroniarz sprawdza mnie wykrywaczem metali.

W tym czasie Kuznet rozmawia przez radio. Pracujący silnik jachtu powoduje, że drżą w mojej szklance kostki lodu.

Kuznet ruchem ręki pokazuje, abym szedł za nim zejściówką do kambuza, gdzie wąskie schody prowadzą na niższy pokład. Doszliśmy do izolowanych drzwi, za którymi znajduje się maszynownia. Po ich otwarciu głowę wypełnia mi głośnie praca silnika.

Blok silnikowy ma metr osiemdziesiąt wysokości, są tam zawory, kurki, rury, sprężyny i blachy stalowe. Na metalowym przejściu ustawiono dwa obracające się fotele, które można obniżać. Na jednym usiadł Aleksei, wygląda, jakby brał udział w jakimś recitalu, i czeka, abym do niego dołączył. Popija drinka i patrzy na mnie z powściągliwym zaciekawieniem.

Usiłując przekrzyczeć hałas silnika, pytam go, w jaki sposób znalazł Gerry'ego Brandta. Uśmiecha się. Jest to pozbawiony wyrazu uśmiech człowieka, który wie wszystko. Miał taki sam wyraz twarzy, kiedy podczas przypadkowego spotkania przy Wormwood Scrubs powiedział: Mam nadzieję, inspektorze, że nie oskarży mnie pan o żadne przestępstwo.

- Wie pan, o kim mówię?

- Nie. Kto to jest?

Nasza rozmowa to dla niego swoista gra, drobna dolegliwość w porównaniu z o wiele ważniejszymi sprawami. Obawiam się, że zanim dotrę do sedna sprawy, zanudzę go.

- Czy pani Kirsten Fitzroy żyje jeszcze? Nie udziela mi odpowiedzi.

- Nie przyszedłem, aby pana oskarżać, Aleksei. Chcę panu zaproponować zawarcie hipotetycznego porozumienia.

- Hipotetyczne porozumienie? - Rozbawiony moją ofertą, zaśmiał się tak głośno, że poczułem się niepewnie.

- Chcę panu zaproponować zwrot diamentów za panią Kirsten. Jeżeli zostawi ją pan w spokoju, odzyska pan diamenty.

Aleksei palcami przeczesuje włosy, pozostawiając na nich wyraźny ślad.

- Pan ma moje diamenty? - pyta.

- Hipotetycznie.

- Jeżeli ma je pan, to hipotetycznie jest pan zobowiązany zwrócić mi je. Dlaczego więc musimy w tym wypadku zastosować zasadę wymiany handlowej, towar za towar?

- Ponieważ na razie jest to sytuacja hipotetyczna. Mogę sprawić, że stanie się rzeczywistością. Wiem, że ulokował pan diamenty w moim mieszkaniu, aby mnie wrobić. Keebal miał prawdopodobnie uzyskać nakaz rewizji u mnie, lecz to ja znalazłem diamenty. Sądził pan, że ja coś widziałem owej nocy. Myślał pan także, że mogę panu jakoś zaszkodzić. Ma pan moje słowo, że nikt już z powodu tej tragicznej historii nie będzie cierpiał.

- Naprawdę? - zapytał sarkastycznie. - Niech pan nie próbuje chwytów komiwojżera.

- Moja oferta ma poważny charakter - powiedziałem.

- Hipotetyczny charakter - odparł. Aleksei patrzy na mnie i zaciska wargi. - Powiem panu prosto w oczy, co o tym wszystkim myślę. Moją córkę porwano, pan jej nie odnalazł. Została zamordowana, a pan nawet nie znalazł jej ciała. Potem jacyś ludzie usiłowali wymusić na mnie okup - wartości dwóch milionów funtów, a pan tych przestępców nie znalazł. Następnie ukradł pan moje diamenty i oskarża mnie, że podrzuciłem je panu. A poza tym chce pan, abym wszystkim przebaczył i o wszystkim zapomniał. Jesteście podli. Zeruje pan na rozpacz i boleści mojej byłej żony. Wykorzystał pan moją dobrą naturę i moje pragnienie, aby uczciwie załatwić sprawę. To nie ja zacząłem tę straszną historię...

- Ale pan ma szansę zakończyć ją - odpowiedziałem.

- Pomylił mnie pan z kimś, kto za wszelką cenę pragnie spokoju i harmonii. Ja natomiast pragnę tylko zemsty.

Wstał. Rozmowa została skończona. Czuję, że wzbiera we mnie złość.

- Na miłość boską, Aleksei! Robię wszystko, aby odszukać Mickey. Ona jest pańską córką. Nie chce pan wiedzieć, co się z nią stało?

- Ja to wiem, inspektorze. Ona nie żyje, umarła przed trzema laty. I proszę pozwolić mi powiedzieć, co myślę o rodzinnych związkach. Zbyt je przeceniamy. Rodzina jest naszą słabością. Pozostawi cię na łasce losu lub wyprze się ciebie, jest jednym wielkim rozczarowaniem. Rodzina to duże obciążenie.

- Dlatego pozbył się pan Sachy?

Ignoruje moje pytanie i otwiera ciężkie drzwi. Opuszczamy maszynownię. Zamyślam się. Aleksei nadal mówi.

- Mówi pan, aby mu zaufać, aby uwierzyć, że proponowana umowa jest rzetelna. Ale nie ma pan żadnego rozsądnego poglądu na sprawę uprowadzenia i zabicia Mickey. Nie ma pan pojęcia, jak sprawę tę rozwiązać. Nie ma pan żadnej wskazówki, żadnego śladu. A teraz ja zaproponuję panu układ, oczywiście, w sensie hipotetycznym. Zwraca mi pan diamenty i wycofuje się z tej całej sprawy. Niech ją rozwiążą sami zainteresowani, na własny sposób. Zostawmy rozwiązanie tajemniczym siłom rynku, jak w kapitalizmie, prawom popytu i

podają; takie rzeczy ja rozumiem. Ludzie zbierają to, co zasiali.

- Ludzie jak Geny Brandt? - W porwywie emocji chwyciłem go za ramię. Nawet nie drgnął. - Proszę zostawić Kirsten w spokoju - powiedziałem.

Jego oczy zwęziły się i poczerniały, wypełniły się jadem nienawiści i żądzą zemsty. Myśli, że jestem typem nierozgarniętego policjanta, który rzadko kiedy dotrzymuje słowa, którego metody przesłuchań ograniczają się do silnego uderzenia policyjną pałką.

- Wie pan coś o słoniu, bohaterze jednej z książek dla dzieci? - zapytałem.

- Przyjaciel Kubusia Puchatka.

- Nie, ma pan na myśli Prosiaczka. Słoń i Łasiczka uosabiają koszmary występujące w snach Kubusia Puchatka. On stale obawia się, że ukradną mu miód. Ale przecież nikt ich nigdy nie widział, występują tylko w majakach sennych misia. Pan mi go przypomina...

- Słonia?

- Nie. Raczej Kubusia Puchatka. Ma pan urojenia, widzi pan niebezpieczeństwo tam, gdzie go nie ma, jest pan przekonany, że na tym świecie żyją wyłącznie złodzieje, czyhający na pana majątek - powiedziałem.

Nad miastem unoszą się szare chmury, powietrze jest wilgotne i ciężkie. Z dala od uciążliwego warkotu silnika ból w mojej głowie zaczyna żyć swoim własnym wewnętrznym rytmem. Aleksei w milczeniu odprowadza mnie do trapu. Za nim idzie Rosjanin z ręką nieco odchylną od tułowia ze względu na dość dużą kaburę pistoletu umieszczoną pod pachą.

- Czy myślał pan kiedykolwiek o normalnej pracy? - zapytałem Alekseia.

Po chwili namysłu odparł:

- Może razem powinniśmy pomyśleć o czymś nowym. Nagle olśniła mnie myśl, że może on ma rację. Nie różnimy się przecież bardzo od siebie. Zniszczyliśmy nasze małżeństwa i utraciliśmy dzieci. Jesteśmy także zbyt starzy, aby robić cokolwiek nowego. Dwie trzecie życia spędziłem, ścigając przestępców, kanalie i rzezimieszków, i doprowadzając ich do więzienia. To takim między innymi typom jak Aleksei zawdzięczam swoją karierę zawodową. To im zawdzięczam spełnienie ambicji życiowych.

Kiedy wchodzę na trap, Rosjanin wciąż idzie dwa kroki za mną. Sznur na barierze trapu przywiązany jest do metalowych wsporników. Kiedy wchodzimy na ostatni stopień, czuję z tyłu głowy dotyk lufy pistoletu.

Aleksei wyjaśnia.

- Mój pracownik pójdzie z panem i odbierze diamenty. W tym samym momencie wykonałem błyskawiczny unik, gwałtownie odchyliłem się i odskoczyłem. Skacząc, uczepliłem się sznura przy barierze. Za mną skoczył Rosjanin.

Podpłynąłem do nabrzeża i wyszedłem.

Aleksei patrzy, jak Rosjanin młóci bezradnie wodę rękami, usiłując utrzymać się na powierzchni.

- Chyba nie umie pływać! - krzyknąłem.

- Niektórzy ludzie nigdy się nie nauczą - odparł głosem zupełnie obojętnym, nie przejmując się zbytnio losem swego ochroniarza.

Zdjąłem koło ratunkowe i rzuciłem je do wody. Rosjanin uchwycił je.

- Mam jeszcze jedno pytanie: skąd pan wiedział, że okup będzie unosił się na powierzchni wody? Ktoś musiał to panu powiedzieć.

Aleksei zaciął usta w złośliwym grymasie, lecz jego oczy nie zdradzały żadnego wyrazu.

- Do jutra rana musi pan zwrócić diamenty - rzekł.

Ali śpi. Otrzymuje środki przeciwbólowe. Co kilka godzin dostaje kolejną dawkę morfiny. Czas jej upływa na tych łagodzących ból zabiegach.

- Nie może pan tu zostać - mówi pielęgniarka. - Proszę przyjść jutro, jak się obudzi.

Korytarze szpitalne są niemal puste. Idę do poczekalni dla pacjentów, siadam i zamykam oczy. Bardzo bym chciał, aby Aleksei zrozumiał tę bardzo zagmatwaną sytuację, lecz nienawiść go zaślepia. Nie wierzy, że Mickey żyje. Jest natomiast głęboko przekonany, że ludzie go wykorzystują, ponieważ tak bardzo jest uzależniony od rodzinnych uczuć.

Przyszedł mi na myśl los Luke'a, mego przyrodniego brata, i związek emocjonalny, jaki nas łączył. Być może Aleksei ma rację. Daj nadal cierpi z powodu utraty rodziny. Ja także wciąż niepokoję się o dzieci, Claire i Michaela, i zastanawiam się, jakie popełniłem błędy. Bez tego ciężaru troski i miłości byłoby mi o wiele lżej.

Czuję ból mięśni, bunt całego ciała, opór, jaki stawia przeciwnościom losu. Świat odrealnionych obrazów wypełnia moją głowę: widzę ciała w rzece spływające do ścieków miejskich. Wśród nich widzę ciało Kirsten.

Za oknem zapada ciemność. Patrzę na ulicę i zaczynam tęsknić za wsią. Rytm życia w mieście wyznacza warkot pneumatycznych świdrów, sygnalizacja świetlna, wstrzymująca i uruchamiająca ruch pojazdów, zapalające się wieczorem światła uliczne. W mieście rzadko kiedy zauważyć można zmianę pór roku.

W okiennej szybie widzę za sobą cień.

- Pomyślałem, że być może znajdę cię tutaj - mówi Joe, siadając na krześle i opierając nogi na taborecie. - Jak ci poszło z Alekseim? - pyta.

- Nie chciał w ogóle słuchać - odparłem. Joe skinął głową.

- Powinieneś się wyspać.

- Ty także.

- Od dawna już nie żyjesz, a właściwie to żyjesz w sennym zamroczeniu.

- Tak mawiał mój ojczym. Teraz może się wyspać za wszystkie czasy.

Joe siada naprzeciwko na kanapie.

- Zastanawiałem się - mówi.

- Jak zwykle - odparłem.

- Pomyślałem, że może wiem, dlaczego ta cała dramatyczna sprawa Mickey ma dla ciebie tak wielkie znaczenie. Kiedy powiedziałeś mi, jaki los spotkał Luke'a, nie opowiedziałeś całej prawdy o tej tragicznej historii.

Czuję ucisk w gardle. Nawet gdybym chciał, nie mógłbym teraz wydobyć z siebie słowa.

- Powiedziałeś, że Lukę jechał na sankach. Ojczym poszedł do miasta, matka prała bieliznę. Powiedziałeś, że nie możesz sobie przypomnieć, co wówczas robiłeś. Ale to nieprawda. Nie zapomniałeś. Byłeś wówczas z Lukiem...

Oczywiście duszy widzę ten dzień. Śnieg grubą warstwą pokrywa ziemię. Ze wzgórza widać całą farmę aż do słupów telegraficznych oraz rękawa lotniskowego.

- ...był pod twoją opieką.

Przypomina mi się, jak pędziliśmy na sankach, do dziś czuję zapach ciastka, jakie wówczas jadł. Na sankach usiadł między moimi kolanami. Był taki mały. Policzek oparłem na jego głowie. Miał wełnianą czapkę z nausznikami, które na wietrze odchyłały się. Lukę wyglądał w tej czapce jak mały labrador. Joe mówi:

- Pamiętasz, kiedy byliśmy w pubie, zanim znaleźliśmy samochód Rachel, zacząłem objaśniać ci pewien sen. Twój sen. Powiedziałem wówczas, że tak właśnie wyobrażałeś sobie ratowanie życia Luke'a, że to była twoja imaginacja; wyobrażałeś sobie, że tam byłeś, pędziłeś razem z nim na sankach, hamowałeś obcasami butów, zanim dojechaliście do stawu. Powinienem zdać sobie sprawę, że to nie było twoim wyobrażeniem, to była prawda.

Joe ma rację, przypominam sobie, że sanki uderzają w kupę śniegu i podskakują, Lukę zanoszą śmiechem. Szybciej, Yanko! Szybciej! - woła. Ścisną moje kolana, coraz bardziej opiera się plecami o moje piersi. Tor saneczkowy opada ku siatce rozpiętej pomiędzy palikami. Z uwagi na większy ciężar jechaliśmy szybciej. Wysunąłem nogi, aby zahamować, lecz pędziliśmy zbyt szybko i nagle całą siłą uderzyliśmy w ogrodzenie. Lukę był w moich ramionach, lecz w ułamku sekundy wyskoczył w powietrze i upadł na lód, który załamał się pod jego ciężarem. Chciałem go ratować, rozpaczliwie krzychałem, wskoczyłem za nim. Lecz

pograżał się coraz bardziej. Gdybym tylko mógł go uchwycić za cokolwiek, za włosy, za kołnierz, uratowałbym go. Było jednak zbyt zimno, a staw zbyt głęboki.

Nadszedł ojczym. Przyniósł latarnię, podłączył ją do generatora, wzdłuż stawu rozpostarł plandeki, aby po nich przejść. Siekierą rozbił lód i wydobył ciało. Patrzyłem z okna sypialni, modląc się, aby Lukę żył. W domu wszyscy milczeli, nikt na mnie nie krzyczał. Nie musieli. Było oczywiste, że to wyłącznie moja wina. Ja go zabiłem swoją lekkomyślnością.

- Miałeś wówczas dwanaście lat. To był nieszczęśliwy wypadek - powiedział Joe.

- Utraciłem go.

Wytarłem łzy z policzka, potrząsnąłem głową i zakląłem.

- Co inni wiedzą o dręczącym cię poczuciu winy?

Joe wstaje i podaje mi rękę.

- Idziemy.

W jego oczach nic nie straciłem, lecz czuję, że stosunki między nami nie będą się już tak dobrze układać jak dawniej. Wolałbym, aby sprawę tragicznej śmierci Luke'a zostawił w spokoju.

Podczas drogi do jego biura panuje w samochodzie milczenie. W drzwiach wita nas Rachel. Pracowała całą noc. Kiedy wspinamy się po schodach, informuje nas:

- Chyba coś znalazłam. Pamiętam rozmowę z Kirsten podczas rozprawy sądowej Howarda. Mówiliśmy wówczas o dostarczeniu sądowi pewnych dowodów i ona powiedziała, że swego czasu została wezwana w charakterze świadka, osoby wystawiającej świadectwo moralności podczas procesu, jaki wytoczono jej przyjaciółce.

- Czy wiesz, o co tę przyjaciółkę oskarżono?

- Nie. Nie wymieniła też jej nazwiska.

Chwyciłem za telefon. Wiem, że nie mogę żądać żadnej przysługi, lecz może Nowy Chłopak, Dave, wyświadczy mi ją z uwagi na sytuację, w jakiej znalazła się Ali.

- Przepraszam, że cię budzę - mówię. Słyszę lekki pomruk.

- Potrzebuję twojej pomocy. Chciałbym przejrzeć będące w waszym posiadaniu wszelkie informacje policyjne i sądowe dotyczące Kirsten Fitzroy.

- Zostały dostarczone.

- Tak, lecz mnie chodzi o te, które dotyczą jej roli jako świadka w innym procesie.

Cisza w słuchawce. Wiem, że Dave zastanawia się, czy nie odłożyć słuchawki. Nie ma żadnego powodu, aby mi pomóc, ma zaś wiele, by mi pomocy odmówić.

- Czy możemy z tą sprawą poczekać do rana?

- Nie.

Znowu chwila przerwy.

- Spotkajmy się o szóstej w kawiarni Otto - proponuje.

Kawiarnia Otto znajduje się między punktem przyjmowania zakładów a pralnią samoobsługową w zachodnim krańcu El-gin Avenue. Poranną sobotnią klientelę stanowią tu głównie taksówkarze i kierowcy samochodów dostawczych, fundujący sobie kawę i wodę gazowaną, aby jakoś przetrwać niełatwy dzień.

Czekam przy oknie. Nowy Chłopak przychodzi punktualnie, rozgląda się czujnie wokoło, zanim wejdzie do kawiarni. Ma na sobie pomiętą koszulę i rozwichrzone włosy.

Zamawia kawę i wyjmuje z kieszeni kawałek papieru, lecz trzyma go przy sobie.

- Najpierw proszę odpowiedzieć na kilka pytań. Gerry Brandt miał fałszywy paszport i prawo jazdy na nazwisko Peter Brannigan. Przez ostatnie trzy lata prowadził bar w Tajlandii. Ten łajdak jest nadziany forszą, gdzie zdobył taki szmal?

- Narkotyki.

- Tak myślałem, lecz zarówno Rządowa Agencja do Walki z Narkotykami, jak i Interpol nie mają nic na niego. Wrócił do kraju przed dwoma miesiącami. Według relacji jego wujka szukał inwestorów.

- To by wyjaśniało żądanie okupu. Pub Raya Murphy'ego także zmagał się z kłopotami.

- Dlatego tak skończyli. Uwikłali się w spisek przeciwko Aleksejowi. Dokonano analizy balistycznej pocisków znalezionych w ciele Brandta oraz Raya Murphy'ego. Okazało się, że zostały wystrzelone z tego samego karabinu.

Dave spogląda na zegarek.

- Muszę iść do szpitala. Chcę tam być, kiedy obudzi się Ali. Daje mi zapisaną kartkę.

- Przed sześcioma laty Kirsten Fitzroy składała zeznania podczas procesu w sądzie w Southwark Crown w sprawie nagabywania mężczyzn w celach nierzędu. Występowała tam jako osoba wystawiająca świadectwo moralności Heather Wilde, która została skazana za prowadzenie domu publicznego i uzyskiwanie dochodów z niemoralnego procederu.

Pamiętam tę sprawę. Heather prowadziła klub towarzyski zmieniających się par w swoim domu w Brkton. Miała stronę internetową Wilde Times, lecz twierdziła, że ponieważ nikt w tym klubie nie pobierał od nikogo żadnych opłat za usługi seksualne, tego rodzaju kontaktów nie można uznać za uprawianie prostytucji.

Gdzie w Brkton? Przy Dumbarton Road.

Przeżyłem kolejny tryumf własnej pamięci. Stresy, jakie towarzyszą przywracanym wspomnieniom, stają się dla mnie przekleństwem.

W murze z białej cegły widnieją drzwi bez żadnego napisu, numeru lub skrzynki na listy. Jest to dwupiętrowy budynek z wieloma oknami w części frontowej. Okna są zakratowane i brudne.

Nie wiem, czy jest tam Kirsten. Miejsce wygląda tak, jakby było opuszczone. Chciałem się jednak upewnić, lecz po tym, co się przydarzyło Gerry'emu Brandtowi, tym razem nie zadzwonię na policję.

Na maskach samochodów zaparkowanych po obu stronach ulicy błyszczą duże krople deszczu. Idąc ścieżką do domu, mijam przypięte łańcuchami do słupków rowery oraz kosze pełne śmieci.

Pukam do drzwi i czekam. Najpierw słyszę zgrzyt odsuwanej zasuwki, przekręcenie klucza w zamku, potem ktoś nieco, na małą szparkę, uchyla drzwi. Pojawia się kobieta po pięćdziesiątce, ma twarz surową i mierzy mnie wzrokiem od stóp do głowy.

- Pani Wilde?

- Czy pan wie, która godzina?

- Poszukuję pani Kirsten Fitzroy.

- Nigdy o niej nie słyszałam.

Patrzę i widzę wąskie wejście do holu oraz słabe światło elektryczne w pokoju dziennym. Kobieta usiłuje zamknąć mi drzwi przed nosem, lecz jestem szybszy i ramieniem wpycham ją do wnętrza, cofa się i przewraca stolik z telefonem.

- Nie chcę sprawiać pani kłopotu. Proszę mnie tylko wysłuchać. - Pomogłem podnieść jej stolik z aparatem i książki telefoniczne.

Pani Wilde ma na ustach grubą warstwę szminki. Czuję od niej niemiły zapach mocnych perfum. Jest w obcisłej aksamitnej podomce z głębokim dekoltem i wygląda jak rozcięty, spadziowy melon. Daj zawsze mówiła, że spadziowy melon jest dojrzały, jeżeli ma biały kolor. Zdumiony byłem swoją pamięcią.

W pokoju meble są zakryte pokrowcami z wyjątkiem wiklinowego fotela przy kominku oraz bogato zdobionej lampy stojącej na stole na kozłach, na którym leży otwarta książka, pudełko z papierosami, pełna niedopałków popielniczka oraz zapalniczka, która ma kształt Wenus z Milo.

- Czy ma pani jakieś wiadomości od Kirsten?

- Mówiłam już, że nigdy o niej nie słyszałam.

- Proszę jej powiedzieć, że mam jej diamenty.

- Jakie diamenty?

Zauważyłem w jej oczach nagły przebłysk zaciekawienia.

- Te diamenty, z powodu których o mało nie postradała życia.

Pani Wilde nie zaproponowała mi, abym usiadł, lecz ja i tak usiadłem, zdejmując z jednego krzesła pokrowiec. Skóra pani Wilde wygląda na gładką i niemalże przezroczystą z wyjątkiem szyi i dłoni. Kobieta zapala papierosa i patrzy na mnie przez płomień zapalniczki.

- Kirsten znalazła się w bardzo poważnych kłopotach - tłumaczę. - Usiłuję jej pomóc. Wiem, że należy do grona pani przyjaciółek. Pomyślałem, że mogłaby przyjść do pani, gdyby na jakiś czas potrzebowała schronienia.

Dym z papierosa zasłania jej usta.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

Rozglądam się po pokoju, patrzę na wytapetowane ściany i barokowe meble. Jeżeli są miejsca bardziej przygnębiające od burdeli, to są nimi dawne, nieczynne już burdele. Ich wnętrza nasycają się atmosferą odrazy, wstrętu i rozczarowania, dopóki nie poczują się tak znużone i wyczerpane jak narządy seksualne zatrudnionych tu kiedyś kobiet.

- Nie tak dawno Kirsten powiedziała mi, że nigdy nie we-szlaby w drogę Alekseiowi Kuznetowi. Gdyby jednak mu się naraziła, pierwszym samolotem uciekłyby do Patagonii. Widocznie spóźniła się na ten samolot.

Nazwisko Kuzneta zburzyło spokój pani Wilde.

- Kirsten nie powiedziała pani o tym? Usiłowała go oszukać. Musi pani zdawać sobie sprawę z grożącego jej niebezpieczeństwa... - Zrobiłem przerwę i dodałem: - Muszą panie zdawać sobie sprawę, że grozi im niebezpieczeństwo.

- Nic nie zrobiłam.

- Jestem pewien, że Aleksei to zrozumie. To rozsądny człowiek. Widziałem go wczoraj. Zaproponowałem mu układ - diamenty wartości dwóch milionów funtów w zamian za zostawienie Kirsten w spokoju. Nie zgodził się. Uważa się za człowieka honoru. W jego pojęciu nie liczą się ani pieniądze, ani prośby o wybaczenie. Jeżeli jednak nie widziała pani Kirsten, to trudno. Powiem mu.

Popiół z papierosa spadł na jej podomkę.

- Rozejrzę się, popytam się znajomych. Pan wspomniał o pieniądzach...

- Wspomniałem o diamentach.

- Mogłyby mi pomóc odszukać ją.

- Widzę, że nieobce są pani ludzkie uczucia. Zacisnęła wargi.

- Widzi pani tę limuzynę tam, na zewnątrz?

Jej trzepoczące, górne powieki wydawały się przyklepione do czoła. Nazywają to liftingiem w stylu Croydon. W chirurgii plastycznej zabieg polega na podciągnięciu włosów

do tyłu głowy tak bardzo, że napręza się cała skóra twarzy.

Otworzyłem portfel i wyjąłem trzy dwudziestofuntowe banknoty. Przeliczyła je wzrokiem.

- W Tottenham jest klinika. Doprowadzą ją do porządku. Jest bardzo droga, lecz zapewniają tam całkowitą dyskrecję - powiedziałem.

Położyłem na tacy jeszcze dwa dwudziestofuntowe banknoty. Wzięła je i wsunęła w rowek między piersiami, jakby chciała zademonstrować jakąś sztuczkę. Przechyliwszy głowę, zdawała się słuchać szumu deszczu.

- Wszystko o panu wiem. Jest pan Cyganem. - Moje zaskoczenie sprawiało jej wyraźną przyjemność. - Opowiadali tutaj, że pańska matka miała szczególny dar wróżenia.

- Jak pani poznała moją matkę?

- Bratnie dusze rozpoznają się łatwo. - Trajkotała głosem ochryplym, twierdząc, że jest Cyganką. - Swego czasu pana matka przepowiedziała mi przyszłość. Powiedziała, że będę wielką piękną i mogę mieć każdego mężczyznę, jakiego zapragnę.

(Nie sędzę jednak, by miała na myśli mnóstwo wielbicieli).

Daj miała wielki dar odczytywania ludzkich marzeń i mówienia ludziom tego, co pragnęli usłyszeć. Podnosiła ich na duchu i brała za to pieniądze. Gdy tylko od niej wyszli, biegła do sklepu sprzedającego nielegalnie wódkę.

Nagle na górze dał się słyszeć hałas, coś upadło. Pani Wilde podniosła wzrok.

- To jedna z moich dawnych dziewcząt. Czasami zostaje na noc.

Jej mętne niebieskie oczy zdradziły ją. Chciałem wstać, zrobiła ręką ruch powstrzymujący mnie od tego.

- Proszę dać mi adres tej kliniki. Tam mogą wiedzieć, gdzie ona teraz jest - powiedziała.

Odsunąłem jej rękę i poszedłem na górę. Rozglądałem się uważnie. Na piętrze zauważyłem troje drzwi, dwoje otwartych i jedno zamknięte. Delikatnie zapukałem i nacisnąłem klamkę. Zamknięte.

- Nie dotykaj mnie! Zostaw mnie w spokoju!

Był to chyba głos dziecka - ten sam, który usłyszałem w słuchawce telefonu podczas próby przekazania okupu. Odszedłem od drzwi, plecami oparłem się o ścianę, rękę wysunąłem za futrynę.

Rozległ się strzał. Pierwsza kula przebiła drzwi przy klamce, na wysokości mego brzucha. Usiadłem, oparłem nogi o ścianę, wydałem z siebie lekki jęk.

Z dołu dochodzi krzyk pani Wilde.

- Czy strzelacie w drzwi?! Jeżeli je uszkodziliście, to zapłacicie za reperację.

Druga kula przebiła drzwi tuż nad podłogą. Pani Wilde znowu krzyknęła:

- Rozwalicie mi drzwi! Cholera, zapłacicie mi za nie! Siedziałem skulony na podłodze, wsłuchany we własny oddech.

Nagle ktoś powiedział szeptem:

- Hej, ty tam, za drzwiami, żyjesz?

- Nie.

- Jesteś ranny?

- Nie.

Kobieta w pokoju zakłęła.

- To ja, Vincent Ruiz. Chcę pani pomóc. Nastąpiła chwila milczenia.

- Proszę pozwolić mi wejść. Jestem sam.

- Proszę nie wchodzić, proszę odejść. - Rozpoznałem głos Kirsten, zdumiony i przerażony.

- Nie mogę odejść.

Po kolejnej przerwie pytanie:

- Jak pana noga?

- O centymetr krótsza. Znowu wołanie pani Wilde:

- Jeśli nie zapłacicie za uszkodzone drzwi, wezwę policję! Ciężko oddychając, mówię

do Kirsten:

- Może pani zatrzymać pistolet, jeżeli zastrzeli pani właścicielkę.

Suchy kaszel przerywa jej śmiech.

- Wchodzę.

- Będę strzelać.

- Nie, nie strzeli pani. Odprężam się i podchodzę do drzwi.

- Otworzy pani?

Po dłuższej przerwie słyszę dwa metaliczne zgrzyty. Naciskam na klamkę drzwi i wchodzę.

Na oknach wiszą ciężkie zasłony, sypialnia tonie w półmroku. Pokój ma wysoki sufit i lustro na dwóch ścianach. Na środku stoi duże żelazne łóżko, leży na nim Kirsten z podciągniętymi nogami i z pistoletem na kolanach. Ma włosy krótko obcięte i ufarbowane na jasno. Wilgotne kosmyki spadają jej na czoło.

- Myślałam, że pan nie żyje - mówi.

- To samo mógłbym powiedzieć o pani.

Kirsten opiera policzek na kolbie pistoletu i ze smutkiem w oczach wpatruje się w cienie zalegające pokój. Na wiszący nad nią zyrandol padają nagle promienie światła zza zasłon i odbite od luster. Odbijają wszystko, co dzieje się w pokoju, tylko z nieco innej perspektywy. Oparłem się o parapet okna. Słyszę uderzające o szybę krople deszczu.

Kirsten przesunęła się nieco na łóżku, a na jej twarzy pojawił się wyraz bólu. Opakowania po środkach przeciwbólowych oraz srebrna folia leżą porozrzucane na podłodze.

- Mogę zobaczyć? - pytam.

Bez słowa podnosi koszulę i pokazuje żółty bandaż, mokry i zakrwawiony.

- Musi pani udać się do szpitala. Opuszcza koszulę, lecz nie odpowiada.

- Sporo ludzi pani poszukuje.

- A pan liczy na nagrodę.

- Czy mogę wezwać karetkę?

- Nie.

- Okej, no cóż, porozmawiajmy chwilę. Zechce mi pani powiedzieć, co się wówczas wydarzyło.

Kirsten wzrusza ramionami i kładzie pistolet na kolana.

- Wydawało mi się, że była to wielka gratka.

- Igranie z ogniem.

- Rozpoczęcie nowego życia... - Nie kończy tego zdania. W milczeniu zwilża wargi i po chwili kontynuuje: - Najpierw miał to być tylko żart; żart w rodzaju tych „a jeżeli się uda”, pomysł, który rzuca się w towarzystwie, aby się pośmiać. Ray był dobry, jeśli chodzi o jego techniczną realizację. Wiele lat pracował na dole w kanalizacji wodociągowej i ściekowej. Ja miałam zająć się inną stroną przedsięwzięcia. Z początku myślałam, że Rachel zgodzi się na taką zwariowaną mistyfikację i weźmie w niej udział. Zorganizowalibyśmy całe przedsięwzięcie, a ona w rezultacie zamieszania wywołanego porwaniem Mickey dostałaby od rodziny lub byłego męża to, na co zasługiwała.

- Wzięłaby w tym udział?

- Nie zapytałam jej. Z góry znałam odpowiedź. Popatrzyłem na pokój. Wytapetowany był wzorami scen miłosnych, w każdym ośmiokącie była kobieta w innej pozie.

- Co się stało z Mickey? - zapytałem.

Kirsten wydaje się nie słuchać mnie, opowiada tę historię sama sobie.

- Wie pan, to wszystko by się udało, wyszlibyśmy na swoje, gdyby nie Gerry Brandt. Mickey wróciłaby do domu. Ray by żył. Gerry nie powinien pozwolić jej odejść... przynajmniej nie samej. Miał ją zabrać do domu.

- Nie rozumiem. O czym pani mówi? Na jej twarzy pojawił się bolesny uśmiech.

- Biedny inspektor, jeszcze nie domyśla się pan całej prawdy?

Prawda zaczyna docierać do mnie i wypełniać mi głowę niczym mnożące się w błyskawicznym tempie komórki rakowe w ludzkim organizmie. Przypomniałem sobie, że Gerry Brandt tam, na dole, tuż przed strzałem, powiedział mi, że pozwolił jej odejść. To były jego ostatnie słowa.

Gryząc paznokcie, Kirsten mówiła:

- Trzymaliśmy ją tylko kilka dni. Potem on zapłacił okup.

- Jaki okup?

- Ten pierwszy.

- Co pani ma na myśli, mówiąc „ten pierwszy”?

- Nigdy nie zamierzaliśmy wyrządzić jej krzywdy. Z chwilą otrzymania okupu powiedzieliśmy Gerry’emu, aby odprowadził ją do domu. Miał ją zostawić przy końcu ulicy, przy której stał jej dom, lecz spanikował i zostawił ją na dworcu kolejki podziemnej. Cholerny idiota! On był po prostu nieprzewidywalny. Od pierwszego dnia wszystko knocił. Miał zająć się Mickey, ale nie mógł oprzeć się pokusie pójścia na ulicę Randolph Avenue, aby zobaczyć, jak pracują ekipy telewizyjne i policjanci. Nigdy nie włączylibyśmy go do naszego zespołu, gdybyśmy nie potrzebowali do pilnowania Mickey kogoś, kogo ona nie знаła. Jak już powiedziałam, nie mieliśmy zamiaru jej zatrzymać. Mickey powiedziała Gerry’emu, że zna drogę do domu, że przesiądzie się na stacji Piccadilly Circus i pojedzie linią Bakerloo.

Ta informacja wstrząsnęła mną, przyprawiła o mdłości, a jednocześnie pobudziła wyobraźnię. Przypomniałem sobie pewne fakty. Przecież małżeństwo Birdów widziało Mickey na stacji metra Leicester Square, to zaledwie jeden przystanek od stacji Piccadilly Circus.

- Potem, kiedy pozwoliliście jej pójść do domu, co się stało?

- Spotkało ją ostateczne nieszczęście. Wavell!

- Nie rozumiem.

- Pojawił się Howard Wavell - powtórzyła. - Mickey udała się w kierunku domu, lecz wpadła w ręce Howarda.

Boże, nie! Z całą pewnością nie. Była to noc ze środy na czwartek. Rachel w tym czasie nie było w domu. Występowała w programie telewizyjnym „Wiadomości o dziesiątej”. Ponowiła apel o przekazanie wszelkich wiadomości o zaginionej córce. Pamiętam, widziałem ją w tym programie informacyjnym. Wcześniej tego samego dnia pokazano fragment materiału filmowego dotyczący zaginięcia Mickey.

- Powiedziała panu, że w żadnym wypadku nie chcieliśmy jej skrzywdzić. Puściliśmy ją. Potem znalazł pan ręcznik ze śladami krwi i aresztował Hovarda. Kiedy się o tym dowiedziałam, chciałam umrzeć.

Przed moimi oczami staje pewien obraz. Widzę małe zalęknione dziecko przerażone samotnością w obcym mu świecie. A ratunek był tak blisko. Tylko kilka kroków. Howard spotkał je na schodach.

Nogi uginają się pode mną. Czuję, jakby całe moje wnętrze stało się jedną wielką mazią i chciało ze mnie wypłynąć, poczułem zarazem bezgraniczną pustkę. Boże, co ja zrobiłem? Trudno o większą pomyłkę. Ali, Rachel, Mickey - wszystkich pogrzyłem w nieszczęściu.

- Nawet pan sobie nie wyobraża, ile razy usiłowałam w myśli to wszystko naprawić - mówi Kirsten. - Sama zaprowadziłabym Mickey do domu. Podeszłabym z nią pod same drzwi mieszkania. Proszę mi wierzyć!

- Przecież pani i Rachel byłyście przyjaciółkami. Jak pani mogła jej coś takiego zrobić?

Przygnębiający ją smutek zamienił się w złość, lecz tylko na krótko. Ściszone głosem powiedziała raz jeszcze:

- Nigdy nie chciałam sprawić przykrości ani Mickey, ani Rachel.

- Dlaczego więc pani to zrobiła?

- Postanowiliśmy się zemścić, okraść największego złodzieja i rabusia, Alekseia Kuzneta, potwora. Na litość boską, przecież on zamordował swego brata!

- Chcieliście zdrzeć z największym oprychem w Londynie?

- Inspektorze, żyjemy w nowym świecie feudalnym. Prowadzimy wojny o pola naftowe, rozdajemy kontrakty przemysłowe za wsparcie polityczne. Mamy więcej dozorców parkingowych niż policjantów...

- Proszę się nie rozczulać i oszczędzić mi tej gadki!

- Nikogo nie chcieliśmy skrzywdzić.

- Rachel i tak zawsze dostawała cięgi, los nie był dla niej łaskawy.

Spojrzała na mnie oczami pełnymi łez. Niemalże czułem ich cierpki smak.

- Nie miałam na myśli... pozwoliliśmy Mickey. My byśmy nigdy... - Z jej piersi wydobył się jęk.

Położyła pistolet na kolanach i pochyłona do przodu, kiwała głową.

- Tak mi przykro... Tak mi przykro...

To jej uzalenie się nad sobą drażniło mnie. Nalegałem, aby powiedziała wszystko, całą

prawdę o tym tragicznym zajściu. Mówiąc szczegółowo o warunkach, jakie panują pod ziemią, w ściekach miejskich i dopływach rzecznych, Kirsten unikała mego wzroku. Kiedy byli pod ziemią, Ray Murphy napompował gumowy ponton i narysował Gerry'emu trasę, którą ma płynąć. Miał do przebycia tylko kilkaset metrów, po czym powinien wysadzić Mickey w studziencie przeciwpowodziowej.

- Tylko Ray znał miejsce, gdzie mieliśmy trzymać Mickey, ja tam nigdy nie byłam. Do mnie należało napisanie listu.

- Do kogo wysłała pani ten list?

- Bezpośrednio do Alekseia.

- A co pani wie o bikini?

- To załatwiał Gerry.

- Co miała na sobie, kiedy ją wypuścił?

- Dokładnie nie wiem.

- Czy miała ręcznik kąpielowy?

- Gerry powiedział, że w tych warunkach to będzie jej płaszcz ochronny. Poza tym nie chciała go oddać.

Zastanawiam się. Rozważając wszystkie scenariusze możliwych wydarzeń, nie wziąłem pod uwagę Howarda, przekonany o jego niewinności. Rozważałem wszelkie dostępne dowody i znane mi okoliczności oraz wydarzenia i uznałem, że niesłusznie został on oskarżony i skazany. Campbell utrzymywał, że nie dostrzegam rzeczy oczywistych. Ja zaś twierdziłem, że w ocenie tej tragedii powoduje się wyłącznie uprzedzeniami.

- Dlaczego, na miłość boską, zażądaliście drugiego okupu? Jak mogła pani ponownie skazać Rachel na tak okrutne doświadczenie? To przecież pani ją przekonała, że Mickey żyje!

Na jej twarzy znów pojawił się ból.

- Nie chciałam tego. Pan tego nie zrozumie.

- Proszę mi więc wyjaśnić.

- Kiedy pan aresztował Howarda za zabicie Mickey, Gerry szalał, nie mógł znaleźć sobie miejsca. Bez końca powtarzał, że to my przyczyniliśmy się do śmierci Mickey. Powiedział, że w żadnym wypadku nie wróci do więzienia - nie za zabicie dziecka. Wie doskonale, co robią współwięźniowie skazanym za zamordowanie dziecka. Od razu wiedziałam, że znaleźliśmy się w poważnych tarapatach. Wiedzieliśmy, że albo uciszymy Gerry'ego, albo pozwolimy mu zniknąć.

- Wysłaliście go więc za granicę.

- Daliśmy mu dwukrotnie większą sumę niż ta, na jaką zasłużył - cztery tysiące

funtów. Miał milczeć i zniknąć, lecz on całą sumę przegrał w automacie do gier czy wydał na narkotyki.

- Kupił bar w Tajlandii.

- Wszystko jedno.

- A potem wrócił.

- Po raz pierwszy dowiedziałam się o kolejnym żądaniu okupu wówczas, kiedy Rachel otrzymała pocztówkę. Wysłanie pocztówki było pomysłem Gerry'ego. Nie znaleziono ciała Mickey. Gerry nadal miał jej kostium kąpielowy i kosmyk jej włosów. Wściekłam się. Jego pazerność i głupota stanowiły dla nas śmiertelne zagrożenie. Ray powiedział, że musi powstrzymać Gerry'ego, zanim będzie za późno, zanim zgubi nas wszystkich...

- Przecież mogła się pani wówczas z tego nieszczęsnego przedsięwzięcia wycofać. I nikt by się o pani nie dowiedział.

- Chciałam go zabić, naprawdę chciałam.

- Co spowodowało zmianę decyzji?

- Nikt z nas nie sądził, że Aleksei zgodzi się na drugi okup - nie po zapłaceniu pierwszego, lecz on zgodził się szybko. Nawet go żałowałam. Musiał wierzyć, że Mickey żyje.

- Nie miał wyboru. Ojciec powinien wierzyć.

- Nie, on chciał się zemścić i cena zemsty nie miała dla niego znaczenia. Nie chodziło mu wcale o Mickey czy Rachel.

Chciał naszej śmierci. To był jedyny powód, dla którego się zgodził.

Pomyślałem, że może ona ma rację. Aleksei zawsze wolał wymierzać własną sprawiedliwość.

Przypomniałem sobie, że kiedy wyszliśmy z więzienia Wormwood Scrubs, a następnie podczas spotkania w komisariacie Aleksei powiedział: Nie płacę za to samo dwukrotnie. I tak właśnie rozumiał tę sytuację. Już raz zapłacił i nie chciał, aby wymuszono na nim kolejny haracz.

- Dlaczego przyjęliście tę samą metodę odbioru okupu?

- Nie mieliśmy czasu, aby wykoncypować nową. Aleksei liczył się z taką sytuacją, ale jak już powiedziałam, nie sądziliśmy, że zgodzi się na ponowny okup. Musieliśmy się sporo napracować, aby wszystko było gotowe na czas. Nie chciałam, żeby do tego doszło, lecz Ray bardzo potrzebował pieniędzy i twierdził, że po raz drugi łatwiej to będzie przeprowadzić.

- Wiedziała pani, że byłem wtedy z Rachel?

- Nie, dopóki nie zmusiliśmy jej do zmiany samochodu. I nie przypuszczaliśmy, że

ktokolwiek będzie tak głupi, aby podążyć za okupem kanałami ściekowymi.

- Podczas przekazywania diamentów słyszałem w słuchawce głos dziecka. Czy to był pani głos?

- Tak.

W pokoju było coraz ciemniej i Kirsten coraz bardziej wtapiała się w mrok. Przestrzeń pomiędzy nami jakby się powiększała, wypełniał ją coraz większy chłód.

- Wówczas na tej łodzi, kiedy rozpoczęła się strzelanina, pomyślałam, że to chyba policja. Oni zaś nie przestawali strzelać.

- Widziała pani snajpera?

- Nie.

- Czy widziała pani w ogóle kogoś? Zaprzeczyła ruchem głowy.

Aczkolwiek fizycznie całkowicie wyczerpana, robiła niemalże wrażenie osoby, której wyznania przynoszą ulgę. Nie pamięta, jak długo była w wodzie. Siła przyływu wody w kanale zawlokła ją na wschód, za Westminster. W końcu resztkami sił wydostała się na schody kanału w Bankside blisko Globe Theatre. Włamała się do apteki i skradła bandażę oraz środki przeciwbólowe. Przenocowała w odnowionym, lecz nie-zajętym jeszcze sklepie.

Nie mogła chodzić i nie mogła także udać się do szpitala z prośbą o pomoc. Obawiała się, że Aleksei by ją szybko odszukał. Z chwilą kiedy dowiedział się, kto uczestniczył w porwaniu Mickey, nie zaprzestał poszukiwań.

- I od tego czasu ukrywa się pani?

- Czekaając na śmierć.

Jej głos jest tak cichy, jakby dochodził z oddali.

Pokój wypełnia mdły zapach zakrwawionych bandaży i ropiejących ran. Myślę, że to, co powiedziała mi Kirsten, jest prawdą albo też wyjątkowym, do najmniejszych szczegółów przemyślanym, kłamstwem.

- Proszę odejść od okna - mówi do mnie.

- Dlaczego?

- Mam przed oczami czerwone kropki. Latają pod powiekami.

Wiem, co to znaczy. Usiadłem koło łóżka i podałem jej szklanekę wody. Nie trzyma już palca na spuście pistoletu.

- Co zamierzała pani zrobić z okupem?

- Mam pewne plany. - Mówiła o konieczności rozpoczęciu nowego życia z przekonaniem niebudzącym najmniejszej wątpliwości. Całkowicie pochłonęła ją myśl o pozostawieniu wszystkiego za sobą. Było to marzenie o życiu czystym, pozbawionym brudów

przeszłości.

Czasami myślę podobnie - chcę być kimś innym lub rozpocząć wszystko od początku - lecz szybko zdaję sobie sprawę, że większość spraw na tym świecie nie obchodzi mnie już oraz że mam dosyć kłopotów ze starymi przyjaciółmi i nie poradziłbym sobie z nowymi. Od czego zresztą bym uciekał? Byłbym jak pies kręcący się w kółko za własnym ogonem.

- Byliśmy głupi. Powinniśmy porzucić to całe przedsięwzięcie i cieszyć się, że nikt nie zna prawdy o zaginięciu Mi-ckey. Teraz już za późno.

- Mogę pani zapewnić ochronę.

- Nikt nie może mi zapewnić ochrony.

- Mogę porozmawiać z przedstawicielami prokuratury. Jeżeli pani złoży zeznania przeciwko Aleksejowi i przedstawi dowody, mogą pani pomóc...

- Jakie dowody? - powiedziała oschle. - Nigdy nie widziałam, by Aleksej kogokolwiek osobiście zastrzelił. Nie mogę wskazać na żadnego bandziora, którego by wynajął. Cóż więc, że dwukrotnie zapłacił okup - to nie jest niezgodne z prawem.

Pomyślałem, że ma rację. Największym przestępstwem, jakiego dotychczas dopuścił się Aleksej, jest niepowiadomienie policji o pierwszym okupie. Z całą pewnością jednak musi być coś przeciwko niemu. Facet organizuje egzekucje ludzi i nikt go nie może tknąć, jest zupełnie bezkarny.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu czułem się bezradny, nie miałem żadnego pomysłu, jak dalej postępować. Wiem, że muszę zawiadomić policję. Musiałem także zapewnić Kirsten bezpieczne schronienie. Nadal realizowany jest program ochrony świadka koronnego dla informatorów z Irlandzkiej Armii Republikańskiej oraz świadków zorganizowanej przestępczości. Lecz cóż oni mogą zaproponować tej kobiecie? Na podstawie jej zeznań nie mogą aresztować Alekseja. Kirsten nie może powiązać go z jakimkolwiek popełnionym przez niego morderstwem lub innymi przestępstwami.

- A gdybyśmy tak zaaranżowali spotkanie?

- Co?

- A gdyby tak skontaktować się z nim i zorganizować spotkanie?

Dłońmi zakryła uszy, nie chcąc tego nawet słyszeć. Jej skóra ma metaliczny połysk, odbija światło lampy stojącej przy łóżku.

Ma rację, Aleksej nigdy się na to spotkanie nie zgodzi.

- Nie może mnie pan uratować. Na pana miejscu zatelefonowałabym do niego i powiedziała, gdzie jestem. Mógłby pan uzyskać jego zgodę na wstrzymanie egzekucji.

- Dzwonię po karetkę pogotowia.

- Nie.

- Nie może pani tu zostać. Ile jeszcze potrwa, zanim właścicielka mieszkania odda panią w jego ręce?

- Jesteśmy starymi przyjaciółkami.

- Domyślam się! Ile kosztuje panią pobyt u niej? Pokazuje palce, są już bez biżuterii.

Siedzimy w milczeniu, po chwili słyszę jej równy oddech. Zasnęła. Przysunąłem się do niej i zanim przykryłem ją kołdrą, ostrożnie zabrałem pistolet. Poszedłem na podest schodów i zatelefonowałem do Nowego Chłopaka, Dave'a.

Czułem, że drżą mi ręce.

- Znalazłem Kirsten Fitzroy - powiedziałem. - Potrzebuję ambulans i policyjną eskortę. Proszę o tym nie mówić Mel-drumowi ani Campbellowi.

- Okej.

Powróciwszy do pokoju, zauważyłem, że Kirsten nie śpi.

- Przyjadą?

- Tak.

- Kawaleria czy karawan?

- Ambulans.

Zacisnąwszy z bólu zęby, zsunęła nogi z łóżka i odwróciła się ode mnie. Czarna przepocona koszula ściśle przylega do jej pleców. Kirsten wygląda, jakby ktoś oblał ją oliwą.

- Może i uda się panu ochronić mnie dzisiaj, ale to tylko kwestia jednego dnia - powiedziała, z trudem idąc do łazienki.

Czując, że idę za nią, zatrzymała się.

- Muszę się wysiusiać - powiedziała.

Będę czekał na podeście, zadowolony, że mogę opuścić ten pokój cuchnący chorobami i hipokryzją. Ten bezmiar kłamstw i rozmiary zdrady mogą człowieka zwalić z nóg. Mickey nie żyje! Zawiodłem na całej linii. Miałem chęć wczołgać się znów do ścieków, gdzie jak wydawało mi się, jest moje miejsce.

Usłyszałem pukanie do drzwi na dole. Wyjrzałem przez poręcz, spodziewając się, że to Nowy Chłopak, Dave. Ale to posłaniec. Nie słyszę, co mówi.

Pani Wilde odchodzi od drzwi, trzymając w ręku bukiet kwiatów. W tym samym momencie słyszę wybuch. Pani Wilde pada na ziemię, na ów bukiet.

Kurier w skórzanej kurtce i czarnym hełmie przekracza jej ciało i idzie dalej.

Biorę telefon komórkowy i dzwonię. Telefon Dave'a jest zajęty, pewnie dzwoni po karetkę pogotowia lub policyjną eskortę.

Posłaniec idzie na górę. Wyobrażam go sobie wchodzącego po schodach, z pistoletem w ręku. Na pewno jest profesjonalistą, byłym wojskowym.

Kirsten splukuje wodę w toalecie i wychodzi z łazienki. Daję jej znać, aby padła na podłogę. Osuwa się na kolana i jęczy. Zaskakuje ją wyraz moich oczu, widzi w nich coś, czego przedtem nie było.

- Proszę mnie nie zostawiać - mówi szeptem.

Gestem palca nakazuję jej milczenie. Ręką wskazuję na ubikację.

Posłaniec słyszał wodę spływającą w ubikacji. Teraz jest na dole schodów. Odwracam się od Kirsten i wchodzę na następny podest. Znowu dzwonię, telefon Dave'a jest nadal zajęty.

Deski podłogi skrzypią. Ten dźwięk przenika mnie na wylot. Przypominam sobie, że Kirsten oddała dwa strzały. Jeśli założyć, że magazynek był załadowany, zostały cztery naboje.

Powinienem odczuwać lęk, lecz być może już uodporniłem się na wszelkiego rodzaju lęki. Myślę natomiast o tym, co przeżyłem w ciągu tych sześciu tygodni, kiedy Aleksei igrał ze mną. Nie jestem ani zły, ani rozgoryczony. Czuję się jak bohaterka opowiadania dla dzieci „Goldilocks and the Three Bears”, kiedy Goldilocks wypędzają z domu, bo zjadła owsiankę i połamała krzesło. W mojej wersji ona wraca z pistoletem w ręku i tym razem celuje dokładnie, już nie spudłuje.

Odzywa się telefon Nowego Chłopaka.

- Kod jeden. Policjant w kłopotach. Natychmiastowa pomoc!

Posłaniec jest na schodach przy ścianie, szuka osłony przed strzałami z góry. Kiedy idzie w kierunku podestu, powinienem mieć go na celowniku. Czekam w ciemności, starając się być niewidoczny. Po plecach leje mi się struga potu.

Kolejny krok. Widzę jego cień. Ma duży automatyczny karabin. Lekko naciskam spust pistoletu, cofam kurek, przygotowując się do strzału. Sprawdzam zawartość magazynka, wkładam pocisk do zamka.

Mam go na widoku, właśnie zamierza iść w kierunku sypialni. Ma kominiarkę, nie widzę twarzy.

- Policja! Złóż broń.

Pada na ziemię, przewraca się i strzela na oślep. Pociski trafiają w sufit i ściany za moją głową, roztrzaskują poręcz schodów. Drzazga wbija się w moją szyję.

Jeżeli strzelę, zobaczy, gdzie jestem. Naciągam język spustowy, zwalniam kurek.

Strzelam, pocisk, przebijając jego ramię, utkwii! w klatce piersiowej. Napastnik

zachwiał się i głową uderzył o ścianę. Widzę wciąż tylko czarną kominiarkę. Znowu naciska spust. Strzelamy równocześnie, on przewraca się do tyłu.

Ugryzłem się w język, czuję w ustach smak krwi, szarpiący ból w płucach. Brakuje mi powietrza. Nie wiem, jak długo już siedzę na tych schodach. Słyszę głos policyjnych syren i pisk opon. Wpada Nowy Chłopak, Dave, i potyka się o ciało pani Wilde.

Klękam na podeście, odkładam pistolet i spoglądam na swoją klatkę piersiową. Dave biegnie po schodach, wykrzykuje moje nazwisko. Odrywam guziki koszuli i palcami przyciskam żebro. Wyczuwam okrągłe wgłębienie w środku kamizelki kuloodpornej, nadal ciepłe od uderzenia pociskiem.

Niech mnie kule biją! To Ali, która upierała się, abym nosił kamizelkę, zawdzięczam życie.

Patrzę przez poręcz i widzę na pierwszym stopniu schodów skurczone z bólu ciało posłańca. Czterdzieści trzy lata w policji, trzydzieści pięć lat pracy w wydziale dochodzeniowo-śledczym i nikogo w tym czasie nie zdołałem zabić. Osiągnąłem więc kolejny w moim życiu niechciany „sukces”, swego rodzaju kamień milowy.

Przed czterema godzinami wysłano nakaz aresztowania Alekseia, lecz nie dotarł do adresata. Jego jacht opuści! Chelsea Harbour w piątek o północy, godzinę po naszym spotkaniu. Kapitan jachtu utrzymywał, że płynie do stoczni jachtowej w Hamble na południowym wybrzeżu Wielkiej Brytanii, ale nie dopłynął tam do godzin południowych w sobotę.

Zwrócono się do jednostek straży przybrzeżnej i stacji łodzi ratunkowych w promieniu ponad pięciuset mil morskich o przekazanie wszelkich wiadomości o jachcie. Opis jednostki przekazano także kapitanom portów we Francji, Belgii, Holandii, Danii, Portugalii i Hiszpanii.

Nie przypuszczałem, że Aleksei będzie usiłował zbiec. Nadal myślałem, że stać go na jakiś popisowy numer, że w otoczeniu prawników dumnie wkroczy do komisariatu, aby bronić swoich życiowych interesów. Wiedział, że przeciwko niemu są jedynie poszlakowe dowody. Nikt nie może przedstawić mu zarzutu popełnienia bezpośredniego, osobistego morderstwa. Jeżeli Kirsten umrze, nie będę nawet mógł dowieść, że Aleksei zapłacił pierwszy okup.

Oczywiście, nie muszę niczego udowadniać. To Campbell bez przerwy chęłpił się, opowiadając mi, jak to wdzierał się zamaskowany do szpitala w poszukiwaniu Kirsten. Ilekroć spotykają się nasze spojrzenia, odwraca głowę. On miał rację, nie mogłem się bardziej mylić. Pomimo koszmarnej zamętu, jaki zapanował w ciągu ostatnich tygodni, fakty nie

uległy zmianie - Mickey zmarła trzy lata temu, zamordował ją Howard Wavell.

Po prześwietleniu okazało się, że moje żebra są tylko lekko potłuczone, a rana na szyi, od drzazgi, nie wymaga szycia. Kir-sten jest w szpitalu pod strażą, nawet sanitariusze, którzy przywieźli ją na oddział intensywnej opieki, nie znają jej nazwiska.

W poniedziałek rano w sądzie Eddie Barrett i Gawron będą usiłowali dowieść, że Howard Wavell powinien być zwolniony z więzienia. Będą utrzymywać, że Mickey Carlyle uprowadzono dla okupu oraz że zabili ją porywacze. Będą także twierdzić, że telewizyjne zdjęcia zrobione na peronie stacji metra Leicester Square mogą przedstawiać dowolną osobę. A znaleziony na cmentarzu East Finchley ręcznik został podrzucony po to, aby zrobić Howarda i oskarżyć go o morderstwo, którego nie popełnił.

To linia obrony składająca się z logicznego ciągu wydarzeń, do której łatwiej przekonać, niż dociec prawdy. Oskarżenie wysunięte przez policję przeciwko Howardowi miało wyłącznie poszlakowy charakter. Dowody trzeba przedstawić kolejno, w sposób rzeczowy unaoczniając członkom wielkiej ławy przysięgłych, że stanowią logiczną całość. Na razie cała ta sprawa nie trzyma się kupy, przypomina raczej domek z kart, który w każdej chwili może się rozsypać.

Howard będzie miał ponowny proces, a naszą jedyną nadzieją na utrzymanie w mocy dotychczasowego wyroku i nie-wypuszczenia go na wolność jest umiejętność Kirsten przekonania wielkiej ławy przysięgłych, że to ona mówi prawdę. obrońcy Howarda zrobią wszystko, aby podważyć wiarygodność jej zeznań. Uznają ją za porywaczkę, która przyznała się do winy, szantażystkę oraz menedżera agencji towarzyskiej.

Myliłem się co do Howarda, co do Mickey i niemalże w każdej innej sprawie. Zabójca dziecka wyjdzie na wolność. Ja jestem temu winien.

Źle się dzieje, kiedy policjant zastrzeli niewinnego człowieka, lecz o wiele gorzej, kiedy sprawcą nieszczęścia jest były policjant. Wewnętrzna komisja policyjna badająca zażalenia i nieprawidłowości postępowania służbowego przeprowadzi wnikliwe dochodzenie oraz śledztwo. Dobiorą się do mnie. Przeprowadzą testy na zawartość narkotyków, a także testy psychologiczne. Niewiele wiem o morfinie, aby twierdzić, że mój organizm nadal poddany jest działaniu tego narkotyku. Jeżeli jednak wynik okaże się pozytywny, będę oskarżony i upokarzany.

Nie ustalono tożsamości mężczyzny, którego zastrzeliłem. Przyjechał na skradzionym motocyklu i nie miał przy sobie żadnych dokumentów. Ustalono tylko, że leczył się u dentystów w którymś z krajów Europy Wschodniej. Miał przy sobie pistolet maszynowy skradziony przed czterema laty z magazynu komisariatu policyjnego w Belfaście.

Wyróżniającym go znakiem był mały srebrny krzyżyk na łańcuszku, zawieszony na szyi. Krzyżyk był inkrustowany fioletowym kamieniem zwanym lydwanem. To bardzo rzadki krzemień spotykany jedynie w okolicy Bracka na Syberii. Może Interpol będzie miał więcej szczęścia w ustaleniu tożsamości tego człowieka.

Jest już po godzinach odwiedzin u chorych, lecz siostra dyżurna pozwala mi wejść.

Mimo że leży na plecach, wpatrzona w wiszące nad głową lustro, Ali wita mnie uśmiechem, na jaki nie zasługuję. Odwraca głowę w moim kierunku, robi niewielki ruch, zanim chwyci ją ból szyi.

- Przyniosłem ci czekoladę - mówię.

- Pan chce, abym przytyła.

- Myślę, że odkąd odstawiono cię od piersi matki, nigdy nie byłaś grubaskiem.

Kiedy się śmieje, odczuwa ból.

- Jak przebiega powrót do zdrowia? - pytam.

- Okej. Dzisiaj po południu założono mi gwoździe.

- To dobry znak. Kiedy więc zatańczymy?

- Pan nie lubi tańczyć.

- Ale z tobą zatańczę z przyjemnością.

Zabrzmiało to ckliwie, wolałbym tego nie powiedzieć, lecz Ali doceniła ten sentymentalny gest.

Powiedziała, że w ciągu trzech miesięcy będzie musiała nosić stalowy gorset, a potem przez następne trzy miesiące szelki korekcyjne na ramionach.

- A potem, jeżeli będę miała szczęście, zacznę chodzić.

Nienawidzę tego powiedzenia „jeżeli będę miała szczęście”. Nie ma w nim poczucia pewności, trzeba trzymać kciuki. „Jeżeli wszystko pójdzie dobrze”, potrzebne są tego rodzaju zaklęcia. Jakież to szczęście miała dotychczas Ali?

Wyjąłem z opakowania butelkę whisky i pomachałem jej przed oczami. Uśmiechnęła się. Z torby wyjąłem, jak zajaczkę z kapelusza, dwie szklanki.

Nalałem jej whisky i dodałem wody z kranu.

Przepraszającym głosem powiedziała:

- Tak naprawdę to jeszcze nie mogę utrzymać szklanki w ręce.

Z torby wyjąłem spreparowaną w dziwny sposób słomkę do picia drinków. Szklankę postawiłem na jej klatce piersiowej, a słomkę włożyłem do ust. Wypiła łyk whisky i lekko się za-krztusiła. Po raz pierwszy widziałem ją pijącą alkohol.

Nasze spojrzenia spotkały się w lustrze.

- Dzisiaj przyszedł do mnie prawnik z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Proponują mi odszkodowanie i pełną rentę inwalidzką, gdybym nie chciała służyć w policji.

- Co powiedziałaś?

- Że chcę pozostać w policji.

- Obawiają się, że możesz ich pozwać do sądu.

- Dlaczego miałabym to zrobić? W tym wypadku nikt nie ponosi winy.

Spojrzeliliśmy na siebie, ogarnęło mnie uczucie wdzięczności. Ale jednocześnie pomyślałem, że nie zasłużyłem na taką wielkoduszność z jej strony.

- Słyszałam o Gerrym Brandcie.

- Tak.

Zauważyłem subtelne zmiany w wyrazie jej twarzy. Wzdrygnęła się na samą myśl o śmierci Brandta. We mnie też coś drgnęło. Być może w tym momencie zrozumiałem, jak wiele już Ali wycierpiała i ile jeszcze będzie musiała znieść zabiegów chirurgicznych i sesji fizjoterapeutycznych.

Kosmyk włosów błyszczących czernią wysunął się ze spinki. Opuściła wzrok, a na jej ustach pojawił się grymas buntu wobec świata.

- Znalazł pan Kirsten. Powinniśmy to uczcić. Wypiła łyk i zauważyła, że ja nie piję.

- Co panu dokucza? - zapytała.

- Przepraszam, to chwila refleksji, takie niemądre, naiwne poszukiwanie odpowiedzi... Wiesz przecież, jak wielką miałem nadzieję, że Mickey żyje. A teraz popatrz! Ty jesteś w szpitalu, inni nie żyją, a Rachel pogrąża się w coraz większej rozpacz. Jutro zostanie wznowiony proces Howarda. To wszystko moja wina. Niewybaczalne jest to, co zrobiłem.

Ali milczy. Niebo zaróżowiło się, zapalają się światła ulicznych latarni. Pochyliam się i wpatruję w szklankę whisky. Ali kładzie rękę na moim ramieniu, to mnie uspokaja.

- Wszędzie tyle bólu! - jęknąłem. - Po co ta dziewczynka przyszła na ten świat? Czy po to, aby przeżyć tylko siedem lat, zostać porwaną, zgwałconą i torturowaną?

- Na to pytanie nie znam odpowiedzi.

- Nie wierzę w istnienie Boga. Nie wierzę w życie wieczne, niebo, w inkarnację. Zapytaj w moim imieniu Boga, dlaczego tak się dzieje.

Ali patrzy na mnie z wyrazem głębokiego smutku.

- Nie tak działa Bóg - mówi.

- No cóż, zapytaj Go więc o jego wielki plan. Kiedy On pochłonięty jest realizacją swego wielkiego planu zbawienia ludzkości, kto otacza opieką takie dzieci jak Mickey? Wiem, że pośród kilku miliardów ludzkich istnień życie jednego dziecka to nic nieznaczący

drobiazg, ale Bóg mógłby okazać miłosierdzie, zaczynając od uratowania właśnie życia jednego dziecka.

Wypiłem już whisky, czuję alkohol w całym ciele. Jestem pijany, lecz nie na tyle, aby zapomnieć o pewnych sprawach.

Czarna taksówka zawiozła mnie do domu. W kieszeniach szukam klucza, zataczam się i wchodzę na schody, otwieram drzwi mieszkania, resztkami sił docieram do łazienki i wymiotuję. Potem obmywam twarz wodą, pozwalając spływać jej po szyi i piersiach.

Patrzę w lustro i widzę człowieka zupełnie mi obcego, o bezbarwnym, nieco chytrym spojrzeniu.

W oczach tego człowieka widzę postać Mickey, stoi przy windzie. Widzę również Daj za drutami kolczastymi, a także Luke'a w wodzie pod lodem.

Mam wrażenie, jakby nawiedzały mnie tylko te wspomnienia. Jednakże czasami nie mogę przestać myśleć o dzieciach zaginionych, seksualnie wykorzystywanych, dzieciach nieżyjących, dzieciach topionych w wannach, niemowlakach pogrążanych w śpiączce, dzieciach uśmierconych w komorach gazowych, porwany z placu zabaw, duszonych poduszkami. Jak mogę mieć pretensję do Pana Boga, skoro sam nie zdołałem uratować jednej małej dziewczynki?

Po przeciwnej stronie gmachów sądu dostawca wyładowuje z ciężarówki manekiny. Niektóre z tych gipsowych postaci mają peruki. Kierowca, który je przywiózł, niesie po dwie sztuki naraz i usiłuje utrzymać równowagę, aby nie spadły mu z ramion. Śmieje się na widok zaciekawionych gapiów.

Stoję i obserwuję to widowisko. Dobrze się czasami pośmiać.

Jednakże nastrój beztroskiej wesołości trwa krótko. Rachel Carlyle patrzy na mnie, kiedy idę długim korytarzem. Patrzy wzrokiem nieco rozproszonym, jest roztargniona, jakby miała trudności z rozpoznaniem mnie. Wpadające przez wysokie okna światło słoneczne, zanim rozjaśni marmurowe wnętrze głównego holu, rozprasza się i załamuje.

Podchodzę do niej i zabieram do jednej z pustych sal konferencyjnych. Proponuję, aby usiadła, i raz jeszcze przedstawiam w najdrobniejszych szczegółach historię uprowadzenia

Mickey, jaką opowiedziała mi Kirsten. Kiedy dochodzę do momentu samotnej wędrowni dziewczynki po Londynie, owego późnego wieczoru, Rachel zaciska powieki, jakby usiłowała uwolnić się od tego bolesnego obrazu.

- Gdzie jest teraz Kirsten? - pyta.

- Walczy ze śmiercią wskutek zakażenia. Dla stanu jej zdrowia decydujące będzie najbliższe czterdzieści osiem godzin.

Twarz Rachel wyraża troskę. Zdumiewa mnie jej zdolność wybaczenia. Mogę sobie wyobrazić, że modli się za Kirsten lub zapala w jej intencji świeczkę. A powinna czuć wielką urazę i do mnie, i do Kirsten. Ożywiłem jej nadzieje, które się nie spełniły.

Rachel za ten straszny dramat oskarża natomiast siebie.

- Gdybym nie zwróciła się do Alekseia z prośbą o przekazanie okupu, nie wydarzyłoby się żadne z tych nieszczęść - powiedziała.

- To nieprawda. On ukarał ich za to, co zrobili Mickey, a nie za jakiś twój uczynek.

Mówi głosem cichym, ledwo dostłyszalnym:

- Ja chcę tylko, żeby ona wróciła.

- Wiem.

Patrzę na zegarek. Powinniśmy już być w sali sądowej. Rachel, zanim opuści pokój, zbiera siły. Na korytarzach i w miejscach dostępnych dla publiczności jest teraz mniej ludzi. Na schodach widzę Gawrona. Trzy stopnie wyżej stoi Barrett. Patrzę na siebie. Gawron okazuje wielkie ożywienie, podczas gdy Eddie wydaje z siebie jakieś dziwne pomruki i gestykuluje, niemalże zachłystując się powietrzem.

Aby utrzymać równowagę, Rachel bierze mnie pod rękę.

- Jeżeli Aleksei już raz otrzymał żądanie okupu, dlaczego nic mi o tym nie powiedział?

- Przypuszczam, że nie chciał, aby w tę sprawę zaangażowała się policja.

- Zgadzam się, lecz później, kiedy Mickey nie wróciła do domu, mógł coś powiedzieć.

Nie mam na to pytanie odpowiedzi. Mogę jedynie podejrzewać, że nie chciał, aby ktokolwiek wiedział o tej jego fatalnej w skutkach decyzji. Jest dostatecznie zarozumiały, by wierzyć, że sam, bez pomocy policji, odnajdzie dziecko. Musiał wiedzieć, jak niewiele brakowało, żeby Mickey znalazła się w domu, w objęciach matki - mniej niż osiemdziesiąt pięć kroków.

Świadomość tego faktu musiała być dla niego ciosem.

Sędzia Connelly każe na siebie czekać. Wchodzi do sali rozpraw dziesięć minut po dziesiątej. Zebrani wstają. Potem zrobiony z orzecha włoskiego młotek sędziego kładzie po swojej prawej stronie, szklanekę z wodą zaś po lewej.

Pojawia się także Howard. Trzyma w ręku Biblię z wystającymi czerwonymi zakładkami. Ma podsiniaczone oczy, lecz aroganckie spojrzenie. Eddie Barrett podaje mu rękę, Howard odpowiada znużonym uśmiechem.

Fiona Hanley, oskarżyciel publiczny, wstaje.

- Wysoki Sądzie, być może mogłabym przyspieszyć tryb postępowania podczas tej

rozprawy. W związku z informacjami, jakie pojawiły się podczas ostatniego weekendu, oskarżyciel publiczny nie zgłasza sprzeciwu wobec wniosku obrony i wyraża zgodę na wznowienie procesu w najszybszym dogodnym dla sądu czasie.

Zebrani w sali wyrażają głośnie zdziwienie. Atmosfera tężeje, wszystkie oczy zwracają się w stronę Howarda. Nie sądzę, aby zrozumiał powstałą sytuację. Eddie Barrett jest wyraźnie rozbawiony.

- Panowie adwokaci - mówi sędzia Connelly i zaprasza ich do swego gabinetu. W sędziowskiej pelerynie wygląda jak rycerz krzyżowy.

Czterech spośród nas czeka w przedpokoju gabinetu. Eddie Barrett i Gawron szepczą coś w kącie. Gawron nawet się uśmiecha, jest to wbrew jego naturze i nie przychodzi mu łatwo. Tymczasem Fiona Hanley unika mego spojrzenia i jest zajęta swoją togą.

Asystentka sędziego, piersiasta czarna dama, wpatruje się w sędziego i tylko jego darzy ujmującym uśmiechem. Pracuje u niego od piętnastu lat, wszyscy na ich temat plotkują.

- Sędzia przyjmie państwa - mówi, wskazując na drzwi gabinetu.

Eddie nieco się cofa, pozwalając przejść pani Hanley. Lekko się kłania, ukazując łysinę. Przed biurkiem sędziego stoją tylko trzy krzesła. Stoję więc, opieram się o półki na książki zajmujące całą niemal ścianę. Sędzia zdejmuje perukę. Włosy ma także białe, tyle że podcięte. Doniosłość i barwa jego głosu przypominają głos nauczyciela w ekskluzywnej prywatnej szkole angielskiej.

- Cztery dni poświęciłem na przygotowanie tego orzeczenia, a państwo wyskakujecie z takim numerem! - Mówiąc to, patrzy na Fionę.

- Wysoki Sądzie, bardzo przepraszam, jednakże dopiero wczoraj dowiedziałam się o tej sprawie.

- Czyj był ten wspaniały pomysł?

- Pojawiły się nowe okoliczności i nowe informacje...

- Które podważają winę pana Wavella? Pani Fiona waha się, nie wie, co powiedzieć.

- Te nowe okoliczności komplikują sytuację.

- Mam nadzieję, że myśli pani dokładnie tak, jak mówi. Eddie nie posiada się z radości. Sędzia rzucił mu gniewne spojrzenie.

- Panie Barrett, może pan dla siebie zachować swoje myśli. Mam pana dosyć na sali sądowej i nie będę tolerował pańskich wyskoków jeszcze tutaj.

Eddie natychmiast spowaźniał.

Sędzia Connelly wstał i oparł ręce o poręcz krzesła. Spojrzał na mnie.

- Rozumiem, że nie powinienem już wymieniać pana stanowiska służbowego i

stopnia, panie Ruiz, lecz być może wyjaśni mi pan, co się stało.

- Policja ma nowego świadka.

- Świadka czy podejrzanego?

- Ta osoba może wystąpić zarówno w charakterze świadka, jak i podejrzanego - oświadczyłem.

- W materiale dowodowym, jaki przedstawił pan przed paroma dniami, wyraził pan opinię, że Michaela Carlyle może żyć. Czy nadal podtrzymuje pan to stanowisko?

- Nie, Wysoki Sądzie. Zauważyłem smutek w jego oczach.

- I zeznania tego nowego świadka skłoniły pana do zakwestionowania dotychczasowych opinii na temat losu Michaeli Carlyle? - zapytał sędzia.

- Świadek przyznała się do uprowadzenia Michaeli Carlyle oraz wystosowania kolejnego żądania okupu. Zezna także, iż po trzech dniach przetrzymywania Mickey została zwolniona, nie doznając żadnych obrażeń na ciele.

- A co się stało potem?

- Jesteśmy przekonani, że zdołała dotrzeć do swego domu. Sędzia orientuje się, do czego zmierzam. Jest wyraźnie niezadowolony, zgrzyta zębami, jakby chciał je zetrzeć.

- To absurdalne! - mówi. Eddie przerywa i mówi:

- Wysoki Sądzie, wystąpimy z wnioskiem o zwolnienie za kaucją.

- Proszę się nie odzywać.

W czasie tej wymiany zdań dość głośno krzyknąłem, aby wszyscy mnie usłyszeli:

- Howard Wavell jest dzieciobójcą. Powinien pozostać w więzieniu.

- Bzdury - mruczy pod nosem Eddie. - To typ wstrętny, pomyłony, lecz to jeszcze nie stanowi podstawy do uznania go za przestępcę. Sądzę, że obaj powinniśmy wziąć ten fakt pod uwagę.

- Obaj powinniście siedzieć cicho - stwierdził zdenerwowany sędzia Connelly, chcąc się na kimś wyżyć. - Jeszcze jedno mruknięcie w sali, a ukarzę was za obrazę sądu.

Zwraca się do mnie:

- Panie komisarzu Ruiz, mam nadzieję, że zamierza pan wyjaśnić rodzinie tej biednej dziewczynki, co się stało?

- Oczywiście, Wysoki Sądzie. Zwraca się do pozostałych:

- Zamierzam wyrazić zgodę na złożenie przez obronę wniosku o apelację. Zamierzam także zapewnić obronie wszelkie możliwości zbadania nowych dowodów i powstałych okoliczności. Całą tę sprawę chcę utrzymać w normach prawa procesowego. Panie Raynor, może pan wystąpić z wnioskiem o apelację, lecz muszę zwrócić panu uwagę, że pański klient

został skazany za popełnienie morderstwa oraz że nadal pozostaje w mocy domniemanie jego winy...

- Wysoki Sądzie, mój klient jest ciężko chory i wymaga opieki lekarskiej, jakiej nie może otrzymać w więzieniu. Przeważają w tym wypadku względy natury humanitarnej...

Sędzia Connelly pogroził palcem.

- Nie jest to miejsce ani czas na wyrażanie tego rodzaju opinii. Proszę przedstawić swoje stanowisko w sali sądowej.

Potyczki prawne i złe intencje stron zdominowały dalszą część rozmowy w gabinecie. Sędzia Connelly wyraził zgodę na wznowienie procesu, lecz nie zgodził się, aby Howard opuścił więzienie. Poleciał, żeby został on przeniesiony do cywilnego szpitala i odbywał leczenie pod nadzorem strażników.

Poza salą rozpraw zapanowało pandemonium. Podnieceni reporterzy wrzeszczeli do słuchawek telefonów, przepychali się do Rachel, wykrzykiwali pytania i odpowiedzi, chcieli, aby potwierdziła sugerowane przez nich treści odpowiedzi.

Przedzierał się przez zbity tłum dziennikarzy. Objęła mnie wół, przyciskając piersi do moich pleców. Przypominało to rugby, walkę o piłkę znajdującą się w powietrzu, lecz piłki nie było. Eddie Barrett, nasz nieoczekiwany wybawca, wymachiwał aktówką raz w lewo, raz w prawo jak kosą, robiąc nam przejście.

- Może trzeba poszukać innego wyjścia! - krzyknął, wskazując na drzwi z napisem „przejście służbowe”.

Eddie zna we współczesnych gmachach sądowych Londynu wszystkie niemalże zakamarki, podziemia i zapasowe wyjścia. Prowadzi nas korytarzami przez biura, pokoje zatrzymań, coraz głębiej w podziemia. W końcu wynurzamy się na powierzchnię brukowanym kamieniami dziedzińcu pełnym koszy na śmieci, czekających na wywiezienie, oraz siatek rozpostartych nad naszymi głowami uniemożliwiających gromadzenie się tu gołębi.

Brama otwiera się elektronicznie i wjeżdża karetka pogotowia. Na kamiennych schodach czeka Howard, ręce przyciska do głowy, wpatrzony ponuro w czubki swoich zdartych butów. Po obu stronach ma policjantów i straż więzienną.

Eddie zapala papierosa, trzyma go w dłoni i jak zawsze pochyla głowę. Kiedy wydycha, dym z papierosa zasłania mu oczy. Wyjmuje z paczki kolejnego papierosa i częstuje mnie. W tym momencie ogarnia mnie uczucie braterstwa; poczucie solidarności żołnierzy zagubionych na placu boju.

- Wiedziałeś, że on to zrobił.

- Nie przyznaje się do tego.
- Lecz co ty o tym myślisz? Eddie zachichotał.
- Chcesz znać prawdę, porozmawiaj z Oprah.

Rachel jest blisko nas, wpatruje się w Howarda. Sanitariusze otwierają tylne drzwi karetki pogotowia, wyciągają nosze na kołach.

- Mogę z nim porozmawiać? - pyta Rachel. Eddie nie uważa tego za właściwe.
- Chcę się tylko zapytać, jak on się czuje. Eddie patrzy na mnie, wzruszam ramionami.

Rachel idzie przez dziedziniec. Policjanci odchodzą na stronę, Rachel zatrzymuje się obok noszy. Nie słyszę, o czym rozmawia z Howardem. Po chwili kładzie rękę na jego ramieniu. Eddie podnosi głowę, patrzy na niebo, zwraca się do mnie z refleksyjnym pytaniem:

- I co pan zamierza teraz zrobić, komisarzy?
- Chcę poznać prawdę - odparłem.

Pochyliła głowę. Mimo iż patrzy na mnie wzrokiem pełnym szacunku, widać, że nie zgadza się z moim stanowiskiem.

- Z mego doświadczenia zawodowego wynika, że większość prawd okazuje się później kłamstwem - mówi. Nieoczekiwanie jednak spojrział na mnie wzrokiem łagodnym. - Powiedziałeś, że porywacze uwolnili Mickey. Kiedy to się stało?

- W środę w nocy. Skinął głową.

Pamiętam tę noc. Stacja telewizyjna w programie „Wiadomości o dziesiątej” przeprowadzała wywiad z Rachel. To dlatego nie było jej w domu, kiedy do drzwi mieszkania zadzwoniła Mickey. Byłem w biurze, czytałem oświadczenia i raporty.

Usiłuję sobie teraz wyobrazić, gdzie wówczas każda z osób związanych z tą sprawą powinna być. Oczyma duszy zaglądam do każdego mieszkania w kamienicy Dolphin i przemieszczam jego mieszkańców według pewnego klucza. Jednych sprowadzam do domu, innych z niego wyprowadzam. To tak jakbym bawił się lalkami w domu lalek. Pani Swinger, Kir-sten, Ray Murphy... Wyobrażam sobie, jak Mickey stoi na zewnątrz przy drzwiach i naciska dzwonek, lecz nikt nie odpowiada, nikogo nie ma w mieszkaniu.

Brakuje mi pewnego szczegółu. Odwracam się od Eddiego i idę przez dziedziniec sądu do Howarda. Sanitariusze położyli go na noszach i wciągają do karetki.

- Co robiłeś zwykle w środowe wieczory? - zapytałem Howarda.

Spojrział na mnie wzrokiem obojętnym.

- Zanim dostałeś się do więzienia. Co robiłeś? Odchrząknął.

- Brałem udział w próbie chóru. Nie opuściłem żadnej w ciągu ostatnich siedmiu lat -

odparł.

Potrzebowałem krótkiej chwili, aby zastanowić się nad tą informacją - zaledwie ułamek sekundy. Co za dureń ze mnie! Tak wiele czasu poświęciłem poszukiwaniu Kirsten, że nie zauważyłem innych możliwości mogących wyjaśnić przyczyny i okoliczności uprowadzenia Mickey.

Po słowach Howarda wybiegłem na ulicę i przywołałem taksówkę. Byłem zszokowany. Nagle zrozumiałem, że nie dysponuję jeszcze wielu faktami, lecz mam ich na tyle dużo, aby wiedzieć, co się wówczas wydarzyło. Już wiem, co się stało.

Od dłuższego czasu nie dawały mi spokoju ślady farbowanych włosów Mickey znalezione na ręczniku. Gerry Brandt nie pofarbował jej włosów. Dlaczego takimi szczegółikami miałby się przejmować Howard?

Pamiętam, co powiedział swego czasu Aleksei: Nie płacę dwa razy za to samo. Teraz wiem, jakie to miało znaczenie. Aleksei nie zorganizował porwania Mickey, lecz podobnie jak Kirsten i Ray Murphy dostrzegał taką sposobność. Chciał odzyskać córkę - w jego odczuciu naprawdę perfekcyjne dzieło jego życia, jedyną istotę, na której mu naprawdę zależało. W wielkiej więc tajemnicy zapłacił okup. Nie chciał rozgłosu i udziału policji. To Aleksei spotkał Mickey, kiedy w ów wieczór wróciła do domu. To on na nią czekał.

I wtedy uknuł plan, plan, którego pomyślne wykonanie całkowicie zależało od przekonania wszystkich, że Mickey nie żyje. Najpierw wyobrażał sobie, że winą za zniknięcie dziecka obarczy porywaczy. Pobrał nieco krwi Mickey lub skłonił ją do wymiotów, spreprował rzekome dowody, po czym zrobił wszystko, aby wpadły w ręce policji, wmawiając jednocześnie wszystkim, że Mickey zginęła z rąk porywaczy. Niestety, nie znał tych porywaczy. Jednakże w tym czasie wydarzyło się coś nieoczekiwanego, pod ręką znalazł się idealny, odpowiadający wszelkim wymogom podejrzany typ o wyraźnej, powszechnie znanej dewiacji seksualnej bez żadnego alibi. Howard Wavell. Była to idealna i niezwykle kusząca okazja.

I co się wówczas dzieje z Mickey? Kuznet zabierają niepostrzeżenie, wywozi ją z kraju, prawdopodobnie na pokładzie swego jachtu. Zmienia jej powierzchowność i nazwisko.

Nie wiem, czy zastanawiał się, co będzie potem, jak potoczą się koleje losu Mickey. Może planował po wielu latach sprowadzić ją do Wielkiej Brytanii jako już zupełnie inną osobę lub też zamierzał pozostać z nią za granicą?

Ten plan mógł wydawać się bezbłędny, lecz nie dla Ger-ry'ego Brandta, zbira, wyrzutka społeczeństwa, cwane go handlarza narkotyków i narkomana, który naiwnie wierzył, że ciągła kradzież jabłek z tego samego drzewa zawsze jest możliwa. Po roztrwonieniu

pierwszego okupu powrócił do Wielkiej Brytanii z zamiarem ponownego wymuszenia pieniędzy. Nie znaleziono ciała Mickey, a on nadal miał kosmyk jej włosów i kostium kąpielowy. Kirsten natychmiast dowiedziała się o powrocie Gerry'ego. Rozmawiała o tym z Rayem Mur-phym. Gadulstwo, głupota i chciwość Gerry'ego stanowiły dla nich ogromne zagrożenie.

Jeszcze nie zdawali sobie z tego sprawy, lecz chytry zamiar Gerry'ego groził także zniszczeniem wielkiego życiowego planu Alekseia. Opinia publiczna została ostatecznie przekonana, że Mickey nie żyje. Żądanie drugiego okupu podważało jednak konstrukcję planu Alekseia, wzbudziło w nim wątpliwości wywołujące o wiele groźniejsze skojarzenia. Aleksei zaczął się zastanawiać, czy ci ludzie nie przechytrzyli go. Czy nie wiedzą zbyt wiele.

Jedynym sposobem, aby utrzymać plan w tajemnicy przed światem, było uciszenie tych ludzi na zawsze. Kuznet postanowił więc przystać na kolejny okup, śledzić poczynania szantażystów i zabić ich. O ironio losu, to ja dałem mu doskonale alibi, pozwalając podążać za sobą podczas przekazywania diamentów.

Te myśli przebiegały mi przez głowę zbyt szybko, abym zdołał je jakoś uporządkować i w pełni docenić ich znaczenie, lecz podobnie jak Sarah, przyjaciółka Mickey, która powiedziała te słowa owego pierwszego dnia w kamienicy Dolphin, mogłem teraz i ja powiedzieć: co wiem, to wiem.

Telefonuję do Nowego Chłopaka, Dave'a.

- Znalazłeś Alekseia?

- Jego jacht przyplłynął do Ostendy w Belgii o godzinie jedenastej w sobotę rano.

- Kto był na pokładzie? Milczenie.

Słyszę własny oddech.

- Musisz mnie wysłuchać! Wiem, że popełniłem mnóstwo błędów, lecz tym razem mam pewność. Musisz znaleźć Alek-seia. Nie pozwól mu się ulotnić.

Zamilkłem. Dave jest nadal przy telefonie. Łączy nas tylko sympatia do Ali, troska o jej życie. Może to wystarczy.

- Musisz sprawdzić listy pasażerów każdego promu, poduszkowca, pociągu Eurostar wyjeżdżającego poza Waterloo. Możesz zapomnieć o liniach lotniczych. Aleksei nie korzysta z linii lotniczych, ma awersję do samolotów. Będziesz potrzebował nakazu rewizji w jego domu, biurze, samochodach, w skrytkach, przystani dla jachtów... Musisz także mieć prawo wglądu do zapisu jego rozmów telefonicznych, wykazu transakcji bankowych sięgających trzy lata wstecz.

Czuję, że Dave zaczyna tracić cierpliwość. Nie ma przecież prawa wykonać nawet

połowy tego, o czym mówię, a Campbell i Meldrum nie zechcą w ogóle wysłuchać moich sugestii.

Jestem w samochodzie, opieram się o tylne siedzenie i mimo że nic nie widzę, gapię się przez okno. Jednakże głowę mam pełną wspomnień. Przed oczami migają mi strony różnego rodzaju notatek, diagramy, liczby. Poszukuję wszelkich możliwych śladów z przeszłości mogących doprowadzić mnie do ustalenia prawdy o zaginięciu Mickey.

U początków mojej policyjnej kariery, podczas szkoleń i praktyk śledczych, facet o nazwisku Donald Kinsella wziął mnie pod swoje opiekuńcze skrzydła. Wiele lat pracował jako tajny agent w londyńskiej policji. Nosił wówczas długie włosy, które wiązał w koński ogon. Miał także bujne wąsy. Taka właśnie moda wyróżniała gliniarzy w latach siedemdziesiątych, zanim zawłasczyli ją mieszkańcy Village People, czyniąc z niej charakterystyczny symbol swojej zbuntowanej i modnej wówczas społeczności.

W pracy Donald kierował się zasadą, iż nie należy niczego w życiu zbyt komplikować. Nie wierz w jakiegokolwiek teorie spiskowe - mówił. - Słuchaj spokojnie, co mówią ludzie, a potem te sensacyjne wieści zasznufladkuj do tej samej kategorii wiadomości, do jakich zaliczasz informacje z dziennika „Socialist Worker” lub artykuły redakcyjne z „Daily Telegraph”.

Wierzył, że prawda zawsze leży gdzieś pośrodku. Był wielkim pragmatykiem. Kiedy księżniczka Diana zabiła się w Paryżu, poruszony głęboko jej śmiercią, zadzwonił do mnie. Był już wówczas na emeryturze.

Powiedział wówczas: Za rok wyjdzie kilkanaście książek poświęconych tej tragedii. Ludzie będą oskarżać Centralną Agencję Wywiadowczą, naszą organizację wywiadu MI5, Organizację Wyzwolenia Palestyny, mafię, Osamę bin Ladena. Pojawią się tajemniczy świadkowie, będą pisać o zaginięciu dokumentów, o tajemniczych pojazdach, skradzionych raportach, śladach opon, otruciu, a nawet o ciąży... Mogę cię jednak zapewnić, że prawdopodobnie w żadnej z tych książek czytelnicy nie znajdą odpowiedzi na nurtujące ich pytania. Ludzie chcą wierzyć w spiskową teorię dziejów, stale są zła-nieni zakulisowych, tajemniczych, nigdy w pełni niewyjaśnionych historii. Zawsze proszą o więcej. Nie chcą nawet pomyśleć, że ktoś im bliski mógł umrzeć z prozaicznych powodów i w prozaicznych okolicznościach, na przykład w kuchni przy zlewie.

Przypuszczam, że Donald chciał powiedzieć, iż w przeciwieństwie do prostego aktu, jakim jest śmierć, ludzkie losy bywają często bardzo zawiłe. Ludzkie natury są skomplikowane, lecz motywy popełnionych przez ludzi przestępstw są o wiele prostsze. Prokuratorzy i psychologowie, badając ludzkie czyny, skupiają uwagę na motywach

postępowania. Mnie interesują fakty, raczej jak coś się stało, gdzie i kiedy niż dlaczego. Głównym podmiotem mojego śledztwa jest zawsze osoba, „ktoś”, sprawca - jego twarz wypełniająca obraz moich dociekań.

Eddie Barrett nie miał racji. Cała prawda nie jest kłamstwem. Nie jestem aż tak naiwny, aby dać wiarę temu, co jest zupełnie sprzeczne z moim przekonaniem, lecz ufam jedynie faktom, którymi dysponuję. Faktom, które mogę opisać w raporcie. Sądzę, że bardziej można polegać na faktach niż na wspomnieniach.

Siedzę w taksówce pogrążony w myślach. Kierowca widzi w lusterku, jak mówię do siebie.

- To drugi symptom obłąkania - wyjaśniam mu.

- Jaki jest pierwszy? - pyta.

- Zabicie wielu ludzi i zjedzenie ich narządów płciowych. Śmieje się i raz jeszcze bacznie mi się przygląda.

Przed trzema godzinami dowiedziałem się, że Mickey Carlyle może jeszcze żyć. Przed czterdziestu ośmiu godzinami jacht Alekseia przyplłynął do Ostendy. Po krótkiej przerwie Aleksei wyruszył dalej, lecz będzie podróżował drogą lądową. Może jest już tam, gdzie zamierzał. Ale gdzie?

Być może w Holandii. Mieszkał tam z Rachel, Mickey urodziła się w Amsterdamie. Lecz bardziej prawdopodobnym miejscem pobytu będą kraje Europy Wschodniej. Tam Kuznet ma różne kontakty, a być może także rodzinę.

Rozglądam się po biurze profesora i widzę kilkanaście osób przy telefonach oraz wpatrzonych w ekrany monitorów. To ludzie, którzy znowu odpowiedzieli na prośbę o pomoc w poszukiwaniu Mickey. Część z nich zwolniła się z pracy bądź wzięła wolne. Czuję, jakbym był w centrum koordynacyjnym na miejscu jakiegoś zajścia. Ten pokój emanuje energią i czuje się w nim atmosferę oczekiwania.

Roger rozmawia z kapitanem portu w Ostendzie. Kapitan informuje go, że na pokładzie było sześć dorosłych osób, w tym Aleksei, nie było jednak żadnego dziecka. Jacht przycumowany jest teraz przy Royal Yacht Club, największej przystani w Ostendzie, w samym centrum miasta. Mamy listę nazwisk członków załogi. Margaret i Jean obdzwaniają miejscowe hotele. Inni telefonują do agencji wynajmu samochodów, biur podróży, biur sprzedających bilety kolejowe i promowe. Telefonować można więc wszędzie i w nieskończoność.

Aleksei zaś mógł już zniknąć gdzieś w Europie.

Bez nakazu sądowego bądź polecenia nie mamy dostępu do jego rachunków

bankowych, skrytek pocztowych i zapisów telefonicznych. Nie ma sposobu, który pozwoliłby nam prześledzić jego transfery pieniężne, płatności zagraniczne, wątpię zresztą, czy przekazy pieniężne zaprowadziłyby nas do miejsca pobytu Mickey. Aleksei jest człowiekiem zbyt przebiegłym na to. Jego fortuna rozmieszczona jest w rajach podatkowych na Kajmanach, Bermudach i w Gibraltarze. Ustalenie za pomocą dokumentacji i korespondencji zasobów finansowych Kuzneta i jego ewentualnego pobytu zajęłoby ekspertom sporo czasu.

Spojrzałem na zegarek. Każda minuta zwiększa jego szansę ucieczki i wymknięcia się z naszego zasięgu.

Biorę płaszcz i daję Joe znak.

- Idziemy.

- Dokąd? - pyta.

- Zobaczymy, co jest w jego domu.

Wbrew obiegowym opiniom najpotężniejsza postać w angielskim przemyśle kwiatów ciętych nie mieszka w ogrodzie botanicznym czy w szklarni. Ogrody otaczające posesję Alekseia mają typowo wiejski wygląd i są zarośnięte, pełno w nich drzew cedrowych i owocowych.

Bramy zamykane elektronicznie są otwarte. Wjeżdżamy więc na podjazd pokryty szutrem, spod opon wyskakują kamyki. Dom wygląda na zamknięty. Na tle nieba wyraźnie widać wieżyczki z ciemnych płytek. Odwrócone są frontem od miasta, spoglądają raczej na Hampstead Heath.

Wychodzę z samochodu i usiłuję dyskretnie dostać się do budynku.

- Robimy coś nielegalnego? - pyta Joe.

- Jeszcze nie.

- Mówię poważnie.

- Ja także.

Obchodząc budynek, zastanawiam się, gdzie są umieszczone systemy alarmowe i zabezpieczenia. Po chwili zauważam kraty stalowe w oknach, a także reflektory, czujniki i alarmy na murach. W wielkiej stajni zamienionej na garaż stoi kilkanaście samochodów przykrytych pokrowcami.

Za domem dostrzegłem smugę dymu z pieca do spalania odpadów. Kiedy podchodziliśmy tam, dostrzegliśmy ogrodnika, który przyglądał się nam uważnie. Był to silnie zbudowany mężczyzna z sumiastym wąsem przypominającym spódnice z trawy hawajskich tancerzy. Był w tweedowym płaszczu oraz spodniach wsuniętych w gumowe buty do kolan.

- Dzień dobry.

Zdejmuje czapkę i odpowiada:

- Dzień dobry panu.

- Pracuje pan tutaj?

- Tak, proszę pana.

- Gdzie są wszyscy?

- Wyjechali. Dom jest do sprzedania. Ja tylko utrzymuję porządek w ogrodzie.

Zauważyłem kosze na liście i ściętą trawę.

- Jak panu na imię?

- Harold.

- Czy spotkał pan kiedyś właściciela budynku, pana Kuz-neta?

- O tak, proszę pana. Czyściłem jego samochody. Był bardzo wymagający, jeśli chodzi o woskowanie i polerowanie, nie chciał, aby była jakakolwiek rysa na karoserii. Wiedział, na czym polega różnica pomiędzy woskowaniem i polerowaniem samochodu, a niewielu ludzi zna się na tym.

- Był dobrym szefem?

- Uważam, że lepszym niż większość szefów.

- Wielu ludzi bało się go.

- Tak, lecz nie rozumiem dlaczego. Słyszał pan jakieś historie na jego temat, nieprawda? Podobno zabił brata, ciała ludzi, których zamordował, chował w piwnicy i w ogóle robił różne inne straszne rzeczy. Ale dla mnie był zawsze dobry.

- Widział pan tutaj małą dziewczynkę? Harold podrapał się po głowie.

- Nie pamiętam, aby było tu jakieś dziecko, choć ten dom to dobre miejsce dla dzieci, moje wnuki polubiłyby je.

Joe odszedł, przyglądając się okapom dachu, jakby wypatrywał gniazd gołębi. Odsunął się na bok i o mało co nie przewrócił o zraszacz.

- Co jest pańskiemu towarzyszowi, że drży mu ręka? - zapytał ogrodnik.

- To choroba Parkinsona. Harold skinął głową.

- Mój wujek też cierpiał na to. Zgarnia liście na kopiec.

- Jeżeli zamierza pan kupić ten dom, to właśnie minął się pan z agentką sprzedaży nieruchomości. Była tutaj, pokazywała dom i otoczenie policjantom. Myślałem, że pan też jest gliną.

- Już nie jestem. Sądzi pan, że moglibyśmy zajrzeć do środka?

- Nie jestem do tego upoważniony.

- Ale ma pan klucze?

- Wiem, gdzie agentka je chowa.

Wyjąłem pudełko z cukierkami i poczęstowałem go.

- Słuchaj, Harold, nie mam zbyt wiele czasu. Szukamy małej dziewczynki. Zaginęła dawno temu. Chcemy zajrzeć do domu, to dla nas bardzo ważne. Nikt się o tym nie dowie.

- Mówi pan o małej dziewczynce?

- Tak.

Ssie cukierka i przez chwilę zastanawia się. Po głębokim namyśle odstawia grabie i lekko wznoszącą się ścieżką zaczyna iść w stronę domu. Ścieżka biegnie wzdłuż równego, nieco podmokłego, trawiastego pola do krykieta w stronę oranżerii. Joe stara się dotrzymać nam kroku i nie zamoczyć butów.

Boczne drzwi prowadzą do holu z kamienną podłogą oraz pomieszczeniem na płaszcze, buty i parasole. Pralnia musi być gdzieś obok. Czuję zapach proszków do prania.

Harold otwiera drzwi i wchodzimy do dużej kuchni. W środku stoi ogromna ława, a na ścianach i kredensach sprzęt gospodarstwa domowego. Dalej przez sklepione przejście wchodzimy do oranżerii, gdzie stoi stół śniadaniowy na kilkanaście osób.

Joe znowu oddalił się od nas. Tym razem badawczo zagląda pod krzesła i stół oraz za listwy przypodłogowe.

- Czy zauważyłeś tu coś niezwykłego? - zapytał Joe.

- Co na przykład?

- Nie ma linii telefonicznych. Ten budynek nie jest nawet podłączony do sieci.

- Może kable są pod ziemią.

- Tak też myślałem, lecz nie widzę nawet gniazdek w murze.

Zwracam się z pytaniem do Harolda:

- Czy są w budynku telefony?

Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Pana towarzysz to bystry człowiek. Pan Kuznet nie miał zaufania do telefonów stacjonarnych. Wszyscy dostaliśmy takie. - Sięga do kieszeni i pokazuje telefon komórkowy.

- Wszyscy?

- Tak. Kucharz, kierowca, sprzątaczkę i nawet ja. Przypuszczam, że teraz będę musiał go oddać.

- Od kiedy ma pan ten telefon?

- Od niedawna. Cały czas musieliśmy zmieniać numery swych telefonów. Nigdy nie miałem tego samego numeru dłużej niż miesiąc.

Aleksei wykazywał rzeczywiście paranoiczny lęk przed podsłuchem telefonicznym bądź monitorowaniem jego rozmów. Musiał dzierżawić setki telefonów komórkowych, rozdzielał je pomiędzy pracowników i służbę. Tego rodzaju system uniemożliwiał śledzenie rozmów, jakie prowadził, oraz ustalenie konkretnego numeru, z którego rozmawiał. Lista jego numerów telefonicznych przypominała spis wygranych numerów loteryjnych. Wszystkie opłacane były z jednego rachunku bankowego.

Pomyślałem sobie, że z pewnych względów ta telefoniczna kombinacja jest bardzo ważna. Mówi się, że słonie mają fenomenalną pamięć. Zapamiętują sprzed dwudziestu laty źródła wody oddalone o setki kilometrów. Trochę podobnie dzieje się z moją pamięcią. Mój umysł nie zapamięta dat urodzin, rocznic, wierszy bądź tekstów piosenek, lecz potrafi zapamiętać każdy szczegół zeznań osiemdziesięciu świadków.

Oto co zdołałem sobie przypomnieć. Aleksejowi skradziono telefon komórkowy. Powiedział mi o tym, kiedy byliśmy już na zewnątrz Wormwood Scrubs. Był to najnowszy model. Lubił ten aparat.

Nagle zawróciłem, idę w kierunku drzwi, Joe usiłuje dotrzymać mi kroku. Dogania mnie, idąc ścieżką, chce podsłuchać moją rozmowę telefoniczną.

W słuchawce Nowy Chłopak, Dave” chce coś powiedzieć, lecz przerywam mu.

- Przed kilkoma miesiącami skradziono Aleksejowi telefon komórkowy. Powiedział, że kradzież zgłosił w policji, powinien więc być jakiś ślad tego zgłoszenia.

Robię przerwę. Dave nie wyłącza się, słychać w słuchawce, jak stuka w klawiaturę komputera. Poza tym słyszę jedynie, jak w żyłach pulsuje mi krew.

Przechodzę przez podjazd i idę ścieżką wysypaną pokruszonym marmurem, która okrąża ogród pełen róż. Na samym końcu, za altaną, stoi kolumna z piaskowca, a na niej słoneczny zegar. Jest tam mała tabliczka, a na niej wyryty napis „Rodzina jest na zawsze”.

Dave odzywa się:

- Zgłosił kradzież telefonu komórkowego 28 sierpnia.

- Okej. Posłuchaj uważnie. Musisz przejrzeć wszystkie rozmowy zarówno wychodzące, jak i przyjęte przez ten numer telefonu. Zwróć uwagę, czy 14 sierpnia nie przeprowadzono rozmowy międzynarodowej. To bardzo ważne!

- Dlaczego?

Dave nie ma dzieci i pewnych rzeczy nie rozumie.

- Ponieważ rodzice nigdy nie zapominają o urodzinach własnych dzieci - mówię.

Na horyzoncie widać brzozy i wiązy, z daleka wyglądające jak szkice węglem. Dalej na tle błękitnego nieba widać białe obłoki. Dwa czarne samochody typu Gallant, podskakując

na dziurawym asfalcie, jadą wolno oblodzoną wąską drogą. Szofer zмага się z kierownicą, jakby nie zdawał sobie sprawy z dziur na poboczach. Za nami podążają dwa identyczne galanty obryzgane biotem. Otaczające nas bagna, stawy i sadzawki pokryte są na brzegach cienką warstwą lodu. Po drodze mijamy rafinerię z pióropuszem ognia ze spalanego gazu, który odbija się w oleistym gruncie.

Po jednej stronie drogi, oddzielonej głębokim rowem, biegnie linia kolejowa. Wzdłuż torów stoją drewniane chaty bardziej przypominające stosy drewna opalowego niż mieszkania. Z rynien zwisają sople lodu, a pod ścianami chałup leżą zwały brudnego śniegu. Jedynymi oznakami życia są smugi dymu z kominów i wychudzone psy żerujące w koszach na odpady.

Tłuczniowa droga nagle się skończyła i zanurzyliśmy się w las. Teraz jedziemy krętą przecinką pomiędzy drzewami, na której zauważyliśmy wyraźne ślady opon. Prowadziły w jedną stronę. Nie było śladów powrotnych, ale nie było także innej drogi powrotu. Pomyślałem, że gdzieś przed nami musi znajdować się samochód Alekseia.

Od chwili kiedy przybyliśmy do Moskwy, Rachel prawie się nie odzywała. Siedziała obok mnie na tylnym siedzeniu, trzymała przy sobie ręce oparte o siedzenie, aby podeprzeć się, kiedy wpadaliśmy w wyboje.

Nasz kierowca bardziej przypominał kadeta szkoły wojskowej niż milicjanta. Niezwykle ostry zarys jego górnej wargi oraz kości policzkowych, jakby wyrzeźbionych ostrym skalpelem, sprawiają, że wygląda jak wyrastający z ziemi pęd. Obok niego siedzi major Dmitrij Mienszikow, starszy oficer docho-dzeniowo-śledczy milicji moskiewskiej. Major powitał nas na lotnisku Domodiedowo i od tego momentu zabawiał nas rozmową jak przewodnik wycieczki.

Minęły dwadzieścia cztery godziny, odkąd przez całą Europę Zachodnią podążamy śladami Alekseia. Po przyplłynięciu do Ostendy i przenocowaniu wsiadł on w niedzielę do pociągu jadącego z Brukseli do Berlina. Następnie przesiadł się do nocnego pociągu do Warszawy. Terytorium Polski przejechał w poniedziałek we wczesnych godzinach rannych.

W Polsce niemalże zgubiliśmy jego ślad. Aleksei nie wsiadł do pociągu bezpośredniego do Moskwy, nie przekroczył granicy w Brześciu i według relacji urzędników straży granicznej nie było go również w pociągu jadącym do Mińska i dalej do Moskwy. W Warszawie mógł kupić samochód, lecz procedury kontrolne i administracyjne władz rosyjskich opóźniają wjazd pojazdów o niemalże dwa dni. Na taką zwłokę nie mógł sobie pozwolić. Mógł wszakże pojechać autobusem lub pociągiem przez Litwę i Łotwę.

W ustaleniu miejsca jego pobytu bardzo mi pomógł Nowy Chłopak, Dave. Znalazł

wykaz rozmów przeprowadzonych ze skradzionego Aleksejowi telefonu komórkowego. W interesującym mnie czasie Aleksej odbył wiele rozmów międzynarodowych, lecz 14 sierpnia - w dniu urodzin Mickey - zatelefonował do dachy położonej na południowym zachodzie od Moskwy. Rozmowa trwała ponad godzinę.

Odwróciwszy się na siedzeniu, Dmitrij powiedział:

- Nie ma pan pojęcia, kto mieszka w tym domu? - Mówił po angielsku z amerykańskim akcentem.

- Nie wiem nic konkretnego - odparłem.

- Nie jest pan nawet pewien, że ta dziewczynka jest w Rosji?

- Nie.

- Więc to tylko przypuszczenie?

Patrząc na Rachel, ze współczuciem skinął głową.

Jechaliśmy po tak wielkich wybojach, że musiał przytrzymywać czapkę na głowie. Między drzewami panowała nieprzenikniona czerń.

- Sądzi pani, że pozna tę dziewczynkę, jeżeli jest pani córką?

Rachel kiwnęła głową.

- Po przeszło trzech latach! Dzieci szybko zapominają. Może jest tutaj szczęśliwa? Może powinna ją pani zostawić w spokoju?

Las przeredził się i zobaczyliśmy polanę, na której stały domy z prefabrykatów. Były tam także rdzewiejące samochody i zwisające ze słupów kable elektryczne. Nad domami polatywały czarne wrony niczym sadze z kominów.

Krzewy zacierają ślady leśnej drogi i samochód przetaczał się z jednej koleiny w drugą. Przejechaliśmy przez wąski mostek nad mrocznym wąwozem i znaleźliśmy się przed otwartą bramą. Po lewej stronie wyłoniło się jezioro i pomost wrzynający się w czarną taflę wody. Pomost przymocowany był do dna jeziora.

W nocy na cienką warstwę lodu spadł śnieg. Lód był tak cienki, że mogłem zobaczyć pod nim czarną wodę jeziora niczym stężoną krew. Ciarki przeszły mi po plecach. Nagle wyobraziłem sobie twarz Lukę'a usiłującego wydostać się spod pokrywy lodowej.

Dom zasłonięty jesionami wyłonił się przy końcu wysypanego szutrem podjazdu. Większość okien była zamknięta, a rekreacyjne meble, stoły i krzesła poustawiano już na zimę na twardej powierzchni w ogrodzie różanym.

Podjazd kończył się przy prostokątnym dziedzińcu. Blisko drzwi prowadzących do stajni stał zaparkowany srebrny mercedes obryzany błotem. Drzwi samochodu od strony kierowcy są otwarte. Na ziemi, oparty o koło, siedzi Aleksej. Pada drobny deszcz, na

ramionach jego płaszcz gromadzą się krople, krople spływają także z jego włosów. Aleksei ma twarz białą jak śnieg, tylko na czole widać czarnokrwawą dziurę. Patrząc na niego, można odnieść wrażenie, że jest zaskoczony, skonfundowany tym, co się stało, jakby przeżył wywrotkę na lodzie. Wygląda tak, jakby usiłował zebrać myśli, zanim wstanie.

Czarne gallanty zatrzymują się przy końcu dziedzińca. Wychodzą z nich postacie w kominiarkach, z bronią gotową do strzału.

W drzwiach domu pojawia się mężczyzna z karabinem pod pachą. Jest młodszy od Alekseia, lecz podobny do niego, ma taki sam wąski nos i wysokie czoło. Grube spodnie ma wsunięte w sznurowane buty, a nóż w pochwie przytroczonej do pasa.

Wychodzę zza samochodu i zbliżam się do niego. Podnosi karabin i opiera go na ramieniu jak chłopak bawiący się bronią.

- Cześć, Sacha - mówię.

W milczeniu skinął głową. Kiedy patrzył na Alekseia, dostrzegłem w jego zmrużonych oczach skruchę.

- Wszyscy myśleli, że nie żyjesz - mówię.

- Dawny Sacha nie żyje. Nie znajdzie go pan tutaj.

Mówił po rosyjsku, bo w przeciwieństwie do Alekseia, nigdy nie zapierał się swych rosyjskich korzeni, a rozmawiając po angielsku, nie udawał rdzennego Anglika.

Rachel wyszła z samochodu. Nadal w skupieniu patrzyła na Alekseia, jakby wyobrażała sobie, że on zaraz wytrze z czoła ślady krwi i wstanie, ponieważ już odpoczął.

Pada teraz deszcz ze śniegiem.

- Zechce mi pan powiedzieć, co się tutaj wydarzyło? - zapytałem.

Sacha spojrzał na swoje buty i po chwili milczenia powiedział:

- Sprawy zaszły za daleko. Nie powinien tu przyjeżdżać. Już raz zabrał ją z jednego domu, teraz chciał ją zabrać z tego. Dostyc sprawił wszystkim kłopotów.

Za jego plecami w drzwiach pojawia się postać kobiety. U jej boku zaś dziewczynka.

- To moja żona, Elena - powiedział Sacha.

Elena objęła ramiona dziewczynki i zasłoniła jej widok na ciało ojca.

- Dobrze się nią opiekowaliśmy, nigdy jej niczego nie brakowało - mówi Sacha. Szuka właściwych słów. - Była dla nas jak córka...

Rachel zatrzepotała dłonią przy ustach, jakby chciała zatrzymać oddech. Zrobiła kilka kroków w stronę córki.

Mickey miała na sobie bryczesy i kurtkę do jazdy konnej. Nosila warkocz, opadający na ramiona. Elena miała taki sam warkocz.

Rachel podeszła do Mickey i padła na kolana.

Mickey powiedziała coś do Eleny po rosyjsku.

- Mów teraz po angielsku - powiedział Sacha. - Jedziesz do domu.

- Tu jest mój dom - odparła Mickey. Uśmiechnął się do niej łagodnie.

- Już nie, jesteś Angielką.

- Nie! - Wyraźnie niezadowolona, potrząsnęła głową i zaczęła płakać.

- Posłuchaj. - Sacha oparł karabin o ścianę i kucnął przy niej. - Nie płacz, zawsze ci mówiłem, że musisz być silna. Pamiętasz, jak ostatniej zimy poszliśmy łowić ryby w przeręblach na jeziorze? Pamiętasz, jak było zimno? A ty się nie uskarżałaś.

Mickey zarzuciła mu ręce na szyję i rozszlochała się na dobre.

Rachel patrzyła na tę scenę z mieszanymi uczuciami, zarówno z nadzieją w sercu, jak i wyraźnym zaniepokojeniem. Wzięła głęboki oddech i podeszła do córki.

- Mickey, bardzo za tobą tęskniłam.

Dziewczynka podniosła głowę, spojrzała na matkę i dłonią rozmazała łzy na policzku. Milczała.

- Tak długo wtedy czekałam na ciebie przed domem, potem szukałam cię wszędzie. Miałam nadzieję, że w końcu cię znajdę. Nadal masz ten sam pokój i wszystkie swoje zabawki - mówiła Rachel.

- Potrafię teraz jeździć na koniu - oświadczyła Mickey.

- Naprawdę?!

- I na łyżwach. Nie boję się już wychodzić na dwór.

- Widzę przecież. Tak bardzo urosłaś. Założę się, że sięgniesz do najwyższej szafki kuchennej, tej koło okna.

- Tam gdzie trzymasz smakołyki.

- Pamiętasz! - Oczy Rachel rozpromieniły się.

Mickey patrzy na matkę z pewnym wahaniem, po czym wyciąga do niej rękę. Rachel tuli ją do siebie.

- Dobrze się czuję - mówi Mickey. - Nie musisz płakać.

- Wiem - odpowiada matka.

Rachel spogląda na mnie, potem na Sachę, który nieco skonfundowany odchrząkuje. Młody rosyjski milicjant pochyla się nad ciałem Alekseia, dotyka tętnicy szyjnej; nie wyczuwa tętna. Patrzy z zaciekawieniem na jego ręcznie szytą koszulę i drogi kaszmirowy płaszcz. Dmitrij zdejmuje zegarek Alekseia i porównuje go z własnym.

Tymczasem płatki mokrego śniegu wirują i kłębią się. Cień, jaki rzucają, przechodzi w

biel i czerń.

Inny kraj, inna matka i inne dziecko. Jestem przy Daj, która siedzi na wózku inwalidzkim i cierpliwie znosi długą chwilę milczenia. Dla niektórych ludzi są to sytuacje krępujące. Otulona jest białym szalem, trzyma go poskręcany artretyz-mem palcami. Siedzi bez ruchu i patrzy w okno. Wygląda jak legendarny starożytny ptak, złowrogi i drapieżny.

Jesteśmy w sali, za nami, przy stołach siadają ci, którzy biorą udział w warsztatach poświęconych układaniu i ekspozycji kwiatów. Ludzie starzy, do głębi przejęci swoją rolą, wymieniają uwagi, szepczą, świergoczą do siebie, układając kompozycje z zieleni i kwiatów różnego gatunku i koloru.

Pokazuję Daj pierwszą stronę gazety. Jest tam zdjęcie Mickey i Rachel. Po przylocie pozują do kamery na lotnisku Heathrow. Można zobaczyć i mnie, jestem z tyłu, pcham wózek bagażowy. Na najwyższej walizce usadowiono rosyjską lalkę, ręcznie malowaną „babuszkę”.

Na tym zdjęciu jest także Joe. Obok niego stoi Ali, opierająca się na jego ramieniu. Trzyma plakat z napisem „Mickey! Witamy w domu”.

- Pamiętasz tę zaginioną dziewczynkę? - mówię do Daj. - Tę, którą przez te wszystkie lata usiłowałem odszukać? No cóż, odnalazłem ją i przywiozłem do domu.

Przez moment patrzy na mnie z dumą, splata swoje palce z moimi. Jednakże po chwili zdają sobie sprawę, że mnie nie rozumie. Myśli o czymś zupełnie innym.

- Pilnuj, żeby Lukę nie wychodził na dwór bez szala - prosi.

- Okej.

- Jeżeli bierze rower, niech wsunie spodnie do skarpet, żeby nie pobrudził nogawek.

Skinąłem głową. Odsuwa moją rękę i strzepuje z kolan okruchy, których tam nie ma.

Będę częściej ją odwiedzał, nie tylko podczas weekendów, lecz każdego wieczoru. Wiem, że przeważnie mnie nie pozna. Wiem, że zмага się z pamięcią, ale to już ponad jej siły.

Pensjonat Villawood Lodge, gdzie przebywa Daj, jest drogi i pochłonął już większość moich oszczędności. Przez moment pomyślałem o diamentach. Parę z nich chciałem dać Ali jako zadośćuczynienie za to, co wycierpiała. Oczywiście, odmówiłaby ich przyjęcia i doskonale wiem dlaczego. Były naznaczone krwią.

Ogrodnik Harold znalazł diamenty i z wdzięcznością przyjął nagrodę. Nawet zrobiono mu zdjęcie. Opiera się o postument zegara słonecznego i pokazuje, gdzie znalazł cztery owinięte w aksamit pudełka.

Daj odwraca głowę i słucha. Ktoś w pokoju muzycznym gra na pianinie. Na zewnątrz maszeruje grupa uprawiająca ćwiczenia fizyczne. Widać cały oddział, wymachują rękami i

kołyszają pośladkami. Prowadząca podnosi wysoko kolana, ogląda się, wypatrując maruderów.

- Mam przed oczami wszystkie zaginione dzieci - szepcze Daj. - Musisz je odszukać.

- Nie odnajdę wszystkich - mówię.

- Nie próbowałeś.

Patrzy na mnie; teraz mnie poznaje. Tę chwilę chciałbym jak najdłużej zatrzymać, ponieważ wiem, jak bardzo jest ulotna. Wystarczy byle powiew wiatru, a myśli jej rozproszą się jak nasiona dmuchawca.

Nie wierzę w los, przeznaczenie czy karmę. Nie wierzę, aby wszystko miało swoją przyczynę, a w życiu bywa, że miewa się lut szczęścia. Prawa rządzące wszechświatem zapierają dech w piersi - wschody i zachody słońca, pory roku, ruchy gwiazd. Gdyby nie te prawa, niebo zwałiłoby się nam na głowy. Także społeczeństwo rządzi się określonymi prawami. Moim zawodowym obowiązkiem było dopilnowanie, aby ludzie respektowali te prawa. Wiem, że nie jest to zbyt ambitna filozofia życiowa, ale mnie wystarczała.

Całuję Daj w czoło, biorę płaszcz i idę korytarzem do wyjścia z pensjonatu Villawood Lodge. Z kieszeni wydaję telefon komórkowy. W pamięci mam zakodowane numery Claire i Michaela. Pewnych rzeczy nigdy się nie zapomina.

Telefon jest ciepły od mego ciała. Wybieram numer i słucham, jak dzwoni. Byłem w swoim życiu świadkiem wielu tragicznych wypadków zaginięcia dzieci. Może nie wszystkie odzyskam, lecz muszę próbować.